



ALEKSANDRA
MIA PRINNA

ukradziony sen

ALEKSANDRA
MARININA

UKRADZIONY SEN

przełożyła Ewa Rojewska-Olejarczuk

Tytuł oryginału: *Украденный сон*

Copyright © A. Marinina, 1995

Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMIV
Copyright © for the Polish translation by Grupa Wydawnicza Foksal, MMIV

Wydanie IV
Warszawa MMXVI

Spis treści

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Przypisy](#)

Rozdział 1

Stop, stop, przerwijcie! Jak na razie wszystko źle. – Asystent reżysera Griniewicz z irytacją klasnął w dłonie i odwrócił się do siedzącej obok młodej kobiety. – Widziałaś? – spytał żałośnie. – Te lalunie nie potrafią zrobić najprostszyc rzeczy. Chwilami jestem w rozpaczy, wydaje mi się, że nic nie będzie z tego spektaklu. Nie obchodzi ich kreowana postać, każdej zależy tylko na tym, żeby wszyscy dostrzegli jej zalety. Larysa!

Wysoka, zgrabna dziewczyna w ciemnym trykocie podeszła na skraj sceny i usiadła z gracją, zwieszając jedną nogę, a drugą podciągając do piersi.

– Laryso, kim jesteś? – pouczająco zaczął Griniewicz. – Grasz zwykłego kundla, owoc zakazanej miłości foksterierki i maltańczyka. Masz być figlarna, przyjazna, pieśczożliwa, ruchliwa. Ale przede wszystkim – masz być malutka. Malutka, rozumiesz? Drobnny krok, żadnych zamaszystych gestów. A ty kogo mi grasz? Rosyjskiego charta? Jasne, jasne, w ten sposób masz okazję zademonstrować swoją wspaniałą figurę. Ale to, moja droga, nie są wybory miss, twoja figura nie ma tu nic do rzeczy. Chcę widzieć małego kundelka, a nie twój rajcowny biust. Jasne?

Larysa słuchała nachmurzona, lekko kołysząc zgrabną nóżką.

– To co, mam sobie amputować piersi, żeby zagrać tego psa? – rzuciła ostro.

– Pozwolisz, że ci powiem, co masz zrobić? – ugodowo odparł Griniewicz. – Przestań się sobą zachwycać: oto cały sekret. No, do roboty. Ira!

Larysa podniosła się leniwie i odeszła w głąb sceny. Wszystko, co w tej chwili myślała o asystencie reżysera Giennadiju Griniewicz, było płonącymi zgłoskami wypisane na jej pięknych plecach, a znaki przestankowe w tej niepoehlebnej tyradzie zostały wypunktowane wyzywającymi ruchami krągłych bioder i toczonych nóg. Całą sobą zdawała się mówić, że niektórym, nie będziemy pokazywać palcem,

komu konkretnie, łatwo jest radzić, by człowiek się sobą nie zachwycał, ponieważ sami są niewiele ładniejsi od małpy.

Kolejna ofiara krytyki Griniewicza zeskoczyła ze sceny i oparła się o nią plecami.

– Co, Giena, ja też gram źle? – spytała zmartwiona.

– Irocza, kochanie, w życiu jesteś bardzo dobrą dziewczyną. To twoja niewątpliwa zaleta, za to cię kochamy. Ale grasz strasznie wredną sukę dobermana. I kiedy swymi psimi metodami rozprawiasz się z innymi postaciami sztuki, czujesz się niezręcznie. Ciągłe jesteś Iroczką Fiedułową i wstyd ci za siebie, psa, który zachowuje się ordynarnie i podle. Żal ci wszystkich, których dobermanka krzywdzi, i to jest wyraźnie widoczne. Ukryj swój charakter, dobrze? Wychodząc na scenę, zapomnij, jaka jesteś w życiu, zapomnij, czego cię uczyli tata i mama. W tym psim towarzystwie jesteś wytrawnym złoczyńcą, jesteś najsilniejsza, umacniasz i utrwalasz swój autorytet i swoją władzę. Jesteś najgorszą żołą i nie wąż się tego wstydzić. Nie próbuj przedstawić swojej bohaterki lepszą, niż stworzył ją autor. Rozumiemy się?

Ira w milczeniu weszła na scenę, a Griniewicz znów zwrócił się do swej towarzyszki.

– Jak myślisz, Anastazjo, może niepotrzebnie się tego podjąłem? Już w szkole teatralnej marzyłem, żeby zrobić spektakl z życia psów. Ten pomysł śnił mi się po nocach, miałem kręcka na tym punkcie. Wreszcie znalazłem autora, namówiłem go, żeby napisał sztukę, potem błagałem niemal na klęczkach, żeby ją przerabiał, dopóki nie stanie się taka, jak chciałem. Potem przekonywałem reżysera, żeby się zgodził ją wystawić. Zmarnowałem tyle lat, poświęciłem tyle sił. A teraz się okazuje, że młodzi aktorzy nie potrafią zagrać jak należy.

– Czy rzeczywiście nie potrafią? – z powątpiewaniem spytała Anastazja, która uważnie obserwowała aktorów od samego początku próby. – Rozumiem, co cię niepokoi, ale tego nie można się nauczyć, to trzeba poczuć na własnej skórze. Tu nie pomoże ani reżyser, ani pedagog. Trzeba ich nauczyć przestać lubić siebie, swój wygląd zewnętrzny, swoją indywidualność, ale nie zapominaj, Gienoczka, że to jest wbrew naturze. Gdybyś zadał sobie trochę trudu i przeczytał parę książek na temat psychiatrii i psychoanalizy, wiedziałbyś, że

całkowite odrzucenie własnych zalet i własnej wartości to oznaka chorej psychiki. Normalny, zdrowy człowiek powinien lubić i szanować samego siebie. Oczywiście nie aż do egocentryzmu, ale w rozsądnych granicach. Ty byś chciał, żeby poza sceną aktorzy byli osobowościami, ze wszystkimi zaletami i kompleksami, a po wyjściu zza kulis natychmiast tracili kręgosłup i zamieniali się w glinę, z której ty ulepisz to, co chcesz. Bo przecież o to ci chodzi? Radzę ci, żebyś zaprosił do zespołu psychologa.

– Cóż... Chyba tak... chyba masz rację – niepewnie wymamrotał Griniewicz, który słuchając Nasti, nie przestawał obserwować aktorów na scenie. – Chociaż jestem przekonany, że z punktu widzenia sztuki aktorskiej jest to słuszne. Wiktor! Siergadiejew! Chodź no tu!

Olbrzymi muskularny młodzian, grający czarnego labradora retrievera, zszedł do pierwszego rzędu, ciężko klapnął na fotel i zaczął wycierać rękami twarz i szyję.

– Co, Giena? – zapytał zdyszczonym głosem. – Znowu coś nie tak?

– Znowu. Nie rozumiem, dlaczego nie wychodzi ci scena z kulawym pudlem. Coś ci w niej przeszkadza?

Wiktor wzruszył lśniąco od potu, szerokimi ramionami.

– Nie wiem. Pojęcia nie mam. Ja jestem młody i głupi, a pudel stary i kulawy. Nie zdaję sobie sprawy, że jestem młodszy i silniejszy, i ganim go po całej scenie, jakby był równorzędnym partnerem. A on jest dumny i nie chce pokazać, że zabawa ze mną jest ponad jego siły. Dopiero kiedy pada zmęczony, ja powinienem się domyślić i zawstydić. Zgadza się?

– Zgadza. Więc co ci przeszkadza? Nie wiesz, jak pokazać, że ci wstyd?

– Nie o to chodzi. Po prostu nie jest mi wstyd. Zrozum, Szurik tak lekko biega po scenie, że kiedy pada jak trup, jakoś wcale mi go nie żal.

Grający kulawego starego pudła Szurik rzeczywiście był mistrzem sportu w lekkiej atletyce, biegał bez wysiłku i ładnie, a kiedy padał i zamierał bez ruchu, wyglądało to na udawanie i żart.

Griniewicz popatrzył na Anastazję oczami pełnymi rozpacz.

– Masz ci los! Znowu to samo.

Nastia nie była aktorką i rodzaj jej pracy nie miał z teatrem nic wspólnego. Z Gieną Griniewiczem mieszkała kiedyś w jednym domu, na tej samej klatce schodowej, i odkąd zaczął pracować w teatrze, regularnie, trzy, cztery razy do roku przychodziła do niego na próby. Przychodziła w jednym jedynym celu: żeby patrzeć i uczyć się, jak za pomocą drobnych niuansów plastycznych i mimicznych tworzy się całkowicie różne obrazy. Griniewicz nie miał nic przeciwko tym wizytom, odwrotnie, był bardzo zadowolony, kiedy dawna koleżanka odwiedzała go w teatrze. Malutki, łysawy, o twarzy brzydkiego, ale radosnego trolla, Griniewicz przez wiele lat kochał się skrycie w Nasti Kamieńskiej i był strasznie dumny, że nikt, w tym sama Nastia, nigdy się tego nie domyślił.

– Mam tu same Madonny i Van Dammów – ciągnął z irytacją. – Bardziej cenię w sobie urodę i sprawność niż aktorstwo i teatr. No bo jakże to: tyle lat ciężkiej pracy, treningów, potu, wyrzeczeń, diety... szkoda by było, gdyby nikt tego nie dostrzegł i nie docenił. Pół godziny przerwy! – krzyknął.

Griniewicz i Nastia poszli do bufetu i wzięli po filiżance niesmacznej, ledwie ciepłej kawy.

– Co u ciebie, Nastiusza? Jak w domu, jak w pracy?

– Stara bida. Mama w Szwecji, tata wykłada, na emeryturę na razie się nie wybiera. Jedni ludzie zabijają drugich i jakoś nie chcą, by ich za to ukarano. Nic nowego w moim życiu się nie dzieje.

Griniewicz lekko pogładził Nastię po ręce.

– Zmęczona?

– Bardzo. – Kiwnęła głową, nie podnosząc oczu znad filiżanki.

– Może masz już dosyć swojej pracy?

– Coś ty! – Nastia gwałtownie podniosła oczy i z wyrzutem popatrzyła na przyjaciela. – Co ty wygadujesz! Moja praca jest straszliwie męcząca, pełno w niej brudu, w przenośni i dosłownie, ale ją kocham. Wiesz przecież, Giena, że umiem różne rzeczy, mogłabym na przykład tłumaczeniami zarabiać o wiele więcej, nie mówiąc już o korepetycjach. Ale nie chcę się zajmować niczym innym prócz mojej pracy.

– Za mąż nie wyszłaś?

– Dyżurne pytanie! – roześmiała się Nastia. – Zadajesz mi je za każdym razem, kiedy się spotykamy.

– A odpowiedź?

– Też dyżurna. Powiedziałam ci przecież, że nic nowego w moim życiu się nie dzieje.

– Ale masz kogoś?

– Oczywiście. Ciągłe ten sam Losza Czistiakow. Też dyżurny.

Griniewicz odstawił filiżankę i uważnie przyjrzał się Nasti.

– Słuchaj, nie wydaje ci się, że po prostu jesteś znudzona swoim monotonnym życiem? Bardzo mi się dzisiaj nie podobasz. Po raz pierwszy widzę cię taką, a przecież znam cię od... żeby nie skłamać...

– Od dwudziestu czterech lat – podpowiedziała Nastia. – Kiedy wprowadziliście się do naszego domu, miałam dziewięć lat, a ty czternaście. Właśnie zamierzałeś wstąpić do Komsomołu, ale w związku z przeprowadzką musiałeś się przenieść do innej szkoły, a tam powiedzieli, że jesteś dla nich nowym człowiekiem i nie mogą ci dać rekomendacji. No i wszystkich przyjęto w ósmej klasie, a ciebie w dziewiątej. Strasznie to przeżywałeś!

– Skąd wiesz? – zdumiał się Giennadij. – Przecież się wtedy nie kolegowaliśmy, byłeś dla mnie za smarkata. Pamiętam dokładnie, żeśmy się zaprzyjaźnili, kiedy nasi rodzice kupili nam jednakowe szczeniaki, z jednego miotu. A wcześniej chyba nawet nie byłem w waszym mieszkaniu.

– Za to twoi starzy u nas bywali. I ciągle o tobie opowiadali. I o Komsomole, i o dziewczynie z dziesiątej klasy, i o klasówce z fizyki.

– O jakiej klasówce? – ze zdumieniem zapytał reżyser.

– Której nie chciałeś pisać. Wzięłeś gorący prysznic, umyłeś głowę i wyszedłeś w samej piżamie i boso na zaśnieżony balkon, a to był luty. I tam cię nakryli rodzice.

– I co było dalej?

– Nic. Masz żelazne zdrowie, więc musiałeś tę klasówkę napisać.

– Coś takiego! – Griniewicz roześmiał się serdecznie. – Zupełnie tego nie pamiętam. Czy ty przypadkiem nie kłamiesz?

– Nie kłamię. Wiesz przecież, że mam dobrą pamięć. A co do tego, że nudzi mnie monotonne życie, nie masz racji. Nigdy się nie nudzę.

Zawsze mam o czym pomyśleć, nawet w monotonnym życiu.

– Tak czy owak, jesteś jakaś skwaszona, Nastiu. Ktoś cię skrzywdził?

– To minie. – Nastia uśmiechnęła się smutno. – Zmęczenie, burze magnetyczne, obieg planet... Wszystko minie.

Czyż może być coś głupszego niż urlop w listopadzie? W śnieżnych zimowych miesiącach można jeździć na nartach, w marcu i kwietniu ożywcze słońce kurortów Kaukaskich Mineralnych Wód napełni nowymi siłami osłabłe od zimowej awitaminozy ciała, o urlopie od maja do sierpnia nawet nie ma co gadać, wrzesień i październik to cudowny sezon nad ciepłymi południowymi morzami, ale co robić w listopadzie? Listopad to miesiąc najsmutniejszy, kiedy złoty urok jesieni już zniknął i nieuchronne nadejście długich, ciemnych, zimnych dni staje się oczywiste aż do bólu. Listopad to miesiąc najbardziej beznadziejny, jako że deszcz i błoto, które w marcu i kwietniu są zwiastunami ciepła i nadziei, w tym przedzimowym okresie przynoszą tylko smutek i przygnębienie. Nie, nikt rozsądny nie bierze urlopu w listopadzie.

Starszy oficer operacyjny wydziału kryminalnego moskiewskiego GUWD¹, major milicji Anastazja Pawłowna Kamieńska, lat trzydzieści trzy, wykształcenie wyższe prawnicze, była osobą bardzo, ale to bardzo rozsądną. Mimo to jednak znalazła się na urlopie właśnie w listopadzie.

Oczywiście, ten jesienny urlop planowała zupełnie inaczej. Nastia po raz pierwszy w życiu pojechała do sanatorium, i to do sanatorium bardzo drogiego, ze wspaniałą obsługą i personelem medycznym. Ale po dwóch tygodniach wyjechała, bo w sanatorium popełniono morderstwo, w związku z czym została wciągnięta w skomplikowane i kłopotliwe kontakty najpierw z miejscowym wydziałem kryminalnym, a potem z lokalną mafią. Kiedy zaś rozwiązanie owej na pierwszy rzut oka banalnej sprawy ujawniło cały łańcuch potwornych zbrodni, Nastia pospiesznie opuściła gościnne sanatorium, nie czekając na aresztowanie głównych sprawców, których jak się okazało, dobrze знаła. Rezultat – listopad, urlop, popsuty nastrój, obrzydliwe samopoczucie, jednym słowem całe trzydzieści dni przyjemności.

Po wyjściu z teatru Nastia bez pośpiechu ruszyła propektem w stronę metra, usiłując przed wejściem do wagonu podjąć decyzję, dokąd jechać: do siebie do domu czy do ojczyma. Decyzję zdążyła podjąć, ale bardzo szczególną: pojechała do pracy. Po co – sama nie wiedziała.

Szef Nasti, Wiktor Aleksiejewicz Gordiejew, o dziwo, był na miejscu, toteż jej nedorzeczne życzenie miało szansę się spełnić. Gdyby Gordiejewa nie było w gabinecie – kto wie, jak by się wszystko skończyło. Ale Wiktor Aleksiejewicz siedział za biurkiem i w skupieniu żuł zauszniok okularów, co oznaczało głębokie zamyślenie.

– Panie pułkowniku, niech mnie pan odwoła z urlopu – poprosiła Nastia Kamińska, nie wdając się w długie wstępy. Widziała się już z szefem po powrocie z sanatorium, więc był doskonale poinformowany o jej pechowej epopei z wypoczynkiem i kuracją. Poza tym Gordiejew lubił Nastię, cenił ją i rozumiał jak chyba nikt inny.

– Co, Stasińko, masz chandrę? – zapytał ze współczuciem.

Nastia w milczeniu przytaknęła.

– Dobra, możesz uważać, że od dziś jesteś w pracy. Idź do Miszy Docenki i weź od niego akta zabójstwa Jeriominej. I przypomnij mi, żebym napisał kartkę do kadr w sprawie twojego urlopu. Tylko nie zapomnij, żeby ci te dni nie przepadły. Wszystko się może zdarzyć.

Nastia wzięła od Docenki akta, zamknęła się w swoim gabinecie i zaczęła czytać. Śledztwo wszczęto w związku ze znalezieniem trupa młodej kobiety. Przy zwłokach nie było żadnych dokumentów i w ogóle nic, co pozwoliłoby zidentyfikować ofiarę. Śmierć nastąpiła w wyniku uduszenia mniej więcej na cztery, pięć dni przed badaniem przez milicyjnego patologa. W celu ustalenia tożsamości denatki sprawdzono wszystkie zgłoszenia o zaginięciu młodych kobiet, które wyszły z domu i z nieznanymi przyczynami nie powróciły. Spośród tych zgłoszeń wybrano te, w których podano, że zaginiona była brunetką o długich włosach i wzroście 168–173 centymetrów. Takich zgłoszeń wyodrębniono czternaście, zgłaszających zaproszono, by zidentyfikowali zwłoki, i dziewięć z kolei stwierdził, że zmarła to Wiktoria Jeriomina, lat dwadzieścia sześć, że była sekretarką w jego firmie. Zgłoszenie o zaginięciu złożył

także on, ponieważ Wika była sierotą, wychowanką domu dziecka, i nie miała ani męża, ani żadnych krewnych. W tej sytuacji śledztwo wszczęto na oficjalny wniosek z miejsca pracy.

Dalej z materiałów śledczych wynikało, że Wiktoria Jeriomina w poniedziałek 25 października nie przyszła do pracy. Nikt by się tym jednak na serio nie zaniepokoił: wszyscy wiedzieli, że Wika mocno popija i często idzie w tango, po czym zdarza się jej nie przyjść do pracy. Kiedy następnego dnia również nie pojawiła się w firmie, postanowiono zadzwonić do niej do domu, spytać, czy się coś nie stało. Telefonu nikt nie odbierał, z czego koledzy wywnioskowali, że Wika wpadła w długi ciąg alkoholowy. W środę 27 października do firmy zadzwonił kochanek Jeriominej Borys Kartaszow, pytając, gdzie jest Wika. Obdzwoniwszy koleżanki Wiki i zajrzawszy do jej mieszkania (Kartaszow miał klucze), pracownicy firmy zrozumieli, że coś jest nie w porządku. Kartaszow pognął na milicję, ale tam uzyskał rutynową odpowiedź, że nie ma powodów do paniki i trzeba poczekać jeszcze ze trzy dni: dziewczyna jest młoda, pijąca, nieobarczona rodziną – na pewno sama się zjawi. Na wszelki wypadek uprzedzono Kartaszowa, że zgłoszenia o zaginięciu i tak by od niego nie przyjęto, musi wpłynąć wniosek z miejsca pracy.

Taki wniosek wpłynął 1 listopada, Wikę Jeriominę znaleziono zamordowaną w lesie, siedemdziesiąt pięć kilometrów od Moskwy w kierunku na Sawiełowo. Według milicyjnego patologa zgon nastąpił najwcześniej 30 października. Innymi słowy, podczas gdy Borys Kartaszow miotał się w poszukiwaniu ukochanej, w pracy wzruszano ramionami, a milicja usiłowała odkopnąć jak najdalej zgłoszenie o zaginięciu, Wiktoria jeszcze żyła, i gdyby w porę zaczęto jej szukać, może zdążono by ją znaleźć, zanim została zamordowana.

Sporej części materiałów Nastia nie otrzymała; wszystkie dokumenty, sporządzone po rozpoczęciu śledztwa, znajdowały się u śledczego stołecznej prokuratury, Konstantina Michajłowicza Olszańskiego. Nastia miała u siebie tylko kopie materiałów dotyczących poszukiwań, które obejmowały okres od momentu zgłoszenia zaginięcia do chwili znalezienia zwłok. Nie było tego

wiele, ale i tak skromną informację należało starannie przeanalizować. W głowie Nasti rodziły się wciąż nowe pytania.

Dlaczego solidna firma, która część pensji wypłaca swoim pracownikom w dolarach i cieszy się niezłą reputacją w kręgach biznesowych, zatrudnia niezdyscyplinowaną i pijącą sekretarkę? Czy nie jest możliwe, że wzmiankowana sekretarka szantażuje kierownictwo firmy, zapewniając sobie w ten sposób mało absorbującą pracę i stały dochód w dewizach? I czy nie to stało się przyczyną jej śmierci?

Dlaczego kochanek ofiary rzucił się jej szukać dopiero 27 października, w środę, chociaż sądząc z informacji otrzymanych od znajomych Wiki, nikt jej nie widział i nie słyszał już od soboty 23 października? W piątek, 22, Jeriomina była w pracy, co potwierdzają wszyscy pracownicy firmy, o 17.00 oficjalnie zakończono dzień roboczy i wszyscy zebrali się w niewielkiej sali bankietowej, by uczcić zawarcie korzystnego kontraktu z zagranicznymi partnerami. Po „bankiecie” Wika pojechała do domu, odwoził ją swoim samochodem jeden z kontrahentów firmy. Najwyraźniej dowiózł ją szczęśliwie, ponieważ około jedenastej wieczorem tego dnia Wika rozmawiała telefonicznie z koleżanką, umówiła się z nią na niedzielę i nie miała żadnych planów związanych z ewentualnym wyjazdem z Moskwy. Czy podczas tej rozmowy była w mieszkaniu sama? Biznesmen, który odwoził ją do domu, twierdzi, że próbował się wprosić na kawę, ale dziewczyna wykręciła się zmęczeniem i obiecała, że będzie mógł ją odwiedzić innym razem. Odprowadził więc damę do windy, pocałował w rączkę i odjechał. Kłamie czy nie? Jak to sprawdzić?

Po jedenastej wieczorem w piątek kontakty z nią się urywają. Wiktorija Jeriomina nie dzwoni do nikogo ze znajomych, nie pojawia się w miejscach, gdzie ktoś mógłby ją rozpoznać, i nie odbiera telefonów. A jeśli jednak była w domu, tylko nie podchodziła do telefonu, to dlaczego? I gdzie się podziewała cały tydzień od 23 do 30 października? Czy wpadła w tak głęboki pijacki ciąg, że do nikogo nie dzwoniła, ani do firmy, ani do kochanka?

Kiedy Nastia wynurzyła się z rozmyślań i studiowania akt, była prawie ósma wieczór. Zadzwoniła z telefonu wewnętrznego do Gordiejewa.

- Wiktorze Aleksiejewiczu, kto prowadzi sprawę Jeriominej?
- Ty.

Odpowiedź była tak zaskakująca, że Nastia o mało nie upuściła słuchawki. Przez wszystkie lata pracy w wydziale Gordiejewa zajmowała się prawie wyłącznie pracą analityczną, ale za to w sprawach, które prowadzili wywiadowcy Gordiejewa. To oni biegali, zdzierali zelówki i dorabiali się odcisków w poszukiwaniu świadków i dowodów, to oni przeprowadzali skomplikowane operacje, przenikali do grup przestępczych, uczestniczyli w zatrzymaniach niebezpiecznych bandytów. Następnie całą zdobytą przy takich okazjach informację skrętnie jak mrówki znosili do gabinetu Kamieńskiej i z westchnieniem ulgi zrzucali już na progu: Nastia sama się połapie, jaki fakt położyć na jaką półkę i jaką etykietkę do niego przykleić, sama oceni wagę każdego okrucha informacji, jej rzetelność i wiarygodność, zorientuje się, czy dana informacja jest przydatna w którejś z prowadzonych spraw, czy można ją odłożyć „do rezerwy”, a jeżeli jest przydatna, to czy można na niej polegać i jak ją zweryfikować. Nastazja włączy swój komputer, zasilany nie prądem z sieci, ale kawą i papierosami, i jutro, a najdalej pojutrze powie, jakie hipotezy warto rozpracować, kogo należy przesłuchać, co jeszcze w trakcie takiej rozmowy sprawdzić itd. Co miesiąc Nastia studiowała wszystkie sprawy dotyczące zabójstw, ciężkich uszkodzeń ciała oraz gwałtów i sporządzała dla Gordiejewa zestawienie analityczne. Dzięki tym wyciągom Wiktor Aleksiejewicz widział nie tylko typowe błędy i potknięcia popełnione przy wykrywaniu ciężkich przestępstw, ale także nowe, oryginalne metody gromadzenia poszlak i demaskowania winnych oraz, co najważniejsze, wszystkie nowinki dotyczące samych zbrodni: organizację, sposoby i nawet motywy.

Zadaniem Anastazji Kamieńskiej była żmudna praca analityczna, toteż pytając szefa, kto prowadzi sprawę zabójstwa Wiktorii Jeriominej, spodziewała się usłyszeć kilka nazwisk swoich kolegów, z którymi skontaktowałaby się telefonicznie jeszcze tego wieczoru. Spodziewała się wszystkiego, tylko nie owego „ty”.

- Mogę do pana przyjść? – spytała.
- Zadzwoń do ciebie – krótko odparł Gordiejew, z czego Nastia wywnioskowała, że nie jest w gabinecie sam.

Kiedy się wreszcie doczekała zaproszenia i weszła do pokoju szefa, ten stał odwrócony do okna i w zadumie stukał w szybę monetą.

– Mamy kłopot, Stasienko – powiedział, nie odwracając się. – Któryś z naszych chłopców jest nieuczciwy. A może nawet kilku. A może i wszyscy. Oprócz ciebie.

– Skąd pan wie?

– Nie słyszałem tego pytania.

– A ja go nie zadałam. Chodzi mi tylko o to, dlaczego oprócz mnie? Skąd takie zaufanie?

– To nie zaufanie, tylko zwykła kalkulacja. Ty nie masz możliwości być nieuczciwa, bo nie pracujesz bezpośrednio z ludźmi. Mogłabyś się okazać nierzetelna, ale to nie uratowałoby człowieka, który dałby ci łapówkę. Powiedzmy, że czegoś niby nie wykryjesz, nie zauważysz czegoś ważnego, istotnego dla śledztwa. Ale gdzie gwarancja, że oficer operacyjny, który sprawę prowadzi, też tego nie wykryje i nie dostrzeże? Nie, dziecko, zagrożenie stanowi to, co robisz. A twoja bezczynność, nawet umyślna, nie ma żadnego znaczenia. Dla łapownika jesteś nikim.

– Cóż, piękne dzięki. – Nastia uśmiechnęła się krzywo. – Z tego wniosek, że pan mi ufa z wyrachowania, a nie z sympatii. Dobre i to.

Gordiejew odwrócił się gwałtownie i Nastia zobaczyła na jego twarzy taki ból, że poczuła się niezręcznie.

– Tak, ufam ci z wyrachowania, a nie z sympatii – powiedział ostro. – I dopóki nie uporamy się z tym problemem, muszę zapomnieć, jacy wy wszyscy jesteście świetni i jak bardzo was lubię. Nie mogę znieść myśli, że któreś z was jest dwulicowe, bo wszyscy jesteście mi drodzy i bliscy, bo wszystkich osobiście przyjmowałem do pracy, uczyłem, wychowywałem. Wszyscy jesteście moimi dziećmi. Ale muszę to wymazać z serca i kierować się tylko rozsądkiem, żeby miłość albo sympatia nie przesłoniły mi obrazu i nie zamydliły oczu. Kiedy to nieszczęście minie – miłość powróci. Ale nie wcześniej. A teraz do rzeczy.

Wiktor Aleksiejewicz powoli odszedł od okna i usiadł przy biurku. Był niewysoki, szeroki w ramionach, z wydatnym brzuszkiem, okrągłutki, prawie zupełnie łyсы. Podwładni nazywali go

pieszczotliwie Pączek; przezwisko to zrosło się mocno z Gordiejewem jakieś trzydzieści lat temu i było przekazywane z pokolenia na pokolenie przez jego kolegów, a potem nawet przez kryminalistów. Nastia patrzyła nań i myślała, że teraz jego wygląd zupełnie nie odpowiada pieszczotliwemu przezwisku, teraz Gordiejew wydawał się przytłoczony ołowianym brzemieniem bólu.

– W związku z tym, co ci powiedziałem, nie mogę powierzyć sprawy zabójstwa Jeriominej nikomu poza tobą. Dlatego jestem zadowolony, że przerywasz urlop. Sprawa jest ohydna, śmierdzi na kilometr. Firma, dolary, bankiet, zagraniczni kontrahenci, atrakcyjna sekretarka, którą znaleziono uduszoną ze śladami tortur, jakiś kochanek ze środowiska cyganerii – wszystko to bardzo mi się nie podoba. Dopóki się nie dowiem, kto z naszych bierze forszę od przestępców za niewykrycie morderstw, sprawę Jeriominej będziesz prowadzić ty. Jeżeli jej nie rozwiążesz, to w każdym razie będę miał pewność, że zrobisz wszystko, co możliwe. Jutro rano jedź do prokuratury do Olszańskiego, przejrzyj akta sprawy i bierz się do roboty.

– Pułkowniku, sama nie dam sobie rady. Pan chyba żartuje! Kto to widział, żeby zabójstwem zajmował się tylko jeden detektyw?

– A kto powiedział, że będziesz sama? Jest obwodowy wydział kryminalny MSW, jest komisariat w dzielnicy Jeriominej, gdzie zresztą zgłoszono zaginięcie. Są pracownicy naszego wydziału, którym możesz dawać polecenia przeze mnie, nie odkrywając kart. Rusz głową, zakrzętnij się. Pod sufitem masz dobrze poukładane i najwyższy czas, żebyś nabrała doświadczenia.

Tego dnia, 11 listopada, Nastia Kamińska, wyszedłszy z pracy po dziewiątej wieczorem, postanowiła zanoć w mieszkaniu rodziców, które znajdowało się o wiele bliżej Pietrowki 38 niż jej własne. Miała też nadzieję na smaczną gorącą kolację, ponieważ jej ojczym Leonid Pietrowicz, którego za plecami nazywała po prostu Lonią, był w przeciwieństwie do niej samej człowiekiem pracowitym i gospodarnym, toteż przeciągająca się delegacja zagraniczna żony, profesor Kamińskiej, wcale się nie odbiła ani na porządku w mieszkaniu, ani na codziennym menu, złożonym z pożywnych i umiejętnie przygotowanych potraw.

Poza kolacją Nastia miała na uwadze jeszcze jeden cel. Postanowiła wreszcie przeprowadzić z ojczymem, którego od zawsze nazywała tatą i szczerze kochała, trudną i bardzo delikatną rozmowę. Rozpoczęcie jej okazało się jednak równie trudne jak podjęcie samej decyzji. Nastia odwlekała ten moment, powoli jedząc pieczeń, potem starannie parzyła herbatę, długo i metodycznie zmywała naczynia, szorując zapieczone garnki i patelnie. Ale Leonid Pietrowicz zbyt dobrze znał pasierbicę, by się nie zorientować, że trzeba jej przyjść z pomocą.

– Co cię gryzie, dziecińko? Kawa na ławę.

– Tatku, nie wydaje ci się, że nasza mama ma kogoś w tej Szwecji? – wypaliła Nastia, nie patrząc na ojczyma.

– Wydaje mi się. Ale wydaje mi się też, że, po pierwsze, nie powinno cię to obchodzić, a po drugie, że to żadna tragedia.

– Jak to?

– Posłuchaj. Twoja mama wcześniej wyszła za męża, jeżeli pamiętasz, za swego kolegę z klasy. Miała zaledwie osiemnaście lat. Pobrali się, bo ty byłeś już w drodze. To małżeństwo od samego początku nie miało szans. Mama rozwiodła się z twoim ojcem, kiedy nie miałaś nawet dwóch lat. Dwudziestoletnia studentka z małym dzieckiem! Pieluchy, choroby wieku dziecięcego, studia, i to z bardzo dobrymi ocenami, asystentura, doktorat, własny kierunek w nauce, publikacje, konferencje, delegacje, habilitacja, monografie... Czy to nie za wiele dla jednej kobiety? Na moją pomoc nie bardzo mogła liczyć, pracowałem w wydziale kryminalnym, wychodziłem wcześniej, wracałem późno, a ona musiała ciebie i mnie karmić i obsługiwać. Nawet kiedy podrosłaś na tyle, żeby pomagać w pracach domowych, mama nie kazała ci chodzić do sklepu, obierać kartofli i odkurzać, bo widziała, z jaką przyjemnością czytasz, uczysz się matematyki i języków, i uważała, że dla dziecka o wiele ważniejsza jest możliwość trenowania umysłu niż umiejętność prowadzenia domu. Zastanawiałaś się kiedy nad tym, jakie życie miała twoja matka? Teraz, choć skończyła pięćdziesiąt jeden lat, wciąż jest piękna, chociaż jeden Bóg wie, jak przy takim życiu udało się jej nie zestarzeć. Kiedy zaproponowano jej pracę w Szwecji, wreszcie miała okazję pożyć spokojnie i powiedzmy, pięknie. Tak, tak, pięknie, nie rób takich min, nic

nagannego w tym nie ma. Wiem, że było ci przykro, kiedy mama zgodziła się przedłużyć kontrakt i została za granicą jeszcze na rok. Myślisz, że już nas nie kocha, że za nami nie tęskni, i czujesz się pokrzywdzona. Nastieńko, dziecino moja kochana, ona jest nami po prostu zmęczona. Ma nas troszkę dosyć. Oczywiście, odnosi się to w większym stopniu do mnie. Ale tak czy owak, niech od nas odpocznie. Zasłużyła sobie na to. I nawet jeżeli ma romans, niech tam. Na to też sobie zasłużyła. Ze mnie przecież żaden adorator. Twoja mama już od dwudziestu lat nie dostała ode mnie ani kwiatów, ani prezentu niespodzianki, nie mogłem jej zaproponować wyjazdu w jakieś interesujące miejsca, bo nasz wolny czas prawie nigdy nie wypadwał jednocześnie. I jeżeli teraz tam, w Szwecji, twoja mama wszystko to ma, cieszę się. To się jej należy.

– I co, wcale nie jesteś zazdrosny?

– Dlaczego? Jestem, oczywiście. Ale w granicach rozsądku. Widzisz, jesteśmy z mamą bardzo życzliwi. Tak, nie ma w naszych stosunkach romantyzmu, ale przeżyliśmy razem dwadzieścia siedem lat, więc sama rozumiesz... Jesteśmy przyjaciółmi, a to w naszym wieku o wiele ważniejsze. Boisz się, że nasza rodzina się rozpadnie?

– Tak.

– No cóż... Albo mama zdobędzie to, czego jej tak brakuje, i wróci do domu, albo rozwiedzie się ze mną i wyjdzie za mąż w Szwecji. Co to zmieni dla ciebie osobiście? Że mamy nie będzie w Moskwie? Ależ i teraz jej tu nie ma i nie wiadomo, kiedy zechce wrócić. A poza tym przyznaj z ręką na sercu: czy naprawdę obecność mamy jest ci tak bardzo potrzebna? Wybacz, dziecino, znam cię od tak dawna, że mam prawo to powiedzieć. Wcale tak strasznie ci nie zależy, żeby mama mieszkała w Moskwie, po prostu czujesz się dotknięta, że potrafi żyć z dala od ciebie. A co się tyczy ciebie i mnie, to przecież nie przestaniesz mnie odwiedzać tylko dlatego, że nie jestem już mężem twojej mamy, prawda?

– Oczywiście, tatusiu. Jesteś dla mnie jak rodzony ojciec. Bardzo, bardzo cię kocham – ze smutkiem powiedziała Nastia.

– Ja też cię kocham, dziecino. A mamy nie potępiaj. Ani mnie, skoro już o tym mowa.

– Wiem. – Nastia kiwnęła głową. – Poznasz mnie z nią?

– A chciałabyś? – Leonid Pietrowicz zaśmiał się.

- No pewnie!
- Dobrze, jeżeli chcesz, to was ze sobą poznam. Tylko daj słowo, że nie będziesz się martwić.

Nasti udało się usnąć dopiero nad ranem. Ciągle próbowała uporać się z tym, co usłyszała od swego szefa. Milicja skorumpowana przez mafię to nic nowego. Dopóki coś takiego przydarza się innym, w innych placówkach, w innym mieście, można to traktować jak fakt obiektywny, z którym należy się liczyć i który trzeba brać pod uwagę przy analizowaniu informacji i podejmowaniu decyzji. Kiedy jednak dzieje się to tuż obok ciebie, w twoim wydziale, dotyczy twoich przyjaciół, nie jest to już problem czysto analityczny, ale moralno-psychologiczny, niedający się jednoznacznie rozwiązać. Co teraz robić? Jak się zachowywać wobec kolegów? Kogo podejrzewać? Wszystkich? I tych, których nie bardzo lubisz, i tych, których darzysz sympatią, i tych, do których jesteś szczerze przywiązana? I jeżeli zauważysz w zachowaniu któregoś z pracowników wydziału coś podejrzanego, to co masz z tym zrobić? Lecieć do Pączka i donieść? Czy zachować rzecz w tajemnicy, w myślach zaciskając powieki i wmawiając sobie, że nic nie widziałaś? A może odciąć się od tego wszystkiego, powiedzieć sobie, że przyjaciel się nie zdradza, nawet jeśli postępują źle, i niech się z nimi rozprawiają wrogowie? Ale wobec tego kto jest wrogiem? Komisja weryfikacji kadr? Czy jednak ten, kto łamiąc prawo, wysługuje się przestępcami? Boże, ileż pytań! I ani jednej odpowiedzi.

Rozdział 2

W gabinecie śledczego stołecznej prokuratury Konstantina Michajłowicza Olszańskiego Nastia znalazła się po raz pierwszy. Znali się od dawna, ale widywali tylko na Pietrowce, gdzie Olszański bywał częstym gościem. Był mądrym człowiekiem i doświadczonym śledczym, profesjonalnym, rzetelnym i odważnym, jednak Nastia jakoś nie mogła go polubić. Wielokrotnie próbowała przeanalizować swe uczucia, ale nie udało się jej zgłębić przyczyn tej niechęci. Co więcej, wiedziała, że wiele osób odnosi się do niego równie niezyczliwie, chociaż cenią jego profesjonalizm i wysokie kwalifikacje.

Z wyglądu Konstantin Michajłowicz robił wrażenie fajtlapy i nieudacznika: niepewne spojrzenie, wymięta marynarka, na krawacie zawsze jakaś plama niewiadomego pochodzenia, buty przeważnie niewyczyszczone, okulary w koszmarnych, niemodnych oprawkach. Prócz tego Olszański odznaczał się niezwykle żywą mimiką i tym, że nie zawsze kontroluje wyraz twarzy, zwłaszcza kiedy coś pisał. Postronny obserwator z trudem powstrzymywał się od śmiechu, widząc te nieprawdopodobne grymasy i wysunięty koniuszek języka. Na domiar wszystkiego śledczy potrafił być ostry i nieuprzejmy, co prawda, niezbyt często i co dziwne, na ogół w rozmowach z technikami. Miał bzika na punkcie kryminalistyki, czytał wszystkie nowości z tej dziedziny, nawet rozprawy naukowe i materiały z różnych specjalistycznych konferencji, a w czasie oględzin miejsca przestępstwa stał nad technikami jak kat nad dobrą duszą, stawiając im jakieś niewyobrażalne wymagania i zadając zupełnie nieoczekiwane pytania.

Gabinet Olszańskiego stanowił wierne odbicie właściciela: na polerowanym blacie stolika krążki po gorących szklankach, na biurku okropny bałagan, plastikowy abażur stojącej lampy pod wiekową warstwą kurzu z zielonego stał się mętnie szary. Jednym słowem, gabinet nie przypadł Nasti do gustu.

Śledczy przywitał ją życzliwie, ale natychmiast zapytał o Łarcewa. Władimir Łarcew i Michaił Docenko przez pierwsze dziewięć dni, od 3 do 11 listopada, wykonywali jego polecenia w sprawie zabójstwa Wiktorii Jeriominej i Konstantin Michajłowicz spodziewał się zobaczyć któregoś z nich. W wydziale Gordiejewa wiedziano, że Olszański szczególnie ceni Łarcewa za umiejętność prowadzenia przesłuchań, że często powierza mu przesłuchania świadków i podejrzanych i zawsze podkreśla, że Wołodia osiąga w tej pracy lepsze wyniki niż on sam.

– Łarcew jest na razie zajęty – wymijająco odparła Nastia. – Dostał inne zadanie. Sprawę Jeriominej przejął ja.

Trzeba oddać Olszańskiemu sprawiedliwość, że jeśli nawet był rozczarowany, nie okazał tego. Wyjął z sejfu akta i posadził Nastię przy stoliku.

– Czytaj sobie cichutko. Muszę dokończyć akt oskarżenia. Za czterdzieści minut mam tu konfrontację, więc będę musiał cię wyprosić. Postaraj się zdążyć.

Okazało się, że dokumentów nie jest zbyt wiele. Wnioski biegłego patologa: przyczyna śmierci – uduszenie w wyniku zadzierzgnięcia, najprawdopodobniej ręcznikiem (włókienka tkaniny znaleziono na ostrych krawędziach kolczyka w kształcie kwiatka o pięciu płatkach). Na ciele denatki stwierdzono liczne podbiegnięcia krwawe w okolicach pleców i klatki piersiowej, powstałe od uderzeń grubym sznurem albo rzemieniem. Czas powstania sińców – od dwóch dni (najwcześniej) do dwóch godzin (najpóźniej) przed śmiercią.

Z protokołu przesłuchania szefa Jeriominej, generalnego dyrektora firmy, wynikało, że Wika sporo piła, ale do pracy przychodziła regularnie. Oczywiście, czasem zachowywała się dziwnie, jak każda pijąca kobieta. Potrafiła na przykład wyjechać na kilka dni ze świeżo poznanym mężczyzną. Ale Jeriomina w takich wypadkach nigdy nie zapominała zwolnić się u szefa, przy czym bez żenady, otwarcie mówiła, po co jej tych parę wolnych dni. W ostatnich czasach bardzo się zmieniła, stała się skryta, nieprzewidywalna, często odpowiadała bez sensu, długo siedziała zapatrzona w jeden punkt, niekiedy nawet nie słysząc, że się do niej mówi. Wyglądała na poważnie chorą.

Protokół przesłuchania Borysa Kartaszowa, kochanka Jeriominej: „Jestem całkowicie przekonany, że Wiktorija była chora. Jakiś miesiąc temu dostała obsesji, że ktoś oddziałuje na nią przez radio i kradnie jej sny. Namawiałem ją, żeby poszła do psychiatry, ale kategorycznie odmówiła. Wówczas sam się zwróciłem do znajomego lekarza i ten wyraził przekonanie, że Wika ma ostrą psychozę i że należy ją niezwłocznie hospitalizować. Ale Wika mnie nie posłuchała. Czasami zachowywała się okropnie lekkomyślnie, nawiązywała jakieś przypadkowe znajomości, zadawała się z podejrzanymi typami, zwłaszcza w okresach pijackich ciągów. Zdarzało się nawet, że znikwała na kilka dni z kolejnym kochankiem. Wyjechałem z Moskwy w delegację 18 października, wróciłem 26 i zacząłem szukać Wiki, bojąc się, że w tym chorobliwym stanie mogło się jej przydarzyć nieszczęście. Nic mi nie wiadomo o tym, że zamierzała dokądś wyjechać. Żadnych wiadomości od niej nie otrzymałem”.

Protokół przesłuchania Olgi Kołobowej, przyjaciółki Jeriominej: „Znam Wikę całe życie, wychowywałyśmy się razem w domu dziecka. Naturalnie, Borysa Kartaszowa też znam. Jakiś miesiąc temu Borys powiedział mi, że Wika jest chora, że ma obsesję, że ktoś za pomocą radia kradnie jej sny. Borys prosił, żebym porozmawiała z Wiką i namówiła ją na pójście do lekarza. Wika kategorycznie odmówiła, powiedziała, że czuje się całkowicie zdrowa. Kiedy ją spytałam, czy to prawda, co mówiła Borysowi, że ktoś kradnie jej sny, potwierdziła, że to prawda. Ostatni raz rozmawiałam z Wiką wieczorem 22 października, koło jedenastej, dzwoniłam do niej do domu. Umówiłyśmy się na niedzielę. Więcej Jeriominej nie widziałam i nie rozmawiałam z nią”.

Protokół z przesłuchania doktora nauk medycznych Maslennikowa, psychiatry, z którym konsultował się Kartaszow: „Jakieś dwa, trzy tygodnie temu, w połowie października, zwrócił się do mnie Borys Kartaszow w sprawie swojej znajomej, u której zaobserwował pewną obsesję. Na podstawie podanych objawów stwierdziłem, że młoda kobieta znajduje się o włos od poważnej choroby i że konieczna jest natychmiastowa hospitalizacja. Opisana jednostka chorobowa nosi nazwę zespołu Kandinskiego-Clerambaulta. Chorzy w stanie ostrej psychozy mogą być bardzo

niebezpieczni, ponieważ słyszą «głosy» i te «głosy» mogą im kazać zrobić wszystko, z zabiciem przypadkowego przechodnia włącznie. Równie dobrze tacy chorzy łatwo mogą paść ofiarą przestępstwa, ponieważ nie potrafią ocenić sytuacji, zwłaszcza jeżeli w takiej chwili «głos» im coś «doradzi». Poinformowałem Kartaszowa, że jego znajomej nie można umieścić w szpitalu bez jej zgody dopóty, dopóki zaburzenia psychiki nie doprowadzą do wyraźnych zaburzeń zachowania i dziewczyna nie trafi na milicję. Kartaszow powiedział mi, że ona nie zgadza się nawet na zwykłą wizytę u specjalisty i uważa się za zupełnie zdrową. Niestety, w takich wypadkach nic się nie da zrobić, przymusowa hospitalizacja możliwa jest, jak już mówiłem, tylko wtedy, gdy chory swoim zachowaniem zwróci na siebie uwagę milicji”.

Jeszcze kilka protokołów z zeznaniami pracowników firmy, zatrudniającej Jeriominą, oraz znajomych zamordowanej i jej przyjaciela Kartaszowa. Nic nowego w tych protokołach Nastia nie zauważyła. Znalazła natomiast kartkę ze spisem miejsc i adresów, gdzie Wiktoria miała zwyczaj popijać. Do kartki podpięto sześć notatek stwierdzających, że w wymienionych miejscach w okresie od 23 października do 1 listopada nikt Jeriominej nie widział. Dwa adresy pozostały niesprawdzone.

Nastia zamknęła teczkę i popatrzyła na Olszańskiego. Śledczy szybko pisał coś na maszynie, odwrócony do Nasti plecami i zgarbiony na niewygodnym krześle.

– Konstantynie Michajłowiczu! – odezwała się.

Odwrócił się gwałtownie, zawadzając łokciem o wysoką stertę papierów na biurku. Dokumenty rozleciały się na wszystkie strony, niektóre spadły na podłogę. Olszański jednak zupełnie się tym nie przejął.

– Tak? – powiedział spokojnie, jakby się nic nie stało, zdjął okulary i zaczął z całej siły trzeć palcami powieki.

– Mam trzy pytania. Jedno dotyczące sprawy i dwa prywatne.

– Zacznij od prywatnych – dobrodusznie zaproponował śledczy, po ptasiemu przechylając głowę na bok i ściskając palcami nasadę nosa. Jak wszyscy krótkowidze, bez okularów wyglądał na zagubionego i bezradnego. Coś się nieuchwytnie zmieniło i Nastia nagle spostrzegła, że Olszański ma niezwykle piękną twarz

i ogromne oczy o długich, dziewczęcych rzęsach. Grube szkła okularów sprawiały, że oczy wydawały się malutkie, a wielokrotnie reperowane oprawki ze śladami sklejanego szpecyły śledczego, zmieniając go nie do poznania.

– Wystarcza panu pańska pensja?

– Zależy na co. – Olszański wzruszył ramionami. – Na to, żeby nie zdechnąć pod płotem, całkowicie, nawet z nadatkiem. Ale na to, żeby się dobrze czuć, nie wystarcza.

– Co dla pana znaczy „dobrze się czuć”? – drążyła Nastia.

– Dla mnie osobiście? Wiesz co, Kamieńska, nie bądź bezczelna! Ja ci zacznę odpowiadać, a ty mi wleziesz z kaloszami w duszę. Będę musiał gadać o swoich gustach, zamiłowaniach, hobby, o kłopotach rodzinnych i jeszcze Bóg wie o czym. Z jakiej racji? Myślisz, że kto ty dla mnie jesteś – brat, swat, najlepszy przyjaciel? Dawaj drugie pytanie.

Śledczy zachowywał się zdecydowanie po chamsku, ale przy tym uśmiechał się wesoło, błyskając oślepiającymi zębami, i zupełnie nie było wiadomo, czy jest zły, czy żartuje.

– Jest pan niezadowolony, że zamiast Łarcewa sprawę Jeriominej prowadzę ja?

Uśmiech Olszańskiego stał się jeszcze szerszy, ale odpowiedź padła po dłuższej chwili.

– Lubię pracować z Wołodią, jest świetnym specjalistą, mistrzem w swoim fachu. I w ogóle mam dla niego mnóstwo sympatii. Zawsze się cieszę, i jako śledczy, i jako człowiek, kiedy mam okazję z nim obcować. A co się tyczy ciebie, Anastazjo, to nigdy dotąd z tobą nie współpracowałem i prawie cię nie znam. Gordiejew bardzo cię chwali, ale dla mnie to są puste słowa. Zwykłem sam wyrabiać sobie zdanie o człowieku. Jesteś zadowolona z mojej odpowiedzi?

– Szczerze mówiąc, nie. Ale tak czy owak innej odpowiedzi nie otrzymam, prawda?

– Prawda.

– No to teraz trzecie pytanie: gdzie jest biznesmen, który odwiózł Jeriominą z bankietu do domu w piątek 22 października?

– Niestety, pojechał do siebie, do Holandii. Ale w mieszkaniu Jeriominej chyba nie był. Przeczytałaś protokół oględzin mieszkania?

– Nie zdążyłam. Czytałam tylko zeznania świadków. A protokołu przesłuchania tego biznesmena tam nie ma. Co, nie przesłuchiowano go?

– Nie. Wyleciał, zanim znaleziono zwłoki i wdrożono śledztwo. Ale kiedy zaczęto szukać Jeriominej, był jeszcze w Moskwie i dyrektor generalny firmy dzwonił do niego i pytał o dziewczynę. Tak że wydarzenia 22 października znamy tylko z relacji szefa Jeriominej. No i w mieszkaniu odcisków palców tego biznesmena nie znaleziono.

– Jak to stwierdzono? Z czym porównano? – Nastia zdziwiła się.

– Z odciskami na dokumentach, które ten bogaty dżentelmen podpisywał.

– Dokumenty udostępnił ten sam dyrektor generalny?

– Tak jest.

– Mało przekonujące – z powątpiewaniem powiedziała Nastia.

– Mało – skwapliwie przytaknął Olszański. – Ale może pocieszy cię okoliczność, że ów pan o 22.30 tego wieczoru dzwonił z hotelu „Bałzug” do Paryża, o czym świadczy odpowiedni zapis u telefonistek. A Jeriomina, jeżeli pamiętasz, około jedenastej wieczorem była cała i zdrowa i gawędziła przez telefon z przyjaciółką. I w ogóle mało prawdopodobne, żeby ten Holender był zamieszany w zabójstwo, bo dziewczyna zginęła na pewno nie wcześniej niż 30 października. Oczywiście, trzeba by go przesłuchać, ale, jak sama rozumiesz, wymaga to sporo zachodu – trzeba działać przez MSZ, ambasadę i tak dalej, a przecież facet spokojnie może dokądś wyjechać w interesach. No cóż, nie będziemy się za nim uganiać po całym świecie.

– Konstantynie Michajłowiczu, mam weryfikować pańskie hipotezy robocze czy wymyślić coś sama?

– Mam na razie tylko dwie hipotezy. Pierwsza: to, że zabójstwo Jeriominej wiąże się z ciemnymi sprawkami w firmie. Druga: że dziewczyna rzeczywiście była chora psychicznie i padła ofiarą jakiegoś męta, na którego się przypadkowo nadziała. Pierwszej hipotezy jeszcze nie zaczęliśmy sprawdzać, co do drugiej zrobiono dość dużo, ale niestety bez żadnych rezultatów. Nie udało się ustalić, co się działo z denatką w ciągu tych kilku dni pomiędzy jej zniknięciem a znalezieniem ciała.

– Więc jak pan widzi moje zadanie? – spytała Nastia.

– Chcę, żebyś się zastanowiła, co jeszcze można zrobić w kwestii drugiej hipotezy. Chcę, żebyś pomyślała, gdzie i jak znaleźć ślad Jeriominej przy założeniu, że istotnie była w stanie ostrej psychozy. Pogadaj ze specjalistami, poradź się psychiatrów, dowiedz się, jak się zachowuje chory w takim stanie, zastanów się, dokąd i po co dziewczyna mogła się udać.

– A co z pierwszą hipotezą? Z machinacjami w firmie? Nie będziemy tego sprawdzać?

– Anastazjo, jesteś doprawdy rozbijająca! – Olszański zamachał rękami. – Naprawdę potrafisz robić dwie rzeczy naraz? Chcę, żebyś się zajęła hipotezą, która sądząc z materiałów sprawy, wydaje się bardziej prawdopodobna. Jeżeli możesz przy tym pracować także nad drugą hipotezą, będę tylko zadowolony. Ale szczerze mówiąc, nie bardzo to sobie wyobrażam, dopóki jesteś sama. Czy Gordiejew zamierza przydzielić kogoś do tej sprawy, czy nie? Kto to widział, żeby zabójstwem zajmowała się jedna osoba?!

Nastia zastanawiała się, co odpowiedzieć śledczemu, żeby nie zawieść swego szefa Pączka. Nie może przecież poinformować Olszańskiego, że Gordiejew podejrzewa kogoś z wywiadowców o nieczystą grę, nie chce więc powierzyć sprawy nikomu oprócz niej, Nasti, ponieważ mogą tu wchodzić w grę interesy mafii. Ale Konstantin Michajłowicz na szczęście nie próbował zgłębiać zamiarów szefa wydziału do walki z ciężkimi przestępstwami. Wyraził tylko niezadowolenie i uznał temat za wyczerpany. Tym bardziej że zbliżała się godzina, na którą miał wyznaczoną konfrontację.

Uważnie patrząc pod nogi, żeby nie wpaść po kostki w kałużę, Nastia Kamińska wlokła się wolno od przystanku autobusowego do swego domu. Ostatnio była strasznie zmęczona; przyzwyczajona do siedzenia za biurkiem, z trudem przestawiała się na normalną pracę wywiadowcy wydziału kryminalnego: musiała jeździć po całej Moskwie, wyszukiwać potrzebne adresy i ludzi, rozmawiać z nimi, i nie tylko rozmawiać, ale często namawiać, nie tylko prosić, ale wręcz błagać, żeby odpowiedzieli na pytania. Cóż, mało kto lubi gadać z milicją.

A rezultaty jej wysiłków były żałosne: Jeriomina po 22 października jakby się zapadła pod ziemię. Nie widział jej nikt ze znajomych czy kompanów od kieliszka. Krąg tych osób był niewielki, ale oprócz stałej grupy bliskich znajomych było też sporo takich, którzy uczestniczyli w alkoholowych imprezach nieregularnie, od przypadku do przypadku. Wszystkich ich odszukano i przesłuchano, wszyscy jak jeden mąż stanowczo utrzymywali, że po 22 października Wiki Jeriominej nie widzieli i nie rozmawiali z nią telefonicznie. Z wieloma bardzo trudno się było porozumieć: zamiast opowiadać o swej tragicznie zmarłej znajomej, usiłowali przekonać Nastię, że nadużywanie alkoholu to ich prywatna sprawa i milicja nie powinna w to ingerować.

Ze wszystkich tych rozmów jednak Nastia wyłowiła jedną ważną informację: im bardziej Wika była pijana, tym silniejszą miała potrzebę dzwonienia do ludzi. W czasie pijackich balang, trwających niekiedy po dwa, trzy dni, niemal co dwie godziny telefonowała do Borysa Kartaszowa, żeby zawiadomić go płaczącym się językiem, że z nią wszystko w porządku, że faceci to głupki i dranie, i nie mają prawa jej pouczać, jak ma żyć oraz ile i z kim pić. Oprócz Borysa dzwoniła do swojej przyjaciółki Loli, tej, z którą wychowywała się w domu sierot. Co więcej, udawało się jej kilka razy zadzwonić do pracy, żeby zapewnić, że jutro na pewno przyjdzie. Ponieważ i szef Jeriominej, i przyjaciółka Lola, i Borys Kartaszow zapewniali, że w czasie swego zaginięcia Wika do nich nie telefonowała, można wnosić, że była wtedy trzeźwa. Z jednym zastrzeżeniem: jeżeli wszyscy mówią prawdę. Jeżeli zaś wszyscy ci ludzie, tak różni, mieszkający w różnych miejscach i mający ze sobą niewiele wspólnego, solidarnie kłamią, to muszą mieć jakiś ważny powód. I Nastia zastanawiała się, co zrobić najpierw: szukać tego tajemniczego powodu, oczywiście jeśli takowy istnieje, czy mimo wszystko spróbować odnaleźć ślady Jeriominej.

Razem z Nastią nad sprawą Jeriominej pracował Andriej Czernyszew z obwodowego wydziału spraw wewnętrznych. Był to sympatyczny facet, niegłupi i obrotny, a co najważniejsze, miał własny samochód, dzięki czemu robił w ciągu dnia dwa razy więcej niż Nastia. Uwielbiał psy, a ze swoim owczarkiem nosił się nie tyle jak kura z jajkiem, ile jak z cudownym dzieckiem,

zamartwiając się wiecznie, że niewłaściwe żywienie i pielęgnacja mogą się odbić na jego zdolnościach umysłowych. Trzeba mu było jednak oddać sprawiedliwość: owczarek o rzadkim imieniu Kirył był idealnie wytresowany, bez szemrania wykonywał wszystkie polecenia i rozumiał swego pana nie tylko w pół słowa, ale w pół spojrzenia i w pół westchnienia, z czego Andriej był niesłychanie dumny. Nastia dobrze wiedziała, że zalety Kiryła wcale nie są przesadzone. Półtora roku temu, podczas zatrzymania najemnego zabójcy Galla, właśnie ten pies, na dyskretny znak swego pana, umożliwił Nasti usunięcie się z niebezpiecznej strefy bez obudzenia podejrzeń bandyty. Kirył udawał, że chce się jej rzucić do gardła, Nastia, ze swej strony, udawała, że bardzo się tego boi, ale w rezultacie, z guzem na głowie, stłuczonym kolanem i złamanym obcasem, udało się jej szczęśliwie wycofać z linii ognia.

Zewnętrznie Nastia i Andriej Czernyszew byli do siebie podobni jak rodzeństwo: oboje wysocy, szczupli, jasnowłosi, o delikatnych rysach twarzy i szarych oczach. Ale podczas gdy Andriej był bardzo przystojny, o Nasti raczej nie dało się tego powiedzieć. Nie była ani piękna, ani brzydka, po prostu nijaka, niepozorna, nieefektowna, z trudną do zapamiętania twarzą i bladymi oczyma. Nie cierpiała nad tym, wiedząc, że w dobrze zrobionym makijażu i eleganckich ciuchach może się stać zniewalająco piękna, i czasem z tego korzystała. Na ogół jednak była nieciekawą szarą myszką i nie czuła żadnej potrzeby podobania się i budzenia zachwytu. Nie zależało jej na tym.

Oczywiście, w parze z Czernyszewem udawało im się robić dużo, ale pożytku z tego było, szczerze mówiąc... Sprawa utknęła w martwym punkcie. W wydziale do walki z przestępstwami gospodarczymi nie było żadnych danych o przekrętach w firmie, w której pracowała zamordowana, a kiedy Nastia wyraziła zdziwienie, że istnieją w dzisiejszych czasach firmy działające absolutnie uczciwie, usłyszała:

– Brudów wszędzie jest pełno, u nich z pewnością też. Ale nie w związku z forszą, sprawdziliśmy.

Okazało się, że Gordiejew już się do nich w tej sprawie zwracał. Mimo to jednak Nastia postanowiła osobiście odwiedzić firmę.

Wbrew jej oczekiwaniom dyrektor generalny nie wykręcał się od rozmowy, przyjął Nastię natychmiast i wyraził gotowość odpowiedzenia raz jeszcze na wszystkie pytania.

– Dlaczego był pan tak wyrozumiały dla pijącej i niezdyscyplinowanej sekretarki? – spytała Nastia.

– Mówiłem to już pani koledze. – Dyrektor wzruszył ramionami. – Oczywiście, nie świadczy to o nas dobrze, ale nie zamierzam niczego zatajać, tym bardziej że Wice nic już nie może zaszkodzić. Obowiązki Wiki polegały na siedzeniu w sekretariacie, odbieraniu telefonów oraz na podawaniu kawy, herbaty i drinków, zwłaszcza kiedy odwiedzali mnie zagraniczni kontrahenci. Zrozumiała mnie pani?

– Nie – sucho odparła Nastia.

– Dziwne. No dobrze, powiem otwarcie: czasem, żeby skaptować kontrahenta, trzeba go podpoić i podsunąć mu ładną dziewczynę, żeby zmiękł. Cóż pani tak na mnie patrzy? Nigdy pani o tym nie słyszała? Proszę nie udawać, Anastazjo Pawłowno, nie urodziła się pani wczoraj. Wszyscy tak robią. I ja trzymałem tu Wikę właśnie po to. Była niesamowicie ładna, żaden mężczyzna się jej nie oparł, bez względu na to, jakie miał gusta. W razie potrzeby wysyłałem ją z takim człowiekiem na parę dni, Wika towarzyszyła zagranicznym gościom, jeśli chcieli pojechać do Pitera albo szlakiem Złotego Pierścienia², albo jeszcze dokądś. Wika nigdy nie grymasiła, zawsze spełniała moje prośby, bez względu na to, jakiego mężczyzny dotyczyły. Ja w rewanżu wybaczałem jej pijaństwo i nieobecności w pracy. Zresztą mimo skłonności do alkoholu była bardzo obowiązkowa. Nie uwierzy pani, ale jeśli ją uprzedzałem, że na przykład w środę mam ważne negocjacje i ona będzie mi potrzebna, to bez względu na to, w jak głębokim była ciągu, bez względu na to, ile by wypila, w środę stawiała się do pracy w pełnym rynsztunku. Ani razu, zapewniam panią, ani razu mnie nie zawiodła. Zupełnie naturalne więc, że wiele jej wybaczałem.

– Innymi słowy, zatrudniał pan Jeriominą jako etatową prostytutkę – cicho podsumowała Nastia.

– Tak! – wybuchnął dyrektor. – Jeśli w ten sposób to pani ujmuje, to tak! Co w tym naganego? Pracowała jako sekretarka, otrzymywała za to pensję, a spać z klientami lubiła, robiła to

dobrowolnie i co chciałbym podkreślić, bezpłatnie. Oficjalnie będzie to wyglądało tak, a nie inaczej! A wszystko, co pani powiedziałem, to...

– Czyli odwołuje pan swoje słowa? – uściśliła Nastia.

– Mój Boże, oczywiście, że nie. Powiedziałem pani prawdę, ale tylko po to, by pomóc w znalezieniu zabójcy Wiki, a nie po to, żeby prawiła mi pani morały. I jeżeli zamierza pani grozić mi palcem i wyrzucać nieetyczne postępowanie, to wszystko odwołam, zwłaszcza że, jak widzę, niczego pani nie protokołuje. Dość długo już żyję na świecie, droga pani, i nie potrzebuję od nikogo nauk moralnych. Ale morderstwo to poważna sprawa i uważam, że nie wolno mi niczego ukrywać. Miałem nadzieję, że zostanę właściwie zrozumiany, ale widzę, że się pomyliłem. Wielka szkoda, Anastazjo Pawłowno.

– Nie, nie pomylił się pan. – Nastia usiłowała się zyczliwie uśmiechnąć, ale niezbyt jej się to udało, uśmiech był niepewny, zawstydzony i pełen poczucia winy. – Jestem panu wdzięczna za szczerść. I jeszcze jedno: czy któryś z tych... klientów mógł w październiku przyjechać do Moskwy i próbować się spotkać z Jeriominą bez pańskiej wiedzy?

– Oczywiście. Ale natychmiast bym się o tym dowiedział. Wika pracuje... pracowała u mnie ponad dwa lata. W tym czasie korzystałem z jej usług wiele razy, ale partnerzy wcale nie zawsze byli nowi. Niektórym tak się podobała, że chcieli się z nią spotykać za każdą wizytą w Moskwie. Ten i ów rzeczywiście robił to za moimi plecami. Ale Wika nigdy takich rzeczy przede mną nie ukrywała, przecież była to jej praca, a nie życie osobiste. Doskonale zdawała sobie sprawę, że jeśli zagraniczny kontrahent był w Moskwie i nie zadzwonił do mnie choćby po to, by po przyjacielsku pogawędzić, to świadczy to o jego stosunku i do mnie osobiście, i do firmy, i do naszych wspólnych interesów. Była świadoma, że o takich faktach powinienem wiedzieć, zresztą sam ją o tym niejednokrotnie uprzedzałem. Nie, nie sądzę, żeby nagle postanowiła coś przede mną zataić.

– Czyli że w październiku nic takiego się nie zdarzyło?

– Nie. Nawiasem mówiąc, ten holenderski biznesmen, który 22 października odwoził Wikę do domu, sypiał z nią już od dwóch

lat, za każdym swoim przyjazdem.

– Potrzebna mi będzie lista wszystkich klientów Jeriominej – oznajmiła Nastia.

Listę ową, dość długą, natychmiast jej dostarczono i teraz Nastia czekała, aż w wydziale paszportowym i meldunkowym sprawdzą, czy któraś z wymienionych osób przebywała w Moskwie w okresie, gdy Jeriomina zaginęła. Nastia pokładała spore nadzieje w tej hipotezie, ale wiedziała, że trzeba się będzie uzbroić w cierpliwość.

Dotarwszy do domu, bezsilnie padła na kanapę i przeciągnęła się z ulgą. Była głodna, ale nie chciało jej się wstać i iść do kuchni. Mawiała często, że lenistwo przyszło na świat chyba razem z nią.

Leżała na kanapie do późnego wieczora, wreszcie jednak przemogła się i powłokła do kuchni. Zawartość lodówki nie pozostawiała wielkiego wyboru: jajko na miękko i sajra z puszki. Zatopiona w myślach Nastia nie czuła smaku jedzenia. Miała wielką ochotę na kawę, ale mężnie ją zwalczyła, wiedząc, że i tak trudno jej będzie zasnąć.

Dręczyła ją świadomość, że to, co robi, nie ma sensu, że śledztwo nie posuwa się naprzód. Miała uczucie, że wszystko robi źle, i bała się, że Pączek będzie rozczarowany. Po raz pierwszy Nastia pracuje samodzielnie, zamiast analizować informacje zdobyte przez kolegów i udzielać im dobrych rad. Teraz sama zdobywa te informacje i nikt jej nie doradza.

Poza tym myślała ze współczuciem o szefie, Wiktorze Aleksiejewiczu Gordiejewie, który skądś się dowiedział, że wśród jego podwładnych jest wtyczka, może nawet niejedna, i teraz nikomu nie ufa, i musi udawać, że nic się nie stało, że wszystkich po dawnemu szanuje i lubi. Zupełnie jak w teatrze, pomyślała Nastia, przypominając sobie próbę u Griniewicza. Z tą tylko różnicą, że całe życie Pączka od teraz aż do wyjaśnienia sytuacji zamieniło się w spektakl, że przez cały dzień Gordiejew musi być aktorem na scenie. A prawdziwe życie to tylko to, co dzieje się wewnątrz, w jego duszy. I podczas gdy aktor po spektaklu może się rozcharakteryzować, iść do domu i żyć prawdziwym życiem, Pączek takiej możliwości nie ma, ponieważ nawet w domu stale pamięta o tym, że ktoś, kogo lubi i komu ufa, oszukuje go. Jak można żyć z takim brzemieniem?

Nasti jakoś nie przyszło do głowy, że z takim samym ciężarem na sercu będzie teraz żyć także ona...

Pułkownik Gordiejew zmienił się nie do poznania. Zawsze energiczny, ruchliwy, w chwilach intensywnych rozmyślań lubiący szybko spacerować po gabinecie, teraz jakby skamieniał: nieruchomo tkwił za biurkiem, obejmując głowę rękami. Zdawało się, że kipią w nim emocje i pułkownik obawia się, że wystarczy jeden nieostrożny ruch i wszystko to wyleje się na zewnątrz. Po raz pierwszy w czasie pracy na Pietrowce Nastia poczuła się w obecności szefa nieswojo.

– Co się dzieje w sprawie Jeriominej? – spytał Wiktor Aleksiejewicz. Głos miał równy, beznamiętny, bez śladu zainteresowania.

– Marnie, pułkowniku – uczciwie odparła Nastia. – Nic mi się nie udaje. Ślepa uliczka.

– No tak, no tak – zamruczał Pączek, patrząc gdzieś ponad głowę Kamieńskiej.

Nastia miała wrażenie, że szef jej nie słucha, że myśli o czymś innym.

– Potrzebujesz pomocy? – zapytał nagle. – Czy na razie radzicie sobie we dwójkę?

– Pomoc będzie mi potrzebna, jeśli wymyślę nowe hipotezy. Do dziś sprawdzono...

– Daj spokój – wciąż tak samo obojętnie przerwał jej Gordiejew. – Wiem, że pracujesz uczciwie. Jak ci się układa z Olszańskim?

– Nie kłóćmy się – krótko i sucho odrzekła Nastia, czując, jak narasta w niej poczucie krzywdy i niedowierzanie.

– No tak, no tak – znowu przytaknął pułkownik i Nastia wydało się, że zadaje jej pytania tylko po to, żeby stworzyć pozory kierowania śledztwem. Jej odpowiedzi go nie interesują, myśli o swoich sprawach. – Pamiętasz, że pierwszego grudnia ma do nas przyjść stażysta z Moskiewskiej Szkoły Milicji?

– Pamiętam.

– Jakoś na to nie wygląda. Zostało dziesięć dni, a ty jeszcze tam nie pojechałaś. Skąd taka zwłoka?

– Jeszcze dzisiaj zadzwonię i się umówię. Niech się pan nie niepokoi, Wiktorze Aleksiejewiczu.

Nastia starała się mówić równym głosem, chociaż w tej chwili najbardziej na świecie pragnęła uciec na łeb, na szyję z gabinetu Gordiejewa, zamknąć się w swoim pokoju i wybuchnąć płaczem. Dlaczego on z nią rozmawia w taki sposób? W czym zawiniła? Przez wszystkie lata pracy nigdy nikt jej nie zarzucił, że czegoś zapomniała zrobić. Zgoda, wielu rzeczy nie umiała, nie potrafiła się obchodzić z bronią palną, nie znała chwytów walki wręcz, nie umiała wypatrzeć śledzącego ją „ogona” i zgubić mu się, słabo biegła, ale pamięć miała fenomenalną. Anastazja Kamińska nigdy niczego nie zapominała.

– Nie odkładaj tego – ciągnął tymczasem Gordiejew. – Wybierz stażystę dla siebie, a nie dla kogoś z kolegów. Wprowadzisz go w sprawę Jeriominej. Wygląda na to, że w ciągu dziesięciu dni tak czy owak nie wykryjemy zabójcy. Więc będziesz pracować ze stażystą, a przy okazji go uczyć. Jeżeli dobrze wybierzesz – weźmiemy go na etat, brakuje nam ludzi. Teraz druga sprawa. Wiosną była u nas delegacja funkcjonariuszy włoskiej policji. Na grudzień zapowiedziana jest rewizyta. Ty też jedziesz.

– Dlaczego? – stropiła się Nastia. – Po co?

– Nieważne. Jedziesz – i już. Pomyśl sobie, że to rekompensata za zmarnowany urlop. To ja cię namawiałem na wyjazd do sanatorium, to ja osobiście załatwiłem ci skierowanie i czuję się po części odpowiedzialny za to, że wcale tam nie wypoczęłaś. Pojedziesz do Rzymu.

– A co z Jeriominą? – bezdźwięcznie spytała Nastia.

– Z Jeriominą? A co ma być z Jeriominą? Jeżeli nic nie wykryłaś, idąc gorącym tropem, to teraz tych pięć, sześć dni nie ma większego znaczenia. Do Rzymu lecisz dwunastego grudnia. Jeśli do tego czasu nie znajdziesz mordercy Jeriominej, to nie znajdziesz go nigdy. To oczywiste. A poza tym, pod twoją nieobecność życie nie stanie w miejscu. Gdyby trzeba było coś zrobić – robi to Czernyszew. No i będzie jeszcze stażysta...

Dobór kadr Wiktor Aleksiejewicz traktował bardzo poważnie, nie lekceważąc nawet absolwentów wyższych uczelni MSW. Co roku przed rozpoczęciem okresu stażów zgodnie z nieoficjalną umową

z szefem biura do spraw studentów Moskiewskiej Wyższej Szkoły Milicji posyłał tam Kamińską, aby wybrała studenta, który zostanie skierowany do nich na praktykę. Wykorzystywano przy tym wygodny pretekst, jakim był zwyczaj zapraszania pracowników milicji na pojedyncze seminaria, zwłaszcza z dziedziny kryminalistyki, spraw karnych oraz działań operacyjnych i śledczych. Nastia prowadziła seminaria lub zajęcia praktyczne w kilku grupach ze starszych lat, po czym Gordiejew dzwonił na uczelnię i podawał nazwisko słuchacza, którego chciał widzieć na stażu w swoim wydziale. Oczywiście, było to wbrew wszelkim zasadom, ale Pączkowi rzadko czegoś odmawiano. Był znaną postacią i miał sporo znajomości. Właśnie w taki sposób trafił do wydziału kryminalnego najmłodszy wywiadowca Misza Docenko, którego Nastia „wydłubała” aż z Omska, będąc tam w delegacji. Sam Gordiejew przed około dziesięciu laty wypatrzył na moskiewskiej uczelni, sprawdził w czasie stażu i zatrudnił w wydziale Igora Lesnikowa, który teraz był jednym z najlepszych oficerów operacyjnych podległych Pączkowi.

Nastia zadzwoniła do dziekanatu uczelni, gdzie zaproponowano jej kilka tematów, przewidzianych na najbliższe seminaria i ćwiczenia. Poprosiła, by przydzielono jej zajęcia na temat aspektów psychologicznych w zeznaniach naocznych świadków.

– Wspaniale – z zadowoleniem odpowiedziano w dziekanacie. – Wykładowca, który miał przeprowadzić te zajęcia, akurat jest chory, więc nie będzie z tym żadnych problemów, i nam to bardzo na rękę: nie musimy szukać zastępstwa.

Nastia wiedziała dokładnie, według jakich kryteriów wybierze stażystę. Postanowiła wykorzystać popularny test graficzny Ravina. Test składał się z sześćdziesięciu zadań, z których pięćdziesiąt dziewięć oparto na jednej i tej samej zasadzie i które różniły się tylko stopniem trudności: pierwszych sześć było dziecinnie prostych, ale poczynając od pięćdziesiątego czwartego znalezienie właściwej odpowiedzi wymagało sporego napięcia uwagi: trzeba było uwzględnić i obserwować kilka wskaźników jednocześnie. Tak więc pięćdziesiąt dziewięć zadań stanowiło sprawdzian, czy badany w ograniczonym czasie jest w stanie skoncentrować uwagę i szybko podjąć decyzję. Poza wszystkim innym test wykazywał, czy badany

w tak zwanym niedoczasie potrafi się skupić i nie wpadać w panikę. Natomiast ostatnie zadanie, sześćdziesiąte, było bardzo podchwytliwe: na pozór zdumiewająco łatwe, opierało się na zupełnie innych zasadach. Jeżeli badanemu udawało się rozwiązać ostatnie zadanie, oznaczało to, że potrafi spojrzeć na nie z dystansem, nie daje się zasugerować i umie poszukać nowych rozwiązań, a nie podąża we wskazanym kierunku, tępo próbując otworzyć zamek tym samym kluczem co przedtem tylko dlatego, że otwierał on z łatwością poprzednie zamki. Oczywiście, z punktu widzenia fizyka, mówiła sobie Nastia, pięćdziesiąt dziewięć eksperymentów to liczba wystarczająca, by przewidzieć wynik sześćdziesiątego. Za to z punktu widzenia matematyka wcale nie. Szukała więc wśród studentów człowieka o matematycznym sposobie myślenia.

Przewertowała stare notatki, zadzwoniła do dwóch znajomych z drogówki i wreszcie ułożyła zadanie do przedstawienia studentom na ćwiczeniach.

Jak leci? – z uśmiechem zagadnął Olszański wchodzącą do gabinetu Nastię.

– Marnie, Konstantinie Michajłowiczu. Trzeba zacząć wszystko od początku.

Usiadła przy stole i nastawiła się na długą rozmowę. Śledczy jednak najwyraźniej nie podzielał jej zamiarów. Zerknął na zegarek i westchnął.

– Dlaczego trzeba zaczynać od początku? Czemu nie można iść dalej?

Nastia nie odpowiedziała na to pytanie, odpowiedź bowiem była trudna i dla niej samej, i dla Olszańskiego.

– Należy powtórnie przesłuchać Borysa Kartaszowa, przyjaciela Jeriominej.

Śledczy uniósł głowę i utkwiał nieruchomy wzrok w Nastię. Za grubymi szklami jego oczy wydawały się malutkie, co czyniło twarz niesympatyczną, a spojrzenie – świdrującym.

– W jakim celu? Wykryłaś coś, co daje podstawy, by go podejrzewać?

Nastia rzeczywiście coś wykryła, ale po pierwsze, nie dawało to podstaw do podejrzeń wobec Borysa Kartaszowa, po drugie, w ogóle nie była pewna, czy to, co wykryła, ma jakiegokolwiek znaczenie. Tylko powtórne przesłuchanie mogło potwierdzić jej koncepcję.

– Bardzo pana proszę – powtórzyła z uporem. – Niech pan przesłucha Kartaszowa. Tu jest lista pytań, na które koniecznie muszę otrzymać odpowiedzi.

Nastia wyjęła z torebki złożoną kartkę i wyciągnęła ją do Olszańskiego. Ten jednak nie wziął kartki, tylko wygrzebał z szuflady blankiet upoważnienia.

– Okej, przesłuchaj – powiedział cicho, szybko wypełniając rubryki.

– Myślałam, że pan to zrobi osobiście.

– Po co? Przecież to ty masz pytania do Kartaszowa, nie ja. A w każdym razie będziesz je mogła zadawać dopóty, dopóki nie otrzymasz zadowolającej odpowiedzi. Bo a nuż rezultaty mojego przesłuchania też ci się nie spodobają.

– No i czemu pan jest taki, Konstantinie Michajłowiczu? – z wyrzutem spytała Nastia. – Ja przecież nie mówię, że poprzednie przesłuchanie było przeprowadzone źle. Po prostu wyszły na jaw nowe okoliczności...

– Jakie? – Olszański gwałtownie poderwał głowę.

Nastia milczała. Przywykła ufać swym nawet niejasnym wrażeniom, ale nigdy o nich nie mówiła, dopóki nie miała w ręku faktów. Zabójstwo Wiktorii Jeriominej bynajmniej nie było sprawą skomplikowaną, pełną sprzecznych informacji. Wszystko, czego udało się Nasti dowiedzieć, układało się w logiczny ciąg, ale nie rzucało żadnego światła na kwestię dotyczącą tego, gdzie była denatka od 22 października do 1 listopada, kiedy to najprawdopodobniej została uduszona. Jeśli dziewczyna rzeczywiście znajdowała się w stanie ostrej psychozy, to mogła pójść lub pojechać dokądkolwiek, zawrzeć znajomość z kimkolwiek, nie kierując się w swym postępowaniu żadną logiką. Kiedy człowiek jest przy zdrowych zmysłach, można go szukać u krewnych czy znajomych i problem polega tylko na ustaleniu jak najpełniejszego kręgu tych osób. A przewidywanie ewentualnych posunięć szaleńca to zajęcie bezproduktywne. Taki ktoś wychodzi z domu bez

dokumentów i idzie, gdzie oczy poniosą... Ciało okoliczni mieszkańcy znaleźli przypadkowo, sezon na grzyby i jagody dawno minął, w listopadzie ludzie nie mają czego szukać w lesie. Całe szczęście, że udało się zidentyfikować zwłoki, a i to tylko dzięki temu, że wpłynęło zawiadomienie o zaginięciu. Nie, zabójstwo Jeriominej nie było skomplikowane. Akta sprawy zawierały jednak zaskakująco mało informacji, a to o wiele gorsze.

Chociaż odpowiedź z biura paszportowego jeszcze nie nadeszła, Nastia w duchu pożegnała się z hipotezą, na którą tak liczyła jeszcze dwa dni temu. Owo „coś”, co wykryła, sugerowało, że Wiki nie zamordował jakiś zagraniczny amant, że chodzi tu o zupełnie co innego...

– No więc co to za nowe okoliczności? – cicho i bardzo szorstko zapytał Olszański, wręczając Nasti upoważnienie na przesłuchanie Kartaszowa. – Nie odpowiedziałas mi.

– A czy mogę odpowiedzieć po przesłuchaniu?

– Dobrze, niech będzie. Ale zapamiętaj sobie, Kamieńska, że nie wolno ci zatajać przede mną informacji, nawet jeśli uważasz, że nie jest ona istotna dla sprawy. Pracujemy razem po raz pierwszy, i dlatego ostrzegam cię uczciwie, że nie ze mną takie numery. Jeśli się o czymś takim dowiem, wyrzucę cię za kark jak parszywego kociaka. I nigdy nie będziesz dopuszczona do żadnej sprawy, znajdującej się w gestii stołecznej prokuratury. Już ja się o to zatroszczę. Nie myśl sobie, że ty jedna masz rozum i możesz decydować, co jest dla sprawy istotne, a co nie. I nie zapominaj, że to ja prowadzę sprawę, a nie ty, więc masz grać według moich zasad, a nie według tych, które są przyjęte na Pietrowce. Dotarło?

– Zrozumiałam, Konstantynie Michajłowiczu – wymamrotała Nastia i szybko opuściła gabinet śledczego. Słusznie go nie lubię, pomyślała ze złością. Co za okropny cham! Ależ go poniosło!

Należało zadzwonić do Kartaszowa i umówić się na spotkanie. Nastia zeszła na pierwsze piętro, gdzie, jak wiedziała, mieścił się gabinet jej kolegi z roku, obecnie pierwszego zastępcy prokuratora. Zadzwoni stamtąd, na uliczne automaty raczej nie można liczyć: albo nie działają, albo domagają się takich monet, jakich ona akurat nie ma.

Nastia nigdy nie wyrabiała sobie opinii o ludziach na podstawie pierwszego wrażenia. Ale Borys Kartaszow spodobał jej się od razu.

Kiedy otworzył drzwi, ogromny, prawie dwumetrowego wzrostu, w dzinsach, flanelowej koszuli w niebiesko-białą kratkę i ciemnoszarym swetrze z wielbłądziej wełny, usiłowała się pohamować, ale nie wytrzymała i wybuchnęła śmiechem. Łzy ciekły jej z oczu i Nastia, skracając się ze śmiechu, zdążyła tylko pomyśleć, że, dzięki Bogu, nie wytuszowała dzisiaj rzes, bo inaczej całą twarz miałyby w czarnych smugach.

– Co się pani stało? – z niepokojem zapytał gospodarz.

Ale Nastia tylko machnęła ręką. Rozpięła kurtkę i podała ją Kartaszowowi, a wtedy on sam zaczął spazmatycznie pochlipywać ze śmiechu. Nastia miała na sobie dokładnie takie same dzinsy, identyczną niebiesko-białą koszulę, a jej sweter z wielbłądziej wełny był tylko odrobinę jaśniejszy niż sweter Borysa.

– Wyglądamy jak z tego samego inkubatora – powiedział Kartaszow, z trudem chwytając oddech. – Nie miałem pojęcia, że ubieram się jak funkcjonariusz organów ścigania. Proszę, niech pani wejdzie.

Rozglądając się po mieszkaniu malarza, Nastia zastanawiała się zdziwiona, dlaczego Gordiejew zaliczył go do „cyganerii”. Kochanek Wiki Jeriominej nie miał w sobie nic z bohemy – ani w wyglądzie, ani w stroju. Krótkie włosy, dość gęste, ale z początkami łysinki na czubku głowy, starannie utrzymane wąsy, duży, może trochę za długi nos, atletyczna budowa. Ani śladu nonszalancji w wyglądzie zewnętrznym czy w urządzeniu mieszkania. Przeciwnie – w pokoju stały wygodne i całkowicie tradycyjne meble. Pod oknem duże biurko, na którym Nastia zobaczyła mnóstwo szkiców i wykonanych rysunków.

– Napije się pani kawy?

– Z przyjemnością – ucieszyła się Nastia, która nie potrafiła przeżyć dwóch godzin bez filiżanki kawy.

Ulokowali się w kuchni, czystej i przytulnej, gdzie dominowały beż i jasny brąz, co też się Nasti spodobało. Z zadowoleniem stwierdziła, że kawa jest smaczna i mocna, a gospodarz zręcznie radzi sobie z tygielkiem i mimo potężnej postury, porusza się z lekkością i wdziękiem.

- Niech mi pan opowie o Wice – poprosiła.
- Co konkretnie? O tym, jak zachorowała?
- Nie, od samego początku. O tym, dlaczego znalazła się w domu dziecka.

Do domu dziecka trzyletnia Wika Jeriomina trafiła, kiedy jej matkę alkoholicką skierowano na przymusowy odwyk. I właśnie w zakładzie leczniczo-zapobiegawczym Jeriomina starsza zmarła, zatruta nie wiadomo jak zdobytym denaturatem. Matka dziewczynki nigdy nie była zamężna, żadnych krewnych nie miała, toteż Wika została w domu małego dziecka, a potem w sierocińcu już na zawsze. Dorosła, skończyła zasadniczą szkołę zawodową, zdobyła specjalność malarza tynkarza, podjęła pracę, dostała pokój w hotelu robotniczym. W dni robocze pracowała, a w wolnym czasie bez skrupułów wykorzystywała swą niezwykłą urodę. Trwało to dość długo, dopóki mniej więcej dwa i pół roku temu nie przeczytała w gazecie ogłoszenia, że jakaś firma poszukuje sekretarki do lat dwudziestu trzech. Wika była wystarczająco cyniczna, by się zorientować, dlaczego w takim ogłoszeniu wymienia się wiek. Kupiła kilka gazet z reklamami, uważnie je przeczytała i wybrała ogłoszenia skierowane do młodych, ładnych dziewcząt. W ten sposób trafiła do swojej firmy.

- Kiedy pan ją poznał?

– Dawno, kiedy jeszcze była malarzem. Robiła remont w sąsiednim mieszkaniu. Początkowo w czasie przerwy w pracy wpadała do mnie na kawę. Potem zaproponowała, że zrobi mi obiad, powiedziała, że dobrze gotuje i strasznie by chciała przygotować obiad dla mężczyzny, a nie dla koleżanek z hotelu robotniczego. Nie miałem nic przeciwko temu, Wika mi się podobała, robiła wrażenie dobrej i szczerzej. No i była śliczna jak marzenie.

- Panie Borysie... – Nastia zaczerwieniła się. – Nie miał pan nic przeciw rodzajowi pracy, jaką Wika wykonywała w firmie?

– Nie byłem zachwycony, ale nie z powodu zazdrości, tylko ze względów czysto ludzkich. Kiedy młoda kobieta zarabia na życie prostytutką nie dlatego, że jej się to szalenie podoba, ale dlatego że nic innego nie potrafi, a chce mieć dużo forsy, jest to ze wszech

miar smutne. Nie wypadalo mi jednak wypowiadać się głośnie na ten temat.

– Ależ dlaczego?

– A cóż mogłem jej zaproponować w zamian? Przecież firma od razu załatwiła jej mieszkanie, kupiła meble. Dopóki Wika pracowała jako malarz, dawałem jej prezenty, rozpieszczałem. A w ostatnich dwóch latach wszystko się zmieniło, teraz to Wika dawała mi prezenty. Najpierw bardzo mnie to krępowało, potem wiele zrozumiałem...

– Co mianowicie? – nieufnie spytała Nastia.

– Dom dziecka. Niech się pani postawi na jej miejscu, wyobrazi to sobie, a wtedy pani zrozumie. Wszystko wspólne, wszystko takie samo jak u innych. Nie miała w dzieciństwie zbyt wiele tego, co mają dzieci, które wychowują się w pełnych rodzinach. I Wika nieustannie usiłowała to sobie zrekompensować, jakoś „uzupełnić”. Nie wspominała dobrze sierocińca, podtrzymywała znajomość tylko z Lolą Kołobową. Kontakty z koleżankami z hotelu robotniczego też zerwała. Chciała mieć przyjaciółki nie wspólne, ale własne, osobiste, swój prywatny krąg znajomych, których wybrałaby sama, a nie takich, których los przypadkowo zetknął ze sobą w jednej klasie, jednej grupie czy też jednym pokoju. Chciała sama decydować, co ma robić i z kim się spotykać. Oczywiście ten wybór pozostawiał wiele do życzenia, ale... Własnej głowy przecież jej nie przyszyję. Dla Wiki liczyło się to, że może sobie dobrać znajomych według własnego widzimisie, a tym, że są to niekiedy bardzo podejrzone typy, wcale się nie przejmowała. To samo dotyczyło obiadów i prezentów: chciała wybrać sobie obiekt i troszczyć się o niego, chciała mieć rodzinę. Wszystko to zważyło się na mnie i po jakimś czasie zaczęło mi się nawet podobać.

– Chciała wyjść za pana za męża?

– Możliwe. Miała jednak tyle rozumu, żeby o tym nie mówić. Jak, prowadząc takie życie, mogła proponować siebie na żonę?

– Ale czy koniecznie musiała nadal prowadzić taki tryb życia?

– Mówiłem pani przecież, że Wika chciała mieć dużo pieniędzy. Proszę zrozumieć, nie była chciwa, wręcz przeciwnie, nie oszczędzała, ale szastała forszą na prawo i lewo. Niepohamowany pęd do bogactwa to również kompensacja biednego dzieciństwa

w domu sierot. Tak więc musiała wybrać, na czym jej bardziej zależy: na zamążpójściu czy na pieniądzach.

– A pan, Borysie? Chciał się pan z nią ożenić?

– Cóż, byłem żonaty już dwa razy, płacę alimenty na córkę. Oczywiście, chciałbym mieć normalną rodzinę, dzieci. Ale nie z Wiką. Za dużo piła, żeby urodzić zdrowe dziecko i być dobrą żoną i matką. Lubiła się pobawić w żonę tu, u mnie, ale najwyżej dwa, trzy dni w tygodniu; na więcej nie potrafiła się zdobyć. Albo spędzała czas z kolejnym klientem, albo ze swoimi przyjaciółmi, albo po prostu wylegiwała się na kanapie i marzyła. Może jeszcze kawy?

Borys wsypał kawę do młynka i podjął swą opowieść o bałaganiarskiej i źle się prowadzącej Wice Jeriominej.

Od wielu lat, chyba przez całe świadome życie, co jakiś czas śnił się jej koszmarny sen. Niekiedy często, niekiedy z kilkuletnimi przerwami, sen powracał, sprawiając, że Wika budziła się drżąc ze strachu. Śniła się jej okrwawiona ręka. Człowiek, którego we śnie nie było widać, ociera dłoń o białą tynkowaną ścianę, pozostawiając na niej pięć czerwonych smug. Pojawia się druga ręka, której właściciela też nie widać, i rysuje czymś w poprzek pięciu smug klucz wiolinowy. Rozlegał się wstrętny chichot, przechodzący stopniowo w ohydny, zły śmiech, i przy wtórze tego śmiechu Wika budziła się przerażona.

Pod koniec września Wika przyszła do Kartaszowa i już od progu oznajmiła:

– Ktoś podpatrzył mój sen i opowiada o nim w radiu.

Borysa w pierwszej chwili zatkało. No, doigrała się dziewczyna, pomyślał. Halucynacje alkoholowe. Nie miał pojęcia, co się robi w takich wypadkach. Czy ma jej tłumaczyć, że to niemożliwe, że to objaw choroby umysłowej, czy potakiwać i zgadzać się, udając, że jej wierzy. Wybrał trzeci wariant, łączący, jak mu się zdawało, elementy terapii i pozory zaufania. Kiedy po tygodniu obsesja Wiki nie ustąpiła, zaproponował:

– Spróbujmy w takim razie narysować twój sen. Jeżeli w ogóle istnieje jakaś siła, która kradnie twoje sny, to powinno ją nastraszyć.

Wika, wbrew obawom, nie miała nic przeciwko temu, i Borys zrobił kilka szkiców, aż wreszcie udało mu się uchwycić obraz

zbliżony do tego, który śnił się Wice. Ale to nie pomogło. Wika coraz bardziej pogrążała się w swojej obsesji, zaprzeczała jednak, jakoby była chora, i stanowczo odmawiała pójścia do psychiatry. Wtedy Kartaszow postanowił sam poradzić się specjalisty. Lekarz przyznał, że objawy wskazują na początki ostrej choroby psychicznej oraz że obsesja na punkcie oddziaływania na człowieka przez radio i przenikania do jego myśli jest charakterystycznym objawem zespołu Kandinskiego-Clerambaulta, ale dodał, że nie może niczego stwierdzić z całą pewnością. Zaocznie nie da się postawić diagnozy. Jeżeli dziewczyna nie zgadza się pójść do lekarza, wyjście jest tylko jedno: on, lekarz, może wpaść do Kartaszowa niby to z przyjacielską wizytą, kiedy będzie tam Wika, posiedzieć z nimi parę godzin przy herbatce i poobserwować chorą i jej zachowanie. Umówili się, że jak tylko Borys wróci z wyjazdu służbowego, koniecznie zorganizują takie spotkanie. No i to właściwie wszystko. 27 października, po powrocie z Orła, gdzie robił ilustracje do wydawanej tam książki, Borys dowiedział się, że Wika gdzieś zniknęła i już trzeci dzień nie przychodzi do pracy.

– Co było dalej, już pani wie. Zacząłem obijać progi na milicji. Wydzwaniałem do znajomych Wiki. Bez rezultatu.

– Czy nie próbował pan rozmawiać z innym lekarzem? Wystarczyła panu ta jedna opinia?

– Miałem trudności ze znalezieniem tego jednego. Nie mam znajomości wśród lekarzy, obracam się w innych kręgach.

– No to gdzie pan znalazł tego psychiatrę?

– Przez znajomego, a i to przypadkiem. Wymknęło mu się kiedyś, że ma sporo przyjaciół w sferach medycznych i że gdybym miał problemy zdrowotne, zawsze z przyjemnością mi pomoże. No i zwróciłem się właśnie do niego, a on skontaktował mnie z tym lekarzem.

Nastia usłyszała, jak w pokoju zadzwonił telefon, ale Borys siedział nadal jak gdyby nigdy nic.

– Nie odbierze pan? – zapytała zdziwiona.

– Mam automatyczną sekretarkę. W razie potrzeby później sam oddzwonię.

Wybierając się do Borysa Kartaszowa, Nastia chciała sprawdzić, czy choroba Jeriominej nie jest po prostu wymysłem malarza.

Historia kryminalistyki, mówiła sobie, zna takie przypadki, kiedy człowiekowi wmawia się chorobę psychiczną, aby wykorzystać to dla jakichś własnych celów. Lekarz nie widział Wiki na oczy, praktycznie wszystko, co wiemy o jej chorobie, usłyszeliśmy od Kartaszowa. A jeżeli Kartaszow kłamie? Co prawda, są zeznania Olgi Kołobowej, koleżanki z domu dziecka, która twierdzi, że rozmawiała z Wiką o jej ukradzionym śnie i że Wika nie okazała zdziwienia i niczemu nie zaprzeczyła. Ale przecież Kołobowa może być w zмовie z Borysem i też kłamać. Po co? Cóż, dla wielu powodów. Na przykład postanowili oboje pozbyć się Wiki i sklecili tę psychiatryczną historyjkę. Motyw? Na razie niejasny, ale przecież tej hipotezy jeszcze nie próbowano weryfikować. Może taki motyw istnieje, może jest gdzieś w zasięgu ręki, tylko po prostu nikt go nie szukał.

Aby zbadać tę hipotezę, należało wyłowić sprzeczności albo chociażby drobne niezgodności w zeznaniach Kartaszowa, Loli Kołobowej i psychiatry Maslennikowa. Teraz doszedł jeszcze jeden potencjalny świadek – znajomy Borysa, który polecił mu lekarza. Przecież Borys musiał jakoś temu znajomemu wyjaśnić, po co mu psychiatra.

W tym miejscu pojawiła się nadzieja na jeszcze jedną hipotezę.

– Czy wyjeżdżając do Orła, włączył pan sekretarkę?

– Oczywiście. Jestem wolnym strzelcem, zleceńodawcy zwracają się bezpośrednio do mnie. Jeżeli nie odpowiem na telefony, mogę stracić dobre zamówienia.

– Znaczący, że po powrocie przesłuchał pan wszystkie telefony z tych dziesięciu dni?

– Naturalnie.

– I nie było tam żadnej wiadomości od Wiki?

– Nie. Jestem przekonany, że gdyby zamierzała wyjechać na dłużej, na pewno by mnie uprzedziła. Mówiłem pani, że bardzo sobie ceniła to, że ktoś się o nią troszczy, że chociaż jednej osobie nie jest obojętne, gdzie ona się obraca i co się z nią dzieje. W dzieciństwie tego nie zaznała.

– Co się stało z tym nagraniem? Wykasował je pan?

Nastia była przekonana, że usłyszy odpowiedź twierdzącą, i pytała tylko dla porządku.

– Mam kasetę w szufladzie. Nie kasuję nagrań, bo a nuż coś się jeszcze przyda.

– Na przykład co?

– Choćby w zeszłym roku zdarzyło się, że zadzwoniło do mnie jakieś drobne wydawnictwo z propozycją zrobienia ilustracji do zbioru anegdot. Zostawili adres i telefon. Nie było mnie w domu, jak dzwonili. Nie oddzwoniłem, ilustrowanie dowcipów to nie mój profil, a poza tym miałem w tym czasie kilka zamówień i byłem zajęty. A wkrótce potem mój kumpel karykaturzysta zaczął narzekać na brak pieniędzy i przypomniałem sobie o tym telefonie. Znalazłem nagranie na kasecie, dałem mu namiary wydawnictwa i wszyscy byli zadowoleni.

– A więc ma pan kasetę z nagraniami z okresu pańskiego pobytu w Orle?

– Tak.

– Przesłuchajmy ją – zaproponowała Nastia.

Twarz Kartaszowa stwardniała. A może tylko jej się zdawało?

– Nie wierzy mi pani? Słowo honoru, nie ma tam telefonu od Wiki. Przysięgam.

– Bardzo pana proszę – szorstko powiedziała Nastia. Gospodarz nagle przestał jej się podobać i przygotowała się do ataku. – Mimo wszystko chciałabym posłuchać.

Weszli do pokoju i Borys od razu wyjął z szuflady biurka kasetę. Włączył odtwarzanie i wręczył Nasti jeden z rysunków, leżących w teczce na biurku.

Nastia oglądała szkic i jednocześnie słuchała głosów z taśmy.

„Borka, nie zapomnij, drugiego listopada Łysakow kończy czterdziestkę. Jeżeli nie złożysz mu życzeń, śmiertelnie się obrazi...”.

„Dzień dobry, Borysie Grigorjewiczu, tu Kniaziew. Bardzo proszę o telefon, jak pan wróci. Trzeba wprowadzić pewne zmiany do projektu okładki...”.

„Kartaszow, ty sukinkocie! Gdzie ten koniak, który do mnie przegrałeś?...”.

„Boria, nie gniewaj się, nie miałam racji, przyznaję. Wybacz mi...”.

– Kto to był? – szybko spytała Nastia, naciskając klawisz „stop”.

– Lola Kołobowa – niechętnie odrzekł Kartaszow.

– Pokłócił się pan z nią?

– Jak by to pani powiedzieć... To stara historia, która niekiedy miewa nawroty. Z Wiką nie ma to nic wspólnego. Wiąże się z mężem Loli.

– Muszę to wiedzieć – powiedziała z naciskiem Nastia.

– No dobrze – Kartaszow westchnął. – Kiedy Lola poznała swego przyszłego męża, od razu jej powiedziałem, że ten typ nie przepuści żadnej dziewczynie. Po ślubie Lola zaczęła go przyłapywać na zdradach i bardzo cierpiała. A ja jak głupi, chociaż wiem, że nie wolno się wtrącać w cudze życie, w kółko pchałem się z radami, żeby go rzuciła. Uważam, że to bardzo nieciekawy facet, i żał mi było Lolki. Ale ona reagowała na moje rady wręcz histerycznie, co wyrażało się w tym, że kiedy proponowałem, żeby rzuciła męża, usiłowała mi powiedzieć coś obraźliwego. Na przykład, że tak może mówić tylko impotent czy pedał, albo że ja jestem po prostu zazdrosny, bo jej mąż ma żonę i rodzinę, albo jeszcze coś równie głupiego. Wszystkie takie rozmowy kończyły się kłótnią, ale potem się oczywiście godziliśmy.

– I cóż takiego powiedziała panu ostatnim razem? Za co przepraszała?

– Powiedziała, że jej mąż, chociaż babiarz, przynajmniej próbuje to przed nią ukryć, co jest o wiele przyzwoitsze niż zachowanie Wiki, która otwarcie szlaja się z każdym i nawet się tego nie wstydzi.

– Powiedziała tak o bliskiej przyjaciółce? – zdumiała się Nastia. Kartaszow wzruszył ramionami.

– Kobiety... – odparł enigmatycznie. – Kto je zrozumie? Lepiej posłuchajmy dalej.

„Borys, tu Oleg. Chcemy całą bandą pojechać na sylwestra do Woronowa. Jeżeli chcesz się przyłączyć, daj znać do dziesiątego listopada, bo trzeba wcześniej zarezerwować miejsca...”.

„Borka, zostawiłem u ciebie pudełko zapalek, na którym zapisałem bardzo ważny telefon. Jeżeli je znajdziesz, to nie wyrzucaj...”.

„Boria, bardzo za tobą tęsknię. Całuję cię, kochany...”.

– A to kto? – Nastia zatrzymała taśmę.

– Znajoma. – Kartaszow popatrzył na nią wyzywająco, oczekując dalszych pytań, już z góry najeżony.

– Ale to na pewno nie Wika?

– Nie Wika. Jeżeli mi pani nie wierzy, puszczę inne kasety, na których jest jej głos.

– Wierzę panu – nieszczerze odrzekła Nastia, znowu włączając odtwarzanie.

Telefony z zamówieniami, od przyjaciół, od rodziców Borysa, od kobiet... I nagle dłuższa pauza.

– Co to? – Nastia gwałtownie wyłączyła magnetofon, z którego już dobiegały powitalne słowa kolejnego dzwoniącego.

– Nie wiem – bezradnie odpowiedział Kartaszow. – Zupełnie nie zwróciłem na to uwagi, odsłuchując taśmę. Wie pani, jak to jest, człowiek puszcza odtwarzanie, a sam w tym czasie rozpakowuje rzeczy albo robi kolację... Uwaga jest skierowana raz na to, czego się słucha, raz na to, co się robi.

– Kto dzwonił przed tą pauzą?

Nasti z przejęcia trzęsły się ręce. Czuła, że znalazła jakąś nitkę.

– Sołodownikow, mój kolega z roku.

– A po pauzie?

Borys puścił taśmę i wysłuchał kolejnego nagrania do końca.

– To Tatiana, moja siostra cioteczna.

– Proszę do nich zadzwonić i zapytać, kiedy do pana telefonowali, jakiego dnia i ewentualnie o której godzinie. Niech pan to zrobi zaraz.

Malarz pokornie usiadł przy telefonie, a Nastia znowu zaczęła oglądać rysunek przedstawiający ukradziony sen Wiki Jeriominej.

– Trudno teraz dokładnie ustalić. – Borys odwrócił się do niej. – Minał prawie miesiąc, ludzie pozapominali takie szczegóły. Sołodownikow mówi, że dzwonił jakoś pod koniec tygodnia, dwudziestego pierwszego albo drugiego października, ale dobrze pamięta, że nie później, bo w piątek wieczorem dwudziestego drugiego wyjechał do Petersburga. Dzwonił do mnie właśnie w związku z tym wyjazdem, chciał numer telefonu naszego wspólnego znajomego z Pitera. A siostra zadzwoniła po zobaczeniu w telewizji mojej pierwszej żony: brała udział w sondażu ulicznym. Siostra w ogóle nie pamięta, jakiego dnia to było, ale mówi, że

skoczyła do telefonu zaraz po programie; chciała mnie zawiadomić, że Katia znowu jest w Moskwie.

– A to dla pana takie ważne, czy pierwsza żona znowu jest w Moskwie?

– Widzi pani, Jekatierina ma trudny charakter. Jest próżna i kapryśna, uważa mnie za sprawcę wszystkich swoich nieszczęść, nie może mi wybaczyć rozwodu i bardzo lubi mi robić drobne świństwka. Ostatnio na przykład poświęciła mnóstwo czasu, całą dobę przesiedziała na schodach piętro wyżej nad moim mieszkaniem, wypatrując, kiedy wyjdzie ode mnie jakaś kobieta, a kiedy się wreszcie doczekała, podeszła i nagadała jej o mnie takich obrzydliwości, że włos się jeży.

– Ta kobieta, z którą rozmawiała pańska żona... Czy to była Wika?

– Nie – szybko odpowiedział Kartaszow. Chyba nawet za szybko, pomyślała Nastia.

– A kto?

– To nie była Wika – z naciskiem powiedział Borys, patrząc jej prosto w oczy. – A jej nazwisko nie powinno pani interesować.

– Czy pańska siostra pamięta, co to był za program, po którym pobiegła do telefonu?

– *Spacer po mieście* w programie czwartym.

Nastia zamyśliła się. Kasetę trzeba będzie zabrać, to jasne. Pauza mogła powstać z dwóch powodów: albo ktoś po odezwaniu się automatycznej sekretarki nie chciał nic mówić i po prostu milczał, albo nagranie zostało wykasowane. W pierwszym wypadku nie wnosilo to do sprawy nic nowego, za to w drugim dawało istotne podstawy, by podejrzewać Borysa Kartaszowa, że wykasował czyjś telefon, i niewykluczone, że był to telefon albo od samej Jeriominej, albo w jakiś sposób związany z jej śmiercią. Pączek uprzedzał, że zabójstwo Wiki może mieć związek z porachunkami mafijnymi, a mafia, jak wiadomo, ma najlepszych adwokatów, toteż zabranie kasety byłoby niewybaczalnym błędem: spróbuj, człowieku, później udowodnić, że nagrania nie starto w milicji, żeby skompromitować Kartaszowa. Trzeba wszystko załatwić jak najbardziej formalnie: wziąć nakaz i dokonać rekwizycji. Ale jak to zrobić? Jeżeli Borys jest niewinny, w co Nastia mocno powątpiewała, to można

przyjechać jutro z samego rana z nakazem i świadkami. A jeżeli jest zamieszany w zabójstwo i pauza na taśmie ma z tym jakiś związek? Wówczas kto wie, jaką taśmę i w jakim stanie Nastia otrzyma nazajutrz. A zabrać ją trzeba koniecznie: jeżeli nagranie wykasowano, to na taśmie nie będzie rozmów w tle, które pozostają zawsze w przypadku, gdy telefonujący milczy. Określić przyczynę zagadkowej pauzy powinni eksperci. Więc co robić?

Spojrzała na zegarek: wpół do drugiej. Błysnęła jej szalona nadzieja na to, że Andriej Czernyszew mógł w środku dnia wpaść do domu, żeby nakarmić psa. Kto wie?

Nastia miała szczęście. Siedmioletni synek Andrieja rzetelnie zameldował, że tata obiecał przyjechać o pierwszej, żeby nakarmić Kiriłła i wyprowadzić go na spacer. Pierwsza już dawno minęła, tak że tata będzie lada moment, bo gdyby miał wcale nie przyjechać, to już by zadzwonił i wydał odpowiednie rozkazy, z których torebek i puszek zrobić psu obiad. Nastia podyktowała malcowi telefon Kartaszowa i poprosiła, żeby tata zadzwonił, jak tylko przyjdzie.

– Niech mi pan opowie o tym znajomym, przez którego znalazł pan lekarza – poprosiła Nastia.

– Prawie go nie znam. Spotkaliśmy się w jakimś towarzystwie, w rozmowie powiedział, że zajmuje się dystrybucją książek, współpracuje z wydawnictwami, chociaż kiedyś studiował medycynę, więc ma sporo znajomych wśród lekarzy, i gdybym miał kłopoty ze zdrowiem, to on mi zawsze pomoże. Zostawił mi swoją wizytówkę. I to cała znajomość.

– Potrzebne mi jego dane. Zachował pan tę wizytówkę?

Podczas gdy Borys przeglądał wizytówki wetknięte do notesu, Nastia znów popatrzyła na rysunek z pięcioma krwawoczerwonymi smugami.

– Borysie Grigorjewiczu, dlaczego ten klucz wiolinowy jest jasnozielony?

– Tak się śniło Wice. Sam byłem bardzo zdziwiony, ale ona uparcie twierdziła, że klucz jest bladozielony we wszystkich snach i nigdy nie bywa innego koloru. O, znalazłem! – Kartaszow wręczył Nasti wizytówkę niejakiego Walentina Pietrowicza Kosara z numerami telefonów do domu i do pracy.

Rozdział 3

Nastia przyjrzała się uważnie swojemu audytorium. Piętnastu słuchaczy Moskiewskiej Szkoły Milicji; wszyscy w mundurach, krótko ostrzyżeni i gładko ogoleni, wydawali się jej zupełnie jednakowi. Poprzedniego dnia miała ćwiczenia z równoległą grupą i nie zauważyła nikogo, kto potrafiłby intelektualnie sprostać „zadaniu numer sześćdziesiąt”.

Pierwsze dziesięć minut poświęciła na krótkie podsumowanie materiału wykładu, potem narysowała na tablicy schemat kolizji drogowej.

– Proszę zanotować zeznania kierowcy... zeznania świadków A... B... C... D... A oto zadanie: uzasadnić przyczyny rozbieżności w zeznaniach świadków i wskazać, czyje zeznania są najbliższe temu, co się stało naprawdę. Czas – do przerwy. Po przerwie będziemy omawiać odpowiedzi.

Kiedy zadzwonił dzwonek, Nastia wyszła na klatkę schodową, gdzie wolno było palić. Zbliżyło się do niej kilku słuchaczy z grupy.

– Pracuje pani na Pietrowce? – zapytał miniaturowy chłopiec, o głowę niższy od niej.

– Na Pietrowce.

– A gdzie pani studiowała?

– Na uniwersytecie.

– A jaki ma pani stopień? – indagował dalej kurdupelek.

– Majora.

Zapadła kilkuminutowa cisza. Potem do rozmowy włączył się inny student, rosły, jasnowłosy, z ledwie widoczną blizną nad brwią.

– Czy pani specjalnie się tak ubiera, żeby się nikt nie domyślił?

Pytanie zbiło Nastię z tropu. Wiedziała, że na co dzień wygląda o wiele młodziej niż na swoje trzydzieści trzy lata. I chociaż dziś zamiast noszonych zazwyczaj dzinsów włożyła elegancką prostą spódniczkę, a flanelową koszulę i ciepły pulower zastąpiła białym, wełnianym, obcisłym sweterkiem i skórzanym żakietem, i tak wyglądała jak dziewczynka: gładka twarz bez śladu makijażu, długie

jasne włosy, związane w koński ogon. Nigdy nie próbowała dokładać jakichkolwiek starań, żeby wyglądać młodziej niż na swój wiek, po prostu ubierała się tak, żeby czuć się wygodnie. Malować jej się nie chciało, układanie zaś skomplikowanej fryzury z długich włosów uważała za śmieszne, skoro przez cały czas chodzi w dżinsach i adidasach. A ubierać się inaczej, „poważniej”, Nastia stanowczo nie chciała. Po pierwsze, pod wieczór prawie zawsze puchły jej nogi, jako że prowadziła raczej siedzący tryb życia, a kawy piła dużo. Po drugie, miała złe krążenie, przez co ciągle marzła, a w dżinsach, koszulach i swetrach było jej ciepło i wygodnie, co ceniła sobie najbardziej. Jednak tłumaczenie tego wszystkiego jasnowłosemu studentowi byłoby co najmniej śmieszne.

– A czego ten ktoś miałby się domyślać? – odpowiedziała pytaniem na pytanie.

– Tego... Tego, że... – Blondyn zająknął się i roześmiał. – Ależ palnąłem gafę, idiota!

Brawo, pomyślała z aprobatą Nastia. Potrafi myśleć. Rzeczywiście, to śmieszne starać się wyglądać tak, żeby każdy od razu mógł rozpoznać twój zawód. A w naszej robocie w ogóle lepiej być kameleonem: dzisiaj masz trzydzieści pięć lat, a jutro dwadzieścia siedem. Jeżeli w grupie nie znajdzie się nikt lepszy, wezmę go na staż. Przynajmniej potrafi w porę się połapać i przyznać do błędu, a to już połowa sukcesu.

Wchodząc po przerwie do audytorium, Nastia poczuła, jak wali jej serce. Co roku, wybierając stażystę, denerwowała się, wciąż miała nadzieję znaleźć perłę w worku ziarna i bała się ją przeoczyć. Zerknęła na listę nazwisk i zaczęła odpytywać. Odpowiedzi były przeciętne, w miarę prawidłowe, ale najczęściej powierzchowne, niewychodzące poza to, o czym Nastia sama mówiła studentom na początku zajęć. Wyglądało na to, że nie słuchali wykładu i nie zaglądali do podręcznika. Zupełnie jakby odwalali katorgę, pomyślała z irytacją Nastia, słuchając ospałych i nudnych odpowiedzi. Jakby to była jakaś niewolnicza praca. Nikt ich przecież nie zmuszał, żeby tu studiowali, sami się zgłosili, uczestniczyli w konkursie świadectw, zaliczali testy sprawnościowe, zdawali egzaminy. A teraz robią wrażenie, jakby im wcale na tych studiach

nie zależało. I takie „uzupełnienie” za pół roku przyjdzie do moskiewskiej milicji. I nie będzie z nich żadnego pożytku...

– Mieszczerinow, teraz pan.

Do końca zajęć pozostało osiem minut. Nastia uznała, że tak czy owak nie znajdzie nikogo lepszego niż ów samokrytyczny blondyn z blizną. Posłucha jego odpowiedzi i jeżeli uda mu się sklecić sensownie choćby trzy słowa, Nastia go wybierze. Nie jest to Bóg wie co, ale można go będzie podszkolić i może czegoś nauczyć.

– Moim zdaniem, cechy psychologiczne nie mają tu nic do rzeczy – powiedział Mieszczerinow. – Zeznania różnią się, dlatego że świadkowie są przekupieni i mówią to, co im kazano.

Nasti zapłonęły policzki. Czyżby nareszcie? Czyżby znalazła jednak swoją perłę, znalazła człowieka, który potrafi wyjść poza zakreślone ramy i poszukać rozwiązania na zupełnie innej płaszczyźnie? Wspaniale! Starając się nie okazać radosnego podniecenia, Nastia spytała:

– Jak pan sądzi, po co to zrobiono?

– Na przykład po to, żeby zagmatwać śledztwo. Kierowca mógł komuś przeszkadzać i trzeba było za wszelką cenę ograniczyć mu swobodę ruchów. W zadaniu ofiara wypadku zginęła, prawda? A więc podejrzany na pewno ma zakaz opuszczania miejsca zamieszkania. Przy tak sprzecznych zeznaniach świadków dochodzenie będzie się ciągnąć do końca świata, co daje pełną gwarancję, że winny w wypadku kierowca nie wyjedzie z miasta. A tym bardziej z kraju.

Celująco! Nie tylko rozwiązałeś zadanie numer sześćdziesiąt. Masz wspaniałą, nieskrępowaną wyobraźnię, proszę, jaką nadzwyczajną historię zaimprovizowałeś. A na dodatek nie zapomniałeś na zajęciach z kryminalistyki, że istnieje jeszcze proces sądowy. Mądry chłopak!

– Dziękuję, Mieszczerinow, niech pan siada. Koniec zajęć. Do dzwonka mamy dwie minuty, więc powiem panom na pożegnanie kilka słów. Poziom wiedzy w waszej grupie jest żałosny. Do ukończenia studiów zostało wam sześć miesięcy, z których jeden poświęćcie na staż, a kolejny na pisanie pracy dyplomowej. Czasu jest tak niewiele, że chyba nie da się już niczego poprawić. Nie wątpię, że do egzaminów państwowych przygotujecie się jak należy,

wszystko wykujecie i szczęśliwie zdacie. Ale lenistwo umysłowe to straszna ułomność. A niestety, cierpi na nią większość grupy. Może są wśród was tacy, którzy wcale nie chcą zostać oficerami dochodzeniowymi, chodzi im tylko o dyplom magistra praw i gwiazdki lejtnanta. Do tych słuchaczy to, co mówię, się nie odnosi. A pozostali powinni zapamiętać, że przy takim jak teraz umysłowym lenistwie nic z tego nie będzie, nie rozwiążecie żadnej sprawy kryminalnej. Wszystkiego dobrego.

W korytarzu Nastia dopędziła zmierzającego do stołówki Mieszczerinowa i dotknęła jego łokcia.

– Proszę chwilę poczekać, panie Mieszczerinow. Wie pan już, gdzie skierują pana na staż?

– Okręg północny, komisariat timiriaziewski. Czemu pani pyta?

– Czy nie chciałby pan odbyć stażu w Moskiewskim Wydziale Kryminalnym, w sekcji zabójstw?

Mieszczerinow stanął jak wryty i utkwiał w Nastii przymrużone oczy. Zastanawiał się w napięciu, rozważając wszystkie „za” i „przeciw”. Po chwili lekko kiwnął głową.

– Chciałbym, jeśli to możliwe. Ale uczelnia już wszystkim dała przydziały.

– Załatwię to. Potrzebna mi tylko pańska zgoda.

– Ja się zgadzam. Ale czemu pani na tym zależy?

Już drugi raz w ciągu dwóch godzin chłopak postawił Nastię w niezręcznej sytuacji. Ciekawy z ciebie facet, przyjacielu, pomyślała. Inny na twoim miejscu nie posiadałby się z radości i ani przez chwilę by się nie zastanawiał. A ty kalkulujesz, przewidujesz, wypytujesz. Chyba wyrośnie z ciebie dobry wywiadowca. Dobrze, że cię znalazłam.

– Jak wszędzie, brakuje nam ludzi do pracy – odpowiedziała. – Dlatego cenimy sobie każdą pomoc. A im stażysta bystrzejszy, tym lepiej, nawet jeżeli przychodzi tylko na miesiąc.

– Uważa mnie pani za bystrego? – Młody człowiek uśmiechnął się.

– Miło mi to słyszeć. Bo przed chwilą wszystkich nas zmieszała pani z błotem.

I major Anastazji Kamieńskiej zrobiło się głupio...

Nie obudziłem cię? – rozległ się w słuchawce głos Andrieja Czernyszewa.

Nastia zapaliła lampę i popatrzyła na zegarek: za pięć siódma. Budzik zadzwoni za pięć minut.

– Obudziłeś, podły sadysto – warknęła. – Odebrałeś mi pięć minut drogiego snu.

– Zupełnie nie rozumiem, jak ty żyjesz, Nastazjo. Ja wstałem już godzinę temu, byłem z Kirilem na spacerze, zrobiłem na ulicy przebieżkę, teraz jestem dziarski i rześki, a ty kimasz. Naprawdę jeszcze spałaś?

– Oczywiście, że tak.

– No to przepraszam. Obudziłaś się już na dobre? Dotrze do ciebie to, co powiem?

– Wal.

– A więc, po pierwsze. Program *Spacer po mieście* na kanale czwartym zaczął się dwudziestego drugiego października o dwudziestej pierwszej piętnaście, a skończył o dwudziestej pierwszej czterdzieści pięć. Po drugie. Matka Wiktorii Jeriominej rzeczywiście była alkoholiczką, ale Wikę oddano do domu dziecka nie dlatego, że matka poszła na odwyk, tylko dlatego, że dostała wyrok z paragrafu sto trzy za morderstwo z premedytacją, choć sąd rzeczywiście skierował ją na przymusowy odwyk. Umarła istotnie z powodu zatrucia denaturatem, ale nie w zakładzie, tylko w kolonii karnej o zaostrzonym rygorze.

– Dlaczego o zaostrzonym rygorze? To nie był jej pierwszy wyrok?

– Drugi. Pierwszy raz siedziała za kradzież. Nawiasem mówiąc, Wika urodziła się podczas pierwszej odsiadki. W domu dziecka zmienił się prawie cały personel, ale jedna wychowawczyni pracuje tam od dawna. Twierdzi, że nie mówiono Wice prawdy, żeby nie spowodować urazu. Wystarczająco przykre było to, że matka cierpiała na alkoholizm. No i jej straszna śmierć. Teraz trzecia wiadomość, najgorsza. Jesteś gotowa?

– Gotowa.

– Walentin Pietrowicz Kosar, mający rozległe znajomości w świecie medycznym, zmarł.

– Kiedy?

– Trzymaj się, Nastazjo, wygląda na to, że wpakowaliśmy się w jakieś gówno. Kosara przejechał samochód. Trup na miejscu. Żadnych świadków, żadnych informacji, nic. Ciało leżało na drodze, znalazł je przejeżdżający obok kierowca. Sprawą zajmuje się okręg południowo-zachodni. Szczegółów na razie nie znam, chcę dzisiaj do nich wpaść.

– Zaczekaj, Andriusza, chwileczkę. – Nastia skrzywiła się boleśnie i przycisnęła skroń wolną ręką. – Mam w głowie kompletny zamęt, nic nie chwytam. Kiedy zginął Kosar?

– Dwudziestego piątego października.

– Muszę pomyśleć. Ty leć do południowo-zachodniego, a ja pójdę do pracy, zamelduję się u Pączka, a potem skoczę do Olszańskiego. Spotkajmy się koło drugiej, dobra?

– Gdzie?

– Jak rozumiem, chcesz w ciągu dnia nakarmić Kirilla.

– No... chciałbym, oczywiście.

– O wpół do drugiej podjedź po mnie do metra Czechowska, pojedziemy do ciebie, nakarmisz psa, a potem razem wyprowadzimy go na spacer. Wiesz, wydaje mi się, że oboje miotamy się jakoś bez sensu, pukamy do różnych drzwi, sami nie wiedząc, co chcemy znaleźć. Dosyć tego dobrego, najwyższy czas usiąść i pomyśleć. Zgadzasz się?

– Ty wiesz najlepiej, to o tobie mówią, że masz w głowie komputer, a nie o mnie. Ja do tej pory byłem przy tobie czymś w rodzaju chłopca na posyłki.

– Co ty gadasz? – przeraziła się Nastia. – Obraziłeś się? Andriej, skarbie, jeżeli powiedziałam coś nie tak...

– Oj, przestań, Nastazjo, marnego słowa nie można ci powiedzieć. Twoje poczucie humoru długo sypia: ty już się obudziłaś, a ono jeszcze nie. Trzynasta trzydzieści, metro Czechowska. Cześć.

Nastia odłożyła telefon na miejsce i ospale, ledwie powłóczę nogami, pobrnęła do łazienki. Odkryte kilka dni temu „coś” rozrastało się i krzepło, a ona nie wiedziała, co z nim robić.

Z każdym dniem Wiktor Aleksiejewicz Gordiejew robił się coraz bardziej ponury. Jego zazwyczaj okrągła twarz zmizerniała i poszarzała, ruchy stały się powolniejsze, głos – bardziej oschły.

Coraz częściej, słuchając rozmówcy, powtarzał: „no tak, no tak”, co oznaczało, że znów nie słucha, co się do niego mówi, tylko myśli o swoich sprawach.

Prowadząc poranną odprawę, nie bardzo słyszał sam siebie; wpatrywał się nie wiadomo który już raz w twarze podwładnych i myślał: ten? A może ten? Czy tamten? Który to z nich?

Miał wrażenie, że wie, który z oficerów operacyjnych ma powiązania ze światem przestępczym, ale nie chciało mu się w to wierzyć. A jednocześnie jeśli to nie on, nie ten, którego podejrzewa, znaczy, że kto inny, a ta myśl wcale nie przynosiła ulgi. Gordiejew wszystkich traktował jednakowo, więc ktokolwiek okazałby się zdrajcą, pułkownik odczułby to tak samo boleśnie. Był w rozterce: z jednej strony chciał się podzielić podejrzeniami z Kamieńską, z drugiej zaś uważał, że nie powinien jej w to wciągać. To prawda, Nastazja jest inteligentna, spostrzegawcza, ma doskonałą pamięć i myśli logicznie, z jej pamięcią łatwiej byłoby rozwiązać zagadkę. Jednocześnie jednak Wiktor Aleksiejewicz wiedział, jak trudno będzie Nasti, jeśli on jej powie o swoich podejrzeniach, rozmawiać z tym człowiekiem, pracować z nim, omawiać nawet zwykłe, niesłużbowe sprawy. Poza tym Nastia może się zdradzić i obudzić czujność tego człowieka, który na razie czuje się całkowicie bezpieczny.

W czasie narady pułkownik nie pytał Nasti o dochodzenie w sprawie Jeriominej. Zrozumiała to właściwie i wróciwszy do swego gabinetu, cierpliwie czekała na telefon szefa. Nie minęło nawet dziesięć minut, kiedy Gordiejew zadzwonił na wewnętrzny numer i rzucił krótko: „Chodź”.

– Wiktorze Aleksiejewiczu, niech Misza Docenko pogada z tym facetem. – Nastia podała Gordiejewowi kartkę, na której zapisała namiary Sołodownikowa i pytania wymagające możliwie jak najdokładniejszych odpowiedzi. Misza Docenko tak zręcznie „rozpracowywał” pamięć świadków, pobudzając ciągi skojarzeniowe, że przy jego pomocy ludzie przypominali sobie z najdrobniejszymi szczegółami i dokładnością co do minuty nawet bardzo dawne wydarzenia. Nastia ogromnie liczyła na to, że Miszy uda się ustalić, kiedy Sołodownikow dzwonił do swego kolegi Borysa Kartaszowa. Pomogłoby to precyzyjniej określić, w jakim

przedziale czasowym nagrano na sekretarkę wiadomość, która zniknęła z kasy.

– Dobrze. Co jeszcze?

– Trzeba powtórnie przesłuchać psychiatrę, u którego zasięgał porady Kartaszow. To powinnam zrobić sama.

– Dlaczego? – Dlatego że rozmawiałam z Kartaszowem, dobrze pamiętam wszystkie szczegóły tego przesłuchania, i żeby wyłowić z zeznań sprzeczności, powinnam z lekarzem pomówić też ja. W każdym razie to, co mi powiedział Kartaszow, dość mocno odbiega od tego, co przeczytałam w protokole przesłuchania doktora Maslennikowa.

– Tak poważnie podejrzewasz tego malarza?

– Bardzo poważnie. Poza tym ta hipoteza w niczym nie ustępuje innym. Na weryfikację dwóch pierwszych hipotez poświęciliśmy trzy tygodnie. Zgadza się, że były one najbardziej pracowite. Według informacji wydziału paszportowego, żadnego z zagranicznych klientów Jeriominej pod koniec października w Moskwie nie było, z wyjątkiem tego Holendra, ale Olszański wierzy w jego alibi. Nieracjonalnych zachowań w stanie ostrej psychozy tak czy owak nie sposób dokładnie sprawdzić. Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy. Pozostaje nadzieja, że przypadkowo wypłynie jakaś informacja, ale na to można czekać do samej emerytury. Natomiast historia z chorobą Jeriominej wydaje mi się podejrzana. Pułkownikowi, mam podstawy, by sądzić, że dziewczyna nie była chora i jej ukradziony sen należy włożyć między bajki.

– A motyw? Jeżeli Kartaszow jest w to zamieszany, to jaki miałby motyw?

– Nie wiem. I właśnie chcę się spróbować dowiedzieć. Ale ciężko nam tylko we dwójkę z Czernyszewem, i dlatego dochodzenie posuwa się tak wolno.

– Moim zdaniem w ogóle się nie posuwa – burknął Pączek. – W kółko próbujesz, sprawdzasz, trafiasz jak kulą w płot, a wyników tyle, co kot napłakał. Jesteś w kontakcie z dzielnicowym komisariatem Jeriominej?

– No... w ogóle to... – zająknęła się Nastia.

W komisariacie dzielnicowym poszukiwania zaginionej Jeriominej prowadził kapitan Morozow, więc to właśnie jemu

polecono współpracować z grupą dochodzeniową, pracującą nad zabójstwem. Od pierwszego dnia Nastia usiłowała włączyć go do sprawy, ale Morozow wyjaśnił jej dość szorstko, że oprócz tego morderstwa, dokonanego, nawiasem mówiąc, nie wiadomo gdzie, może w innej dzielnicy, a nawet w innym obwodzie (a on, Morozow, może się zajmować tylko przestępstwami popełnionymi na jego terenie), ma na głowie jeszcze osiemnaście kradzieży, dwadzieścia ukradzionych aut, rabunki, rozboje i parę niewykrytych zabójstw, przy których Pietrowka mu nie pomaga, więc musi sobie radzić sam. Polecenia Nasti wykonywał niechętnie, niedbale, bez szczególnego pośpiechu, za to niezwykle sprytnie jej unikał i znaleźć go było bardzo, ale to bardzo trudno. Po jakichś trzech, czterech dniach Nastia w ogóle przestała go szukać i cała ogromna robota spadła na barki jej i Czernyszewa.

Ale Kamieńska nie lubiła się skarżyć i donosić, toteż na pytanie szefa tylko wymamrotała coś niewyraźnie.

– Jasne – krótko podsumował Pączek, który natychmiast wszystko zrozumiał. – Zadzwoń do komisariatu i dam im nauczkę. Włącz do roboty Morozowa, nie ma co się z nim cackać. Myślałby kto, że ma więcej pracy niż Czernyszew. Pojutrze przyjdzie stażysta, przydzielam ci go do pomocy. I nie krępuj się, wykorzystaj naszych chłopców. Tylko załatwiał to przeze mnie. Rozumiesz? Koniecznie przeze mnie. Ja wydaję polecenie służbowe. Koniec kropka. Nie muszę przy tym niczego nikomu tłumaczyć. A ty przecież nie mogłabyś im nie odpowiedzieć, gdyby zaczęli cię wypytywać, prawda?

– Prawda, nie mogłabym. Jeszcze by pomyśleli, że się uważam za Bóg wie kogo.

– No tak, no tak – w zamyśleniu powtórzył pułkownik i Nastia zorientowała się, że szef znów na kilka minut wyłączył się z rozmowy.

Wstała i starannie złożyła swoje notatki.

– Pójdę już, pułkowniku? – odezwała się półpytająco.

– No tak, no tak – znów powtórzył Gordiejew, nagle popatrzył na Nastię jakoś dziwnie i bardzo cicho powiedział: – Uważaj na siebie, Stasienko. Zostałaś mi tylko ty jedna.

Śledczy Olszański w przeciwieństwie do Gordiejewa był przyjazny i cały w uśmiechach, ale większość propozycji Nasti kategorycznie odrzucał. I Nastia domyślała się dlaczego. Przez pierwszy tydzień po wdrożeniu śledztwa w sprawie zabójstwa Jeriominej z Olszańskim pracowali Misza Docenko i Wołodia Łarcew. Docenkę śledczy traktował obojętnie, ale Łarcew był jego ulubieńcem, całkiem zresztą zasłużenie. Poza tym Olszański przyjaźnił się z Łarcewem prywatnie, bywali u siebie, a ich żony bardzo się lubiły. Kiedy półtora roku temu przy porodzie zmarła żona Łarcewa i nowo narodzone dziecko, i Wołodia został sam z dziesięcioletnią córeczką, właśnie Olszańscy pomogli mu uporać się z rozpaczą i jakoś ułożyć dalsze życie.

Ale śmierć żony wpłynęła nie tylko na życie osobiste Łarcewa. Odbiła się także na jego pracy. Wołodia nie mógł już poświęcać się całkowicie robocie i harować od rana do nocy, jak to było dawniej. Przybyło mu obowiązków i trosk i jego wydajność bardzo spadła, ponieważ usiłował w ciągu dnia załatwiać jakieś sprawy domowe, robić zakupy, zaglądać do domu, żeby się upewnić, czy wszystko w porządku, wieczorem wychodzić z pracy wcześniej, żeby sprawdzić, jak córka odrobiła lekcje, i przygotować jej jedzenie na cały następny dzień. Koledzy współczuli mu w nieszczęściu i wiele wybacжали, tym bardziej że jego kłopoty odbijały się głównie na ilości wykonywanej pracy, a nie na jej jakości. Ale Konstantin Michajłowicz Olszański, biorąc sobie bardzo do serca wszystko, co dotyczyło przyjaciela, wręcz chorobliwie reagował na każdą aluzję do tego, że Wołodia niekiedy opuszcza się w pracy. Z czysto ludzkiego punktu widzenia można by to zrozumieć, ale Nasti było przykro, że stała się w tej sytuacji kozłem ofiarnym.

– Ekspertyza taśmy jeszcze nie jest gotowa – powitał ją Olszański, gdy tylko przekroczyła próg.

Nastia wzięła od Kartaszowa nie tylko ostatnią kasetę, ale i dwie wcześniejsze, na których były bez wątpienia nagrania samej Wiki, i poprosiła śledczego, by wypytał eksperta o naturę niezrozumiałej luki i o to, czy na ostatniej kasecie jest nagranie głosu identycznego z próbkami numer cztery, jedenaście i czterdzieści sześć, zaznaczonymi na pozostałych dwóch kasetach. Uznała, że jeżeli już nie ufać Kartaszowowi, to całkowicie. Czyli że trzeba sprawdzić

wszystko od samego początku. Na wieść, że opinia ekspertów jeszcze nie jest gotowa, westchnęła rozczarowana.

– Szkoda. Tak na to liczyłam. Ale tak czy owak, Konstantinie Michajłowiczu, trzeba rozpracować Kartaszowa.

– Zgadzam się. – Olszański kiwnął głową. – Masz jakieś propozycje?

– Mam. Przede wszystkim trzeba dodatkowo przesłuchać przyjaciółkę Jeriominej, Kołobową, i tego psychiatrę. Potem jeszcze raz pogadać z rodzicami Kartaszowa i w ogóle ze wszystkimi, których przesłuchano w pierwszych dniach śledztwa.

O mało nie powiedziała: „Ze wszystkimi, których przesłuchiwał Łarcew”, ale w porę ugryzła się w język.

Śledczy się skrzywił.

– Co chcesz wyłowić z tych przesłuchań? I powiedz mi, z łaski swojej, jakież to pytania im zadasz poza tymi, które już zostały zadane?

Pytania te same, tylko podejrzewam, że odpowiedzi będą inne, odparła w duchu Nastia, ale znów się powstrzymała.

– Sprawa stoi w miejscu – ciągnął tymczasem Olszański – nic nowego nie wypływa, a ty ciągle usiłujesz stworzyć pozory pracy i robisz w kółko jedno i to samo po kilka razy. Gdzie ten twój słynny geniusz? Tyle się o tobie nasłuchałem pochwał, a jakoś nie dostrzegam twoich niezwykłych talentów. Zwykły szary wywiadowca jak tysiące innych. Więc bądź ze mną szczerą, Kamieńska. Powiedziałem ci właśnie parę przykrych słów, ale opieram się na tym, co widzę. A jeżeli czegoś nie widzę, to twoja wina. Uprzedzałem cię przecież, żebyś nie próbowała ściemniać. Przyznaj się, co ty przede mną ukrywasz?

Cierpliwość Nastii się wyczerpała. Nie, pomyślała, nie jestem Gretą Garbo. Nie nadaję się na aktorkę. Potrafię być tylko sobą, nie umiem udawać dłużej niż pięć minut. Postanowiła powiedzieć prawdę.

– Konstantinie Michajłowiczu, protokoły pierwszych przesłuchań to ewidentny gniot. Wiem, jak przykro panu to słyszeć, wiem, że Łarcew jest pańskim bliskim przyjacielem. Proszę mi wierzyć, znam go od lat, bardzo szanuję, mam do niego zaufanie i po prostu go lubię. Ale w obecnej sytuacji nasze emocje utrudniają normalną pracę. Przyznajmy oboje, że Łarcew sknocił sprawę, chciał wszystko

zrobić jak najszybciej i wyszła niedoróbka, którą trzeba po nim poprawiać. W rezultacie straciliśmy czas, który można było wykorzystać bardziej sensownie. Ale co teraz, mamy sobie rwać włosy z głowy? Co się stało, to się nie odstanie. Wołodia ma ciężkie życie, zastosujemy więc taryfę ulgową i spróbujemy naprawić to, co jeszcze jest do naprawienia. Chociaż pewnych rzeczy naprawić już się nie da. Proszę, niech pan nie przymyka na to oczu i nie udaje, że wszystko jest w porządku. Sam pan przecież widzi, że protokoły przesłuchań są zrobione źle. Jest pan doświadczonym śledczym, pan po prostu nie może tego nie dostrzegać. Podać panu przykłady?

– Nie trzeba. Jestem doświadczonym śledczym i sam wszystko widzę. Ale proszę cię, Anastazjo, niech to na razie zostanie między nami. Nie wiem, jak się zdobędę na to, żeby porozmawiać z Łarcewem, ale jeżeli już ktoś musi to zrobić, lepiej, żebym to był ja. Nie skarż się na niego Gordiejewowi, dobrze? Powinienem był sam wszystkich przesłuchać, kiedy zobaczyłem te cholerne protokoły, ale zaufałem Wołodźce, niech go wszyscy diabli. Niemożliwe, myślałem sobie, żeby przeoczył coś istotnego. Czy ty wiesz, ile spraw mam jednocześnie na warsztacie? Dwadzieścia siedem. Kiedy miałbym jeszcze prowadzić dodatkowe przesłuchania?!

Olszański nagle jakby się postarzał. Olśniewający uśmiech zgasł, w głosie pobrzmiwała rozpacz.

– Więc czemu się pan tak sprzeciwiał, jak tylko wspomniałam o powtórnych przesłuchaniach? – cicho zapytała Nastia. – Przecież wiedział pan, że mam rację. Chodziło panu o reputację Łarcewa?

– A co ty byś zrobiła na moim miejscu? Nie obchodziłaby cię reputacja przyjaciela? Tylko w filmach pracownicy wymiaru sprawiedliwości kierują się wyłącznie dobrem sprawy. A my jesteśmy żywymi ludźmi, wszyscy mamy swoje problemy, rodziny, choroby i po prostu zwykłe ludzkie uczucia. W tym także miłość. Sama wiesz, że znacznie łatwiej jest znajdować problemy, niż je rozwiązywać. No dobra, Anastazjo, pogódźmy się i do roboty. Kto ma przesłuchiwać?

– Czernyszew, Morozow i ja. I może jeszcze Misza Docenko.

– Morozow? Co to za jeden?

– Z komisariatu Pierowo, tam mieszkała Jeriomina. On też z nami pracuje.

– Morozow, Morozow... – zamruczał w zamyśleniu śledczy. – Gdzieś to nazwisko słyszałem... Zaraz, jak mu na imię? Przypadkiem nie Jewgienij?

– Tak, Jewgienij.

– Masywny, czerwona twarz, garbaty nos?

– Tak, to on. Zna go pan?

– Nie za bardzo, parę razy się z nim zetknąłem. Będziesz z nim miała krzyż pański.

– Dlaczego?

– Sporo pije i jest leniwy. A tupetu za trzech: myślałby kto, że my tu wszyscy baki zbijamy, tylko on pracuje ponad siły. Ale to już taki wredny charakter. A w ogóle to jest wcale niegłupi i zna się na robocie, oczywiście jeżeli ją wykonuje. Bo na ogół stara się wymigać.

– Jakoś sobie poradzę, Konstantinie Michajłowiczu, nie mam innego wyjścia. Sam pan przecież powiedział, że to nie kino, ale samo życie. Skąd wziąć dwudziestu bystrych wywiadowców, którzy na rozkaz rozbiegną się we wszystkie strony, a pod wieczór stawią z całym kompletem potrzebnych informacji, żeby śledczy mógł w jeden dzień ułożyć sobie pełny obraz? Tak w życiu nie bywa, sam pan wie. Zbieramy informacje po kawałku, po okruszku, wolniutko, łyżeczkę od herbaty na godzinę. Ja przecież zajmuję się tylko tym morderstwem, więcej spraw nie mam. A inni, proszę, ile dochodzeń prowadzą jednocześnie. Więc nawet leniwy Morozow to jakaś pomoc. Niech mnie pan nie straszy.

– Tak mi się tylko powiedziało...

Po wyjściu z prokuratury Nastia skierowała się do metra. Odczuwała ulgę na myśl, że porozmawiała z Olszańskim o Łarcewie, co złagodziło narastające napięcie w jej stosunkach ze śledczym. Jednocześnie jednak było jej smutno. Chyba nie potrafiłaby teraz powiedzieć, kogo jej żal najbardziej – Łarcewa, Olszańskiego czy samej siebie.

W łagodnym półmroku baru gawędzili trzej mężczyźni. Jeden pił wodę mineralną, dwaj pozostali kawę z likierem. Najmłodszy z nich był po czterdziestce, najstarszy miał sześćdziesiąt trzy lata, ludzie solidni, o nobliwym sposobie bycia. Niepalący – dbają o zdrowie. Rozmawiali przyciszonymi głosami.

– Co z naszą sprawą? – zapytał średni, w drogim angielskim garniturze, łysawy, mocno zbudowany mężczyzna o regularnych rysach.

– Mam wiarygodne informacje, że do sprawy włącza się nasz człowiek, więc proszę się nie denerwować, więcej potknięć nie będzie – odpowiedział niski starszy pan o pomarszczonej twarzy i świdrujących jasnych oczkach. Miał oczywiście imię i nazwisko, ale jego rozmówcy jakoś nigdy ich nie używali, woleli zwracać się do starego po prostu Arsen.

– Liczę na pana – odezwał się najmłodszy z rozmawiających, przysadzisty, brzydki mężczyzna z żelaznymi zębami w górnej szczęce. – Bardzo bym nie chciał tracić ludzi, wszyscy są prima sort.

– A ty jesteś dla nich kimś w rodzaju Ojca Chrzestnego? – Arsen uśmiechnął się. – Nie bój się, wujku Kola, twoim zuchom nic się nie stanie, o ile nie zrobią się zbyt bezczelni.

Mężczyzna o żelaznych zębach również się uśmiechnął. Uśmiech miał dziwny, nasuwający skojarzenie z transparentną szminką do ust: sztyfcik może być cytrynowożółty albo jadowicie zielony, a na ustach rozkwita nagle kolorem malinowym lub lilaróż. Zdawało się, że wujek Kola naciąga na twarz uśmiech człowieka silnego i pewnego siebie, a przez ten uśmiech prześwituje nieufność i niepokój.

– Mimo to chciałbym wiedzieć – z naleganiem w głosie wtrącił mężczyzna w angielskim garniturze – jak się przedstawia nasza sprawa?

– Praktycznie nie posuwa się naprzód, więc niech się pan przestanie tak trząść. – Arsen wzgardliwie skrzywił się. – Dziewczyna drepcze w miejscu, krok do przodu i dwa w tył. Niech pracuje, niech tyra na swoją pensję, do prawdy nie zbliżyła się nawet na krok.

– A jeżeli się zbliży?

– Po to właśnie jest przy niej nasz człowiek, żeby to kontrolować. Jeśli tylko dziewczyna wetknie nos tam, gdzie nie trzeba, zostanie przytrzymana za rękę, a my się o tym natychmiast dowiemy. Minał już prawie miesiąc i nic strasznego się nie stało. Musimy poczekać do trzeciego stycznia. Jeżeli do trzeciego stycznia nie wygrzebią nic, czego mogliby się uchwycić, sprawę wstrzymają i odłożą do sejfów, a wtedy już bankowo nikt w niej nie będzie grzebał. Są tak zaważeni robotą, że nie daj Boże. Nie mają kiedy zajmować się odłożonymi sprawami.

– Czy moi chłopcy będą do czegoś potrzebni? – spytał mężczyzna nazywany wujkiem Kola.

– Jak będą potrzebni, dam znać. A na razie niech siedzą cicho. I niech Bóg broni, żeby za coś podpadli milicji. Zwłaszcza ten... jak mu tam... co tak lubi szybką jazdę.

– Sławik?

– O, właśnie. Powiedz mu, żeby wstawił samochód do garażu i jeździł metrem. Tylko tego brakowało, żeby ten kretyn dał się złapać drogówce.

– Dopilnuję tego. – Wujek Kola kiwnął głową. – Coś jeszcze?

– To wszystko. Jak będę czegoś potrzebował, dam znać, nie ma obawy.

Arsen rzucił okiem na zegarek i wstał. Jego rozmówcy także się podnieśli. Wszyscy trzej bez pośpiechu ruszyli do wyjścia. Najmłodszy, wujek Kola, wsiadł do nierzucającego się w oczy żiguli, angielski garnitur odjechał beżową wołgą, a stary, chuderławy Arsen, kuląc się z zimna w lekkim płaszczu, skierował się na przystanek trolejbusowy.

Rozdział 4

Co trzyma ludzi przy sobie? Co sprawia, że są razem? Nieprzewyciężony pociąg? Czy po prostu wygodnictwo?

Po wysłuchaniu relacji Andrieja Czernyszewa z jego rozmowy z Olgą Kołobową, z domu Agapową, Nastia wciąż się zastanawiała, czy nowe fakty przemawiają za Borysem Kartaszowem, czy świadczą na jego niekorzyść.

Lola Agapowa pracowała z Wiką Jeriominą przy remoncie w mieszkaniu sąsiadów Kartaszowa. Borys poznał obie dziewczyny jednocześnie, przy czym, praktycznie uznawszy, że olśniewająco piękna Wika jest z pewnością szczerze „obstawiona”, od razu zainteresował się ładniutką Lolą. Była mniej skomplikowana, bez szczególnych ambicji i jakaś taka „domowa”. Borys początkowo zastanawiał się nawet, czyby się nie ożenić z miłą, gospodarną i nieobarczoną krewnymi wychowanką domu dziecka. Lola nie miała pociągu do alkoholu, nie paliła i na pewno mogłaby mu urodzić zdrowe, ładne dziecko. Bardzo szybko jednak banalna sytuacja mezaliansu z rozsądku stała się jeszcze bardziej banalnym miłosnym trójkątem: do akcji wkroczyła przebojowa i pewna siebie Wika, która bez skrupułów zaciągnęła malarza do łóżka niemalże na oczach przyjaciółki. Borys poważnie się zaangażował, a nieśmiała Lola pokornie usunęła się w cień, jak zwykle ustępując pierwszeństwa ładniejszej Wice. Wszystko, co opowiadał Kartaszow o „filizankach herbaty” i „obiadach gotowanych dla mężczyzny”, było prawdą, ale nie całą.

Jakiś czas później Lola Agapowa zaręczyła się z Wasią Kołobowem i między nią, Wiką i Borysem zaczęło narastać napięcie. Piękna szczęściara Wika nie posiadała się ze złości, że Lolce, która od lat, jeszcze z czasów sierocińca, była jej „dublerką”, udało się złapać męża wcześniej niż jej samej. Lola cierpiała w milczeniu, zakochana w Borysie, i doskonale zdawała sobie sprawę, że wychodzi za mąż tylko dla papierka. Borys natomiast robił sobie wyrzuty, że był tak głupi i słaby, przeklinał dzień, w którym

pozwolił, by prymitywne instynkty wzięły górę nad rozsądkiem, i zbierał siły, by za wszelką cenę wyperswadować Loli to małżeństwo, widział bowiem, że dziewczyna nie kocha narzeczonego, i czuł, że za tym wszystkim stoi nie tylko brak nadziei na poślubienie jego, Borysa, ale także głupie, dziecinne pragnienie, by choć raz w życiu w czymkolwiek przewyższyć piękną Wikę. Na tydzień przed ślubem Lola przysłała do Kartaszowa i powiedziała:

– Boria, zrób mi prezent ślubny.

I Borys zrobił byłej kochance prezent, o który prosiła: cały tydzień, pełen uniesień i namiętności.

– Jak ja bym chciała, żeby Wika się dowiedziała – marzycielsko mówiła Lola, przeciągając się w pościeli. – Żeby ją tak zabolalo jak mnie, kiedy zobaczyłam was razem na tej samej kanapie.

– Nie pleć głupstw – uspokajał ją Borys, wewnątrz lodowaciejąc. Nie był zbyt odważny i perspektywa konfrontacji z gwałtowną, nieokiełznaną Wiką wcale mu się nie uśmiechała.

Mimo to jednak nawet wtedy namawiał Lole, by się opamiętała i rzuciła Wasię Kołobowa, póki nie jest za późno.

– A ożenisz się ze mną? – spytała któregoś dnia Lola. – Jeżeli pogonisz Wikę i ożenisz się ze mną, pošlę Waškę do wszystkich diabłów.

Szykowała się do pracy i stała, już ubrana, przed lustrem, nakładając róż na policzki.

– Daję ci dzień do namysłu. – Uśmiechnęła się. – Kiedy wrócę z pracy, powiesz mi „tak” albo „nie”. Jeżeli „tak”, w porządku, wesela za dwa dni nie będzie. Natomiast jeżeli „nie”, to wybaczone, ale nie chcę słyszeć o Kołobowie żadnego złego słowa. Zrozumiałeś, złotko?

Im bliżej było do końca roboczego dnia, tym jaśniej Borys sobie uświadamiał, że zabraknie mu sił, by się rozstać z Wiką. Kiedy wzajemne stosunki układają się same, to zupełnie co innego, niż kiedy trzeba je układać i regulować świadomie. Co ma powiedzieć Wice? „Było mi z tobą dobrze przez cały rok, a teraz jest mi źle”? Kretyństwo. „Jeszcze kilka dni temu wszystko było w porządku, a teraz żenię się z twoją przyjaciółką. Nie miałem nic przeciwko temu, kiedy mnie uwiodłaś, bo jesteś bardzo ładna, ale po roku zrozumiałem, że stanowisz dokładne przeciwieństwo tego, czego

potrzebuję, że z tobą nie da się założyć rodziny i mieć dzieci”. Brednie. A poza tym Lola wychodzi za mąż, układa sobie życie, a jeśli on opuści Wikę, co się z nią stanie, z tym jej charakterem? Nie, szkoda słów, tylko w książkach wygląda to tak prosto: rzucił jedną, ożenił się z drugą. W życiu wszystko jest o wiele bardziej złożone.

Tak więc Wika została z Borysem, a Lola zamieniła nazwisko Agapowa na Kołobowa. Kartaszow był na swój sposób przywiązany do postrzelonej i niestałej Wiki, traktował ją jak głupiutkie dziecko, którego nie można spuścić z oka i które jeśli akurat nie psoci, potrafi dać człowiekowi cudownie radosne chwile ciepła, dobra i czułości. Borys czuł się nawet w jakiś sposób odpowiedzialny za swoją dziewczynę, stale się niepokoił, że Wika wpakuje się w coś głupiego, i rozczulał się niemal do łez, słysząc w telefonie jej nietrzeźwy głos: „Borieńka, kochany, nie denerwuj się, ze mną wszystko okej”.

Im bardziej psuły się stosunki między Lolą i jej mężem, tym lepiej układało się między przyjaciółkami. Wika z czasem przestała się wściekać, widząc, że nie ma czego zazdrościć, Lola zaś była zadowolona, że Borys, chociaż nie zdecydował się z nią ożenić, swojego związku z Wiką także nie zamierza zalegalizować. Od czasu do czasu, kiedy Wika wpadała w kolejny ciąg albo wyjeżdżała dokądś z klientem, Borys spotykał się z Lolą, nie widząc w tym nic złego i pocieszając się myślą, że oboje zostali oszukani: Lola – przez męża, on – przez Wikę. I tak to trwało do października, kiedy Wika zniknęła...

Zobacz, jaki się z tego wyłania obrazek. Kołobowa gotowa jest w każdej chwili rzucić męża dla Borysa, ale ten nie może się uwolnić od Wiki Jeriominej, brak mu charakteru. A śmierć Wiki upraszcza sprawę, nie uważasz?

Nastia rozsiadła się wygodniej na ławce i wyjęła papierosa. Andriej Czernyszew odpiął smycz, surowo polecił psu: „Nie odchodź daleko” i odwrócił się do Nasti.

– Myślisz, że Kołobowa ma coś wspólnego z zabójstwem Jeriominej?

– Albo ona, albo Kartaszow, albo oboje razem. Zmyślili rozzwierającą historyjkę o chorobie psychicznej Wiki i tym chcą

uzasadnić jej zniknięcie. Co ty na to? Taka hipoteza jest bardzo prawdopodobna. I zeznania Kołobowej, że rozmawiała z Wiką w piątek dwudziestego drugiego października późnym wieczorem, też mogą być kłamstwem. Sprawdzić tego się nie da, męża Kołobowej w tym czasie nie było w domu. Niezrozumiałe jest tylko to, gdzie się podziewała Jeriomina przez cały tydzień. Od trzynastego do trzydziestego października nikt jej nie widział, a patolog twierdzi, że została zabita trzydziestego pierwszego października albo pierwszego listopada. Trzeba jak najstaranniej sprawdzić, gdzie przez ten tydzień byli Kartaszow i Kołobowa. Krok po kroku, minuta po minucie.

– Minął już cały miesiąc. – Andriej z powątpiewaniem pokręcił głową. – Kto sobie teraz dokładnie przypomni, gdzie i kiedy ich widział, o czym z nimi rozmawiał... Zero szans.

– Wyżebrałam u Pączka Michaiła Docenkę, to nasz mistrz w takich sprawach. Człowiek nawet gdyby nie chciał, to sobie przypomni.

– Wali po łbie, czy jak? – roześmiał się Czernyszew.

– Nie śmieję się. Nie widziałeś Miszy w akcji. Specjalnie się tego uczył, przeczytał kupę książek na temat kłopotów z pamięcią i mnemotechniki. Bardzo nam się przyda.

– Cóż, daj Boże – zgodził się Andriej – nie mam nic przeciwko temu. A dlaczego nie pytasz mnie o okręg południowo-zachodni?

– A jest tam coś ciekawego? – Nastia aż podskoczyła.

– Niestety, nie. Zwykły wypadek. Z każdym dniem jest ich coraz więcej. Kierowca potrąca pieszego i ucieka z miejsca wypadku. Cicha uliczka, późna noc, świadków nie ma. Mieszkańcy okolicznych domów niczego nie widzieli i pisku hamulców nie słyszeli. Śladów hamowania na jezdni nie znaleziono, chociaż przy tak paskudnej pogodzie i tak by ich nie było widać: wody po kostki. Na ubraniu zabitego Kosara wykryto mikroślady lakieru samochodowego. Samochód dwa razy przemalowywano, najpierw był niebieski, potem czekoladowobrązowy, a teraz – tak zwany grafit. No i to już wszystko. Zdaniem ekspertów, usytuowanie obrażeń świadczy o tym, że wóz był prawdopodobnie nasz, krajowy, a nie zagraniczny. Nic więcej nie wiadomo.

– A sam Kosar? Kim był?

– Walentin Pietrowicz Kosar, lat czterdzieści dwa, wykształcenie wyższe medyczne, ale w swojej specjalności pracował tylko cztery lata, potem został redaktorem w wydawnictwie „Medycyna”. No i trzymał się już później branży wydawniczej, pracował w miesięczniku „Zdrowie”, a w ostatnich latach zajął się działalnością komercyjną, wydawał popularne broszury o ziołolecznictwie, uzdrawianiu, bioenergoterapii. Jego ostatnie stanowisko, zastępca redaktora naczelnego tygodnika „Gospodyni”, przeznaczonego dla emerytek i gospodyń domowych. Przepisy, porady, ploteczki, opowiadania kryminalne, szczegółowy program telewizyjny i tym podobne. Żonaty, dwoje dzieci.

– Smutne – westchnęła Nastia. – Szkoda faceta. Będziemy musieli odtworzyć cały łańcuszek na podstawie zeznań Kartaszowa i lekarza.

– Myślisz, że to coś da?

– Kto wie? Ale trzeba próbować. Kartaszow musiał jakoś wytłumaczyć Kosarowi, po co mu konsultacja psychiatry. A Kosar z kolei, umawiając się wstępnie z lekarzem, mógł mu przecież wspomnieć, jaki problem ma jego znajomy. A nuż Kartaszow powiedział Kosarowi cokolwiek, choćby jedno słowo, które nie pasuje do legendy o chorobie Wiki. Dzisiaj o wpół do szóstej spotykam się z tym psychiatrą.

Owczarek Kiriłł, nabiegawszy się do woli, podszedł do swego pana i grzecznie usiadł przy jego nogach, kładąc mu łeb na kolanach.

– Ależ on jest ogromny – z szacunkiem powiedziała Nastia. – Jego wyżywienie musi masę kosztować.

– Co prawda, to prawda – przytaknął Andriej, skrobiąc psa za uchem. – Właściwe żywienie takiego psa pochłania horrendalne sumy.

– I jak sobie z tym radzisz?

– Z trudem. Widzisz, w czym chodzę? – wskazał na stare dzinsy, nie pierwszej świeżości kurtkę i znoszone, choć starannie wypastowane buty. – Nie piję, nie palę, nie chodzę po restauracjach, nie jadam w stołówce, zabieram z domu kanapki. System surowych wyrzeczeń! – Roześmiał się. – Co prawda, moja Irina zarabia dwa razy więcej niż ja. Ona mnie żywi i ubiera, a moja działka – to samochód i Kiriłł.

– Masz szczęście. Ale co ma zrobić ktoś, kto nie ma takiej Iriny? Przecież przy naszych pensjach nie można sobie pozwolić ani na samochód, ani na dużego psa. I do śmierci będziemy żyć w tej nędzy. No dobra, do roboty.

Rozmowa z lekarzem, u którego Borys Kartaszow zasięgał porady w sprawie Wiki, właściwie nie wniosła nic nowego, poza tym, że Nastia jeszcze raz się przekonała o nierzetelności swego kolegi Wołodi Łarcewa. Już kiedy po raz pierwszy czytała protokół z przesłuchania doktora nauk medycznych Maslennikowa, zaniepokoił ją fakt, że lekarz z takim przekonaniem postawił diagnozę zaocznie. O ile jej było wiadomo, lekarze nigdy tego nie robią, zwłaszcza psychiatrzy. Sądząc zaś z protokołu, doktor Maslennikow nie miał żadnych wątpliwości, że Jeriomina jest rzeczywiście poważnie chora i należy ją pilnie hospitalizować.

– Co pani? – Psychiatra aż zamachał rękami, kiedy Nastia go o to spytała. – To byłby straszny błąd. Proszę pani, my w takich wypadkach wijemy się jak piskorz, bez końca wtrącamy „być może”, „w pewnych przypadkach”, „bardzo możliwe”, „niekiedy tak się zdarza” i tak dalej, staramy się za wszelką cenę nie powiedzieć nic konkretnego. Żeby postawić diagnozę, musimy co najmniej przez miesiąc obserwować chorego, najlepiej w szpitalu, a zdarza się, że i wtedy nie możemy stwierdzić z całą pewnością, no a już stawiać diagnozę, nie widząc pacjenta – pani wybaczy. Żaden porządny lekarz na coś takiego by sobie nie pozwolił.

– To pański podpis?

Nastia podała Maslennikowowi protokół, sporządzony przez Łarcewa.

– Mój. Coś nie w porządku?

– Czy przeczytał pan protokół przed podpisaniem?

– Uczciwie mówiąc, nie. Nie miałem podstaw, żeby nie ufać pani koledze. A o co chodzi?

– Proszę przeczytać i powiedzieć, co się panu w tym protokole nie podoba.

Lekarz zagłębił się w protokół, napisany drobnym, nieczytelnym pismem Wołodi Łarcewa. W połowie drugiej stronicy z rozdrażnieniem rzucił kartki na stół.

– Skąd się to wzięło? – zapytał zły. – Mówiłem zupełnie co innego. Proszę spojrzeć, tu jest napisane: „Pańską znajomą należy natychmiast hospitalizować, ponieważ jest ona o krok od ciężkiej choroby psychicznej”. Tak miałem powiedzieć Kartaszowowi. Ale w rzeczywistości powiedziałem mu, że jego znajomą koniecznie trzeba zaprowadzić do lekarza. Niewykluczone, że jest chora, i lekarz powie, czy należy ją leczyć. Powinien się jednak przygotować na to, że jeżeli lekarz zdiagnozuje u niej początki poważnej choroby psychicznej, będzie musiał pilnie umieścić ją w szpitalu. Widzi pani różnicę? Pani kolega usunął z moich zeznań wszystkie wątpliwości i w ogóle wyrzucił wszystko do góry nogami. A to? „Taki stan określany jest jako zespół Kandinskiego-Clerambaulta”. Skąd miałbym dokładnie znać jej stan?! Przecież nie widziałem jej na oczy! Pamiętam, że powiedziałem: „Symptomy, które mi pan opisał, mogą wskazywać na zespół...”. Nie, zupełnie nie rozumiem, jak można było tak wypaczyć moje słowa!

Maslennikow rozzłościł się nie na żarty. A Nastia, znów w roli kozła ofiarnego, na którym wszyscy wyładowują swoje frustracje, poczuła, jak wzbiera w niej gniew na Łarcewa. Można w pośpiechu skrócić relację, ale nie wolno przeinaczać zeznań!

– Zapiszmy zeznanie jeszcze raz – powiedziała ugodowo. – Postaram się notować wszystko słowo w słowo, a pan potem uważnie przeczyta. Jak się to wszystko zaczęło?

– W październiku zwrócił się do mnie mój dawny kolega ze studiów Walentin Kosar i poprosił, żebym przyjął jego znajomego Borysa Kartaszowa, który chce zasięgnąć porady. Kosar powiedział mi, że Borys jest zaniepokojony stanem zdrowia swojej przyjaciółki, która obsesyjnie utrzymuje, że ktoś podpatrzył jej sen i oddziałuje na nią za pomocą radia...

Nastia starannie zapisywała zeznania doktora Maslennikowa, rozmyślając z przygnębieniem, że znów wyciągnęła pusty los. Nie znalazła żadnych rozbieżności między zeznaniami Kartaszowa i Maslennikowa. Nie oczyszczało to bynajmniej malarza z podejrzeń, ale nic, której Nastia chciała się uchwycić, znów wymknęła jej się z palców. Oj, Łarcew, Łarcew! Czemu nie poświęciłeś dodatkowej godzinki na rozmowę z Kołobową? Dlaczego nie zwróciłeś uwagi na automatyczną sekretarkę w mieszkaniu Kartaszowa? Czemu nie

sprawdziłeś, jak Kartaszow trafił na doktora Maslennikowa? Cały miesiąc poszedł na marne. Sprawdzenie hipotezy o zniknięciu Wiktorii Jeriominej spowodowanym chorobą psychiczną wymagało ogromnych wysiłków, a wszystko dlatego, że ciebie, Łarcew, wciągnęła ta hipoteza i protokoły robiłeś „pod nią”, lekceważąc nieistotne, twoim zdaniem, szczegóły, na które po prostu zabrakło ci czasu. Oczywiście, niewykluczone, że właśnie ta hipoteza jest słuszna, równolegle jednak można było sprawdzić też inne, ale by je wysunąć, zabrakło właśnie tych informacji, które odrzuciłeś. Tak, jesteś tylko człowiekiem, ciągle martwisz się o córkę, która siedzi w domu sama i nad którą możesz stracić kontrolę, no a...

Nastia zakończyła protokół i podała go Maslennikowowi.

– Proszę przeczytać. Jeżeli nie spodoba się panu choćby jedno słowo, wprowadzimy poprawkę. Potem niech pan podpisze każdą stronę. Czy mogę skorzystać z telefonu?

– Proszę bardzo. – Lekarz podsunął jej aparat. – Przez dziewięć.

Nastia wybrała numer Olszańskiego.

– Tu Kamieńska, dobry wieczór. Ma pan coś dla mnie?

– Mam – rozległ się w słuchawce tenorek śledczego. – Przyszły wyniki badań taśmy.

– I co tam jest? – Serce Nasti zamarło na chwilę, po czym zaczęło niespokojnie bić.

– Nagranie na kasecie numer jeden zostało skasowane. Wśród pozostałych nagrań na tej kasecie głosu Jeriominej nie ma. Zadowolona?

– Nie wiem. Muszę pomyśleć.

– A myśl, myśl. Jutro nie będzie mnie cały dzień, jadę na wizję lokalną. W razie nagłej potrzeby znajdziesz mnie przez milicję okręgu północnego, komisariat Otradne.

Ze szpitala psychiatrycznego numer piętnaście, gdzie pracował doktor Maslennikow, Nastia pojechała do siebie do domu, na Szosę Szczełkowską. Przez całą długą drogę zdążyła jeszcze raz utwierdzić się w przekonaniu, że podejrzania wobec Borysa Kartaszowa bynajmniej nie są bezpodstawne. Gdyby komukolwiek poza samym Kartaszowem zależało na starciu nagrania z taśmy, to albo po prostu wykasowałby wszystko, albo ukradł tę nieszczęsną kasetę. Ale Borys, który zachowuje stare nagrania na wszelki wypadek, nigdy by tak

nie postąpił. To właśnie w jego stylu – skasować jedno, jedyne nagranie, akurat to, które może wskazać na jego udział w zabójstwie Wiki, a pozostałe zachować na „wszelki wypadek”. Nastia była prawie pewna, że usunięte nagranie rzucało światło na sprawę zniknięcia dziewczyny.

Nastia przekazała Gordiejewowi kartkę z kolejnym poleceniem dla Miszy Docenki i zamknęła się w swoim gabinecie. Dzisiejszy dzień postanowiła spędzić nie w rozjazdach po mieście, ale za biurkiem. Musiała uporządkować myśli, a wszystkie zebrane informacje jakoś usystematyzować.

Włączyła czajnik, wyjęła z szuflady puszkę rozpuszczalnej kawy i pudełko z cukrem, przysunęła sobie popielniczkę, rozłożyła kilka arkuszy papieru, napisała na każdym zrozumiały tylko dla niej nagłówek i pogrążyła się w pracy.

Czas płynął, popielniczka napelniała się niedopałkami, arkusze pokrywały się zdaniem, pojedynczymi słowami, kwadracikami, kółeczkami i strzałkami...

Kiedy zapukano do drzwi, Nastia postanowiła nie otwierać. Jeżeli będzie jej potrzebował szef, to zadzwoni na wewnętrzny numer. A rozmawiać z kolegami trochę się bała. Wolała unikać sytuacji, w których miałyby patrzeć komuś w oczy i miło się uśmiechać, a w duchu myśleć: czy przypadkiem nie jesteś tym, o którym mówił Pączek?

Ale gość za drzwiami nie rezygnował, nadal uparcie pukał. Nastia podeszła do drzwi i przekręciła klucz w zamku. Na progu stał Wołodia Łarcew.

– Przepraszam cię, Aśka, muszę pilnie zadzwonić, a w naszym pokoju Korotkow wisi na telefonie.

Łarcew miał wpadnięte oczy, wyraźnie schudł przez ostatni rok, twarz mu poszarzała. Kiedy wykrecał numer, Nastia zauważyła, że trzęsą mu się ręce.

– Nadia? Gdzieś ty była... Dzisiaj miałaś pięć lekcji, powinnaś była przyjść o wpół do drugiej... Aha, no dobrze... Obiad zjadłaś?... Dlaczego?... Dopiero co weszłaś?... A stopnie?... Brawo... Mądra dziewczynka... Dlaczego dwójka z geografii?... Nie miałaś map konturowych?... Nie szkodzi, córeńko, jakoś to będzie, postaram się

kupić, obiecuję... Do jakiej koleżanki?... Co za Julia? Z twojej klasy?... Z sąsiedztwa? A jak się poznałyście?... Na podwórku? Kiedy?... Nadiusza, a może lepiej niech ona przyjdzie do nas, co? Pobawcie się u nas... Ach, w gry komputerowe?... Wobec tego dobrze. Ta Julia ma telefon?... Nie wiesz?... A jak się nazywa?... Też nie wiesz... A chociaż adres, numer mieszkania... Też nie? No dobra, to umówmy się tak. Zjedz teraz obiad, a ja do ciebie zadzwonię za pół godziny i wtedy zdecydujemy co do Julii. I nie zapomnij, na oknie stoi garnek z kompotem. Na razie!

Łarcew odłożył słuchawkę i przeprasząco popatrzył na Nastię.

– Jeszcze jeden telefon, dobrze?

– Dzwon. Zachowujesz się jak cerber, Wołodźka. Dlaczego dziecku nie wolno pójść do koleżanki pograć w gry komputerowe?

– Dlatego że muszę dokładnie wiedzieć, dokąd i po co Nadia wychodzi i jak będzie wracać do domu. O piątej jest już ciemno. Halo! Jekatierina Aleksiejewna? Dzień dobry, tu ojciec Nadi Łarcewej. Przepraszam, że przeszkadzam, ale czy nie zna pani przypadkiem w naszym domu rodziny, w której jest jedenastoletnia dziewczynka, Julia? Obrazcowowie? A kto to taki? Zna pani może ich telefon i numer mieszkania?... Dziękuję, serdecznie dziękuję, Jekatierino Aleksiejewno. I jeszcze jedno: czy w ciągu dnia jest tam ktoś z dorosłych?... Babcia? A imię?... Jeszcze raz serdecznie dziękuję. Jest pani moim aniołem opiekuńczym, co ja bym bez pani zrobił! Do widzenia!

– No, to był dopiero pokaz zdolności detektywistycznych – zachwyciła się Nastia. – Warto by je wykorzystać w służbie społeczeństwu.

I natychmiast ugryzła się w język. Wcale nie zamierzała omawiać z Łarcewem jego wyników w pracy, zwłaszcza w ostatnim miesiącu. Dała słowo Olszańskiemu, że nie będzie przeprowadzać żadnych rozmów z Wołodią. Poza tym taka rozmowa bez wątplenia doprowadziłaby do omawiania szczegółów zamordowania Jeriominej, a tego zabronił Nasti Gordiejew. Ale Łarcew chyba nawet nie zauważył, że coś jej się wymyskło.

– Jak sama będziesz miała jedenastoletnią córkę, to mnie zrozumiesz. Codziennie wbijam jej do głowy podstawowe prawdy o nieznanym panach i paniach, a i tak, jeżeli wraca ze szkoły

choćby o dziesięć minut spóźniona, zaczynam umierać ze strachu. W kółko przynudzam: nie przebiegaj przez jezdnię przed samochodem, przechodź tylko tam, gdzie jest sygnalizacja świetlna, najpierw spójrz na lewo, potem na prawo, autobus obchodź z tyłu, tramwaj – z przodu. A sam przez cały dzień trzęsę się jak osika, wyobrażając ją sobie pod kołami... Och, Aśka – głos mu się załamał, oczy zdradliwie zwilgotniały – nikomu nie życzę takiej męki dzień w dzień. Już przeżyłem stratę żony i dziecka, następnej tragedii nie zniosę... Mogę jeszcze zadzwonić?

– Po co w ogóle pytasz? Dzwon.

Wołodia przedstawił się babci małej Juli, właścicielki komputera, i wymógł na niej solenną obietnicę, że Nadiusza Łarcewa albo wróci przed zmrokiem, albo odprowadzi ją do mieszkania ktoś dorosły. Następnie zadzwonił do córki i dał jej swe ojcowskie przyzwolenie na wizytę u koleżanki. Nastia patrzyła na niego i myślała, że trzeba być kompletnie bez serca, żeby mu zarzucać złą pracę. Nie, Olszański nie zdobędzie się na to, żeby porozmawiać z Łarcewem. I ona też się na to nie zdobędzie.

Widząc z daleka znajomą rudą czuprynę, Nastia bardzo się zdziwiła. Chyba po raz pierwszy od lat Losza Czistiakow przyszedł punktualnie. Umówili się na stacji metra, żeby razem pójść z wizytą do ojczyma Nasti. Leonid Pietrowicz zgodnie z obietnicą chciał poznać Nastię z kobietą, która osładzała mu słomiane wdowieństwo.

Sama Nastia nigdy w życiu nigdzie się nie spóźniła. Leniwa i powolna, nie lubiła szybko chodzić, a o tym, żeby podbiec do autobusu, nie mogła nawet marzyć. Była dość słabego zdrowia i czasem w zaduchu i tłoku robiło jej się tak niedobrze, że musiała wysiąść z autobusu albo wagonu metra, nie dojechawszy do właściwego przystanku, i posiedzieć na ławce, trzymając przy twarzy fiolkę z amoniakiem, którą zawsze miała przy sobie. Znając swoje ograniczenia, Nastia planowała trasy przejazdów z dużym zapasem czasu i zazwyczaj przychodziła za wcześnie. Za to o jej przyjacielu Loszy Czistiakowie nie dałoby się tego powiedzieć. Utalentowany matematyk, który przed trzydziestką zrobił habilitację, Losza był po profesorsku roztargniony i zapominalski,

i niekiedy doprowadzał Nastię do szału, myląc piątek z piątym dniem miesiąca, a Bibiriewo z Biriulewem.

– Nie wierzę własnym oczom – powiedziała Nastia, całując go w policzek. – Dlaczego się nie spóźniłeś jak zwykle?

– Nieszczęśliwy wypadek. To się już nie powtórzy.

Czistiakow żartobliwie potarł ją za ucho, po czym wziął pod rękę i szybko poprowadził do ruchomych schodów.

– Jesteś jakaś smutna, staruszko. Coś się stało? – zapytał, kiedy szli ciemnymi zaułkami od stacji metra do domu rodziców Nastii.

– Jestem spięta – krótko odparła Nastia.

– Dlaczego? Z powodu tej kobiety?

– Uhm.

– Przecież sama chciałaś ją poznać.

– No tak, ale... Denerwuję się, sama nie wiem dlaczego. A jeżeli ona mi się spodoba?

– I co w tym złego?

– A mama? Będę musiała jakoś wypośredkować moje stosunki z nią i z tą panią.

– Przeginasz, Aśka. A jeśli ci się nie spodoba, to będziesz musiała zrewidować swój stosunek do Loni, tak?

– Właśnie. I w ogóle sytuacja jest jakaś taka... Dwuznaczna. Może niepotrzebnie to zaaranżowałam?

– Skoro zaaranżowałaś, to znaczy, że potrzebnie. Jesteś mądrą dziewczyną i niczego nie robisz niepotrzebnie. Przestań się szarpać.

– Nie pocieszaj mnie, Loszyk. Wszystko mi się w środku trzęsie. Zatrzymajmy się na chwilę, muszę zapalić.

– Słuchaj, czy ty w ogóle kiedyś dorośniesz? Zachowujesz się jak mała dziewczynka: lubisz, nie lubisz, podoba się, nie podoba.

Zatrzymali się przy bramie domu rodziców. Nastia usiadła na ławce i wyciągnęła z torebki papierosy. Zaciągnęła się głęboko, ujęła rękę Loszy i przytuliła ją sobie do policzka.

– Jestem głupia, Loszyk, prawda? Proszę, przekonaj mnie, powiedz coś mądrego, żebym się uspokoiła. Czuję się tak, jakbym zdradzała mamę. Wstyd mi.

Losza usiadł obok i czule objął Nastię za ramiona.

– Naprawdę dzieciak z ciebie, Aśka. Skończyłaś trzydzieści trzy lata, a ciągle jeszcze pojęcia nie masz, co to jest rodzina

i małżeństwo.

– A ty masz? Też mi się znalazł specjalista od spraw rodziny i życia małżeńskiego. Przecież jesteś starym kawalerem.

– Ja to co innego. Do tej pory mieszkam z rodzicami i każdego dnia obserwuję ich życie. A ty już od dawna mieszkasz sama i zapomniałaś, jak to jest codziennie, całymi latami dzielić z kimś mieszkanie i życiowe problemy. I łoże, nawiasem mówiąc. Więc przestań się gryźć z góry. Dopalaj szybciej i idziemy.

– Loszyk, wiesz, o czym pomyślałam?

– Że gdybyś wtedy nie przerwała ciąży, nasze dziecko miałoby teraz już trzynaście lat.

– Skąd wiedziałeś?

– Sam teraz o tym pomyślałem. A poza tym, Asieńko, znamy się już prawie dwadzieścia lat. Nauczyłem się czytać w twoich myślach.

– Tak? No to czytaj dalej.

– Pomyślałaś, że gdybyś urodziła dziecko i wyszła za mnie, to teraz nie gryzłabyś się myślą, czy to etyczne zawierać znajomość i siedzieć przy jednym stole z kochanką ojczyma, który nadal pozostaje mężem twojej matki. Po prostu nie miałabyś do tego głowy. A może nawet twoje nastawienie do tej sprawy byłoby zupełnie inne. Mam rację?

– Loszyk, powiedz ci coś?

– Mów i chodźmy, bo już cały skostniałem, czekając, aż się przestaniesz denerwować.

Wstał z ławki i pociągnął Nastię za rękę. Podniosła się powoli.

– No, co mi miałaś powiedzieć? – zapytał z uśmiechem.

– Bardzo cię kocham. Ale czasem mnie przerażasz.

– Wszystko to kłamstwo – cicho odparł Losza i delikatnie pogładził ją po policzku. – Gdybyś mnie kochała, to nie trzymałabyś mnie na zimnie, na ulicy, kiedy czekają na nas pyszne kurczęta twojego taty. A taki, co potrafiłby cię przerazić, jeszcze się nie narodził.

Nastia wsłuchiwała się w równy oddech Loszy. Chyba zasnął, pomyślała. – Ale dlaczego natura tak nierówno rozdziela swoje łaski? Jedni doliczą do dziesięciu i już śpią. A inni, jak ja, bez środków nasennych mogą przeleżeć do świtu i nie zmrużyć oka.

Wstała, narzuciła ciepły welurowy szlafrok i na palcach wyszła do kuchni. Mimo że kaloryfery grzały na całego, w mieszkaniu było zimno, ponieważ okna i drzwi balkonowe były nieszczelne – ziały w nich ogromne szpary. Nie miał kto zrobić z tym porządku, a pozatykać szpar wata lub gąbką Nasti jak zwykle się nie chciało. Zapaliła na kuchence wszystkie cztery palniki i po paru minutach w kuchni zapanowało duszne ciepło.

Rozpamiętywała wydarzenia minionego wieczoru, Losza ma rację: nie należy mieszać relacji rodziców i dzieci z relacjami rodziców z innymi ludźmi. Napięcie, jakie czuła Nastia jeszcze przed drzwiami ojcowskiego mieszkania, powoli ustąpiło, przyjaciółka Leonida Pietrowicza okazała się bardzo sympatyczna, zupełnie niepodobna do matki, Nadieżdy Rostisławowny. Loszka starał się ze wszystkich sił być dowcipny i szarmancki, co mu się zresztą całkowicie udało. W każdym razie nową znajomą całkowicie oczarował. Ojczym był chyba ze wszystkiego zadowolony, podał wyborne kurczaki po gruzińsku, nie pozwalał sobie wobec swej damy na żadne intymne i zbyt zażyłe gesty, i pod koniec Nasti zupełnie „odpuściło”. Ale niejasne poczucie winy wobec matki dawało o sobie znać nawet teraz.

Niepewnie podniosła słuchawkę i wybrała długi kierunkowy oraz numer w dalekiej Szwecji, gdzie nie było jeszcze tak późno jak w Moskwie.

– Nastia? Co się stało? – spytała z niepokojem Nadieżda Rostisławowna.

– Nic się nie stało. Po prostu dawno nie dzwoniłaś.

– U ciebie wszystko w porządku? – wypytywała dalej matka: bardzo dziwne było to, że córka sama do niej zadzwoniła, i to jeszcze o takiej porze.

– W porządku, mamó, nie denerwuj się. U mnie wszystko dobrze.

– A u ojca?

– U ojca też. Byliśmy u niego dzisiaj z Loszką. Zrobił niesamowite kurczęta.

– Nie oszukujesz mnie? Na pewno wszystko u was w porządku?

– Na pewno. Czy naprawdę koniecznie musi się coś stać, żebyśmy do siebie zadzwoniły? Po prostu się stęskniłam.

– Ja też za tobą tęsknię, córeczko. Co słychać w pracy?

– To, co zwykle. Dwunastego grudnia lecę do Rzymu z naszą milicyjną delegacją.

– Coś takiego! – radośnie wykrzyknęła matka. – To wspaniale! Gratulacje. Mówiłaś, że kiedy lecisz?

– Dwunastego. Wracam dziewiętnastego.

– Czemu nie powiedziałaś mi wcześniej? – W głosie Nadzieży Rostisławowny dał się słyszeć wyrzut. – Wątpię, czy uda mi się załatwić wizę, ale spróbuję. Między czternastym a siedemnastym we Francji odbędzie się sympozjum lingwistyczne, moje wystąpienie jest przewidziane na piętnastego, i jeżeli zdążę załatwić wizę, spotkamy się w Rzymie. Gdzie cię szukać?

– Nie wiem. A ciebie?

– Też nie wiem. – Matka roześmiała się. – Zrobimy tak. Jeżeli uda mi się wszystko załatwić, spotkamy się szesnastego o siódmej wieczorem na placu przed bazyliką Świętego Piotra. Plac jest okrągły, duży i dobra widoczność. Na pewno się znajdziemy. Umowa stoi?

Nastia była lekko oszołomiona tą niespożytą energią.

– Ale, mam, przecież nie jadę sama, tylko z grupą kolegów. Skąd mam wiedzieć, jaki będziemy mieli program? A jeżeli akurat szesnastego nie uda mi się wyrwać?

– Nie gadaj głupstw – stanowczo przerwała jej matka. – Będę czekać do ósmej. Jeżeli nie przyjdiesz, spotkamy się następnego dnia i tak dalej. Postaram się wszystko zorganizować i będę na ciebie czekać, córeczko. Słyszysz?

– Dobrze, mam. – Nastia kurczowo przełknęła, usiłując ukryć przed matką, że po policzkach jak grad płyną jej łzy. – Na pewno przyjdę.

– Jak stoisz z językiem? – surowo spytała matka. – Pamiętasz jeszcze choć trochę, czy wszystko zapomniałaś?

– Nie przejmuj się, tam zupełnie wystarczy angielski.

– O nie, dziecko, tak nie wolno. Daj słowo, że podciągniesz się z języka. W dzieciństwie świetnie mówiłaś po włosku.

– Mamo, moje dzieciństwo dawno się już skończyło. Pracuję od rana do wieczora i nie wiem, czy znajdę czas na naukę. Proszę, nie gniewaj się.

– Wcale się nie gniewam. – Nastia była pewna, że matka uśmiecha się, mówiąc te słowa. – Jestem z ciebie dumna, Nastiusza. I nie waz się płakać. Myślisz, że nie słyszę, jak pociągasz nosem? Idź spać i nie rujnuj skromnego budżetu głupimi niepokojami. Pamiętaj, co wieczór o siódmej wieczorem pod bazyliką Świętego Piotra. Ucałuj ojca i Loszę.

Nastia wolno odłożyła słuchawkę na widełki i dopiero wtedy zobaczyła Loszę, stojącego bez ruchu na progu kuchni.

– No, uspokoiłaś się? – zapytał z uśmiechem. – Przekonałaś się, że matka nadal cię kocha?

– Obudziłam cię – ze skruczą wyszeptała Nastia. – Przepraszam.

– O mój Boże, naprawdę wciąż straszny z ciebie dzieciak – westchnął Czistiakow.

Siedzieli w ciepłej kuchni jeszcze pół godziny, póki Nastia całkowicie się nie uspokoiła.

Rozdział 5

Siedząc na porannej odprawie u Gordiejewa, Nastia mimo woli obserwowwała kolegów i wciąż na nowo zadawała sobie pytanie: który z nich? Jednych znała lepiej, innych gorzej, ale żadnego nie podejrzewała, że jest oszustem i zdrajcą.

Misza Docenko. Najmłodszy z wywiadowców Gordiejewa, wysoki, czarnooki. Czasem bywa niewiarygodnie naiwny i wzruszający, a czasem zaskakuje trzeźwością myślenia i profesjonalizmem. Zawsze elegancko ubrany, jak z igielki, schludny, odprasowany. Pewnie całą pensję wydaje na ciuchy. Ale czy to grzech dobrze się ubierać? Na co można Miszę złowić? Na forszę? Tak, niewykluczone. Albo na kobietę. Chociaż jest nieżonaty, więc nie ma go czym szantażować, co najwyżej jeśli ta kobieta jest mężatką.

Jura Korotkow. Mieszka z żoną, synem i sparaliżowaną po wylewie teściową w małych dwóch pokojach z kuchnią. Przez wiele lat czekał w kolejce na mieszkanie i nigdy się nie doczekał. Teraz państwowe budownictwo mieszkaniowe zredukowano, a na to, żeby kupić mieszkanie, milicyjnej pensji nigdy nie wystarczy. Nastia jest z nim bardzo zaprzyjaźniona, zawsze na bieżąco poinformowana o jego miłośkach, małych zwycięstwach i małych dramatach. Korotkow wypłakuje się jej w kamizelkę, a ona go pociesza i udziela mu mądrych rad, które sprowadzają się głównie do tego, żeby Korotkow nie skrzywdził rodziny. Przez ostatnie półtora roku Jura ma stały romans z kobietą, która była świadkiem w sprawie morderstwa. Kochliwy Korotkow, szybko się zapalający i błyskawicznie ostygający w uczuciach, pobił w tym romansie własny rekord stałości. Jego ukochana ma dwóch synów i Jura twardo postanowił zaczekać, aż dzieci dorosną, i ożenić się z nią. Czy Korotkow potrzebuje pieniędzy? Potrzebuje, i to dużo. Ale czy to znaczy, że można go kupić?

Kola Siełujanow, jeden z najbardziej doświadczonych pracowników wydziału, żartowniś, rozrabiaka lubiący płatać psikusy niekiedy dość prymitywne. Ale potrafi się momentalnie przestawić,

stać się poważny, rzucić się na pomoc bez względu na to, ile by to kosztowało. Kola jest rozwiedziony, żona nie wytrzymała jego nieznośnego charakteru w połączeniu z nienormowanym czasem pracy, zabrała dzieci i wyjechała z nowym mężem do Woroneża. Nastia wiedziała, że czasem, bezczelnie oszukując zwierzchników i udając, że pracuje, Kola lata do Woroneża, żeby spędzić z dziećmi kilka godzin i wieczorem wrócić do Moskwy. Po każdym takim wyjeździe upija się w sztok i przez parę dni chodzi ponury i przybity. Może to on? Może te jego nieobecności są związane z wykonywaniem jakichś zadań, a wcale nie z tęsknotą za dziećmi?

Igor Lesnikow, wybitnie przystojny mężczyzna, do którego wzdychają wszystkie młode kobiety na Pietrowce 38. W odróżnieniu od Siełujanowa, skorego do śmiechu i zawsze gotowego wyjść każdemu naprzeciw, Igor uśmiecha się rzadko, jest zamknięty w sobie i zawsze bardzo poważny, nawet mrukliwy. Nastia nie wiedziała o jego życiu nic poza tym, że jest po raz drugi żonaty i niedawno został ojcem. W wypadku Lesnikowa można by wykorzystać jego ambicje, obiecać awans...

Niewesołe rozmyślania Nastii przerwał pułkownik.

– Kamieńska, do ciebie mówię. Obudź się.

– Słucham, Wiktorze Aleksiejewiczu. – Nastia podskoczyła.

– Włącz do roboty stażystę Mieszczerinowa, będziesz go szkolić.

Od dziś przydzielam ci go do dyspozycji.

Z przeciwległego kąta pokoju uśmiechał się do Nastii barczysty, jasnowłosy słuchacz Moskiewskiej Szkoły Milicji.

Po zebraniu Nastia zaprowadziła Mieszczerinowa do swego gabinetu.

– Niech pan zajmie wolne biurko, Oleg, to będzie pańskie miejsce na najbliższy miesiąc. Może się pan do mnie zwracać po prostu Nastia.

– Jak mnie pani będzie szkolić? Jak na uczelni?

Nastia niezdecydowanie wzruszyła ramionami.

– Nie bardzo sobie wyobrażam, jak uczą na pańskiej uczelni. Niewykluczone, że moje metody nie przypadną panu do gustu. Wtedy może pan poprosić o przeniesienie do kogoś innego. Na początek sprawdzimy, czy umie pan myśleć w systemie dwójkowym.

– To znaczy jak? – nachmurzył się stażysta.

– Ja myślę o jakimś słowie. No, na przykład, niech to będzie nazwisko światowej sławy aktora filmowego i reżysera. Pan ma zgadnąć, kto to. Może mi pan zadawać dodatkowe pytania, z jednym tylko ograniczeniem: pytanie musi mieć formę alternatywy, obejmującej wszystkie możliwe warianty, tak żebym nie mogła odpowiedzieć „ani to, ani tamto”. Na przykład może pan zacząć od pytania: „Czy to mężczyzna, czy kobieta?”. Trzeci wariant jest niemożliwy. Rozumie pan?

– Tak jakby – niepewnie odparł Oleg.

– Więc proszę zaczynać.

– Czy to mężczyzna, czy kobieta?

– Mężczyzna.

– Jego nazwisko zaczyna się na samogłoskę, czy na spółgłoskę?

– Dobrze – pochwaliła Nastia. – Na spółgłoskę.

Pochwała okazała się jednak przedwczesna. Nad trzecim pytaniem Mieszczerinow myślał bardzo długo. Nastia nie popędzała go, w milczeniu segregując na swoim biurku całe mnóstwo zapisków i notatek.

– Nie wiem, co dalej – odezwał się wreszcie Oleg.

– Niech pan myśli – nie podnosząc oczu, rzuciła Nastia.

– Ale ja nie rozumiem, czemu to ma służyć. To jakaś bzdura. Myślałem, że mi pani opowie o działaniach operacyjnych albo da jakieś zadanie...

– Dam. Może. Ale najpierw muszę się przekonać, że umie pan myśleć. Niekoniecznie szybko, ja sama myślę dość wolno. Niech pan zapamięta pierwszą lekcję: w naszej robocie nie może pan wybierać sobie zadań, które się panu podobają, i odmawiać wykonania tych, co nie przypadły panu do gustu. Musi pan być gotów do rozwiązania każdego zadania logicznego, jakie się wyłoni w czasie dochodzenia. Nikt za pana tego nie zrobi. A jeżeli pan sądzi, że praca detektywa to same zasadzki i zatrzymania, to muszę pana rozczarować. To wszystko jest później, bliżej zakończenia śledztwa. A kiedy ma pan przed sobą zwłoki człowieka, zabitego nie wiadomo przez kogo i nie wiadomo dlaczego, nie pozostaje panu nic innego, jak tylko intensywnie myśleć, kto i czemu mógł go zabić, i jak to wyjaśnić i sprawdzić. Więc niech pan będzie łaskaw wymyślać teraz pytania

dopóty, dopóki nie rozwiąże pan zadania; proszę trenować pamięć, a przy okazji cierpliwość i upór.

Stażysta nadąsany odwrócił się do okna. Do gabinetu zajrzał Misza Docenko z parującym kubkiem w ręku.

– Anastazjo Pawłowno, mogę tu u pani cichutko posiedzieć? Do Lesnikowa ktoś przyszedł, muszą porozmawiać w cztery oczy, a ja właśnie zrobiłem sobie herbatę...

– Bardzo proszę, Miszeńka, niech pan wejdzie.

Misza był jedynym wywiadowcą w wydziale, z którym Nastia była na „pan”. Nie było to jednak oznaką szacunku wobec starszego lejtnanta Docenki. Po prostu sam Michaił stawiał Nastię na piedestale, uważał za niesamowicie mądrą i zawsze nazywał Anastazją Pawłowną. Kola Siełujanow mawiał nawet żartem, że młody, czarujący lejtnant kocha się skrycie w surowej, zimnej Kamieńskiej. Oczywiście była to nieprawda, niemniej jednak w odpowiedzi na „Anastazję Pawłownę” nie pozostawało jej nic innego, jak mówić Miszy „pan”, żeby zachować równowagę i nie wpadać w mentorski ton.

Nastia szybkim ruchem zgarnęła z biurka notatki, pamiętając o przestrogach Gordiejewa i jego kategorycznym zakazie rozmawiania o przebiegu śledztwa w sprawie Jeriominej z kimkolwiek z pracowników. Spokojnie gawędziła z Miszą o różnych głupstwach, skarżyła się, że jej stare botki przemakają, a nowe przy takim błocku i kałużach zaraz kompletnie się zniszczą, narzekała, że minęły już czasy, kiedy w sklepach można było dostać różnokolorowe śniegowce, które teraz bardzo by się przydały, słowem, plotła, co ślina na język przyniesie, by nie dać Docence okazji do rozmowy o sprawach służbowych.

Po jakimś czasie Misza wyszedł, a stażysta wciąż siedział w milczeniu, nadal nie mogąc wymyślić trzeciego pytania. Wreszcie odwrócił się od okna i przemówił:

– Czy ten aktor urodził się na półkuli zachodniej, czy wschodniej?

Dzięki Bogu, ruszył z miejsca, z ulgą pomyślała Nastia, która już zaczęła wątpić w słusność swego wyboru. Teraz pójdzie szybciej.

Rzeczywiście poszło łatwiej i już po półtorej godzinie męczących wysiłków Oleg Mieszczerinow dotarł do Charlesa Spencera Chaplina.

– Przejdziemy teraz do drugiego stopnia trudności. Niech pan weźmie papier, długopis i pisze...

Nastia podyktowała mu opis dość typowej sytuacji znalezienia zwłok w miejscu publicznym.

– Proszę, stosując system dwójkowy, sporządzić pełną listę hipotez roboczych. Może pan zacząć od alternatywy: „czy ofiara znała zabójcę, czy nie”. Hipoteza „nie znała” dzieli się na kolejne możliwości: „czy zabójca był przypadkowy, czy działał na zlecenie”, i tak dalej. Jasne? W ostatecznym rezultacie powinien pan otrzymać schemat, w którym każdy kwadracik oprócz ostatnich dzieli się jeszcze na dwa. To będzie pańska praca domowa. A teraz pójdziemy odszukać i przesłuchać tych oto ludzi.

Nastia wsunęła do torebki długą listę przyjaciół i znajomych Borysa Kartaszowa wraz z adresami domowymi i miejsc pracy. Sporo nazwisk opatrzone krzyżykiem, co oznaczało, że już z tymi ludźmi rozmawiano. I tak jednak zostało ich jeszcze dużo...

Wasilij Kołobow, niewysoki, drobnej budowy, o ładnej twarzy i chytrych oczkach, odpowiadał na pytania niechętnie.

– Jak się układały stosunki między pańską żoną Olgą a Wiktorią Jeriominą i jej przyjacielem Borysem Kartaszowem?

– Jak, jak... – burknął. – Normalnie. Z Wiką czasem darła koty, a z Borką chyba nie.

– O co Olga kłóciła się z Wiką?

– A kto je tam wie? Jak to baby...

– Czy Olga opowiadała panu, że Wika zachorowała?

– Mówiła.

– Proszę sobie możliwie jak najdokładniej przypomnieć, co mówiła.

– Co mówiła? To już kawał czasu, dokładnie nie pamiętam. Coś o tym, że jej się poprzestawiało pod sufitem, jakieś sny... Nie, nie pamiętam.

– Niech się pan postara przypomnieć sobie, kiedy ostatni raz widział pan Jeriominą albo z nią rozmawiał.

– Nie pamiętam. Dawno. Było jeszcze ciepło, chyba wrzesień albo początek października.

– A dzięki czemu pan zapamiętał, że było ciepło?

– Miała na sobie ekstra kostium. Przyszła do Lolki, ja właśnie wychodziłem i spotkaliśmy się w przedpokoju. Wika była bez płaszcza, w samym kostiumie, więc chyba było ciepło.

– Może ktoś ją podwiózł samochodem i dlatego była bez płaszcza?

– Możliwe. – Kołobow prychnął niechętnie. – Do tej wywłoki wszystko było podobne.

– Nazwał pan Jeriominą wywłoką. Nie pochwalał pan jej prowadzenia się?

– A co mi do tego? Byle tylko nie przeszkadzała.

– Jeriomina panu przeszkadzała?

– Skąd pani to przyszło do głowy?

– Proszę jednak powiedzieć, jak pan osobiście się do niej odnosił?

Znów nieokreślone parsknięcie i wzruszenie ramionami. Nie, Wasilij Kołobow zdecydowanie nie był ideałem świadka. Miał posadę sprzedawcy w prywatnym całodobowym kiosku na Dworcu Sawiełowskim, dobę pracował, dobę odpoczywał.

– Proszę powiedzieć, czy Wika nigdy nie przychodziła na dworzec?

Pytanie wyraźnie się Kołobowowi nie spodobało. Uśmiezek zniknął, Wasilij nabzdyczył się i zaczął cedzić słowa

– A co by tam miała robić?

– Nie pytam pana, jaki miała tam interes, pytam, czy nie widział pan kiedyś Wiktorii Jeriomej na Dworcu Sawiełowskim. I jeśli ją pan widział, to kiedy, z kim była, czy podeszła do pańskiego kiosku i co wtedy mówiła. Czy pytanie jest jasne?

– Nie było jej. Ani razu jej tam nie widziałem.

– A pan nigdy nie przychodził do niej do pracy?

– Po co? Zapomniałem tam czego? Nawet nie wiem, gdzie pracowała.

I tak w kółko: „nie wiem, nie pamiętam, nie byłem, nie widziałem...”.

– Kiedy się pan dowiedział, że Jeriomina zaginęła?

– Lolka mi powiedziała... chyba w połowie października czy coś koło tego.

– Co konkretnie panu powiedziała?

– Że Borka szuka Wiki, że ona nie chodzi do roboty i w domu też jej nie ma.

- W tym czasie pańska żona nigdzie nie wyjeżdżała z domu? Do innego miasta albo po prostu na parę dni do koleżanki?
- Chyba nie.
- Chyba? Czy zazwyczaj wie pan, gdzie przebywa Olga?
- Przeważnie nie. Nie ma mnie w domu przez dwadzieścia cztery godziny. Pracuję co drugi dzień, tak że...
- A w te dni, kiedy pan nie pracuje?
- Też nie siedzę w domu. I Olgi nie kontroluję. Grunt, żeby w domu było czysto i żarcie przygotowane. Reszta to nie moja sprawa.
- Przecież to pańska żona. Naprawdę jest panu obojętne, gdzie się obraca i co robi?
- Dlaczego obojętne?
- Moim zdaniem tak pan właśnie powiedział.
- A moim zdaniem wcale tak nie mówiłem.
- Czy pan sam pod koniec października nigdzie nie wyjeżdżał?
- Nie.
- Cały czas pracował pan co drugą dobę?
- Cały czas.

Trzeba będzie pojechać na dworzec, popytać tamtejszych sprzedawców o Kołobowa – powiedziała w zamyśleniu Nastia. – Dziwnie się zachowywał, kiedy padło pytanie, czy widział Wikę na dworcu. Jeden człowiek jedzie na Sawiełowski, drugi – do Olgi Kołobowej. Szybciutko.

No ileż można! – żałośnie jęknęła Kołobowa, bardzo ładna, pulchna blondynka z ogromnymi szarymi oczyskami, bujnym biustem i zgrabnymi nogami. Próbując stworzyć iluzję cienkiej talii i szczupłych bioder, nosiła zbyt obcisłe dzinsy i zbyt luźny pulower. Nawet rozmawiając z funkcjonariuszami organów ścigania, nie raczyła wyjąć z ust gумы do żucia, co sprawiało, że jej wymowa, i tak powolna, z przeciąganiem samogłosek, wydawała się zarazem dziecinna i pretensjonalna.

- Który to już raz mnie przesłuchujecie?

– Nie przesłuchuję pani. Po prostu rozmawiamy. Proszę mi powiedzieć, pani Olgo, czemu rzuciła pani pracę i siedzi w domu?

– Wasia się uparł. On potrzebuje pomocy domowej, a nie żony. A ja nawet wolę być w domu niż tynkować ściany.

– I nie nudzi się pani?

– Nie-a, nie nudzę się. Wprost przeciwnie. Nigdy dotąd nie miałam własnego domu, najpierw sierociniec, internat, potem hotel robotniczy, za to teraz całymi dniami sprzątam, pastuję podłogi, ścieram kurze, szoruję wannę. Gotuję też z przyjemnością.

– Czy to warto tak się starać, skoro mąż pracuje co drugą dobę, a w wolne dni też nie siedzi w domu?

– Staram się dla siebie. Mam wręcz fisia na tym punkcie. Tego nikt nie zrozumie.

– A dla kogo pani gotuje? Też dla siebie?

– Też. Dość już mam państwowego garnuszka. A poza tym Wasilij lubi przyprowadzać gości, w dodatku bez uprzedzenia, zupełnie jakby to robił umyślnie. Jeżeli w domu nie ma nic do jedzenia: awantura. Więc cały czas jestem w gotowości bojowej.

– Zdarza się, że mąż przyprowadza gości, a pani nie ma w domu?

– Często. Nie jestem przymurowana do tej chaty, a on nie uprzedza z góry, kiedy przyjdzie i z kim.

– I co wtedy? Też awantura?

– Nie. – Grudka gumy mignęła między nierównymi, drobnymi ząbkami, przesuając się z jednej strony na drugą. – Dla niego grunt, żeby był porządek i pełna lodówka, podgrzać może sobie sam. Kiedy w domu są goście, w ogóle nie jestem mu potrzebna. Traktuje mnie jak mebel.

– I nie jest pani przykro?

– A dlaczego? Przecież wyszłam za mąż wcale nie z miłości. Waśce była potrzebna gospodyni, a mnie mieszkanie, własne, z własną kuchnią, z własną łazienką. Kiedy mieszkałam w hotelu budowlańców, nie miałam żadnych szans na własną chatę.

– Czy mąż nigdzie nie wyjeżdżał pod koniec października?

– Nie, na pewno nie. Nie opuścił w pracy ani jednego dnia.

– Skąd pani wie?

– Jeżdżę na dworzec i sprawdzam.

– Co?!

Wprost niesamowite, jak dalece ta pretensjonalna, puszysta biała koteczka okazała się szczerą. Trudno się było połapać, czy to zwykły cynizm, ostentacyjna niechęć strojenia się w piórka przyzwoitości, czy otwartość doprowadzonej do rozpaczki kobiety, która już nie może i nie chce okłamywać ani siebie, ani innych.

– Tylko proszę mu nic nie mówić, dobrze? Sprząbby mnie, gdyby się dowiedział. Prawda jest taka, że on mnie w tym mieszkaniu nie zameldował, więc jak mu strzeli do łba, żeby się rozwieść, znów trafię do hotelu robotniczego. W zeszłym roku się zakochał, można powiedzieć bez pamięci, i cholernie się bałam, że mnie rzuci i ożeni się z tą dziwką. Wstawiał mi kit, że jedzie do innego miasta po towar, że go niby wysyłają, a tymczasem siedział u niej, a może i gdzieś razem jeździli. Więc od tej pory stale go kontroluję: czy siedzi w robocie, czy znów się zwąchał z jakąś babą. Zdradza mnie, rzecz jasna, jakżeby inaczej, ale niech tam, byle to nie było na serio, byle mnie nie wyrzucił. No i tak wygląda teraz moje życie: on o ósmej do roboty, a za dwie godziny ja za nim; jak zobaczę z daleka, że siedzi w swoim kiosku, to wracam do domu. Potem przed nocą jadę jeszcze raz. Tak że wiem na pewno, że przez ostatnie dwa miesiące nie opuścił ani jednego dnia. Nawet jak go pobili, to poleżał tylko jeden dzień, i to wolny, a na drugi dzień z pokiereszowaną gębą powlókł się do roboty. Nie dziwota, ten kiosk nie jest jego, płacą mu procent od tego, co sprzedają. Jak opuści dzień, to mniej dostanie.

– A kiedy miał tę kobietę? Mówiła pani, że wtedy całymi dniami nie chodził do pracy.

– Ona miała kupę szmalu i widać mu podtykała. Ale tak w ogóle to Waśka jest chciwy, za kopiejkę dałby się powiesić, i dlatego właśnie nabrałam podejrzeń, jak się dowiedziałam, że on nie chodzi do roboty. Od razu skumałam, że to nie zwykły wyciruch, takie Waśka zmienia jak rękawiczki, ale coś innego. Swoim dziwkom nie podarowałyby nawet paczki papierosów.

– Jeszcze jedno pytanie. Jak to jest, że pani zwolniła się z pracy, ale nadal jest zameldowana w hotelu robotniczym? Przecież powinni panią natychmiast wymeldować, czyż nie?

– Nie, mnie obejmuje limit domów dziecka. Nie wolno im mnie wymeldować bez mojej zgody, nawet jeżeli nie pracuję już

w przedsiębiorstwie.

– Dobrze, wróćmy do pani męża. A właśnie, nie mówił, za co go pobito?

– On by mi coś powiedział! A nawet jakby powiedział, to nieprawdę. Dlatego o nic go nie pytam i nie wtrącam się w jego sprawy.

– Proszę sobie przypomnieć, czy nigdy nie wspominał, że widział Wikę na Dworcu Sawiełowskim?

– Nie, nigdy.

– Nie pytał pani, gdzie ona pracuje?

– Kiedyś sama mu powiedziała, że jest sekretarką w prywatnej firmie. A on się szczegółowo nie dopytywał. W ogóle nie za bardzo ją lubił.

– Dlaczego?

– No, uważał, że Wika może mieć na mnie zły wpływ.

– W jakim sensie?

– W sensie pijaństwa i w ogóle... Myślę, że strasznie drażniło go to, że Wika zarabia więcej niż on. Mnie przecież ma za psi pazur, bo nie mam ani grosza i jestem od niego całkowicie zależna. No i bał się, że pójdę w ślady Wiki, zacznę dobrze zarabiać i kupię sobie mieszkanie albo choćby wynajmę. A gdzie by znalazł drugą taką kretynkę jak ja? Żadna normalna baba takiego życia by nie zniosła, co fakt, to fakt.

– A próbowała pani zająć się tym, czym Wika? Czy też mąż nie miał podstaw do takich obaw?

– Jasne, że nie miał. Jest głupi i wszystkich mierzy własną miarą. Ale ja mam głowę na karku. Zostać kimś takim jak Wika bym nie mogła, nie ta uroda. A na zwykłą prostytutkę jestem już trochę za stara. I w ogóle to nie dla mnie. Ja bym chciała prowadzić dom, wychowywać dzieci, nic więcej mi nie potrzeba. A ten sukinkot Waśka nie chce mieć dzieci.

– Dlaczego?

– A na co mu to? To tylko dodatkowe kłopoty. A poza tym, gdyby było dziecko, nie mógłby mnie tak łatwo wypchnąć z chałupy, on zna przepisy i boi się, że utraciłby nade mną władzę.

...co trzyma ludzi przy sobie? Co sprawia, że są razem?

Kiosk na dworcu, w witrynie standardowy asortyment alkoholu, papierosów, gumy do żucia i prezerwatyw. Za ladą – chłopak około dwudziestoletni, czarniawy, z garbatym nosem, na oko całkiem życzliwy i przyjazny.

– Zna pan Wasilija Kołobowa?

– Wasię? Znam. A bo co?

– Wie pan, że jakiś miesiąc temu, na początku listopada, został ciężko pobity?

– On nic nie mówił, ale było widać. Cała twarz w sińcach.

– I nie wie pan, za co?

– On nie mówił, a ja nie pytałem. Tego się u nas nie robi. To są ich sprawy.

– Jakich „ich”?

– Niby to pani nie wie. Kiosk Waśki stoi po tamtej stronie, mój po tej. Tamtą stronę kontroluje grupa butyrska, a moją marjińska, znaczy z Marjinej Roszczy. Tam u nich różne rzeczy się dzieją. My się nie wtrącamy.

– Więc sądzi pan, że to były porachunki?

– A co innego?

– Proszę obejrzyć to zdjęcie. Widział pan kiedyś tę dziewczynę?

– Nie przypominam sobie. Ależ piękna, że też takie bywają na świecie!

– Dziękuję, przepraszam za kłopot.

Następny kiosk.

– Waśkę? Jasne, że znam. Wszyscy się tu znamy.... Pobito go? Pamiętam, było coś takiego. Akurat na początku listopada, bankowo. Nie, nie wiem, Waśka nie mówił. Dziewczyny nie widziałem...

Jeszcze jeden kiosk i jeszcze jeden, i jeszcze jeden... I tak do samego wieczora. Nikt nie wie, za co pobito Wasilija Kołobowa i kto to zrobił. Handlujący na stronie butyrskiej zapewniają, że Wasilij niczym się nie naraził i nikt nie załatwiał z nim porachunków. Zresztą nawet jeśli wszyscy kłamią i Kołobowa pobito z powodu jakichś handlowych sprawek, to nie ma to chyba raczej nic wspólnego z zabójstwem Wiki Jeriominej. Nikt nie rozpoznał jej na zdjęciu. Jeszcze jeden dzień kompletnie zmarnowany.

Ach, jakżeby się teraz przydał Łarcew, ubolewała w duchu Nastia. Jemu na pewno udałoby się złamać Kołobowa i wyciągnąć zeń prawdę o tym pobiciu, o którym z jakiegoś powodu nikomu nic nie powiedział. Wołodia był doświadczonym psychologiem i potrafiłby skłonić do mówienia nawet sfinksa, z czego niekiedy bezwstydnie korzystali nie tylko funkcjonariusze wydziału, ale i wielu śledczych, z którymi zdarzało mu się współpracować. Żeby tak można było wyświecić do końca historię z pobiciem i postawić kropkę! Nastia nie wiedzieć czemu była pewna, że pobicie męża Olgi Kołobowej nie ma nic wspólnego z morderstwem, ale miała zwyczaj doprowadzać wszystko do końca i zapinać na ostatni guzik.

Zająknęła się nawet w rozmowie z Gordiejewem o tym, żeby zlecić Łarcewowi przesłuchanie Wasilija, ale szef skrzywił się z niezadowoleniem:

– I tak jest was czworo, a razem z Docenką nawet pięcioro. A Łarcew ma dosyć własnych obowiązków. Radźcie sobie sami.

Dlaczego jednak Kołobow zrobił się taki spięty, kiedy go spytała, czy Wika przychodziła na dworzec? A może tylko tak się wydawało temu, kto z nim rozmawiał? Mogło tak być, oczywiście. Ale Nastia, która nie lubiła rzucać zaczętej roboty w połowie, poświęciła jeszcze jeden dzień na próby wyjaśnienia tej sprawy. Razem z Jewgienijem Morozowem i stażystą Mieszczerinowem przesłuchiwała kasjerów, pracowników dworca, milicjantów z dworcowego komisariatu, bufetowe, lekarzy w punkcie medycznym, robotników robiących już trzeci miesiąc wykop obok dworca... Nic. Nikt nie pamiętał Wiki. Znowu „pusty los”.

Niemłody mężczyzna, nazywany przez niektórych po prostu Arsen, odłożył słuchawkę na widełki, zastanawiał się przez kilka minut, potem znowu ją podniósł i wybrał numer. Nikt nie odebrał. Wówczas wstał z fotela, przeszedł do sąsiedniego pokoju, gdzie też był telefon, i znów zadzwonił na ten sam numer. I znowu odpowiedziały mu długie buczki. Arsen uśmiechnął się z zadowoleniem, włożył ciemnozielony płaszcz na futrze, buty na grubej podeszwie i wyszedł na ulicę. Minąwszy dwa kwartały, wszedł do budki telefonicznej, zadzwonił jeszcze raz, znów bez odpowiedzi, i skierował się do metra.

Pół godziny później siedział w przytulnym barze i pił borzomi. Naprzeciw niego pociągał piwo wujek Kola.

– Trzeba jeszcze popracować nad tym chłopakiem – spokojnie przemówił Arsen.

– A co, pierwsza lekcja nic nie dała? – Wujek Kola uniósł brwi.

– Dała, dała, nie denerwuj się. – Arsen uśmiechnął się protekcyjnie. – Ale powinniśmy się zabezpieczyć. Zdaje się, że wkrótce zaczną go przyciskać. Musimy działać z wyprzedzeniem, więc lepiej będzie mu przypomnieć, kim i czym jest na tym padole łoż.

– Przypomnimy. – Wujek Kola kiwnął głową i uśmiechnął się swym dziwnym uśmiechem, w którym mętnie błysnęły żelazne zęby.

Człowiek, którego obecnie wielu znało jako Arsena, w dzieciństwie nosił najzwyczajniejsze imię Mitia, był chłopcem poważnym i myślącym, dobrze się uczył i dużo czytał. Od wczesnego dzieciństwa dręczyła go niewytłumaczalna obawa o całość jego cielesnej powłoki, strasznie bał się bólu, zastrzyków, potłuczenia, toteż nie biegał po ulicach, nie grał w piłkę z kolegami, nie bawił się z nimi w Czapajewa albo policjantów i złodziei; wolał siedzieć sam w domu, rozwiązywać zadania szachowe i snuć swoje małe myśli.

Jego dzieciństwo przypadło na heroiczny okres, kiedy wszyscy chłopcy marzyli, żeby zostać papaninowcami, czeluskinowcami, Czkałowami, Lapidiewskimi i Gromowami³. Mitia nie był wyjątkiem. Przekonano go jednak, że przy jego drobnej budowie, niewysportowaniu i słabym wzroku przyszła sława nie jest mu pisana. Mitia martwił się tym niezbyt długo, ponieważ jego mózg otrzymał nowy impuls i zaczął stawiać przed chłopcem nowe zagadnienia. Jacy ludzie nadają się do jakich prac? Tragarz powinien być silny. Nauczyciel musi być cierpliwy. Lotnik nie może się bać wysokości... Temat tak dalece go wciągnął, że Mitia zaczął czytać specjalistyczne prace z psychologii, których w tych czasach nie było znowu tak wiele. Znano go w większości bibliotek publicznych i z szacunkiem popatrywano na niewysokiego, chudziutkiego okularnika, godzinami przesiadującego w kąciку czytelni nad jakąś rzadką książką.

Mijały lata i w chwili, gdy Dmitrij został pracownikiem działu kadr KGB, uważał się już za eksperta w dziedzinie predyspozycji zawodowych. Wnikliwość i odpowiedzialne podejście do wszystkiego, co robił, odbiły się też na jego działalności służbowej. Zawsze długo rozmawiał z ludźmi przyjmowanymi do pracy i nawet doradzał im, w jakim wydziale mogliby znaleźć najlepsze zastosowanie dla swych uzdolnień i predyspozycji. Zdawało mu się, że wykonuje ważną i potrzebną pracę, wspomagając właściwe rozmieszczenie kadr w tak poważnej organizacji, wnosząc w ten sposób, choćby pośrednio, swój wkład w umocnienie bezpieczeństwa ojczyzny.

Pewnego razu przyszedł do niego młody pracownik Moskiewskiego Urzędu Bezpieczeństwa, przechodzący właśnie do aparatu centralnego, do komórki wydziału zagranicznego. Dmitrij swoim zwyczajem zaczął mu przedstawiać specyfikę pracy za granicą, podkreślił, że przebywając w obcym kraju koniecznie należy mieć na uwadze jego kulturę i tradycje, zwłaszcza w dziedzinie psychologii życia codziennego. Wszystkie pomieszczenia ambasady są podsłuchiwane przez wrogi wywiad, który poszukuje okazji do zwerbowania obywateli radzieckich, toteż szczególną uwagę należy poświęcić sprawom rodzinnym, innymi słowy – nie kłócić się z żoną, a tym bardziej jej nie bić, ponieważ wróg, dowiedziawszy się o małżeńskich kłopotach pracownika ambasady, natychmiast może mu podsunąć atrakcyjną kochankę. Kandydat na nowe stanowisko słuchał nieuważnie i swymi odpowiedziami dał kadrowcowi do zrozumienia, że jego rady są niewarte funta kłaków, i że skoro on, kandydat, świetnie radził sobie z robotą w Moskwie, to i za granicą nie popełni błędu. A jego pożycie z własną babą nikogo nie powinno obchodzić.

Dmitrij doskonale zdawał sobie sprawę, że ten młody człowiek ze świetną charakterystyką zawodową, bez wątplenia zdolny, władający dwoma językami, do pracy w wywiadzie zagranicznym się nie nadaje. Mógł być dobry tutaj, w Moskwie, w znanej sobie radzieckiej subkulturze stolicy, a za granicą się nie sprawdzi. Kiedy jednak Dmitrij spróbował przedstawić swoje racje szefowi komórki, w której miano zatrudnić kandydata, spotkał się z brutalną odprawą. Jasno i niedwuznacznie dano mu do zrozumienia, że jest

zwykłym gryziopiórkim, „trybikiem”, że ma zszywać akta i przyklejać fotografie, a nie pchać się do pracy operacyjnej, że decyzja już zapadła, wszystko uzgodnione, teraz to tylko kwestia nominacji. Ta reprymenda zupełnie zbiła z tropu inspektora działu kadr. Niby zardzewiały gwóźdź utkwilo w nim poczucie krzywdy.

Po kilku dniach kandydata do pracy na placówce zagranicznej przywieziono do izby wytrzeźwień w stanie ciężkiego upojenia alkoholowego, z teczką pełną tajnych dokumentów i bez legitymacji, która się już nigdy nie odnalazła. Natychmiast zwolniono go z pracy i postawiono przed sądem. Nikt nigdy się nie dowiedział, że praca młodego człowieka w wywiadzie spaliła na panewce dlatego, że Dmitrij spędził parę wieczorów nad podręcznikami z dziedziny medycyny i farmakologii, a potem wyszukał odpowiednich ludzi i zapłacił im. Kadrowiec był bardzo zadowolony, że nie doszła do skutku nominacja, którą on uważał za niesłuszną. Nawet nie pomyślał o tym, że złamał życie człowiekowi, który nie zrobił mu nic złego i do którego osobiście nie żywił niechęci. Czuł niezwykłą satysfakcję, że mimo wszystko stało się tak, jak on sobie życzył. Była to jego pierwsza próba manipulowania ludźmi, i to próba udana. Dmitrij zrozumiał, że aby dowieść swej słuszności, wcale nie trzeba obijać cudzych progów czy walić pięścią w stół. Można działać inaczej, tworząc przemyślnie kombinacje, obliczając posunięcia niczym w szachach, pociągając za niewidzialne sznurki i z przyjemnością obserwując, jak wydarzenia rozwijają się według obmyślnego przez siebie scenariusza, chociaż wszyscy uczestnicy tych wydarzeń są szczerze przekonani, że działają samodzielnie i dobrowolnie. Ofiary nie mają znaczenia... Są pionkami w cudzej grze. Jego grze.

Wdowa po Walentinie Pietrowiczu Kosarze, który zginął tragicznie dwudziestego piątego października pod kołami niezidentyfikowanego auta, była młodo wyglądającą, zgrabną kobietą o niebrzydkiej twarzy i wspaniałej grzywie ciemnokasztanowych włosów. Gościa z sekcji zabójstw przyjęła uprzejmie, ale było widać, że trzyma się ostatkiem sił i że rozmowa jest dla niej przykra i krępująca.

– A cóż to ma wspólnego ze śmiercią męża? – spytała zdumiona, gdy padło pytanie o wydarzenia z połowy października.

– Nie ma nic wspólnego. My nie badamy okoliczności wypadku pani męża.

– Tak właśnie myślałam. – Westchnęła z goryczą. – Według mnie tymi okolicznościami w ogóle nikt się nie zajmuje. Nikogo nie obchodzi jakiś tam Kosar. Ale gdyby był ministrem albo posłem do Dumy, to byście się uwijali jak w ukropie.

– Rozumiem pani uczucia, ale jest pani w błędzie. Wypadkiem zajmuje się południowo-zachodni komisariat okręgowy, a ja pracuję na Pietrowce, w Moskiewskim Wydziale Kryminalnym; próbujemy rozwikłać zupełnie inne przestępstwo.

– A co mój Walentin mógł mieć z tym wspólnego? To był kryształowo uczciwy człowiek, przez całe życie nie wziął cudzej kopiejki, muchy by nie skrzywdził... – Kobieta rozplakała się, ale szybko się wzięła w garść. – No dobrze, proszę pytać.

– Gdzieś tak dziesiątego czy dwunastego października do pani męża zwrócił się niejaki Borys Kartaszow z prośbą, by go skontaktować z lekarzem psychiatrą; chciał zasięgnąć porady. Mąż mówił pani o tym?

– Tak, pamiętam tę rozmowę. Od razu powiedział, że spróbuje się dodzwonić do Maslennikowa, a gdyby go nie zastał, to zatelefonuje do innego znajomego lekarza, do Gołubiewa.

– Czy Walentin Pietrowicz mówił pani, jakie kłopoty ma Kartaszow?

– Mówił. Dziewczyna Kartaszowa dostała jakoby obsesji, że ktoś oddziałuje na nią przez radio. Nie, chyba niezupełnie tak... Zaraz... A! Uważała, że ktoś kradnie jej sen i opowiada go w radiu. Coś w tym rodzaju.

– Co było dalej?

– Wala natychmiast zadzwonił do Maslennikowa i umówił się z nim. Pamiętam, że Maslennikow powiedział, że najbliższe dwa dni ma zajęte, więc będzie mógł przyjąć znajomego Wali dopiero w piątek.

– W piątek? Ma pani może gdzieś pod ręką kalendarz?

– Proszę.

Wdowa po Kosarze wyjęła z leżącego na stole notesu malutki kalendarzyk. Data piętnastego października, piątek, była obrysowana ołówkiem.

– Nie pamięta pani, o który piątek chodziło? Piętnastego października czy następny, dwudziestego drugiego?

– Raczej chyba piętnastego. Tak, na pewno. – Kosarowa zajrzała do kalendarza. – O, proszę, data jest zakreślona ołówkiem.

– I co to znaczy?

– To kalendarzyk Wali, stale go używał. Jednym kolorem zakreślał urodziny i inne ważne daty, innym – umówione spotkania i tak dalej. A zwykłym ołówkiem zaznaczał terminy, które osobiście go nie dotyczyły, ale o których miał kogoś zawiadomić, jak na przykład Kartaszowa. Widzi pan, Wala zawsze się bał, żeby komuś nie zrobić zawodu albo czegoś nie poplątać.

Znów była bliska płaczu, ale jakoś się opanowała.

– To jest notes pani męża?

– Tak.

– Czy mogę go wypożyczyć na jakiś czas? Na pewno oddam.

– Proszę, skoro to konieczne.

– Jeszcze jedno pytanie, jeżeli pani pozwoli. Wiedziała pani wszystko o sprawach męża?

– Oczywiście. Byliśmy bardzo dobrym małżeństwem.

– Czy miał wielu przyjaciół?

– Och, proszę mnie już nie dręczyć. Jakie to teraz ma znaczenie? Przecież milicja chyba nie przypuszcza, że przejechał go ktoś z przyjaciół? I w ogóle, przecież nie zajmują się państwo sprawą wypadku...

– Mimo to proszę powiedzieć, czy miał przyjaciół, którym zwierzał się ze swoich problemów?

– Tak, wszystkim się zwierzał. Był taki otwarty, taki kontaktowy!

– Czyli o Kartaszowie i jego chorej znajomej opowiadał nie tylko pani?

– Mówił o tym właściwie wszystkim osobom, z którymi tego dnia rozmawiał. Nawet swojej matce. Zadzwoił, żeby zapytać ją o zdrowie, a potem usłyszałam, jak mówi: „Nie wyobrażasz sobie, jakie dziwne bywają choroby! Dzwonił do mnie dzisiaj jeden

znajomy...”. I tak dalej. Ta historia z dziewczyną Kartaszowa zrobiła na nim duże wrażenie, jeszcze długo o tym później wspominał.

– Czy Walentin Pietrowicz nie opowiadał pani o Kartaszowie nic więcej?

– Nic.

– Jest pani absolutnie pewna?

– Przecież chyba dowiodłam, że mam dobrą pamięć. Pamiętam wszystko, co dotyczy Walentina. Po jego śmierci wciąż rozpamiętywałam ostatnie miesiące, dni, godziny, jak gdyby to mogło przywrócić mu życie. Zdawało mi się, że wystarczy przypomnieć sobie wszystko do ostatniego drobiazgu – i on wróci...

Beżowa wołga skręciła z szosy Kijowskiej w stronę Matwiejewskiej. Zatrzymała się przy Domu Inwalidów i wysiadł z niej przystojny, dobrze zbudowany mężczyzna o regularnych rysach. Pewnie wkroczył do holu, wjechał windą na trzecie piętro, przeszedł korytarzem i bez pukania wszedł do jednego z pokoi.

– Witaj, ojciec.

Z poduszki spojrzały na niego mętne, zażawione oczy, w których mignęło coś na kształt uśmiechu. Usta starca lekko drgnęły.

– Synku... Dawno u mnie nie byłeś.

– Przepraszam, ojciec. – Mężczyzna przysunął do łóżka krzesło i usiadł. – Interesy. Musiałem wyjechać na cały miesiąc, prowadziłem kampanię wyborczą. Wiesz przecież, że za kilka dni wybory do Dumy. Jak się czujesz?

– Źle, synku. Widzisz sam, leżę, prawie już nie wstaję. Zabrałbyś mnie stąd, bardzo bym nie chciał umierać na szpitalnym wyroku.

– Zabiorę cię, ojciec, na pewno. Niech się tylko skończy cała ta wyborcza bieżanina i nerwówka, to zaraz zabiorę cię do domu.

– Oby jak najszybciej. Bo nie dożyję...

Starzec przymknął oczy. Po pomarszczonym policzku spłynęła łza i znikła w fałdach skóry.

– Ojciec, pamiętasz siedemdziesiąty rok?

– Siedemdziesiąty? To wtedy ty...

– Tak, tak – niecierpliwie przerwał mężczyzna. – Pamiętasz?

– Pamiętam. Jak można coś takiego zapomnieć? A co? Masz kłopoty?

– Nie, nie, nie denerwuj się. Ta sprawa jest już pogrzebana. Ale mimo to... Jak myślisz, kto jeszcze może to pamiętać?

– Twój kumpel, z którym wtedy...

– To oczywiste – znów przerwał mu syn. – A kto jeszcze?

– Nie mam pojęcia. Batyrow dawno umarł. Smielakow? Ten może i pamięta, ale nie wie, o co chodzi. Chyba nikt oprócz mnie tego nie wie. A dlaczego pytasz?

– Tak na wszelki wypadek. Sam wiesz, że jeśli moja partia zbierze potrzebną liczbę głosów i dostanę się do Dumy, na pewno znajdą się jacyś „życzliwi”, amatorzy babrania się w brudach.

– Masz jakichś wrogów, synku?

– A kto w naszych czasach ich nie ma?

– Boję się o ciebie, synku. Nie pchaj się w to gniazdo żmij, bo cię zagryzą.

– Nie bój się, ojcze, dam sobie radę. No, pójdę już.

– Nie zapominaj o mnie, synku, przychodź częściej, co? Nie mam już na świecie nikogo oprócz ciebie. Twoja matka umarła, moja żona też...

– Nie dramatyzuj, ojcze. Oprócz mnie masz jeszcze córkę i syna. Sam jesteś sobie winien, wychowałeś ich na drani, oddałeś im wszystko, co miałeś najlepszego, a oni cię zostawili na pastwę losu.

– Nie mów tak, synku, no po co to... – Głos starca był niemal niesłyszalny. – Dla ciebie też sporo zrobiłem, przypomnij sobie.

– Ja akurat pamiętam – szorstko odparł syn. – Dlatego do ciebie przyjeżdżam. No dobra, ojcze, trzymaj się, najpóźniej za miesiąc cię stąd zabiorę.

– Żegnaj, synku.

Rozdział 6

Czy można ułożyć takie równanie, na które składałyby się, nie wykluczając się nawzajem, podświadoma chęć Borysa Kartaszowa i Olgi Kołobowej uwolnienia się od Wiki Jeriominej, skasowany zapis na automatycznej sekretarce i incydent z Wasilijem Kołobowem, o którym najpierw nikomu nie powiedział, a potem wręcz mu zaprzeczał? Nastia Kamieńska, Andriej Czernyszew, Jewgienij Morozow, stażysta Oleg Mieszczerinow i działający po omacku Misza Docenko zrobili, co w ich mocy, przesłuchując masę osób, ale nie zdobyli żadnego dowodu na to, że grafik Kartaszow i jego kochanka Kołobowa mają coś wspólnego z zaginięciem Wiki. Ustalanie czyjegoś alibi w kilka tygodni po wydarzeniu to sprawa trudna i niepewna, tym bardziej że w grę wchodził cały tydzień. Gdzie spędziłaś ten tydzień, Wiko Jeriomina, zanim cię uduszono? I dlaczego miałaś na ciele ślady po uderzeniach grubym sznurem? Torturowano cię, męczono? Chyba naprawdę byłaś chora i trafiłaś w łapy jakiegoś niegodziwca, który wykorzystał twój stan, a na koniec cię zabił. Tylko wciąż nie wiadomo, co było nagrane na sekretarce...

Nastia rozmyślała leniwie, siedząc w pustawym przedziale dla palących samolotu relacji Moskwa–Rzym. Przy odprawie jedyna z całej delegacji poprosiła o miejsce w czwartym, „palącym” przedziale i teraz cieszyła się z tej decyzji: pasażerów było tu niewielu i Nastia, uwolniona od towarzystwa kolegów, mogła wykorzystać trzy i pół godziny lotu na rozmyślanie.

A więc Wasilij Kołobow. W drugiej rozmowie kategorycznie zaprzeczał, jakoby go pobito, i tłumaczył, że po pijanemu spadł ze schodów. Jednakże jego żona twierdziła równie stanowczo, że męża pobito, na dowód przytaczając jego słowa: kiedy tego dnia przyszedł do domu, położył się na łóżku, przycisnął ręce do brzucha i zgięty w pół, mamrotał: „Dranie. Łobuzy”. Upartego Kołobowa próbowali złamać wszyscy po kolei, ze stażystą i Nastią włącznie, ale bez rezultatu. Spadł ze schodów i już. Stracili tylko czas. Zauważyli

jednak przy tej okazji, że im bardziej uporczywie Wasilij zaprzeczał, jakoby go pobito, tym chorobliwiej reagował na najbliższą wzmiankę o przyjaciółce swej żony Wice. W końcu postanowili sprawdzić, czy kochliwy sprzedawca zagranicznych papierosów nie miał z Wiką romansu, o którym nikt nie wiedział. Może wszystko w tej sprawie było o wiele prostsze i motywem zabójstwa była zazdrość? Jako hipoteza robocza miało to ręce i nogi. Wówczas tajemniczy telefon mógł być wiadomością od Wiki o tym, że wyjeżdża gdzieś z Wasilijem. Sądząc z tego, co wiedzieli o charakterze dziewczyny, mogła bez żenady powiedzieć o tym Borysowi. Po morderstwie, popełnionym, co całkiem prawdopodobne, przez Kołobowa, Borys i Olga postanawiają osłaniać mordercę. Przyczyny mogły być najróżniejsze... Poza tym śmierć Wiki rozwiązywała ich osobiste problemy: Borys, ze swym słabym charakterem, nie musiał się dłużej zastanawiać, jak się rozstać z Jeriomina, a przed Lolą otwierała się realna szansa na normalne, rodzinne życie z malarzem. Tym bardziej że oboje bardzo chcieli mieć dzieci. Do tego równania skasowany zapis na sekretarce bardzo pasował, ale co tu miało do rzeczy pobicie Kołobowa? Może nic? Może w ogóle nie ma to nic wspólnego z morderstwem i wpychanie na siłę tych dwóch spraw do jednego garnka jest bez sensu?

– Nigdy wcześniej nie była pani w Rzymie? – odezwał się z prawej strony miły głos, mówiący po angielsku z silnym akcentem.

Nastia odwróciła głowę w stronę młodego człowieka w białym swetrze, siedzącego po drugiej stronie przejścia. Patrzył z uśmiechem na leżący na jej kolanach przewodnik po Rzymie Michelina, wygrzebany w mieszkaniu rodziców. Przewodnik ten wiele lat temu Nadieżda Rostisławowna przywiozła ze swej pierwszej podróży do Rzymu.

Nastia po akcencie bezbłędnie odgadła w nieznanym Włocha. Z trudem zwalczyła pokusę odpowiedzi mu po angielsku. Nie można tego odwlekać w nieskończoność, pomyślała. Tak czy owak będą musiała mówić po włosku, więc lepiej zacząć od razu. W angielskim i francuskim czuła się pewnie, często się nimi posługiwała, dużo tłumaczyła, zwłaszcza w czasie urlopów, żeby załatać dziury w budżecie. Natomiast włoski, którym nieźle władała

w dzieciństwie dzięki naleganiom matki, od dawna, jak sama mówiła, leżał w głębokiej szufladzie nieużywany, i Nastia bała się nim posługiwać. Teraz się jednak odważyła.

– Może pan mówić po włosku – powiedziała, pokonując zmieszanie i starannie artykułując słowa. – Tylko nie za szybko.

Młody człowiek uśmiechnął się ze zrozumieniem i z wyraźną przyjemnością przeszedł na język ojczysty. Gawędzili od jakichś dwudziestu minut, kiedy do przedziału z papierosem w rękę wszedł szef delegacji Jakimow. Zajął fotel przed Nastią, pstryknął zapalniczką, wypuścił dym i odwrócił się, przechylony przez podłokietnik.

– Separujesz się od kolegów, Kamieńska? – odezwał się żartobliwie. – Już nawet znalazłaś sobie wielbiciela. No, no, uważaj, tylko bez żadnych głupstw.

Jakimow podobał się Nasti. Obce mu były dyktatorskie zadęcia i wyniosłość człowieka bywałego za granicą, wynoszącego się nad zwykłych radzieckich rodaków, którzy po raz pierwszy znaleźli się w obcym kraju i na ogół nie wiedzą, jak się zachować i co powiedzieć. Chętnie dzielił się swym doświadczeniem, szczegółowo odpowiadał na pytania i udzielał bardzo cennych rad, które Nastia, po wizycie w Szwecji u matki, uznała za dobre i na czasie.

– Jak będzie wyglądał nasz rozkład zajęć? – spytała.

– Od dziesiątej do osiemnastej będą się nami zajmować włoscy koledzy, po osiemnastej – zabawiamy się sami. Środę i sobotę mamy wolne, możesz biegać po sklepach, jeśli masz ochotę. Co cię konkretnie interesuje?

– Chcę się spotkać z mamą. Obiecała w czwartek przyjechać do Rzymu.

– Nie ma problemu. Po szóstej jesteś panią siebie, ja ze swojej strony nie mam żadnych zastrzeżeń. Uprzedzam cię na wszelki wypadek, że dwie osoby z naszej delegacji już przewąchały, że znasz język, i zamierzają, korzystając ze swego wyższego stopnia, zaprząć cię do robienia zakupów. Więc jak będziesz się chciała uwolnić, to mi powiedz – postaram się ich powstrzymać.

Jakimow zgasił papierosa i poszedł do dziobowego przedziału, gdzie siedział razem z resztą delegacji: dwoma generałami (jeden z ministerstwa, drugi z moskiewskiego GUWD), szefem jednej

z moskiewskich komend dzielnicowych i dwoma funkcjonariuszami Głównego Urzędu Kryminalnego.

– Nigdy bym nie pomyślał, że jest pani Rosjanką. Byłem pewien, że mam do czynienia z Angielką – odezwał się młody człowiek w białym swetrze.

Nastia uśmiechnęła się w duchu. Nic dziwnego, że wziął ją za Angielkę: chuda, jasnowłosa, nieatrakcyjna, o delikatnych rysach mało wyrazistej, więc zapewne zimnej twarzy, rzeczywiście robiła wrażenie typowej starej panny z klasycznej angielskiej powieści. A w każdym razie jej wygląd nie miał nic wspólnego z popularnymi wyobrażeniami o rosyjskich pięknościach.

– Chce pan powiedzieć, że mam typowo angielski wygląd?

– Nie, mówi pani po włosku z angielskim akcentem.

– Naprawdę? – zdumiała się Nastia. – Nigdy by mi to nie przyszło do głowy.

Postanowiła uważniej słuchać, jak mówi jej towarzyski rozmówca, i spróbować mówić tak jak on. Słuch miała fenomenalny, a matka uczyła ją języków obcych od wczesnego dzieciństwa, toteż walka z angielskim akcentem zakończyła się zwycięsko akurat w chwili lądowania. Młody Włoch należycie ocenił lingwistyczne wysiłki Nasti i na pożegnanie powiedział:

– Teraz mówi pani jak Włoszka, która zbyt długo mieszkała we Francji.

Wybuchnęli zgodnym śmiechem.

– Mam teraz inny akcent?

– Z akcentem wszystko w porządku, ale zaczęła pani budować zdania jak Francuzka.

Umieszczono ich w malutkim, cichym katolickim hotelu, stojącym na wzgórzu, niedaleko ambasady rosyjskiej. Nastia ucieszyła się na wieść, że z hotelu do bazyliki Świętego Piotra można dojść pieszo w dwadzieścia minut.

Jakimow mówił prawdę. O szóstej po południu Włosi kończyli pracę i pozostawiali rosyjską delegację samej sobie. Niczego w rodzaju rosyjskiej gościnności nie dało się tu zauważyć: w ciągu sześciu dni wizyty – jedna wycieczka po mieście i jeden lunch z przedstawicielami ministerstwa. Zapoznawali się z pracą tutejszej

policji, zadawali pytania, oglądali filmy szkoleniowe. O żadnych imprezach po zakończeniu roboczego dnia nie było nawet mowy.

Nastia była z tego całkiem zadowolona. Po obiedzie w hotelu o siódmej wieczorem przebierała się, zmieniała spódnicę na dżinsy, a pantofle na stare, ukochane adidas, i narzuciwszy skórzaną kurtkę, z bedekerem w kieszeni, ruszała na spacer. W środę, która była dniem wolnym, Nastia wymknęła się z hotelu zaraz po śniadaniu, które podawano o wpół do ósmej. Nikomu poza Jakimowem nie powiedziała o swoich planach i postanowiła wyśliznąć się ukradkiem, zanim ktoś poprosi ją o pomoc przy zakupach, jako że ani angielskiego, ani tym bardziej włoskiego nie znał nikt prócz niej i szefa delegacji. Zamiar doskonale się powiódł i Nastia cały dzień włóczyła się po mieście, oglądając domy i rzeźby, lawirując w nieprzerwanym strumieniu aut i nie przestając się dziwić uprzejmości, z jaką kierowcy odnosili się do pieszych. Grudniowe słońce było jeszcze bardzo ciepłe, ale mimo siedemnastu stopni powyżej zera wiele kobiet szło ulicami w rozpiętych futrach z lisów lub norek.

Wszędzie ścigał Nastię zapach prawdziwej kawy, dolatujący z niezliczonych kawiarenek i barów. Przez pierwsze dwie godziny znajdowała w sobie siły, by mu się oprzeć, ale potem, uznawszy rozsądnie, że tak czy owak musi dać odpocząć nogom, a za te pieniądze, które ma, nic specjalnego się nie kupi, więc nie ma sensu ich oszczędzać, postanowiła nie odmawiać sobie przyjemności i z rozkoszą siadała przy stolikach wprost na ulicy. Pod wieczór, mimo że miała przewodnik, udało się jej zabłądzić. Bez końca szła wzdłuż głuchego kamiennego muru i dopiero gdy znów znalazła się w znajomym miejscu, zorientowała się, że po prostu zrobiła spacer wokół Watykanu.

W czwartek 16 grudnia, przechodząc kolumnadą otaczającą bazylikę Świętego Piotra, Nastia od razu dostrzegła na placu swoją matkę. Nadieżda Rostisławowna, piękna, smukła i oszałamiająco elegancka, stała, zatopiona w rozmowie z wysokim siwym panem, i co chwila rozglądała się na wszystkie strony.

Matka i córka uściskały się i ucałowały.

– Poznajcie się – profesor Kamieńska natychmiast przeszła na angielski – moja córka Anastazja. Mój kolega, profesor Cune.

– Derek – przedstawił się Cune, ściskając dłoń Nastii.

Brawo, mamuśka, zachwyciła się w duchu Nastia. – Przywiozła swojego amanta, nie bała się. Zresztą kogo miałyby się bać? Mnie? Śmieszne. Ciekawe, kto tu komu urządza oględziny, on mnie czy ja jemu? Ale jakież ona jest jednak piękna! Czemu ja się urodziłam taka nieciekawa?

Derek miał siwe włosy, chłopięcą twarz i wesołe, żółto-zielone oczy. Mówił trochę po rosyjsku, Nastii, choć z wielkim trudem, udawało się z nim porozumieć po szwedzku, i rozmowa całej trójki tworzyła przezabawny lingwistyczny koktajl.

Pierwszego wieczoru siedzieli do późnej nocy w restauracji, do której zaprowadził je sympatyczny profesor, znający w Rzymie każdy zaułek. Nastia nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz tyle się śmiała. Czuła się swobodnie w towarzystwie matki i Dereka, jej obawy się nie sprawdziły, wcale jej to nie stresowało. Pokonawszy barierę skrepowania w czasie wizyty u ojczyma i jego flamy, analogiczną sytuację z matką Nastia znosiła bez najmniejszych trudności emocjonalnych. Matka jest szczęśliwa, Derek patrzy na nią z wesołym uwielbieniem, i cóż w tym złego, skoro wszystkim jest dobrze?

– Jutro pójdziemy do opery, kupiłam bilety – powiedziała przy pożegnaniu Nadieżda Rostisławowna – a w sobotę Kaplica Sykstyńska. Nie zaśpij, jest otwarta dla zwiedzających tylko do czternastej.

– Cieszę się, że Nadieżda ma taką wspaniałą córkę. – Derek Cune uśmiechnął się czarująco.

Nastia wróciła do hotelu zadowolona i odprężona. Dręczące ją od kilku miesięcy obawy o to, że rodzina może się rozpaść, wydały się jej głupie i bezpodstawne. Ludzie mają pełne prawo czuć się szczęśliwi, zwłaszcza jeśli nikt przez to nie cierpi.

Gdyby Nastia Kamieńska wiedziała, jak gwałtownie zmieni się jej życie już za trzy dni, gdyby przeczuwała, jak odległe i mgliste wydadzą się jej „rzymskie wakacje” z owego odmetu strachu i nerwowego napięcia, w którym się pogrąży zaledwie trzy doby później, postarałaby się pewnie lepiej zapamiętać i utrwalić uczucie

zachwytu i wewnętrznego spokoju, jakiego doznała w Wiecznym Mieście. Ale Nastia, jak wszyscy szczęśliwi ludzie, beztrudnie myślała, że tak będzie zawsze.

I bardzo się myliła.

W sobotę, po wyjściu z Kaplicy Sykstyńskiej, matka zaproponowała, żeby wpaść na targi książki.

– Muszę wybrać parę książek dla siebie i przyjaciół. Chodź z nami, na pewno cię to zainteresuje.

Na targach się rozdzielili. Matka i Derek poszli szukać interesujących ich wydań, a Nastia została przy stoiskach, nad którymi ogromne litery głosiły: „Europejski bestseller”. Oglądała kolorowe okładki, czytała noty i klasyfikowała książki w myślach: o, to bym chętnie przeczytała, gdybym miała czas, i to też, i to... A tego typu literatura nie jest w moim guście. Podchodząc do kolejnego stoiska, poczuła nagle, że ziemia usuwa się jej spod nóg. Na wprost niej stała książka pod tytułem *Sonata śmierci* pióra Jeana-Paula Brizaca. Na lakierowanej okładce widniało pięć krwawoczerwonych smug, tworzących pięciolinię, i jasnozielony klucz wiolinowy.

Otrząsnąwszy się z szoku, Nastia wzięła książkę i wpiła się wzrokiem w notę na tylnej stronie okładki. „Jean-Paul Brizac”, pisano w niej „to jedna z najbardziej zagadkowych postaci współczesnej literatury europejskiej. Żadnemu dziennikarzowi nie udało się jeszcze zdobyć wywiadu z autorem ponad dwudziestu bestsellerów. Trzymająca w napięciu intryga, walka dobra ze złem, mroczne strony ludzkiej natury, to wszystko znajdujemy w książkach tajemniczego pustelnika, który nie pozwala się fotografować i kontaktuje ze światem zewnętrznym poprzez swego agenta literackiego”.

Nastia rozejrzała się uważnie po stoisku i znalazła jeszcze kilka książek Brizaca w języku niemieckim, francuskim i włoskim. Zauważywszy z daleka matkę, przepchnęła się do niej przez tłum.

– Mamo, czy tu można kupić książki?

– Oczywiście. Znalazłaś coś ciekawego? Chodźmy, kupię ci, tobie i tak nie starczyłoby pieniędzy, tutaj jest bardzo drogo.

– Ale ja potrzebuję dużo... – niepewnie bąknęła Nastia.

– No to kupimy dużo – z olimpijskim spokojem odparła matka.

Niemieckiego Nastia nie знаła, wybrała więc książki Brizaca po francusku i włosku.

– Po co ci to? – Nadieżda Rostisławowna skrzywiła się pogardliwie. – Naprawdę czytasz takie gnioty?

– No... To ciekawe – wymijająco odpowiedziała Nastia. – Pisarz samotnik, mroczne strony duszy... Interesujące.

Matka wyraźnie nie pochwałała fascynacji córki europejskim bestsellerem. Płacąc za bynajmniej nie tani zakup, zauważyła mimochodem:

– Brizaca można kupić w każdym kiosku na dworcu albo na lotnisku, i to o wiele taniej. I wybór jest tam większy.

Jean-Paul Brizac był, zdaniem Nadieżdy Rostisławowny, autorem popularnym, ale niezbyt wybitnym. Jego książki chętnie kupowali do poczytania w podróży niezbyt wymagający czytelnicy, toteż wydawano je przeważnie w miękkiej oprawie i w formacie kieszonkowym. Ale jedna uwaga matki Nastię zainteresowała:

– Brizac kurczowo trzyma się mody. Wiesz, że ostatnio bardzo wzrosło zainteresowanie Rosją. No i jest więcej emigrantów. Brizac napisał cały cykl thrillerów o tematyce rosyjskiej i wyobraź sobie, że jest na nie wielki popyt wśród wychodźców z Rosji. Mogę cię zapewnić: kimkolwiek jest ten pustelnik, na pewno nie klepie biedy. Nakłady jego powieści są olbrzymie, a pisze szybko.

– Czytałaś coś z jego rzeczy? – spytała z nadzieją Nastia.

– Ja nie jestem emigrantką. I nie lubię thrillerów. Nie rozumiem, kto ci wpoił taki gust.

– Ale skoro nie czytałaś jego książek, to skąd wiesz, że są złe? – Nastia wydawała się wręcz dotknięta taką opinią o pisarzu.

– Opieram się na zdaniu osób, na których guście mogę polegać. A poza tym nie twierdzę, że są złe. Wiem tylko, że prawdziwą literaturę tworzy się latami. A twój Brizac kleci swoje nieśmiertelne dzieła po pięć sztuk rocznie, a może i więcej.

– Jak myślisz, mamó – spytała w zamyśleniu Nastia – czy ten Brizac może być rosyjskim emigrantem?

– To mało prawdopodobne – odparła stanowczo Nadieżda Rostisławowna, z roztargnieniem przerzucając jedną z kupionych przez córkę powieści. – Posługuje się francuskim jak Francuz.

Wystarczy przeczytać parę akapitów, żeby się o tym przekonać. A zresztą – dodała, przebiegając wzrokiem wybraną na chybił trafił stronicę – język jest płynny, dynamiczny, dialogi żywe, porównania ciekawe... Może rzeczywiście jest niezłym pisarzem. Ale to rdzenny Francuz, co do tego nie mam cienia wątpliwości.

Nazajutrz Nastia wraz z resztą delegacji odleciała do Moskwy. W samolocie czytała *Sonatę śmierci*, mając nadzieję, że znajdzie w niej jakąś podpowiedź, choćby drobną wskazówkę, która naprowadziłaby ją na rozwiązanie nieprawdopodobnej zbieżności ryciny na okładce z rysunkiem, jaki zrobił Borys Kartaszow po rozmowie z Jeriominą. Jakkolwiek zresztą było, co do jednej kwestii Nastia miała teraz pewność: Wika nie cierpiała na chorobę psychiczną. Rzeczywiście mogła słyszeć w radiu opis swojego snu: wiele zachodnich radiostacji, nadających w języku rosyjskim, przedstawia fragmenty nowych książek. Myśl o oddziaływaniu przez radio nie była płodem chorej wyobraźni. Ale jak to się stało, że oba rysunki okazały się tak podobne? Podobne w najdrobniejszych szczegółach, włącznie z jasnozielonym kolorem klucza wiolinowego.

Istnieje oczywiście bardzo proste wyjaśnienie, które samo się nasuwa: Wika słyszy w radiu fragment *Sonaty śmierci*, Nastia nawet dokładnie wie, który konkretnie epizod. Potem dziewczyna opowiada go szczegółowo Borysowi, który rysuje pod jej dyktando. Jeśli nawet śnił się jej wcześniej jakiś koszmar, to mógł być tylko z lekka, a może nawet wcale niepodobny do tego, co autor napisał w *Sonacie* i co znalazło się potem na rysunku Kartaszowa. Po prostu Wice się coś poprzestawiało w głowie i zaczęło jej się wydawać, że... Ale wówczas trzeba będzie przyznać, że była chora. Nie, znów coś nie tak, znów ślepa uliczka...

Jeśli jeszcze wczoraj w sprawie zamordowania Jeriominej było za mało informacji, to dziś w mgnieniu oka stała się ona niesamowicie splątana.

Rozdział 7

Trzeba będzie znowu zaczynać wszystko od początku – z udręką powiedziała Nastia, patrząc na Czernyszewa, Morozowa i stażystę Mieszczerinowa.

– Po raz piąty? – sarkastycznie zapytał Andriej, zakładając nogę na nogę i rozsiadając się wygodniej.

Siedzieli w mieszkaniu Nastii. Był niedzielny wieczór. Natychmiast po przekroczeniu progu Nastia obdzwoniła kolegów, prosząc, by jak najszybciej przyjechali. W przedpokoju do tej pory stała nierozpakowana torba podróżna, przez którą trzeba było przestępować, by się dostać do kuchni. Jakoś nikomu, w tym także samej Nastii, nie przyszło do głowy przestawić ją w wygodniejsze miejsce.

– A niechby nawet piąty – ostro odparła Nastia. – Będziemy się posuwać z dwóch końców. Myślę, że tym razem do czegoś się dogrzebiemy. Oleg, jutro rano pojedzie pan do archiwum i wyszuka sprawę o morderstwo, wytoczoną matce Jeriominej. Andriej i Żenia rozpoczną poszukiwania w środowisku wydawniczym, wychodząc od powiązań Walentina Kosara.

– A ty będziesz sprawować ogólne kierownictwo ideologiczne – złośliwie rzucił Morozow, nawet nie próbując ukrywać niezadowolenia, że wyciągnięto go z domu w niedzielny wieczór.

Nastia, świetnie rozumiejąc jego nastrój, postanowiła nie dać się sprowokować.

– Ja będę czytała wiekopomne arcydzieła Brizaca – odrzekła spokojnie – jako że żaden z was tego zrobić nie może. Czy to cię satysfakcjonuje?

– Mam na jutro inne plany. – Morozow nie ustępował. – Myślisz, że oprócz tego morderstwa sprzed stu lat nie mam innych zmartwień? To wy z Pietrowki, milicyjna elita, bierzecie jedną ze stu spraw i rzucacie się na nią całą hurmą, a pozostałe dziewięćdziesiąt dziewięć spychacie do nas, w teren.

– Daj już spokój, Żenia – ugodowo przemówił Czernyszew – skoro naczałstwo każe nam pracować w grupie z Anastazją, za późno, żeby rwać sobie włosy z głowy. Przestań się bzdyczyć.

– Ale ja naprawdę jutro nie mogę.

Morozow był wyraźnie zdenerwowany i Nastia na krótką chwilę zrobiło się go nawet żal. Może ma rzeczywiście ważne spotkania, których nie da się przełożyć i które mogą się okazać decydujące dla jakichś jego spraw służbowych czy nawet osobistych.

– Cóż robić – westchnęła – skoro nie możesz, to nie możesz. Dołączysz we wtorek. Okej?

Morozow z ulgą kiwnął głową i od razu poweselał.

– A czy mógłbym zamiast w archiwum pracować z Andriejem? – odezwał się stażysta, który dotychczas siedział milcząc w fotelu przy oknie, gdzie było strasznie zimno, bo przez nieszczelne drzwi balkonowe stale wiało mrozem.

– Nie – kategorycznie ucięła Nastia. – Pan się zajmie archiwum.

– Anastazjo Pawłowno, proszę – zajęczał błagalnie Oleg. – No, czego ja się nauczę w archiwum? A aktualna sprawa...

– Nauczy się pan czytać materiały procesowe – szorstko odparła Nastia, tłumiąc narastającą irytację. – Jeżeli pan myśli, że to łatwe, zapewniam pana, że jest pan w grubym błędzie. Czy widział pan kiedyś akta sprawy kryminalnej przekazane do sądu?

Mieszczerinow milczał nadąsany.

– Sprawa przekazana do sądu nie ma nic wspólnego z materiałami, które w czasie dochodzenia leżą w teczce śledczego. To znaczy materiały są oczywiście te same, ale podczas gdy śledczy układa je zazwyczaj w porządku chronologicznym i łatwo prześledzić, co się wydarzyło najpierw, a co potem, to w aktach sądowych, zwłaszcza jeśli oskarżonych jest kilku, a w dodatku, nie daj Boże, udało im się popełnić nie jedno, ale kilka przestępstw, sam diabeł się nie połapie. Śledczy może zgrupować materiały według osób i wtedy dokumenty dotyczące każdego oskarżonego ułożone są zasadniczo razem, ale żeby zrozumieć, jaką rolę odegrali w danym epizodzie współsprawcy, trzeba wertować wszystkie tomy. A zdarza się, że sprawę ułożono według epizodów, i wtedy człowiek długo się męczy, zanim zrozumie, co konkretnie popełnił interesujący go sprawca. I żeby się zorientować, kto złożył jakie zeznania i kto kogo

usiłował „wsypać”, trzeba mieć po prostu nadludzką cierpliwość. Czy nigdy się pan nie zastanawiał, dlaczego usługi adwokatów są takie drogie? Przepraszam za tę całą łopatologię. Panu trafia się akurat dość łatwa robota: jeden oskarżony o jedno przestępstwo. Proszę jednak, żeby przejrzał pan sprawę z największą uwagą i nie polegał na swojej pamięci, tylko robił notatki. Nazwiska osób, które uczestniczyły w śledztwie i procesie, też proszę zapisać. I jeszcze jedno. Proszę nie myśleć, że panu nie ufam, ale chcę z góry uprzedzić, żeby potem nie było nieporozumień: niech pan nie próbuje się ograniczać tylko do przeczytania wyroku czy aktu oskarżenia. Interesuje mnie nie tylko fabuła, ale cały przebieg dochodzenia, w tym również zeznania świadków i oskarżonej, szczególnie jeżeli te zeznania zmieniały się w trakcie śledztwa i procesu. Zrozumiał pan wszystko?

– Zrozumiałem – odparł z przygnębieniem stażysta. – Czy mogę skorzystać z telefonu? Boję się, że rodzice wrócili z daczy i martwią się, gdzie się podziewam. Kiedy mnie pani wezwała, tak się spieszyłem, że nawet nie zostawiłem kartki.

– Telefon jest w kuchni. – Nastia kiwnęła głową w tamtym kierunku.

Po wyjściu Olega Morozow powiedział z uśmiechem:

– Ależ mamy młodzież w tej milicji! Chłop jak dąb, prawie już oficer, a opowiada się rodzicom jak pierwszoklasista. Maminsynek.

– Jak ci nie wstyd – odparła z wyrzutem Nastia. – Może ma takich rodziców. Pewnie wcale nie chce się im opowiadać, ale oni się denerwują. Dla naszych rodziców zawsze będziemy głupiutkimi dziećmi, tak to już jest.

Zamknawszy drzwi za gośćmi, Nastia stanęła w zadumie nad porzuconą pośrodku przedpokoju torbą, zastanawiając się, czy rozpakować rzeczy, czy zostawić to na później. Rano matka z Derekiem przyjechali na lotnisko Leonarda da Vinci, żeby pożegnać się z Nastią. Nadieżda Rostisławowna przyniosła jej olbrzymią torbę z prezentami, a Derek z figlarnym uśmiechem wręczył zapakowane w papier książki. Były to wspaniałe thrillery Brizaca, kupione przed chwilą w kiosku na lotnisku, kieszonkowe wydania w broszurowej oprawie. Książki leżały w torbie razem

z rzeczami. Trzeba będzie rozpakować, ospale pomyślała leniwa Anastazja Kamieńska i wzięła się do roboty.

Rozłożyła rzeczy na miejsce, postąpiła chwilę pod gorącym prysznicem, żeby się rozgrzać, przyniosła z kuchni aparat telefoniczny z długim sznurem, postawiła go przy kanapie, wsunęła się pod kołdrę i otworzyła powieść Jeana-Paula Brizaca „o tematyce rosyjskiej”.

Nastiuha! – ucieszył się Giennadij Griniewicz, ściskając Nastię. – Jakie bogi? Przecież niedawno u mnie byłaś. Coś się stało?

– Potrzebuję rady. – Nastia pieszczotliwie potargała resztki włosów na głowie reżysera i cmoknęła go w brodę. – Mówiłeś, że masz znajomych dziennikarzy z Francji i Niemiec.

– A o co chodzi? Chcesz zdemaskować jakiś skandal? – zażartował Griniewicz.

– Chcę się skonsultować. Jest taki pisarz, Jean-Paul Brizac. Oczywiście żadna gwiazda światowego formatu, u nas go nie tłumaczą i jak sądzę, chyba nie znają. Ale jest dość płodny i jego książki są podobno rozchwytywane, szczególnie przez amatorów lekkich czytań. Chciałabym dowiedzieć się o nim czegoś więcej.

– To Francuz?

– Chyba tak, ale nie jestem pewna.

– No to dlaczego spytałaś mnie o Niemców?

– Napisał cały cykl powieści o tematyce rosyjskiej i mówiono mi, że w środowisku naszych emigrantów taka literatura ma spore powodzenie. No i pomyślałam sobie, że niemieccy dziennikarze też mogą coś o nim wiedzieć.

– Co do emigracji, to masz prawidłowe informacje. Więc czego chcesz się dowiedzieć?

– Chcę zrozumieć, kim jest Jean-Paul Brizac. Pomożesz mi?

– Postaram się. Czy to pilne?

– Na przedwczoraj.

– Postaram się – twardo powtórzył Griniewicz. – Jak tylko czegoś się dowiem, zaraz do ciebie zadzwonię. Zostaniesz na próbie?

– Dziękuję, Giena, ale nie. Muszę lecieć.

Książki Brizaca nie były jedynymi powieściami „o tematyce rosyjskiej”, jakie czytała Nastia Kamińska. Co więcej, spośród mnóstwa wydawnictw na straganach księgarskich wybierała właśnie takie utwory. Była ciekawa, jak widzą i przedstawiają Rosjan zagraniczni autorzy. Każde takie doświadczenie pokazywało, że o wiarygodności nie ma tu mowy. Nawet pisarzom emigracyjnym, którzy wiele lat spędzili w Rosji, nie udawało się uniknąć błędów w opisach rosyjskiej rzeczywistości dnia dzisiejszego. A już o takich autorach, jak Martin Cruise Smith, twórca wielkiego bestselleru *Park Gorkiego*, w ogóle nie było co mówić. Nastia poczuła znudzenie już na czterdziestej stronie, mężnie domęczyła książkę prawie do końca, ale mimo wszystko nie doczytała, tak ją drażniły oczywiste głupstwa i nieprawdopodobne szczegóły opisów moskiewskiego życia. Potem usiłowała rzetelnie przeczytać *Gwiazdę polarną* i *Plac Czerwony* tegoż Smitha i znów poniosła porażkę. Książki były zdecydowanie złe i Nastia nie mogła się nadziwić, że za granicą trafiły na listy bestsellerów.

Ale z Brizakiem sprawa wyglądała inaczej. Oczywiście, myślała Nastia, to nie Sidney Sheldon czy Ken Follet, ale realia przedstawiał zadziwiająco prawdziwie. Zdawało się, że spędził w Rosji całe życie, że i teraz tu jest. Nastia była zdumiona, jak dokładnie pisarz podaje ceny tych czy innych towarów i usług, nawet kiedy wydarzenia w jego powieściach toczą się w ciągu ostatnich dwóch, trzech lat. Ale to można wyjaśnić, ceny co tydzień są podawane w niektórych gazetach, które jeśli się chce, można zdobyć i wyłowić z nich wszelkie potrzebne informacje. Jednak w utworach Brizaca były też inne szczegóły, których nie znajdzie się w gazetach; można je poznać tylko osobiście, przez lata pracując ramię w ramię ze śledczymi, wywiadowcami, prokuratorami i sędziami, codziennie spotykając się ze sprzedawcami w sklepach i babami w kolejkach, a przy okazji odsiedziawszy też spory wyrok w obozie pracy, o czym dobitnie świadczyła jedna z ostatnich powieści Brizaca, zatytułowana *Smutny powrót*. I Nastia coraz bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że Jean-Paul Brizac jest rosyjskim emigrantem. Jeśli chodzi o doskonałą francuszczyznę jego książek, mógł mieć tłumaczy i redaktorów. A ukrywa się przed dziennikarzami i fotografami, żeby nie zburzyć legendy francuskiego

powieściopisarza. Możliwe także, że ukrywa się przed wymiarem sprawiedliwości...

– Wiktorze Aleksiejewiczu, musimy się dowiedzieć, czy Brizac odwiedzał Rosję. Chcę zrozumieć, skąd się wziął w jego głowie ten nieszczęsny jasnozielony klucz wiolinowy. Zakładając, że oboje nie wierzymy w świat ponadmysłowy i jasnowidzenie, pozostaje tylko jedno wytłumaczenie: Wika Jeriomina i Jean-Paul Brizac byli świadkami tego samego wydarzenia, w którym występował ów dziwny obraz. Później ten obraz Jeriomina widywała w koszmarach sennych, a Brizac, mniej wrażliwy, włączył go do swego arsenału środków twórczych.

Gordiejew, słuchając Nasti, gryzł w zadumie zauszniak okularów. Wyglądał jeszcze gorzej niż przed paroma dniami, ale w jego wzroku nie było już pytania. On wie, zrozumiała Nastia. Tak, pułkownik Gordiejew już wiedział albo prawie wiedział, który z jego podwładnych wysługuje się przestępcom. Nie wiedział tylko, co teraz zrobić, jak pogodzić ludzkie uczucia z obowiązkiem służbowym.

– Nie jest możliwe inne wytłumaczenie? – zapytał wreszcie.

– Zapewne tak, ale ja go jeszcze nie wymyśliłam. Więc na razie to jest jedyne.

– Dobrze, pogadam z biurem paszportowym. Ale co zrobimy, jeżeli Jean-Paul Brizac to pseudonim, a w paszporcie ma zupełnie inne nazwisko? Pomyślałaś o tym?

– Próbuję sprawdzić przez znajomego, czy ten Brizac jest znany w kręgach dziennikarskich. Może oni coś wiedzą o pseudonimie i prawdziwym nazwisku.

– Co to za znajomy? – Gordiejew zmarszczył się.

– Giennadij Griniewicz, pracuje w teatrze jako asystent reżysera.

– Dawno go znasz? – wypytywał dalej pułkownik.

– Od dzieciństwa. Co się z panem dzieje, pułkowniku? – nie wytrzymała Nastia. – Nie możemy przecież podejrzewać całego świata, bo oszalejemy.

– I tu masz rację. Czasem myślę, że naprawdę oszalałem. – Gordiejew uśmiechnął się gorzko. – No dobra, Stasienko, do roboty. I jeszcze raz cię proszę, moje dziecko, trzymaj swoje wnioski przy

sobie. Nie dziel się nimi z nikim, no, ewentualnie z Czernyszewem, a i to w ostateczności. Rozumiesz?

– Jest mi bardzo trudno, Wiktorze Aleksiejewiczu – cicho powiedziała Nastia. – Postawił mnie pan w niezręcznej sytuacji: wydaję rozkazy na prawo i lewo jak wielki boss, a chłopcy są u mnie na posyłki. Czują się dotknięci i ja ich rozumiem. Zresztą i mnie ta rola nie leży, nie mam natury przywódcy.

– Wytrzymaj, dziecko. – Po raz pierwszy od wielu dni głos szefa zabrzmiał łagodniej i cieplej. – Wytrzymaj. Dla dobra sprawy. Przypomnij sobie swoją Lebediewą.

Larysa Lebediewa była pierwszą i bez wątpienia udaną rolą Nasti Kamińskiej. Pewna siebie, atrakcyjna, agresywna szantażystka grała bardzo przekonująco i udało jej się wywabić z ukrycia najemnego mordercę Galla, działającego na zlecenie wysoko postawionych mocodawców. Fachowców takich jak Gall było w kraju niewielu, można by ich policzyć na palcach; byli to wysoko opłacani zabójcy dużej klasy – nigdy nie wdrażano śledztwa w sprawie śmierci ich ofiar, ponieważ zawsze uchodziła ona za nieszczęśliwy wypadek, katastrofę, naturalny zgon albo samobójstwo. Szantażystka miała nastraszyć upatrzony obiekt, który mógł wezwać do Moskwy zawodowego killera, przy czym musiała to zrobić tak, by zleceniodawca nie tylko zdecydował się na morderstwo, ale też zatrudnił właśnie Galla, a nie kogoś innego. Zespół pod kierunkiem Pączka-Gordiejewa praktycznie działał na ślepo, po omacku, posuwając się ostrożnie krok za krokiem i absolutnie nie wiedząc, czy zmierza we właściwym kierunku. Jedynym dowodem na to, że działają właściwie, mogła być tylko podjęta przez Galla próba zamordowania Larisy Lebediewej, czyli Nasti. I Kamińska spędziła cały tydzień w pustym cudzym mieszkaniu, nasłuchując szmerów na schodach i cierpliwie czekając na przybycie człowieka, który miał ją zabić. A kiedy Gall się zjawił, by ją zamordować, Nastia spędziła z nim sam na sam całą noc, usiłując się zorientować, co ten zamyśla. I nie tylko się zorientować, ale skłonić go, by głośno powiedział o swych zamiarach. Wszystkie rozmowy w mieszkaniu podsłuchiwali ludzie Gordiejewa, ale podejrzliwy Gall wziął pod uwagę taką możliwość i ostro przestrzegł szantażystkę, że jeśli współpracuje ona z milicją i ośmieli się

powiedzieć na głos coś, co byłoby dla niego niebezpieczne, pozostanie jej najwyżej dziesięć, piętnaście sekund życia i nie ocali jej nic i nikt, nawet jeżeli w sąsiednim mieszkaniu znajduje się milicyjna grupa uderzeniowa. Grupa uderzeniowa w sąsiednim mieszkaniu rzeczywiście była, ale Nastia potraktowała ostrzeżenie killera poważnie i nawet kiedy się zorientowała, co wymyślił i jak chce działać dalej, nie odważyła się złamać zakazu i poinformować kolegów siedzących w samochodzie z aparaturą podsłuchową o najbliższych planach zbrodniarza. Zamiast tego obmyśliła dowcipny, ale zupełnie beznadziejny podstęp, który mógł zadziałać tylko przy nieprawdopodobnym zbiegu okoliczności: pod warunkiem, że ludzie w samochodzie, podsłuchujący jej rozmowę z Gallem, dobrze znają ją, Nastię, wiedzą, że w młodości poważnie studiowała matematykę, wiedzą, że istnieje w jej życiu doktor habilitowany Aleksiej Michajłowicz Czistiakow, znają numer jego telefonu i bez skrupułów zadzwonią do niego o czwartej nad ranem. Ale przede wszystkim powinni byli wyłowić z jej wypowiedzi nienaturalne, niecharakterystyczne dla niej słowa i zwroty, wyodrębnić je spośród masy innych słów i właśnie je przekazać Czistiakowowi. Chwył był rzeczywiście absolutnie beznadziejny, ale w tym momencie Nastia nie mogła wymyślić nic innego, jako że prowadzenie gierki z Gallem, zabójcą niezwykle inteligentnym i niebezpiecznym, byłoby głupotą i lekkomyślnością. Wczesnym rankiem Gall powiózł ją za miasto i Nastia, siedząc z nim w pustym pociągu, czuła się jak owca prowadzona na rzeź; wciąż nie wiedziała, czy jej plan się powiódł, czy nie. Gall przywiózł ją do willi zleceniodawcy i tam właśnie Nastia zawarła znajomość z Andriejem Czernyszewem i jego niezwykle psem Kirillem, który od niechcienia i zrećcznie wyprowadził ją poza zasięg zastawionej na Galla zasadzki. Operacja zakończyła się wówczas sukcesem. I tylko jeden Losza Czistiakow wiedział, ile zdrowia kosztowało to Nastię, jak długo potem żyła na środkach uspokajających, utraciwszy sen i apetyt, jak prawie mdlała na każdy ostrzejszy dźwięk i z byle powodu wybuchwała płaczem.

– Pułkownik – odezwała się ostrożnie. – Pan... już wie?

Gordiejew spojrzał na nią zmęczonymi oczyma i nie odpowiedział. Machnął tylko ręką.

Arsen wbił się uporczywym spojrzeniem w swego rozmówcę.

– Dlaczego nie powiedział mi pan zaraz o tym Brizacu? – zapytał ze złością.

– Nie myślałem... Miałem nadzieję, że do tego nie dojdzie – wybełkotał tamten.

– Nie myślał pan – złośliwie powtórzył Arsen. – Za to ona pomyślała. I co teraz? Ta dziewczuszka jest o wiele bardziej niebezpieczna, niż pan przypuszczał, od razu to przeczuwałem. Gdyby pan we właściwym czasie powiedział mi o Brizacu, podjąłbym odpowiednie kroki. A w każdym razie ona nie pojechałaby do żadnych Włoch.

– Ale pan mnie zapewniał, że przez cały czas jest przy niej nasz człowiek. To dlaczego tego nie dopilnował?

– Teraz się pan wykręca od odpowiedzialności – skrzywił się Arsen.

– Od początku powinienem był nawiązać kontakt nie z panem, ale z kimś, kto ma dojścia do śledczych. Pańscy ludzie dopuścili do niedopatrzenia, a ja panu płacę taki szmal – z rozdrażnieniem rzucił rozmówca Arsena.

– Moi ludzie robią wszystko, co jest możliwe, ale mózgu Kamieńskiej nie da się zamknąć na kłódkę. Niechże pan wreszcie zrozumie: działając z wyprzedzeniem, możemy powstrzymać dopływ niebezpiecznej dla nas informacji. A pańska skrytość doprowadziła do tego, że ta dziewczyna już otrzymała informację, i teraz jesteśmy zmuszeni nawiązać z nią bezpośredni kontakt, żeby spróbować zabronić jej myśleć. A to, mój drogi, jest bardzo ryzykowne i bynajmniej nie zawsze efektywne. I będzie kosztować drożej.

– Chce mnie pan zrujnować?

– Niech Pan Bóg broni! – Starszy mężczyzna klasnął w dłonie. – Jestem gotów przerwać robotę choćby zaraz. Nie jestem osobiście zainteresowany w pańskich sprawach, działam jedynie jako pośrednik. Nie chce pan płacić – to nie, moi ludzie natychmiast przestają ingerować w pańską sprawę i biorą się do innej pracy. Zamówień, proszę pana, mamy dość, żeby nie umrzeć z głodu. Więc co pan postanowił?

– Mój Boże, a cóż mógłbym postanowić? – z rozpaczą wyszeptał mężczyzna, który tego dnia zamiast eleganckiego angielskiego

garnituru miał na sobie sztruksy i gruby narciarski sweter: przyjechał na spotkanie z Arsenem prosto z daczki. – Oczywiście zapłacę, tylko niech mnie pan ratuje.

Nastia siedziała w swoim gabinecie i pośepnie patrzyła w okno, za którym ciepły, słotny grudzień z uporem robił wszystko, by miasto nie wyglądało po zimowemu pięknie i noworocznie odświeżenie. Stażysta Mieszczerinow ciągle jeszcze ślęczał w archiwum. Najwyraźniej wziął sobie do serca straszliwe opowieści o trudnościach w badaniu spraw kryminalnych i wykonywał zadanie z wielką starannością.

Oglądając samochody zaparkowane przed ażurowym ogrodzeniem, Nastia zwróciła uwagę na nowiutkie czerwone bmw, którego nigdy wcześniej nie widziała. Tępo zagapiona na lśniąca czerwona plamę, odbijającą od brudnej szarej ulicy, myślała o sprawie Jeriominej i o tym, jak ma się zachowywać wobec kolegów.

– O czym tak dumasz, myślicielko? – rozległ się głos Jury Korotkowa, Jury, który gnieździł się z całą rodziną oraz sparaliżowaną teściową w maleńkim mieszkanku i czekał cierpliwie, aż dzieci podrosną, a on będzie mógł zawrzeć nowe małżeństwo.

– O niczym szczególnym. – Nastia uśmiechnęła się. – Zobaczyłam na ulicy nowiutkie bmw i zastanawiam się, kto przyjechał taką ekstra bryką do naszego przytułku.

– Jak to, nie wiesz? – zdziwił się Jura. – To nasz Lesnikow. Niedawno kupił nowy wóz.

– Coś ty? – Teraz z kolei zdziwiła się Nastia. – Za naszą pensję? Korotkow wzruszył ramionami.

– Że też ci się chce podliczać cudze zarobki, Aśka – powiedział z przyganą. – Igor, nawiasem mówiąc, ma bardzo zamożnych rodziców, jego żona jest wspaniałą projektantką, pracuje u samego Zajcewa i odpowiednio zarabia. To tylko ty jesteś taka samowystarczalna i żyjesz z własnych zarobków, a cała reszta to ludzie żonaci i mają pieniądze, o jakich ci się nie śniło.

Drzwi znowu się otwały i na progu stanął Igor Lesnikow.

– Szukam cię, Korotkow, po wszystkich pokojach, a tymczasem ty siedzisz u Nasti – powiedział z wyrzutem.

– O wilku mowa! – roześmiał się Jura. – Właśnie rozmawiamy o twoim samochodzie.

Zdawało się, że Igor puścił te słowa mimo uszu.

– Rzadko cię ostatnio widuję – zwrócił się do Nastii. – Dawniej całymi dniami przesiadywałaś w gabinecie, a teraz ciągle gdzieś latasz. W sprawie Jeriominej?

Nastia przytaknęła bez słowa, w obawie, że będzie musiała wdawać się w szczegóły.

– No i co, dobrze idzie? Dogrzebałaś się czegoś?

– Właściwie nie. Nie sposób tego ugryźć. Pociągniemy jeszcze do trzeciego stycznia, wtedy upłyną dwa miesiące, Olszański zawiesi sprawę i skończą się moje męki. Mam już dość tego latania, wolę pracę siedzącą.

– No, jesteś z tego znana – uśmiechnął się Lesnikow. – O twoim lenistwie krążą już legendy. Ale moim zdaniem, Anastazjo, wciskasz nam wszystkim kit.

– O co ci chodzi? – Nastia zrobiła wielkie oczy, usiłując się uporać z nieprzyjemnym uczuciem nagłego zimna w żołądku.

– O to, że czytasz w czasie pracy francuskie powieści zamiast zajmować się sprawą. Co, może nieprawda? Ile razy do ciebie ostatnio zajrzę, zawsze widzę na biurku książki w kolorowych okładkach z łacińskimi literami. Tylko mi nie gadaj, że to ci potrzebne do wykrycia mordercy Jeriominej, bo i tak ci nie uwierzę. A ty, Korotkow?

– Co ja? – niepewnie zapytał Jura.

– Uwierzysz, że czytanie francuskich powieści pomaga w pracy wywiadowczej?

– A diabli wiedzą. Może Aśce pomaga. To przedziwny typ umysłowości.

Drzwi znów się otwały i tym razem do pokoju wszedł Wołodia Łarcew.

– No proszę, przyłapałem was! Wywiadowca żyje z tego, że ciągle jest na nogach, a wy tu na kominkach u Aśki.

– A tyś niby taki załatany? – odparował Lesnikow. – Przyleciałeś na te same kominki.

– Ja w interesie. Asia, jaki numer butów nosisz?

– Trzydzieści siedem, a co? – spytała zaskoczona Nastia.

- Super! – ucieszył się Łarcew. – A masz buty narciarskie?
- Nigdy w życiu nie miałam. Trzeba mieć nie lada fantazję, żeby sobie wyobrazić mnie na nartach.
- Ojej, szkoda! – zmartwił się Łarcew. – Nadiuszka będzie miała na wuefie szkółkę narciarską, a nie ma butów. Zeszłoroczne są za małe, kupować buty tylko na rok to za duży wydatek. Kosztują Bóg wie ile, a na przyszły rok znów będą za małe. Nadia przecież rośnie. Szkoda – westchnął. – Myślałem, że mi pożyczysz, a tu nic z tego. Cóż, trudno. A właśnie, Asia, jak ci się pracuje z Olszańskim?
- Z Olszańskim? W porządku.
- Nie przyciska cię za bardzo?
- Nie, nie zauważyłam.
- Wiesz, on czasem bywa dość szorstki.
- To akurat spostrzegłam. A co, skarżył się na mnie?
- Coś ty, jest bardzo zadowolony z twojej pracy. Czym go tak ujęłaś?
- Nieziemską urodą – zażartowała Nastia, zaczynając się denerwować.

Każdy z nich na swój sposób usiłował naprowadzić rozmowę na sprawę Jeriominej. Co to jest, zwykłe zainteresowanie tym, co słyhać u koleżanki, czy coś innego? I który to z nich? A może wszyscy trzej? O, Boże, jęknęła w duchu, niech już sobie idą i zostawią mnie w spokoju. Tylko tego brakuje, żeby teraz zadzwonił któryś z moich chłopców.

Na szczęście, kiedy zjawił się Andriej Czernyszew, w gabinecie już nikogo nie było. Z miny Andrieja Nastia odgadła, że coś go porządnie rozzłościło.

- Chcesz kawy? – spytała.
- Nie chcę. Słuchaj, Kamieńska, może i jesteś genialnym wywiadowcą, ale dlaczego robisz ze mnie idiotę? Co, naprawdę uważasz, że ty jedna umiesz myśleć, a my wszyscy mamy po półtora zwoju mózgowego?

Nastia zdrętwiała pod wpływem złego przeczucia, ale udało jej się zachować spokój.

- Co się stało, Andriusza?
- Co się stało? A to, że dziwnie się zachowujesz. Zgoda, jesteś szefem naszej grupy, Gordiejew cię wyznaczył, ale to jeszcze nie

znaczy, że masz prawo ukrywać przed nami informacje. A zwłaszcza przede mną.

– Nie rozumiem – odparła z zimną krwią Nastia, czując, jak zaczynają jej drżeć ręce. Mówiła przecież Gordiejewowi, że nie potrafi pracować tak, jak on tego wymaga.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś, że Oleg wziął od wdowy po Kosarze jego notes? Wyobraź sobie, jak się poczułem, kiedy spytałem o notes, a ona mi na to, że zabrał go wysoki młody blondyn z Pietrowki. Wygląda na to, że u nas nie wie lewica, co czyni prawica. Kosarowa oczywiście zaraz buzię na kłódkę, z rozmowy nic mi nie wyszło. Widocznie zaczęła podejrzewać, że ją oszukuję i że wcale nie gram w tej samej drużynie co młody blondyn. I co powiesz, jak mam to rozumieć?

– Nic nie wiem o żadnym notesie – wolno odpowiedziała Nastia. – Oleg mi go nie przekazał.

– Słowo? – nieufnie spytał Andriej.

– Słowo honoru. Andriuszka, prowadzę dochodzenie nie po raz pierwszy. Uwierz mi, nigdy bym cię nie wystawiła, w dodatku tak głupio.

– A to kretyn! – wrzasnął ze złością Czernyszew.

– Kto?

– Ten twój stażysta, a któż by inny? Pewnie postanowił działać na własną rękę i samodzielnie przesłuchać osoby wymienione w notesie. Zachciało mu się pracować z żywymi ludźmi! To dlatego tak kwękał, nie chciał jechać do archiwum, Pinkerton smarkaty. Niech no się tylko pokaże, to mu łeb urwę.

– Zaraz, zaraz, spokojnie, łeb ja sama mu urwę. A w ogóle już powinien tu być, strasznie się zasiedział w tym archiwum.

– Wspomnisz jeszcze moje słowa – z irytacją ciągnął Czernyszew.

– Nie siedzi w żadnym archiwum, tylko sprawdza kontakty Kosara. O co zakład?

Nastia w milczeniu podniosła słuchawkę i zadzwoniła do archiwum.

– Wyobraź sobie, że przegrałeś – powiedziała po krótkiej rozmowie. – Mieszczerinow tam siedzi. I wczoraj też siedział.

– Jeszcze zobaczymy, co takiego wysiedzi – burknął Andriej. Wypuścił już parę i powoli się uspokajał.

Nastię dręczył niepokój. Dopiero co, w czasie rozmowy o nowym aucie Igora Lesnikowa, poczuła w żołądku nieprzyjemny chłodek. Oznaczało to, że w mózgu mignęła jakaś ważna myśl, ale ona nie zdążyła jej uchwycić i zapamiętać. I teraz powtarzała sobie w duchu całą rozmowę od początku do końca, w nadziei, że myśl powróci. Coś w czasie tej rozmowy ją zaalarmowało. Ale co? Co?

– Zdaje się, że proponowałaś mi kawę? – odezwał się Czernyszew.

– Już robię.

Zajęła się przygotowaniem kawy i włączając czajnik, wyjmując filiżanki, łyżeczki i cukier, odtwarzała w myśli fragmenty rozmowy z Jurą Korotkinem.

„To nasz Lesnikow. Niedawno kupił nowy wóz...”.

„Ma bardzo zamożnych rodziców...”.

„Żona odpowiednio zarabia...”. Odpowiednio do czego? To było chyba gdzieś w tym miejscu. Co on jeszcze powiedział?

„Żona jest wspaniałą projektantką...”.

Łyżeczka drgnęła jej w ręku i część kawy wysypała się na biurko.

– Andriusza, czym się zajmowała matka Jeriominej? Z czego żyła?

– Z szycia. Zanim się ostatecznie rozpiła, była niezłą krawcową. Pierwszy wyrok miała przecież za kradzież, pamiętasz?

– Tak, mówiłeś. I co?

– Okradła własną klientkę w czasie przymiarki, w pracowni. Wyciągnęła pieniądze z torebki i dała się przyłapać. Po odsiadce nie przyjęto jej z powrotem do pracowni, próbowała w innych spółdzielniach krawieckich, ale wszędzie jej odmawiano. W tych czasach osoby karane niezbyt chętnie przyjmowano do pracy, zwłaszcza kobiety z małym dzieckiem, sama wiesz. Jeriomina została dozorczynią, otrzymała służbowe mieszkanko i prywatnie dorabiała szyciem.

– Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś?

– Nie pytałaś.

Błąd, pomyślała Nastia. Jesteś niedojdą, Kamińska, a mówiąc prościej, idiotką, jakiej świat nie widział.

Była już prawie dziewiąta wieczór, kiedy Nastia wreszcie dotarła do domu. Wsiadła z windy, zmęczonym krokiem podeszła do drzwi mieszkania i włożyła klucz do zamka. Klucz nie chciał się obrócić.

Jeszcze kiedy była dzieckiem, ojczym jej powtarzał: nie wpadaj w panikę, kiedy czegoś nie rozumiesz, zatrzymaj się i pomyśl, działaj powoli i rozważnie. Nie spieszyć się, nie szarpać, pomyśleć...

Wyjęła klucz i spróbowała sobie przypomnieć dzisiejszy poranek. Czy mogła zapomnieć zamknąć mieszkanie? Nie, wykluczone. Tę czynność, jak zresztą wiele innych, wykonywała czysto automatycznie. Nastia leciutko pchnęła drzwi. No tak, otwarte. Zasuwka jest odsunięta, dlatego się nie zatrzasnęły. Dziwne. Ona sama nigdy tak nie ustawia zatrasku.

Ostrożnie przytknęła drzwi, jak najciszej zeszła piętro niżej i zadzwoniła do sąsiadki.

Po czterdziestu minutach przyjechał Andriej Czernyszew ze swoim olbrzymim Kirilem na smyczy.

– Wejdz – polecił psu, doprowadziwszy go do drzwi mieszkania Nasti. – Zobacz, co się tam dzieje.

Otworzył szeroko drzwi i odpiął smycz. Kiril ostrożnie wszedł do przedpokoju, metodycznie zbadał kuchnię, pokój, postać chwilę, nasłuchując i węsząc pod drzwiami łazienki i toalety, po czym zawrócił do wejścia. Obwąchał nogi Nasti, cofnął się do przedpokoju, pokręcił się tam, wyszedł na klatkę schodową i pewnie skierował się do windy.

– Czysto – orzekł Andriej. – Żadnych obcych nie ma, ale byli, w mieszkaniu jest jeszcze czyjś zapach oprócz twojego. Wejdiesz czy wezwiemy milicję?

– Zwariowałaś, Andriusza? Co, mam nocować na schodach? Milicja przyjedzie najwcześniej za jakieś dwie godziny, a na ekipę śledczą będą czekać do rana. Zresztą po co ja ci to mówię, jakbyś sam nie wiedział. Wchodzimy.

Weszli do mieszkania. Nastia pobieżnie obejrzała pokój. Rzeczywiście nie było u niej czego ukraść, chyba że tych kilka zupełnie nowych ciuchów, kupionych przez mamę. Cała reszta z pewnością nie wzbudziłaby apetytu złodziei.

– No co? – spytał Czernyszew, kiedy się już rozejrzała. – W porządku?

Nastia wysunęła szufladę biurka, gdzie leżało pudełko z kilkoma sztukami złotej biżuterii – wisiorkiem na łańcuszku, parą kolczyków i piękną, kosztowną bransoletą, którą podarował jej Losza po

otrzymaniu za swoje opracowania prestiżowej międzynarodowej nagrody.

– W porządku. – Odetchnęła z ulgą.

– No to powiedz mi teraz, w jakie gówno wdepnęłaś. Jeżeli cię nie okradli, to znaczy, że chcą nastraszyć. Coś ci przychodzi do głowy?

– Nie pracuję nad niczym oprócz sprawy Jeriominej.

– Ja-asne – przeciągle powiedział Andriej. – Źle z nami, Nastazjo.

– Nawet bardzo źle. – Nastia uśmiechnęła się niewesoło. – Chciałabym tylko wiedzieć, co im się nie spodobało: historia z Jeanem-Paulem Brizakiem czy raczej to, że Oleg siedzi w archiwum?

– Trzeba czekać – wzruszył ramionami Andriej. – Nic więcej nam nie pozostaje. Prędzej czy później powiedzą nam, czego chcą. – Popatrzył na zegarek. – No, kochanie, na mnie czas, jestem człowiekiem żonatym i ojcem rodziny. Zostawiam ci Kirilla. Jutro o siódmej rano wpadnę i założę ci nowy zamek. Uprzedzam cię tylko, że Kiriusza, co prawda, nikogo nie wpuści do mieszkania, ale i ciebie nie wpuści, więc lepiej nie próbuj.

– Może Kirill nie będzie potrzebny? – delikatnie zaprotestowała Nastia. – Przecież zamknę drzwi, zatrzask nie jest zepsuty.

– Oni mają klucze. Chyba zademonstrowali ci to raczej przekonywająco. Chcesz się obudzić w środku nocy i ujrzeć przy sobie pięknego nieznanego? Niekiedy twoja lekkomyślność mnie po prostu zdumiewa. Do jutra.

Andriej czule wziął Kirilla za obrożę, podprowadził do Nasti i poleciwszy surowo: „Pilnuj!”, wyszedł. Nastia została sama z psem.

Była zmęczona i przemarznięta, chciało jej się jeść, ale najbardziej pragnęła rozgrzać się pod gorącym prysznicem, położyć do łóżka i stać dzieckiem, które mieszka razem z rodzicami i niczego się nie boi.

Zwinięta w kłębuszek, Nastia leżała na kanapie. Nawet się nie rozebrała. Najpierw chciała wziąć prysznic, ale gdy zdjęła sweter, ogarnął ją taki strach, że z powrotem się ubrała. Zdawało się jej, że gdy tylko wejdzie do łazienki i przestanie słyszeć szum windy, natychmiast do mieszkania ktoś się wedrze. Nie uspokajała jej nawet obecność wspaniale wyszkolonego owczarka. Żeby zagłuszyć strach, otworzyła telewizor, ale zaraz go zgasiła: telewizor przeszkadzał

nasłuchiwać kroków na schodach. Wkrótce Nastia była już w stanie bliskim paniki, nie mogła się zmusić, by włączyć młynek do kawy, bo zbyt głośno huczy, i wypła kawę rozpuszczalną, która jej nie orzeźwiła ani nie rozgrzała, pozostawiając jedynie kwaśny posmak w ustach. Wszystko leciało jej z rąk, nawet otwieracz do konserw, więc prawie nic nie zdołała zjeść. Zmęczona bezskutecznym usiłowaniem opanowania strachu, położyła się na kanapie i próbowała skoncentrować. Czym dzisiejszy dzień różnił się od wczorajszego? Dlaczego stało się to dzisiaj, a nie tydzień temu? Dlatego że tydzień temu była we Włoszech, a przedtem nie wiedziała nic o żadnym Brizacu. Archiwum? Ale Czernyszew już tam był na samym początku dochodzenia i nie wywołało to żadnej reakcji. Nie ruszali jej, kiedy prowadzono niekończące się przesłuchania Borysa Kartaszowa i małżonków Kołobowów, spokojnie przyjęli fakt skonfiskowania kasety z automatycznej sekretarki Kartaszowa. Czyżby chodziło o Brizaca? Ale dlaczego? I skąd mieli klucz do mieszkania?

Co jeszcze się dziś wydarzyło? Pod wieczór zjawił się Oleg Mieszczerinow ze szczegółowymi notatkami ze sprawy matki Jeriominej. Okazało się, że prowadziła bardzo bujne życie, często zapraszała do domu przypadkowych kompanów od kieliszka, których nierzadko brała do łóżka, zostawiając małą córeczkę w kuchni i czasem zapominając ją nakarmić. Właśnie jednego z takich pijaczków zamordowała, zadźgała kuchennym nożem wprost w pościeli i zadowolona zasnęła obok trupa. Kiedy się obudziła i trochę wytrzeźwiała, z krzykiem wybiegła z mieszkania i trafiła prosto w ręce życzliwych sąsiadów oraz przechodniów, którzy wezwali milicję.

Słuchając relacji stażysty, Nastia zastanawiała się, jak zacząć rozmowę o jego wizycie u wdowy po Kosarze i o nieszczęsnym notesie. Nie chciała się kłócić z Olegiem, po pierwsze, dlatego że przecież przyszedł na staż właśnie po to, by go uczono, a nie sztorcowano, a po drugie, dlatego że musiała nadal z nim pracować i nie chciała wprowadzać dodatkowych napięć. Postanowiła zacząć z innej beczki.

– Co robiła Jeriomina? Z czego się utrzymywała?

– Była gospodarzem domu – spokojnie odrzekł Oleg, zaglądając do notatek.

– Czy przed popełnieniem tego morderstwa była już karana?

– Tak, za kradzież.

– A gdzie pracowała przed pierwszym wyrokiem?

Mieszczerinow przekartkował notes.

– Nie zapisałem. Moim zdaniem, w aktach tego nie było. A zresztą czy to ważne?

– Może i nie. Ale nie jest pan zbyt rzetelny, Oleg. Te informacje w aktach są. Niech się pan nie obraża, ale jeszcze za wcześnie, by działał pan samodzielnie. Zamiast się uczyć, zadawać pytania i otrzymywać odpowiedzi, pan usiłuje podejmować decyzje i formułować opinie. O tym, co jest ważne, a co nie – będę decydować ja, a pan ma mi dostarczać fakty. Przeanalizuję je razem z panem i pokażę, jak należy je interpretować i oceniać. Dobrze?

– Dobrze – burknął Oleg, zbierając papiery z biurka.

– Co to był za notes, który wziął pan od Kosarowej?

Chłopak zamarł, policzek zadrgał mu nerwowo, a ledwie widoczna szrama pod okiem nabiegła krwią. Milczał.

– Czekam – przypomniała Nastia. – Proszę mi go dać. Nie zamierzam robić panu sceny za to, że pan to przede mną ukrył. Popełnił pan wykroczenie służbowe, ale jest pan stażystą, jeszcze się pan uczy, więc darujmy sobie morały i kary. Po prostu proszę zapamiętać, że tego robić nie wolno.

Mieszczerinow milczał uparcie, wpatrzony w okno.

– O co chodzi, Oleg?

Nastia poczuła coś złego, ale nie chciała dopuścić do siebie takich myśli.

– Anastazjo Pawłowno, postąpiłem bardzo źle, ale... Zgubiłem go – wydusił z siebie wreszcie Mieszczerinow.

– Jak to: zgubił pan? – słabym głosem spytała Nastia. – Gdzie?

– Nie wiem. Przyniosłem go tutaj, a pani nie było. Kiedy pani przyszła, chciałem od razu oddać notes, sięgam do kieszeni, a notesu nie ma. Dlatego nic nie powiedziałem. Bałem się, że mnie pani skrzyczy.

– I tak krzyczę. Nie kijem go, to pałką. Co, liczył pan na to, że nikt nie spyta, że sprawa jakoś przyschnie?

Oleg kiwnął głową.

– No to niech pan sobie zapamięta jeszcze jedną zasadę. Nie ja ją wymyśliłam, ale fizycy. A brzmi ona tak: „Wszystko, co może się zepsuć, na pewno się zepsuje. To, co nie może się zepsuć, także się psuje”. W odniesieniu do naszej pracy oznacza to, że nic nigdy nie uchodzi na sucho i nie rozłązi się samo po kościach, i że w żadnym razie nie wolno na to liczyć. Każdy błąd trzeba próbować naprawić natychmiast, słyszy pan? Natychmiast, im szybciej, tym lepiej. Dlatego że każda chwila zwłoki grozi tym, że już niczego nie będzie można naprawić. Dotarło?

Oleg znów kiwnął głową.

– Kiedy pan widział ten notes ostatni raz?

– W domu Kosara.

– Gdzie pan go schował?

– Do kieszeni kurtki. A jak pani przyszła, już go tam nie było.

– Czy po drodze od Kosarów na Pietrowkę gdzieś pan wstępował?

– Nie.

– Czy gdzieś pan zdejmował kurtkę?

– Tylko tu, w pani gabinecie.

– Pod moją nieobecność ktoś tu zaglądał?

– Oczywiście. Korotkow, Łarcew, potem ten... taki przystojniak, nie pamiętam nazwiska...

– Igor Lesnikow?

– Tak, tak, ten. I jeszcze Kola.

– Siełujanow?

– Aha. I parę innych osób; pytali o panią major.

– Z naszego wydziału?

– Chyba tak.

– Co to znaczy „chyba”? Widział ich pan na odprawach u Gordiejewa?

– Nie pamiętam. Nie mam pamięci do twarzy.

– To niech ją pan ćwiczy. – Nastia już się nie starała ukrywać złości. – Wychodził pan z pokoju?

– Wychodziłem, oczywiście, pani przecież bardzo długo nie było.

– Niechże się pan przestanie usprawiedliwiać i zacznie odpowiadać na pytania jak najdokładniej. Drzwi pan zamykał?

– Tak... Chyba...

– Zamykał pan czy nie?

– No... Nie za każdym razem. Kiedy wychodziłem na dłużej – to tak, a kiedy na chwileczkę...

– Jasne. Proszę mi oddać klucz od gabinetu. Jest pan bałaganiarzem, nie mogę ryzykować, czekając, aż nabierze pan rozumu. Niewątpliwie ma pan zdolności i mógłby pan zostać prawdziwym detektywem, ale same zdolności to za mało. Niech się pan uczy uczyć, to może coś z pana będzie. I niech pan popracuje nad swoim charakterem. Nieśmiałość i tchórzostwo w połączeniu z zadufaniem to potworna kombinacja. Z hukiem wyleci pan z każdego normalnego zespołu.

Oleg w milczeniu włożył kurtkę, wyjął z kieszeni klucz i położył go na biurku. Nastia ubrała się, przewiesiła przez ramię olbrzymią sportową torbę, którą nosiła i latem, i zimą, a zwrócony przez stażystę klucz zamknęła w sejfie.

– Niech się pan na mnie nie obraża, Oleg – powiedziała sucho na pożegnanie. – Nasza robota to nie zabawa. Może byłam zbyt ostra, ale pan na to zasłużył.

– Ja się nie obrażam – odrzekł zgnębiony Mieszczerinow.

Na dźwięk telefonu Nastia aż podskoczyła. Spojrzała na zegarek: wpół do drugiej. Czyżby to byli oni?

– Anastazja Pawłowna? – dał się słyszeć sympatyczny męski głos.

– Tak, to ja. Kto mówi?

– Jak zdrówko? – zainteresował się wesoło mężczyzna, ignorując jej pytanie.

– Cudownie. Kim pan jest?

– Myślę, że nie mówi pani prawdy, Anastazjo Pawłowno. Czuje się pani źle. Boi się pani. Prawda?

– Nie. Czego pan chce?

– A więc prawda. Cóż, Anastazjo Pawłowno, na razie nie chcę niczego poza jedną rzeczą. A mianowicie: żeby pani pomyślała o tym, jak spędziła dzisiejszą noc.

– To znaczy?

– Chcę, żeby pani zapamiętała, jak się pani bała i jaką niezapomnianą noc spędziła pani w objęciach tego strachu. Chcę, żeby pani zrozumiała: dziś dano pani skosztować tylko mały łycalek, żeby pani tylko poczuła smak strachu. Następnym razem wychyli

pani kielich do dna. Nie chce pani przecież, żeby ojczymowi przytrafiło się nieszczęście.

– Co ma z tym wspólnego mój ojczym? Przestaję pana rozumieć.

– Wszystko świetnie pani rozumie, Anastazjo Pawłowno. Pani ojczym ma samochód, ale jest człowiekiem niezbyt zamożnym i na garaż go nie stać. Wie pani, co się dzieje z autami, które przez całą noc stoją niepilnowane?

– Kradną je. Tym chce mnie pan nastraszyć?

– Nie tylko je kradną. Popełnia się nimi przestępstwa, o które potem posądzony zostaje właściciel. I długo musi się oczyszczać z podejrzeń, dowodzić, że to nie on siedział za kierownicą. Chce pani zorganizować Leonidowi Pietrowiczowi taką rozrywkę? A prócz tego w niepilnowanym aucie można podłożyć ładunek wybuchowy. Albo uszkodzić układ kierowniczy. Albo zrobić jakąś sztuczkę z klockami hamulcowymi. Chciałaby pani?

– Nie. Nie chciałabym.

– I słusznie, Anastazjo Pawłowno. – Nieznajomy zaśmiał się dobrodusznie. – Nie powinna pani tego chcieć, to byłoby brzydko z pani strony. Na razie niczym pani nie grozę, ale jeśli zachowa się pani niewłaściwie, przeżyje pani strach o wiele silniejszy niż dzisiaj. Dzisiaj bała się pani o siebie. Jutro może się pani zacząć bać o innych, w tym także swoich bliskich. Jeśli pani tego nie wie, powiem pani z góry: ten strach jest znacznie bardziej nieprzyjemny i absolutnie nie do zniesienia. Dobrej nocy, Anastazjo Pawłowno.

Nastia odłożyła słuchawkę tak ostrożnie, jakby ta mogła wybuchnąć jej w rękę. Wszystko zostało powiedziane całkowicie jasno i wyraźnie: rozpracowuj sprawę Jeriominej po staremu, sprawdzaj hipotezę zabójstwa z powodów osobistych, a my damy ci spokój. Cóż, Kamińska, ty decydujesz. Nikt cię nie pociągnie do odpowiedzialności, jeśli zarzucisz koncepcję „Brizac – archiwum” jako nierokującą żadnych perspektyw. Ufa ci Pączek, ufa ci Olszański, ufa ci Andriej Czernyszew, chociaż się złości, że mu nie wszystko opowiadasz, ale tak czy owak uznaje twoje zwierzchnictwo. Morozow? Będzie tylko szczęśliwy, jeżeli się od niego odczepisz. Stażysta? O nim nie ma co gadać. Będzie robił to, co mu się każe. No więc jak, Anastazjo? Wycofasz się, czy spróbujesz jeszcze powalczyć? Strach...

Nastia uniosła się na kanapie i opuściła stopy na zimną podłogę.

– Kiriusza! – zawołała szeptem.

Natychmiast z przedpokoju dobiegł szmer, ledwie dosłyszalnie zastukały po parkiecie pazury. Owczarek podszedł niespiesznie i usiadł obok Nasti, patrząc na nią pytająco.

– Kiriusza, boję się – wciąż szeptem powiedziała Nastia, jak gdyby pies mógł ją zrozumieć i coś odrzec. Tak w ogóle to nie była daleka od prawdy. Kiriił naprawdę był niezwykłym psem. Andriej zawczasu upatrzył sobie przyszłych rodziców szczeniaka i cierpliwie czekał, aż dwa owczarki, odznaczające się wyjątkowym słuchem, węchem i inteligencją, podarują mu upragnionego dziedzica tych cech. Niańczył, pielęgnował i szkolił Kiriiła, który w rodowodzie miał wpisane długie i absolutnie niestrawne imię, i osiągnął to, że pies, jeśli nawet nie rozumiał ludzkiej mowy (oczywiście prócz komend), to na pewno bezbłędnie rozpoznawał intonację. Zresztą liczba wykonywanych przez niego rozkazów była tak ogromna, że w zupełności zastępowała kontakt słowny.

– Boję się okropnie, Kiriusza – powtórzyła Nastia nieco głośniej.

Pies się zaniepokoił, rozchylił pysk w bezgłośnym warknięciu, oczy błysnęły mu niedobrym, żółtym światłem. Nastia czytała gdzieś, że w chwilach strachu oraz innych negatywnych emocji nadnercza intensywniej produkują adrenalinę i zwierzęta, wyczuwając jej specyficzny zapach, momentalnie reagują na przestraszonego człowieka. On rozumie, jak ja się boję, pomyślała.

– Co zrobić – ciągnęła, starając się mówić pewnym głosem, żeby zagłuszyć strach. – Może rzucić wszystko w cholerę i spokojnie żyć? Jak myślisz, Kiriusza? Lonia przecież jeszcze doskonale się trzyma, pięćdziesiąt siedem lat, na nic nie choruje, uprawia sport, dwadzieścia pięć lat przepracował w organach ścigania, niełatwo by było sobie z nim poradzić. Ale to nie jest dla mnie obcy człowiek, kocham go, jestem do niego bardzo przywiązana, zastąpił mi ojca. Czy mam prawo ryzykować?

Zapaliła w pokoju górne światło i zaczęła się wolno przechadzać tam i z powrotem, przygarbiona, lekko powłócząc nogami w miękkich kapciach. Siedzący nieruchomo jak posąg Kiriił czujnie obserwował jej ruchy.

– Mam jeszcze Loszkę; roztargniony fajtłapa, wyjątkowo zdolny matematyk, ale okropnie naiwny i łatwowierny. Łatwo zwabić go w pułapkę. Loszka też jest mi bardzo drogi, znam go jeszcze ze szkoły, był moim pierwszym mężczyzną, o mało nie urodziłam mu dziecka. To mój jedyny bliski przyjaciel, przecież nie mam ani jednej przyjaciółki, Kiriusza. To dziwne, prawda? Może i nie kocham Loszki, ale widać nie jestem zdolna do takiej miłości. Kocham go, jak potrafię. Oczywiście, Losza czasem dostaje świra na punkcie biuściastych brunetek, ale trwa to od dwóch godzin do dwóch dni, a potem wraca do mnie, bo jest nam dobrze razem i źle ze wszystkimi innymi. Szczerze mówiąc, ja także miewałam innych mężczyzn, a w jednym byłam nawet nieprzytomnie zakochana. Ale i tak Loszka był i pozostał dla mnie kimś najbliższym i najdroższym. Nawiasem mówiąc, nikt nigdy nie pielęgnowałby mnie w chorobie tak jak on. A ja, Kiriuszeńka, choruję czasem dosyć ciężko. Miałam uraz kręgosłupa, i teraz jak tylko dźwignę coś ciężkiego, uraz ten dotkliwie się odzywa. Kładę się wtedy na podłodze, bo nie mogę leżeć na miękkiej kanapie, i cicho umieram z bólu. A Losza robi mi zastrzyki, gotuje, pomaga wstać i w ogóle pełni funkcję pielęgniarki. W takich wypadkach wprowadza się do mnie, chociaż mieszka i pracuje w Podmoskowi, i musi dojeżdżać ode mnie do pracy dwie i pół godziny. Ale ani razu się nie poskarżył i nie odmówił mi pomocy. Więc jak myślisz, Kiriuszeńka, czy mogę zaryzykować i narazić Loszę Czistiakowa?

Spacer po pokoju oraz silniejszy dźwięk własnego głosu uspokoiły Nastię. Wstrząsające ją dreszcze ustały, nawet się trochę rozgrzała, ręce już jej się prawie nie trzęsły. Przyjrzała się uważnie psu i spostrzegła, że stał się o wiele spokojniejszy. To dobrze, pomyślała zadowolona. A więc naprawdę potrafię wziąć się w garść. Kirił to czuje.

Nastia odważyła się poszerzyć sferę aktywności i wyszła do kuchni. Pies bez zwłoki ruszył za nią, siadł w drzwiach i znów znieruchomiał jak posąg.

O trzeciej w nocy Nastii udało się wreszcie coś zjeść i napić się świeżo zaparzonej kawy, około czwartej nabrała śmiałości na tyle, że spędziła prawie dwadzieścia minut pod gorącym prysznicem. Przed szóstą zebrała z biurka papiery, zapisane i pokryte

niezrozumiałymi znakami, podarła je na drobne kawałeczki i wyrzuciła do wiadra na śmieci. Kiryłł grzecznie leżał u jej nóg z nosem opartym na rannym pantoflu, całą swoją postawą mówiąc: „O, teraz zupełnie się uspokoiłaś, nie pachniesz strachem i ja też się nie denerwuję. Dlatego mogę się nawet przy tobie położyć”.

Nastia spojrzała na zegarek. Do przyjazdu Andrieja Czernyszewa pozostało trochę ponad czterdzieści minut. Podeszła do lustra i mrugnęła do swego odbicia. Teraz już wiedziała, co robi.

Rozdział 8

Wasilij Kołobow niecierpliwie otworzył kopertę i wyjął napisany na maszynie list.

„Rozpuszczasz pysk, Kołobow. Masz krótką pamięć. Jeżeli nie chcesz, żeby się powtórzyło to, co wiesz, przyjdź jutro, 23 grudnia o wpół do dwunastej wieczorem pod znany ci adres. Spróbujesz zawiadomić milicję – nie dotrzesz na miejsce”.

Kołobow powoli wsunął list do kieszeni i wjechał windą na swoje piętro. Znów go dorwali! Nie iść? Nie, lepiej pójść, nie chciał, żeby się „powtórzyło to, co wie”. Ci dranie bili bardzo boleśnie.

Pułkownik Gordiejew wezwał do siebie Siełujanowa.

– Nikołaju, potrzebuję cichego, ciemnego miejsca w okolicach Dworca Sawiełowskiego.

Swego czasu Kola Siełujanow zgłosił się do pracy w milicji pod wpływem nagłego i absolutnie niepojętego impulsu. Do tego momentu od wczesnego dzieciństwa marzył, żeby zostać budowniczym, w jego głowie mnożyły się niezliczone pomysły udoskonalenia zabudowy Moskwy, żeby wszyscy w niej czuli się dobrze: i piesi, i kierowcy, i dzieci, i emeryci, i gospodynie domowe... Znał rodzinne miasto jak własną kieszeń, każdy zaułek, każde przechodnie podwórko, każde skrzyżowanie, na którym w godzinach szczytu tworzyły się korki. Wiedza ta okazała się bardzo przydatna w pracy i korzystał z niej nie tylko sam Siełujanow, ale także wszyscy jego koledzy.

Kola zamyślił się, potem przysunął sobie czystą kartkę, wziął długopis i zaczął szybko rysować plan.

– Tutaj jest dobre miejsce – narysował na szkicu krzyżyk – jakieś siedem minut spacerkiem od dworca. Jest tam brama i ślepe podwórko, dom w kapitalnym remoncie, nikt nie mieszka. Oprócz tego jeszcze tu – na planie pojawił się drugi krzyżyk – też jest spokojnie i nie ma ludzi, zwłaszcza w nocy. Punkt orientacyjny – kiosk z gazetami, pięć metrów dalej trzeba skrócić w lewo i zaraz za

rogiem stoją tam prywatne pawiloniki. Ustawione są bardzo dogodnie, od frontu wydaje się, że do siebie przylegają, a od tyłu widać, że między nimi jest wolna przestrzeń. W nocy są nieczynne. Wystarczy, czy potrzebuje pan więcej?

– Zaznacz na wszelki wypadek jeszcze parę – poprosił Gordiejew.

Po wyjściu Siełujanowa pułkownik obejrzał na wszystkie strony plan z czterema krzyżkami i sceptycznie pokręcił głową. Tak, zaaprobował propozycję Kamieńskiej, ale nie dlatego że uznał ją za szczyt doskonałości, tylko dlatego że w żaden inny sposób nie mógł jej pomóc. Plan Nasti miał ewidentne usterki i słabe miejsca, zresztą ona sama była ich świadoma, ale nie mieli czym załatać tych dziur: zbyt mało funkcjonariuszy mogli wprowadzić w sprawę. Przecieki informacji ze sprawy Jeriominej trwały i zapobiec im można było tylko w jeden sposób: ograniczyć krąg ludzi posiadających te informacje.

Wiktor Aleksiejewicz z bólem patrzył, jak obraca się w ruinę wszystko, co uparcie i z miłością tworzył przez długie lata: zespół, w którym nie było uniwersalnych speców, byli natomiast świetni profesjonaliści, każdy z innym talentem, i talenty te służyły wspólnym interesom i wspólnej korzyści. Gdyby na przykład można było włączyć do sprawy Wołodę Łarcewa, ten znalazłby sposób, by rozwiązać język Wasilijowi Kołobowowi i wyciągnąć zeń prawdę o pobiciu, o którym ten tak uparcie milczał. Gdyby można było jak dawniej zasadzić Anastazję do pracy analitycznej i dać jej spokojnie pomyśleć, na pewno wymyśliłaby coś dowcipnego i sprytnego, a czarujący, kontaktowy, żywy Korotkow i poważny, przystojny intelektualista Lesnikow odegraliby według jej scenariusza błyskotliwy i przekonujący spektakl, po którym zamiast oklasków i kwiatów zostaliby obsypani gradem informacji. Gdyby... Gdyby... Nie można. Na razie nie można.

Gordiejew już wiedział, który z jego pracowników ma konszachty z przestępcami, ale coś mu przeszkadzało w położeniu kresu tej męczącej sytuacji. I chodziło nie tylko o współczucie, emocje i ból w sercu. Wiktor Aleksiejewicz nie mógł się uwolnić od uczucia, że w tej sprawie nic nie jest takie proste, że za pojedynczą zdradą stoi coś większego. Coś o wiele bardziej skomplikowanego i niebezpiecznego.

Była też jeszcze jedna rzecz, która niepokoiła go w planie zaproponowanym przez Kamińską. Gordiejew wymagał od swych podwładnych, by bezwzględnie przestrzegali norm prawnych. Nie mógłby powiedzieć z ręką na sercu, że to jego poczucie praworządności protestuje przeciwko niezbyt legalnym działaniom, do których często sięgają oficerowie operacyjni w czasie dochodzenia. Taka praktyka była na porządku dziennym, odkąd Pączek pamiętał, a pracował w milicji już ponad trzydzieści lat. Chodziło o coś innego. Wiktor Aleksiejewicz widział na własne oczy, jak dopuszczalność i bezkarność niezgodnych z prawem metod pracy doprowadza do zaniku profesjonalizmu i braku twórczego myślenia przy opracowywaniu kombinacji operacyjnych. No bo po co właściwie męczyć się i studiować systemy zamków i zasady dopasowywania kluczy, skoro każde drzwi można wyważyć łomem albo młotem? A w niedalekiej przyszłości już mającyli adwokaci, dopuszczani do podejrzanego od momentu zatrzymania, oraz bynajmniej nie nieprzekupni prokuratorzy i sędziowie, stopniowo uwalniający się z jarzma wskaźników statystycznych i od strachu przed represjami partyjnymi. Taką perspektywę Gordiejew dostrzegł wiele lat temu, na samym początku procesu demokratyzacji, i żmudnie, starannie zaczął kompletować ekipę, która potrafiłaby się nauczyć pracy w nowych warunkach. Ekipę, która zapamiętawszy raz na zawsze, że normy prawne są święte i nietykalne, zdoła wytworzyć potencjał profesjonalny, niezbędny do osiągnięcia sukcesów, potrafi obmyślić nowe sposoby i metody wykrywania przestępstw. Ekipę, która będzie umiała wykorzystać i psychologię, i topografię, i siłę fizyczną, i intelekt, i Bóg wie co jeszcze. Ale nie obchodzenie prawa.

W planie Kamińskiej nie było żadnych oczywistych naruszeń prawa. Ale Wiktor Aleksiejewicz podejrzewał, że Anastazja czegoś mu nie dopowiedziała. Jasne, że nie zdecydowałaby się na to, by bezczelnie oszukiwać szefa, ale... Sprytna jest, bestia...

Anastazja.

Nastia.

Stasiénka...

Nastia z rozkoszą pałaszowała ugotowaną przez Loszę kolację. A może w końcu jednak wyjść za niego za mąż? Losza przecież od dawna tego chce. Jak to dobrze, że on jest na świecie.

– Smakuje ci? – zapytał Czistiakow, z uśmiechem obserwując swą przyjaciółkę, demonstrującą godny pozazdroszczenia apetyt.

– Do szaleństwa! – odparła szczerze. – Loszyk, nie gniewasz się, że cię wyrwałam z domu w środku tygodnia?

– Domyśliłem się, że masz jakieś kłopoty – ostrożnie powiedział Losza. – Wydaje mi się, że zmieniłaś zamek.

– Uhm. Nadepnęłam komuś na odcisk i usiłują mnie zastraszyć. Nie chcę nocować sama, w każdym razie przez kilka najbliższych dni. Chciałabym cię prosić... – Zająknęła się.

– Proś, nie krępuj się – zachęcił ją Losza. – Jesteś dziewczyną skromną i niezbyt bezczelną, o złote góry chyba mnie nie poprosisz.

– Nie mógłbyś się zwolnić z pracy na parę dni i pobyć tutaj? Bardzo mi na tym zależy, naprawdę.

– Oczywiście, że mógłbym. To tylko dla ciebie jestem zwykłym Loszką, a w pracy, śmiem ci przypomnieć, panem profesorem Czistiakowem. Mogę korzystać z tak zwanych dni bibliotecznycy, już sto razy ci to mówiłem.

– A ile masz tych dni? Jeden? Dwa?

– Wszystkie dni mam biblioteczne, skarbie, i tylko jeden dyżur w tygodniu. Więc poinstruuuj mnie, co i jak mam robić, a ja to wykonam z matematyczną precyzją.

– Proszę cię tylko o jedno – odbieraj telefony. W żadnym razie mnie nie wołaj, kiedy jestem w domu. Mów, że poszłam do łazienki, do WC, do sąsiadki, do samego diabła – tylko nie wołaj mnie do telefonu. Pytaj, kto mówi i na jaki numer mam oddzwonić, i to wszystko.

– A nie prościej by było powiedzieć, że nie ma cię w domu?

– Nie. Jeśli naprawdę ktoś mnie obserwuje, to będzie dokładnie wiedział, że już wróciłam. Nie powinien mieć żadnych podejrzeń, że się ukrywam albo unikam rozmowy. Jeszcze raz cię proszę, Loszeńka, nie pytaj, co przekazać. Tylko o numer telefonu.

– Jasne. Myślisz, że twój aparat jest na podsłuchu?

– Bardzo możliwe.

– No cóż, staruszko – westchnął Losza – źle z tobą. Jakżeś się tak wpakowała, co?

– A jakoś tak. I boję się, że może być jeszcze gorzej.

Wasilij Kołobow zasunął okienko, założył kłódkę i ustawił za szybą napisaną flamastrem informację: „Przerwa od 23.00 do 24.00”. Do miejsca, w którym kazano mu się stawić o wpół do dwunastej, można było dojechać autobusem w niecałe dziesięć minut, ale wieczorem autobusy kursowały rzadko, a Kołobow nie chciał się spóźnić, żeby nie rozgniewać ludzi, którzy już raz go poturbowali. Lepiej w takiej sytuacji przyjść wcześniej i poczekać.

Zamknął kiosk i ruszył w stronę przystanku, kiedy nagle usłyszał za sobą cichy głos:

– Brawo, Wasia, bardzo jesteś zdyscyplinowany. Nie odwracaj się. Idź prosto do przejścia podziemnego.

Wasilij poczuł, jak łupie go w karku, spocił się pod pachami. Coś twardego szturchnęło go w plecy między łopatkami. Pokornie skierował się do przejścia, zszedł po schodach i pomaszerował tunelem na drugą stronę ulicy. Jak zwykle w przejściu podziemnym nie było światła. Kołobow nie słyszał za sobą kroków, dobiegał doń tylko miarowy oddech, a na plecach czuł ucisk czegoś, co mogło być lufą pistoletu.

Po wyjściu na ulicę usłyszał kolejną komendę:

– W lewo, za róg. Powoli. I nie odwracać się. Teraz do bramy.

Z przeciwka zbliżały się dwie masywne postacie. Twarzy w głębokich ciemnościach nie sposób było rozpoznać, w żadnym z wychodzących na podwórze okien się nie świeciło. Postacie znalazły się tuż przy nim.

– No co, Wasieńka, pogadamy?

– Ja nic nie zrobiłem – odezwał się z rozpaczą Kołobow. – Nikomu nic nie powiedziałem. Czego jeszcze ode mnie chcecie? Czemu mi nie wierzycie?

– A dlaczego mielibyśmy ci wierzyć? Już raz nas oszukałeś – spokojnie przemówił niższy z mężczyzn.

– Powiedziałem prawdę. Nie widziałem Wiki tego dnia na dworcu, przysięgam! Nie wiem, co ona wam nagadała, nie wiem, dlaczego to robiła, ja jej nie widziałem!

– No, uważaj, Kołobow. Dzisiaj ci uwierzymy, a co do jutra, musimy się jeszcze zastanowić. Mamy na mentowni swoich ludzi i jeżeli wypaplałeś coś o Wice i o nas, sam wiesz, co cię czeka. Lepiej się przyznaj od razu, to po prostu spuścimy ci manto. Ale jak się dowiemy, że nas oszukujesz, zabijemy. No to jak będzie, Wasieńka?

– Przysięgam na wszystko, przysięgam! – Kołobow omal się nie rozpląkał z bezsilności. – Możecie sprawdzić, niczego glinom nie powiedziałem.

– A w sprawie Wiki?

– Ależ ja jej nie widziałem, nie widziałem, nie widziałem! Okłamała was, żeby się zabezpieczyć, czyż tego nie rozumiecie?

– No dobra, Wasieńka, idź z Bogiem. Ale uważaj...

Na miękkich nogach Kołobow wyszedł z bramy i powlókł się w kierunku dworca.

Na porannej odprawie pułkownik Gordiejew po raz pierwszy od półtora miesiąca poruszył temat dochodzenia w sprawie zamordowania Wiktorii Jeriominej. Dla wszystkich obecnych było jasne, że, z jednej strony, sprawa ta zupełnie szefa nie interesuje, ale z drugiej, jest bardzo niezadowolony z tego, że śledztwo nie przyniosło żadnych konkretnych rezultatów.

– Za dziesięć dni upływa dwumiesięczny termin dochodzenia wstępnego – zimno mówił Gordiejew. – Kamieńska, melduj, co zostało zrobione.

Nastia bezbarwnym głosem przedstawiła w ogólnych zarysach przebieg śledztwa, starając się zatuszować ewidentne niedoróbki.

– Dopiero co otrzymaliśmy informację, że Jeriomina zostawiła w mieszkaniu Kartaszowa kartkę, w której wyjaśnia, dokąd wyjeżdża i po co. Powiedziała o tym swojej przyjaciółce, która do wczoraj przebywała w szpitalu na oddziale położniczym (chodziło o utrzymanie ciąży) i nic nie wiedziała o śmierci Jeriominej. Jak tylko się dowiedziała, dała nam znać. Jeriomina niczego jej nie wyjaśniała, powiedziała tylko, że napisała do Kartaszowa liścik i zostawiła w takim miejscu, że Borys na pewno go znajdzie, jeśli jej się coś stanie. Kartaszow chyba nie wie o żadnym liście, w każdym razie nam nic o nim nie mówił. Teraz, niestety, nie ma go

w Moskwie, wyjechał na kilka dni. Jak tylko wróci, przeprowadzimy u niego przeszukanie. Uzgodniliśmy to z Olszańskim.

– Kiedy Kartaszow wraca do Moskwy? – zapytał Gordiejew.

– Pojutrze.

– Nie przeciągaj sprawy, Anastazjo. Pracujesz bardzo wolno, termin się kończy, a ty stoisz w miejscu, żadnych rezultatów, tylko czcza gadanina. I teraz znów dwa dni zwłoki... Niedobrze. Bardzo niedobrze.

– Postaram się, Wiktorze Aleksiejewiczu.

– Dokąd ten artysta wyjechał?

– Do Wiatki.

– To może by się zwrócić do tamtejszej milicji, żeby go znalazła i przesłuchała? Zyskalibyśmy na czasie – niewinnie zaproponował pułkownik.

– Śledczy kategorycznie się sprzeciwia. Nalega, żeby poczekać na powrót Kartaszowa – stanowczo odparła Nastia.

– Cóż, on wie lepiej – westchnął Gordiejew. – A propos, Kamieńska, rok się kończy, a ty do tej pory nie zrobiłaś badań okresowych. Załatw to jutro.

– Załatwię, panie pułkowniku, ale nie jutro. Na jutro zaplanowałam... – zaczęła Nastia, ale Gordiejew przerwał jej szorstko:

– Nie interesują mnie twoje plany. W swoich planach natomiast nie przewiduję codziennych rozmów z przychodnią. Przepisy są jednakowe dla każdego. Bądź uprzejma jutro przebadaj się u wszystkich lekarzy i nie pokazuj mi się bez zaświadczenia. Wieczorem chcę je mieć na biurku. Jasne?

– Dobrze. – Nastia westchnęła z rezygnacją.

Po zebraniu zamknęła się w swoim pokoju, czekając na wezwanie od szefa. Gordiejew zadzwonił już po kilku minutach.

– No jak, Stasienko? Bardzo cię dotknąłem?

– Okropnie, pułkowniku. – Nastia uśmiechnęła się. – Wprost do łez. Ale był pan bardzo przekonujący. Marnuje się w panu drugi Smoktunowski.

– Dobra, dobra. Idź teraz, poskarż się wszystkim, jaki jestem niedobry. Nie zapomnij na oczach zachwyconych widzów zadzwonić do rejestracji i zapytać, w jakich godzinach jutro jaki lekarz

przyjmuje. Co do całej reszty, chyba mamy już wszystko ustalone. Powodzenia, dzieciно.

– Dziękuję. Postaram się.

– Już mi to dziś mówiłaś. – Gordiejew uśmiechnął się niewesoło i odłożył słuchawkę.

Telefon się urywał, ale Borys Kartaszow ani myślał odbierać. Już czwarty raz z rzędu w czasie dzwonięcia na wyświetlaczu nie ukazywał się numer. Oznaczało to, że dzwonią z automatu. Borys zebrał się w sobie. Był wysportowanym, silnym mężczyzną, przez wiele lat trenował rozmaite sztuki walki. O ile był słaby i niezdecydowany w życiu osobistym, o tyle śmiały i pewny siebie we wszystkim, co się tyczyło samoobrony fizycznej. Teraz jednak czuł pewną obawę.

Ze stłumionym szcęknięciem zamknęły się drzwi windy. I prawie od razu zadzwoniono do drzwi. Borys na palcach zbliżył się do wejścia i wcisnął się w ścianę obok wieszaka, gdzie wchodzący nie mógł go zobaczyć. Kolejny dzwonek odezwał się ogłuszająco nad samą jego głową. Jeszcze jeden. I jeszcze. I wreszcie w zamku zazgrzytał klucz.

Drzwi uchyliły się wolniutko, nieproszony gość wszedł do mieszkania i sięgnął do kontaktu. Rozległo się ciche pstryknięcie, ale światło w przedpokoju się nie zapaliło. Przybysz nacisnął włącznik jeszcze kilka razy, ale nadal było ciemno choć oko wykol. Mężczyzna ostrożnie, po omacku ruszył do pokoju i w tej chwili Borys Kartaszow, którego wzrok już dawno przyzwyczyił się do ciemności, skoczył błyskawicznie i powalił go na podłogę. Nieznajomy z zaskoczenia nawet nie krzyknął. Po prostu runął na dywan, osłaniając głowę rękami. Dwumetrowy Kartaszow przydusił go swym stukilowym ciężarem, wparłszy mu kolano w krzyż i boleśnie wykręciwszy do tyłu ręce.

– Coś za jeden? Skąd masz klucze od mieszkania? – zapytał groźnie.

Gość usiłował się wyrwać, więc gospodarz zmuszony był go parę razy uderzyć. Borys, doświadczony zapaśnik, dobrze wiedział, jak bić, by sprawić największy ból, ale nie uszkodzić przy tym ważnych organów wewnętrznych. Bardzo szybko nieznajomy stał się

całkowicie niezdolny do stawiania oporu. Borys podniósł go jak worek łąchmanów, posadził w fotelu, ściągnął z bezsilnych dłoni cienkie skórkowe rękawiczki, wręczył szklanę z przezroczystym płynem, po czym wreszcie zapalił światło.

Przybysz okazał się młodym człowiekiem lat dwudziestu dwóch-trzech, o krótkich, ostrzyżonych na jeża włosach i sympatycznej facjacie, którą szpeciły nieco zbyt głęboko osadzone oczy, i wspaniałej muskulaturze. Mięśniak, skonstatował w duchu Kartaszow, obmacując wzrokiem figurę chłopaka w miejscach, gdzie rozpięta kurtka ukazywała tors, obciągnięty cienkim podkoszulkiem.

Mięśniak pociągnął ze szklanki i zaniósł się kaszlem.

– To przecież wódka – zachrypiał, zlizując krew z rozbitej wargi.

– Co ty powiesz? – Borys złośliwie się uśmiechnął. – No, pij, pij, na zdrowie.

Chłopak spróbował wstać z fotela, ale gospodarz błyskawicznym ciosem w szczękę usadził go z powrotem.

– No to jak? Co masz na swoje usprawiedliwienie?

– Nie gniewaj się, facet – wymamrotał chłopak. – To nieporozumienie. Powiedziano mi, że nie będzie cię w domu. Ja przecież dzwoniłem, i z budki, i do drzwi. Myślałem, że cię nie ma, serio. A ty się zjawiłeś.

– No proszę, co za przykrość! On do mnie uczciwie dzwonił, obdzwonił się cały od stóp do głów, a ja, drań jeden, byłem w domu. Ukrywam się przed babą, więc musisz mi wybaczyć. No więc, co z tobą zrobimy, mistrzu dzwonięcia? Wezwiemy milicję, czy pogadamy po dobroci?

– Posłuchaj, facet, nie wzywaj milicji, dobra? Nic ci nie ukradłem. A gębę tak mi pokancerowałaś, że chyba jesteśmy kwita.

– Skąd miałaś klucze?

– Kupiłem.

– Od kogo?

– A bo ja wiem? Jeden gościu mi powiedział, że u ciebie pełno różnego blitu w chacie, aparatura, zielone, nowe ciuchy, i że pojechałeś w delegację.

– To dlaczego ten twój dobroczyńca sam nie przyszedł, skoro tu pełno towaru? Czemu ci oddał klucze?

– Na gwałt potrzebował kasy, żeby wyjechać. Zresztą to nie złodziej, od razu było widać.

– Czyli że ty jesteś złodziejem, tak?

– Aha – potwierdził chłopak, patrząc na Borysa szczerymi oczyma. – Słuchaj, wypuść mnie, co? Rozstańmy się w zgodzie.

– Zaraz, zaraz, nie tak prędko – parsknął Kartaszow i znów mu przyłożył. – Gdzie masz klucze?

– W kieszeni...

Borys szybko obmacał kieszenie kurtki mięśniaka i wyciągnął klucze na kółku z brelokiem.

– Ty skurwielu! – zasyczał. – To przecież klucze Wiki. Tyś ją zabił? Gadaj, ty zabiłeś Wikę?

– Ja nie znam żadnej Wiki! – wrzasnął chłopak, bezskutecznie próbując się uchylić przed kolejnym ciosem. – Czyś ty oszalał? Mówiłem przecież, że klucze kupiłem...

Nowy cios nie pozwolił mu dokończyć. Rozbita warga krwawiła coraz silniej, twarz gwałtownie pobladła.

– Za co zabiliście Wikę? Co ona wam zrobiła? Gadaj! Gadaj, ty głównie śmierzące! – powtarzał Borys, metodycznie zadając ciosy w najwrażliwsze miejsca, aż wreszcie chłopak runął twarzą na niski stolik, wczepiając się rękami w jego polerowany blat.

Grafik powstał nad nim chwilę w zamyśleniu, potem poszedł do łazienki, zamknął drzwi i zaczął starannie namydlać ręce. Z pokoju dobiegł jęk, potem odgłos ciężkich, niepewnych kroków. Wreszcie Kartaszow usłyszał szcęk zamka. Wytarł ręce, bez pośpiechu wyszedł z łazienki i upewniwszy się, że gość zniknął, zgasił w pokoju światło. Był to umówiony sygnał.

Nie minęło kilka minut, jak w mieszkaniu zjawili się: Olszański, specjalista kryminolog Zubow, Nastia i dwoje świadków.

– Gdzie? – spytał bez wstępów Konstantin Michajłowicz.

– W pokoju – równie lakonicznie odparł Borys. – Fotel, szklanka, stół, tak jak pan prosił. Nawet rękawiczki zostały.

– Świetnie. – Olszański zatarł ręce. – Proszę iść z panią major do kuchni i nie przeszkadzać nam.

Wybaczyła mi pani? – spytał Borys, stawiając przed Nastią filiżankę z parującą kawą.

– Nie gniewałam się na pana.

– Źle się wyraziłem. Pani mnie podejrzewała. Proszę nie zaprzeczać, to było bardzo widoczne. Już się pani wyzbyła podejrzeń?

– Tak. – Nastia uśmiechnęła się. – Teraz wiem, że nie jest pan zamieszany w zamordowanie Wiki.

– A ten chłopak jest zamieszany?

– Nie wiem. Może. Miał klucze Wiki, a nie wierzę w bajkę o tym, że je kupił.

– Cieszę się, że zostaliśmy sprzymierzeńcami.

– Dlaczego?

– Bo od samego początku bardzo mi się pani spodobała. Pamięta pani, już od progu wybuchnęła pani śmiechem, bo oboje byliśmy identycznie ubrani. Pomyślałem wtedy: oto ktoś, kto nade wszystko przedkłada prostotę i wygodę. Sam taki jestem. Wikę czasami doprowadzało to wprost do furii, szczególnie denerwowały ją moje adidasy. Tłumaczyłem jej setki razy, że po naszych zabłoconych ulicach nie ma sensu chodzić w skórzanych butach, bo po tygodniu nadawałyby się do wyrzucenia. Ale coś takiego jak wygoda ze szkodą dla elegancji przekraczało jej możliwości pojmowania. Dlatego widząc, że jest pani ubrana tak jak ja, ciepło i wygodnie, od razu wyczułem bratnią duszę i nabrałem do pani sympatii. A pani mi nie uwierzyła i zaczęła podejrzewać...

– Zostawmy to już, panie Borysie. Taką mam pracę. Wcale nie chciałam pana podejrzewać, mnie też się pan spodobał. Ale w naszej pracy nie możemy się kierować osobistymi sympatiami.

– Zawsze tak jest? – zapytał Kartaszow, obrzucając Nastię uważnym spojrzeniem, jakby czuł, że za słowami dotyczącymi osobiście jego kryją się jakieś inne myśli.

– Nie zawsze – Nastia westchnęła – ale często. Niestety. Wie pan, nasza praca bardzo przypomina teatr.

– Teatr? – Grafik zdziwił się. – Dlaczego?

– Często musimy udawać. A właściwie nie udawać, tylko... Raczej gryźć się w język. Trudno to wytłumaczyć. Pan na przykład może lubić jednych zleceniodawców i nie lubić innych, z jednymi rozmawiać uprzejmie i uwzględniać wszystkie ich życzenia, a z innymi ostro i nieustępliwie. Oni mogą się na pana obrażać,

uważać pana za człowieka źle wychowanego i trudnego, ale z tego powodu niczyj świat się nie zawali, nikt nie będzie miał złamanego życia. Więc pan może być sobą i żyć w zgodzie z własnymi upodobaniami. A my, jeżeli zaczniemy się kierować swymi gustami i emocjami, możemy popełnić błędy, które dla kogoś staną się życiową katastrofą, dramatem. To tylko w podręcznikach przestępca jest zły, a poszkodowany godny współczucia. W rzeczywistości zaś zdarzają się tacy przestępcy, że serce pęka ze współczucia, a poszkodowani tak, mówiąc oględnie, nieprzyjemni, że ani nie budzą współczucia, ani nie chce się im wierzyć, a niektórzy dawno powinni by siedzieć w więzieniu. I proszę sobie wyobrazić, co by było, gdybyśmy zaczęli ufać tylko tym, którzy budzą naszą sympatię, i nie dowierzać tym, którzy się nam nie podobają. Szukalibyśmy podejrzanych wyłącznie wśród osób nam niemiłych, z góry wykluczając z grona ewentualnych przestępców tych, którzy, jak to się mówi, przypadli nam do serca. Wyobraża pan sobie, ilu zbrodniarzy pozostałoby na wolności? I ilu niewinnych mogłoby ucierpieć?

– Nie myślałem, że to wywołuje u pani psychiczny dyskomfort – ostrożnie wtrącił Borys Kartaszow. – To, o czym pani mówi, jest dość oczywiste, ale nigdy nie przyszło mi do głowy, że milicjanci mogą z tego powodu cierpieć.

– To nikomu nie przychodzi do głowy. – Nastia z rezygnacją machnęła ręką. – Może właśnie dlatego, że jest zbyt oczywiste. Czasem chodzę na próby do teatru, do pewnego mojego znajomego, który wciąż walczy z tym, że aktorzy na ogół nie potrafią ukryć swego osobistego stosunku do odtwarzanych postaci. Kiedy mu poradziłam, żeby zatrudnił psychologa, spojrział na mnie jak na umysłowo chorą. Nawet do głowy mu nie przyjdzie, że człowiek to nie automat, który można w zależności od potrzeby włączać i wyłączać. Niektórym się to udaje bez trudu, a inni zupełnie nie potrafią zapomnieć, jacy są naprawdę. Nigdy nie zastanawiał się pan nad tym, że każda dobrze zagrana rola to nie tylko cud przeistoczenia, ale i przełamanie własnej osobowości?

– Jakoś nie...

– Ale tak właśnie jest. A każde przełamanie, choćby nawet dobrowolne i szczerze wynagrodzone sukcesem i uznaniem,

to w istocie uraz, po którym trzeba przyjść do siebie. Czy aktorowi ktoś w tym pomaga? Nie. I nam też nikt nie pomaga. I nikt nas do tego nie przygotowuje. Za to ileż się mówi o tym, że gliniarze są okrutni, bezduszni, w najlepszym razie obojętni! A jak się ustrzec tej deformacji? W trosce o zdrowie fizyczne opracowuje się całe tomy instrukcji dotyczących bezpieczeństwa. A o duszy oczywiście się nie pamięta.

Do kuchni zajrzał Zubow, wiecznie ponury i z czegoś niezadowolony, ale dokładny i drobiazgowy. Zubow i Olszański stanowili mieszankę wybuchową. Śledczy doceniał specjalistę i bardzo lubił z nim pracować. Zubow zaś nie znosił Konstantina Michajłowicza za nieustanne podpowiedzi i pouczenia, bez których całkowicie mógł się obejść. Oczywiście, Zubow w głębi duszy przyznawał, że Olszański świetnie się zna na kryminalistyce. Ach, gdyby nie jego natarczywość i rozkazujący ton...

Nastia spojrzała na Zubowa i pomyślała, że facet wygląda tak, jakby zgrzytał nie tylko zębami, ale także wszystkimi kośćmi i stawami.

– Olszański kazał ci powiedzieć, że jesteś wolna – zwrócił się Zubow do Nasti, krzywiąc się pogardliwie przy słowie „kazał”. – Więc nie musisz na nas czekać, jeśli nie chcesz.

– Długo to jeszcze potrwa? – spytała.

– Mamy tam cały komplet: odciski palców, stóp, ślina, krew, zapach, mikrowłókna. Zajmie to jeszcze co najmniej godzinę, jeśli nie dwie.

Zubow odwrócił się do Borysa i przypalając papierosa zapalniczką, powiedział:

– Bardzo dziękuję, że zrobił pan wszystko tak, jak prosiłem. Wyszło doskonale. Stół i szklanka są wręcz sterylne, praca przy nich to sama przyjemność, żadnych niepotrzebnych zanieczyszczeń.

Nastia niechętnie podniosła się z krzesła. Po kilku godzinach oczekiwania na ulicy dopiero teraz trochę się rozgrzała.

– No to chyba pójdę. Późno już.

W przedpokoju Kartaszow szybko wkręcił żarówkę, zapobiegliwie wykręconą przed przybyciem gościa. Przy samych drzwiach Nastia nagle się zatrzymała.

– Panie Borysie, mógłby mi pan pomóc?

Nastia całkiem wybiła się ze snu. Leżąc w łóżku obok Loszy, bez pośpiechu przeprowadzała podsumowanie i przygotowywała się na następny dzień. Szkoda, że spektakl, rozegrany w mieszkaniu Kartaszowa, nie przyniósł rezultatów, na które liczyła. Oczywiście, pozostało tam aż w nadmiarze śladów, by w razie czego dowieść, że w mieszkaniu był człowiek, którego tożsamość ustalono dosłownie w ciągu godziny. Teraz milicja będzie mu deptać po piętach i już jutro pozna przynajmniej niektóre jego kontakty. Ale nieproszony gość nie dał się sprowokować Borysowi, który oskarżył go o morderstwo. Jest opanowany i doskonale wyszkolony, toteż od razu, mimo zaskoczenia napaścią, podał się za złodzieja i ani razu nie odpowiedział ciosem na cios, chociaż, zdaniem Borysa, ma wspaniałą muskulaturę. O jego wytrenowaniu świadczy też choćby to, że „złodziejaszek” podejrzenie szybko doszedł do siebie po pobiciu i umknął z mieszkania bez zbytniego hałasu. Cóż, brak rezultatów to też rezultat. Co prawda mięśniakowi udało się ukryć prawdziwą twarz i nie wydać tych, którzy go przysłali, ale już z samego tego faktu można wysnuć pożyteczne wnioski. Nie wszystko przecież przychodzi z taką łatwością jak blef zastosowany wobec Wasilija Kołobowa, który jest tak zastraszony, że wierzy we wszystko. Tu zresztą mieli dużo szczęścia, bo list do Kołobowa był strzałem w ciemno. Chociaż nie, niezupełnie. Bez względu na to, jak zareagowałyby na list, byłaby to jakaś informacja. Mógłby się na przykład wcale nie przestraszyć, wyrzucić list do kosza na śmieci i nie pójść na wyznaczone spotkanie, co by znaczyło, że hipoteza Nasti jest fałszywa. Albo mógł się wystraszyć tak bardzo, że przyleciałby na milicję i sam opowiedział, kto i za co pobił go po zamordowaniu Wiki Jeriominej. Ale Kołobow zrobił to, co zrobił, i teraz Nastia wie, że Wika powiedziała swoim zabójcom, jakoby Wasilij Kołobow widział ją w ich towarzystwie na Dworcu Sawiełowskim. A jej zwłoki znaleziono w okolicach rampy „75 kilometr” sawiełowskiej linii kolejowej...

Kiedy Nastia wróciła od Kartaszowa, Losza wręczył jej listę osób, które telefonowały. Było już bardzo późno, ale jednego telefonu postanowiła mimo wszystko nie odkładać. Zeszła do sąsiadki Margarity Josifowny, która do późna zwykła oglądać telewizję, bo około północy TV Moskwa nadawała stare filmy, i zadzwoniła do

Giennadija Griniewicza. Niestety, reżyser nie miał jej do przekazania nic zasadniczo nowego. Jego znajomi dziennikarze wiedzieli o Brizacu niewiele więcej, niż podawały noty informacyjne na okładkach jego książek. Powiedzieli, że tak, to znane nazwisko, książki cieszą się dużym powodzeniem, ale nikt nie uważa go za prawdziwego literata. Brizac to dobry rzemieślnik, ale bez iskry bożej. Zręcznie podsycą swą popularność, udając tajemniczego. Nie, dziennikarze są przekonani, że nie kryje się za tym żadne przestępstwo, że to zwykły chwyt reklamowy dla rozbudzenia zainteresowania czytelników. O Boże, z rozczarowaniem myślała Nastia. Czyżby znowu pudło? Czyżbym się znowu pomyliła?

Na dźwięk telefonu Losza natychmiast się obudził i spojrzał na Nastię pytająco. Potrząsnęła przecząco głową i usiadła na łóżku.

– Halo! – zaspanym głosem powiedział Losza do słuchawki.

– Przepraszam, że dzwonię tak późno – odezwał się miły baryton – ale koniecznie muszę pilnie porozmawiać z Anastazją Pawłówną.

– Ona śpi.

– Bardzo proszę, niech ją pan obudzi. To naprawdę niezwykle ważne i pilne.

– Nie mogę. Zażyła środek nasenny i prosiła, żeby jej nie przeszkadzać.

– Proszę mi wierzyć, to dla niej bardzo ważne. Czeka na mój telefon i będzie mocno niezadowolona, kiedy się dowie, że dzwoniłem, a pan nie pozwolił nam porozmawiać. To dotyczy jej pracy.

Ale Czistiakow trzymał się twardo jak skała. Może i był, jak uważała Nastia, naiwny i łatwowierny, ale nie dawał się zbić z pantałyku.

Nastia zapaliła nocną lampkę, złapała torebkę, wyjęła z niej skierowanie do przychodni i podsunęła je Loszce pod nos. Losza ze zrozumieniem kiwnął głową.

– Proszę pana – jęknął błagalnie – ona ma teraz bardzo złą passę, przykrości i tak dalej. Nie może zmrużyć oka już od kilku nocy, boli ją serce i w ogóle bardzo źle się czuje. Jutro ma w przychodni badania okresowe i nie chce się pokazywać lekarzom w takim stanie. Jest przecież oficerem, powinien pan to zrozumieć. Dlatego zażyła trzy tabletki nasenne i wcześniej się położyła, żeby jutro

wszystko poszło dobrze. Będą jej mierzyć ciśnienie, poślą do neurologa, zrobią EKG. A zresztą nawet gdyby udało mi się ją teraz dobudzić, nie będzie wiedziała, na jakim świecie żyje.

– Wielka szkoda – powiedział baryton z prawdziwym ubolewaniem. – Dobrze, zadzwonię do niej jutro. Dobrej nocy.

– Do widzenia – burknął Losza.

Nastia stała na środku pokoju, owinięta szczelnie welurowym szlafrokiem. W półmroku jej blada twarz robiła wrażenie nieżywej.

– To oni? – spytał Czistiakow.

Nastia w milczeniu skinęła głową.

– Dlaczego nie chcesz z nimi rozmawiać? W tej sytuacji podsłuch na twoim telefonie nie ma znaczenia, przecież to oni podsłuchują.

– Nie lubię, jak się mnie straszy. Jestem już wystarczająco przestraszona i nie chcę słuchać kolejnych pogroźek, które chcieliby mi zaserwować.

– Czegoś tu nie rozumiem, Nastiusza. Co ty knujesz? Chowasz głowę w piasek jak struś?

– Niczego nie knuję. Oni chcą mi namieszać w głowie. No i niech sobie myślą, że im się to udało, że leżą na ściany ze strachu, że mam z tego powodu rozstrój nerwowy. Co nowego mogą mi powiedzieć? Że wysadzą samochód taty? Wolę tego nie słuchać. Samochód wysadzą dopiero, kiedy nie spełnię ich żądań, inaczej nie miałyby to sensu. No więc nie daję im okazji do przedstawienia tych żądań.

– Uważam, że to niezbyt mądre – z powątpiewaniem powiedział Losza. – Przecież mogą podejść do ciebie na ulicy. Co wtedy zrobisz? Powiesz, że to w ogóle nie jesteś ty i że poszłaś do sąsiadki? Jakoś głupio.

– Jak dla kogo, Loszeńka. Oni nie podejda do mnie na ulicy, to niebezpieczne. Po czymś takim można by ich było wyśledzić, świetnie zdają sobie z tego sprawę. Jedyne sposoby, by nie pozostawić śladów, to rozmowa telefoniczna. I koniecznie w nocy, żeby się bardziej bała. I z automatu, żeby na wyświetlaczu nie było numeru, jeżeli mam taki wyświetlacz. I nie dłużej niż trzy minuty, żeby nie namierzyli, jeżeli mimo wszystko poskarżyłam się szefowi i mój telefon jest monitorowany.

– Słuchaj, ty naprawdę wcale się ich nie boisz?

– Jeszcze jak się boję, misiu – gorzko uśmiechnęła się Nastia. – Nie boją się tylko psychicznie chorzy, którzy nie potrafią realnie ocenić niebezpieczeństwa i nie rozumieją, czym jest życie i jakie to straszne je utracić. Normalny człowiek powinien się bać, jeżeli ma instynkt samozachowawczy. A ja w ogóle jestem strasznym tchórzem, przecież wiesz. Bądź tak dobry, zgaś światło.

– Po co?

– Mogą obserwować okna. A zgodnie z wyżej wspomnianą legendą, ja śpię.

– Ty może śpisz, ale mnie obudzili – oburzył się Losza.

– Nie kłóć się ze mną, skarbie – ze znużeniem powiedziała Nastia.

– Gaś światło, rozmawiać możemy i po ciemku.

Położyła się, zwinęła w kłębuszek i przytuliła do ramienia Loszy. Czistiakow gładził ją po głowie i plecach, uspokajał, usypiał, opowiadając coś szeptem. Wreszcie nad ranem udało jej się zdrzemnąć.

Dziarski, zapięty na ostatni guzik wujek Kola z wyrozumiętym uśmiechem, błyskając żelaznymi zębami, przyglądał się ostrzyżonemu na jeża młodzieńcowi.

– Nie rozpaczaj, Sania, to nie twoja wina. Zdarza się.

Nalał sobie szklankę wody mineralnej i wypił duszkiem. Sania rzeczywiście tu nie zawinił. Winien jest ten stary grzyb Arsen, który ślepo ufa „swoim ludziom” i nie raczył się zabezpieczyć, sprawdzić jeszcze raz otrzymanej informacji. Akcja spaliła na panewce, trzeba będzie szukać innych dojsć, na przykład podsunąć artyście seksowną laskę, żeby pomyszkowała u niego na chacie. Sądząc ze wszystkiego, grafik ma słabość do płci pięknej, nie zdążył pochować jednej laluni, a już tak się zamotał z drugą, że musi się przed nią ukrywać. Oj, oj, Borysie Grigorjewiczu, to taki z ciebie niepokieszony wdowiec?

– Nie wyobrażasz sobie, ile mnie kosztowało, żeby mu nie przyłożyć jak trza – rzekł Sania z tak żalnym westchnięciem, że wujek Kola nie mógł się powstrzymać od śmiechu.

– Dobrze zrobiłeś, Sania – powiedział z aprobatą – złodziej to złodziej i nic więcej. Powinieneś był go przekonać, że jesteś nieszkodliwym, niedoświadczonym złodziejaszkiem. Nie mogłeś się bić.

– Ta-a, nie mogłem – narzekał dalej Sania. – Wiesz, jak on mnie złomotał? Na pewno trenował, drań, zna wszystkie słabe miejsca. O mało nie zemdlałem.

– Tym bardziej. Skoro trenował, to raz, dwa by się połapał, że nie jesteś żadnym drobnym złodziejaszkiem, tylko profesjonalnym gorylem. Przestań się mazać. Dziwię się wam wszystkim: chłopcy jak dęby, a charakter jak u tercjarek.

– U kogo? U jakich tercjarek?

– Ciemniak z ciebie, Sania. – Wujek Kola westchnął. – Litery przynajmniej jeszcze pamiętasz?

– Jakie litery?

– Alfabet. Kiedy ostatni raz miałeś w ręku książkę?

– Daj spokój, wujku Kola, nie znęcaj się nade mną. I tak się czuję paskudnie.

– Paskudnie? – Wujek Kola podniósł głos i uderzył dłońmi o stół.

– Mój ty Boże, co za wrażliwość! Skuli mu pysk i nie pozwolili oddać, wielkie rzeczy! Uspokój się! Robisz dobrą robotę i za to dostajesz kasę. Jeżeli ci się nie podoba – droga wolna, możesz odejść. Tylko pamiętaj, że nikt cię nie będzie osłaniać. Zapomniałeś już, ilu załatwiłeś? Dopóki jesteś człowiekiem szefa, możesz spać spokojnie. Jak odejdziesz – koniec z tobą. Wybieraj.

– Ale ja już wybrałem...

– No to nie mazgaj się i nie kwękaj.

– Ale to głupio... Codziennie chodzę na siłownię, ćwiczę, podnoszę ciężary, i po co to wszystko? Żeby jakiś pacykarz walił we mnie jak w bęben?

– Oj, Sańka, głupi jesteś jak but. Za to ambitny nie do wytrzymania. Popatrz na Sławika: doświadczony rajdowiec, czempion, a kiedy mu zabroniłem używać samochodu, chodzi pieszo jak ta lala. I nie narzeka, bo rozumie, że to dla dobra sprawy. Ty też postaraj się zrozumieć.

– Dobra, nie przynudzaj. Rozumiem.

– No to świetnie. – Wujek Kola uśmiechnął się z ulgą.

Pozwolił chłopakowi iść do domu, a sam długo siedział bez ruchu w małym pokoiku na tyłach siłowni. Spojrzał na zegarek – dwadzieścia pięć po dziesiątej. Za dwie minuty może zadzwonić. Wujek Kola przysunął sobie telefon, podniósł słuchawkę i zaczął

nakręcać numer. Po wykręceniu ostatniej cyfry nacisnął palcem widełki i trzymał je, dopóki na tarczy elektronicznego zegarka nie pojawiła się liczba 22.27. Na drugim końcu przewodu nikt nie odbierał. Wujek Kola naliczył siedem długich sygnałów i rozłączył się. Znowy wybrał numer, tym razem odczekał pięć sygnałów i zadzwonił jeszcze raz. Trzy długie sygnały. Już. Więcej dzwonić nie trzeba.

Kombinacja siedmiu, pięciu i trzech sygnałów oznaczała, że zadanie nie zostało wykonane i wynikły komplikacje, które jednak nie wymagają pilnej interwencji.

Wujek Kola starannie pogasił wszędzie światła, zamknął drzwi i poszedł do domu.

Usłyszawszy dzwonek telefonu, mężczyzna na wózku inwalidzkim wziął długopis i zaczął starannie zaznaczać w notesie wszystkie dane: numer telefonu, z którego dzwonią, dokładny czas, liczbę dzwonek. Po jakimś czasie znowu do niego zadzwonią, najpierw będzie sześć dzwonek, potem trzy, potem jedenaście, i dopiero za czwartym razem wolno mu będzie podnieść słuchawkę. Wszystkie inne telefony kategorycznie zabroniono mu odbierać. Mężczyzna na wózku precyzyjnie wypełniał instrukcje, rozumiejąc, jak ważne i odpowiedzialne jest jego zadanie.

Miał trzydzieści cztery lata, z których przez prawie dziesięć był przykutym do wózka. Zawsze pasjonował się techniką, aparaturą radiową, chętnie studiował mikroschematy. Ukończył instytut radiotechniki elektronicznej i automatyki, po czym realizując swe dawne marzenie, wstąpił na wydział techniczny Wyższej Szkoły KGB, ale rozpocząć nauki nie zdążył. Rozbił się samochód, którym jechał wraz z rodzicami i babką. W katastrofie zginęli wszyscy prócz niego. Odtąd jego przeznaczeniem stała się samotność, wózek inwalidzki i kule, za pomocą których wprawdzie z trudem, ale mógł się przemieszczać po mieszkaniu.

Kiedy minął szok wywołany tragedią, zdołał jakoś wziąć się w garść i powrócił do swych mikroschematów. Od dzieciństwa zaczytywał się w powieściach szpiegowskich i teraz zaczął wymyślać różne sprytne gadzety... Bardzo chciał być pożyteczny, przyczynić się do umacniania bezpieczeństwa ojczyzny i pewnego pięknego

dnia, przemagając nieśmiałość, napisał do KGB z propozycją, że zapozna specjalistów ze swymi wynalazkami. Nie był więc wcale zdziwiony, kiedy odwiedził go człowiek z Komitetu i zaproponował pracę na rzecz kraju.

– Sądząc ze wszystkiego, jest pan człowiekiem rzetelnym i punktualnym – pochlebił mu gość – a właśnie te cechy są nam niezbędne w pracach kontrwywiadu. Zdaje pan sobie przecież sprawę, ilu wrogów przybywa do naszego kraju i ilu obywateli o chwiejnym charakterze werbuje wywiad zagraniczny. Aby zapobiec naruszeniu bezpieczeństwa naszej ojczyzny, wszystkich tych ludzi otaczamy „opieką” naszych agentów. By jednak agenci mogli działać swobodnie i by wróg ich nie zdemaskował, konieczne jest stworzenie systemu niezawodnej, „bezstykowej” łączności. Czy pan mnie zrozumiał?

Oczywiście zrozumiał. O życiu codziennym agentów kontrwywiadu i knowaniach wrogów przeczytał tony książek. I oczywiście z radością zgodził się pomagać człowiekowi z KGB.

Jego zadanie było nieskomplikowane, ale wymagające uwagi i precyzji. Miał zapisywać godzinę, o której dzwoniło, liczbę sygnałów i numer telefonu, ukazujący się na wyświetlaczu. To wszystko. O ściśle określonej porze i ze ściśle określoną liczbą sygnałów dzwonił do niego ten sam człowiek z Komitetu i człowiek na wózku meldował mu, ile było telefonów i jakie.

Warunkiem hojnie opłacanej pracy na rzecz ojczyzny była całkowita izolacja inwalidy. Codziennie ludzie jego zwierzchnika przynosili mu produkty spożywcze, lekarstwa i wszystko, co niezbędne. Kiedy czuł się źle, kagiebiści przysyłał mu swego lekarza. Jeśli chciał coś kupić, wystarczyło, że tylko o tym napomknął, a natychmiast wszystko dostarczano mu do domu. Przynoszono książki, zarówno literaturę piękną, jak i specjalistyczną, z dziedziny radiotechniki, poza tym przyrządy, części, narzędzia – wszystko, by mógł się zajmować ulubionym hobby i by niczego mu nie brakowało. Miał tylko zakaz kontaktowania się z kimkolwiek spoza KGB. Inwalida nie znał nawet numeru własnego telefonu, żeby nie miał pokusy, by komuś go dać.

Nie wiedział i nie mógł wiedzieć, że ludzie w KGB pośmiali się nad jego listem i wyrzucili go do kosza. I że tylko jeden pracownik

ostrożnie wygładził pogniecione kartki i postanowił wykorzystać chorego człowieka do własnych celów, niemających nic wspólnego z bezpieczeństwem kraju. Nie wiedział również tego, że numer jego telefonu zmieniano kilka razy do roku.

Robił to, co lubił, wierzył, że jest pożyteczny, i był szczęśliwy.

Rozdział 9

Punktualnie o ósmej rano Nastia Kamieńska dotarła do przychodni GUWD. Wbrew swemu zwyczajowi ubrana była dziś w jaskrawoczerwoną, długą puchową kurtkę, a jej głowę zdobiła wielka puszysta czapa ze srebrnego lisa.

W okienku rejestracji Nastia wzięła swoją kartę, zostawiła w szatni czapkę i kurtkę i udała się na drugie piętro do gabinetów lekarskich. Po otrzymaniu wszystkich numerków i skierowań wyszła na schody prowadzące do wyjścia zapasowego. Tam czekał na nią Czernyszew z wielką ortalionową torbą. Nastia cmoknęła go w policzek, bez słowa wzięła torbę i weszła do mieszczącej się tuż obok damskiej toalety. Po dziesięciu minutach ukazała się z powrotem z mocno umalowanymi ustami, w rozpiętym ciemnym płaszczu, spod którego widać było oślepiająco biały fartuch lekarski. Na szyi miała stetoskop, a w rękach gruby plik kart pacjentów. Wspaniała torba z cienutkiej tkaniny spoczywała teraz w kieszeni jej płaszcza, złożona do rozmiarów malutkiego pakiecika.

Nastia zeszła po schodach do służbowego wyjścia na podwórze i wsiadła do samochodu z niebieskim paskiem i czerwonym napisem „służba zdrowia”. Takich samochodów stało na podwórzu jeszcze co najmniej ze trzy i niebawem do każdego miały wsiąść takie same kobiety w białych fartuchach, ze słuchawkami na szyi i kartami pacjentów w rękach – lekarki jadące z wizytami domowymi.

Siedzący za kierownicą Czernyszew zerknął na Nastię i roześmiał się.

– Co jest? – zdziwiła się. – Coś nie tak?

– Zobaczyłem cię z umalowanymi oczami i przypomniało mi się, jak uciekałaś przed Kiruszą, kiedy łapaliśmy Galla. Od tego czasu nigdy cię nie widziałem w makijażu. A wiesz, że jesteś bardzo ładna, jak się umalujesz.

– Czyżby? – sceptycznie rzuciła Nastia.

– Jak Boga kocham. Wręcz piękna. Nie mogłabyś tak wyglądać na co dzień? Żebyśmy my, faceci, mieli przyjemność, a twoja miłość

własna satysfakcję? Taka jesteś leniwa?

– Uhm – mruknęła Nastia, układając na kolanach stertę kart. – Taka jestem leniwa, wasze męskie przyjemności mnie nie obchodzą, a miłości własnej po prostu nie mam. Sprawdziłeś, jak tam się jedzie?

Andriej nie odpowiedział, ostrożnie wyjeżdżając z bramy na ruchliwą ulicę.

– Dlaczego nie oddzwoniłaś do mnie wczoraj wieczorem? – zapytał. – Zostawiłem przecież twojemu Loszy telefon i prosiłem, żebyś koniecznie zadzwoniła.

– Wróciłam bardzo późno, a ty masz małego synka, bałam się, że go obudzę. Czy coś się stało?

– Stało się. Były śledczy Grigorij Fiodorowicz Smielakow mieszka teraz pod Dmitrowem i jedziemy tam szosą biegnącą wzdłuż sawiełowskiej linii kolejowej.

Starannie ułożony stosik kart posypał się z kolan Nasti na podłogę.

– Dobry strzał – wyszeptała ledwie dosłyszalnie zdrętwiałymi wargami. – Na razie nie w dziesiątkę, ale bardzo blisko. Aż nie mogę w to uwierzyć.

– Możesz mi wytłumaczyć, jak nam się to udało?

– Sama nie wiem. Chyba intuicja. Pamiętasz, pytałam cię, z czego się utrzymywała matka Jeriominej?

– I powiedziałem ci, że była krawcową.

– No właśnie. Ciągle się zastanawiałam, dlaczego na rysunku Kartaszowa klucz wiolinowy był jasnozielony. Co ma się w domu takiego, czym można narysować jasnozielony klucz?

– No i co to jest?

– Kreda. Zwykła kolorowa kreda ze zwykłego zestawu, który sprzedawano we wszystkich sklepach z materiałami piśmiennymi. Takie pudełko ma każda krawcowa, używa kredy do odrysowywania wykrojów. No więc pojechałam do archiwum i własnymi oczami przeczytałam akta sprawy matki Jeriominej. To dziwna sprawa, Andriusza. Takie sprawy nazywam podręcznikowymi.

– Dlaczego?

– Jest gładka jak poradnik metodyczny dla sędziów śledczych. Wszystkie dokumenty wypełnione idealnie, wszystko ułożone

w porządku chronologicznym, protokoły przepisane na maszynie, żeby łatwiej było czytać, żeby oko o nic nie zahaczyło. Nie sprawa kryminalna, ale cacuszko, prezent urodzinowy w ślicznym opakowaniu. Prawdziwe sprawy karne tak nie wyglądają.

– Czy ty czasem nie przesadzasz? Ja też czytałem tę sprawę i nic takiego nie rzuciło mi się w oczy.

– Tyś nie czytał sprawy, tylko wyszukiwałeś w niej informacje, które mogły być dla nas przydatne. Dlatego nie zwróciłeś uwagi na wygląd samych akt.

Przez jakiś czas jechali w milczeniu.

– Umówiłeś się z Kartaszowem?

– Tak, będzie na nas czekać w Wodnikach, przy jachtklubie.

– Proszę cię, Andriusza, bądź przez cały dzień na widoku. Najlepiej pokręć się u nas na Pietrowce.

– Nie jestem dzieckiem, sam na to wpadłem.

– Znowu próbuję się rządzić? – Nastia zmieszała się. – Przepraszam.

Przy jachtklubie przesiadła się do auta Borysa Kartaszowa. Andriej odprowadził żiguli z napisem „służba zdrowia” na miejscowy posterunek milicji i kolejką elektryczną wrócił do Moskwy.

Z samochodu zaparkowanego w pobliżu przychodni GUWD wysiadł młody mężczyzna o miłej powierzchowności. Okazał wartownikowi przepustkę, pewnie wbiegł po schodach i podszedł do rejestracji.

– Dzień dobry, Galu – powitał rejestratorkę.

Ta na widok znajomej twarzy rozplynęła się w uśmiechu.

– Dzień dobry! Co się stało? Chory pan? – spytała ze współczuciem.

– Nic z tych rzeczy. Szukam koleżanki, Anastazji Pawłowny Kamińskiej. Jest mi na gwałt potrzebna, a w pracy powiedzieli, że przechodzi tu badania okresowe. Podejrzewam, że tak naprawdę poleciała na randkę, ale na wszelki wypadek postanowiłem zajrzeć do pani. A nuż będę miał szczęście!

– Jakie nazwisko pan podał?

– Kamińska.

– Zaraz sprawdzę.

Dziewczyna zniknęła między długimi, wysokimi regałami.

– Nie ma karty – oznajmiła, wracając do okienka. – To znaczy, że pańska Kamieńska jest gdzieś tutaj.

– Nie wie pani, gdzie ją znajdę?

– Proszę zapytać w pokoju 302. Tam powiedzą panu dokładnie.

– Galu, jestem pani dłużnikiem!

Mężczyzna odszedł od okienka, postać kilka sekund koło szatni, odszukał wzrokiem jaskrawoczerwoną kurtkę i ruszył schodami na górę.

Drzwi pokoju 302 były otwarte na oścież. W korytarzu przed włączonym telewizorem siedzieli ludzie z kartami pacjentów w rękach. Mężczyzna zajrzał do pokoju.

– Dzień dobry, jestem z wydziału kryminalnego, od pułkownika Gordiejewa.

– Pan na badania? – spytała sympatyczna grubaska, szukająca czegoś w kartotece.

– Niezupełnie. Szef kazał mi sprawdzić, czy była dziś u państwa Anastazja Kamieńska. Często opuszcza pracę, tłumacząc się, że chodzi do przychodni. No i szef postanowił, sama pani rozumie...

– Kamieńska? – Grubaska w skupieniu zmarszczyła czoło. – Nie przypominam sobie.

– Była, była – odezwał się z drugiego końca pokoju dźwięczny głosik, należący do młodziutkiej pielęgniarki z rudą grzywką. – Pamiętasz, nie mogliśmy uwierzyć, że jest majorem, a wygląda na góra dwadzieścia pięć lat.

– A, ta – grubaska uśmiechnęła się – oczywiście, pamiętam. Taka zgrabna blondynka, tak?

– Tak, to ona. Dziękuję pięknym paniom. Teraz mogę z czystym sumieniem zameldować szefowi, że pani Kamieńska nie bumeluje. Zaraz, a ile czasu trwa obejście wszystkich lekarzy? Dwie godziny?

– Co pan, cały dzień. U nas do każdego gabinetu stoją olbrzymie kolejki.

Mężczyzna pogawędził jeszcze chwilę z dziewczętami i pożegnał się. Szedł do wyjścia, nie oglądając się, toteż nie zauważył, że wpatrują się weń z tyłu czyjeś uważne oczy.

Powiedział, że pracuje w pańskim wydziale. Średniego wzrostu, włosy ciemne, gęste, ramiona wąskie. Twarz o regularnych rysach, przystojny, płatek prawego ucha uszkodzony. Głos dźwięczny, wysoki.

– Nie od nas – z przekonaniem odparł Gordiejew. – Mam tylko dwóch przystojnych, jeden rzeczywiście brunet, ale bardzo wysoki, „wzrost średni” zupełnie tu nie pasuje. Drugi jest blondynem. Żaden nie ma uszkodzonego ucha. Co było dalej?

– Wsiadł do samochodu, pojechał w stronę ulicy Sadowoje Kolco. Zachowywał się dość dziwnie. O jedenastej dwadzieścia zatrzymał się przy automacie telefonicznym, ale wysiadł z auta nie od razu, dwukrotnie patrzył na zegarek. Potem bez pośpiechu wszedł do budki, zdjął słuchawkę, natychmiast ją odwiesił i biegiem poleciał do samochodu. Widocznie telefon był nieczynny, a czas naglił. Ruszył z kopyta, podjechał do następnego automatu, wyraźnie zdenerwowany. Tym razem miał szczęście, telefon działał. Nakręcił numer i prawie natychmiast nacisnął widełki. Z nikim nie rozmawiał. Potem znowu wybrał numer, poczekał trochę dłużej, znów nikt nie odebrał. Zadzwoił trzeci raz, zaczekał jeszcze dłużej i też z nikim nie rozmawiał. Wyszedł z budki, wsiadł do samochodu i pojechał w stronę Izmajłowa.

– Facet zadzwonił w trzy miejsca i nikogo nie zastał. Co w tym widzisz dziwnego?

– Patrzył na zegarek i wyraźnie odczekiwał określony czas. Czyli, że ktoś czekał na jego telefon. Dlaczego nikt nie odebrał? A poza tym nie miał w ręku ani monety, ani żetonu. To jak zamierzał rozmawiać?

– Masz rację. Pomyślę o tym. Nie spuszczaście go z oka.

– Wiktorze Aleksiejewiczu, skoro wpuszczono go do przychodni, to musi być nasz człowiek. Nie mamy prawa...

– Widziałeś jego legitymację? – ostro przerwał rozmówcy Gordiejew.

– Nie, ale...

– Ja też nie widziałem. Swoje domysły zachowaj dla siebie. I dopóki na własne oczy nie zobaczysz jego legitymacji, niepodrobionej i nieprzedawnionej, on jest dla ciebie nie kolegą, ale obiektem obserwacji.

– Skoro pan tak mówi...

Borys Kartaszow jeszcze raz popatrzył na mapę.

– Wygląda na to, że przejechaliśmy skręt na Ozierki. Muszę zawrócić.

Zawrócił i już po minucie zobaczyli wyczekiwany skręt; z tego miejsca do domu Smielakowa było już całkiem blisko.

Emerytowany śledczy Grigorij Fiodorowicz Smielakow mieszkał w dużym, dwupoziomowym ceglany domu, otoczonym jabłoniowym sadem. Wszędzie czuło się zręczną i troskliwą gospodarską rękę: i w starannie przystrzyżonych krzewach, i w świeżo odmalowanym płocie, i w odśnieżonej ścieżce, prowadzącej od furtki do domu.

– Gospodarz się nas spodziewa? – zapytał Borys, zamykając samochód.

– Nie.

– To co będzie, jak go nie zastaniemy?

– Wtedy będziemy myśleć, co dalej – odparła Nastia, starając się wyglądać bez troski. W rzeczywistości doskonale zdawała sobie sprawę, że dziś wygrali na czasie i jeśli nie uda im się wykorzystać tej przewagi, jeśli Smielakow gdzieś wyjechał, to... Nawet nie chciała o tym myśleć. Jasne, że prymitywna sztuczka w rodzaju dzisiejszej, z przychodnią, drugi raz się nie uda. *Oni* spodziewają się po niej wyszukanych posunięć i tylko dlatego udało się jej za pomocą taniego, ograniczonego chwytu zyskać odrobinę na czasie. Jutro *oni* będą już wiedzieć, że zostali nabrani, a wtedy nie uda jej się nawet niepostrzeżenie pójść do toalety. A więc dzień dzisiejszy jest decydujący dla całej operacji, której rezultat zależy od tego, ile jej, Nasti, uda się dzisiaj załatwić.

Zdecydowanie pchnęła furtkę i w tej samej chwili na ganku ukazał się starszy pan z ładną, rozłożystą brodą i siwą czupryną.

– Państwo do kogo? – zapytał dźwięcznym basem.

– Pan Smielakow?

– Tak.

Nastia zbliżyła się do ganku i już sięgała do torby po legitymację, kiedy nagle postanowiła zagrać w ciemno.

– Możemy wejść?

– Proszę.

Smielakow usunął się na bok, przepuszczając gości do środka. Wnętrze przypominało miejskie mieszkanie, komfortowe, a nawet urządzone z przepychem. Na ścianach drewniana boazeria, w oknach ciężkie zasłony z kosztownej tkaniny. W wielkim, centralnie położonym pokoju płonął kominek, nie elektryczny, ale prawdziwy. Przed kominkiem stał bujany fotel z niedbale rzuconym ciepłym pledem, na podłodze obok fotela leżały dwa ogromne nowofundlandy, które zerwały się na widok obcych i znieruchomiały w czujnych pozach.

– Jak tu pięknie! – spontanicznie wykrzyknęła Nastia.

Gospodarz uśmiechnął się z zadowoleniem. Widać było, że lubi swój dom i jest z niego dumny.

– Czym mogę służyć? – zapytał, biorąc od Nasti płaszcz.

– Grigoriju Fiodorowiczu, czy możemy porozmawiać o wydarzeniach tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego roku?

Reakcja Smielakowa była absolutnie zaskakująca. Jego twarz rozjaśnił radosny uśmiech.

– A więc opublikowano! A już straciłem nadzieję. Odkąd złożyłem maszynopis w zeszłym roku, miesięcznik nie odezwał się ani słowem. Myślałem, że go odrzucono. A tymczasem, jak widzę, pani go przeczytała i zainteresowała się? Tylko proszę pamiętać, że nie wszystko tam jest prawdą, wplotłem trochę autorskiej fantazji. Ale proszę, siadajcie państwo, siadajcie, zaraz zrobię herbaty, a potem odpowiem na wszystkie pytania.

Nastia wczepiła się w łokieć Kartaszowa, żeby nie upaść. Jak zawsze w chwilach nagłych olśnień gwałtowny skurcz naczyń sprawiał, że kręciło jej się w głowie i nogi odmawiały posłuszeństwa.

– Źle się pani czuje? – spytał szeptem Borys.

– Bardzo źle – wymamrotała Nastia, przyciskając do czoła lodowatą dłoń i usiłując wyrównać oddech. – Ale to nic, zaraz mi przejdzie. Panie Borysie...

– Tak?

– Chyba wszystko zrozumiałam. Wpakowaliśmy się w potworną historię. Może się to okazać strasznie niebezpieczne. Dlatego niech pan stąd jedzie, najlepiej zaraz. Ja sobie jakoś poradzę.

– Niech pani nie gada głupstw, Anastazjo. Nigdzie nie jadę.

– Musi pan zrozumieć: nie mam prawa wciągać w to pana. Mnie za ryzyko płacą, a pan, człowiek postronny, może przy tym ucierpieć. Bardzo pana proszę, niech pan stąd jedzie. Gdyby coś się panu stało, nigdy bym sobie nie wybaczyła.

– Nie ma mowy. Nie przekona mnie pani. Jeżeli pani nie chce, żebym był obecny przy rozmowie, mogę posiedzieć w samochodzie. Ale nie zostawię tu pani samej.

Nastia już chciała zaoponować, lecz do pokoju wszedł gospodarz, popychając przed sobą stolik na kółkach.

– Mamy już herbatę! Mój Boże, jaka pani blada! – wykrzyknął, spojrzawszy na Nastię. – Jest pani chora?

– Zawsze jestem blada, proszę nie zwracać uwagi.

Pili herbatę, zaparzoną z miętą, dziurawcem i liśćmi borówki, i Grigorij Smielakow opowiadał im o śledztwie w sprawie zabójstwa popełnionego przez Tamarę Jeriominą. Były śledczy niczego nie ukrywał: zbyt wiele lat upłynęło, żeby się usprawiedliwiać. Zresztą w ostatnich latach stało się modne pisanie i mówienie o tym, jak partia komunistyczna stosowała w kraju przemoc. Na partię wymyślano, ludzi, którzy dostali się w jej bezlitosne tryby, darzono współczuciem, i w tej sytuacji Smielakow nie widział w swojej opowieści nic wstydliwego czy niebezpiecznego.

Na drugi dzień po zabójstwie, kiedy Tamara była już w areszcie, wezwał go do siebie jeden z sekretarzy miejskiego komitetu partii. Z gabinetu sekretarza śledczy Smielakow wyszedł jako szef miejskiego wydziału spraw wewnętrznych w Podmoskowiu i właściciel olbrzymiego, czteropokojowego mieszkania. Prosto z komitetu Grigorij Fiodorowicz pojechał do biura, usunął z teczki część dokumentów, zastąpił je innymi, podrobiwszy podpisy świadków, i zadzwonił do biegłego Batyrowa, który był wraz z nim na miejscu zbrodni. Batyrow zjawił się nieprędko. Smielakow poznał po jego minie, że również wzywano go do komitetu.

– Co zrobimy, Grisza? – spytał znekanym głosem Batyrow. – Proponuję mi stanowisko w Kirowie i awans.

– A mnie w Podmoskowiu i też awans. Zgodziłeś się?

– Co miałem robić? Gdybym odmówił, toby mnie wywalili. Przypomnieliby sobie, że moi rodzice to przesiedleni krymscy

Tatarzy.

– Ja też się zgodziłem. Mam sześcioro dzieci, a mieszkamy w dwóch sublokatorskich pokojach, ściśnięci jak śledzie w beczce.

– Ale czyż o to chodzi? – smutnie odezwał się biegły.

– A o co?

– O to, że i tobie, i mnie niczego nie proponują. Po prostu wydają polecenie. Mieszkania i awanse – to tylko dla zachowania pozorów, wspaniałomyślny gest. Każą nam sfalszować materiały śledztwa w sprawie karnej i usuwają precz z oczu. A my popełniamy przestępstwo.

– No coś ty, Raszid – zdenerwował się Smielakow – jakież to przestępstwo? Nikt nie ucierpi. Jeriomina zabiła, to oczywiste, zresztą sama temu nie zaprzecza. Od nas żąda się tylko, żeby w aktach nie figurowali świadkowie, którzy przebywali w jej mieszkaniu w czasie zabójstwa. Komu to może zaszkodzić? Porządni chłopcy, studenci, przypadkiem znaleźli się u Jeriominej, młodość musi się wyszumieć, każdemu może się zdarzyć. Studiują na takiej uczelni! Gdyby się tam dowiedziano, że chłopcy brali udział w libacji z prostytutką alkoholizką, zaraz by ich relegowano, wyrzucono z Komsomołu i żegnaj, kariero. Po cóż z powodu takiego głupstwa łamać chłopakom życie?

– Może i masz rację – sucho odrzekł Batyrow. – Czego się ode mnie żąda?

– Chodzi o protokół oględzin miejsca zbrodni – szybko odpowiedział śledczy. – Żeby nie było w nim żadnych śladów obecności w mieszkaniu obcych osób. Tylko Jeriomina i ofiara.

– A dziewczynka, córka Jeriominej?

– Dziewczynkę zostaw. Wszyscy wiedzą, że tam była.

Akta sprawy zabrano do prokuratury, a Smielakow i Batyrow szczęśliwie się rozjechali – jeden do Podmoskowie, a drugi do Kirowa. Grigorij Fiodorowicz przeszedł na emeryturę przed czterema laty. Szóstka jego dzieci dawno dorosła, wszyscy urządzili się w Moskwie, pozakładali rodziny. Trzej synowie zajęli się biznesem. Właśnie wtedy postanowili sprzedać czteropokojowe mieszkanie i zbudować ojcu, który niedawno owdowiał, luksusowy dom, w którym będzie mu się dobrze mieszkało i do którego oni będą przyjeżdżać z rodzinami i przyjaciółmi, żeby popływać

w jeziorze, pojeździć na nartach, pogrzać się w łaźni i w ogóle porządnie wypocząć.

Grigorij Fiodorowicz nie miał nic przeciwko tej decyzji, przeciwnie nawet, ucieszył się, że zdoła na starość urzeczywistnić swoje dawne marzenie o domu z kominkiem, biblioteką, bujanym fotelem i dużymi psami, zwłaszcza że synowie biznesmeni byli bardzo zamożni. Smielakow urządził dom według swych potrzeb i gustów, ponapawał się komfortem i spokojem, po czym postanowił spróbować sił na polu literatury. Było to jeszcze jedno jego wielkie marzenie. Najpierw stworzył kilka szkiców dokumentalnych, „rozpisał się”, a następnie wziął się do powieści, w której przedstawił wzmiankowaną sprawę Tamary Jeriominej. Opisał wszystko tak, jak było naprawdę.

– A czy naprawdę w kuchni na ścianie było coś takiego? – Nastia podała mu rysunek, który zrobił Kartaszow pod dyktando Wiki. Smielakow kiwnął głową.

– Chciałbym jednak wiedzieć, gdzie opublikowano moją powieść.

– Obawiam się, Grigoriju Fiodorowiczu, że nigdzie.

– To znaczy, że pani przeczytała mój maszynopis w redakcji?

– Nie, nie czytałam pańskiego maszynopisu.

Smielakow przeszył ją niespokojnym i podejrzliwym spojrzeniem.

– Więc skąd pani wie?

– Zanim odpowiem, pozwoli pan, że przeczytam coś głośno.

Nastia wyjęła z torebki *Sonatę śmierci*, przezornie obłożoną w papier, żeby ukryć rysunek na okładce, otworzyła książkę w miejscu zaznaczonym jedną z licznych zakładek i zaczęła tłumaczyć na żywo. Po dwóch akapitach podniosła oczy na Smielakowa.

– Jak się to panu podoba?

– Co to jest? – zapytał ten ze zgrozą. – Skąd pani to ma? To przecież moje, z mojej książki. Widok z okna mojego służbowego gabinetu. Na odrapanym murze olbrzymi transparent „Chwała KPZR”. A poniżej jacyś chuligani narysowali swastykę. I pod całym tym arcydziełem w każdą sobotę wylegiwał się zawsze ten sam pijak, którego potem zabierano do izby wytrzeźwień. Tego przecież nie można wymyślić przypadkiem, prawda?

– Proszę posłuchać jeszcze jednego fragmentu.

Nastia otworzyła książkę w innym miejscu i przetłumaczyła nowy kawałek.

– Nic nie rozumiem. To coś niesamowitego. Imiona inne, w ogóle wszystko inne, ale szczegóły, metafory, nawet poszczególne zdania są moje, mogę przysiąc.

– Gdzie pan zaniósł swój maszynopis?

– Do miesięcznika „Kosmos”.

– Komu konkretnie pan go wręczył?

– Zaraz sprawdzę, zapisałem sobie.

Grigorij Fiodorowicz wysunął szufladę biurka, poszperał w niej i wyjął wizytówkę.

– Proszę. – Wręczył kartonik Nastii. – Zapisałem wszystko na odwrocie. Nazywa się Bondarienko. Kiedy przyniosłem maszynopis, on zanotował mój adres, a ja jego telefon. Nie mógł znaleźć nic, żeby zapisać mi swój numer, wreszcie wziął z biurka czyjaś wizytówkę i na odwrocie... O Boże, co pani jest? Zaraz, zaraz – zaczął pospiesznie przeszukiwać kieszenie ręcznie robionego swetra – miałem tu gdzieś nitroglicerynę...

– Nie trzeba, niech się pan nie boi – ledwie dosłyszalnie powiedziała Nastia, chowając wizytówkę do torebki. Palce odmawiały jej posłuszeństwa, nie mogła otworzyć zamka. – Już mi przeszło. Trochę tu duszno.

Gospodarz odprowadził gości do auta. Nastia zaczerpnęła wilgotnego, zimnego powietrza i poczuła się lepiej.

– Grigoriju Fiodorowiczu, nie boi się pan mieszkać sam?

– Ależ skąd, mam psy, strzelbę. I sąsiedzi są blisko.

– A jednak...

– Co – jednak? Zdaje się, że pani nie mówi mi wszystkiego.

– Jako profesjonalista lepiej niż ja powinien pan zdawać sobie sprawę, że jest pan o wiele bardziej niebezpieczny niż córka Tamary Jeriominej. Wie pan znacznie więcej niż ona. A skoro ktoś przestraszył się Wiki, i to tak, że ją zamordował, to i panu może grozić poważne niebezpieczeństwo. Rozumiem, że ma pan bez porównania większe doświadczenie niż ja i sam pan świetnie wie, co robić i czego nie robić. Nie mogę niczego panu radzić, mogę tylko pomóc, jeśli trzeba.

– Zabawne – uśmiechnął się Smielakow. – Właśnie miałem zamiar powiedzieć pani to samo. Jest pani inteligentna, przebiegła, ma pani sporo odwagi, ale jeszcze więcej ostrożności: cecha typowo kobieca, lecz bardzo przydatna w pracy detektywa. Nie śmiałybym dawać pani rad. Ale jeśli trzeba, mogę pomóc.

Z powrotem Nastia i Borys jechali w milczeniu. Kartaszowa aż język świerbił, by zadać dziesiątki pytań, ale nie miał odwagi się odezwać.

– Jedziemy do jachtklubu? – spytał wreszcie.

– Nie, do Moskwy. – Nastia wyjęła otrzymaną od Smielakowa wizytówkę. – Spróbujemy znaleźć redakcję miesięcznika „Kosmos”.

Odwróciła kartonik i zapatrzyła się w zadumie na glansowaną powierzchnię ze złotym napisem: WALENTIN PIETROWICZ KOSAR.

Dla zachowania pozorów Nastia musiała koniecznie znaleźć się w przychodni, zanim lekarze zakończą pracę, i demonstracyjnie wyjść stamtąd w swojej wyzywająco jaskrawej kurtce. Z przychodni wyszła około godziny dziewiętnastej, ubrana tak jak rano w czerwoną kurtkę i puszystą futrzaną czapkę. Wiedziała już, że ją sprawdzano, i była przygotowana na to, że „odprowadzą” ją do samego domu. Dlatego po drodze nigdzie nie dzwoniła, żeby nie denerwować swoich „opiekunów” i nie prowokować ich do kolejnych nocnych „niespodzianek”. Wstąpiła do kilku sklepów i zrobiła zakupy żywnościowe, z przyjemnością wyobrażając sobie, jaką pyszną kolację przyrządzi z tych produktów Losza Czistiakow.

Wizyta w redakcji miesięcznika „Kosmos” udała się tylko częściowo. Siergiej Bondarienko rzeczywiście tam pracował, ale akurat był chory i został w domu. Nastia zadzwoniła do niego, ale nikt nie odbierał telefonu. Żal jej było tracić wywalczoną przewagę jednego dnia, ale cóż robić. Siedzieli z Kartaszowem w samochodzie w pobliżu domu Bondarienki i co piętnaście minut dzwoniли do niego z automatu. Wreszcie, już po siedemnastej, telefon odebrała jakaś kobieta i powiedziała, że Siergiej będzie w domu około dziesiątej wieczorem. Wobec tego rozmowę z Bondarienką musiał wziąć na siebie Czernyszew. Miał się postarać złapać redaktora, zanim ten wróci do domu. Dziś każda minuta była na wagę złota, dopóki przeciwnicy myślą, że Nastia robi badania lekarskie

i śledztwo nie posuwa się do przodu. Jutro Nastia znów będzie na widoku i znów zaczną się przecieki informacji, jeżeli nie uda się jej wymyślić czegoś, by zamącić im w głowach.

Telefon, nastawiony na najcichszy dźwięk, terkotał szeptem, ledwie dosłyszalnie, ale Arsen i tak się obudził. Spojrzawszy na numer na wyświetlaczu, szybko przesunął dźwigienkę, całkowicie wyłączając dźwięk. Teraz tylko czerwone światełko świadczyło o tym, że ktoś telefonuje. Arsen nie odebrał. Tuż obok spała żona.

Po kilku sekundach światełko znów zamrugało. Kiedy zadzwoniono trzeci raz, zegar wskazywał drugą pięć. Arsen, starając się nie robić hałasu, wysunął się z łóżka i na palcach wyszedł do drugiego pokoju. Trzy telefony między 2.00 a 2.05 oznaczały prośbę o pilne spotkanie w umówionym miejscu. A dokładniej, był to sygnał od inwalidy, że taka prośba wpłynęła.

Arsen ubrał się szybko, włożył ciepłą kurtkę, cicho otworzył drzwi i wyszedł z mieszkania. Zawsze irytowało go błoto i ciemności na ulicach, ale w takich chwilach jak ta dziękował w duchu władzom miasta, że doprowadziły Moskwę do takiego stanu: nocą przechodnie trafiali się niezwykle rzadko.

Szedł szybkim, sprężystym krokiem. Po piętnastu minutach zobaczył na rogu barczystą postać.

- Co się dzieje?
- Dotarli do „Kosmosu”.
- Kiedy?
- Dzisiaj.
- Skąd pan wie?
- Powiedział mi zastępca naczelnego.
- Znaleźli Bondarienkę?
- Chyba jeszcze nie. Ale jutro go znajdą, a właściwie już dzisiaj.
- Niech diabli porwą tę dziewczynę! – wycodził przez zęby Arsen.
- Jak jej się udało dotrzeć do redakcji? Kto mógł ją naprowadzić, jak pan myśli?
- Nie mam pojęcia. Jedynym powiązaniem między Wiką i jej koszmarami a „Kosmosem” był Kosar. Ale on nie żyje już od dwóch miesięcy.

– A autor? Chodzi mi o gościa, który napisał o tym wydarzeniu. Czy ona mogła do niego dotrzeć?

– Nie powinna...

– Nie pytam pana, czy powinna, czy nie. Chcę wiedzieć, czy zasadniczo jest to możliwe.

– Zapewne tak, skoro autor żyje.

– Zapewne, zapewne – gniewnie powtórzył Arsen. – Wie pan, Siergieju Aleksandrowiczu, na czym polega pańskie nieszczęście? Nie potrafi pan być uczciwy nawet w sytuacji, kiedy jest to życiowa konieczność dla pana samego. Dlaczego od samego początku pan kręcił? Dlaczego nie powiedział mi pan od razu o paryskim biurze? Jeżeli, nie daj Boże, Kamińska odkryje Smielakowa, to nie zazdroszczę panu. Nawet gdybyśmy skęcili jej kark, to już nic nie da. Jeśli była u niego i pokazała mu książkę Brizacą, którą przywiozła z Rzymu, to Smielakow teraz może sam zacząć szukać tego, kto ukradł jego tekst. I przede wszystkim przylezie do pańskiego ukochanego „Kosmosu”, do pana Bondarienki. I co wtedy zrobimy?

– A nie można by go?... I przy okazji Bondarienkę... Ja zapłacę.

– Pan chyba oszalał! Jeżeli ich znalazła, w żadnym wypadku nie można tego zrobić. Kamińska od razu się połapie, że jest na właściwym tropie, i będzie kopać coraz głębiej. Oni tam wszyscy zaczną chodzić na rzesach! Chociaż... Może jeszcze nie wszystko stracone. Niech mi pan powtórzy jak najdokładniej, co powiedział pański przyjaciel z redakcji. Kto konkretnie przyszedł do „Kosmosu”?

– On nie widział. Słyszał ze swojego gabinetu, jak w pokoju redakcyjnym męski głos pytał o Siergieja Bondarienkę. Powiedziano mu, że jest na zwolnieniu.

– Pytał o telefon domowy i adres?

– Nie. Powiedział, że wpadnie za tydzień. Zastępca naczelnego zapytał potem redaktorów, jak wyglądał facet, który pytał o Bondarienkę. Powiedzieli, że to był mężczyzna po trzydziestce, bardzo wysoki, włosy gęste, ciemne wąsy.

– Był sam?

– Sam.

– No dobrze, Siergieju Aleksandrowiczu, niech pan idzie spać. Zajmę się tym.

– Bardzo na pana liczę, Arsenie.

– A nie powinien pan. Nie jestem wszechmocny i niczego nie obiecuję. Pan sam jest wszystkiemu winien.

– Ale kto mógł przypuszczać, że Smielakow o tym napisze, że zanieś książkę akurat do „Kosmosu” i że właśnie ten tekst zostanie wysłany kanałem? Takiego zbiegu okoliczności nie sposób przewidzieć!

– Nie trzeba było kłamać. Dobranoc panu.

Arsen nie miał cienia wątpliwości, że redakcję odwiedził Borys Kartaszow. Oczywiście postarał się zamydlić oczy Siergiejowi Aleksandrowiczowi, udając, że jest zatroskany i usilnie się zastanawia. W rzeczywistości zaś odetchnął z ulgą na wieść, że redakcję odwiedził Kartaszow. Co to oznaczało? A to, że malarz znalazł jednak nieszczęsny liścik, który zostawiła mu Wika. Arsen był zbyt doświadczony, by wierzyć w przypadek. Grafik całymi dniami siedział w swym mieszkaniu i liścik jakoś nie rzucił mu się w oczy. A potem nagle... A raczej nie nagle, tylko zaraz po wizycie złodzieja liścik czarodziejskim sposobem się znalazł. Mogły być tylko dwa wytłumaczenia tego faktu. Albo wywiadowcy z Pietrowki nawiązali z Kartaszowem kontakt i poprosili, żeby poszukał listu, albo chłopak wysłany przez wujka Kolę nie wytrzymał bicia i z czymś się wygadał. Pierwsze wyjaśnienie należy chyba odrzucić: na Pietrowce myślą, że Borys jeszcze nie wrócił do Moskwy. A poza tym, gdyby Kamińska dowiedziała się o liście, do „Kosmosu” przyszedłby nie Borys, ale ona sama albo ktoś z jej zespołu. Ona zaś cały dzień obijała się w przychodni, w pracy nie była i nie kontaktowała się z nikim ze swoich współpracowników. Sądząc ze wszystkiego, jeśli nawet Kartaszow czegoś się dowiedział, to na razie nie puścił tej informacji dalej. I to powinien być punkt wyjścia.

Arsen uznał, że sytuacja na razie niezbyt się zaostrzyła. Skoro Kartaszow nie spytał w redakcji o adres i telefon Bondarienki, to znaczy, że nie uważa rozmowy z nim za niezwykle ważną i pilną, czyli nie widzi związku między redaktorem z „Kosmosu” a śmiercią Wiki. A jeśli tak, to nie ma się co gorączkować. Najbardziej na świecie Arsen nie lubił działać w pośpiechu. Uważał, że decyzje

podejmowane w niedoczasie⁴ są niewłaściwe, a nawet głupie. W młodości pasjonował się szachami i grał na poziomie mistrzowskim. No tak, ale ten wujek Kola ze swoim chłopaczkiem... Jak mógł dać taką plamę? Mało, że przyjął do drużyny mięczaka, który nie potrafił wytrzymać ciosów dyletanta malarza, to jeszcze dał się temu szczyłowi oszukać, nie wyczuł kłamstwa, fałszu, wziął wszystko za dobrą monetę. Ciekawe, jak to wyglądało naprawdę? Czy chłopak sam się przyznał, że przyszedł szukać listu? A może malarz zaczął się w ciemnym kącie i obserwował gościa, a kiedy ten znalazł to, czego szukał, wyszedł z ukrycia i spuścił mu manto? W żaden inny sposób Arsen nie potrafił wytłumaczyć faktu, że Kartaszow nagle przyszedł do redakcji do Bondarienki. Tylko w związku z listem. A list znalazł tylko dzięki temu smarkowi. Trzeba zaraz powiedzieć o tym wujkowi Koli – Ojcu Chrzestnemu dla ubogich – niech zbada tę sprawę.

A co do malarza, to należy go poobserwować na wypadek, gdyby chciał się skontaktować z milicją. Arsen uważał, że zna się na ludziach. Fakt, że Borys sam poszedł do redakcji, można tłumaczyć dwojako. Albo zna tylko telefon Kamieńskiej, której przez cały dzień nie mógł zastać, więc poszedł do redakcji sam. Albo w ogóle nie zamierza informować o „Kosmosie” ani Kamieńskiej, ani nikogo innego z milicji. No więc trzeba sprawdzić, czy nie spróbuje jutro skontaktować się z Pietrowką, a dokładniej z Kamieńską. Wystarczy jeden dzień, żeby rozgryźć zamiary Kartaszowa.

Arsenowi przyszła do głowy jeszcze jedna uspokajająca myśl: skoro Kamieńska na razie nic nie wie, jest czas, by się zająć i Smielakowem, i Bondarienką. Oczywiście lepiej, żeby się obeszło bez rozlewu krwi. Zbyt wiele już było trupów...

Andriej Czernyszew pomyślał, że na tę noc wyczerpał już swoje siły i zdolności. Najpierw podlizywał się żonie Bondarienki i prosił, by mu powiedziała, gdzie się podziewa jej chory mąż. Potem, wyciągnąwszy od żony informację i odnalazłszy redaktora w łaźni, w towarzystwie kompanów od kieliszka, Andriej udawał „swojego chłopca” i dopóty zdobywał zaufanie Bondarienki, dopóki nie udało mu się wyprowadzić, a właściwie wywlec nieszczęsnego redaktora z łaźni i nawet ulokować się wraz z nim w pustym mieszkaniu, do

którego Czernyszew miał klucze. Później znów podlizywał się przez telefon żonie kompletnie pijanego Bondarienki, zaklinając się na całą bohaterską przeszłość i świetlaną przyszłość ukochanej milicji, że Siergiej spędzi noc nie u kobiety, ale pod jego, Andrieja, czujnym nadzorem i że rano, trzeźwy jak nowo narodzone dziecko, zostanie samochodem dostawiony do rodzinnej kuchni. Pozostało tylko, jak się to mówi w odeskim kawale, namówić Rockefellera: zrobić tak, żeby Bondarienko wytrzeźwiał, zgodził się odpowiedzieć na pytania i niczego przy tym nie poplątał.

Czernyszew najpierw miał nadzieję, że poskutkują „łagodne” środki: poił Siergieja mocną herbatą i kawą, wpychał mu głowę pod strumień zimnej wody. Niestety, jego wysiłki przyniosły rezultat dziwnie jednostronny: redaktor trzymał się na nogach coraz lepiej i mocniej, ale wzrok coraz bardziej mu mętniał, a język coraz bardziej się plątał. Czas uciekał, zbliżał się świt, a nadzieje na uzyskanie zeznań topniały w oczach. Andriej złościł się, denerwował, wreszcie całkiem się załamał. W chwili gdy jego rozpacz osiągnęła apogeum, jakby za naciśnięciem kontaktu nagle ujrzał sytuację w zupełnie nowym świetle. Wyobraź sobie, że masz do czynienia z chorym psem, powiedział do siebie Czernyszew. Nie będziesz się przecież na niego wściekał za to, że jest chory. Pijany chłop to taki sam chory zwierzak. Też źle się czuje, a nie potrafi sam sobie pomóc. I nie może zrozumiale wytłumaczyć, co mu dolega. Gdyby Kirił zachorował w środku nocy, to co byś zrobił?

Odpowiedź nasunęła się sama. Przemagając odrazę, Andriej ulokował redaktora w niegrożącej upadkiem pozycji nad muszlą klozetową i wsadził mu do gardła dwa palce. Obok przewidująco umieścił pięciolitrowy słój ze słabym roztworem nadmanganianu potasu, kolejno pobudzając pacjenta do wymiotów i zmuszając do picia. Po tym nieprzyjemnym zabiegu położył Siergieja na kanapie i otworzył notes, w którym przechowywał zapobiegliwie wycięte z gazety ogłoszenia w rodzaju: „A.A. Odrtruwanie całodobowo. Wizyty domowe”. Wyszukał spośród wycinków te, które sądząc po numerach telefonów, zamieścili „wytrzeźwiacze” zamieszkali w pobliżu. Zadzwoił w dwa miejsca, w jednym zamówił pilną wizytę, i oczekując odsieczy, zaczął obliczać, czy wystarczy mu gotówki, by zapłacić za usługę.

Nad ranem redaktor miesięcznika „Kosmos” Siergiej Bondarienko mógł już dość składnie przedstawić wydarzenia sprzed dwóch miesięcy. Kiedy Walka Kosar z płonącymi oczyma zaczął opowiadać o dziwnej chorobie, jaka dotknęła dziewczynę jego znajomego, on, Siergiej, od razu się zorientował, że już czytał o czymś bardzo podobnym. Pogrzebał w pamięci i przypomniał sobie powieść kryminalną, którą przyniósł do redakcji starszy pan, chyba były sędzia śledczy. Kosar nie wiedzieć czemu nagle bardzo spoważniał i powiedział, że trzeba dotrzeć do prawdy, bo diagnoza psychiatryczna to nie żarty, można okaleczyć na całe życie człowieka, który w rzeczywistości jest zupełnie zdrowy na umyśle.

– Zrobimy tak – zaproponował Siergiejowi. – Ty poszukaj w swoich redakcyjnych złożach tego tekstu, a ja się porozumiem ze swoim znajomym i dam mu twoje namiary, żebyście mogli się spotkać. Zgoda?

– Dobra. – Bondarienko obojętnie wzruszył ramionami. Nie obchodziła go choroba czyjejś dziewczyny i wcale nie miał ochoty ryc w piwnicy w redakcyjnych szpargałach, starych papierach i niewykorzystanych maszynopisach. Grafomanów rozplenilo się ostatnio tyle, że strach. Dawniej, w okresie zastoju, tak nie było. A teraz co miesiąc rodzi się nowy modny temat: a to partia, a to zjawisko „fali” w zakładach penitencjarnych, a to homoseksualiści, a to pucz, a to korupcja, a to uprowadzanie ludzi w celu sprzedaży ich organów wewnętrznych... I każdy nowy temat ciągnie za sobą falę grafomanów, którzy uważają, że mają coś do powiedzenia w tej kwestii. Rękopisy spływały do redakcji niewysychającym strumieniem, ale prawie nigdy do niczego się nie nadawały i po pobieżnym przejrzeniu niedbale wyrzucano je do piwnic lub na strychy.

Ale odmówić Walce Kosarowi, staremu kumplowi, który mu tyle razy pomagał, Siergiej nie mógł. Jeszcze tego samego dnia udał się do piwnicy i podjął rzetelną próbę odnalezienia maszynopisu, ale poniósł fiasko. Mimo pozornego chaosu papiery składowano według pewnego systemu, którego nikt nie naruszał. Każdy dział miesięcznika miał „własny” kawałek ściany, pod którym składano materiały, i „własne” działki na regałach. Bondarienko centymetr po centymetrze zbadał „swoje” terytorium, ale powieści

emerytowanego śledczego Smielakowa nie znalazł. Spróbował sobie przypomnieć: czy na pewno odesłał ją do piwnicy? Może książeczka okazała się niezła i przekazał ją do przeczytania zastępcy naczelnego? Wobec tego trzeba go spytać, gdzie wetknął maszynopis.

Zastępca naczelnego nie pamiętał żadnego Smielakowa ani jego kryminału. Siergiej nie przejął się tym zbytnio. Skoro maszynopisu nie ma – do diabła z nim. Adres Smielakowa ma zapisany, może skierować do niego przyjaciół Wiki i po kłopotcie.

– Nie wie pan, czy Kosar zadzwonił do swoich znajomych? – zapytał Andriej, zaparzając kolejną porcję mocnej herbaty i otwierając nową paczkę papierosów.

– Tak, oczywiście. Chciał zadzwonić od razu z redakcji, ale okazało się, że zostawił w domu kartkę z ich telefonem. A wieczorem tego samego dnia zadzwonił do mnie i powiedział, że jego znajomy jest w delegacji i że on, Walentin, zostawił mu wiadomość na sekretarce. Czyli że jak tylko Borys przyjedzie, to zaraz się u mnie pokaże.

– Pamięta pan dokładnie, że wymienił imię Borys? – zapytał Andriej.

– Tak, chyba tak... Pamiętam.

– A jaki to był dzień, przypomina pan sobie?

– Daty nie pamiętam. Ale to był piątek. Wiem, bo na drugi dzień zadzwoniła do mnie młoda kobieta i powiedziała, że dostała mój telefon od Kosara i chciałyby się ze mną spotkać w sprawie maszynopisu. A to była sobota, musiałem się tłumaczyć żonie, że pilnie wzywają mnie do redakcji. Nie mogłem przecież zaprosić do domu nieznanym młodej kobiety, sam pan rozumie.

– No i gdzie się pan z nią spotkał?

– Jak to gdzie? W pracy oczywiście, w redakcji. Wyobraża pan sobie, co by było, gdyby żona zadzwoniła do pracy i mnie nie zastała? Natychmiast rozwód i powrót do panińskiego nazwiska.

– I co było dalej?

– Przyszła do redakcji. Cóż, powiem panu tylko... Pan jej nie widział? Przecudowna. Oczywiście straciłem głowę, gotów byłem na jej skinienie jeszcze raz przekopać całą piwnicę. Jednym słowem, dałem jej adres autora, tego Smielakowa; ona pokręciła go

w palcach i powiedziała, że boi się jechać sama. Że to daleko, nieznaną okolicą, łatwo zabłądzić. Naturalnie w lot zrozumiałem aluzję i zaproponowałem, że w poniedziałek pożyczę auto od kolegi i zawiozę ją za miasto do tego Smielakowa. Umówiliśmy się, że w poniedziałek około dziesiątej ona przyjdzie do redakcji i pojedziemy. Z tym się pożegnaliśmy.

– Co dalej?

– Dalej – nic. Nie przyszła. I w ogóle więcej się nie pojawiła i nie dzwoniła.

– A pan nie próbował jej odszukać?

– Po co? Zainteresowała mnie tylko jako piękna kobieta, ale skoro się więcej nie pojawiła, to znaczy, że się jej nie spodobałem. No to po co miałbym jej szukać?

– Czy w tę sobotę ktoś jeszcze był w redakcji?

– Tak, jakieś pięć, sześć osób.

– Ktoś widział Wikę w pańskim pokoju?

– Praktycznie wszyscy. To pokój redakcyjny, tam pije się herbatę, rozmawia i pali.

– Czy ktoś zainteresował się szczególnie pańskim gościem?

– No wie pan! – uśmiechnął się redaktor. – Od razu było widać, że żaden chłop nie potrafi jej minąć obojętnie. Wszyscy przedstawiciele płci męskiej, którzy wstępowali do pokoju, natychmiast prężyli tors i prosili, żeby ich przedstawić. Chyba nie mógłbym nikogo wyróżnić, wszyscy reagowali jednakowo.

– Siergieju, musi pan się skupić i zrobić dwie rzeczy. Po pierwsze, przypomnieć sobie, jaka to była data. Po drugie, wymienić wszystkich, którzy tej soboty byli w redakcji i widzieli dziewczynę. Da pan radę?

Bondarienko długo marszczył czoło, tarł skronie, popijał drobnymi łyżkami mocną herbatę. Wreszcie podniósł na Andrieja udęczone oczy.

– Nie potrafię. Nie mam się czego uchwycić. Pamiętam dobrze, że to była sobota, ale data... Albo koniec października, albo początek listopada.

– Dwudziestego piątego października zginął Kosar – przypomniał mu Czernyszew.

– Tak? – ożywił się Siergiej. – To było dwudziestego piątego października? Chociaż tak, czwartego grudnia obchodziliśmy czterdziesty dzień... To było, zanim Wala... zanim go... Jednym słowem, przedtem.

– Czyli dwudziestego trzeciego października – uściślił Andriej, zaglądając do kalendarzyka.

Z nazwiskami pracowników, którzy tego dnia byli w redakcji, sprawa wyglądała gorzej. Redaktor z całą pewnością przypomniał sobie dwóch, co do reszty miał wątpliwości. Ale i tak to już było coś. Mając dwa nazwiska, można spróbować ustalić pozostałe, zwłaszcza że data jest pewna. Przecież nie w każdą sobotę w redakcji zbierają się ci sami pracownicy.

Rozdział 10

Coś się nieuchwytnie zmieniło w wyglądzie pułkownika Gordiejewa. Przez ostatnie tygodnie był przybity, zdawało się, że nic go nie obchodzi, nawet praca własnego wydziału, często narzekał na ból głowy i na serce. Dziś Nastia zauważyła, że przygasłe oczy szefa znowu rozbłysły, pojawiła się w nich iskierka zapału. Pączek zwęszył świeży trop, pomyślała.

W ciągu wczorajszego dnia i dzisiejszego ranka Wiktor Aleksiejewicz dokonał rzeczy niemożliwej. Dowiedział się mnóstwa ciekawych rzeczy o dygnitarzu partyjnym, który w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym roku polecił sfałszować akta sprawy Tamary Jeriominej, tak by znikły z nich wszelkie wzmianki o dwóch studentach, obecnych na miejscu zbrodni w chwili zabójstwa.

Otóż Aleksander Aleksiejewicz Popow, mający dwójkę bardzo dobrze sytuowanych dzieci i trójkę prawie dorosłych wnuków, spędzał ostatnie lata życia w domu starców. Przebąkiwano, że jego stosunki z żoną nie były zbyt serdeczne i że kiedyś Aleksander Aleksiejewicz o mało się nie rozwiódł, by poślubić inną kobietę, która w tym czasie urodziła mu syna. Jego małżonka jednakże uciekła się do wypróbowanej w owym czasie metody i niewierny mąż został doprowadzony na łono rodziny twardą ręką partii, a skandal starannie zatuszowano. Mimo to szlachetny pan Popow w miarę sił i możliwości pomagał nieślubnemu synowi i wprawdzie nie zdołał wyreklamować go z wojska, ale za to później umieścił potomka na prestiżowej uczelni.

– Ciekawe – powiedziała powoli Nastia. – Czy to nie synka ratował, usuwając z akt nazwiska świadków?

– Dobrze myślisz – przytaknął Gordiejew. – Jeżeli twój Smielakow na starość niczego nie poplątał, to nazwiska tych świadków brzmią: Gradow i Nikiforczyk. Niestety, były biegły sądowy Raszyd Batyrow dawno nie żyje, więc nie ma kogo zapytać. Na razie przyjmijmy jako hipotezę roboczą, że jeden z nich był nieślubnym synem Popowa. Teraz słuchaj dalej, córeńko. Będzie jeszcze ciekawiej.

Gordiejew położył na biurku raporty z obserwacji dwóch osób: młodego człowieka, który włamał się do mieszkania Kartaszowa, i mężczyzny zasięgającego informacji w przychodni.

Sania, czyli Aleksander Djakow, zaraz po wyjściu od Kartaszowa udał się do szkoły, zwyczajnej szkoły średniej, która wieczorami wynajmowała swoją salę gimnastyczną klubowi „Wareg”. Co robił w szkole, nie udało się sprawdzić, ale w jakieś dwadzieścia minut po jego wyjściu budynek opuścił jeszcze jeden człowiek, którego tożsamość, co prawda nie od razu, ale ustalono. Był to niejaki wujek Kola vel Nikołaj Fistin, kierownik „Warega”, w przeszłości dwukrotnie karany za chuligaństwo i pobicie z ciężkim uszkodzeniem ciała. Ponieważ do samego rana ze szkoły nikt więcej nie wyszedł, można z dużym prawdopodobieństwem założyć, że Sania spotkał się tam właśnie z wujkiem Kolą. Wujka Kolę także śledzono aż do domu.

Z mężczyzną, który wypytywał o Nastię w przychodni, nie poszło tak łatwo. Najwyraźniej to człowiek doświadczony i ostrożny, ponieważ bez trudu zgubił „ogon”, nawet nie sprawdzając, czy go ma. A to oznacza, że działa w ten sposób zawsze, bez względu na to, czy podejrzewa, że jest śledzony, czy nie. W tej sytuacji Gordiejew i Nastia mieli na razie tylko relację z dość niezwykłych poczynań tego człowieka w automatach telefonicznych.

W nocy Wiktor Aleksiejewicz otrzymał z Centralnego Biura Adresowego spis wszystkich zamieszkałych w Moskwie Nikiforczuków i Gradówów...

– Nikiforczuków jest mniej, wezmę ich na siebie – powiedział pułkownik. – W końcu jestem już staruszkim, nie mogę się zbytnio wysilać. Ty weźmiesz Gradówów i zaczynamy odsiew.

Wręczył Nasti plik wydruków komputerowych.

– Wyjdziemy z założenia, że syn Popowa musiał się urodzić najpóźniej w pięćdziesiątym, skoro w roku siedemdziesiątym był już po wojsku i studiował, ale nie wcześniej niż w czterdziestym piątym, bo Popow zjawił się w Moskwie już po wojnie, przed wojną mieszkał w Smoleńsku. Historia z nieślubnym synem to okres moskiewski, sprawdziłem. Jego koleżka powinien być w podobnym wieku, plus minus trzy lata. W siedemdziesiątym musiał mieć co

najmniej osiemnaście, a więc urodził się góra w pięćdziesiątym drugim.

Nastia zabrała wydruki i poszła do siebie. Rozłożywszy na biurku sterty statystycznych sprawozdań i materiałów analitycznych, wysunęła środkową szufladę i umieściła tam setki Gradów. Miała ochotę jak zwykle zamknąć drzwi i spokojnie popracować, ale zdawała sobie sprawę, że dziś nie może tego zrobić. Niech wszyscy, których to interesuje, przychodzą i widzą, że Nastia przygotowuje dla Gordiejewa kolejne miesięczne sprawozdanie o zabójstwach popełnionych na obszarze miasta i o ich wykrywalności.

Interesowali się wszyscy. No, może nie wszyscy, ale bardzo wielu. W ciągu najbliższych dwóch godzin pokój Nasti odwiedziło co najmniej dziesięć osób; i każdemu z gości Nastia skarżyła się na lekarzy, którzy o mało nie wysłali jej do szpitala; na Olszańskiego, który sam nie wie, co robić z morderstwem Jeriominej, i na niej, Nasti, wyładowuje swój zły humor; na Gordiejewa, który chce mieć na jutro raport; na przemakające kozaczki, przez które wciąż ma mokre nogi; w ogóle na życie, które jest takie ciężkie, że ma się wszystkiego dość. Wszyscy przytakiwali, współczuli, prosili o kawę, naciągali na papierosy i przeszkadzali w pracy. Kiedy otwierały się drzwi, Nastia ledwie zdążała szybkim ruchem tułowia zasunąć szufladę z wydrukami. Dobrze jeszcze, że miejski telefon milczał.

Kiedy drzwi zaczęły się otwierać kolejny raz, Nastia pomyślała, że jutro na pewno będzie mieć siniak na brzuchu. Wszedł Gordiejew.

– Dlaczego nie odbierasz telefonu? Czernyszew nie może się do ciebie dodzwonić.

Nastia spojrzała ze zdumieniem na aparat.

– Nikt nie dzwonił.

Podniosła słuchawkę miejskiego telefonu, przyłożyła do ucha, po czym podała ją Pączkowi.

– Nie działa. Milczy jak grób.

Wiktor Aleksiejewicz zwinnie podskoczył do drzwi i zamknął je na klucz.

– Masz śrubokręt?

– Skąd? – Nastia rozłożyła ręce.

– Niedojda – rzucił bez gniewu Pączek. – To dawaj chociaż nożyczki.

Szybko sprawdził gniazdko, po czym zręcznie operując nożyczkami, rozebrał aparat.

– Elegancka robota – stwierdził, oglądając ledwie dostrzegalne gołym okiem uszkodzenia kabli. – Proste i gustowne. Chcesz, to się zabawimy?

– Po co? I tak wiem, kto to zrobił.

– No, nie wiem, czy nasze informacje są ścisłe. A nuż się mylimy? I w ogóle dzięki tobie on ma trochę za spokojne życie. Jest tu ze wszystkich najmądrzejszy, najsprytniejszy, odnosi największe sukcesy, wszystko idzie mu jak z płatka, tak jak zechce, albo jak mu każą jego mocodawcy, a ty i ja tylko gęby rozdziawiamy i dajemy mu się prowadzić na sznurku jak pokorne cielęta. Najwyższy czas pograć mu na nerwach, bo jeszcze zacznie coś podejrzewać. Jest doświadczonym gliną, świetnie wie, że gładko może się układać tylko na papierze, a w życiu zawsze coś nawala, coś się psuje. Niech się rozerwie, niech trochę pogłówkuje: gdzie popełnił błąd.

– Tak czy owak nie rozumiem. – Nastia wzruszyła ramionami. – Na co on liczył? Przecież już dawno mogłam zauważyć, że telefon nie działa. To czysty przypadek, że akurat sama dziś nigdzie nie musiałam dzwonić.

– I co byś zrobiła, gdybyś podniosła słuchawkę i nie usłyszała sygnału?

– Nie wiem. Pewnie bym kogoś poprosiła, żeby sprawdził, co się stało.

– Kogo konkretnie?

Nastia uśmiechnęła się.

– Ma pan stuprocentową rację, pułkowniku, zwróciłabym się właśnie do niego. Po pierwsze, jego pokój jest najbliżej, następne drzwi. Po drugie, wszyscy wiedzą, że to złota rączka. Stale mu przynoszą do reperacji młynki do kawy, suszarki, golarki i różne inne gadzety. Ź propoz, właśnie on ma cały komplet śrubokrętów, wszyscy od niego pożyczają. Więc prędzej czy później dowiedziałaby się o moim telefonie.

– Otóż to – podchwycił Gordiejew. – Obejrzałby go i powiedziałby ci, że jest tam skomplikowane uszkodzenie, którego nie da się od razu usunąć, że potrzebna jest jakaś trudno dostępna część i że on

jutro specjalnie dla ciebie przyniesie ją z domu i wszystko naprawi. A dziś musisz się pomęczyć bez telefonu.

– Jasne. On nie chce, żeby ktoś z miasta się do mnie dodzwonił. I nie chodzi mu o kogoś z naszych pracowników, który może mnie szukać pod dziesiątkami innych numerów, w tym zadzwonić również do pana, ale o kogoś w rodzaju świadka, któremu jak zwykle dałabym tylko jeden numer, do tego pokoju. Bo sama przecież w razie potrzeby mogłabym zadzwonić z innego aparatu. Jak pan myśli, Wiktorze Alesiejewiczu, przed kim on mnie tak osłania? Przed Kartaszowem?

– Wszystko jest możliwe. Masz flaszkę?

– Co? – Nastia w zdumieniu podniosła brwi.

– Flaszkę. Alkoholu. I co z ciebie za glina, Kamieńska? Kompletnie nieporozumienie. Ani śrubokrętu nie masz, ani flaszki. No dobra, sam przyniosę.

Po kilku minutach do pokoju Nasti zaczęli się schodzić koledzy. Wielu nie było na miejscu, wiadomo przecież, że wywiadowca żyje z pracy nóg. Ale i tak zebrało się ze siedem osób. Ostatni wszedł Gordiejew, uroczyście niosąc butelkę szampana i foliową torbę, w której głośno grzechotały szklanki.

– Przyjaciele – zaczął z uczuciem – mamy dziś małą uroczystość, imieniny wszystkich tych, których patronką jest święta męczennica Anastazja. Ponieważ nasza Nastazja nie lubi obchodzić urodzin, urządzmy jej imieniny. I życzymy, by jeszcze przez wiele lat pozostała taka młoda i mądra.

– I taka leniwa – podpowiedział Jura Korotkow.

Zebrani wybuchnęli zgodnym śmiechem. Pączek otworzył szampana i rozlał do szklanek.

I zadzwonił telefon.

– Mówi tata. – Nastia usłyszała w słuchawce głos Andrieja Czernyszewa. – Wszystkiego najlepszego, córeczko. – Andriej nie wytrzymał i zachichotał.

– Dziękuję, tatuśku – rozpromieniła się Nastia. – Jak to miło, że pamiętałeś... A myśmy się z Loszką założyli, czy sobie przypomnisz, czy nie... Aha, o butelkę koniaku. Loszka co pół godziny dzwoni tu i pyta, czy mi złożyłeś życzenia... Nie, tatku, to ja się założyłam, że nie będziesz pamiętał. Więc on wygrał...

Pod koniec rozmowy Andriej na drugim końcu przewodu już wprost się dusił ze śmiechu.

– Przegrałam. – Nastia zrobiła tragiczną minę. – Będę musiała kupić koniak.

– A jesteś za leniwa, żeby pójść do sklepu? – znów dał się słyszeć głos Korotkowa.

Goście pośmiali się, dopili szampana, kolejno wycelowali Nastię i poszli. Ale mimo że bezustannie wpatrywała się w jedną z twarzy, nie dostrzegła na niej ani śladu zaskoczenia, przestachu, zmieszania. Niczego. Ani nagłej bladości, ani gorączkowych wypieków. I uśmiech nie był sztuczny, i głos nie drgnął. A więc to nie on? No to kto? Uwaga Nasti była skupiona na jednej, jedynej twarzy, na inne nawet nie spojrzała. A szkoda!

Gdy wszyscy wyszli, opadła na krzesło i złapała się za głowę. Znaczący, że jest ich dwóch. Pączek miał od samego początku rację, kiedy mówił: może jest ich kilku, a może nawet wszyscy. Ona wtedy nie potraktowała tych słów poważnie, i kiedy wykryła jednego, uznała w podnieceniu, że jest sam i nie ma nikogo innego. Znów się pomyliła. Jest ich dwóch. Co najmniej dwóch, poprawiła sama siebie. Teraz była skłonna uwierzyć nawet w to, że jest ich więcej. A może wszyscy? Mój Boże, jak potwornie to brzmi!

Wreszcie jakoś wzięła się w garść i powróciła do spisu mieszkańców Moskwy, noszących wyżej wzmiankowane, bynajmniej nierzadkie nazwisko Gradów. Metodycznie wykreślała z listy mężczyzn niepasujących wiekiem. Nagle coś na liście ją uderzyło. Zamknęła oczy. Pod zaciśniętymi powiekami w czarnej ciemności wirowały wstrętne żółte muszki. Oczy z wysiłku zaczęły łzawić. Nastia zwilżyła chustkę do nosa wodą z karafki, odchyliła głowę i przyłożyła chusteczkę do oczu. Po chwili poczuła pewną ulgę.

Rzuciła mokrą chustkę na kaloryfer i znów wpatrzyła się w kolejnego Gradowa, Siergieja Aleksandrowicza, zamieszkałego... Co jej się w tym adresie nie podobało? Co się z nią dzieje? Adres jak adres, ulica, dom, klatka, mieszkanie. Jak inne.

Znów zamknęła oczy i zmusiła się, by myśleć o czymś innym. O Loszy, o przepysznych smażonych kurczętach, które robi ojczym, o koniaku, którego nie musi kupować... Prospekt Federacji numer... A kysz, wynoś się, dziwny adresie, nie rozprasza mnie. Powinna na

wszelki wypadek zadzwonić do taty, niewykluczone, że wieczorem do niego pojedzie. I dobrze by było uprzedzić Loszę. Niech wszystkim, którzy będą dzwonić do domu, odpowiada, że poszła wieczorem do ojca i wróci późno... Prospekt Federacji numer... Prospekt Federacji...

Fala gorąca ogarnęła całe jej ciało, zapiekły policzki, gwałtownie spocły się dłonie. Nastia podniosła słuchawkę wewnętrznego telefonu.

– Jest pan sam, Wiktorze Aleksiejewiczu?

– Sam. Co tam masz?

– Lepiej do pana przyjdę.

Wszedłszy do gabinetu szefa, z trudem przełknęła ślinę. Z przejęcia nie mogła wydobyć głosu i zdobyła się tylko na ochryply szept.

– Podał mi pan adres zamieszkania kierownika klubu „Wareg”?

– Podałem. Przeczytałem ci głośno cały raport z obserwacji.

– Prospekt Federacji 16, klatka III?

– Przyszłaś mi zademonstrować swoją fenomenalną pamięć?

– W tym samym domu mieszka niejaki Siergiej Aleksandrowicz Gradow, rok urodzenia czterdziesty siódmy.

Pączek odchylił się w fotelu, zdjął okulary i wsunął do ust zausznik. Potem powoli wstał z biurka i zaczął chodzić tam i z powrotem po gabinecie, najpierw wolno, następnie coraz szybciej i szybciej, niby sprężysta piłka obiegając długi stół konferencyjny i roztrzaskując na wszystkie strony stojące mu na drodze krzesła. Im dłużej biegał, tym jaśniej błyszcząły mu oczy, tym różowsza stawała się jego gładka łysina i mocniej zaciskały się usta. Wreszcie się zatrzymał, opadł na fotel przy oknie i wyciągnął krótkie nogi.

– Gradowa biorę na siebie, ty się do tego nie mieszaj, to nie dla ciebie. Sprawdzę, co to za jeden, i sam się z nim spotkam. Ty za to pomyśl, czego on się tak śmiertelnie boi. Przecież z pewnością nie tego, że ćwierć wieku temu był świadkiem zbrodni. Tu chodzi o coś jeszcze... A zresztą nie. Rozmyśliłem się. Nie spotkam się ani z Gradowem, ani ze starym Popowem. Zrobimy inaczej. Zupełnie inaczej.

– Jest pan absolutnie pewien, że Gradow z prospektu Federacji to ten, którego szukamy?

– Nie wciskaj mi kitu, Nastazjo, ty też jesteś o tym przekonana, inaczej nie przyleciałabyś do mnie, żeby sprawdzić adres tego wujka Koli. Ale do wieczora będę to wiedział na pewno. Łatwo to ustalić. Powiedz mi lepiej, czy kiedyś słyszałaś, żeby intensywnie rozpracowywano odłożoną *ad acta* nierozwiązaną sprawę?

– Prawo mówi... – zaczęła Nastia, ale Gordiejew jej przerwał.

– Co mówi prawo, to ja wiem lepiej niż ty. Ale co mówi samo życie?

– Wstrzymaną sprawę odkłada się do sejfu albo do archiwum, ludzie oddychają z ulgą i starają się o niej zapomnieć jak o strasznym śnie. Niekiedy taką sprawę się wznawia, jeżeli przestępca oskarżony o inną zbrodnię nagle zaczyna się przyznawać do dawnych grzechów. Czasem wznawia się śledztwo z innych powodów, ale najczęściej jest to przypadkowy zbieg okoliczności.

– Właśnie. W sprawie wstrzymanego śledztwa nikt niczego nie robi. Dlatego zaraz zadzwonię do Olszańskiego i poproszę go, żeby wydał decyzję o wstrzymaniu dochodzenia w sprawie zamordowania Jeriominej, jak tylko upłyną ustawowe dwa miesiące od dnia wdrożenia śledztwa.

– To jeszcze cały tydzień... – westchnęła z niezadowoleniem Nastia.

– Nic nie szkodzi. Na oficjalny dokument zaczekamy, a rozmowy na ten temat zaczną się już dzisiaj. Osobiście się postaram, żeby nasi wywiadowcy zostali dokładnie poinformowani. Rozumiesz, do czego zmierzam?

– Rozumiem. Boję się tylko, że Olszański będzie robił trudności. W swojej pryncypialności nie zgodzi się na zamknięcie dochodzenia w chwili, gdy pojawiła się realna i bardzo obiecująca hipoteza.

– Nie doceniasz Kosti. Tak, zachowuje się po chamsku, garnitur ma wiecznie wymięty i brudne buty. Ma masę wad. Ale to bardzo mądry człowiek. I bardzo mądry śledczy.

– Ale nie znosi, kiedy ktoś decyduje za niego. Ma wręcz hysia na punkcie swojej samodzielności procesowej.

– Nie zamierzam jej podważać. On sam podejmie decyzję. Nie myśl, że jest głupszy niż my.

Wiktor Aleksiejewicz z zadowoleniem zatarł ręce i mrugnął do Nasti.

– Czemu spuściłaś nos na kwintę, moja śliczna? Myślisz, że nie damy sobie rady? Nie martw się, nawet jeżeli sobie nie poradzimy, to tak czy owak nabierzemy pewnego doświadczenia, a to też nie bagatela. No, nie bądź taka skwaszona, głowa do góry!

– A z czego tu się cieszyć, pułkowniku? Ta historia z telefonem...

– Wiem – szybko i nieoczekiwanie szorstko powiedział Gordiejew.
– Też to zauważyłem, nie jestem przecież ślepy. Ale to jest powód do zastanowienia, a nie do płaczu. A właśnie, nie zapomnij oddać mi aparatu, dałem Wysokowskiemu słowo, że zwrócę go za parę godzin. Nie prosiłbym tego sknery, ale jego aparat jest dokładnie taki sam jak twój. No, otrząśnij się, Nastazjo! Dobra nasza! No, uśmiechnij się, szybciutko!

– Nie mogę, Wiktorze Aleksiejewiczu. Dopóki myślałam, że on jest jeden, czułam gorz i ból. Kiedy zrozumiałam, że jest ich co najmniej dwóch, zaczęłam się bać. To przecież zupełnie inna sytuacja, prawda? I nie widzę w tym nic wesołego ani optymistycznego, toteż, w przeciwieństwie do pana, nie potrafię żartować i uśmiechać się.

– Ja swoje łzy już wypłakałem, Stasienko – cicho powiedział pułkownik. – Teraz nie pozostaje mi nic innego jak się uśmiechać. Kiedy zrozumiałem, że on nie jest sam, wszystko się momentalnie zmieniło. Najpierw mówiłem sobie: „Wykryj, kto działa na dwie strony, usuń go z wydziału, w ogóle z milicji, i wszystko powróci do normy”, ale dziś pomyślałem sobie całkiem co innego. Jeżeli jest ich dwóch albo więcej, to znaczy, że sytuacja wymknęła mi się spod kontroli, czyli że choćbym stanął na głowie, nie poradzę sobie z tym wszystkim. Nic już nie zależy ode mnie. Jeśli się okaże, że ci dwaj to przypadkowy zbieg okoliczności, rzecz można jeszcze naprawić. Ale jeśli nie, jeśli mamy do czynienia z zakorzenioną u nas organizacją, to wszelkie próby walki z nią są skazane na niepowodzenie. Pozostaje mi tylko przejście na emeryturę.

– I chce pan rzucić wszystko, co pan z taką miłością i ciężkim wysiłkiem stworzył?

– Byłem idealistą, uważałem, że uczciwa i dobra robota zależy tylko od nas samych, od naszych kwalifikacji i chęci. Wpajałem wam i kultywowałem w was te cechy, i nikt nie ma prawa powiedzieć, że mi się to nie udało. Przypomnij sobie, ile w ciągu

ostatnich dwóch lat rozwiązaliśmy spraw, które wcześniej rozsypywały się niby domki z kart. Ze zgromadzonymi przez nas dowodami nie poradzi sobie żaden adwokat, bo dokładnie taki sam adwokat, tylko jeszcze bardziej drobiazgowy i wymagający, żyje w każdym z nas i na każdy fakt, na każdy dowód potrafimy spojrzeć najpierw jego oczami. Tak, osiągnąłem to, co chciałem. Ale moje ukochane dziecko okazało się niezdolne do życia, bo normalne, zdrowe dzieci w ogóle nie mogą istnieć w naszym środowisku naturalnym. Dzieci są w porządku, ale warunki nieodpowiednie. Presji bodźców materialnych takie dzieci na razie nie mogą się oprzeć, są skazane na śmierć. Choć to bardzo smutna konkluzja.

– Ale może to jednak przypadek, a nie system? Albo taki system, który można zakłócić, zniszczyć? – nieśmiało wtrąciła Nastia, której bynajmniej nie cieszyła perspektywa pozostania bez takiego szefa jak Pączek. To właśnie on kiedyś zabrał ją z dzielnicowego wydziału spraw wewnętrznych na Pietrowkę, i zabrał właśnie po to, by się zajmowała tym, co umie i lubi najbardziej – pracą analityczną. Żaden inny szef nie pozwoliłby jej przesiadywać w gabinecie i grzebać się w liczbach, faktach, dowodach, strzępach informacji, splatając z kawałeczków wymyślne desenie... Nie mówiąc już o tym, że Nastia była szczerze przywiązana do śmiesznego, grubego, łysego Pączka, żywiła głęboki szacunek dla pułkownika Gordiejewa.

– Nie oszukujmy się, dziecko. Oczywiście, oboje postaramy się zrobić wszystko, co możliwe, inaczej bylibyśmy nic niewarci, ale nie powinniśmy liczyć na sukces. Powinniśmy za to mieć na celu nie rezultat, ale sam proces pracy. A ponieważ rezultat znany jest z góry i nie uda się nam go zmienić, będziemy się czuć na luzie, będziemy popełniać błędy, i to im więcej, tym lepiej, i będziemy się na nich uczyć. Trzeba umieć wyciągać z każdej sytuacji jak najwięcej korzyści...

Po nieprzespanej nocy Andriej Czernyszew czuł się źle. W odróżnieniu od Nasti, dla której bezsenność była czymś całkiem zwyczajnym, Andriej, który przed pójściem spać regularnie wyprowadzał psa, nigdy na bezsenność się nie uskarżał, spał mocno, a jeżeli nie udało mu się pospać, bolała go głowa i czuł się osłabiony. Mimo to po przekazaniu rano Siergieja Bondarienki jego

małżonce, Czernyszew zwalczył chęć pojechania do domu i pójścia do łóżka, i ruszył wykonać kolejne polecenie Kamieńskiej: miał odnaleźć rodzinę mężczyzny zabitego przez pijaną Tamarę Jeriominą dwadzieścia trzy lata temu. Okazało się, że na krótko przed swą tragiczną śmiercią ofiara, Witalij Łucznikow, ożenił się, ale po pogrzebie młoda wdowa wyjechała z Moskwy do obwodu briańskiego, do krewnych zmarłego męża, którzy obiecali jej pomoc w wychowywaniu będącego już w drodze dziecka. W Moskwie nie było żadnych krewnych ani samego Łucznikowa, ani jego żony, ponieważ żadne z nich nie pochodziło ze stolicy – przyjechali tu po prostu „za pracą”.

Andriej przestudiował rozkład jazdy i stwierdził, że lepiej będzie pojechać samochodem. Był tylko jeden szkopuł – brakowało mu pieniędzy na benzynę, jako że lwia część gotówki poszła na pijanego Bondarienkę, którego należało wytrzeźwić i przesłuchać, zanim nieznani „życzliwi” wyjaśnią mu, tak jak Wasilijowi Kołobowowi, co i jak. Wreszcie jednak, rozwiązawszy problemy finansowe, Czernyszew pomknął szosą kijowską w kierunku Briańska.

Do domu Jeleny Łucznikowej dotarł około dziesiątej wieczorem. Drzwi otworzyła mu śliczna młoda dziewczyna z grymasem świętego oburzenia na świeżej buzi. Najwyraźniej spodziewała się kogoś innego, ponieważ na widok Andrieja błyskawicznie zmieniła wyraz twarzy z gniewnego na uprzejmy.

– Pan do nas? – spytała.

– Jeżeli to dom pani Łucznikow, to tak. Ja do Jeleny Pietrowny.

– Mamo! – zawołała dziewczyna. – Ktoś do ciebie!

– Myślałam, że to Denis po ciebie przyszedł – rozległ się niski, głęboki głos. – Nina, nie trzymaj gościa w progu, proś do środka.

Nina otworzyła drzwi do wielkiej, jasnej kuchni, gdzie pachniało ciastem i korzennymi przyprawami. Przy stole siedziała, robiąc na drutach, tęga, jasnooka kobieta o ładnej, dobrej twarzy, z grubym warkoczem upiętym w koronę.

Usłyszawszy, kim jest Andriej i skąd przyjechał, nie okazała ani zdziwienia, ani irytacji. Czernyszew miał dziwne wrażenie, że gospodyni od dawna czekała, kiedy wreszcie ktoś zapyta ją o okoliczności śmierci męża, i postanowił pod koniec rozmowy sprawdzić to swoje odczucie.

Kiedy Nina wyszła na spacer z narzeczonym (co mocno Czernyszewa zdziwiło: ciemno, zimno, mokry śnieg. Pewnie tak naprawdę wybrali się nie na spacer, ale do kogoś z przyjaciół. Jeżeli ci przyjaciele są taktowni, to na spacer pójda właśnie oni, a nie para narzeczonych), Jelena Pietrowna, nie kładąc się powtórnie prosić, zaczęła opowiadać o wydarzeniach siedemdziesiątego roku. Mówiła przyciszonym, równym, spokojnym głosem, jakby czytała dobrze sobie znaną, ale zupełnie jej nieinteresującą, nudną książkę...

Witalija Łuczniukowa Lena poznała w sześćdziesiątym dziewiątym roku, kiedy przyszedł do jej hotelu robotniczego odwiedzić swego ziomka. Pracowali w różnych zakładach i mieszkali na dwóch różnych krańcach Moskwy, więc nie bardzo mieli gdzie się widywać: ona została zakwaterowana w pokoju sześćciosobowym, on – w pięcio. Trudno powiedzieć, żeby szalenie kochała Witalika i żyć bez niego nie mogła, ale spotykała się z nim z radością. Jakoś przetrzymali zimę, a potem wietrzną i słotną wiosnę, a latem wszystko stało się prostsze. Oboje postarali się o pracę na tych samych zmianach i w każdy wolny dzień jechali za miasto, do lasu. Jednego z takich dni Lena, zmorzona słońcem, usnęła w cieniu drzewa, a Witalij postanowił poszukać grzybów.

Lena zbudziła się, czując na twarzy czyjąś dłoń. Otworzyła oczy i chciała usiąść, ale jakieś obce ręce mocno przyciskały ją do ziemi.

– Cicho, cicho, głupia, nie szarp się. To nie boli. Spodoba ci się – usłyszała nieznajomy, szyderczy głos.

Nabrała powietrza w płuca i chciała zawołać Witalija, ale zdołała wydać z siebie tylko niewyraźne stęknięcie: obca dłoń zatkała jej usta. Potem otrzymała cios w splot słoneczny, jeszcze jeden w brzuch i z bólu straciła przytomność. Kiedy się ocknęła, jeden młody człowiek ją gwałcił, a drugi stał obok, przytrzymując jej ręce. Widząc, że otworzyła oczy, schwycił ją za ramiona, uniósł i z całej siły uderzył jej potylicą o ziemię. Lenę znowu ogarnęła ciemność. Kiedy odzyskała przytomność, nikogo przy niej nie było. Słońce chyliło się ku zachodowi i zorientowała się, że upłynęło sporo czasu. Gdzie jest Witalik?, myślała ze strachem. Obawa o niego okazała się silniejsza niż przerażenie tym, co przytrafiło się jej samej. Pewnie wrócił, rzucił się na nich, a oni go zabili. Jest taki łagodny, bezbronny, nie poradziłby sobie z tymi buhajami.

Lena krzyczała, wołała Witalika, ale wciąż go nie było. Najpierw bała się odejść z miejsca, gdzie zostawił ją śpiącą pod drzewem, ciągle mając nadzieję, że Witalij po nią wróci. Kiedy zaczęło się ściemniać, wyszła na szosę i powlokła się w stronę stacji. Pożegnała się już w duchu z bohaterskim ukochanym, toteż nie mogła uwierzyć własnym oczom, widząc go na peronie.

– Wyśledziłem ich – wyszeptał z przejęciem, ocierając łzy, które trysnęły z jasnych oczu dziewczyny.

– Kogo? – nie zrozumiała Lena.

– No, tych... Którzy cię...

– O Jezu – zaszlochała – ja się bałam, że oni cię zabili. Bogu niech będą dzięki, że nie wdałeś się z nimi w bójkę. Chodźmy szybciej na milicję.

– Na milicję? Po co?

– No przecież ich wyśledziłeś! Pójdziemy, opowiemy o wszystkim i niech ich aresztują i skazą. Dranie!

– Czyś ty oszalała? – szepnął wstrząśnięty Łucznikow. – Zdobycz sama pcha nam się w ręce, a ty chcesz iść na milicję.

W czasie oczekiwania na pociąg Witalij przedstawił Lenie swój wspólny projekt. Wyśledził dwóch młodych ludzi, którzy zgwałcili jego dziewczynę, i postanowił ich szantażować. To o wiele lepsze i bardziej efektywne niż doniesienie na milicję. Jeżeli będzie działał mądrze, to uda mu się wyciągnąć od obu chłopaków tyle forsy, że wystarczy na posmarowanie gdzie trzeba, by się dostać do spółdzielni mieszkaniowej. Wtedy on i Lena będą się mogli pobrać. A dopóki tkwią w różnych bursach, gdzie nie wolno mieszkać małżeństwom, to mogą czekać na rodzinne szczęście do usranej śmierci.

– Nawet gdybym miał forszę na spółdzielnię, to i tak by mnie do niej nie przyjęli, bo mieszkam w Moskwie mniej niż pięć lat – cierpliwie klarował Witalij pochlipującej Lenie. – Musiałbym dać taką łapówkę, że starczyłoby na drugie mieszkanie.

Lena słuchała go jednym uchem i myślała o tym, że Witalik, o którego tak się bała, że zapomniała o własnym nieszczęściu, stał w krzakach, przyglądał się, jak dwaj zwyrodnialcy gwałcą jego dziewczynę, i obliczał, jaką można mieć z tego korzyść. Myślała o tym, że zostawił ją w lesie leżącą bez zmysłów, i pojechał za

draniami do miasta, by wysledzić, gdzie mieszkają. Tak, wrócił po nią, wprawdzie dopiero pod wieczór, kiedy jest już ciemno i niebezpiecznie, ale jednak wrócił...

Początkowo wszystko szło tak, jak zaplanował Witalij. Pierwsze sumy wpływały regularnie, małymi kwotami, dwa razy w miesiącu.

– Najważniejsze to nie spłoszyć klienta – z ważną miną tłumaczył Witalik, przeliczając pieniądze i pakując je do koperty, by zanieść do kasy oszczędności. – Gdybym od razu zażądał od nich pięciu tysięcy, szczerka by im opadła i poleciliby na skargę do rodziców. Naopowiadaliby im niestworzonych rzeczy i to nas uznano by za winnych. Kto by nam uwierzył? Jesteśmy „napływowi”, nam się nie ufa. Rozumiesz? A tak to co dwa tygodnie przynoszą mi po trochu i nie zdają sobie sprawy z tego, w co się wpakowali. Albo zapłacą ze swojego kieszonkowego, ich starzy są przy forsie, pieniędzy im nie żałują, albo pożyczą od kumpli, albo coś sprzedadzą, albo wyżebrzą w domu niby to na prezent dla dziewczyny. Z jednej strony, boją się trafić do ciupy, a z drugiej, tak na pierwszy rzut oka ja przecież nie żądam zbyt wiele.

Pomyślny początek wątpliwego przedsięwzięcia wyglądał obiecująco i dwa miesiące później, na początku października siedemdziesiątego roku Lena i Witalij wzięli ślub, choć nadal mieszkali każde w innym hotelu.

Pod koniec listopada, w dniu, kiedy Witalik miał odebrać kolejną wypłatę, Lena nie doczekała się męża. Wczesnym rankiem przyszli do niej z milicji i zawiadomili, że Witalij został zabity przez jakąś pijaną prostytutkę w jej własnym łóżku. Nazajutrz zjawił się śledczy i wypytywał, dlaczego Witalij poszedł do alkoholiczki Jeriominej, czy znał ją wcześniej i w ogóle gdzie mąż miał być w ciągu dnia. Lena oczywiście nie powiedziała mu nic o gwałcie i pieniądzach, a o Tamarze naprawdę słyszała po raz pierwszy.

Gdy zakończyło się śledztwo i proces, Lena Łucznikowa była już w ósmym miesiącu ciąży. Rodzice Witalika, którzy przyjechali na proces, zabrali ją ze sobą do obwodu briańskiego. Lena nie była zachwycona, ale nie śmiała się sprzeciwić. Uważała się za winną śmierci męża. Gdyby go nie usłuchała i zawiadomiła milicję, Witalik nie mógłby szantażować gwałcicieli, a więc nie poszedłby tamtego dnia po kolejną wpłatę, nie poznałby tej okropnej kobiety, nie

znalazłby się w jej domu i nie zostałaby zabity. Takie rozumowanie wydawało się Lenie słuszne i logiczne, toteż zgodziła się wyjechać z rodzicami Łucznikowa, ponieważ czuła, że po śmierci ich syna jej obowiązkiem jest umilać im samotność i starość, pomagać w gospodarstwie i pocieszać obecnością wnuka albo wnuczki (to już jak Bóg da).

Kiedy Ninoczka skończyła dwanaście lat, Jelena Pietrowna wyszła za mąż za dyrektora miejscowej szkoły średniej. Małżeństwo to było bardzo szczęśliwe, ale trwało krótko. Przeżyli razem zaledwie sześć lat, a potem pijany kierowca kamaza rozwalił ogrodzenie i wjechał do ogródka przed ich domem. Męża nie udało się uratować...

– Wie pan, moje życie przypomina ciąg przypadków, w których zawsze dopatruję się własnej winy – uśmiechnęła się smutno Łucznikowa, dolewając Andriejowi herbaty i nakładając na talerzyk konfitur. – To, że mąż zginął, to też moja wina. Naprawiał tego ranka schodki, od miesiąca mu powtarzałam, że dolny stopień jest przegniły i trzeba go wymienić, a wtedy niemal siłą go zmusiłam, żeby się wziął do naprawy. Rozbierał ten dolny schodek, a ja stałam na górze i patrzyłam. No i po co mi był ten schodek... Czasem się zastanawiam, jakie głupstwa potrafią złamać człowiekowi życie.

– Jeleno Pietrowno, czy pani naprawdę nie wiedziała, gdzie mąż poznał Tamarę Jeriominę?

– Naprawdę. Po raz pierwszy usłyszałam to nazwisko od śledczego.

– A Gradow i Nikiforczyk?

– Co: Gradow i Nikiforczyk?

– Nie zna pani przypadkiem tych nazwisk? Może to byli przyjaciele pani męża?

– Akurat, przyjaciele – westchnęła ze znużeniem Łucznikowa. – Raczej wrogowie. To od nich Witalik wyciągał pieniądze. A skąd pan o tym wie? Zdaje mi się, że nie wymieniałam tych nazwisk.

– A właśnie, dlaczego? Wszystko pani opowiedziała tak szczegółowo, a nazwiska pominęła. Ktoś panią o to prosił? Może pani grożono, Jeleno Pietrowno?

– Ależ co pan, kimże ja jestem, żeby mnie prosić, a tym bardziej mi grozić! – Łucznikowa machnęła ręką. – Po prostu trudno mi było się zdecydować, czy podać panu te nazwiska. Już mniej więcej od

pół roku czekam, że ktoś się połapie, zacznie grzebać w przeszłości i wywlekać brudy na widok publiczny. Przecież nasi dziennikarze to uwielbiają, o niczym innym nie marzą, tylko żeby kogoś obsmarować. No i pół roku szykowałam się do tej rozmowy i do końca nie mogłam się zdecydować, czy powiedzieć o nim, czy nie. Bałam się, bo to bądź co bądź polityk, chociaż nienadzwyczajny, a ja nie jestem mściwa. I teraz bladego pojęcia nie mam, dlaczego panu o nim mówię. Pewnie dlatego, że zapytał mnie pan nie tak, jak sobie wyobrażałam.

– O kim pani konkretnie mówi? Było ich przecież dwóch.

– Ależ o Gradowie, o Siergieju Aleksandrowiczu Gradowie. Kiedy jakieś pół roku temu zobaczyłam go w telewizji, zaraz sobie pomyślałam, że prędzej czy później ktoś się do mnie zgłosi po jego czarną duszę. On pół roku szykował się do zajęcia miejsca w Dumie, a ja do naszej dzisiejszej rozmowy. No i się doczekaliśmy, każde swojego.

Jadąc na miejscowy komisariat Andriej myślał o bezsensownym związku Leny i Witalija, związku, w którym nie było ani czułości, ani namiętności, ani przyjaźni, tylko przytłaczająca samotność wieśniaka, który przybył zdobywać Moskwę i kurczowo czepiał się imponderabiliów, które w owych czasach były symbolem sukcesu: stałe zameldowanie w Moskwie, mieszkanie, rodzina. Co trzyma ludzi przy sobie? Co ich zmusza, by byli razem?

Arsen nie posiadał się z wściekłości. Ta dziewczyna, takie głupie nic, go przechytrzyła. Udawała niewinne jagniątko, udawała wręcz obłożnie chorą, a tymczasem – cicha woda – odszukała Bondarienkę. Oczywiście, najbardziej zawinił ten, kto do tego dopuścił, kto przegapił jej ucieczkę z przychodni. I poniesie konsekwencje. Ale to problem drugorzędny – o tym, kogo ukarać, a komu okazać łaskę, można zdecydować później. Teraz najważniejsze to załatwić tę zmięję tak, żeby na długo odechciało jej się rozrabiać.

Zajrzał do notesu i wykonał dwa krótkie telefony. Do zajęcia się Bondarienką potrzebni byli ludzie ze wschodnich rejonów Moskwy. Sam Arsen trzymał w ręku wszystkie nici, prowadzące do moskiewskiego GUWD, na Pietrowkę 38. Kiedy Arsen obmyślał i tworzył swoją organizację, czy, jak ją nazywał, firmę, miał bardzo

ambitne zamiary. Jego pomysł był bardzo prosty i dojrzał w chwili, gdy kolejny raz, stojąc w ogonku po ser i śmietanę, usłyszał jakże znane, powtarzające się od lat i w związku z tym puszczane mimo uszu słowa ordynarnej, tłustogębej ekspedientki:

– Was jest tylu, a ja jedna!

W tym czasie było już jasne, że grup przestępczych, działających na terenie miasta, jest całe mnóstwo. Nie ustępowały im też struktury kryminalne, działające na peryferiach, ale załatwiające porachunki właśnie w Moskwie. Zrozumiało, że wszyscy ich członkowie byli niezwykle zainteresowani w tym, aby smutne rezultaty krwawych konfrontacji między innymi nie dały organom ścigania powodu do postawienia ich przed sądem. Pełną parą ruszyły: przekupstwo, szantaż i cały arsenał innych środków nacisku na śledczych, wywiadowców i kryminologów, ale Arsen już wtedy wiedział, co będzie dalej. Wiedział, że każda, mniejsza lub większa, grupa przestępcza zechce mieć w moskiewskim wydziale kryminalnym „swojego” oficera, w wydziale śledczym „swojego” śledczego. Zaczną się bezładne, chaotyczne próby zwerbowania pomocników w organach ścigania, ale stosunek ilościowy osób chcących otrzymać pewne usługi, i osób, które mogłyby te usługi świadczyć, nie pozwoli na pokojowe zawarcie transakcji. Arsen przeprowadził proste obliczenia, które wykazały, że wywiadowców i śledczych „na wszystkich” nie wystarczy.

Wobec tego między dwiema nierównymi liczebnie stronami powinien się znaleźć pośrednik. Zaraz następnego dnia po przyjściu do pracy Arsen zaczął wprowadzać w życie swoją teorię masowych usług dla świata przestępczego. Wyjął z dużej szafy pierwszych dwadzieścia teczek z aktami personalnymi pracowników KGB. Już pobieżne przejrzanie teczek pozwoliło wyłonić z pierwszej dziesiątki siedem osób, które najwyraźniej czuły się skrzywdzone, i to skrzywdzone niesprawiedliwie. W ich wykazach przebiegu służby znajdowały się niezasłużone degradacje i najwyraźniej sklecone w pośpiechu rozkazy wymierzenia kary. Arsen zwracał też uwagę na inne drobiazgi: na zwłokę w przyznaniu wyższego stopnia wojskowego, na częstotliwość przechodzenia przez komisję kwalifikacyjną, na wzmianki o wykorzystaniu dorocznych urlopów późną jesienią albo wczesną wiosną i na tysiące innych oznak,

pozwalających mu jako kadrowcowi bezbłędnie ocenić, czy człowiekowi dają „zielone światło”, czy hamują jego karierę. Szczególną uwagę poświęcił tym, których lada moment można było „poprosić” o przejście na emeryturę.

Dwa i pół miesiąca później pierwsza grupa „pośredników” była gotowa do pracy. Ich klientami zostali wielcy mafiosi, członkowie zorganizowanych grup przestępczych, które rozpracowywano w KGB. Przestępcy, którzy zawarli kontrakt z grupą pośredników, nie musieli już sobie zaprzętać głowy przebiegiem dochodzenia, szukać dojsć do oficerów operacyjnych i ich zwierzchników. Wszystkie te funkcje oraz wiele innych wzięli na siebie ludzie starannie i z zamiłowaniem dobrani przez Arsena. Doskonale znali skład osobowy odpowiednich podwydziałów Komitetu Bezpieczeństwa, wiedzieli, kogo i czym można „zblatować”, komu jak rozwiązać język, żeby otrzymać potrzebną informację o przebiegu dochodzenia w tej czy innej sprawie. Oni wskazywali świadków składających „niewłaściwe” zeznania i podpowiadali, jak wywrzeć na takich świadków nacisk, żeby ich zeznania jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki przestały demaskować winnych. Co zaś było najistotniejsze, pośrednicy pilnie przestrzegali tego, by grupy reprezentujące sprzeczne interesy nie rzucały się do werbowania jednych i tych samych ludzi, zatrudnionych w Komitecie, jako że konflikt tego rodzaju nie przyniósłby nic dobrego ani samym pośrednikom, ani korzystającemu z ich usług elementowi przestępczemu.

Interes szedł dobrze i Arsen stopniowo rozwijał go na coraz szerszą skalę, obejmując swymi wpływami organa spraw wewnętrznych, w których kadrowcami lub pracownikami politycznymi byli wówczas jego kumple z KGB. Rysowały mu się już olśniewające perspektywy stworzenia olbrzymiego, obejmującego cały kraj systemu pośredników, będących ogniwem łączącym między światem przestępczym a wszystkimi organami wymiaru sprawiedliwości, z sądem i prokuraturą włącznie. Nie miał żadnych wątpliwości, że jego kalkulacje są prawidłowe: liczba poważnych gangsterów szybko rosła, podczas gdy nikt na razie nie zamierzał zmieniać liczby zatrudnionych w aparacie śledczym i milicji, więc w najgorszym wypadku można było zakładać nieznaczny przyrost

etatów, co zdarzało się już wcześniej, ale nie miało wpływu na stan walki z przestępczością i wykrywalność przestępstw. Popyt zawsze będzie przewyższał podaż, oczywiście, jeżeli jest to popyt żywiolowy. On zaś, Arsen, i jego firma są od tego, by regulować i popyt, i podaż...

Teoretycznie wszystko wyglądało gładziutko, ale w praktyce Arsen musiał porzucić barwne marzenia i świadomie zaakceptować mniej rzucający się w oczy, ale bardziej niezawodny kolor. Szybko zrozumiał, że nie da się stworzyć zwartej, jednolitej organizacji: istniało wysokie ryzyko wpadki, gdyby choć jedno ogniwo okazało się słabe. Głębszą konspirację zapewniał podział na małe grupki, „prowadzące” poszczególne placówki wymiaru sprawiedliwości, i pozostawienie nad nimi tylko kilku koordynatorów. Arsen z żalem zrezygnował z myśli o ośmiornicy, trzymającej w swych mackach cały system walki z przestępczością od góry do dołu, ale zmuszony był przyznać, że system niezależnych małych agencji jest stabilniejszy w wypadku nieoczekiwanych kłopotów czy nieprzewidzianych kataklizmów. Dokonując wyboru między jednoosobową władzą i niezawodnością, wybrał tę drugą. Tak czy owak, był dumny ze swego przedsięwzięcia – nie z powodu jego zasięgu, ale samej istoty, z uwagi na jego marketingowy charakter, co w owym czasie było bardzo modne. I wolał, żeby przedsięwzięcie żyło, może skromne, może rozczłonkowane, może w wielu rękach, ale żeby żyło. Arsen nie był ambitny, nie był pazerny na sławę i pieniądze, nie zależało mu na tym. Przez całe życie interesowało go tylko jedno – manipulowanie ludźmi, pociąganie za niewidoczne sznurki, które trzymał w ręku i o których inni nie mieli bladego pojęcia, i obserwowanie z satysfakcją, jak zmieniają się losy i kariery.

Któż z wojskowych nie wie, jaką olbrzymią władzę dźwierzają w swych rękach kadrowcy? Przecież kadrowiec, przeglądając twoje akta, może „nie zauważyć” jakiegoś niemiłego papierka, a może też rozdmuchać z niego całą historię, a wtedy awans zobaczysz jak własne uszy. Kadrowiec może „zapomnieć”, że twoich akt personalnych zażądała wyżej stojąca organizacja, która chce ci zaproponować pracę ciekawszą i lepiej płatną, albo może „zgubić” ten wniosek, albo po prostu położyć go przed sobą – i patrzeć nań

w zadumie, myśląc przy tym o jakichś własnych sprawach, ale w żadnym razie nie wykonywać polecenia, to jest nie wyjąć z sejfu teczki z aktami, nie zapakować jej do koperty i nie przesłać przez gońca do wyżej wzmiankowanej organizacji. Człowiek, który chce zmienić miejsce pracy, denerwuje się, nowi przełożeni, którzy jeszcze wczoraj tak serdecznie zapraszali go do swojej placówki i gorąco pragnęli widzieć go wśród swoich pracowników, stopniowo ostygają w zapale, zapominają o kandydacie i ten ani się obejrzy, a już pojawia się nowy człowiek, wcale nie gorszy niż poprzedni, a w dodatku jego akta zostają dostarczone w dwie godziny po łaskawej formułce: „No dobrze, przejrzymy pański przebieg służby, opinie...”. Nietrudno zgadnąć, kto otrzyma przeniesienie, a kto pozostanie na starej posadzie. Wiadomo też, jakie życie czeka tego, który pozostał. Miał odejść, miał prowadzić własny dział, a w ostatniej chwili go nie przyjęto... Dlaczego? Z jakiego powodu nie doszło do skutku przeniesienie na nowe stanowisko? Pewnie zaczęto go sprawdzać i czegoś się dokopano. I tak dalej w tym duchu. A przecież zdarza się też inaczej, kandydat do awansu w zębach zanosi wniosek o awansie do swego kadrowca, nisko mu się kłania, wręcza butelkę albo jakiś inny wartościowy prezent, prosi i błaga, żeby kadrowiec raczył wyjąć teczuszkę z dokumentami i łaskawie posadzić swój zadek w samochodzie.

A samochód już czeka przy wyjściu, czyli że akta zostaną przesłane nie przez gońca, który nie wiadomo kiedy się zjawi, ale natychmiast i osobiście przez kadrowca. I nominację podpiszą bez zwłoki, i żaden inny kandydat nie zdąży się włączyć do tej gry... Pracownicy działów kadr mają w zanadrzu mnóstwo sztuczek i możliwości, i wszystkie te sztuczki Arsen stosował przez wiele lat, z rozkoszą oglądając spektakle rozgrywane według jego scenariusza. Nic w życiu nie sprawiało mu większej przyjemności i niczego więcej nie pragnął. Dlatego też w swoim nowym wcieleniu nie rzucił się w pogoń za sławą czy korzyściami materialnymi. Spokojnie podzielił wszystko, co stworzył, pomiędzy siebie i swych współpracowników. Przedtem długo się zastanawiał, którą część wziąć sobie, i wybrał moskiewski GUWD. Dlaczego – sam nie potrafił sobie odpowiedzieć. Pociągało go samo słowo „Pietrowka” – było w nim coś z młodzieńczej romantyki. Pomyśleć tylko, przecież

w całym olbrzymim kraju są tylko cztery adresy, a raczej cztery organizacje, które każdy mieszkaniec wielomilionowego Kraju Rad zna nie tylko z nazwy, ale i z adresu. Kreml, Stary Plac⁵. Łubianka⁶ i Pietrowka. Cztery kultowe adresy, cztery symbole władzy, potęgi i ogólnonarodowej mądrości. Kreml i Stary Plac to nie jego resort, a na Łubiance i tak bywa codziennie. No i stało się tak, że Arsen kierował nielegalnymi kontaktami z pracownikami Pietrowki także po rozpadzie Związku Radzieckiego, kiedy i o Starym Placu jakoś zapomniano, i Kreml utracił swój magiczny wydźwięk, i Łubiankę, okrytą niezmywalną hańbą, najpierw częściowo zlikwidowano, potem napiętnowano, a wreszcie w ogóle starto z powierzchni ziemi, grzebiąc śmiertelne szczątki pod nowymi nazwami. A czar Pietrowki pozostał. Nie, Arsen się nie pomylił, dokonał w swoim czasie właściwego wyboru...

Po nocnym spotkaniu z Siergiejem Aleksandrowiczem Arsen na wszelki wypadek zlecił obserwację Bondarienki. I chociaż, sądząc z informacji Gradowa, nic nie zapowiadało nieszczęścia, wewnątrz był przygotowany na najgorsze. Dlatego, kiedy mu zameldowano, że Bondarienko wcześniej rano przyjechał do domu autem, za którego kierownicą siedział Andriej Czernyszew, natychmiast się zorientował, że Kamieńska go przechytryła. Początkowo usiłował wyliczyć, gdzie była przez cały poprzedni dzień i czego się zdołała dowiedzieć. Dopiero potem nagle go olśniło i pomyślał o Kartaszowie.

Zrozumiał, że Kartaszow poszedł do redakcji „Kosmosu” nie dlatego, że znalazł list, ale dlatego, że wysłała go tam ta przebiegła dziewczucha. Co z tego wynika? A to, że żaden list nie istnieje, że wszystko to bluff, obliczony na to, by sprowokować tych, którzy chcą zatrzeć ślady tej mętnej historii.

Meldunek o kontakcie Bondarienki z wywiadowcą Czernyszewem Arsen otrzymał dopiero pod wieczór tego dnia. Konstruując system łączności wewnątrz swej organizacji, Arsen musiał rozwiązać niełatwy problem: co wybrać, konspirację czy operatywność przekazywania informacji. Po dojrzałym namyśle wybrał to pierwsze. System łączności i przekazywania informacji był prosty i pewny, ale wymagał dobrej pamięci i wielkiej dokładności. Przy takim systemie informacje nie zawsze docierały na czas, Arsen uznał

jednak, że zawsze trzeba coś poświęcić, jako że na tym świecie nie ma doskonałości.

Wiedział już, że sztuczka z telefonem Kamieńskiej z niewiadomego powodu nie wypaliła. W świetle nowej informacji o spotkaniu Bondarienki z Czernyszewem nie miało to już większego znaczenia, niemniej było dość zastanawiające. Najpierw zdarzyła się wpadka z poszukiwaniem listu w mieszkaniu Kartaszowa. Sam Kartaszow wyjaśnił to całkiem przekonywająco i nie było żadnych podstaw, by obwiniać człowieka z wydziału Gordiejewa, który przekazał nieprawdziwą wiadomość. Potem, zaraz następnego dnia, drugi człowiek, też pracujący na Pietrowce, przyniósł nieprawdziwe informacje na temat pobytu Kamieńskiej w przychodni. A dzisiaj – kompletnie niewytłumaczalna historia z telefonem. Trzy wpadki trzech różnych ludzi, i to prawie jednocześnie. Któryś z nich jest zdrajcą, to nie ulega wątpliwości. Ale który?

Arsen natychmiast połączył się z wujkiem Kołą. Zaczął jak zwykle ogródkami, po czym płynnie przeszedł do rzeczy.

– Sprawdzasz, czy masz ogon?

– Oczywiście.

– A swoich chłopaków kontrolujesz?

– Do czego pan zmierza? – Wujek Koła zmarszczył się gniewnie. – Przez dwa lata ani razu nie umoczyłem.

– Nie umoczyłeś, to umoczysz – złowieszco wycodził Arsen. – Chodzą za tobą już dwie doby. I za tym twoim bucem, który nie znalazł listu u Kartaszowa.

– Za Sanią?!

– Sam wiesz, kogo do niego wysłałeś. Jak mogłeś tak sobie odpuścić, Corleone pieprzony! Przez twój brak przezorności...

– Nie rozumiem – spokojnie przerwał mu wujek Koła. – Skoro pan o tym wiedział, to czemu mnie pan od razu nie ostrzegł? A jeśli nawet pan nie wiedział, to te pretensje nie do mnie. Zdaje mi się, że mieliśmy umowę o podziale pracy. My wykonujemy pańskie polecenia, a pan nam zapewnia bezpieczeństwo. I niech pan na mnie nie naskakuje. Po dwóch odsiadkach tym mnie pan nie nastraszy.

Arsen w głębi duszy zmuszony był przyznać, że jego rozmówca ma pewną słuszność. Rzeczywiście, wujek Koła za bezpieczeństwo nie odpowiadał, to było zadanie jego, Arsena. Ale beztroska musi

mieć jakieś granice! Nie można dokonywać przestępstw na zlecenie, całkowicie licząc na dobrego wujaszka, który będzie szedł za człowiekiem krok w krok i wycierał brudne ślady.

– Nie twoja sprawa, o czym wiem i co powinienem robić – powiedział Arsen sucho. – I jesteś głównie wart, skoro nie zauważyłeś, że twojego człowieka przewerbowali.

– Skąd ten pomysł? – zdumiał się wujek Kola.

– A stąd, mój kochany, że jakoś dziwnie łatwo uciekł od Kartaszowa. Wlazł do cudzego mieszkania, nawciskał gospodarzowi kitu i wyszedł stamtąd bez przeszkód, nie załatwiwszy tego, po co go posłano. A następnego dnia dowiadujemy się, że gospodarz ni stąd, ni zowąd zaczyna się interesować tym, co miało być w liście. To cię nie zastanawia?

– Do czego właściwie pan pije? – Wujek Kola z trudem się powstrzymywał, żeby nie podnieść głosu.

– Do tego, że twój człowiek puścił farbę. I albo ty o tym wiesz i go kryjesz, to jest oszukujesz mnie i swojego serdecznego przyjaciela Siergieja Aleksandrowicza, albo jesteś kompletnym idiotą i dałeś się nabrać jakiemuś smarkaczowi. I w jednym, i w drugim wypadku powinieneś ponieść karę.

– No, no, ciekawe. A co z pańskim człowiekiem, który zameldował, że Kartaszow wyjechał? Jego też pan ukarze? Czy chce pan tylko ze mnie zrobić kozła ofiarnego?

– O mojego człowieka się nie martw. Ty masz odpowiadać za siebie i swoich chłopaków. Od dziś przestajemy się spotykać. Kontakty tylko przez telefon i tylko przy podwójnej kontroli. Jutro rano postaram się sprawdzić, czy twój aparat nie jest na podsłuchu, ale na wszelki wypadek na razie z niego nie korzystaj.

– Czemu pan mnie straszy, panie Arsen? Dlaczego mój aparat miałby być na podsłuchu?

– Bo bardzo się boję, że twój chłopaczek przyprowadził za sobą ogon od mieszkania Kartaszowa prosto do ciebie. A ty nawet nie uważasz za stosowne sprawdzać, czy za tobą nie chodzą, zupełnie jakbyś był niewinny jak dziecko. No dobra, udzieliłem ci lekcji, a teraz do rzeczy.

Wujek Kola słuchał uważnie, nie przerywał, nie zadawał dodatkowych pytań. Z jednej strony, Arsenowi było to na rękę – nie

znosił udzielać objaśnień i odpowiadać na pytania. Ale z drugiej strony, niepokoiła go ustępliwość wujka Koli, gotowego zrobić wszystko, co mu każą, bez specjalnego zgłębiania sensu polecenia. A kiedy się nie rozumie sensu, uważał Arsen, wówczas w razie nagłych komplikacji nie można podjąć właściwej decyzji. Chociaż kiedy człowiek rozumie sens, wie zbyt wiele i może się stać niebezpieczny...

Kiedy zadzwonił telefon, Losza Czistiakow podniósł słuchawkę, nawet nie patrząc na Nastię, która aż podskoczyła. Stracił już nadzieję na to, że kiedykolwiek zobaczy, jak ona sama rozmawia przez telefon.

– Przypuszczam, że Anastazja Pawłowna jak zwykle jest nieobecna. – Losza usłyszał znajomy głos, z którym rozmawiał poprzedniej nocy. – Więc może będzie pan tak uprzejmy i przekaze jej z łaski swojej, że znów dzwoniłem i prosiłem, by zainteresowała się twórczością Jacka Londona, zwłaszcza opowiadaniem z piątego tomu dzieł zebranych.

– I co konkretnie mam jej przekazać? Żeby przeczytała piąty tom?

– Proszę powiedzieć, że na każdym kroku będą ją spotykać nieprzyjemności.

– Jakże?

– U Londona wszystko zostało opisane, niech przeczyta.

Słyszając krótkie bucuki, Losza machinalnie zerknął na zegarek. Nie, nie udało mu się przytrzymać dzwoniącego na linii dłużej niż trzy minuty, jak prosiła Nastia. Niedawno zainstalowany wyświetlacz numerów nie pomógł, bo znów dzwoniło z automatu.

– Przepraszam cię. – Losza spojrział ze skrucą na Nastię. – Nie udało mi się, ale przynajmniej próbowałem. Kazał ci powtórzyć, żebyś przejrzała piąty tom dzieł zebranych Jacka Londona. Od tej chwili na każdym kroku będą cię spotykać nieprzyjemności.

Nastia siedziała bez ruchu przy kuchennym stole, zaciskając w rękach łyżeczkę do herbaty, którą chciała odłożyć na miejsce i zapomniała, gdy tylko odgadła, kto dzwoni. Zdawało się jej, że straciła czucie w rękach i nogach. Musi znaleźć w sobie siły, wstać, dojść do drzwi, potem do schodów, potem do mieszkania Margarity Josifowny, musi natychmiast zadzwonić i spytać... Boże, jakaż to

długa droga, jak trudno ją przebyć, nie starczy jej sił, upadnie na progu i już nigdy nie wstanie. Ach, do diabła z telefonem, niech podsłuchują, jeśli chcą. To nawet lepiej, poprawiła sama siebie, głupio byłoby dzwonić nie z własnego mieszkania. Ten człowiek dopiero co przekazał jej informację, i zupełnie naturalne, że ona ją sprawdzi. A gdyby się nie doczekali takiego kontrolnego telefonu, to na pewno by się domyślili, że Nastia często dzwoni od sąsiadki.

Szybko wybrała numer Czernyszewa. Potem tępy wzrokiem spojrzała na stojącego przy kuchence Loszę, który już po raz czwarty zadawał jej to samo pytanie:

– Przynieść ci piąty tom Londona?

– Co? Co mówisz?... Nie, dziękuję, nie trzeba.

– Nie jesteś ciekawa?

– Boję się.

– Dlaczego?

– Dlatego że na pewno chodzi o opowiadanie *Ulubieńczy Midasa*. I to znaczy, że każdy świadek, z którym będę mieć do czynienia, musi zginąć.

– Tak zaraz zginąć? – z niedowierzaniem zapytał Losza, siadając na kuchennym taborecie i ostrożnie wyjmując łyżeczkę z mocno zaciśniętych palców Nastii.

– Wkrótce się dowiem.

– A może się mylisz? Może w tym tomie są inne opowiadania, które też by pasowały?

Nastia smętnie pokręciła głową.

– Nie, dobrze pamiętam. W dzieciństwie przeczytałam ten tom z dziesięć razy, jeśli nie więcej.

– A jeżeli on miał na myśli inne wydanie? I tam w piątym tomie są zupełnie inne utwory?

– Loszeńka, kochanie, nie próbuj mnie uspokajać. Chodzi właśnie o to wydanie, bo właśnie to wydanie stoi w mojej bibliotece na najbardziej widocznym miejscu. A ten ktoś, kto otworzył drzwi mieszkania, był w środku i widział je. Kiedy zadzwoni Andriej, dowiemy się, które z nas miało rację.

W oczekiwaniu na telefon Czernyszewa oboje w milczeniu siedzieli w kuchni. Losza układał pasjansa, a Nastia metodycznie obierała ziemniaki. Była tak zatopiona w myślach, że nawet nie

zauważyła, że napełniła po brzegi obranymi ziemniakami największy, trzylitrowy garnek. Spostrzegłszy to, zmieszana odwróciła się do Loszy.

– Zobacz, co narobiłam. Co z tym teraz począć?

– Ugotować – z zimną krwią odparł doktor habilitowany Czistiakow, ciesząc się w skrytości ducha, że Nastia choć na chwilę oderwała się od ponurych myśli.

– Ale my tyle nie zjemy...

– Wcale nie będziemy próbować. Dziś zużyjemy trochę na kolację, a resztę będziemy później odsmażać, raz z jajecznicą, raz z tuszonką.

– Słusznie. – Nastia uśmiechnęła się bezradnie. – Nie wpadłam na to. Nigdy nie gotuję na zapas.

– W ogóle nigdy nie gotujesz, więc się nie tłumacz. Daj mały garnuszek.

– Po co?

– Żebyśmy nie czekali, aż cały ten kocioł się ugotuje. W małym garnku ugotujemy oddzielnie kartofle na kolację, a reszta niech stoi na ogniu. Dotarło?

– Jakie to proste... Co się ze mną dzieje, Loszyk? Mózg zupełnie odmawia mi posłuszeństwa. Nie chwytam najprostszyc rzeczy.

– Jesteś przemęczona, Nastiusza.

– Tak, jestem zmęczona. No dlaczego on nie dzwoni?

– Zadzwoni, nie szalej.

Kiedy Andriej zadzwonił, Nastia była prawie na skraju hysterii.

– No i co? – spytała, z trudem łapiąc powietrze.

– Nic. Osiem trupów, ale żaden nie jest nasz. Pięć podpaleń, ale bez związku z naszą sprawą.

– Andriusza, jestem przerażona. Co mam robić? Masz jakieś pomysły?

– Na razie nie, ale jutro coś wymyślę. Przyjadę po ciebie o siódmej.

– Dobrze.

Rozdział 11

Konstantin Michajłowicz Olszański był człowiekiem słabym. I zdawał sobie z tego sprawę. Dla wielu ludzi milczenie nie stanowi problemu, mogą być z czegoś niezadowoleni, mieć do kogoś pretensje, skrywać złość, mogą czegoś nie rozumieć i spokojnie z tym żyć całymi miesiącami, a nawet latami, nie próbując wyjaśnić sprawy i nazwać rzeczy po imieniu. Ale Konstantin Michajłowicz zupełnie sobie z czymś takim nie radził. Psychologowie nazwaliby to słabą odpornością na sytuacje konfliktowe.

Już dawno zauważył, że z Wołodią Łarcewem coś jest nie tak. Początkowo odsuwał od siebie nieprzyjemne myśli, usprawiedliwiając wyraźne usterki w pracy przyjaciela niedawno przeżyta tragedią i pocieszając samego siebie, że nikt prócz niego tych błędów nie dostrzega. Jednak po rozmowie z Kamieńską, kiedy ta głośno i bez skrupowania powiedziała, co o tym myśli, Olszański poczuł się paskudnie, mimo że Anastazja zaproponowała, by sprawę zatuszować. Konstantin Michajłowicz był jej za to wdzięczny. Ale z każdym dniem było mu trudniej milczeć i udawać, że nic się nie dzieje.

Ostatnią kroplą, która przepełniła czarę goryczy, był telefon od pułkownika Gordiejewa, który poprosił, by śledczy nie zwracał się do prokuratora z wnioskiem o przedłużenie terminu śledztwa wstępnego i żeby mimo obiecujących hipotez i wyraźnie zarysowanej sylwetki głównego podejrzanego wstrzymał dochodzenie w sprawie znalezienia zwłok Wiktorii Jeriominej. Olszański znał Gordiejewa od lat i domyślał się, że za prośbą Wiktora Aleksiejewicza kryją się ważne przesłanki, których nie można omawiać przez telefon. W innej sytuacji może zażądałby wyjaśnień i przekonujących argumentów... Ale nie teraz. Teraz się bał, że taka rozmowa mogłaby sięgnąć „głębiej” i dotrzeć do pierwszych dni pracy nad sprawą, innymi słowy – do niedbalstwa Wołodźki. Nie, na to Konstantin Michajłowicz nie był moralnie gotów: przecież pułkownik i jego podwładni dobrze wiedzą o jego

przyjaźni z Łarcewem. A więc trzeba będzie albo udawać, że niczego nie zauważył, a tym samym poświadczyć własny nieprofesjonalizm, albo jakoś usprawiedliwić swe pobłażanie dla nierzetelności majora Łarcewa. Dlatego też Olszański tylko westchnął i odpowiedział powściągliwie:

– Wierzę panu na słowo, nigdy dotąd mnie pan nie zawiódł. Złożę wniosek zaraz po nowym roku, trzeciego stycznia akurat miną dwa miesiące. Czy to panu odpowiada?

– Dziękuję, Konstantinie Michajłowiczu, zrobię wszystko, żeby pana nie zawieść.

Odłożywszy słuchawkę, śledczy z irytacją cisnął na biurko okulary i zakrył rękami oczy. Ciekawe, czy Kamieńska podzieliła się z szefem swymi spostrzeżeniami? Jeżeli nie, to dobrze. Ale jeżeli tak? Jeżeli tak, to znaczy, że Gordiejew, stary, chytry lis, zrobił z niego, jak to się mówi, balona. Pułkownik świetnie wie, że z uwagi na Łarcewa śledczy nie będzie się wystawiał na strzał i zadawał ryzykownych pytań, a więc w sprawie Jeriominej można go prosić o wszystko, nie obawiając się odmowy. Co ten Pączek knuje? Czy nie okaże się na przykład, że znając słaby charakter śledczego, zwrócił się doń z prośbą, niemającą nic wspólnego z interesami wymiaru sprawiedliwości? Bardzo się od siebie różnili – pułkownik Gordiejew i śledczy Olszański. Gordiejew niezachwianie wierzył w profesjonalizm i uczciwość śledczego. Konstantin Michajłowicz natomiast nie wierzył i nie ufał nikomu, zawsze pamiętając o tym, że nawet najporządniejszy człowiek i najlepszy specjalista – to mimo wszystko tylko człowiek, a nie myśląca maszyna, niepoddająca się emocjom i chorobom.

Po chwili wahania Olszański podniósł słuchawkę, odszukał Łarcewa i zaprosił go wraz z córką do siebie na, jak to określił, „przednoworoczne bliny”.

Mój Boże, przecież on całkiem osiwiiał od śmierci Nataszy, myślał Olszański, patrząc na Wołodię Łarcewa, wesoło gawędzącego z Niną i dziewczynkami. Nina Olszańska opiekowała się troskliwie Łarcewem od czasu, gdy owdowiał, starała się w miarę możliwości zabierać Nadiuszkę w czasie ferii i wakacji, jeżeli wyjeżdżała gdzieś z córkami, regularnie zapraszała oboje na kolacje i niedzielne

obiady, pomagała w trudniejszych zakupach. Czasami nawet mawiała żartem: „Mam teraz półtora męża i trzy córki”.

– Dlaczego półtora, a nie dwóch? – zapytał Konstantin Michajłowicz, słysząc to po raz pierwszy.

– Cóż, na całego męża Wołodia się nie nadaje: ja się o niego troszczę, a on o mnie nie – żartobliwie odparła żona.

Teraz, patrząc na niczego niepodejrzewających żonę i przyjaciela, Olszański z udreką zbierał siły, by zadać pierwsze pytanie, gdy tylko Nina wyjdzie z kuchni do pokoju. Wreszcie poszła odebrać telefon i Konstantin Michajłowicz z wysiłkiem wykrztusił:

– U ciebie wszystko w porządku, Łarcew?

Jeden Bóg wie, jak bardzo pragnął Olszański ujrzeć na twarzy przyjaciela zdumienie, usłyszeć jego charakterystyczny krótki śmiešek i żartobliwą odpowiedź. Widząc jednak, jak oczy Wołodi gwałtownie się zwięzają i lodowacieją, zrozumiał od razu, że jego pragnienie się nie spełniło.

– Cóż to za pytanie, Kostia? U mnie już od przeszło roku nic nie jest w porządku, i dobrze o tym wiesz.

– Nie to miałem na myśli.

– A co? Co takiego miałeś na myśli?

– Zaczęłeś gorzej pracować. Wybacz, Wołodźka, ja wszystko rozumiem, ale przecież tak nie można...

– Jak – tak?

Olszański w swej długiej praktyce śledczej przeprowadził tyle przesłuchań, że teraz nie musiał już ciągnąć tej rozmowy. I tak prawie wszystko było jasne. Łarcew nie usprawiedliwia się, nie próbuje niczego tłumaczyć, odpowiada pytaniem na pytanie, wyraźnie uchylając się od odpowiedzi i starając się wysondować, co konkretnie wie jego przyjaciel Kostia. Śledczy tylko westchnął. A więc nie chodzi tu o zwykłe niedbalstwo, ale o coś dużo poważniejszego. Widać ktoś ma na Wołodię niezłego haka.

– Posłuchaj, skoro nie chcesz mi nic powiedzieć, to twoja sprawa. Oczywiście, jest mi przykro, że coś przede mną ukrywasz, ale...

– Co – ale? – chłodno rzucił Łarcew.

– Lada moment napytasz sobie biedy.

– Dlaczego?

– Dlatego, że twoje łgarstwo jest szyte grubymi nićmi, które sterczą z każdego napisanego przez ciebie protokołu, z każdego dokumentu. Co ty, masz mnie za idiotę, myślałeś, że tego nie zauważę?

– A więc zauważyłeś. – Łarcew uśmiechnął się krótko, sięgając po papierosa.

– Wyobraź sobie, że tak. Chociaż długo udawałem, że nie zauważam. Ale tak dalej być nie może.

– Dlaczego? – zainteresował się Łarcew, biorąc z półki popielniczkę.

Cholera, pomyślał Konstantin Michajłowicz. To nie ja go pytam, ale on mnie. Jest spokojny jak kamienny posąg, a ja oblewam się potem ze zdenerwowania.

– Dlatego że teraz zauważył to ktoś jeszcze.

– Kto mianowicie?

– Kamieńska. Przesłuchała po tobie wszystkich świadków. Wiedziałaś o tym? Zmarnowałaś na to draństwo dziesięć dni, a ona drugich dziesięć, wykonując za ciebie twoją własną robotę. I prawie wszystko na próżno, bo po dwudziestu dniach zeznania świadków to już nie to samo co relacja na gorąco. Kto jak kto, ale ty świetnie o tym wiesz! Dwadzieścia dni z sześćdziesięciu przeznaczonych na śledztwo wstępne możemy sobie wsadzić gdzieś. Nic mi nie powiesz na ten temat?

W kuchni zapanowało ciężkie milczenie. Olszański stał odwrócony do okna i tylko słyszał, jak Wołodia gwałtownie zaciąga się papierosem. Wreszcie się obejrzał i zagapił w zdumieniu na szeroko uśmiechniętego Łarcewa.

– To cię bawi? – zapytał ponuro.

– Uhm. – Wołodia kiwnął głową. – Dziękuję ci, Kostia. Dziękuję, że mi powiedziałeś. Szkoda tylko, że nie od razu. Czemuś tak długo zwlekał?

– Zbierałem siły. Za co mi dziękujesz?

– Kiedyś się dowiesz. Ninula! – zawołał Łarcew. – Przestań już wisieć na telefonie, chodź, wypijemy zdrowie twojego Kosti. Świetny z niego facet!

„Świetny facet” Kostia czuł jednocześnie rozczarowanie i ulgę. Oczywiście, to dobrze, że Łarcew się nie obraził, nie zaczął się

wypierać, po chamsku odgryzać (choć Olszański wiedział, że co do chamstwa, to on sam nie ma sobie równych, toteż naruszenie przyjętych form nie było dlań niczym strasznym). Źle jednak, że nie mówiąc „nie”, Wołodia nie powiedział też ani „tak”, ani „może”. Postanowił wykpić się żartem i był przy tym naprawdę rozweselony. Co jak co, ale odróżnić sztuczny uśmiech od prawdziwego Olszański potrafił doskonale. Mimo to zadawał sobie pytanie, co się dzieje z Wołodią Łarcewem.

Jedenastoletnia Nadia Łarcewa była dziewczynką posłuszną i bardzo samodzielną. Po raz pierwszy została „panią domu”, kiedy mama przez kilka miesięcy leżała w szpitalu. Wówczas ośmioletnia Nadiusza, dotychczas trzymająca się maminej spódnicy, pierwszy raz usłyszała od ojca wykład o tym, jak dbać o własne bezpieczeństwo. Teraz, kiedy mama umarła, dziewczynka szybko przywykła do tego, że zostaje sama w domu i musi rozwiązywać swoje problemy bez niczyjej pomocy. W głębi duszy uważała się za zupełnie dorosłą i strasznie się złościła na ojca, który bez końca powtarzał jedno i to samo o obcych panach i paniach, z którymi nie wolno rozmawiać na ulicy, a tym bardziej przyjmować od nich prezentów ani iść z nimi, choćby obiecywali najbardziej kuszące rzeczy. To się przecież rozumie samo przez się, z oburzeniem myślała Nadia, kolejny raz słuchając ojca. Czy on myśli, że jestem głupia?

Całymi dniami pozostawiona sama sobie, Nadia nie bardzo się przykładała do lekcji, za to przeczytała mnóstwo „dorosłych” książek, zwłaszcza kryminałów, które Łarcew w swoim czasie kupował całymi stosami dla siedzącej w domu chorej żony. Z tych książek Nadia się dowiedziała, jakie niebezpieczeństwa czyhają na zbyt łatwowierne dzieci, ciągle miała się na baczności i bez końca przepowiadała sobie zasady, które wpała jej ojciec: nie wchodzić samej do bramy, koniecznie poczekać na kogoś z sąsiadów, którego zna się choćby z widzenia; trzymać się dalej od jezdni; nie chodzić pustymi ulicami; nie reagować na próby nawiązania rozmowy; jeżeli na ulicy coś się przydarzy, na przykład przyczepi się jakiś nieznajomy, w żadnym wypadku nie iść do domu, ale wejść do najbliższego sklepu spożywczego, czekać, aż zjawi się któryś

z sąsiadów, i wracać razem z nim, i tak dalej, i tak dalej. Zasad tych było wiele i prawie wszystkie wydawały się Nadi całkiem rozsądne, w każdym razie po ojcowskich wyjaśnieniach – oprócz niektórych. Na przykład nie mogła zrozumieć, czemu nie wolno przyjmować prezentów od obcych. Łarcew stawał na głowie, by wytłumaczyć córce, że, z jednej strony, przyjmując prezent, będzie się czuła obowiązana i już nie uda jej się stanowczo powiedzieć „nie”, jeśli ofiarodawca o coś ją poprosi, a z drugiej strony, źli ludzie mogą coś ukryć w takim prezencie, na przykład pieniądze czy pierścionek z brylantem, a wtedy tata będzie miał grube nieprzyjemności. Wszystko na próżno.

– Nie rozumiem – szczerze odpowiadała córka. – Zrobię tak, jak każesz, ale nie rozumiem tego.

Dzisiaj, w przedostatni dzień starego roku, Nadia wracała do domu od koleżanki z klasy, z którą była na spacerze i w kinie, a potem poszła do niej na herbatę z pysznymi pasztecikami, upieczonymi przez babcię przyjaciółki. W grudniu wczesnie zapada zmrok i kiedy dziewczynka trochę po piątej wyszła na ulicę, było już całkiem ciemno. Pod domem koleżanki stało ciemnozielone auto. Co prawda, po ciemku trudno było określić, jakiego jest koloru, ale Nadia zauważyła je jeszcze w dzień, za widna, kiedy wracały z Ritką z kina.

Wtedy samochód parkował między kinem a sklepem obuwniczym i Nadia zwróciła na niego uwagę, dlatego że za tylną szybą stała cudowna, wielka, jasnowłosa Barbie, marzenie wszystkich jej koleżanek. Nadia i Rita zatrzymały się. Do domu Łarcewów należało iść prosto, a do Rity trzeba było skrócić w prawo.

– Chyba już pójdę do domu – niezdecydowanie odezwała się Nadia, z dreszczem kuląc się w fioletowej puchowej kurtce i poprawiając szalik. Tak naprawdę wcale nie miała ochoty wracać do pustego mieszkania, ale czekała grzecznie, aż przyjaciółka zaprosi ją do siebie.

– Dajże spokój – beztrąsko odrzekła Rita, wysoka, niezgrabna dziewczynka, jadąca na samych trójkach i nieuznająca słowa „trzeba”. – Chodźmy do mnie. Babcia dzisiaj piecze paszteciki. Chodź, chodź, przynajmniej zjesz coś jak człowiek.

– Obiecałam tacie, że prosto z kina pójde do domu. Będzie zły – słabo oponowała Nadia. Smaczne, naprawdę smaczne domowe jedzenie było teraz w jej rodzinie rzadkością: ojciec nie umiał gotować, ona zresztą też. Kiedy jeszcze żyła mama... A ciasta babci Rity były sławne na całą klasę. Prawdziwe arcydzieła.

– Dajże spokój! – powtórzyła Rita swoje ulubione powiedzonko. – Zadzwońisz do niego i powiesz, że jesteś u mnie. Babcia w razie czego potwierdzi. Godzina jeszcze młoda – dopiero trzecia. No, chodźmy, chodźmy. – I wysoka nad wiek Rita opiekuńczo objęła przyjaciółkę.

Dziewczynki skrzyły za róg i w tym momencie Nadia kątem oka dostrzegła jasnowłosą Barbie. Samochód minął je powoli, też skręcając w prawo, i zatrzymał się, nie dojeżdżając do skrzyżowania, za którym stała najpierw czteropiętrowa kamienica, a za nią – piętnastopiętrowy blok, w którym mieszkała Rita. Serce Nadi ścisnęło się na sekundę złym przeczuciem, ale koniec końców nie jest przecież sama, idzie z koleżanką do niej do domu, gdzie czeka na nie babcia. A kiedy Nadia będzie wracała, samochód już dawno odjedzie. Tego dziewczynka była nie wiadomo czemu absolutnie pewna...

Samochód jednak nie odjechał. W środku paliło się światło i wyzywająco stojącą lalkę Barbie w szkarłatnej wieczorowej sukni z cekinami było świetnie widać. Nadia poczuła lęk, ale szybko wzięła się w garść. Skąd jej przyszło do głowy, że samochód czeka właśnie na nią? Po prostu stoi – i niech sobie stoi.

Dziewczynka energicznie ruszyła w stronę skrzyżowania i dalej, do sklepu z obuwem. Skręciwszy przy sklepie w prawo, w kierunku domu, trochę się uspokoiła. Tu było widniej, paliły się latarnie, przechodzili ludzie. Wkrótce jednak spostrzegła, że samochód przejeżdża obok i mignawszy czerwonymi światłami, zatrzymuje się w pobliżu jej bramy. Nadia wpadła w panikę. Zwolniła kroku i zaczęła sobie przepowiadać, co się robi w takich wypadkach. No jasne, trzeba szukać człowieka z psem. Tata tłumaczył jej, że człowiek spacerujący z psem zapewne mieszka gdzieś w pobliżu, a więc mało prawdopodobne, by był w zмовie z jej prześladowcą. Ludzie, którzy zaczepiają małe dziewczynki, zazwyczaj starają się

robić to z dala od swego miejsca zamieszkania. Najlepiej zaś, jakby to była kobieta z psem. A jeszcze lepiej, żeby pies był duży.

Nadia rozejrzała się na wszystkie strony. Dokoła same domy, żadnych skwerów, gdzie można spotkać psiarzy. Wiedziała jednak, że koło domu znajdzie ich na pewno. Zawsze jest ich tam sporo, bo obok znajduje się duże, pełne zieleni podwórko. Źle tylko, że musi przejść obok tego auta. Ale może będzie miała szczęście i spotka kogoś odpowiedniego, jeszcze zanim się zrówna z samochodem.

Tak, ma szczęście. Na jakieś piętnaście metrów przed samochodem zobaczyła sympatyczną kobietę w dżinsach, kurtce i sportowej czapeczce, a obok niej na smyczy – ogromnego, groźnie wyglądającego dobermana. Nadia głęboko zaczerpnęła tchu i wygłosiła z góry przygotowany tekst:

– Przepraszam bardzo, czy nie mogłaby pani odprowadzić mnie do bramy? Mieszkam o, w tym domu, ale boję się sama wchodzić do bramy, bo tam jest ciemno, światło się nie pali, a chłopcy chuliganią i wszystkich straszą.

Nie odważyła się jakoś powiedzieć kobiecie o zielonym samochodzie z lalką, bała się ośmieszyć. Ciemna brama to co innego – każdy to zrozumie. A samochód... Może to wszystko strachy na lachy?

– Oczywiście, maleńka, chodź, odprowadzimy cię. Prawda? – zwróciła się kobieta do dobermana.

Nadia poczuła się z lekka dotknięta zwrotem „maleńka”, ale i tak była strasznie wdzięczna obcej kobiecie za zrozumienie. Przechodząc obok samochodu, ze wszystkich sił starała się nie zerknąć na lalkę – w środku znowu paliło się światło. Barbie była taka piękna, że nawet dorosła kobieta zwróciła na nią uwagę.

– Spójrz, co za cudo! – wykrzyknęła z zachwytem, zwalniając kroku obok auta.

Ale Nadia odwróciła oczy i z opuszczoną głową przemknęła obok.

Szły wolno, bo pies co chwila przystawał i obwąchiwał wszystkie napotkane drzewa, krzaki oraz mury. Wreszcie dotarły do bramy. Kobieta wysunęła się naprzód i przytrzymując drzwi dla Nadi, powiedziała z wyrzutem:

– Czemu mnie okłamałaś? Tu jest jasno, palą się wszystkie żarówki. Jak ci nie wstyd?

Nadia z wysiłkiem obmyślała usprawiedliwienie i już otworzyła usta, by wymamrotać coś o tym, że niby przez cały miesiąc się nie paliło, że pewnie dopiero dziś naprawiono światło... Za jej plecami cicho stuknęły drzwi. Chciała się obejrzeć, żeby zobaczyć, kto idzie, ale jakoś nic z tego nie wyszło. Poczowała, że nogi ma jak z waty, i ogarnęła ją ciemność.

Arsen był zadowolony. Chłopak sprawił się całkiem nieźle, nie poszła na marne nauka i tresura od małego, nie poszły na marne pieniądze na korepetycje, a później trenerów. Wynajmowano ich bynajmniej nie dlatego, że chłopakowi źle szło w szkole – przeciwnie, zawsze był prymusem. Ale któż to jest „prymus” przy takim nędznym systemie nauczania? Nie ten, kto rzeczywiście umie wszystko na „celująco”, tylko ten, kto umie lepiej niż inni w tej samej klasie czy na tym samym roku studiów. Arsen zaś chciał, by chłopak otrzymał wiedzę prawdziwą, a nie „porównywalną”, aby był przygotowany doskonale.

Arsen, który całe życie przepracował w instytucji bezpośrednio powiązanej z wywiadem, dobrze wiedział, że agent zwerbowany to zupełnie co innego niż agent własny. Zdrajcom nigdy się zbyt nie ufa. Oczywiście, w większości wypadków musiał stosować obietnice i groźby, wykorzystując trudności materialne, chciwość, strach, słabostki i nałogi. Byli też jednak inni ludzie, przy których pomocy Arsen rozwiązywał zadania, postawione jego firmie przez różne przestępcze ugrupowania. Trafiali się także, naturalnie, klienci indywidualni, jak na przykład Gradow, ale to zdarzało się rzadko: usługi Arsena były niezwykle kosztowne, takie sumy mogły płacić tylko organizacje o wysokich dochodach. Zresztą i Gradow właściwie nie był sam. Cała zadyma zaczęła się dopiero wtedy, kiedy zagrożone zostały źródła finansowania jego partii.

Tak, Arsen miał też innych ludzi, na razie niewielu. System i taktyka wprowadzenia ich do służb Ministerstwa Spraw Wewnętrznych nie były jeszcze ostatecznie wyszlifowane, ale pojawiły się już pierwsze rezultaty.

Owych „innych” ludzi werbowano jeszcze jako smarkaczy, przed wojskiem, żeby lata służby wojskowej nie szły na marne, żeby „kandydat” uczył się wszystkiego, czego się tylko da – w pracy

milicyjnej wyszkolenie wojskowe zawsze się przyda. Werbowano z reguły tych, którzy idąc do wojska, pozostawiali starych niezamożnych rodziców, ciężarne dziewczyny czy młode żony z dzieckiem przy piersi. Idącym na dwa lata do wojska chłopcom obiecywano opiekę nad rodziną, pomoc materialną. Za to kandydat musiał rzetelnie służyć, pilnie wkuwać wojskową wiedzę, zdobywać odznaczenia i dyplomy, rozwijać muskulaturę, a po wojsku wstąpić do Wyższej Szkoły Milicji i od tej chwili we wszystkim słuchać Arsena i jego ludzi. W tej kwestii Arsen był zdecydowanym zwolennikiem dobrowolności, słusznie uważając, że niezawodni mogą być tylko zdeklarowani zwolennicy i sojusznicy. Dlatego też, kiedy po odsłużeniu wojska do jego „werbowników” zgłaszali się nie wszyscy spośród tych, których rodziny żyły w dostatku przez dwa lata za pieniądze firmy, kategorycznie zabraniał ich szukać i domagać się wyjaśnień. Nie przyszedł – czyli że się rozmyślił. Skoro się rozmyślił, to znaczy, że ma wątpliwości. A taki ktoś może „wymięknąć”, „zakablować”, „wsypać”. A wydane przez dwa lata pieniądze – cóż, trudno, nie były to, wedle standardów Arsena, takie znów duże sumy, zresztą pieniądze szczęścia nie dają, a bez kosztów nie ma produkcji. Za to ci, którzy natychmiast po powrocie do cywila zgłaszali się u „werbownika”, byli pewni jak skała. Wstępowali do Szkoły Milicji, niektórzy zdążyli ją już ukończyć i teraz pracowali w moskiewskich organach spraw wewnętrznych. Wykształceni, świetnie przygotowani specjaliści, ze wspaniałymi opiniami z wojska i uczelni, z gruntowną wiedzą i stalowymi mięśniami, doskonale radzili sobie zarówno ze swą działalnością służbową, jak i z pracą dla firmy.

Ale i wśród nich byli wybrańcy. Ci, których zwerbowano nie przed pójściem do wojska, ale o wiele wcześniej. Ci, których zauważono i zaczęto piastować, kiedy byli jeszcze w szkole i dopiero zaczynali próbować alkoholu po bramach. Tych łowiono na romantyczność. Na romantyczność walki z niesprawiedliwym ustrojem, z okrutnym i źle zorganizowanym systemem, na romantyczną dumę z własnej wyższości i możliwości manipulowania cudzymi losami, kierowania zza kulis ludźmi, ich myślami i uczynkami. Wybierano ich tylko spośród sierot mieszkających w domach dziecka i adoptowano, płacąc w razie potrzeby olbrzymie

łapówki. Przygotowywano wybrańców starannie, czekała ich bowiem wspaniała kariera.

Jednym z takich wybrańców był Oleg Mieszczerinow, obecnie odbywający staż na Pietrowce 38 w wydziale pułkownika Gordiejewa. I to właśnie on zaproponował prosty i niezawodny plan uprowadzenia Nadi Łarcewej. Wielokrotnie słyszał, jak ojciec rozmawia z córką przez telefon, i dobrze poznał zarówno charakter dziewczynki, jak i przestrogi, którymi faszerował ją Wołodia. Podstawowy warunek całej operacji – to nie zwracać na siebie uwagi, żeby nikomu do głowy nawet nie przyszło, że na jego oczach ktoś porzywa dziecko. Należało przestraszyć Nadię i pchnąć ją w ramiona osoby, od której mała będzie oczekiwać pomocy. A znalezienie takiej osoby i „podstawienie” jej we właściwym czasie i we właściwym miejscu – to już kwestia techniki i reżyserii. Lalę Barbie też wymyślił Oleg. Dziewczynka może nie zapamiętać twarzy człowieka, który ją będzie śledził, a co za tym idzie, po prostu go nie zauważy i nie przestraszy się. Na samochodach chyba raczej się nie zna i nie zwróci uwagi na to, że przez cały dzień jeździ za nią jedno i to samo auto, choćby to był samochód najrzadszej i najdroższej zachodniej marki. Ale Barbie zauważy na pewno. I jeżeli jest inteligentna, to się złęknie. A jeśli jest głupia i lekceważy przestrogi ojca, to będzie się gapić na lalkę i łatwo da się podejść. Tak, Barbie to świetny pomysł na każdą ewentualność. Arsen był zadowolony. Miał wielką ochotę posłuchać, jak teraz zaśpiewa ta zimnokrwista, nieprzenikniona Kamieńska.

Na dźwięk dzwonka u drzwi Nastia drgnęła. Zerknęła na Loszę, który oglądał telewizję.

– Otworzysz?

– A powinienem? – odpowiedział pytaniem na pytanie, nie ruszając się z miejsca.

Nastia wzruszyła ramionami. Dzwonek odezwał się powtórnie.

– Chyba trzeba otworzyć. Kto wie, co się stało...

Losza wyszedł do przedpokoju, przymykając za sobą drzwi.

Szczęknął zamek i Nastia usłyszała znajomy głos Wołodi Łarcewa:

– Jest Asia?

Odetchnęła z ulgą. Dzięki Bogu, to nie oni! Łarcew był zmieniony nie do poznania. Jego smągła twarz poszarzała, wargi przybrały siny odcień jak u ludzi z niewydolnością serca, w oczach tliło się szaleństwo. Wszedł do pokoju, nie rozbierając się, zamknął Czistiakowowi drzwi przed nosem i zbliżył się do Nasti, z trudem łapiąc oddech. Leciał biegiem czy co?, pomyślała Nastia.

– Zabrali Nadię – wydyszał Łarcew.

– Jak to „zabrali”? – Głos odmówił Nasti posłuszeństwa.

– No, zabrali. Przyszedłem do domu – nie ma jej, i zaraz telefon: pańska córka jest w naszych rękach, cała i zdrowa, ale tylko na razie.

– I czego oni chcą?

– Przerwij dochodzenie, Anastazjo. Błagam cię, przerwij, nie dotykaj więcej sprawy Jeriominej. Oddadzą mi Nadię tylko wtedy, kiedy ty przerwiesz dochodzenie.

– Zaraz, zaczekaj. – Nastia siadła na kanapie i ścisnęła skronie rękami. – Powtórz wszystko od początku, bo nic nie rozumiem.

– Nie udawaj, doskonale wszystko rozumiesz. Sama jesteś na tyle twarda i opanowana, że się nie dałaś zastraszyć i udaje ci się unikać kontaktu z nimi. Więc postanowili działać przeze mnie. Przysięgam ci, Anastazjo, przysięgam na wszystkie świętości: jeśli Nadi stanie się jakaś krzywda, zastrzelę cię. Będę ci deptać po piętach dopóty, dopóki...

– Tak, tę część zrozumiałam – przerwała mu Nastia. – Więc co mam zrobić, żeby oddali ci córkę?

– Masz powiedzieć Kosti Olszańskiemu, że w sprawie Jeriominej niczego już nie można zrobić. Kostia ci uwierzy i zawiesi śledztwo.

– I tak je zawiesi zaraz po Nowym Roku. Wcześniej nie można, to niezgodne z prawem. Czego ty ode mnie chcesz?

– Chcę, żebyś przestała pracować nad zabójstwem Jeriominej, i chcę, żeby zawieszono śledztwo w tej sprawie. Naprawdę, a nie dla picu – powoli powiedział Łarcew, nie odrywając od Nasti nieruchomych oczu.

– Nie rozumiem cię...

– A co, może nie wiem, jaki jest Pączek?! – wybuchnął Łarcew. – Taka sprawa! Różne brudy sterczały z niej na wszystkie strony! Straciłem dziesięć dni, żeby to „wygładzić”, te brudy jakoś

pochować, a i tak nie udało mi się do końca, skoro ty potem to dostrzegłaś. Pączek takich spraw nie zostawia, będzie to rozgrywać do samej śmierci. I nie zamydlisz mi oczu żadnymi sztuczkami i lipnym zawieszeniem śledztwa.

– Skąd wiesz, że zawieszenie będzie lipne?

– Wiem. Jeżeli się połapałaś, jak pracowałem w pierwszych dniach śledztwa, to musiałaś zrozumieć, dlaczego to robiłem. A skoro tak – to nie popuścisz. I Pączek też. Za dobrze was znam.

– A co mówi Kostia?

– Że mnie rozgryłaś i lada chwila wybuchnie skandal. Asiu, co ma tu do rzeczy Olszański? Decyzja o zawieszeniu śledztwa to papierek dla śledczego, a nie dla nas, oficerów operacyjnych. Śledczy wkłada akta do sejfu i zapomina o nich do momentu, aż my w zębach przyniesiemy mu informację, pozwalającą wznowić śledztwo. To on przestaje pracować, nie my. Dlatego chcę, żebyś sobie odpuściła. Teraz jest wpół do dwunastej. Oni zadzwonią do mnie o drugiej w nocy i będę musiał im dać gwarancję, że zostawisz trupa Jeriominej w spokoju. Asia, błagam cię, Nadia musi jak najszybciej wrócić do domu. Nawet jeśli nie zrobią jej nic złego, to jest przestraszona, może mieć załamanie nerwowe. I tak było jej ciężko, kiedy Natasza... – Łarcew zająknął się, chwilę milczał. – I w ogóle, zapamiętaj sobie, Anastazjo, że jeśli Nadi coś się stanie, to będzie tylko twoja wina. I nie wybaczę ci tego. Nigdy.

– A ty, Wołodia? Ty sam niczemu nie jesteś winien? Ty nie masz sobie nic do zarzucenia?

– Co miałbym sobie zarzucać? To, że zapewniam bezpieczeństwo swojej córce? Przyczepili się do mnie prawie zaraz po śmierci Nataszy. Rozmawiałem z teściem, kategorycznie odmówił przeprowadzenia się do Moskwy. Mają w Samarze dzieci i wnuki, a zresztą gdzie byśmy mieszkali wszyscy razem? Forsy na kupno dużego mieszkania nie mam, zamiana ich mieszkania na Moskwę nie wchodzi w rachubę, mają dwa pokoje w olbrzymiej komunałce. Mój ojciec jest stary, chory i niedołączny, już po siedemdziesiątce, sam potrzebuje opieki i zostawiać z nim Nadi nie mogę. Wierz mi, przeanalizowałem całe mnóstwo pomysłów. Chciałem nawet wynająć opiekunkę, coś w rodzaju niańki, żeby doglądała Nadi,

okazało się to jednak nie na moją kieszeń. Chciałem zmienić pracę, ale i z tego nic nie wyszło.

– Dlaczego?

– A dlatego, że tam, gdzie potrzebne są moje umiejętności, tuż obok kręci się mafia, i znów musiałbym wybierać: albo zostanę przestępcą, albo dniem i nocą będę drżał o córkę. Musiałbym wziąć robotę niewymagającą kwalifikacji i niżej płatną, a na to nie mogę sobie pozwolić. Wiesz, ile kosztują ubrania dla dziecka? A szkoła, do której chodzi Nadia? Zresztą skąd miałabyś wiedzieć, ty jesteś ponad to, ty się nie musisz troszczyć o dzieci.

– Wołodia, czemu zaraz tak...

– Przepraszam, Asiu, wyrwało mi się. Musisz mnie zrozumieć, nie miałem wyjścia.

– Mogłeś od razu powiedzieć o tym Pączkowi. Na pewno by coś wymyślił. Dlaczego mu się nie zwierzyłeś?

– Nic nie rozumiesz, Asiu. Nie jestem jedyny. Takich jak ja jest wielu, bardzo wielu. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak szeroko zarzucili swoją sieć. Ich człowiekiem może się okazać każdy, nawet każdy z nas.

– I Pączek też?

– I Pączek też.

– Nie wierzę. To niemożliwe.

– Wcale tak nie twierdzę. Chcę tylko, żebyś zrozumiała: oni mogą znaleźć sposób praktycznie na każdego, bo są świetnie poinformowani i wiedzą o nas wszystkich więcej niż rodzona matka. Pączek może sobie być uczciwy, ale usiłując mi pomóc, prędzej czy później natknie się na ich człowieka, nastąpi przeciek informacji i przyłożą mi nóż do gardła. Gdybym miał pewność, że w wydziale kryminalnym ja jeden jestem takim wyrzutkiem, bez chwili wahania poleciałbym po pomoc do Gordiejewa. Albo na przykład do ciebie. Ale sęk w tym, że jest nas wielu i nie wiemy o sobie nawzajem.

– Więc wygląda na to, że oni nami manipulują i jesteśmy wobec nich całkowicie bezradni?

– Wygląda na to, że tak.

– Wiesz o nich coś konkretnego? I usiądź wreszcie, nie podpieraj drzwi, to nie jest rozmowa na pięć minut. I zdejmij kurtkę.

Łarcew powoli, jakby niechętnie odszedł od drzwi, zdjął kurtkę i niedbale rzucił ją na podłogę. Nastia zorientowała się, że Wołodia ledwie się trzyma na nogach i dlatego porusza się tak wolno i niepewnie. Spojrzał na zegarek.

– Muszę zdążyć na metro, zanim je zamkną. O drugiej będą dzwonić.

– Nie szkodzi. – Nastia uśmiechnęła się. – Zadzwoń tutaj. Świetnie wiesz, do kogo się wybrałeś, czyż nie? A poza tym o wiele przyjemniej będzie im porozmawiać wreszcie ze mną, żeby się upewnić, że ich nie oszukałeś i że naprawdę udało ci się mnie zastraszyć. No więc co o nich wiesz? – powtórzyła swoje pytanie, kiedy Wołodia usiadł w fotelu naprzeciw niej.

– Niewiele. Zwracali się do mnie zaledwie dwa razy, w różnych sprawach. Po raz pierwszy przeszło rok temu. Pamiętasz zabójstwo Oзера Jusupowa?

Nastia potaknęła.

– Ale sprawców wykryto. Mam rację?

– Wykryto – potwierdził Łarcew. – Ale był tam pewien znamieny moment... Krótko mówiąc, trzeba było usunąć z akt zeznania jednego z naocznych świadków. Nie miało to wpływu na dowody winy sprawcy ani na obiektywną ocenę zbrodni. Tak czy owak, pozostawała morderstwem dokonany ze szczególnym okrucieństwem, co można było stwierdzić równie dobrze bez tych zeznań. Ale całkowicie zmieniło to motyw zabójstwa. Pamiętasz chyba, że w sądzie przedstawiono je jako czyn z pobudek chuligańskich. A ten świadek słyszał, jak morderca rozmawiał z Jusupowem i z tej rozmowy jasno wynikało, że Jusupow miał powiązania z jednym z banków piorących pieniądze, uzyskane z nielegalnego wywozu z Izewska broni i surowców strategicznych. Jusupow dopuścił się nadużycia, przywłaszczył sobie dużą sumę i dyrektorzy banku ukarali go dla przykładu. No i te właśnie zeznania należało usunąć, jakby ich nigdy nie było.

– Jakżeś ty to zrobił? Ukradłeś protokół z akt sprawy?

– Nie, czemu zaraz tak prymitywnie? Protokół z akt ukraść łatwo, do tego nie trzeba rozumu, ale co zrobić z pamięcią tego, kto prowadził przesłuchanie? W aktach pojawił się nowy protokół, w którym ów naoczny świadek przyznaje, że w czasie pierwszego

przesłuchania był pod wpływem narkotyków, a w czasie zabójstwa niczego dokładnie nie widział i nie słyszał, jako że tuż przedtem dał sobie w żyłę i czekał na haj. To wszystko.

– Świetna robota! – z podziwem powiedziała Nastia. – I ile ci za to zapłacili?

– Nic. Mają mnie w ręku z powodu Nadi, a nie pieniędzy. Strach, Asiu, jest bodźcem o wiele silniejszym niż chciwość. Nie mogę się nadziwić, jak się do tej pory uchowałaś, nie dając się zastraszyć.

– A kto ci powiedział, że się nie boję? Nawet zamek w drzwiach zmieniałam, nie mówiąc już o tym, że ściągnęłam tu Czistiakowa.

– Podobno nawet telefonów nie odbierasz?

– Staram się.

– Nic z tego, Asiu, sama widzisz. Powiedzmy, że się nie boisz o ojczyzna – on sam się potrafi obronić. Twoja matka jest daleko. Niełatwo się do ciebie dostać. Ale nie zostawisz przecież na pastwę losu jedenastoletniej dziewczynki, prawda?

– Prawda. Więc co robimy, Łarcew? Mamy dwie godziny, żeby wymyślić, jak uwolnić twoją córkę. Opowiedz mi, jak to się stało.

– Wczoraj byliśmy oboje z wizytą u Olszańskich. Kostia długo kręcił, aż wreszcie powiedział, że mnie podejrzewasz i zrobiłaś na nowo całą robotę w sprawie Jeriominej. Ucieszyłem się oczywiście. Skoro ktoś wykrył moje matactwa, to nie będą mnie już mogli wykorzystać i odcepiać się. Tego samego wieczoru o wszystkim im opowiedziałem. A dzisiaj uprowadzili Nadię i powiedzieli, że muszę zrobić wszystko, żeby jakoś na ciebie wpłynąć. Skoro od dawna mnie podejrzewasz, mogę działać otwarcie, bo skrytej presji jakoś się nie poddajesz.

– Jakie przedstawili żądania?

– Ty, Czernyszew i Morozow macie się nawet nie zbliżać do wydawnictwa „Kosmos”. Kiedy tylko się przekonają, że ich nie oszukujesz, odprowadzą Nadię do domu.

– A jeśli obiecuję i nie dotrzymam słowa?

– Zaczekaj, to jeszcze nie wszystko. Jutro rano wzywasz do domu lekarza i bierzesz zwolnienie. Przez kilka dni siedzisz w domu, żadnych osobistych kontaktów ani z Gordiejewem, ani z Czernyszewem, ani z Morozowem. Rozmawiać możesz tylko przez telefon.

– Z tego wynika, że mój telefon jest na podsłuchu?

– Tak. Dalej. Jutro rano dzwonisz do Gordiejewa i mówisz, że twoja hipoteza wzięła w łeb, że nic więcej nie potrafisz wymyślić i sprawę można odłożyć ad acta, naprawdę, a nie pozornie. Dzwonisz stąd, żeby mogli to słyszeć. Potem telefonujesz do Olszańskiego i mówisz to samo. Potem do Czernyszewa i Morozowa. Jak tylko ktoś się zjawi w „Kosmosie”, oni się natychmiast dowiedzą i odbije się to na Nadi. Mają ją w rękach, i przy najdrobniejszym alarmie... I nie próbuj wyjść z mieszkania. Od razu się o tym dowiedzą. Wszystko jasne?

– Nie, nie wszystko. Po pierwsze, nie rozumiem, jak zdołałeś wczoraj wieczorem powiedzieć im o rozmowie z Olszańskim. Masz specjalny telefon? Czy oni do ciebie codziennie dzwonią?

– Nie mam żadnego telefonu. Mamy umówiony znak, którym zawiadamiam, że proszę o kontakt.

– Jaki znak?

– Asiu, nie rób ze mnie idioty. Chcę tylko jednego: żeby moja córka była bezpieczna. W tym celu muszę dopilnować spełnienia ich żądań. Muszę cię powstrzymać. Jeżeli ci powiem, jak nawiązać z nimi kontakt, znowu wytniesz jakiś numer. Muszę myśleć przede wszystkim o Nadi, nie o walce z przestępczością. A ty usiłujesz mnie przechytrzyć.

– Więc nie powiesz?

– Nie.

– Dobra. Jeszcze jedno pytanie: dlaczego domagają się gwarancji tylko ode mnie? Nie boją się, że Czernyszew i Morozow sami będą kontynuować śledztwo?

– Nie, nie boją się. Ty jesteś tu najważniejsza, jeżeli ty powiesz, że sprawa zamknięta, znaczy, że tak jest naprawdę. Tamci mają innych spraw po dziurki w nosie.

– A jeżeli powiem co innego?

– Nie zapominaj, że twój telefon jest na podsłuchu. Jedno niewłaściwe słowo – i Nadia...

– Dobrze, dobrze, rozumiem – z rozdrażnieniem przerwała Nastia.

– Nie myślałeś o tym, żeby ją ukryć? Gdzieś wysłać, czy jak. Albo zorganizować jej ochronę, przez Pączka na przykład.

– Boże, jak można nie rozumieć tak oczywistych rzeczy! – wykrzyknął z rozpaczą Łarcew. – Nadia jest zakładniczką. Od razu mnie uprzedzili, że jeśli spróbuję coś zrobić, po prostu mnie załatwią, a moja córka zostanie sierotą i trafi do domu dziecka. Może jestem głupcem i draniem, może jestem mięczakiem i szmatą, ale chcę, żeby moja córka rosła zdrowo i w miarę możliwości szczęśliwie. Czy uważasz, że to zbrodnia? Czyż ja nie mam prawa tego chcieć i do tego dążyć? Czy to jest nienormalne i godne potępienia?

– Uspokój się, na miłość boską – ze znużeniem westchnęła Nastia.
– Powiem im wszystko, co trzeba.

– I zrobisz wszystko, co trzeba?

– I zrobię. Ale musisz zdawać sobie sprawę, że Pączek o tobie wie. Może nie docenić zagrożenia. A wtedy mi nie uwierzy i postąpi po swojemu.

– Skąd wie? Ty mu powiedziałaś?

– Nie, wie od dawna. Dlatego właśnie odsunął cię od sprawy Jeriominej. Zaczekaj, nie przerywaj. Chciałam cię jeszcze o coś zapytać... – Nastia zmrużyła oczy i ścisnęła palcami skronie. – Przypomniałam sobie. Powiedziałeś, że jestem w tej sprawie najważniejsza i dlatego Czernyszew i Morozow bez szemrania mnie usłuchają. Tak?

– Tak.

– To twoje osobiste zdanie czy ktoś ci o tym powiedział?

– I jedno, i drugie. Znam cię od lat, znam Morozowa, a z Andriejem wiele razy pracowałem. Mogę dokładnie powiedzieć, jak rozdzieliliście swoje role.

– A kto ci powiedział?

– Oni, któż by inny.

– Widzę, że dobrze cię przygotowali do rozmowy ze mną, nawet z góry podsunęli ci argumenty. Ale skąd wiedzieli, że kieruję grupą? Od ciebie, Łarcew?

– Nie, słowo honoru, nie ode mnie. Sam się zdziwiłem, skąd wiedzą.

– No dobrze. – Nastia z wysiłkiem wstała z kanapy. – Pójdę zaparzyć kawy, bo mam w głowie kompletną pustkę.

Łarcew zerwał się z fotela i ruszył do drzwi.

– Idę z tobą.
– Po co? Nie wtajemniczam Czistiakowa w swoje sprawy, nie obawiaj się.
– Idę z tobą – z uporem powtórzył Łarcew – albo zostaniesz tutaj.
– Oszalałeś? – oburzyła się Nastia. – Nie ufasz mi?
– Nie ufam – twardo powiedział Łarcew, ale nie śmiał spojrzeć jej w twarz.

– Ciekawostka. Przyleciałeś do mnie w środku nocy prosić o pomoc, a teraz się okazuje, że mi nie ufasz.

– Ciągle jeszcze nie rozumiesz. – Łarcew mówił z coraz większym trudem. Zdawało się, że każde słowo sprawia mu nieznośny ból. – Nie przyszedłem do ciebie po pomoc. Przyszedłem cię zmusić, żebyś zrobiła wszystko, czego oni żądają, by zwrócili mi córkę. Rozumiesz? Zmusić, a nie prosić. Jak w ogóle możesz mówić o zaufaniu, skoro ty myślisz tylko o zadaniach, które tak lubisz rozwiązywać, a ja o bezbronny, przestraszonym dziecku, mojej jedynej córce, której matka nie żyje. Nie jesteśmy sprzymierzeńcami, Anastazjo, jesteśmy przeciwnikami, chociaż Bóg mi świadkiem, że to dla mnie bolesne. Jeżeli ośmielisz się powiedzieć choć jedno słowo, które mogłoby zaszkodzić Nadi, znajdę sposób, żeby cię powstrzymać. Na zawsze.

To mówiąc, Łarcew wyciągnął pistolet i zademonstrował Nasti pełen magazynek. Nastia zrozumiała, że Wołodia jest na skraju załamania, skoro grozi bronią jej, swojej koleżance, i w dodatku kobiecie. Nie wolno go denerwować, pomyślała. Ja, idiotka, rozmawiam z nim jak z kolegą, jak z człowiekiem logicznie myślącym, a on jest po prostu szalonym z rozpacz i bólu ojcem.

– Co ty wygadujesz, Wołodia, zastanów się – powiedziała łagodnie. – Jeżeli mnie zabijesz, pójdziesz siedzieć, a wtedy Nadia na pewno trafi do domu dziecka. Jak będzie dorastać nie tylko bez matki, ale jeszcze mając ojca mordercę?

Łarcew wpił się wzrokiem w jej twarz i Nastia poczuła lęk.

– Nie pójde siedzieć. Zabiję ciebie i twojego Czistiakowa tak, że nikt mi niczego nie udowodni. Nie bój się, potrafię to zrobić.

Drzwi uchyliły się ostrożnie i do pokoju zajrzał Losza.

– Słuchajcie, może zrobić wam kawy?

Jego wzrok w roztargnieniu prześlizgnął się po postaci Łarcewa i znieruchomiał, utkwiony w zaciśniętym w opuszczonej dłoni pistolecie.

– Co to? – zapytał Losza zaskoczony, ale wcale nie przestraszony. W mieszkaniu Nastii nigdy nie widział broni.

– To jest, Loszeńka, pistolet systemu Makarowa, służbowa broń majora Łarcewa – odpowiedziała Nastia, z trudem ukrywając rozdrażnienie i starając się mówić jak najspokojniej. Nie chciała straszyć Loszy, a jednocześnie usiłowała dać Łarcewowi szansę, by podchwycił lekki ton, obrócił wszystko w żart i otrząsnął się z szaleńczego odrętwienia.

– I... co to ma znaczyć?

Nastia podniosła wzrok na Łarcewa w nadziei, że ten teraz powie coś śmiesznego i rozładuje sytuację. No, prosiła w myślach, powiedz Loszy, że uczyłeś mnie obchodzić się z bronią albo że opisywałeś obrazowo szczegóły jakiegoś aresztowania, uśmiechnij się, schowaj pistolet, przecież sam się z tym fatalnie czujesz, masz dość tej strasznej sceny, więc proszę, oto furтка, wyjdź przez nią z honorem.

Ale Łarcew stał z kamienną twarzą, patrząc gdzieś w ścianę ponad głową Nastii. Nastia zrozumiała, że go zamurowało. Cholera, naprawdę może strzelić, pomyślała z rozpaczą. A ja nie chcę umierać...

– To znaczy, że major Łarcew nam grozi – powiedziała spokojnie.

– Jeżeli nie będziemy posłuszni, to nas zastrzeli. Dobrze mówię, majorze?

Łarcew powoli przytaknął. Nastii wydało się, że w głębi jego oczu coś drgnęło. A może to tylko złudzenie?

– I co mamy zrobić, żeby nas nie zastrzelił? – rzeczowo zapytał Losza, jak gdyby mowa była nie o szantażu i śmierci, ale o tym, jak się obchodzić z baterią łazienkową, żeby jej nie zepsuć.

– Mamy siedzieć w domu i z nikim się nie spotykać. Dzwonić możemy, ale rozmawiać nam wolno tylko na tematy neutralne.

– Cóż może być piękniejszego niż cela więzienna, jeśli dzieli się ją z ukochaną kobietą! – Losza uśmiechnął się. – A jak długo będzie trwało to szczęście?

– Z pięć dni. Pięć dni wystarczy, majorze? – zwróciła się Nastia do Łarcewa. – Czy twoi przyjaciele zdążą w pięć dni zatrzeć ślady?

I znów jej się wydało, że w głębi zielonych oczu Wołodi dostrzega drgnienie, ale tym razem wrażenie było silniejsze, i zrozumiała, że trafiła na właściwy ton, że jeszcze trochę i Łarcew się ocknie, przyjdzie do siebie i spojrzy trzeźwo na sytuację. Dopóki się tak nie stanie, może strzelić w każdej chwili, reagując na jakiś drobny ruch czy dźwięk, na niespodziewany dzwonek telefonu. Najważniejsze teraz to utrzymać właściwy ton. Żeby tylko Loszka czegoś nie palnął!

– A po chleb można pójść? – dopytywał się dalej Czistiakow, jak gdyby wcale nie groziło mu śmiertelne niebezpieczeństwo, jak gdyby po prostu zaszła konieczność drobnej zmiany trybu życia.

– Nie, Loszeńka. Nie wolno nam wychodzić z mieszkania – cierpliwie tłumaczyła Nastia, nie odrywając oczu od Łarcewa.

– A wynieść śmieci? – Niekiedy profesor Czistiakow bywał zdumiewająco małostkowy. Ale ten przyjaciel z dzieciństwa Nasti, rudy, kudłaty, roztargniony dziwak Loszka, jej pierwszy mężczyzna i najbliższy człowiek, potrafił też być nad podziw przenikliwy i domyślny.

– Śmieci wynieść można – wielkodusznie zezwoliła Nastia, wciąż obserwując Wołodię. Poddaje się, myślała z radością, poddaje się.

– Zaraz, ale co zrobimy bez chleba? – gniewnie spytał Losza. – Byłem dzisiaj w sklepie, kupiłem na Nowy Rok masę rzeczy, więc przez pięć dni wyżywimy się bez kłopotu, ale chleba na tak długi okres nie kupiłem. I mleka zresztą też. A wiesz przecież, Nastazjo, że ja bez chleba i mleka żyć nie mogę. Poproś swojego majora, może się zlituje?

Przesadził, szybko pomyślała Nastia. Do tej pory Losza zachowywał się właściwie. Sytuację trzeba sprowadzić do absurdu, a wtedy przestanie się wydawać poważna. Ale z tym zlitowaniem się to już wyraźne kpiny. Żeby tylko Łarcew nie wybuchł.

Łarcew uparcie patrzył w ścianę. Nastia patrzyła na Łarcewa. Losza Czistiakow patrzył na Nastię. I zauważył, jak drgnęły jej usta w ledwie dostrzegalnym grymasie niezadowolenia.

– Cóż, kochani – odezwał się dobrodusznie, jakby nic szczególnego nie zaszło. – Nie wtrącam się w wasze sprawy. Jak trzeba, to trzeba, nie ma co tego roztrząsać. Macie dość szczególną

pracę, i tak jej nie rozumiem. Tylko mi wytłumaczcie, co ma tu do rzeczy służbowa broń majora Łarcewa?

– A to – cicho odparła Nastia – że major Łarcew uważa mnie za bezmózgiego i bezdusznego potwora. Porwano mu córkę i jej powrót do domu zależy jedynie od tego, jak ja, a właściwie jak my oboje się zachowamy. Łarcew myśli, że mogę zrobić coś takiego, co zaszkodzi dziecku. Uważa, że cudze dziecko to dla mnie pusty dźwięk, ponieważ nie mam własnych dzieci i nie jestem w stanie zrozumieć ojcowskich uczuć. Myśli, że mam gdzieś życie i zdrowie jedenastoletniej dziewczynki.

Losza w napięciu przeniósł spojrzenie na Łarcewa.

– I co, rzeczywiście tak myślisz?

Łarcew ani drgnął. Stał bokiem do Loszy i co się z nim dzieje, Czistiakow mógł wyczytać tylko z twarzy Nasti, na której, jak w lustrze, odbijały się najdrobniejsze zmiany mimiki ich nocnego gościa. Z tego, jak zadrżały jej nozdrza, jak nagle wyraźniej zarysowały się kości policzkowe, odgadł, że nadszedł moment kulminacyjny. Konieczny jest ostatni bodziec, po którym Łarcew albo strzeli, albo się opamięta. Bodziec musi być lekki, niedostrzegalny, ale absolutnie celny. I musi to zrobić on, Czistiakow. Jest teraz jak na estradzie. Patrzy nań cała sala, a on musi wygłosić kwestię, po której widownia albo wybuchnie oklaskami po efektownie zakończonej scenie, albo zasypie go zgniłymi pomidorami za nudny i źle wykonany numer.

– Ależ z ciebie głupek, majorze! – z gniewem rzucił Losza, starając się, żeby to zabrzmiało jak najnaturalniej.

Twarz Nasti od razu się odprężyła i zrozumiał, że trafił w dziesiątkę. Łarcew otrząsnął się z odrętwienia, rozluźnił ramiona, opuścił głowę. Zgarbił się, w jednej chwili postarzały o dziesięć lat.

– Obiecaj mi, że zrobisz wszystko, co trzeba. Obiecujesz?

– Oczywiście. Jasne, że obiecuję – serdecznie odpowiedziała Nastia. – Nie denerwuj się. Chodźmy do kuchni, tam jest cieplej.

W milczeniu pili kawę, przegryzając herbatnikami, i myśleli wszyscy o tym samym. Kiedy zegar wskazał godzinę drugą, oczy Nasti i Łarcewa się spotkały. Oboje wstali powoli i poszli do pokoju, gdzie stał telefon. Po minucie aparat ogłuszająco zadzwonił.

Rozdział 12

Czterdziestosześcioletni Jewgienij Morozow uważał się za nieudacznika. Większość jego rówieśników została już podpułkownikami, a nawet pułkownikami, on wciąż był kapitanem, nie dostał nawet majora. Jego głównym zajęciem było poszukiwanie osób zaginionych albo ukrywających się przed wymiarem sprawiedliwości podejrzanych i oskarżonych. Uważał tę pracę za nudną i monotonną, dawno pożegnał się z nadzieją na awans, i ospale, nie przejawiając żadnej inicjatywy, „ciągnął” do emerytury. W ostatnich latach zaczął pić, po trochu, ale regularnie.

Nastię Kamińską znieubił od razu, od pierwszego dnia wspólnej pracy. Po pierwsze, doprowadzała go do furii myśl, że musi pracować ramię w ramię z tą siusmajtką, która jest od niego młodsza o ponad dziesięć lat, a już się dosłużyła stopnia majora. I to nie tylko pracować, ale jeszcze jej słuchać! Nie sposób było zadać boleśniejszego ciosu jego miłości własnej. Po drugie, nie rozumiał i nie aprobował jej metod pracy. To przecież nonsens: akta archiwalne, książki w obcych językach, niekończące się, wciąż powtarzane przesłuchania, klucz wiolinowy i inne głupoty. Jego, Morozowa, w swoim czasie uczono działać inaczej, nie siedzieć z mądrą miną na kanapie, ale brać sprawę w swoje ręce i szukać, ścigać... Nie bez powodu instytucja, której poświęcił życie, nosi nazwę „organów ścigania”. Właśnie ściganie, a nie co innego. I o żadnych metodach analitycznych jak żyje nie słyszał i słyszeć nie chciał.

Niechęć do dziewczyny z Pietrowki 38 nasunęła kapitanowi Morozowowi myśl, że mógłby rozwiązać sprawę zabójstwa Jeriominej samodzielnie. Bez niczyjej pomocy. W pojedynkę. Na złość wszystkim. W jego komisariacie otworzył się niedawno wakat, który mógłby zająć i szybko otrzymać stopień majora, a po czterech latach podpułkownika. To wielka szansa, którą byłoby głupio zmarnować. Należało odnieść sukces, błyskotliwy, wielki, utrzyć nosa detektywom z wydziału kryminalnego. Wtedy i komendant

komisariatu będzie zadowolony, on też nie przepada za elitą z GUWD. Ale wtajemniczać szefa w swoje plany Morozow nie miał zamiaru.

Kiedy wpłynęło zgłoszenie o zaginięciu Jeriominej, jak zwykle nie bardzo się przyłożył do roboty. Młoda, ładna, pijąca, niezamężna – po jakiego grzyba jej szukać? Wytrzeźwieje, nacieszy się kolejnym gachem i wróci do domu, nigdzie nie przypadnie. Ileż to razy w jego wieloletniej praktyce coś takiego się zdarzało! Ale kiedy Wikę znaleziono uduszoną na siedemdziesiątym piątym kilometrze linii kolejowej Sawiełowskiej, Jewgienij spojrział na to innymi oczami. Już w pierwszym tygodniu po znalezieniu zwłok starannie przewentylował Sawiełowską, rozmawiał z milicjantami, przeczesał wszystkie podmiejskie pociągi w poszukiwaniu stałych pasażerów, którzy mogli zwrócić uwagę na tak atrakcyjną dziewczynę. Morozow wiedział z doświadczenia, że ludzie, niejeżdżący podmiejskimi pociągami regularnie, nie zwykli przyglądać się współpasażerom. Natomiast ci, co jeżdżą stale, rozglądają się w poszukiwaniu znajomych, mieszkańców swojego miasteczka czy osady, żeby zabić czas w podróży przy błahej pogawędce.

Pedantyczna, benedyktyńska praca przyniosła pewne rezultaty. Morozowowi udało się odnaleźć dwóch mężczyzn, którzy widzieli w pociągu Jeriominą w towarzystwie jakichś mięśniaków. Obaj pasażerowie zwrócili uwagę na dziewczynę, bo ona i jej towarzysze zajęli przedział, w którym zazwyczaj mężczyźni siedzieli sami. Świadkowie ci mieszkali po sąsiedzku w Dmitrowie, pracowali w Moskwie w tych samych zakładach i na tej samej zmianie, i już od lat jeździli do stolicy i z powrotem tymi samymi pociągami, zawsze w drugim wagonie i w drugim przedziale po prawej. Wieloletnie nawyki bywają czasem silniejsze niż jakiegokolwiek względy praktyczne. Doszło do tego, że mężczyźni specjalnie przyjeżdżali na dworzec wcześniej, żeby zająć swoje miejsca. Tym razem jednak ich wyprzedzono, co wydało im się tak dziwne, że mimo woli ten fakt zapamiętali.

W czasie jazdy ukradkiem obserwowali zagadkowe towarzystwo, zastanawiając się półgłosem, co taka ładna, zadbana, kosztownie ubrana dziewczyna o wyniosłej minie i jakimś niezdrowym, jakby zwróconym w głąb siebie spojrzeniu może mieć wspólnego z tymi

mięśniakami bez śladu inteligencji na gładko wygolonych twarzach. Mięśniacy wciąż próbowali nawiązać z nią rozmowę, ale piękna dziewczyna odpowiadała monosylabami albo w ogóle milczała. Czasami wychodziła na korytarz zapalić, a wtedy zawsze towarzyszył jej któryś z młodych ludzi. Półtorej godziny później, wysiadając w Dmitrowie z pociągu, przyjaciele doszli do wniosku, że dziewczyna jedzie dokądś w interesach, a mięśniacy to jej ochroniarze. Chociaż wydawało się dziwne, że jedzie pociągiem. Skoro stać ją na ochroniarzy, to powinna też mieć samochód...

A więc zostało ustalone, że Wika Jeriomina w towarzystwie trzech młodych mężczyzn jechała koleją podmiejską na trasie Moskwa–Dubna w niedzielę 24 października. Pociąg wyjechał ze stacji Moskwa Sawiełowska o 13.51, na peron „75 kilometr” przybył o 15.34. Zwłoki Wiki znaleziono po tygodniu, czas zgonu określono na 31 października – 1 listopada. Należało ustalić, gdzie dziewczyna była przez cały tydzień.

Akurat w tym momencie Morozowa powiadomiono, że został przydzielony do grupy operacyjnej, którą kieruje Kamieńska. Morozow miał spore doświadczenie w sztuce układania sobie stosunków z ludźmi tak, jak mu to odpowiadało. Stosunki z Nastią też nie były wyjątkiem. Jewgienij zrobił wszystko, żeby zniechęcić ją raz na zawsze do kontaktów z nim, i doskonale mu się powiodło. Nastia nie obarczała go przesadnie poleceniami, mógł więc spokojnie dysponować czasem i poświęcić go na prywatne śledztwo w sprawie Jeriominej. Natomiast zadania, które mu zlecano, wykonywał jak najrzetelniej, tyle że o rezultatach meldował Nasti wedle swojego widzimisię. Nie, nie fałszował uzyskanych informacji, broń Boże. Po prostu nie mówił wszystkiego, a czasami w ogóle ukrywał pewne sprawy, przekazując Nasti tylko to, co nie było przydatne dla niego przy rozpracowywaniu własnej hipotezy.

Na przykład Nastia nigdy się nie dowiedziała, że Morozow znalazł świadków podróży Wiki pociągiem, a nawet sporządził bardzo szczegółowe portrety pamięciowe jej towarzyszy. Oficjalnie uznano, że sprawdzenie trasy niczego nie dało.

Przez cały ten czas, gdy Nastia wraz z Andriejem Czernyszewem przesłuchiwała przyjaciół i znajomych Wiki Jeriominej, analizowała skomplikowane powiązania denatki z Borysem Kartaszowem

i małżonkami Kołobow, gdy ustalała, kto i za co pobił Wasilija Kołobowa, oraz załatwiała masę innych niezbędnych rzeczy, kapitan Morozow odwiedzał osady w obrębie siedemdziesiątego piątego kilometra, pokazywał ludziom zdjęcie Wiki, opisywał wygląd „mieśniaków” i próbował znaleźć miejsce, w którym mogła przebywać Jeriomina przez ów feralny tydzień. I kiedy Nasti udało się ustalić, że Wika jakimś sposobem trafiła na Dworzec Sawiełowski i że stało się to najprawdopodobniej w niedzielę 24 października, od tej daty minęło tyle tygodni, że badanie trasy podróży nie miało już sensu. W tym czasie Morozow zdążył znaleźć dom, w którym, według zeznań mieszkańców jednego z osiedli, mieszkała dziewczyna w towarzystwie młodych ludzi. Dziewczynę widziano tylko raz, kiedy przyjechała, nigdy więcej. Ale za to Jewgienij nawiązał znajomość z ekspedientką z osiedlowego sklepu, która przypominała sobie, co i w jakich ilościach kupowali tymczasowi lokatorzy domu „wujka Paszy”. Wynikało z tego, że było ich co najmniej troje, w tym jedna kobieta.

Morozow dotarł także do wujka Paszy, Pawła Iwanowicza Kostiukowa, który wynajął dom na jeden miesiąc. Sam mieszkał w sąsiedniej Jachromie u córki, niańczył wnuki, a dom chętnie wynajmował o dowolnej porze roku i na dowolny okres. Z rozmowy z Kostiukowem wynikało, że mężczyzną, który ustalał z nim warunki najmu, nie był żaden z „mieśniaków”, którzy jechali z Wiką pociągiem, a potem mieszkali z nią na osiedlu Ozierki. Tamten gość był, według Pawła Iwanowicza, człowiekiem solidnym, około pięćdziesiątki (może trochę młodszym, ale na pewno po czterdziestce), budzącym zaufanie. Za dom zapłacił z góry i nie targował się, chociaż chytry dziadyga od razu zaśpiewał horrendalną sumę, żeby potem, kiedy po targach sporo opuści, nowy lokator miał poczucie, że wynajął dom bardzo korzystnie.

Jak dotrzeć do zagadkowego najemcy, Morozow nie miał pojęcia. Kostiukow nie żądał od swych lokatorów żadnych dokumentów, jeśli tylko płacili z góry. Oczywiście było to wykroczenie, ale miejscowa milicja dobrze знаła Pawła Iwanowicza i patrzyła na niezameldowanych lokatorów przez palce, zwłaszcza że latem stary zawsze załatwiał wszystko zgodnie z prawem. Jesienią jednak, kiedy drogi były grzaskie, jechać z Jachromy na siedemdziesiąty piąty

kilometr, żeby oficjalnie zameldować lokatorów, strasznie mu się nie chciało. Niemniej wszystkie transakcje związane z domem Kostiukow skrętnie zapisywał w grubym szkolnym zeszycie, z którego właśnie Morozow się dowiedział, że umowa wynajmu domu w Ozierkach na jeden miesiąc od niedzieli 24 października do wtorku 23 listopada została zawarta w sobotę 23 października.

Dalej zaś Jewgienij, ufając swojej szczęśliwej gwiazdce, rzucił się do przeczesywania szosy łączącej Moskwę z Jachromą. Zakładał, że najemca domu Kostiukowa przyjechał samochodem. W takim wypadku istniała słaba wprawdzie, ale jednak nadzieja na sukces. Jeśli zaś facet przyjechał do Jachromy pociągiem elektrycznym, to szukaj wiatru w polu. Przez cały tydzień, kiedy Kamieńska była za granicą, Morozow, klnąc mokry śnieg, wiatr, chlupiące pod nogami błoto i nieustający katar, metr po metrze posuwał się szosą Dmitrowską, zatrzymując się przy każdym posterunku drogówki z jednym jedynym pytaniem: o kierowców zatrzymanych za jakieś wykroczenie lub dla rutynowej kontroli w sobotę 23 października.

Wręczano mu grube teczki z wpiętymi protokołami za październik i Jewgienij starannie wypisywał sobie informacje o kierowcach zatrzymanych owego dnia. Nie szukał nikogo konkretnego, wiedząc, że samochód mógł prowadzić zarówno sam „najemca”, jak i ktoś inny. Co więcej, Morozow był absolutnie pewien, że jeżeli ten człowiek przyjechał do Jachromy samochodem, na pewno towarzyszył mu jeden z mięśniaków, którzy nazajutrz zamieszkali w Ozierkach razem z Jeriominą. No bo jak inaczej? Mieszkańcy osiedla widzieli nowych lokatorów, ale żaden ze świadków nie pamiętał, by ci pytali o drogę do domu Kostiukowa.

To znaczyło, że drogę już znali. Czyli że dzień wcześniej, po zapłaceniu za dom i otrzymaniu kluczy, „najemca” musiał przyjechać do Ozierek, odszukać dom i pokazać go swemu towarzyszowi, żeby następnego dnia dziwne towarzystwo nie zwróciło na siebie uwagi całej osady, bez końca wypytyując o drogę.

Morozow zastanawiał się też nad jeszcze jedną kwestią: dlaczego w sobotę 23 października „najemcy” udało się znaleźć dom Kostiukowa, nie wypytyując o nic mieszkańców Ozierek? Grupę, która przyjechała w niedzielę, ten i ów zobaczył i zapamiętał, a dwóch mężczyzn (a może jednak jednego? Nie, chyba dwóch)

w samochodzie, przybyłych w sobotę i szukających domu wujka Paszy, nie zauważył nikt. Było to dziwne i Jewgienij nie znajdował żadnego wytłumaczenia tego faktu. Mimo to miał niemal pewność, że autem, którego poszukuje, musiało jechać co najmniej dwóch ludzi. Jeśli, oczywiście, w ogóle było takie auto. Ale Morozow odpędzał od siebie myśl o tym, że poszukiwani mogli przyjechać pociągiem, albowiem taka ewentualność przekreślała wszelkie nadzieje na sukces.

W jednym z posterunków drogówki zapytano go:

– Kogo pan szuka, kapitanie? Może go znamy?

– Żebym to ja wiedział. – Morozow westchnął ciężko. – Sprawdzam na wszelki wypadek, a nuż mi się poszczęści.

– I nie zna pan nazwiska?

– Nie.

– A marki samochodu?

– Też nie. Może tu przejeżdżali, ale ani razu ich nie zatrzymano.

– Ta-ak... – Niemłody sierżant pokręcił głową. – Nie zazdroszczę panu. Ale wie pan co? Niech pan popyta w okolicach Ikszy. Pod koniec października mieli tam ekstra akcję. Dwóch nieletnich uciekło z obozu karnego; przez cały tydzień przetrząsali wszystkie samochody, dopóki tych dwóch nie złapali. Pański klient dokąd jechał?

– Do Jachromy.

– No to Ikszy w żaden deseń nie mógł ominąć. Jeżeli jechał akurat w tym tygodniu, kiedy trwały poszukiwania, to na pewno go zatrzymano i zapisano wszystkie dane.

Morozow leciał do Ikszy jak na skrzydłach. Tak, tu czekał go sukces. Z obozu poprawczego dla młodocianych przestępców w Ikszy akurat dzień wcześniej, 22 października, uciekło dwóch wyrostków. Zresztą wyrostkami można ich było nazwać czysto umownie: obaj ukończyli już osiemnaście lat i mieli być przewiezieni do obozu dla dorosłych w celu odsiedzenia swych wyroków. Skazani byli z tego samego artykułu – rozbój z bronią w rękę i morderstwo – w obozie dla nieletnich spędzili prawie rok i teraz czekała ich dziewięcioletnia odsiadka w warunkach o wiele ostrzejszych i mniej komfortowych. Sądząc ze wszystkiego, ucieczkę zorganizował ktoś z „wolności”. Młodzi przestępcy mieli opinię

niebezpiecznych, skłonnych do przemocy, toteż natychmiast po stwierdzeniu ucieczki Ikszę otoczono szczelną blokadą, przez którą niepodobna się było przemknąć niepostrzeżenie. Ustalono z wszelką pewnością, że zbiegowie ukrywają się gdzieś w promieniu dziesięciu kilometrów, i złapano ich bez trudu, kiedy po pięciu czy sześciu dniach próbowali wymknąć się z miasteczka...

Wieczorem tego samego dnia Morozow otrzymał nieprawdopodobnie długą listę kierowców i ich aut, przejeżdżających przez Ikszę w kierunku Jachromy 23 października. Należało rozpocząć odsiew.

Kostiukow twierdził, że mężczyzna, który chciał wynająć dom, zjawił się u niego po obiedzie. Tym sposobem z listy można było od razu wykluczyć osoby, które jechały z Moskwy w kierunku Jachromy przed 12.00 w południe i po 18.00. Następnie Morozow wykreślił wszystkie TIR-y, potem auta, którymi jechały rodziny z dziećmi (oczywiście pod warunkiem, że znajdował się wśród nich tylko jeden mężczyzna), wreszcie przyszła kolej na samochody, w których albo był tylko kierowca niepasujący wiekiem do „najemcy”, albo które prowadziła kobieta.

Jewgienij przesiedział nad listą do późnej nocy, dopóki w spisie nie pozostało wreszcie czterdzieści sześć samochodów, którymi jechało ogółem sto dziewiętnaście osób. Osiemdziesiąt pięć spośród nich było mieszkańcami Moskwy i nimi Morozow zamierzał się zająć w pierwszej kolejności. W chwili powrotu Kamieńskiej z Włoch kapitan namierzył już podejrzanego; był to niejaki Nikołaj Fistin, kierownik młodzieżowego klubu sportowego „Wareg”. Wraz z nim w samochodzie jechał Aleksander Djakow, moskwianin. Ponieważ świadkowie, podając rysopisy mężczyzn towarzyszących Jeriominej w pociągu i w Ozierkach, opisywali ich jako wysportowanych młodych ludzi z „napakowaną” muskulaturą, Morozow poczuł, że chyba trafił na gorący ślad. W każdym razie warto było spróbować. Jeżeli trop okaże się fałszywy – cóż, w spisie figurowało jeszcze dwadzieścia dziewięć aut, które trzeba będzie sprawdzić. Na 19 grudnia, w poniedziałek, miał umówione spotkanie z człowiekiem, który mógł mu coś niecoś powiedzieć o klubie „Wareg” i jego szefie. Dlatego też, kiedy w przeddzień Kamieńska zebrała całą grupę i chciała wprząc Jewgienija w kolejną

wydumaną akcję, zrobił, co mógł, żeby się z tego wykręcić, w każdym razie w poniedziałek. Zresztą siusmajtką z Pietrowki okazała się dziwnie ustępliwa, nie naciskała nań i nie komenderowała. „Nie możesz, to nie”, powiedziała, wzruszając ramionami. „Dołączysz we wtorek”.

Do wtorku kapitan Morozow utwierdził się trochę bardziej w przekonaniu, że Fistin i Djakow są tymi, których szuka, chociaż miał jeszcze sporo wątpliwości. Postanowił poobserwować klub i wkrótce zauważył, że Fistinem i Djakowem interesuje się nie tylko on. Wprawnym profesjonalnym okiem od razu rozpoznał robotę kolegów. A więc ta cała Kamieńska (mimo wysiłków nie potrafił wymyślić żeńskiego odpowiednika słowa „młokos”, nic lepszego niż „młokoska” nie przychodziło mu do głowy, toteż w duchu nazywał ją albo siusmajtką, albo po nazwisku), jak widać, dotarła do klubu, tyle że od innej strony. Kapitan nie posiadał się ze złości i rozczarowania. Po jakimś czasie jednak uświadomił sobie, że może być z siebie dumny: w pojedynkę osiągnął ten sam rezultat co Kamieńska, która miała do dyspozycji całą grupę. Oczywiście, Jewgienij nie był w tym wypadku ze sobą szczery, bo przecież ukrywał zdobyte informacje, podczas gdy pozostali szczerze się z nim swoją wiedzą dzielili, w rzeczywistości więc miał nad nimi sporą przewagę. Nie zepsuło mu to jednak świetnego samopoczucia i nie przygasiło dziecinnej chęci rywalizacji. Skoro siły są równe, myślał, to możemy jeszcze powalczyć. Może dotarliśmy do tego samego punktu, ale różnymi drogami, więc te drogi dalej znów się rozejdą. Jeszcze zobaczymy, kto pokona swoją trasę szybciej!

Rywalizacja Morozowa z Kamieńską nie potrwała jednak długo. Djakow gdzieś zniknął, a dosłownie na drugi dzień z samego rana Kamieńska zadzwoniła i powiedziała, że dochodzenie w sprawie zamordowania Wiki Jeriominej zostaje zamknięte i Jewgienij jest wolny. Wszystkie możliwe hipotezy sprawdzono i żadna nie dała pozytywnych rezultatów, więc zaraz po Nowym Roku śledczy podpisze odpowiednią decyzję.

– Dzięki za pomoc, Żenia. I wszystkiego dobrego w Nowym Roku – powiedziała na zakończenie Kamieńska; głos miała dziwnie smutny.

Co, siusmajtko, nie przywykłaś przegrywać?, ze złośliwą uciechą pomyślał Morozow. Przykro ci? Poczekaj, będzie ci jeszcze bardziej przykro, kiedy znajdę morderców. Jak to się stało, ptaszyno, że przegapiłaś Fistina i Djakowa? Przecież siedziałaś im na ogonie, miałaś coś na nich. Dlaczego zostawiłaś trop w połowie drogi? Nie byłaś pewna, nie znalazłaś nic na poparcie swoich podejrzeń. A ja tak. Bo wiem coś, czego ty nie wiesz. Wiem, że Fistin wynajął dom, gdzie jego pomagierzy, w tym Djakow, przetrzymywali Wikę Jeriomina. Wiem, gdzie jest ten dom. Znam jego właściciela, który może zidentyfikować Fistina, i ekspedientkę, która rozpozna trzech „mieśniaków”. Mam też dwóch ludzi, którzy mogą rozpoznać chłopców z pociągu. Jeśli się okaże, że należą do klubu „Wareg”, to Fistin się nie wykreści, na pewno jest wplątany w zabójstwo Jeriominej.

Jewgienij wcale jakoś nie zastanawiał się nad tym, po co właściwie Nikołaj Fistin, kierownik młodzieżowego klubu sportowego, miałby organizować całą tę historię z Wiką: wywozić ją z miasta, przetrzymywać cały tydzień w zamknięciu i pod strażą, a potem udusić. Motywami i całą subiektywno-objektywną otoczką kapitan nie zaprzętał sobie głowy. Fistin był dwukrotnie karany i to, zdaniem Morozowa, mówiło wszystko. Co za różnica, za co? Najważniejsze jest ustalenie, kto to zrobił, a na pytania „dlaczego” i „po co” niech odpowiada sąd. Taki już był kapitan Morozow, i może właśnie ta cecha odróżniała go od Nasti Kamieńskiej, która usiłowała zrozumieć, co niebezpiecznego dla mordercy wiedziała lub zrobiła Jeriomina i dlaczego trzeba ją było zabić.

Po porannym telefonie Nasti Wiktor Aleksiejewicz Gordiejew postanowił nie iść do pracy.

– W nocy rozboleł mnie ząb – oznajmił krótko swemu zastępcy Pawłowi Żeriechowowi. – Idę do dentysty. Jakby ktoś o mnie pytał, będę po obiedzie.

Wyprawiwszy żonę do pracy, Gordiejew zaczął biegać po mieszkaniu, usiłując uporządkować myśli. Telefon Nasti jest na podsłuchu, to zostało stwierdzone. Ale co się z nią dzieje? Kto ją tak przycisnął? I czym? Trzeba znaleźć sposób na choćby pośrednie skontaktowanie się z nią... Powiedziała, zdaje się, że jest chora

i chce wezwać lekarza. Warto spróbować, nie ma nic do stracenia. Pączek rzucił się do telefonu.

– Rejestracja – odezwał się obojętny dziewczęcy głos.

– Tu pułkownik Gordiejew, szef wydziału kryminalnego – przedstawił się dziarsko Wiktor Aleksiejewicz. – Chciałbym się dowiedzieć, czy moja pracownica, major Kamieńska, zamawiała dziś wizytę domową?

– Nie udzielamy takich informacji – z równą obojętnością odpowiedział głos.

– A kto udziela?

Ale w słuchawce odezwały się krótkie buczki. „A to cholera!”, prychnął gniewnie Pączek i zaczął wybierać inny numer.

– Przychodnia, słucham.

Ten głos zdawał się rokować większe nadzieje.

– Dzień dobry, nie przeszkadzam? Tu pułkownik Gordiejew z wydziału kryminalnego – zamruczał do słuchawki Pączek, pomny pierwszej nieudanej próby, i zrobił pauzę w oczekiwaniu odpowiedzi.

– Witam, Wiktorze Aleksiejewiczu – dało się słyszeć na drugim końcu linii i pułkownik odetchnął z ulgą: trafił na osobę, która go zna. Dalej powinno już pójść gładko.

Na wszelki wypadek poświęcił jeszcze kilka sekund i parę słów, by wyrazić radość, że znają go w przychodni, i dopiero potem przeszedł do rzeczy. Żeby złapać lekarza wyjeżdżającego z wizytami domowymi, musiał wykonać jeszcze sześć telefonów, ale wreszcie osiągnął zamierzony cel.

– Ma pan szczęście, że mnie pan zastał – powiedziała doktor Raczkowa. – Już byłam za drzwiami.

W milczeniu, nie przerywając, wysłuchiwała zagmatwanych i mglistych objaśnień Gordiejewa.

– Teraz powtórzę, co zrozumiałam. Chce pan, żebym powiedziała Kamieńskiej o pańskim telefonie i spytała, czy nie chce czegoś panu przekazać. Mam bez względu na rzeczywisty stan zdrowia wypisać jej zwolnienie na najdłuższy dopuszczalny okres. Co więcej, powinnam znaleźć podstawy do natychmiastowego skierowania do szpitala i przedyskutować tę kwestię z pacjentką. W razie odpowiedzi pozytywnej mam zadzwonić z mieszkania Kamieńskiej

do szpitala. I ostatnia sprawa. O ile to możliwe, mam się zorientować, czy Kamińska działa pod czyjeś dyktando, czy nie. Zgadza się?

– Zgadza – z ulgą odetchnął Gordiejew. – I bardzo panią proszę, Tamaro Siergiejewno, niech pani jedzie do niej zaraz i potem do mnie zadzwoni. Muszę jak najszybciej wiedzieć, co się z nią dzieje.

– Oczywiście dzwonić do pana powinnam nie od niej? – Raczkowa uśmiechnęła się do słuchawki.

– Oczywiście – przytaknął pułkownik. – Z góry bardzo pani dziękuję.

Zakończywszy rozmowę, Wiktor Aleksiejewicz położył się na kanapie z budzikiem w zasięgu wzroku i zaczął czekać.

Tamara Siergiejewna Raczkowa podała kierowcy pierwszy adres i zaczęła przeglądać kartę ambulatoryjną A.P. Kamińskiej, żeby ustalić, jaką diagnozę najłatwiej będzie „naciągnąć” bez zbytnej straty czasu. Niejedno już w życiu widziała i w wieku sześćdziesięciu dwóch lat miała za sobą czterdziestoletnie doświadczenie pracy w służbie zdrowia tak zwanych organów. Dlatego też prośba pułkownika Gordiejewa nie była dla niej zaskoczeniem. Nie takie rzeczy miewała w swej praktyce. Kiedyś nawet musiała usuwać nieistniejący guz młodemu oficerowi operacyjnemu, który na ochotnika zgłosił się pod nóż, jako że prawdziwego chorego trzeba było co prędzej dyskretnie przewieźć w inne miejsce, a odwołanie zabiegu mogłoby zdemaskować całą konspirację...

Karta Kamińskiej rozczarowała lekarkę. W ciągu ośmiu lat – zaledwie jedno zwolnienie, a i to wystawione po tym, jak pogotowie przywiozło chorą prosto z ulicy. Diagnoza – przełom naczyniowy. Jednak wpisy z corocznych badań okresowych były wiele mówiące. Bóle w krzyżu po urazie. Wegetatywne zaburzenia naczyniowe. Arytmia. Bezsenność. Chroniczny nieżyt oskrzeli. Złe analizy krwi – rezultat „przechodzonych” ostrych infekcji wirusowych (a czego można się spodziewać, skoro Kamińska nie bierze zwolnień?). Podjeżdżając pod dom przy szosie Szczełkowskiej, Tamara Siergiejewna ułożyła już sobie w myślach wpis, jaki zrobi w karcie,

i wybrała diagnozę, jaką najprawdopodobniej postawi A.P. Kamińskiej, urodzonej w 1960 roku.

Malutka, tęga, o kaczkowatym chodzie i krótkich, grubych nóżkach, z krótko ostrzyżonymi siwymi włosami i krótkowzrocznymi oczyma za grubymi okularami, Raczkowa wyglądała nie tyle na lekarkę, ile na aktorkę charakterystyczną, grającą komediowe role bimbrowniczek, lichwiarok, starych stręczycielek i tym podobnych negatywnych postaci. Tylko ktoś, kto znał ją dobrze, mógł docenić jej wspaniałe poczucie humoru i inteligencję, i uwierzyć, że w młodości była nieodparcie czarująca i wręcz seksowna. Co prawda, mąż Tamary Siergiejewny pamiętał o tym bardzo dobrze i do tej pory traktował ją z czułością i szacunkiem.

Badając Nastię, mierząc jej ciśnienie i tętno, słuchając fonendoskopem serca, Raczkowa myślała o tym, że młodej kobiecie rzeczywiście przydałby się pobyt w szpitalu. Stan jej zdrowia nie był zadowalający.

– Powinna pani pójść do szpitala – powiedziała, nie podnosząc głowy znad karty, do której wpisywała diagnozę. – Ma pani bardzo słabe naczynia. Jeden przełom już był, a wygląda na to, że zanoszą się na drugi.

– Nie – ostro i szybko odparła Nastia. – Nie chcę iść do szpitala.

– Dlaczego? – Lekarka oderwała się od karty i sięgnęła do torby po blankiety zwolnień. – W naszym szpitalu są bardzo dobre warunki. Poleż panie sobie, wypocznie, dobrze to panie robi.

– Nie – powtórzyła Nastia. – Nie mogę.

– No więc nie może panie, czy nie chce? Aha, pan Gordiejew bardzo się martwi panie zdrowiem. Prosił, by panie przekazać, że nie ma nic przeciwko temu, żeby panie poszła do szpitala. Zależy mu na panie zdrowiu.

Nastia milczała, z drżeniem otulając się ciepłym szlafrokiem i chowając nogi pod pled.

– Nie mogę iść do szpitala. Naprawdę nie mogę. Może później, za jakiś miesiąc albo dwa. Ale teraz nie. A co, rozmawiała panie dziś z Gordiejewem?

– Tak, dzwonił do mnie, żeby mi panie szczególnie polecić, ponieważ powiedziała mu panie, że jest chora. – Raczkowa wypisała

zwolnienie, starannie spakowała ciśnieniomierz i w uwagę spojrziała na Nastię. – Gordiejew martwi się o panią. Nie chciałaby pani czegoś mu przekazać?

– Proszę mu powiedzieć, że miał rację. I że chciałabym zrobić bardzo dużo, ale nie mogę. Mam związane ręce. Dałam słowo i muszę go dotrzymać. I że mu dziękuję za troskę. I pani także.

– Nie ma za co – z westchnieniem odparła lekarka, podnosząc się ciężko zza biurka. – Aha, czy prześlicznej urody młodzian na parapecie okna na półpiętrze to przypadkiem nie pani wielbiciel?

– Chyba tak – Nastia uśmiechnęła się słabo.

– Mąż wie?

– Tak, oczywiście, chociaż to nie mąż.

– Nieważne. Powiedzieć o tym Gordiejewowi?

– Tak.

– Dobrze, powiem. Niech się pani leczy, Anastazjo Pawłowno, mówię to zupełnie poważnie. Nie dba pani o siebie wprost skandalicznie, tak nie wolno. Proszę skorzystać z wolnego czasu, skoro już i tak siedzi pani w domu, proszę zażywać leki i dobrze się wysypiać. I niech pani porządnie je, jest pani chorobliwie niedożywiona.

Po wyjściu Raczkowej Losza w milczeniu zaczął się ubierać.

– A ty dokąd? – zdziwiła się Nastia, widząc, jak Czistiakow z wściekłością ściąga dres i wkłada dzinsy i sweter.

– Masz zapisane leki. Gdzie recepty?

– Loszeńka, nie możesz, oni cię tak czy owak nie wypuszczą. Słyszałeś, co doktor mówiła? Jeden siedzi na klatce na półpiętrze.

– Mam to gdzieś! – wybuchnął Losza. – Możesz tu umrzeć na moich oczach, zanim te psy przestaną się gryźć o swoją kość.

Demonstracyjnie głośno otworzył zatrask i wyszedł na schody.

– Ej ty, bulterier! – zawołał głośno.

Rozległy się ledwie słyszalne kroki i z niższego piętra wbiegł po dwa stopnie przystojny jasnowłosy chłopak.

– Idź do apteki – nieznoszącym sprzeciwu tonem polecił Losza. – Tu są recepty, tu pieniądze, resztę przyniesiesz.

Chłopak bez słowa wziął recepty i pieniądze, odwrócił się i lekko, cicho zbiegł na dół.

– I chleba kup, czarnego! – krzyknął za nim Losza.

– No i po co go drażnisz – z wyrzutem powiedziała Nastia, kiedy Czistiakow wrócił do mieszkania. – Przecież jesteśmy od nich całkowicie zależni. Lepszy już marny pokój niż otwarta wojna.

Losza nie odpowiedział. Szybko podszedł do okna i wyjrzał na ulicę.

– Poleciał – oznajmił, obserwując postać zmierzającą sportowym truchcikiem w stronę apteki. – Ale nie on. Wygląda na to, że pilnuje nas co najmniej dwóch. Poważna organizacja, nie ma co.

– Trudno o poważniejszą – ze smutkiem powiedziała Nastia. – Może przynajmniej obiad zrobię, czy co. Ach Boże, że też tak się wpackowałam. I małej mi żal, i Łarcewa.

– A siebie ci nie żal?

– Siebie też mi żal. Taka interesująca sprawa, taka łamigłówka! Aż mi się chce płakać. I żal mi Wiki Jeriominej. Ja przecież wiem, dlaczego ją zabito. Chociaż, szczerze mówiąc, byłam przygotowana na to, że nie pozwolą mi rozwiązać tej sprawy. Nie wiedziałam tylko, w którym momencie mnie powstrzymają i jak to zrobią. Kiedyś wezwałby mnie szef Moskiewskiego Wydziału Kryminalnego i poprosiłby uprzejmie, żebym zostawiła tę sprawę i zajęła się innym przestępstwem, które jest o wiele poważniejsze i trudniejsze do wykrycia, więc kieruje się do niego najlepsze siły i powinnam uważać za zaszczyt fakt, że jego ekscelencja, wysoko oceniając moją wiedzę i umiejętności, poprosił mnie osobiście, abym wzięła udział w wielkiej uroczystości ujęcia straszliwego, krwawego zbrojcy. A Pączek wzdychałby ciężko, radziłby, żebym się nie przejmowała, i kipiąc z wściekłości, robiłby wszystko po swojemu, ale już na własną rękę, żeby się nie narażać na gniew kierownictwa. Kiedyś wszystko było wiadome z góry: i ich metody, i nasza reakcja. A teraz – sam diabeł połamałby sobie zęby, nigdy człowiek nie wie, kto i gdzie, w jaki sposób i kiedy chwyci go za gardło. I nie sposób się przed tym obronić. Teraz zbyt wielu nadzianych gości przypada na jednego milicjanta, i za pieniądze mogą kupić gangsterów, którzy będą wywierać na nas naciski, nawet jeśli wszyscy jak jeden mąż nagle staniemy się uczciwi, bezinteresowni i dobrowolnie zgodzimy się żyć w ciasnych mieszkaniach z dziećmi i sparaliżowanymi rodzicami, nie mając za co wynajść dla nich wykwalifikowanej

opiekunki. Zresztą co tu gadać! Masz rację, Loszyk: psy walczą o swoją kość. A młoda kobieta nie żyje...

Przeglądając listę wezwań, by racjonalnie ułożyć sobie trasę, Tamara Siergiejewna zauważyła, że jeden z pacjentów mieszka w pobliżu jej domu. Bardzo dobrze się złożyło. Tamara Siergiejewna postanowiła odbyć wizytę, a potem wpaść do domu, by napić się herbaty i przy okazji zadzwonić do Gordiejewa. Mieszkała bardzo daleko od przychodni i w dniach, kiedy pracowała od ósmej rano, musiała wstawać skoro świt, toteż o jedenastej była zazwyczaj strasznie głodna.

Zaraz po wejściu do mieszkania usłyszała rozmowę w saloniku. Znowu filateliści, pomyślała. Mąż niedawno przeszedł na emeryturę i z głową pogrążył się w swoim hobby; był nieustannie zajęty wymianami, zakupami, sprzedażą, wystawami, konferencjami, literaturą specjalistyczną i nawet wykładami. Do domu stale ktoś przychodził, a telefon był zajęty tak często, że dzieci Raczkowów, przyjaciele i koledzy Tamary Siergiejewny niekiedy po kilka dni nie mogli się do nich dodzwonić. Wreszcie dzięki znajomościom i prezencikom udało się załatwić drugi telefon z innym numerem, specjalnie dla filatelistów, i życie znów potoczyło się normalnym trybem.

Tamara Siergiejewna tak cicho, jak było to w ogóle możliwe przy jej tuszy, weszła do kuchni, zapaliła gaz pod czajnikiem i usiadła przy telefonie.

– Niedobrze z tą pana Kamieńską – oznajmiła półgłosem Gordiejewowi.

– A co się dzieje? – przestraszył się Pączek.

– Po pierwsze, ona rzeczywiście jest chora. Zupełnie serio poradziłam jej, żeby poszła do szpitala, są ku temu wszelkie podstawy.

– I co ona na to?

– Stanowczo odmówiła.

– Dlaczego?

– Pilnują jej, w dodatku całkiem otwarcie, ostentacyjnie. To po drugie. Po trzecie, prosiła, żeby panu powiedzieć, że miał pan rację.

Chciałaby zrobić bardzo dużo, ale nie może, bo dała słowo i musi go dotrzymać.

– Komu dała słowo?

– Wiktorze Aleksiejewiczu, przekazałam panu literalnie wszystko. Nic więcej nie powiedziała.

– A jakie jest pani osobiste zdanie o całej sytuacji?

– Hm... No cóż. Pani Kamińska czuje się przybita, udęczona, wie, że jej pilnują. Najwyraźniej odmowa pójścia do szpitala podyktowana jest tym, że zabroniono jej wychodzić z domu pod groźbą wyrządzenia krzywdy komuś z bliskich.

– Jest sama w mieszkaniu?

– Nie, z jakimś rudym, kudłatym mężczyzną.

– Znam go, to jej mąż.

– Nie mąż – zaoponowała Raczkowa, która zwykła nazywać rzeczy po imieniu.

– To bez znaczenia – odparł wymijająco Gordiejew. – Powiedzmy, że przyjaciel. A kto jej pilnuje?

– Młodzieniec o twarzy cherubina. Siedzi na parapecie na półpiętrze.

– Nikogo innego pani nie zauważyła?

– Uczciwie mówiąc, specjalnie się nie rozglądałam. Tego zauważyłam, bo wszedł po schodach, żeby zobaczyć, kto dzwoni do drzwi pani Kamińskiej.

– Bezczelność – skomentował Wiktor Aleksiejewicz.

– Mówię panu, że on się wcale nie ukrywa. Moim zdaniem usiłują w ten sposób wyrzucić na nią presję.

– Całkiem możliwe – w zamyśleniu zgodził się pułkownik. – Bardzo pani dziękuję, Tamaro Siergiejewno. Nawet sobie pani nie wyobraża, jak wiele pani dla mnie zrobiła.

– Dlaczego? Wyobrażam sobie. – Raczkowa uśmiechnęła się.

Odłożyła słuchawkę i odwracając się, by wyłączyć gaz pod gotującą się wodą, spostrzegła wchodzącego do kuchni męża.

– Nie słyszałem, jak przyszaś, mamusku – powiedział, całując żonę w czubek siwej głowy.

– Nic dziwnego, znowu masz u siebie tłum fanatycznych filatelistów. Złodzieje mogliby wszystko wynieść z mieszkania, a ty też byś nie usłyszał, taki tam u was rejwach.

– Wcale nie, mamusku – obraził się mąż – żadnego rejwachu nie było. Wróciłaś już na dobre?

– Nie, napiję się herbaty i lecę. Mam dziś dużo wezwań, zaczęła się kolejna epidemia grypy.

– Naprawdę wszyscy tak nagle zapadli na grypę? – rzucił z powątpiewaniem mąż, który uznawał tylko dwie diagnozy: zawał i wylew, wszystkie inne choroby zaś uważał za formę uchylania się od obowiązków służbowych. – Pewnie połowa tych twoich chorych to symulanci. Nie chce im się iść do pracy w taką wstrętną pogodę i bez potrzeby pędzają cię po mieście, staruszko.

Tamara Siergiejewna w milczeniu wzruszyła ramionami, pociągnęła duży łyk gorącej herbaty i odgryzła pulchny kęs chałki, obficie posmarowanej masłem i grubą warstwą dżemu pomarańczowego. Zawsze lubiła produkty mączne i słodcze.

– Jak tam twoje plecy? – spytała.

– Trochę ćmi w krzyżu, ale jest już dużo lepiej.

– Znowu dziś lecisz na swój filatelistyczny spęd?

– Mamusku, traktujże z szacunkiem moje niewinne hobby – odparł z uśmiechem mąż Tamary Siergiejewny. – Jest to zajęcie godne i kulturalne. Nie chciałabyś przecież, żebym, rozmemłany, całymi dniami wysiadywał ze staruszkami na podwórzu?

– Oczywiście, że nie – zgodziła się żona dobrodusznie, jednym haustem dopijając herbatę i pospiesznie dojadając chałkę. – No, tatuśku, lecę, możesz zrobić herbatę swoim gościom. Pa, pa! – krzyknęła już z przedpokoju, wkładając palto i otwierając drzwi.

Dranie, gniewnie powtarzał w duchu Wiktor Aleksiejewicz Gordiejew, ospałym, niespiesznym krokiem zmierzając od stacji metra do gmachu na Pietrowce. Mimo że Nowy Rok był już za pasem, w Moskwie panowała zgniła, wilgotna i słotna pogoda, padający od czasu do czasu śnieg mieszał się natychmiast z wodą i błotem. Niebo było ciężkie i szare, i taki był też nastrój pułkownika Gordiejewa. Szedł przygarbiony, ręce wsadził głęboko w kieszenie płaszcza i patrzył pod nogi.

Co takiego ci dranie znaleźli na Stasięnkę? Na pewno coś prostego, ale skutecznego. Słusznie się mówi, że wobec przemocy nie ma pomocy. Dopóki działali ostrożnie, podkradali się do niej zza

węgła, jakoś udawało jej się im wywinąć. Ale teraz poszli na całość, otwarcie, bez owijania w bawełnę. Co prawda, mówi się też: nie ma pomocy oprócz innej przemocy. Tylko jak ją zastosować? Ach, żeby można się było dowiedzieć, czym terroryzują Stasięnkę.

Jeszcze jedno nie dawało spokoju Wiktorowi Aleksiejewiczowi. Dlaczego Nastia nie skorzystała z pomocy doktor Raczkowej? Mogła przekazać przez nią wszystkie niezbędne informacje ustnie lub na piśmie, a wtedy on, Gordiejew, coś by na pewno wymyślił. Czemu tego nie zrobiła? Pączek zbyt dobrze znał swoją podwładną i nie wierzył, że Nasti po prostu nie przyszło to do głowy. To było wręcz niemożliwe. Ale w takim razie o co tu chodzi? Gordiejew czuł, że właśnie w tym fakcie kryje się najważniejsza informacja. Nastia, nie przekazując przez lekarkę praktycznie niczego nowego, istotnego i interesującego, chciała w ten sposób coś mu dać do zrozumienia. Ale co? Co?

Pączek nagle gwałtownie przyspieszył kroku, jak wicher przeleciał mrocznymi korytarzami Pietrowki 38, wpadł do swego gabinetu, cisnął wilgotny płaszcz na krzesło w kącie i wezwał swego zastępcę Żeriechowa.

– Co się tu dzieje? – spytał krótko.

– Nic nadzwyczajnego – spokojnie odrzekł Żeriechow. – Codzienna rutyna. Poprowadziłem w twoim zastępstwie poranną odprawę. Lesnikow zakończył dochodzenie w sprawie gwałtu w parku Bitcewskim, śledczy jest z niego bardzo zadowolony. Siełujanow ma kolejny ciąg alkoholowy, zjawi się pod wieczór. Okazało się, że przedwczoraj znowu poleciał do dzieciaków, po czym, jak zawsze, popadł w głęboką depresję. Wpakowano nam sprawę zabójstwa członka zarządu banku Unic, zleciłem to Korotkowowi i Łarcewowi. Kamieńska jest chora. Wszyscy inni cali i zdrowi, prowadzą swoje stare dochodzenia. Jak twój ząb?

– Ząb? – Gordiejew ze zdziwieniem ściągnął brwi. – A, tak, dziękuję, dobrze. Zatruli mi arsenem, nerw był obnażony.

– No i czemu ty kręcisz, Wiktor? – cicho zapytał Żeriechow. – Żaden ząb cię nie boli i nie byłeś u żadnego dentysty. Od kiedy to zacząłeś mnie okłamywać?

Masz ci los, teraz będę musiał się tłumaczyć przed Paszą. Boże, co ja takiego zrobiłem, że ciągle muszę coś ukrywać, kogoś okłamywać,

coś przemilczać? Dlaczego inżynier albo ślusarz mogą sobie pozwolić na to, by być uczciwi, otwarci i szczerzy, nie kłamać bez potrzeby i spokojnie spać w nocy, a ja nie mogę? Cóż to za zawód przeklęty przez Boga, pogardzany przez ludzi, pokrzywdzony przez los! Ach Pasza, znam cię bez mała dwadzieścia lat, jesteś moją prawą ręką, moim pierwszym pomocnikiem, moją nadzieją i oparciem. Tu, w tym gabinecie, płakałeś, kiedy lekarze stwierdzili raka u kobiety, którą kochasz, bo jesteś żonaty i nie możesz spędzić z nią ostatnich miesięcy jej krótkiego i niezbyt szczęśliwego życia. A potem znów płakałeś, ale tym razem z radości, bo lekarze się pomylili i twoja ukochana, chociaż ciężko chora, żyje do dziś i bardzo możliwe, że przeżyje i ciebie, i mnie. Zawsze ci ufałem, Pasza, i ani razu, słyszysz, ani razu przez te dwadzieścia lat mnie nie zawiodłeś. Krążymy po różnych orbitach, bo ty zawsze się ze mną sprzeczasz i z zasady nie przyznajesz mi racji ani od razu, ani wtedy, gdy przedstawię swoje argumenty. Ale dzięki tym naszym sprzeczkom dopinamy na ostatni guzik i szlifujemy różne kombinacje i pomysły, choć, szczerze mówiąc, czasem mam ochotę cię zabić. Brak ci fantazji, twórczego polotu, rzutkości i rozmachu, ale wszystko to mam ja, i to w nadmiarze niebezpiecznym dla otoczenia. Jesteś pedantem i krętaczem, jesteś nudziarzem i asekurantem, jesteś zrzędą i mantyką, jesteś ode mnie młodszy o osiem lat według metryki i starszy o siedemdziesiąt, jeśli chodzi o podejście do życia. Zawsze krążymy po różnych orbitach, ale przez wszystkie te lata lubiłem cię i ufałem ci. Co mam teraz robić? Może ty mi powiesz?

Pułkownik Gordiejew przeżegnał się w duchu i podjął decyzję.

– Widzisz, Pasza, jest tak – zaczął równym beznamiętnym głosem, usiłując opanować wewnętrzny dygot i zagłuszyć ohydny, lepki głosik, który złośliwie szeptał: „A jeżeli on też? Skąd wiesz, że on nie jest po ich stronie?”.

Zeriechow słuchał szefa, nie przerywając, Jego małe, ciemne oczka połyskiwały napiętą uwagą, zazwyczaj lekko pochylone ramiona teraz tak się przygarbiły, że zdawał się w ogóle nie mieć szyi, a nawet klatki piersiowej, nisko opuszczony podbródek wręcz przrósł mu do dłoni, na której się wspierał.

W miarę rozwoju opowieści wargi Żeriechowa robiły się coraz cieńsze, aż wreszcie szczoteczka starannie przystrzyżonych wąsików dotknęła brody. Był teraz wyzywająco, rozpaczliwie brzydki, przypominał najeżoną, szykującą się do ataku fretkę.

Kiedy Gordiejew umilkł, jego zastępca przez jakiś czas nic nie mówił, potem odetchnął głęboko, wyprostował ramiona, rozluźnił zaciśnięte palce splecionych rąk i krzywiąc się boleśnie, zaczął sobie rozcierać zdrętwiały krzyż.

– No i co powiesz, Pasza? – przerwał milczenie Gordiejew.

– A więc tak. Po pierwsze. Nie ma to nic wspólnego z tą sprawą, ale mimo to powiem, ponieważ od dawna razem pracujemy i jeśli Bóg pozwoli, nadal będziemy pracować. Trudno ci się było zdecydować dziś na rozmowę ze mną, bo myślisz, że Łarcew może nie jest jedyny w tej całej aferze. Nawet teraz nie masz pewności, czy nie popełniasz błędu, omawiając ze mną sprawę Jeriominej. I chcę, żebyś o tym wiedział, Wiktor: nie mam do ciebie żalu. Rozumiem, jak to ciężko podejrzewać ludzi, których się lubi i szanuje. Ale musisz przyznać, że takie są mroczne lub, jak wolisz, brudne aspekty naszej roboty. Nie da się ich uniknąć, nie da się na nie przymknąć oczu, toteż nie powinienesz się czuć niezręcznie. Nie tyś to wymyślił i nie ty jesteś temu winien.

– Dziękuję ci, Pasza – cicho powiedział Gordiejew.

– Nie ma za co. – Żeriechow uśmiechnął się. – Teraz po drugie. Odpowiedz mi, Wiktor: czego ty chcesz?

– W jakim sensie?

– Masz dwa problemy: jeden to zabójstwo Jeriominej, drugi – twoi podwładni. Musisz zdawać sobie sprawę, że nie da się ich rozwiązać jednocześnie. Na to mamy za mało sił i możliwości. No więc pytam cię, który z tych dwóch problemów chcesz rozwiązać, a który odpuścić.

– Zmieniłeś się, Pasza – zauważył Gordiejew. – Pamiętam, jak jeszcze rok temu omal się nie pokłóciliśmy, kiedy cię przekonywałem, że można zrezygnować z ujęcia najemnego mordercy, jeżeli w zamian uda nam się rozgryźć system działania organizacji, która go wynajęła. Wtedy kategorycznie się ze mną nie zgadzałeś i groziłeś mi wszystkimi karami bożymi za zdradę interesów praworządności. Pamiętasz?

– Pamiętam. Nawiasem mówiąc, to było nie rok temu, ale półtora. Zawsze byłeś ode mnie bystrzejszy, wszystkie zmiany chwytałeś w lot, dlatego z nas dwóch ty jesteś szefem, a nie ja. Ja, Witia, jestem ciężko myślący, przecież wiesz. To, co dla ciebie było oczywiste już w zeszłym roku, ja zaczynam rozumieć dopiero teraz. No więc powiedz mi, liczysz na to, że wykryjesz morderców Jeriominej?

– Szczerze?

– Szczerze.

– Skoro szczerze, to nie. Mogę to zrobić, ale nie chcę.

– Dlaczego?

– Szkoda mi ludzi. Człowiek, który uruchomił takie siły, żeby ukryć gwałt, który już od dawna ulegał przedawnieniu, i nawet popełnił z tego powodu nową zbrodnię – taki człowiek nie będzie przebierał w środkach. Sąd i więzienie mu nie groziły, pokrzywdzona nie dała znać na milicję, więc do odpowiedzialności karnej nie można go w żaden sposób pociągnąć. Wywóz maszynopisów za granicę i ich wykorzystanie, nawet jeśli przynoszą ogromne zyski, nie są karane sądownie, tym się zajmuje prawo autorskie. Więc skoro się tak wystraszył, że zorganizował zabicie dziewczyny, kiedy tylko poczuł swąd, to znaczy, że została zagrożona jego reputacja, która najwyraźniej jest dla niego o wiele więcej warta niż wolność. A nie ma nic droższego niż wolność, Pasza. Jedynie życie.

– No i co dalej? Chcesz powiedzieć, że za jego reputacją stoi cała grupa ludzi, którzy nie będą mieli dla niego litości, jeżeli on ich zawiedzie?

– Właśnie. Albo ma na sumieniu jeszcze jakieś grzechy, które wyleżą na światło dzienne, jeśli nie przerwiemy śledztwa w sprawie Jeriominej. Więc będzie walczył do upadłego. On broni swojego życia. Dzisiaj pracuje dla niego Łarcew, nie mam pojęcia, za jakie złote góry. A jutro dobierze się do kogoś innego. Metody ma dwie: przekupstwo i szantaż. Każdy z nas żyje tylko z własnej pensji, każdy ma jakichś bliskich. Tak wygląda sytuacja, Paszeńka. Oni już się wzięli za Anastazję. Nie mogę dłużej ryzykować.

– Zgadzam się z tobą. – Żeriechow kiwnął głową. – Też bym nie ryzykował. Zrobiłbym inaczej. Masz jakieś pomysły?

– Żadnych – westchnął Pączek.

Nagle zerwał się z fotela i zaczął biegać po gabinecie, znów stając się dawnym Pączkiem Gordiejewem.

– Nic nie wymyślę, dopóki nie zrozumie, co się stało u Kamieńskiej! – wykrzyknął nerwowo, przebiegając za plecami Żeriechowa i omijając długi stół konferencyjny. – Zrozum, Pasza, fakt, że nic mi nie przekazała przez lekarkę, świadczy tylko o jednym: dowiedziała się skądś, że skorumpowany jest nie tylko Łarcew, że są też inni, i nie wiadomo, kto konkretnie, toteż na wszelki wypadek nie należy ufać nikomu. Skąd się o tym dowiedziała? Co się tam u niej stało? Moglibyśmy zaraz uruchomić tysiące posunięć i kombinacji, ale tylko wtedy, gdybyśmy wiedzieli, co się naprawdę dzieje. A działając w ciemno, można spowodować katastrofę!...

– Nie szamocz się tak, Witia – nagle spokojnie przerwał mu Żeriechow. – Rób, co ci każą.

– Co?!

Gordiejew stanął jak wryty i ze zdumieniem wlepił oczy w swego zastępcę.

– Coś ty powiedział?

– Powiedziałem: rób, co ci każą. Chcą, żeby umorzyć śledztwo w sprawie Jeriominej i żeby sprawcy nie zostali wykryci? Jak to się mówi, proszę uprzejmie, cała przyjemność po mojej stronie. Urządź im strajk włoski. A potem siądziesz sobie na wzgórzu i będziesz obserwował walkę tygrysów w dolinie.

Rozdział 13

Losza Czistiakow w zamyśleniu przełożył damę karo na waleta karo i wyciągnawszy rękę, podkreślił głośniejszym głosem stojące na kuchennym stole radio, w którym właśnie rozpoczęły się wiadomości. Do kuchni zajrzała Nastia i rzuciła z irytacją:

- Proszę cię, wyłącz.
- Ale chcę posłuchać wiadomości.
- To przycisz.

– Jak jest ciszej, to nie słyszę, garnki bulgoczą. Może tego nie zauważyłaś, ale gotuję obiad.

Metodycznie przekładał karty z jednej kupki na drugą zgodnie z zasadami pasjansa „Grób Napoleona”.

– Ale wiesz przecież, że hałas mi przeszkadza, nie mogę myśleć, kiedy coś mi brzęczy nad uchem.

W rozdrażnieniu Nastia nie zauważyła, jak zmienia się twarz Loszy, nie poczuła, że atmosfera stopniowo się zagęszcza i teraz osiągnęła punkt krytyczny, przy którym jej wymagania i kaprysy są nie tylko śmieszne i głupie, ale wręcz niebezpieczne.

– Ach, szanowna pani nie może myśleć? – jadowicie spytał Losza, stopniowo podnosząc głos i zbierając rozłożoną na stole talię kart. – Bardzo wygodnie się szanowna pani urządziła. Sprowadziła sobie ze wsi niańkę, człowieka, który robi i za kucharkę, i za pokojówkę, i za podwórzowego brytana, i za pielęgniarkę. Pensji mu szanowna pani za to nie płaci, rozlicza się w naturze. Haruję tu za stół i łożo. I dlatego można ze mną jak z kuchcią całymi dniami nie rozmawiać, można mnie nie dostrzegać, można mną pomiatać, można mnie nawet postawić pod lufą pistoletu jakiegoś szaleńca, który wdziera się do mieszkania w środku nocy. Można mieć gdzieś moją pracę, moje zobowiązania wobec kolegów i przyjaciół, zamknąć mnie bez żadnych wyjaśnień i jeszcze żądać, żebym wyłączył radio. Mój doktorant ma za tydzień obronę, a ja tu siedzę i pilnuję mieszkania, zamiast zarabiać na swoją profesorską pensję i pomagać mu w przygotowaniach do obrony. Nie poszedłem na wesele, na które

byłem zaproszony dwa miesiące temu, nie poszedłem na jubileusz mojego promotora i śmiertelnie staruszka obraziłem, nie spotkałem się z moim innym doktorantem, który mieszka na drugim końcu Rosji i specjalnie do mnie przyjechał, bo tak się wcześniej umówiliśmy, a teraz mieszka w hotelu asystenckim, przejada na moskiewskich cenach swoją nędzną inżynierską pensyjke i cierpliwie czeka, kiedy jego wysokość profesor Czistiakow raczy się oderwać od swojej kochanki i wreszcie zjawi się w pracy. Sprawiam ludziom zawód, utrudniam im życie, obrażam ich, będę musiał potem przeproszać i naprawiać stosunki. I chciałbym wiedzieć, w imię czego ponoszę te wszystkie ofiary?

Nastia zdawało się, że widzi, jak fale gniewu, rodzące się w głowie Loszy pod ciemnorudymi, wijącymi się włosami spływają po ramionach i rękach, i przez długie palce wsiąkają, niby w piasek, w tasowaną talię kart. Na sekundę wyobraziła sobie, że tych kart nie ma i długo wzbierający gniew Czistiakowa wylewa się z dłoni wprost na nią. Obraz był tak sugestywny, że aż się wzdrygnęła.

– Loszeńka, przecież ci tłumaczyłam... – zaczęła, ale Czistiakow przerwał jej szorstko:

– Tobie się tylko wydaje, że mi coś tłumaczyłaś. A tak naprawdę twoje tłumaczenia niewiele się różnią od komend, jakie się wydaje tresowanemu psu. I to, proszę szanownej pani, wcale mi się nie podoba. Albo szanujesz mnie na tyle, że opowiadasz mi wszystko od samego początku, żebym zrozumiał, co się tu, do cholery, dzieje, albo kup sobie psa, a mnie daj święty spokój.

– Obraziłeś się?

Nastia przykucnęła obok Loszy, oparła podbródek na jego kolanach, objęła muskularne łydki.

– Obraziłeś się, tak? – powtórzyła. – Wybacz mi, Loszyk. Jestem podła, jestem winna, ale się poprawię, teraz, zaraz. Tylko się nie gniewaj, błagam cię, nie mam na świecie nikogo bliższego i droższego niż ty i jeśli się pokłócimy, zwłaszcza teraz, kiedy wszystko się tak pokomplikowało, będzie mi bardzo ciężko. No, powiedz, że mi przebaczyłeś.

Nastia odruchowo znajdowała i wypowiadała odpowiednie słowa, wybuch Loszy wcale jej nie uraził. Wiedziała, że prędzej czy później coś takiego nastąpi. Losza nie zniesie długo traktowania jak piątego

koła u wozu, ale miała nadzieję, że sytuacja się wyjaśni, zanim on straci cierpliwość. Przeliczyła się, a w dodatku Łarcew swoim wariackim wyskokiem napędził Loszce strachu. Jasne, że Loszka się wystraszył, trudno się było nie wystraszyć, i po czymś takim jest całkiem naturalne, że człowiek chce przynajmniej wiedzieć, za co mogą go zastrzelić. Zachowujesz się po świńsku, wyrzucała sobie. Głupia, zarozumiała babo, usiłujesz walczyć z widmem i zapominasz o zwykłych ludzkich uczuciach, z których najsilniejsze to miłość i strach. Ściągnęłaś Loszkę do swego mieszkania, nie myśląc o tym, że on się pewnie tak samo boi jak ty owej pierwszej nocy, kiedy zastałaś otwarte drzwi. To, że zmieniłaś zamek, nie zażegnało niebezpieczeństwa: skoro potrafili zdobyć stary klucz, to zdobędą i nowy. I Loszka tkwił tu całymi dniami sam na sam ze swoim lękiem i zachowywał spokój jak na mężczyznę przystało. Co więcej, cała sytuacja wskazuje jednoznacznie, że wpakowałaś się w coś poważnego, i Loszka żył w ciągłym strachu o ciebie, uspokajając się, tylko kiedy wracałaś wieczorem do domu, a tobie, podła egocentryczko, nawet do głowy nie przyszło, żeby zadzwonić do niego w ciągu dnia, dać mu znać, że jesteś cała i zdrowa. Miłość i strach. Lenoczka Łucznikowa i jej mąż łajdak. Działacz partyjny Aleksander Aleksiejewicz Popow i jego nieślubny syn Sierioża Gradow. A potem polityk Siergiej Aleksandrowicz Gradow i piękna, nieszczęsna Wika Jeriomina, alkoholiczka i prostytutka. Gradow i widmo...

Aparatura analityczna w jej głowie działała bez przerwy, i nawet roztrząsając swoje relacje z Loszą, Nastia nieustannie powracała do myśli o zabójstwie Jeriominej. To nawet lepiej, że musi opowiedzieć teraz wszystko po kolei, Loszka jest słuchaczem uważnym i wnikliwym, dostrzeże w jej podsumowaniu każdy słaby punkt.

– Przyjechało kiedyś do Moskwy dwoje prowincjuszy, Lena i Witalij – zaczęła, usadowiona wygodnie przy kuchennym stole, ściskając skostniałymi palcami filiżankę z gorącą kawą.

Szczegółowa opowieść o wydarzeniach siedemdziesiątego roku trwała prawie pół godziny. Przed przejściem do sprawy zamordowania Wiki Nastia zatrzymała się na wydawnictwie „Kosmos”.

– Z zasady nie zwracają autorom rękopisów. To znaczy autor może odebrać swoje wiekopomne dzieło w każdej chwili, ale jeżeli sam nie przyjdzie po nie, nikt palcem nie kiwnie, żeby mu odesłać maszynopis. Oszczędzają na znaczkach pocztowych. Te niewykorzystane prace gdzieś znikają, a potem oddzielne epizody lub pomysły w nich zawarte pojawiają się w utworach znanego zachodniego beletrysty Jeana-Paula Brizaca, którego thrillery rozchodzą się w ogromnych nakładach i mają sporą rzeszę czytelników. Śledczy Smielakow, który postanowił na starość chwycić za pióro, opisał w swojej książce historię zabójstwa Witalija Łuczniakowa i ukrycia świadków zbrodni. Zaniósł maszynopis do „Kosmosu”, skąd został on przesłany do tajemniczego Brizaca, po czym zmaterializował się jako książka *Sonata śmierci*. Rzecz jasna, powieść Smielakowa była chropawa, jak to bywa z pierwszymi utworami dyletantów, a spod pióra mistrza Brizaca wyszła prawdziwa perełka w kolorowej okładce, ale fakt popełnienia plagiatu nie podlega dyskusji. Dalej. W jakiejś audycji radiowej, poświęconej nowościom literackim, czytają w przekładzie na rosyjski fragmenty nowego bestselleru. I jak na złość Wika Jeriomina słucha tej audycji. To, co dwadzieścia trzy lata temu zdarzyło się w jej domu, to, co widział na własne oczy i opisał w swej powieści śledczy Smielakow, znalazło się w nieśmiertelnym dziele tajemniczego Brizaca jako jeden z najbardziej efektownych i przerażających epizodów *Sonaty śmierci*, który przedstawiła w celach reklamowych radiostacja, nadająca dla rosyjskojęzycznego audytorium. Ale Wika odebrała to całkiem inaczej. Ta scena na zawsze utkwiała w jej dziecięcym mózgu i chociaż dziewczyna nie ma pojęcia, skąd się to wzięło, krwawe smugi i nakreślony zieloną krawiecką kredą klucz wiolinowy śnią się jej przez całe życie. Kiedy więc usłyszała opis swojego snu w radiu, ogarnęła ją groza. Teraz wydarzenia potoczyłyby się według typowego scenariusza i Wika najprawdopodobniej zostałaby uznana za chorą psychicznie, gdyby w sprawę nie wmieszał się Walentin Kosar. Jako człowiek gadatliwy, towarzyski, a przede wszystkim wrażliwy i życzliwy ludziom, opowiadał o dziwnej chorobie Wiki, komu się dało, w tym również swemu koledze Bondariencie, zatrudnionemu w „Kosmosie”. A Bondarienko przypomniał sobie, że o nieszczęsnym zielonym

kluczu wiolinowym gdzieś już czytał. Ktoś inny puściłby to mimo uszu, ale nie Kosar. Postanowił zadzwonić do Kartaszowa i opowiedzieć mu o rozmowie z Bondarienką.

Nastia przerwała i dołała sobie kawy.

– Postanowił? I co dalej? – niecierpliwie spytał Losza.

– Dalej to już same spekulacje. Przypuszczam, że zadzwonił. Borysa w tym czasie nie było, Kosar nagrał się na sekretarkę. Wika, która miała klucze od mieszkania Kartaszowa, przyszła tam, przesłuchała nagrania na sekretarce, w tym wiadomość od Kosara, i nawiązała kontakt z Bondarienką. Ten próbował odnaleźć tekst, ale bez powodzenia. Chciał jednak pomóc ładnej dziewczynie, toteż zaproponował, że pojedzie z nią do Smielakowa, autora zaginionego maszynopisu. Umówili się, że pojedą za dwa dni, w poniedziałek, ale w poniedziałek Wika się nie zjawiła i Bondarienko na swoje szczęście o niej zapomniał. Po tygodniu zaś znaleziono Wikę uduszoną, ze śladami tortur. Przy czym znaleziono ją niedaleko osady, w której mieszka Smielakow. Można założyć, że jednak do niego pojechała, chociaż z jakiegoś powodu nie z Bondarienką.

– Zaczekaj. – Losza zmarszczył brwi. – Nie rozumiem, co tu jest faktem, a co domysłem.

– Kosar zamierzał dzwonić do Kartaszowa, to fakt, mówił o tym sam Bondarienko. Wika miała klucze do mieszkania Kartaszowa, to też ustalono. Widziała się z Bondarienką, ten szukał na jej prośbę maszynopisu, nie znalazł, więc umówił się z nią, że ją zawiezie do Smielakowa, co wynika z zeznań tegoż Bondarienki. Natomiast to, że Kosar zadzwonił do Borysa i podał mu namiary Bondarienki, a Wika była w mieszkaniu Kartaszowa i odsłuchiwała nagranie, to tylko domysły.

– Cóż, w porównaniu z liczbą faktów twoich domysłów nie jest znów tak wiele. I bardzo pasują do faktów. Mów dalej.

– A dalej nie wiem. Tyle tylko, że ktoś, komu bardzo zależy, żeby wydarzenia siedemdziesiątego roku nie wyszły na jaw, dowiaduje się, że Wika była w wydawnictwie i w poniedziałek ma jechać do Smielakowa. Wika nie ukrywa swego zainteresowania zaginionym tekstem, nie ukrywa również tego, skąd ma telefon Bondarienki. Kolejny fakt, ustalony z całą pewnością: nagranie wiadomości od Kosara zostało z sekretarki wykasowane. Zakładam, ale to tylko

domysł, że ludzie, którzy przetrzymywali Wikę przez cały tydzień, zanim ją zamordowali, zabrali jej klucze od mieszkania Borysa, poszli tam i zniszczyli nagranie. A potem zabili Kosara.

– Jak to zabili?!

– Przejechali go. Kierowca uciekł z miejsca wypadku i do tej pory go nie odnaleziono. Kosar zginął na miejscu. Wika i Kosar nie żyją, nagranie skasowano i w ten sposób wszystkie ślady prowadzące do „Kosmosu” zostały zatarte.

– I po cóż tyle starań?

– Gdybym to ja wiedziała! Ale to jeszcze nie wszystko. Z chwilą wdrożenia śledztwa w sprawie morderstwa dołożono jeszcze większych starań, aby sprawcy nie zostali wykryci. Najpierw narzucono oficerom dochodzeniowym hipotezę, że Wika postradała zmysły, wyszła z domu, udała się w nieznanym kierunku i wpadła w łapy jakiegoś złoczyńcy. Potem, kiedy wypłynęła postać Brizaca i podejrzenia choroby psychicznej Wiki odpadły, zaczęto wywierać bezpośrednią presję najpierw na mnie, a potem na Łarcewa. Rezultat widziałeś dziś w nocy na własne oczy.

– Ale co ma tu do rzeczy Łarcew?

– Zmusili Wołodę, żeby fałszował zeznania świadków, co miało uwypuklić dogodną dla nich wersję wydarzeń. Kiedy to zawiodło, wzięli się do mnie, ale ty mi pomogłeś wytrwać przez jakiś czas. Są bardzo ostrożni, Loszyk. Z Łarcewem mieli już do czynienia i wiedzą, że z lęku o dziecko zupełnie traci rozsądek. Zachowuje się wobec nich nie jak profesjonalista, ale jak ojciec, który dla bezpieczeństwa swojej córki robi wszystko, co mu się każe. Znaleźli jego słabe miejsce, doskonale poznali jego psychikę. Co zrobić ze mną, na razie nie bardzo wiedzą, zachowuję się głupio i nietypowo, i jeszcze się nie połapali, czy naprawdę jestem głupia, czy po prostu bardzo przebiegła. Dlatego na wszelki wypadek postanowili wyciągnąć kasztany z ognia cudzymi rękami. Porwali córeczkę Łarcewa i kazali mu zmusić mnie, żebym zrobiła to, o co im chodzi. No bo skoro Wołodia dotychczas był im posłuszny, to będzie posłuszny nadal. A co do mnie, nie mają żadnych gwarancji.

– Nie wiem – wzruszył ramionami Losza. – Ja bym na jego miejscu...

– Właśnie – szorstko przerwała mu Nastia. – Ty byś. Ale ty jesteś Loszą Czistiakowem, z własną mentalnością i własnym doświadczeniem życiowym. A on jest Wołodią Łarcewem, z własnym życiem, z własnymi stratami i systemem wartości, z własnym charakterem i doświadczeniem. Ludzie są różni, toteż różnie postępują. Wiele naszych nieszczęść bierze się właśnie z tego, że usiłujemy mierzyć innych własną miarką.

– Kiedy oddadzą Łarcewowi córkę? Czy my oboje możemy coś zrobić, żeby to nastąpiło jak najszybciej?

Nastia nie odpowiedziała. W milczeniu wpatrywała się w resztki kawy w filiżance, jakby oczekiwała, że znajdzie tam odpowiedź na pytanie Loszy.

– Słuchasz mnie? – powtórzył natarczywie. – Co możemy zrobić, żeby uratować małą?

– Boję się, że nic – ledwie dosłyszalnie odrzekła Nastia.

– Jak to?

– Wiemy z doświadczenia, że zakładników się nie oddaje.

– I mówisz to tak spokojnie?! To niemożliwe, żeby nic się nie dało zrobić. Nie wierzę ci. Po prostu dałaś za wygraną i nic nie potrafisz wymyślić. Otrząśnij się, Nastiu, trzeba przecież działać!

– Przymknij się – ucięła ostro Nastia. – Widać źle mnie znasz, skoro myślisz, że mogę dać za wygraną. Dziewczynka jest za duża, żeby mogli odesłać ją do domu. Gdyby miała dwa, trzy lata – byłaby szansa, bo jako świadek nie przedstawiałaby żadnej wartości. A jedenastolatka wszystkich zapamięta i szczegółowo opíše. I opowie, czym ją żywili, o czym między sobą rozmawiali, jakich ulubionych powiedzonek używali i jaki był widok z okna, i jakie odgłosy dobiegały z ulicy, i jeszcze masę innych rzeczy. A wtedy znalezienie ich to tylko kwestia cierpliwości i techniki. Dlatego właśnie porywacze nigdy nie oddają zakładników. Ale istnieje jeszcze jedna reguła i pozostaje nam tylko liczyć na to, że ta reguła zadziała.

– Jakaż to reguła?

– Po tygodniu ciągłego obcowania z porwanym kidnaperowi trudno się zdobyć na zabicie go. Porywacz i ofiara przywykają do siebie nawzajem, wytwarza się między nimi pewna więź. I im dłużej przetrzymuje się ofiarę, tym trudniej ją zabić. A wtedy dla nas

pojawia się wprawdzie maleńka, ale zawsze szansa. Oczywiście ci ludzie nie uwolnią dziewczynki tak po prostu, ale i nie zabiją, przynajmniej nie od razu. Łarcew nie chce tego zrozumieć, jest w rozpacz i musi im wierzyć. Jeżeli są to doświadczeni gangsterzy, to najprawdopodobniej dziewczynka już nie żyje.

– Jesteś straszna – jęknął Losza. – Jak w ogóle możesz spokojnie rozmawiać o takich rzeczach?

– Może jeszcze powiesz, że jestem potworem moralnym? Po prostu mam więcej zimnej krwi i rozsądku niż Łarcew. Może dlatego, że jestem bezdzielna, tu Wołodia ma rację. I sytuacja się nie zmieni, jeśli zacznę sobie rwać włosy z głowy, szlochać i lamentować. Jeżeli dziewczynka nie żyje, możemy robić wszystko, co uznamy za stosowne, ale ryzykując, że Łarcew tu wpadnie i nas pozabija. Jeżeli jednak mała jeszcze żyje, musimy siedzieć cicho jak mysz pod miotłą, żeby, nie daj Boże, nie sprowokować przestępców, i modlić się, abyśmy zdołali pociągnąć tę grę jak najdłużej. Każdy dzień, każda dodatkowa godzina, którą Nadia z nimi spędza, to oczywiście dla niej traumatyczne przeżycie, to dni i godziny nieustannego strachu, ale też nadzieja na to, że pozostawią ją przy życiu. No i właśnie próbuję wymyślić, jak przedłużyć ten czas, nie budząc ich podejrzeń. A ty mi urządzasz awantury, bo chcesz słuchać wiadomości w radiu.

– No, nie gniewaj się, staruszek. Umówmy się, że oboje nie mieliśmy racji. Ale przyznaj...

Losza nie dokończył, bo przerwał mu dzwonek telefonu.

– Jak się czujesz, Stasiu? – z troską zapytał Pączek.

– Źle, pułkowniku. Była lekarka, dała mi dziesięć dni zwolnienia, kazała leżeć, spać i nie denerwować się.

– Tylko pozazdrościć – westchnął Pączek. – A na mnie tu wylewają kubły pomyj.

– Kto?

– Przede wszystkim Olszański. Wyobraź sobie, wezwał go szef i opieprzył za sprawę Jeriominej. Krzyczał, że jak się nie potrafi wykryć winnego, to należy się uczciwie do tego przyznać i zawiesić śledztwo, a nie stwarzać pozory aktywności. Poprosił, żeby mu przynieść akta, osobiście je przeczytał, wytknął Olszańskiemu, że od szóstego grudnia w teczce nie przybył ani jeden nowy dokument,

zwymyślał Kostię od nierobów i kazał natychmiast sporządzić decyzję. Kostia oczywiście rzucił się z pretensjami na mnie, a ja na niego. Moi wywiadowcy są zawaleni robotą po czubek głowy, ledwie patrzą na oczy, a tacy śledczy jak on tylko przeciągają sprawę, sami nic nie robią, czekają, aż oficerowie operacyjni odwalą za nich całą robotę. I tak się pożegnaliśmy. Potem przyleciał do mnie z pyskiem Gonczarow, szef „krawężników”. Darł się, że brakuje mu ludzi i jeżeli nie zdobędę podpisu samego generała, to on zdejmuje swoich chłopców z naszych obiektów. Tak że wszyscy, którzy zajmują się sprawą Jeriominej, zostaną bez osłony.

– No to niech pan załatwi podpis generała, w czym problem?

– Byłem u niego.

– I co?

– Wyszedłem z niczym. I jeszcze się nasłuchałem i o sobie, i o tobie, i o wszystkich świętych. Może jeszcze o tym nie wiesz, ale zamordowano prezesa zarządu banku Unic, więc to jest teraz sprawa priorytetowa, wszystkie siły rzucamy tam, a jak spróbujesz rozwiązywać zabójstwo jakiejś prostytutki, to będziesz miała tylko kupę kłopotów i same pretensje. Tak to wygląda.

– No, nieźle – rzekła współczująco Nastia. – Ma pan za swoje.

– Właśnie. Ale wydaje mi się, dziecino, że ktoś tu naciska wszystkie guziki, żebyśmy umorzyli sprawę Jeriominej.

Wszystko przepadło, pomyślała Nastia, ogarnięta nagłym chłodem. Co go podkusiło, żeby o tym mówić? Nic nie zrozumiał. Albo ta lekarka niczego mu nie przekazała. Wszystko na nic.

– I... Co teraz? – spytała ostrożnie.

– A nic. Sprawę i tak mieliśmy umorzyć, sama mi rano powiedziałaś, że wyczerpałaś wszystkie możliwości, a i Kostia Olszański w zasadzie podziela tę opinię. Po prostu obaj nie lubimy, jak wywiera się na nas presję. Na starość zrobiłem się krnąbrny. Kiedy człowiek sam podejmuje decyzję, to jedno, a całkiem co innego, kiedy ktoś go do tego zmusza. Już nie te czasy, żeby z dawnym apetytem zreć takie gówno. Jak zwierzchnicy mnie naciskają, aż mnie korci, żeby im zrobić na przekór.

– Ależ, Wiktorze Aleksiejewiczu, zwierzchnicy są ci sami co dawniej, skąd by mieli nabrać innych nawyków? Więc też działają

po dawnemu. Niech się pan tym nie przejmuję, zdrowie jest ważniejsze – powiedziała Nastia.

– Co prawda, to prawda. Cóż, wypłakałem ci się w mankiet i trochę mi ulżyło. Może czegoś potrzebujesz? Coś do jedzenia, leki?

– Dziękuję, jest u mnie Losza, więc na niczym mi nie zbywa.

– Słuchaj, a może zawiózłbym cię do mojego teścia do kliniki na konsultację? Z sercem nie ma żartów.

Teść Gordiejewa, profesor Woroncow, był szefem największego centrum kardiologii i jako lekarz cieszył się międzynarodowym autorytetem.

– Nie trzeba, jeszcze nie umieram – zażartowała Nastia. – Poleżę parę dni i wszystko mi przejdzie.

– Ale uważaj na siebie. W razie czego dzwoń.

Odłożywszy słuchawkę, Nastia usiadła na kanapie, by uspokoić szaleńczo kołaczące serce. Pączek przystąpił do gry. Czas, żeby i ona, Nastia, zrobiła swój ruch.

Jewgienij Morozow po rozmowie z Nastią z satysfakcją powrócił do swego prywatnego śledztwa. Przede wszystkim postanowił jednak odszukać Aleksandra Djakowa, który nie wiadomo gdzie się podział, i w tym celu wybrał się do okręgu północnego, gdzie Djakow był zameldowany i gdzie mieszkał niezawodny informator Morozowa. Informator nazywał się dość oryginalnie – Nafanań Anfiłochijewicz, ale znajomi mówili nań Nafania. Z czasem do śmiesznego skróconego imienia doszedł przydomek „dziad”.

Odsiadek dziad Nafania miał za sobą bez liku, ale nie należał do przestępczej elity, wyroki były głównie za chuligańskie wybryki po pijanemu, w krótkich przerwach między odsiadkami rzetelnie pracował, choć, co prawda, pił równie rzetelnie. Natura obdarzyła Nafanię wspaniałym zdrowiem i mimo systematycznego picia dziad nie popadł w alkoholizm. Na starość postanowił osiąść w pobliżu dzieci i wnuków, i chociaż wiedział, że rodzina nie darzy go miłością, mimo wszystko miał nadzieję, że gdy zniedołężnieje, bliscy nie zostawią go, by zdychał pod płótem.

Emerytury przez ciągłe przesiadywanie za kratkami się nie dosłużył, toteż mimo podeszłego wieku nadal w miarę sił pracował jako dozorca w trzech różnych miejscach, w systemie „co trzy

doby”. No i dorabiał na boku. Mając taką listę wyroków, trzeba przecież płacić za przedłużanie moskiewskiego meldunku.

Morozow poznał Nafanię jeszcze jako starszy lejtnant, i dlatego dziad zwracał się doń per „starszy”. Ich stosunki układały się dość harmonijnie, były raczej ciepłe niż chłodne. Nafania nie miał wobec Morozowa żadnych zobowiązań, ale spośród wszystkich funkcjonariuszy milicji, którzy korzystali z usług dziada, „starszy” był jedynym, który płacił, po pierwsze – zawsze, po drugie – gotówką, a co najważniejsze – od razu, nie odkładając na później.

– Czołem, starszy – powitał kapitana Nafania, widząc znajomą postać w holu zakładu, w którym tego dnia stróżował.

– Cześć, dziadku. – Morozow życzliwie skinął głową. – Jak żyjesz?

– Żyję, ale co to za życie – wygłosił tradycyjną formułkę Nafania.

– Czemu zawdzięczam ten zaszczyt?

– Tak wpadłem, pogadać, herbatki się napić. Poczęstujesz mnie?

– Czemu nie, mogę. Dzisiaj się krócej pracuje, o pierwszej wszyscy rozejdą się do domów, więc i herbatkę wypijemy w spokoju, i pogwarzyśmy. Chyba że ci się pali?

– No, może się nie pali, ale trochę mnie przypiliło – wyznał kapitan.

– No tak. – Dziad zachichotał z satysfakcją. – Jak was przypili, to wszyscy do Nafani jak w dym, bez niego jak bez ręki. Siadaj tu na foteliku, ale przysuń się, przysuń się do mnie bliżej, żeby nam było wygodniej gadać i żebyś mógł dosięgnąć do telefonu. Co za czasy! – Stary uśmiechnął się tryumfalnie. – Milicja do mnie przychodzi, nie przymierzając jak na jakie przyjęcie, a ja proszę ją siadać w fotelu. Całkiem jak u przewodniczącego komitetu w dawnych dobrych latach. No, wal, starszy, z czym cię tak przypiliło.

Gadanina starego nie zamydliła oczu Morozowowi. Zbyt długo znał Nafanię, żeby przywiązywać wagę do jego ostentacyjnej radości z wizyty usadowionej „na foteliku” milicji. Kapitan wiedział, że życzliwe deklaracje mają ukryć napięty wysiłek myślowy: po co starszy przyszedł, co można mu powiedzieć, a czego nie, żeby nie rozgniewać drugiej strony.

– Szukam jednego chłopaka, Saszy Djakowa. Gdzieś zniknął i nie możemy go znaleźć.

– A po co go szukasz? Ten cały Djakow coś przeszkrobał, czy tak z ciekawości?

– Nie wciskaj mi kitu, dziadku! Dobrze wiesz, że zajmuję się poszukiwaniem osób zaginionych. Jak ktoś zaginie, to go szukam i nie pytam, co i gdzie przeszkrobał. Moją rzeczą jest go znaleźć.

– A dlaczego akurat tutaj go szukasz?

– Bo tu jest zameldowany, w okręgu północnym. To przecież milicyjne ABC: zaczynać od miejsca zamieszkania, od rodziców i kolegów.

– I co, zaliczasz mnie do jego rodziców? Czy może kolegów?

– Dobra, dobra, dziadku, dość tych żartów. Możesz mi jakoś pomóc?

Dziad Nafania w jednej chwili stał z oblicza szyderczy uśmieszek. Nazwisko Saszy Djakowa nie obilo mu się o uszy, toteż uspokoił się i zaczął na serio kombinować, jak pomóc starszemu.

– Gdzie mieszka?

Usłyszawszy, pod jakim adresem zameldowany jest Djakow, dziad bez wahania wymienił kilka miejsc, w których gromadzą się miejscowi młodzi ludzie, oraz podał kapitanowi nazwisko człowieka, który „ma pod sobą” ten teren i wszystko o wszystkich wie.

– Jeżeli on nie wie, to nikt nie będzie wiedział – zapewnił kapitana. – Tylko nie waż się mówić, że jesteś z milicji albo że przychodzisz ode mnie. Najpierw idź do Saida, on rządzi na bazarze, możesz się na mnie powołać, a on, jak zechce, to cię zaprowadzi do tego gościa. Ale z Saidem trudno się dogadać, bardzo nieufny, pojęcia nie mam, co tu wymyślić, żeby cię przyjął.

– Nie bój nic, dziadku, przekonam twojego Saida. Nie urodziłem się wczoraj. A może już nie pamiętasz, ile razy dawałeś mi takie namiary? I ani razu nie było żadnej wpadki. I ciebie też ani razu nie podłożyłem. Nie chodzę przecież do nich z pustymi rękami, stary wróbel ze mnie.

– Co prawda, to prawda – przytaknął dziad Nafania, nasypując do czajniczka herbaty i zalewając ją wrzątkiem. – Z tobą, starszy, zawsze czuję się spokojny, twoje słowo jak skała. Jesteś gliną starej daty, teraz prawie już takich nie ma, powymierali. A te młodziaki –

co oni wiedzą o prawdziwej robocie? Nawet nie potrafią rozmawiać z nami, starymi. Wolisz mocniejszą?

Dziad nalał do szklanek esencji, dopełnił wrzątkiem, otworzył pudełko z cukrem, wyjął skądś spod stolika foliową torebkę z obwarzankami.

– Nie obrażaj mnie, dziadku – powiedział z wyrzutem Morozow, wyciągając ze sportowej torby duże, okrągłe pudełko z obrazkiem przedstawiającym łyżwiarzy na lodowisku. – Ja z gębą po kweście nie chodzę. Częstuj się, to holenderskie herbatniki.

– To rozumiem – ożywił się Nafania. – Ludzie niedługo się rozejdą, a wtedy walniemy sobie po kropelce do herbaty z okazji nadchodzącego nowego roku. Dobrze! – pochwalił, otworzywszy pudełko i wpakowawszy do ust kilka herbatników naraz.

– Na zdrowie. – Morozow uśmiechnął się. – A co do młodych, to masz stuprocentową rację. Nie ma już starej szkoły, ci nowi nic nie umieją. Cholera wie, albo ich już tego nie uczą, albo oni sami nie chcą. Kiedyś, kiedy trzeba było utrzymać wysoki poziom wykrywalności, człowiek dwoił się i troił, żeby wykryć przestępstwo. Jak zaniżyłeś wskaźniki, to ci dawali nagane, a nawet degradowali. Jedna nagana – i walili po premii. Pięć nagan, skreślenie z listy oczekujących na mieszkanie i tak dalej. Twardo trzymali nas za pysk, toteż się staraliśmy. A teraz wykrywalność wszyscy mają w dupie, bezpłatne mieszkania się skończyły, partię rozwiązano, kogo się tu bać? No i młodzi pracują aby zbyć i nie chcą się niczego uczyć. A na nas, starszych, patrzą z góry.

– Oj, to-to – podchwycił stary – słusznie mówisz, nic nie umieją, a co najgorsze – nie chcą się uczyć. Przyłazł tu do mnie taki jeden i mówi, że do tutejszego komisariatu przyjdzie chłopaczek, na miesiąc, niby na praktykę, to pomóż mu, powiada, Nafanaile Anfiłochijewiczu, żeby się wykazał, żeby zakończył praktykę z najlepszą oceną. No, pomyśl tylko, starszy, jak ten świat się musiał zmienić, skoro milicja zwraca się do recydywisty, żeby pomógł za frajer zrobić wysoką wykrywalność, żeby potem ten „wykrywacz” raz, dwa dostał dobrą posadkę za wybitne osiągnięcia w nauce. Jeszcze gdyby mnie poprosił, żebym go tego czy owego nauczył, teren pokazał, opowiedział co i jak, kto ma jakie układy, podpowiedział w razie czego, jednym słowem gdyby ten chłopaczek

przyszedł tu pracować i trzeba by go było wprowadzić w robotę, to bym zrozumiał. Ale pomagać robić lipne osiągi? Całkiem już wstydu nie mają.

– A co to za chłopaczek? – zainteresował się Morozow. – Pomogłeś mu?

– Nie było okazji, dzięki Bogu.

– Jak to?

– Nie pojawił się. Mówili, że przyjdzie od pierwszego grudnia, a do tej pory nic. Może się rozmyślili albo skierowali go na praktykę gdzie indziej. A poza tym – rozzłościł się stary – zrobili się strasznie niesłowni. Przyszedł taki, umówił się ze mną i tyle go widziałem. Skoro jestem niepotrzebny, bo chłopak nie przyszedł na praktykę, to rusz, jeden z drugim, tyłek, pofatyguj się do mnie i powiedz: przepraszamy, zaszło nieporozumienie, pańskie usługi nie będą potrzebne. Mnie tam w zasadzie wszystko jedno, nie przyszedł, to trudno, ale porządek musi być. Co nie, starszy?

Słowa dziada Nafani docierały do Morozowa jak przez watę. Przypomniał sobie, co mówił stażysta Mieszczerinow: „Trafiłem na Pietrowkę w ostatniej chwili. W ogóle to miałem odbywać staż w okręgu północnym w komisariacie timiriaziewskim”.

Kim musi być zwykły słuchacz szkoły milicyjnej, żeby tak się o niego troszczyć? Co najmniej synem ministra spraw wewnętrznych. Albo... A on, głupi, się dziwił, że siuśmajtka zrezygnowała ze sprawy, dała za wygraną. A może to stażysta popsuł jej szyki? Może tak samo jak on, Morozow, ukrywał przed nią informacje, tylko w innym celu? Odpowiedź na to była nie tylko nieprzyjemna. Była bardzo niepokojąca.

Jeszcze straszniejszy jednak wydawał się kapitanowi jutrzejszy dzień. Jeżeli niewykryciem morderstwa są zainteresowane takie siły, to jutrzejszego dnia on, Jewgienij, może już w ogóle nie zobaczyć. Szedł jak burza, dumny ze swego profesjonalizmu, wytrwałości i doświadczenia, z tego, że udało mu się na wirażu wyprzedzić siuśmajtkę Kamieńską. A okazuje się, że stąpał po skraju przepaści i po prostu cud boski, że jeszcze żyje.

Jak nie dziś, to jutro dziad Nafania powie, komu trzeba, że wypytywano go o Saszę Djakowa, a wtedy Morozow przeżyje na tym świecie najwyżej dobę. Prosić starego, żeby nic nie mówił?

Wtedy tym bardziej poinformuje swego protektora z miejscowej milicji, a może i nie tylko jego.

– Co ci jest, starszy? – zapytał głośniejsze Nafania. – Nad czym tak się zamyśliłeś?

– Nad niczym – ospale odrzekł kapitan. – Nad życiem. Zmęczony jestem, czas przejść na emeryturę. Wysługę mam, nie ma co ciągnąć dalej, tak czy owak z nowymi, młodymi, nie znajdę wspólnego języka. Przyszedłem do ciebie szukać chłopaka, a tymczasem myślę tylko o tym, że powinienem zrobić inspekty na działce, sam nie umiem, a nie mam forsy, żeby kogoś wynająć. A zresztą w ogóle...

Po wyjściu na ulicę Jewgienij zaczerpnął chłodnego powietrza i nabrał nieco otuchy. Postanowił przypomnieć sobie, co wie o Olegu Mieszczerinowie, jak ten chodzi, jak mówi, jak pracuje.

Mimo, że bardzo wyteżała pamięć, nie mógł jednak dostrzec nic, co świadczyłoby o tym, że stażysta w jakiś sposób sabotował ich pracę. Natomiast zrozumiał nagle z porażającą jasnością, że siusmajtka nikomu nie ufała, w tym także stażystcie.

Czyli już wtedy wiedziała, że ten jest „z przeciwnego obozu”? Bardzo szybko kapitan zaplątał się w tych rozważaniach i zgubił wątek; nie potrafił zgłębiać skomplikowanych kombinacji, brakowało mu precyzji i zdolności analitycznych. Zwymyślał się w duchu za głupotę i spróbował zacząć wszystko od początku, gdy nagle zrozumiał, że to nie ma sensu. Przestępcy nie są już tacy jak kiedyś. I nie można działać przeciwko nim starymi metodami. To jest, można, oczywiście, ale obecnie to nie wystarczy. Dziś potrzebni są ludzie tacy jak Kamieńska, która całymi dniami i nocami wertuje książki w obcych językach i po trzy razy czyta archiwalne akta sprawy sprzed dwudziestu lat. A on, stary dureń, chciał gołymi rękami, w pojedynkę rozwiązać zagadkę morderstwa i uporać się z machiną, która ma nawet własnych studentów stażystów. Nie, to prawdziwy cud, że jeszcze żyje.

Kapitan Morozow wszedł do metra, wysiadł na stacji Czechowska i ruszył na Pietrowkę 38.

Ale jeszcze zanim zdążył wejść na ruchome schody, informacja o tym, że kapitan Morozow szuka Saszy Djakowa, dotarła do właściwych uszu, i z informacji tej wyciągnięto odpowiednie wnioski. Dziad Nafania rzetelnie zapracowywał na swą spokojną

starość. I w odróżnieniu od kapitana Morozowa, do nowego pokolenia kryminalistów przystosował się już dawno.

Świdrujące jasne oczka Arsena ciskały błyskawice. Czuł od samego początku, że ta sprawa dobrze się nie skończy. Wszystko, wszystko było nie tak, wszystko szło niezgodnie z opracowanym schematem, i oto rezultat. Nie trzeba się było do tego brać, nie trzeba!

Pierwszym błędem było to, że włączył się w robotę zbyt późno. Ci, którzy korzystali z usług firmy nie po raz pierwszy, wiedzieli, że najlepiej jest zwrócić się do Arsena nie po dokonaniu przestępstwa, ale przed. Doświadczeni konsultanci podpowiedzą, co i jak należy zrobić, żeby potem móc się ograniczyć do minimalnych nacisków na minimalną liczbę osób. Im mniej roboty, tym mniejszy dochód, ale i ryzyko mniejsze – to było dla Arsena oczywiste i tego się trzymał. Dlatego za takie konsultacje pobierał olbrzymie honoraria. Idealni klienci zasięgali jego rad nie tylko w kwestii „jak” coś zrobić, ale również „kiedy” i „gdzie”, i Arsen wyznaczał porę i miejsce odpowiednio do grafiku dyżurów „swoich” ludzi, którzy mieli przyjechać na miejsce zajścia. Dewiza Arsena: „działaj z wyprzedzeniem” sprawdzała się zawsze i we wszystkim. A w wypadku Gradowa włączył się do akcji w kilka dni po dwóch morderstwach, a w dodatku okazało się jeszcze, że przed zamordowaniem dziewczynę przetrzymywano w domu na wsi. Jednym słowem, ludzie Gradowa działali nieprofesjonalnie i zostawili mnóstwo śladów, których tylko ślepiec by nie zauważył. Wysiłki trzeba było więc skupić głównie na zacieraniu i gmatwaniu tych śladów.

Drugi błąd Arsen popełnił, zgadzając się na wykorzystanie ludzi Gradowa. Nie wolno było tego robić, należało nalegać, by całą robotę wykonała jego własna brygada, a nie chłystki głupiego „Ojca Chrzestnego”. Gradow jest skąpy, więcej – potwornie chciwy, i kasy, którą płaci wujkowi Koli, nawet nie ma co porównywać z kolosalnymi stawkami, ustalonymi przez Arsena. Postanowił zaoszczędzić pieniądze, wymógł na Arsenie, że pracować będą jego chłopcy, i ten się zgodził. I okazało się, że zrobił źle.

Trzecim błędem Arsena było puszczenie mimo uszu narzekań Gradowa, że niepotrzebnie wdał się w konszachty z jego firmą.

Przecież Siergiej Aleksandrowicz aż dwukrotnie się wygadał, że ma dojścia do grupy kontrolującej biuro śledcze prokuratury i że powinien być się zwrócić do nich, a nie do Arsena. Już kiedy Gradow zająknął się o tym po raz pierwszy, trzeba go było natychmiast ostro osadzić, a jeszcze lepiej dać bolesną nauczkę. Ileż wysiłków kosztowało Arsena stworzenie małych, niezależnych agencji o absolutnie niekrzyżujących się strefach wpływów! A teraz wystarczy, by ktoś powziął podejrzenie, że sieć obejmuje cały system organów ścigania – i w niebezpieczeństwie znajdzie się nie tylko ta filia, w której on pracuje, ale cały system.

Dopiero co zameldowano Arsenowi, że do Kamieńskiej dzwonił jej szef i z rozmowy wynikało jasno, że Gradow uruchomił jakieś dodatkowe sprężyny, nie wierząc, że on, Arsen, potrafi doprowadzić sprawę do końca. Co za bezczelność, w głowie się nie mieści! Nie tylko naruszono zasady bezpieczeństwa, ale i zdraśnięto miłość własną Arsena. Arsen wiedział, że w takim wypadku należy natychmiast zerwać umowę z klientem, nawet wypłacić mu odszkodowanie, albo i nie płacić, ale przykładowo ukarać za złamanie reguł bezpieczeństwa, żeby inni mieli nauczkę na przyszłość. Z Gradowem powinno się skończyć jak najszybciej, ale, niestety, Arsen zmuszony był przyznać, że to nie takie proste. Posunięcie Siergieja Aleksandrowicza doprowadziło do określonych następstw, fala tych następstw dotarła do Kamieńskiej, i teraz trzeba zrobić wszystko, żeby wycofać się z afery z jak najmniejszymi stratami.

Kamieńska uważa, że wywiera na nią presję zabójca Jeriominej. Jeżeli ta presja nagle ustanie, nie przynosząc pożądanego rezultatu, dziewczyna może się zorientować, że ten, kto to wszystko zorganizował, nie ma w tym własnego interesu. A stąd już niedaleko do myśli o pośrednikach. Kamieńska to mądra dziewczynka; wprawdzie jest niedoświadczona, ale gdyby ją podszkolić, mogłaby wyrosnąć na świetną profesjonalistkę. Na razie nic jeszcze nie umie – przez kilka dni deptali jej po piętach ludzie Arsena i wujka Koli, a ona żadnego nie zauważyła. Ale główkę ma nie od parady, więc warto się z nią zaprzyjaźnić; Arsen powziął w związku z nią daleko idące plany. Pan Bóg hojnie obdarzył ją precyzją myślenia i sprytem.

Arsen w ogóle klasyfikował ludzi według tego, ile i jakich zalet otrzymali od Boga: jeden – wielki wór, inny się spóźnił i chwycił za ledwie garstkę, a jeszcze innemu nie chciało się stać w kolejce i został z niczym...

Spotkania z Gradowem Arsen się nie obawiał. Gdyby na Pietrowce dokopano się do Siergieja Aleksandrowicza, dawno by już z nim porozmawiano, a w każdym razie kazano by go śledzić. Ale nikt u Gradowa nie był, a ogona ludzie Arsena nie spostrzegli. Kamińska oczywiście coś tam przewąchała o wydarzeniach siedemdziesiątego roku, ale najwyraźniej za mało, żeby ją to doprowadziło do Gradowa. Inna sprawa z wujkiem Kolą – jego chłopak, ten cały Djakow, prawie na pewno sypnął, ale na razie nie jest to zbyt niebezpieczne, mały o Gradowie nic nie wie.

Na miejsce spotkania Arsen przybył spóźniony o osiem minut. Tak naprawdę zaś zjawił się tam przed czasem, rozejrzał się uważnie, sprawdził, czy nikt za nim nie idzie, później chwilę obserwował ulicę po przyjściu Gradowa i dopiero potem, upewniwszy się, że nie ma w pobliżu nikogo podejrzanego, wszedł do baru.

– Złe pan postępuje, Siergieju Aleksandrowiczu – zaczął spokojnie, przelewając likier z małego kieliszka do filiżanki z kawą.

– Co pan chce przez to powiedzieć? – Gradow uniósł ładne brwi.

– Świetnie pan wie, co chcę przez to powiedzieć. Nie chcę się z panem sprzeczać i wyklócać, proponuję, żebyśmy rozstali się bez awantur.

– Ale dlaczego? Co się stało?

– Mój drogi, ma pan już dosyć lat, żeby zapomnieć o przedszkolnych czasach. Tylko małe dzieci, czując, że są winne, zawzięcie się wypierają w nadziei, że dorośli o niczym nie wiedzą. Ja nie blefuję czy też, mówiąc potocznie, nie wstawiam kitu.

– Nie rozumiem, o co chodzi, choćby mnie pan zabił.

– A to jest niegłupia myśl! – uśmiechnął się Arsen. – To rozwiązałoby za jednym zamachem całe mnóstwo problemów. Może zabójstwo to jedyny sposób, by pana skłonić do przerwania tych idiotycznych działań na własną rękę. A poza tym z uporem mnie pan okłamuje. Dlaczego ukrył pan przede mną historię z Nikiforczukiem? Nie ufa mi pan? Dobrze, to niech się pan wykreca

sam, razem ze swoim przygłupawym Ojcem Chrzestnym i jego bandą niedołęgów. Ja nie zamierzam narażać swojego tyłka.

– Nic nie rozumiem – wymamrotał niepewnie Gradow. – Przysięgam panu... Nie zrobiłem nic, co mogłoby panu zaszkodzić...

– Siergieju Aleksandrowiczu, nie mamy już o czym dyskutować. Zaraz się pożegnamy i rozstaniemy, mam nadzieję, że na zawsze. Od samego początku utrudniał mi pan pracę, zatajał pan ważne informacje, przez co ja i moi ludzie musieliśmy po kilka razy na łapu-capu przerabiać wcześniej obmyślane kombinacje. Podsunął mi pan swoich niedorozwiniętych mięśniaków, zapewniając, że mają doświadczenie i kwalifikacje, tymczasem to byli bezmózdzcy kretyni, którzy zawalili całą robotę. A wszystko dlatego, że żal było panu forsy. I podejrzewam, że teraz też nie wszystko mi pan mówi, a to jest dla mnie niebezpieczne, bo przez pańskie, za przeproszeniem, sknerstwo mogę się znaleźć w trudnej sytuacji. Pan nie ufa mnie, ja nie ufam panu, więc lepiej będzie, jak się rozstaniemy, i to zaraz. Proszę uważać naszą umowę za nieważną.

– Ależ jak to... Co z moją sprawą?

– Pańska sprawa już mnie nie interesuje.

– Ale przecież panu zapłaciłem! Nie może mnie pan zostawić na pastwę losu! – jęknął Gradow. – Sam pan mówił, że wystarczy pociągnąć jeszcze kilka dni, do trzeciego stycznia, czemu mnie pan opuszcza? Jeżeli w którymś momencie nie miałem racji, to przepraszam, jeżeli coś zrobiłem źle, to nieumyślnie. Arsenie, błagam, nie może pan tak...

– Ja? – chłodno spytał Arsen. – Ja mogę wszystko. Co mi się żywnie spodoba. Proszę wreszcie zrozumieć, że pan już mnie nie interesuje, nie jest mi pan potrzebny. Mam swoją robotę, swój biznes, który daje mi satysfakcję, i który śmiem przypuszczać, prowadzę dość dobrze. Nagle pojawia się pan i próbuje mnie zmusić, abym pracował inaczej niż zwykle i z innymi ludźmi niż zwykle. W tych warunkach robota mi się nie klei, pan mi przeszkadza, więc z jakiej racji mam się tak męczyć i stawać na głowie? Dla pańskich pięknych oczu? W Dumie, panie Gradow, ma pan może sporą siłę, ale dla mnie jest pan nikiem i niczym. Dla honorarium? Swoim drobnomieszczańskim skąpstwem doprowadził pan do tego, że jestem gotów oddać panu wpłacone pieniądze, bo

własne bezpieczeństwo jest dla mnie więcej warte. A jeśli pan myśli, że zrywając z panem umowę, zepsuję sobie reputację w świecie, który korzysta z moich usług, to zapewniam pana, że ta historia tylko wyjdzie mi na korzyść. Już jutro wszystkie zainteresowane osoby będą wiedzieć, że po pierwsze, wyżej sobie cenię bezpieczeństwo niż finanse, a po drugie, że należy mnie słuchać i nie wolno mi przeszkadzać, bo inaczej bez żadnych skrępowań porzucę klienta, żeby sobie radził sam. Niech pan sobie zapamięta, Siergieju Aleksandrowiczu: jeszcze się nie urodził taki klient, wobec którego poszedłbym na ustępstwa. Chce mi pan coś powiedzieć?

– Chcę... Co mam zrobić, żeby pan nadal dla mnie pracował? Proszę wymienić swoje warunki, zgadzam się na wszystko.

Arsen z ciekawością obserwował rasową, przystojną twarz Gradowa. Nawet w zagubieniu i strachu nie utraciła urody, nabrała tylko jakiegoś tragicznego wyrazu. A może by się z nim potargować? Oczywiście, o żadnej dalszej robocie nie może być nawet mowy, z takimi typami należy zrywać natychmiast i definitywnie, ale to interesujące, na co gotów się zgodzić dla ratowania własnej skóry. Jeżeli odwoła się ludzi od sprawy Jeriominej, zostanie rozwiązana w dwadzieścia cztery godziny, najwyżej w czterdzieści osiem. Ciekawe, czy Gradow jest tego świadom?

Gradow nie zniósł przeciągającego się milczenia. Wybuchnął, całkowicie tracąc nad sobą kontrolę.

– Czemu pan nie odpowiada? Sprawia panu przyjemność poniżanie mnie? Napawa się pan moim strachem? Nienawidzi mnie pan, nienawidzi pan nas wszystkich, bo zburzyliśmy stary system, w którym zawsze miał pan kawałek chleba z masłem i kawiozem, miał pan władzę, a teraz stał się pan niepotrzebny, nikt się pana nie boi, no i nienawidzi pan całego świata i odgrywa się na takich ludziach jak ja! Zdaje się panu, że jest pan wszechmocny, tak? A tymczasem jest pan tylko małym, złośliwym szczurem, tak, tak, właśnie małym, śmierdzącym, złośliwym szczurem, który zre odpadki na społecznym śmietniku i pierwszy ucieka z okrętu, gdy tylko wyczuje niebezpieczeństwo. Szczur! Szczur! O Boże...

Gradow zasłonił twarz rękami. Arsen w milczeniu wstał, podszedł do barmana, zapłacił za kawę i likier, po czym, po chwili zastanowienia, wyjął z portfela jeszcze kilka banknotów.

– Ten pan jest bardzo zdenerwowany – powiedział, wskazując siedzącego w kącie Gradowa. – Niestety, musiałem mu przekazać przykrą wiadomość i mocno to przeżywa. Jeżeli nie wyjdzie stąd w ciągu dziesięciu minut, niech pan mu poda dwieście gramów koniaku. Tylko dobrego.

– Zrobi się – obiecał barman. – A jeżeli koniak nie będzie potrzebny?

– Wtedy proszę sobie zatrzymać pieniądze.

Arsen bez pośpiechu wyszedł na ulicę i ze zdziwieniem stwierdził, że rozmowa z Gradowem pozostawiła mu w duszy nieprzyjemny osad. W ciągu swego długiego życia odbył sporo niemiłych rozmów i nauczył się wychodzić z nich bez wstrząsów emocjonalnych. Gradow jednak czymś mu dopiekł, może zarzucając nienawiść do całego świata, a może nazywając śmierdzącym szczurem... Ale teraz Arsen był absolutnie pewien: słusznie zrobił, że przestał pracować dla Gradowa. Człowiek, który tak łatwo traci panowanie nad sobą i wybucha, jest niebezpieczny. Nie wolno się z nim zadawać. A co do małego, śmierdzącego, złośliwego szczura – cóż, tego szczura Arsen mu jeszcze przypomni.

W gabinecie śledczego Olszańskiego pułkownik Gordiejew ostrożnie odłożył słuchawkę na widełki, odetchnął głęboko i wytarł lśniąca łysinę olbrzymią niebieską chustką do nosa.

– No i jak? – zapytał, wstając i rozpoczynając marsz po obwodzie zaśmieconego, ciemnawego pokoju.

– Nigdy nie słyszałem od pana tylu łgarstw naraz – zauważył Konstantin Michajłowicz. – Liczyłem na palcach, żeby się nie pomylić.

– I ile pan naliczył?

– Że krzyczałem, to raz. Że mnie pan zwymyślał, to dwa. Jeśli mnie pamięć nie zawodzi, znamy się przeszło dziesięć lat, i przeżyliśmy je bez szczególnych konfliktów. W każdym razie nigdy nie podnosiliśmy na siebie głosu. A może się mylę?

– Nie, nie myli się pan.

– Dobrze, idźmy dalej. Generał Gonczarow u pana nie był, a pan też do niego nie chodził, to trzy i cztery. Że ostatni dokument z akt sprawy Jeriominej nosi datę szóstego grudnia, to pięć. Wystarczy?

– Całkowicie. Nie wydaje się panu dziwne, że musimy to wszystko robić w imię interesów praworządności? Albo spytam inaczej: nie wydaje się panu dziwne, że praca, wymagająca od ludzi tylu kłamstw, ma na celu ochronę praworządności? Czy to nie paradoksalne?

– Cóż robić, Wiktorze Aleksiejewiczu, na wojnie jak na wojnie. Nie bawimy się z nimi w berka.

– Ale to nie jest wojna, w tym właśnie sęk! – wybuchnął Pączek, wpierając silne, grube palce w oparcie krzesła, na które się natknął w swym marszu. Krzesło pod ciężarem pułkownika niepokojąco zaskrzypiało. – Wojna ma swoje reguły, które są obowiązujące dla wszystkich walczących stron. Wszyscy jej uczestnicy mają jednakowe prawa. Poza tym mogą przynajmniej wymieniać jeńców. A my? Do nas strzelają, kiedy uznają to za stosowne, my natomiast z każdego wystrzału się rozliczamy, zużywamy na raporty tony papieru. Oni mają pieniądze, ludzi, broń, samochody z potężnymi silnikami, najnowocześniejszy sprzęt, a my – walizeczkę śledczą powojennego typu, techników samouków, brak nam forsy na benzynę. Zresztą po co ja to panu opowiadam, sam pan o tym dobrze wie! W wojnie zawsze można liczyć na siły ONZ, które pomogą, kiedy wszystko inne zawiedzie. A nam kto pomoże? Batalion pokojowy mafijnych bossów? Nie, Konstantinie Michajłowiczu, my, niestety, nie walczymy, ale bronimy się ostatkiem sił, próbując ocalić żalosne resztki tego, co kiedyś nazywało się zawodową dumą i honorem.

Olszański patrzył w zadumie na Gordiejewa, zgadzając się w głębi duszy z każdym jego słowem, ale nie chcąc rozwijać niebezpiecznego wątku. Jeszcze trochę i rozmowa może zejść na Łarcewa. Czy pułkownik zna prawdę, czy nie? Lepiej nie ryzykować.

– Jak pan myśli, zadziała ten pański spektakl? – spróbował zmienić temat.

– Chciałbym mieć taką nadzieję. – Gordiejew ciężko siadł na krześle, szcęknął zamkami dyplomatki, wyjął fiolkę validolu i wsunął jedną tabletkę pod język. – Jakoś ostatnio zacząłem się sypać – poskarżył się zmęczonym głosem. – Nie ma dnia, żeby mi nie dokuczało serce. Co do Anastazji, to mam nadzieję tylko na to, że ona też liczyła na palcach, tak jak pan. Nic więcej nie możemy

zrobić, ani jej pomóc, ani podpowiedzieć. Jeżeli się połapie, cześć jej i chwała, jeżeli nie, to trudno.

– Załóżmy, że się połapie. Jakich posunięć pan od niej oczekuje?

Pączek ze zdumieniem wlepił oczy w śledczego, nadal machinalnie rozcierając lewą stronę piersi.

– Konstantynie Michajłowiczu, pan chyba nie rozumie, co sobą przedstawia moja Anastazja. Ona tym właśnie różni się od wszystkich innych, że jej postępowanie jest nieprzewidywalne. I oczekiwać od niej czegokolwiek poza ostatecznym rezultatem nie ma sensu. Rezultat ten od niej otrzymamy, jeśli jest to w ogóle możliwe, ale jak go osiągnie, Bóg jeden wie. Mój Korotkow twierdzi, że ona ma zupełnie niezrozumiały dla zwykłego człowieka typ umysłowości.

– Mówi pan jak jakiś właściciel niewolników! – roześmiał się Olszański, zdejmując okulary. – Moja Anastazja, mój Korotkow. Wszyscy pozostali pracownicy też są pańscy, czy tylko tych dwoje?

– Nie ma się z czego śmiać – bardzo poważnie odparł Gordiejew.

– Wszyscy są moi, to moje dzieci, które muszę wychowywać i chronić, cokolwiek by się działo. Żadne z nich, słyszy pan?, żadne z nich nigdy nie było na dywaniku u szefów, bo za wszystkie ich pomyłki i błędy odpowiadałem ja. Sam chodziłem, awanturowałem się, przekonywałem, nakłaniałem, prosiłem. Jestem dla moich ludzi jak kamienny mur, za którym mogą pracować, nie tracąc czasu i energii na użeranie się ze zwierzchnikami. Wszystkich ich kocham i wszystkim ufam. Dlatego mówię o nich „moi”.

I o Łarcewie też?, zadał w duchu pytanie Konstantin Michajłowicz. Gordiejew oczywiście go nie usłyszał. Ale dostrzegł je w dużych, pięknych oczach śledczego, nieosłoniętych grubymi, szpecącymi szklami okularów.

Czemu o to pytasz? Domyśliłeś się? Tak, Wołodia Łarcew też jest mój, i fakt, że popełnił straszny, nieodwracalny błąd, to częściowo również moja wina. Nie potrafiłem go przekonać, że może do mnie z tym przyjść, i postanowił radzić sobie ze swym nieszczęściem sam, na własną rękę, nie zaglądając w przyszłość i nie myśląc o konsekwencjach. W tej kwestii zawiniliśmy obaj i obaj będziemy za to płacić. Popełnił błąd, ale nie przestał być jednym z moich

dzieci, których mam obowiązek bronić w miarę sił i możliwości, odparł w myślach pułkownik, a głośno powiedział:

– No więc Anastazja siedzi w swoim mieszkaniu i niewiele może zdziałać. Czymś jej grożą, i to bardzo poważnie, toteż boi się zrobić jakiś nieostrożny ruch. Jej telefon jest na podsłuchu, na schodach siedzi jakiś chłopak i pilnuje, żeby Anastazja nigdzie nie wychodziła i żeby nikt do niej nie przyszedł. O ile zrozumiałem, wystarczy, by zrobiła jakiś podejrzany krok, a oni natychmiast spełnią swoją groźbę. Dlatego nie możemy działać ostro.

– Powiedział pan, że rano była u niej lekarka. Jak ją do niej wpuścili?

– Widać był to jeden z warunków: miała wezwać lekarza i wziąć zwolnienie, żeby mieć uzasadniony powód do siedzenia w domu i niechodzenia do pracy.

– A skąd oni wiedzieli, że osoba, która do niej przysła, jest lekarzem, a nie pańskim funkcjonariuszem? Co, sprawdzali dokumenty?

Gordiejew zeszytniał. Rzeczywiście, dlaczego wpuszczono do Nasti Raczkową, nie sprawdzając, czy naprawdę jest lekarzem? Tamara Siergiejewna powiedziała, że obserwator, wcale się nie kryjąc, wszedł po schodach i patrzył, kto dzwoni do mieszkania Kamieńskiej. Tyle że to stanowczo za mało, by mieć pewność, że pod drzwiami stoi nie pracownik organów ścigania, ale prawdziwy lekarz z przychodni. A może Raczkowa coś ukrywa? Cholera, że też o tym nie pomyślał! Starzeje się chyba, stracił węch, refleks ma też już nie ten co dawniej, nie dostrzega tak oczywistych rzeczy...

Wiktor Aleksiejewicz chwycił słuchawkę.

– Pasza? Co tam u was? Morozow? Dobrze, niech zaczeka u mnie, zaraz przyjadę. Pasza, słuchaj, potrzebuję danych Tamary Siergiejewny Raczkowej, to lekarka z naszej przychodni. Pilnie. Ale to ma być jubilerska robota, załatw sprawę po cichutku. Będę za pół godziny.

Coś jednak nie pozwalało Wiktorowi Aleksiejewiczowi wyjść z gabinetu Olszańskiego. Czy był to ból w oczach Konstantina Michajłowicza, czy ból w sercu samego Gordiejewa, w każdym razie czuł, że nie może, nie powinien teraz wychodzić, nic nie mówiąc i o nic nie pytając. Gdyby istniały fale przekazujące informację od

człowieka do człowieka bez specjalnych urzędzeń, pułkownik gnałby już na złamanie karku na Pietrowkę, modląc się, by nie przybyć za późno. A jeśli takie fale istnieją, to Wiktor Aleksiejewicz nie należał do ludzi, którzy potrafią je odbierać i rozszyfrowywać, toteż przemagając zakłopotanie i właściwą sobie ostrożność, zaczął mówić o Łarcewie.

Rozmowa trwała dobry kwadrans, ale wiele Gordiejewowi wyjaśniła.

– Jeśli się pan nie myli i Łarcew rzeczywiście się ucieszył, gdy wytknął mu pan fałszowanie protokołów, może to oznaczać tylko jedno: męczy go rola, którą odgrywa pod dyktando przestępców, i uważa, że teraz, kiedy jego sztuczki zdemaskowano, ci ludzie dadzą mu spokój, bo dalsze wykorzystywanie go byłoby już ryzykowne. Ma jakieś dodatkowe pieniądze?

– Skąd?

– Stamtąd. Przecież nie pracuje chyba dla nich bezpłatnie? Konstantinie Michajłowiczu, zna pan Wołodię od dawna, niech mi pan powie, czy w ostatnich miesiącach coś się w jego życiu zmieniło? Jakieś większe zakupy, jakieś wydatki, no, sam nie wiem...

– Ja też nie wiem. Chciałbym wierzyć, że wiedziałbym, gdyby się coś takiego zdarzyło. Jeszcze wczoraj powiedziałbym to panu z całkowitym przekonaniem, ale dziś za nic już nie mogę ręczyć – powiedział głucho Olszański.

– Przepraszam, wiem, że bardzo się przyjaźnicie z Łarcewem – rzekł ze skruchą Gordiejew. – Nie powinienem był zaczynać tej rozmowy, wszystko to jest równie przykre dla pana, jak i dla mnie. Ale przecież pozostaje jeszcze Anastazja, której czymś grożą; nie chcę jej zaszkodzić, więc muszę wiedzieć jak najwięcej, żeby się zorientować, co mogę zrobić, a czego mi nie wolno. Jeszcze raz przepraszam – powtórzył, z trudem wstając zza biurka.

Ależ się postarzałem, pomyślał, zapinając zeszywniałymi palcami guziki ciężkiego, wilgotnego od mokrego śniegu palta. Jakieś dziwne osłabienie, ręka drętwieje, wstałem z krzesła i kręci mi się w głowie. Przecież mam dopiero pięćdziesiąt cztery lata, a w ciągu dwóch miesięcy stałem się ruiną człowieka. Ach, Łarcew, Łarcew,

dlaczego to zrobiłeś? Czemu od razu nie przyszedłeś do mnie? Czym cię tak przycisnęli?

Walcząc z zawrotami głowy, schodził po schodach, mocno trzymając się poręczy i uważnie patrząc pod nogi. I w tym momencie nagle zrozumiał, czym „oni” szantażują Wołodę Łarcewa. I pojął, że tym samym wiążą ręce Nasti. Najszybciej jak mógł w jego stanie, dotarł do wartownika urzędującego przy wejściu do gmachu prokuratury i nie pytając o pozwolenie, przysunął sobie aparat telefoniczny.

– Pasza, gdzie Łarcew?

– W areszcie, ma tam dziś dwa przesłuchania.

– Znajdź go, Pasza, stań na głowie, ale znajdź mi go natychmiast.

– A właściwie gdzie ty łazisz? – jadowicie zapytał Żeriechow. – Obiecałeś być za pół godziny. Zapomniałeś, że czeka na ciebie Morozow?

– Zapomniałem. Już wychodzę, jestem przy drzwiach. Morozow jest u ciebie w gabinecie?

– Wyskoczył po papierosy.

– Przepróż go w moim imieniu, Paszeńka, niech jeszcze trochę zaczeka. Słowo daję, że już idę.

Z prokuratury na Pietrowkę było niezbyt daleko, a pułkownik Gordiejew starał się iść jak najszybciej. Jednak i tak przyszedł za późno.

Rozdział 14

Nastia zdjęła szlafrok i włożyła džinsy oraz czarny, surowo wyglądający sweter.

– Co się stało? – zdziwił się Losza. – Czekasz na kogoś?

– Zbieram myśli – odparła krótko i poszła do łazienki.

W łazience długo i starannie szczotkowała włosy, potem zwinęła je w ciasny węzeł na karku i upięła szpilkami. Uważnie przyjrzała się w lustrze swej twarzy, po czym wyjęła z wiszącej lustrzanej szafki kilka pudełeczek z kosmetykami do makijażu.

„Jestem złą, ostrą, arogancką, zarozumiałą, zimną, wyrachowaną suką”, powtarzała sobie, malując twarz leciutkimi muśnięciami grubych i cienkich pędzelków. Było to zajęcie żmudne i skomplikowane i kiedy twarz była już „zrobiona”, powtarzane zaklęcia przyniosły zamierzony efekt. Teraz z lustra spoglądała na Nastię oschłą, zimna kobieta, której oczy nie znały łez, serce – litości, a umysł – wahań.

Jeszcze chwilę stała w łazience, potem ostrożnie, starając się, żeby Losza nie zobaczył jej twarzy, przeszła do pokoju i stanęła przed dużym, odbijającym całą postać lustrem. Wyprostowane ramiona, plecy wyprężone, podbródek uniesiony, całe ciało – jak napięta struna. Zamknęła oczy, by się oderwać od widzianego obrazu i wrzucić w odpowiedni stan ducha. Ludzie to zwykła mierzwa i dla własnej korzyści można ich zlekceważyć. Nie chcę, żeby oszalały z rozpaczy Łarcew zastrzelił mnie i Czistiakowa, więc jestem gotowa zdradzić wszystko i wszystkich, byle tylko pozostać przy życiu. Mam gdzieś jego córkę, ale zdaję sobie sprawę, że jeśli coś się jej stanie, to ze mną koniec. Muszę się ratować. I będę negocjować tylko z samym bossem, a wszyscy ci Łarcewowie, Gordiejewowie, Olszańscy i inni – to taka sama hołota jak szczyłe, którzy mnie pilnują na schodach i w bramie. Śmiecie, które można poświęcić dla ratowania własnego życia...

– Co się z tobą dzieje? – zapytał osłupiały Losza na widok Nasti.

– A bo co?

– Wieje od ciebie chłodem jak z lodowni. I twarz masz taką...
– Jaką? – Nie mogła sobie pozwolić na uśmiech, żeby nie rozwiać z takim trudem stworzonego nastroju.

– Obcą. Niby to jesteś ty, a jednocześnie jakby ktoś nieznamy. Królowa Śniegu.

– I tak powinno być. Dobra, idę. Siedź cicho, nie wtrącaj się.

Śmiało otworzyła drzwi i stanęła na progu, nie wysuwając się ani krokiem na korytarz. Natychmiast z dołu dał się słyszeć cichy szmer kroków i z półpiętra wyłoniła się głowa sympatycznego blondyna o jasnych oczach i pełnych wargach. Anielska buzia nie zmyliła Nasti, która od razu dostrzegła sprężystość i gibkość ruchów, napakowane mięśnie i czujnie wyprężoną szyję. Komandos, oceniła i przemówiła półgłosem:

– Podejdź bliżej.

– Po co? – równie cicho zapytał blondyn, ale nie ruszył się z miejsca.

– Powiedziałam: podejdź.

Jej głos był tak twardy, że ochroniarz usłuchał. Wszedł kilka stopni wyżej, wyciągnął pistolet i zrobił jeszcze dwa kroki.

– Powiedz, żeby do mnie zadzwoniono – zimno poleciła Nastia.

– Komu mam powiedzieć? – zdumiał się blondyn.

– To nie moja sprawa. Potrzebny mi Djakow. Niech go tu przyślą.

– Po co?

– A to z kolei nie twoja sprawa. Jesteś zwykłym pionkiem, polecono ci tylko mnie ochraniać. Niech do mnie zadzwonią, to powiem, po co mi Djakow. Czekam dziesięć minut.

Cofnęła się do przedpokoju i zamknęła drzwi. Nie za szybko, żeby jej ruchy nie sprawiały wrażenia nerwowych. Ale i niezbyt wolno.

– Asiu, co się dzieje? – natarczywie spytał Czistiakow, zagradzając jej drogę.

– Zamknij się – wycodziła Nastia przez zęby, odsuwając Loszę, weszła do pokoju i stanęła przy oknie.

– Asiu!

– Proszę cię, nie przeszkadzaj. Bardzo trudno mi się skupić, a ty mnie rozpraszasz – powiedziała Nastia zimno.

Losza wyszedł do kuchni i trzasnął drzwiami. Suka, pomyślała Nastia, ależ z ciebie suka. Chociaż może to i lepiej. Primadonna dla

ubogich. Trzymaj się, moja miła, przepraszać będziesz później. Minęły dwie minuty, zostało osiem. Chłopaczek, którego posłali przedtem do apteki, pobiegł gdzieś za róg. Pewnie po to, żeby zadzwonić z automatu. A może ma tam samochód z radiotelefonem? Sprawdzimy, czy dobrze zgadłam. Agenci śledzący człowieka, który wypytywał o mnie w przychodni, mówili, że telefonował w ściśle określonych porach, ale z nikim nie rozmawiał. Mają jakiś chytry system przekazywania informacji, niewymagający osobistego kontaktu. Ciekawe, czy ten system teraz zadziała? Jeżeli nie mam racji, to w ciągu dziesięciu minut do mnie zadzwonią. A co będzie, jeśli mam rację? Zapomnij o dziewczynce, zapomnij o Łarcewie, zapomnij o wszystkim; rozwiążesz zadanie, proste matematyczne zadanie, skup się, nie denerwuj, ratujesz własne życie. Ludzie to śmieci, nie są warci twoich stresów, myśl tylko o sobie. Nie ma takich słów, jak „sprawiedliwość”, „praworządność”, „kara”, „przestępstwo”, zapomniałaś je, nigdy ich nie znałaś. Jesteś tylko ty, jest Czistiakow. I jest życie. Po prostu życie. Forma istnienia białka. Cztery minuty. Zrobisz wszystko, żeby ich zadowolić, nieważne, ile to cię będzie kosztowało. Jesteś trzeźwo myślącą kobietą i doskonale rozumiesz, że sobie z nimi nie poradzisz, więc nie powinnaś z nimi walczyć. Ich jest wielu, a ty jedna. Nikt cię nie potępi, nikt się nie ośmieli cię potępić. Pięć minut...

Nie odrywała spojrzenia od okna. Mokre, chlupiące błoto na chodnikach, mokra, ciemna odzież przechodniów, brudne bryzgi spod kół przejeżdżających samochodów. Czy naprawdę zaledwie dziesięć dni temu było jasne, śródziemnomorskie słońce, białe pałace, wiecznie zielone drzewa, błękitna woda fontann, uśmiechnięta mama i zakochany w niej profesor Cune, czyżby zaledwie dziesięć dni minęło od chwili, kiedy po raz pierwszy w ciągu wielu lat poczuła się swobodna i szczęśliwa?

Zdaje się, jakby tego w ogóle nie było. Nigdy. Jej życie upływa zawsze w zimnie, błocie, strachu i bólu. Nawet latem. Nawet kiedy nie boli jej krzyż. Tak czy owak, jej życie to zimno, błoto, strach i ból. Siedem minut. Chłopak biegnie z powrotem. Biegnie szybko, sukinkot...

Dzwonek u drzwi odezwał się, kiedy do wyznaczonego przez Nastię terminu brakowało minuty. Ze szczękiem otworzyła zatrask i w królewskiej pozie ukazała się na progu. Blondynek komandos bardzo rozsądnie stał o kilka kroków od drzwi: gdyby mieszkańcy mieli zamiar złapać go podstępnie i wciągnąć do środka, na pewno by im się to nie udało.

Nastia stała w milczeniu, wyniosła i pełna zimnej pogardy. W jej oczach nie powinno być pytania, jest pewna siebie i całkowicie panuje nad sytuacją.

– Kazano mi panią przeprosić – równym, cichym głosem przemówił blondynek. – Pani prośba zostanie spełniona za dwadzieścia minut.

– Coś ci się pomyliło, chłopcze – odparła Nastia lodowato. – To nie była prośba, tylko żądanie. – Demonstracyjnie spojrzała na zegarek. – Ale dobrze się spisałeś, zdążyłeś w dziesięć minut. Idź, weź sobie z półki ciasteczko, zasłużyłeś na to.

Krok do tyłu, łagodny szcęk zamka.

Nastia przycisnęła czoło do futryny, nie mając sił ruszyć się z miejsca. Dranie, będą ją trzymać w napięciu jeszcze przez dwadzieścia minut. Nie zniesie tego. Dwadzieścia minut oczekiwania, a potem trzeba przeprowadzić rozmowę. Rozmowa będzie krótka, oni nie zaryzykują długiej dyskusji, toteż musi zdążyć przekazać im w tym czasie wszystko w taki sposób, by zrozumieli, że na wszelkie rozwiązania się zgadza, że chce postąpić tak, jak oni sobie życzą. Muszą jej uwierzyć. Drugiej szansy nie będzie. A oni jej nie uwierzą, jeżeli pozostanie miłą panienką z dobrego domu, bo miła panienka z dobrego domu, z solidnym humanistycznym wykształceniem, nigdy nie zgodzi się pertraktować z przestępcami. To może zrobić tylko zimna, wyrachowana i całkowicie pozbawiona sumienia suka, którą ona, Nastia, musi się teraz stać.

Powoli, jakby niosła kryształowe naczynie z drogocenną zawartością, przecięła przedpokój i usiadła w fotelu przed telewizorem, starając się nie zamącić z takim trudem stworzonego stanu ducha. Wzięła papierosa, w zadumie obróciła go w palcach, zapaliła. Dlaczego jej prośba zostanie spełniona za dwadzieścia minut? To by znaczyło, że młody szybkobiegacz nie poleciał dzwonić. Widocznie nie była to jeszcze umówiona pora kontaktu.

Więc dokąd pobiegł? Za rogiem ktoś na niego czekał i ten ktoś zadzwoni, do kogo trzeba, we właściwym czasie. Cholera jasna, to jest dopiero dyscyplina! Czyli miała rację, to jakiś skomplikowany system łączności bezkontaktowej. No dobra, pogłówkujemy nad tym, żeby nie tracić czasu. Gdyby jej, Nastii Kamieńskiej, polecono zorganizować taki system, jak by to zrobiła?

Trudno było myśleć w fotelu, bez biurka i papieru pod ręką. Nastia miała zwyczaj analizować trudne problemy, siedząc z filiżanką kawy i wykreślając na papierze skomplikowane schematy. Ale po kawę trzeba iść do kuchni, a tam siedzi obrażony Loszka, którego niezasłużenie zbesztala. I nie jest to pora na przeprosiny i tłumaczenia, Nastia musi wytrwać w narzuconej sobie lodowatej, wyniosłej postawie. A więc co trzeba zrobić, żeby otrzymywać informację i żeby jednocześnie nikt nie mógł cię znaleźć, jeżeli oczywiście sam tego nie zechcesz?

Odpowiedź okazała się nad podziw łatwa. Wprawdzie bardzo trudno zorganizować taki system, ale sama koncepcja jest zaskakująco prosta. Jak dwa razy dwa. I jeżeli wszystko jest tak, jak to sobie Nastia wykombinowała, to staje się jasne, czemu ludzie wysłani przez Pączka nie byli w stanie znaleźć samochodu, w którym podsłuchiowano jej domowy telefon. Taki samochód po prostu nie istniał. Dzisiaj wszyscy mają hopla na punkcie nowoczesnego precyzyjnego sprzętu i zupełnie zapomnieli, że zawsze i we wszystkim najważniejszy element stanowią ludzie. Pieniądze i ludzie. Pieniądze i ludzie potrafią dokonać tego, czego nie zdoła dokonać najdoskonalsza technika.

Jeżeli zegarek się nie spieszy, minęły dwadzieścia trzy minuty. Oj, nieładnie, nie wypada kazać damie czekać...

Kiedy telefon zadzwonił, Nastia z satysfakcją stwierdziła, że nawet nie drgnęła. Była całkowicie opanowana.

– Słucham pani z uwagą, Anastazjo Pawłowno.

Głos był wciąż aksamitny, ale brzmiało w nim wyraźne napięcie. No bo z jakiegoż to powodu arogancka i nieustępliwa Kamieńska nagle poprosiła, by do niej zadzwonić?

– Będę się maksymalnie streszczać – sucho odparła Nastia. – Jestem jeszcze na tyle młoda, żeby bać się śmierci. Pański przyjaciel Łarcew jest w głębokim stresie i stanowi poważne zagrożenie dla

mojego życia. W tej sytuacji bardzo zależy mi na tym, żeby jego córce nic się nie stało. Życzę sobie, żeby pan przysłał do mnie Dżakowa.

– Po co pani Dżakow?

– Dał się głupio złapać w mieszkaniu Kartaszowa. W czasie, który pozostał do umorzenia sprawy, śledczy może podjąć jakieś kroki, na przykład spróbować zmusić Dżakowa, by zaczął sypać. Ponieważ wiem dokładnie, jakie ślady zostawił u Kartaszowa, poinstruuje go, jak i co powinien mówić, jeżeli się do niego dobiorą. Postawił mnie pan w takiej sytuacji, że jestem zainteresowana w tym, by nie było żadnych wpadek. Czy pan mnie zrozumiał?

– Zrozumiałem panią, Anastazjo Pawłowno. Dostarczymy pani Dżakowa w ciągu godziny. Cieszę się, że zostaliśmy sojusznikami.

– Miłego dnia – powściągliwie odparła Nastia.

Co za ironia losu! Niedawno to samo powiedział jej Borys Kartaszow. Też się cieszył, że zostali sojusznikami.

No i jak długo „oni” będą szukać Saszy Dżakowa? W godzinę go nie znajdą, to pewne. Po godzinie sympatyczny baryton zawiadomi ją z ubolewaniem, że na poszukiwanego młodzieńca trzeba jeszcze jakiś czas poczekać. Ta rozmowa będzie jeszcze krótsza i wymagająca od Nasti doprawdy niewielkiego wysiłku. Co najwyżej Anastazja okaże lekkie niezadowolenie. No, może jeszcze zdziwienie, że taka poważna organizacja nie potrafi w razie potrzeby szybko znaleźć człowieka. Teraz można się rozluźnić.

W kuchni Losza ostentacyjnie trząsał garnkami. Na pewno jest głodny, ale mimo że obrażony, sam jeść nie będzie. Zaczeka, aż ona raczy się do niego przyłączyć. Niepotrzebnie go obrażała...

Nastia wzięła kilka głębokich wdechów, rozluźniła napięte mięśnie pleców oraz szyi i jak zwykle lekko przygarbiona, otworzyła drzwi do kuchni. Losza siedział przy nakrytym do obiadu stole i czytał, położywszy książkę między koszyczkiem na chleb a butelką keczupu.

– Jeżeli uważasz, że cię obrażałam i powinnam zostać ukarana – przyznaję ci rację. Ale proszę, odłóżmy środki wychowawcze na później. Teraz potrzebuję twojej inteligencji.

Losza oderwał się od książki i podniósł na nią złe oczy.

– Nadal robię u ciebie za kuchnię?

– Losza, potrzebuję twojej pomocy. Nie kłóćmy się teraz. Mamy na to całe życie.

– Jesteś pewna? Sądząc z tego, co powiedziałaś, możliwe, że zostało nam już niewiele czasu. Twój stuknięty kumpel Łarcew w każdej chwili może się tu zjawić i nas zastrzelić. I nawet w takiej sytuacji traktujesz mnie jak jakiś sprzęt kuchenny. O czym rozmawiałaś z tym bulterierem? Kto do ciebie dzwonił?

– Wszystko ci wytłumaczę, ale najpierw pomóż mi rozwiązać łamigłówkę.

– No dobra, wal... – rzekł z ciężkim westchnieniem Czistiakow.

Kiedy Pączek Gordiejew wszedł po schodach i skręcił w długi, obskurny, służbowy korytarz, przede wszystkim zobaczył białą jak kreda twarz Pawła Wasiljewicza Żeriechowa. Potem dostrzegł tłoczących się wokół niego pracowników, a za nimi błyskające flesze aparatów fotograficznych. Gordiejew bez słowa przepchnął się przez niewielki tłumek i zobaczył na podłodze w gabinecie swego zastępcy człowieka z przestreloną głową. Kula przeszła dokładnie przez środek czoła i kapitan Morozow był martwy.

– Jak to się stało? – zapytał przez zęby Gordiejew.

– Siedział u mnie w gabinecie i czekał na ciebie. Ktoś zadzwonił, żebym wstąpił do dziewcząt do sekretariatu po jakiś pilny dokument. Przecież nie mogłem wyrzucić chłopca na korytarz. Zamknąłem wszystkie papiery w sejfie i wyszedłem. W sekretariacie nikt nie słyszał o żadnym dokumencie i nikt do mnie nie dzwonił. Zorientowałem się, że to jakaś nieczysta sprawa, i z powrotem leciałem już biegiem. No i... Strzału nikt nie słyszał, morderca użył pewnie tłumika.

– Jasne. Czy Morozow coś ci mówił? Dlaczego na mnie czekał?

– Nic nie mówił, ale był bardzo zdenerwowany. Po prostu nie mógł sobie znaleźć miejsca.

– Co miał przy sobie?

– Torbę. Sportową – uściślił Żeriechow.

– Schowaj dobrze tę torbę, żeby nikt się do niej nie dobrał. Jak się trochę uspokoi, zobaczymy, może są tam jakieś zapiski. Znalazłeś Łarcewa?

– Już tu jedzie.

– Leć do bramy, złap go i przyprowadź schodami ewakuacyjnymi prosto do mnie. Nie przechodźcie koło twojego gabinetu i o Morozowie ani mru-mru.

Nikołaj Fistin vel wujek Kola, vel, jak określał go Arsen, pieprzony Ojciec Chrzestny, był w rozterce. Arsen kazał mu pilnie odszukać Sanię Djakowa i dostarczyć go do mieszkania Kamieńskiej. Żądanie to wydało się wujkowi Koli idiotyczne i bezsensowne. Co gorsza, sądząc ze wszystkiego, było niewykonalne.

Kola Fistin po raz pierwszy trafił do łagru w wieku siedemnastu lat za chuligaństwo o szczególnie wysokiej szkodliwości społecznej, po trzech latach wyszedł, ale rozumu za drutami nie nabrał i nadal za jedyny sposób wyrażania niezadowolenia uważał mordobicie, toteż znowu go wsadzono, tym razem już na osiem lat, za pobicie ze skutkiem śmiertelnym.

Konsekwencją tak walecznej młodości stało się pozbawienie moskiewskiego meldunku i wysiedlenie z miasta. Nikołaj mieszkał w hotelu robotniczym, pracował w cegielni, dużo pił, kłął jak szewc i zdawało się, że tak będzie żyć przez długie lata. Los jednak się do niego uśmiechnął, a jemu udało się ten uśmiech wykorzystać w dwustu procentach.

Kiedyś poznał w Zagorsku^Z kobietę, która przyjechała tam z wycieczką. Tonia pracowała w ADM-ie, który miał w swej gestii osiedle mieszkaniowe o podwyższonym standardzie. Tak się szczęśliwie złożyło, że w okresie zastoju zaczęto przydzielać pracownikom zarządu parterowe mieszkania w blokach na tym osiedlu, dzięki czemu nieciekawa, nieszczęśliwa, samotna stara panna stała się właścicielką bardzo ładnego lokalu. Poślubiając moskwiankę, Nikołaj mógł odzyskać utracony meldunek, ale jego wyrachowanie bardzo szybko zostało wyparte przez coś, co Fistin uważał za miłość. Wprawdzie do ożenku z Tonią się zmusił, ale po miesiącu zrozumiał, że żona jest jedynym jasnym promykiem w jego życiu. W dzieciństwie pijackie burdy rodziców i bicie, jedenaście lat w obozach; jeden brat w więzieniu, drugi alkoholik, trzeci umarł. A Tonia to ciepła, serdeczna baba, która go kocha, hołubi i niczego nie żąda, bierze go takim, jakim jest. Pierwszy nieśmiały zachwyty wobec nieznanego dotychczas uczucia bliskości i czułości przerodził

się w szaloną miłość i Nikołaj gotów był natychmiast zamordować każdego, kto choćby tylko krzywo popatrzył na jego żonę.

Fistin przeprowadził się do mieszkania Toni i zatrudnił jako hydraulik w tym samym ADM-ie. Niestety, rodzinna idylla nie uczyniła zeń praworządneho obywatela: od 1987 roku zaczął powoli wchodzić w kryminalny biznes, jako że miał w tych sferach wielu znajomych: sam dorastał w Moskwie i jako małolat w obozach poprawczych siedział z moskwianami. Teraz życie wydawało mu się całkiem zadowolające, miał więcej pieniędzy i przynosił swojej Antoninie coraz to nowe prezenty: bransoletkę, kostium czy drogie kosmetyki, z rozkoszą obserwując jej zmieszanie i źle skrywaną radość. Skąd brał na to pieniądze, oczywiście nie wiedziała, a Nikołaj serwował jej mętne opowiadki o tym, że dorabia na boku, w warsztacie samochodowym.

– Po co to, Kulusza, ja niczego nie potrzebuję, bylebyś tylko ty był zdrowy i szczęśliwy. Nie chcę żadnych prezentów, tyle sił tracisz w tym warsztacie, nie masz chwili wytchnienia. Przecież niczego nam nie brakuje, po co ci dodatkowe zarobki – mówiła Tonia, a przy tych słowach recydywiście Fistinowi topniało serce.

Raz późnym wieczorem Antonina bardzo źle się poczuła. Długo zaciskała zęby i starała się wyglądać na zdrową i wesołą, uważając, że jest to dolegliwość naturalna w jej stanie: była w ciąży. Kiedy jednak zaczął się krwotok, złękła się nie na żarty, a mąż wpadł w panikę. Po półgodzinie karetki wciąż nie było i Nikołaj postanowił sam odwieźć żonę do szpitala. Na własny samochód w tym czasie jeszcze nie uskładał pieniędzy, postanowił więc złapać łebka i ze strachem myślał o tym, że Tonia zakrwawi tapicerkę i trzeba się będzie wyklócać z właścicielem auta. Najbardziej się bał, że mogą stracić dziecko. Dręczyła go też obawa, że nie wytrzyma i nakładzie kierowcy po pysku, jeśli ten zacznie się awanturować. To groziło trzecim wyrokiem, a wówczas całe z trudem ułożone życie rodzinne rozsypie się w proch...

Fistin zbiegł po schodach, rzucił się z podniesioną ręką na skrzyżowanie i o mało nie wpadł pod hamującą gwałtownie wołgę, za której kierownicą siedział Gradow, sąsiad z piątego piętra. Ten natychmiast poznał majstra, który kilkakrotnie naprawiał w jego mieszkaniu zagraniczną armaturę łazienkową.

– Co się dzieje, Nikołaj? – zapytał sąsiad.

– Żonę muszę szybko zawieźć do szpitala, wezwałem pogotowie, ale nie przyjeżdża. Boję się, że Antonina się wykrwawi, chcę złapać jakiś prywatny samochód.

– Ja was zawiozę – bez zastanowienia zaproponował Gradow. – Żona da radę sama wyjść, czy ją wyniesiemy?

– Ależ co pan, Siergiej Aleksandrowiczu! – bąknął zmieszany Nikołaj. – Zabrudzi panu wszystkie pokrowce...

Pokrowce w aucie Gradowa były rzeczywiście wspaniałe, z białego futra.

– Głupstwo, jedziemy – zakomenderował Gradow. – A o pokrowce się nie martw, jak je zniszczysz, to odrobisz, będziesz mi do samej śmierci kibel naprawiał.

Siergiej Aleksandrowicz zawiózł Tonię nie byle gdzie, ale do dobrej kliniki, gdzie przedstawił ją jako swoją kuzynkę. Fistin po prostu oniemiał, widząc te wszystkie luksusy z separatką, nowoczesnym sprzętem, usłużnym, sprawnym personelem i czarnym kawiozem na śniadanie. Ciężę udało się utrzymać i po przyjeździe na świat syna Nikołaj uważał się za wiecznego, niewypłacalnego dłużnika Siergieja Aleksandrowicza Gradowa.

W 1991 roku Gradow, będąc z przyjaciółmi w pewnej restauracji, był świadkiem ostrej bójki z użyciem kastetów i nawet padły wówczas strzały. Kilku uczestników zajścia wydało mu się znajomych.

Udał się na górę do kierowniczkii lokalu, którą znał od wielu lat, i spytał, dlaczego nie wezwano milicji.

– A po co? – Kierowniczka wrzuszyła ramionami. – To chłopcy, którzy pilnują tu porządku. No i właśnie policzyli się z jakimiś rozrabiakami. Milicja nie jest potrzebna.

– Chyba widziałem kilka razy tych chłopaków koło mojego domu, rozmawiali z naszym hydraulikiem, Kolą Fistinem – w zamyśleniu powiedział Gradow.

– A to pan nie wie? – zdziwiła się szczerze kierowniczka. – On jest ich hersztem. Nazywają go „wujek Kola”.

Kiedy po jakimś czasie Gradow zaprosił do siebie Nikołaja i zaproponował mu zmianę profilu działalności, ten z radością na to przystał. Fistin czuł, że sprawowanie kontroli nad terenem,

z którego ściągał haracz, staje się coraz trudniejsze. Udało mu się brutalnie wyszarpać dla siebie kawałek i przez pewien czas utrzymać, ale zaczęli się pojawiać młodzi, ostrzy zabijacy, którzy nie respektowali reguł gry i z którymi Nikołaj nie miał sił walczyć. W nowych warunkach w cenie była nie tylko siła mięśni, ale i głowa na karku, a z tym u wujka Koli nie było najlepiej. Najpierw z kontrolowanego przezeń terenu urwali stację benzynową, potem kwartał ulicy z hotelem, a teraz przymierzali się do stacji metra z otaczającymi ją prywaciarскими budkami. Często, gdy wujek Kola próbował zrobić z tym porządek, pokazywano mu jakieś cwane papiery, zaświadczające, że obiekt jest własnością samorządu miejskiego, a więc obkładanie go haraczem nie ma sensu, bo wszystkie dochody drobiazgowo kontrolują władze. Propozycja Siergieja Aleksandrowicza okazała się bardzo na czasie: wujek Kola mógł, nie tracąc twarzy u swoich chłopców, porzucić reket i zająć się inną, dobrze opłacaną i spokojniejszą robotą. Zresztą sam Gradow nalegał, by Fistin zaprzestał przestępczego biznesu: on robi karierę polityczną, potrzebuje ludzi do ochrony, utrzymania porządku w czasie organizowanych przez jego partię masowych imprez oraz do wykonywania różnych poufnych zleceń. Chłopcy będą się pokazywać w jego otoczeniu, więc nie mogą być wplątani w kryminalne porachunki. Wujek Kola dość mętnie wyobrażał sobie charakter przyszłej pracy, ale gotów był służyć Gradowowi z oddaniem, jak wierny pies.

Od tego czasu upłynęły dwa lata i teraz wujek Kola po raz pierwszy poczuł zagrożenie. Zagrożenie nie ze strony milicji, która – trzeba to przyznać – mogłaby mu wystawić solidny rachunek, ale ze strony Arsena, którego znieubił już od pierwszego spotkania. Po co szef zaprosił tego łysego kurdupła?

Wujek Kola zrobił wszystko, co kazał mu Gradow: wynajął dom, z którego korzystał już wcześniej, odszukał dziewczynę; chłopcy powiedzieli jej, że są kumplami Bondarienki, że ten nie będzie mógł jej zawieźć w poniedziałek do Smielakowa, więc poprosił ich, żeby ją tam zabrali w niedzielę. Wywieźli ją w ustronne miejsce i wytrzęśli z niej wszystko, co wiedziała. Niestety, wiedziała niewiele, dała im tylko namiary na niejakiego Kosara. Chłopcy zabili oboje, poszli do mieszkania malarza, skasowali nagranie Kosara

z informacją o Bondariencie i szyto-kryto. Więc po co ten cały Arsen? Poza tym Arsen ciągle go krytykował. Na samym początku oświadczył, że nie ufa ekipie Koli, i usiłował nakłonić szefa, by ten płacił jego, Arsena, ludziom. Szef, co prawda, nie zawiódł Koli, zapewniał, że jego chłopcy są świetnie wyszkoleni i wykonają, co trzeba, bez zarzutu. Na te słowa Fistinowi zrobiło się ciepło na sercu i jego wdzięczność i oddanie Gradowowi jeszcze wzrosły. Arsen jednak i tak przy każdej okazji traktował go jak gówno, poniżał i wciąż gadał coś niezrozumiałego.

Wujek Kola cierpiał, kiedy szef rozmawiał z Arsenem jakimś im tylko zrozumiałym językiem, zgadzał się z rozkazami i żądaniami tego małego dziadygi, a on, Nikołaj, choćby nie wiadomo jak się natęzał, nie mógł uchwycić czegoś bardzo ważnego. A nuż szef się zorientuje, że wujek Kola niczego nie kuma i go pogoni, a na jego miejsce przyjmie tę starą gnidę Arsena? Nie, pocieszał się Fistin, szef nie może go wyrzucić, wiąże ich zbyt wiele brzydkich i wręcz krwawych sprawek. Ale była to słaba pociecha, wujek Kola nie chciał, żeby szef, widząc jego nieudolność, trzymał go przy sobie ze strachu. Wielka miłość własna Fistina buntowała się przeciw takiej sytuacji. W czasie negocjacji wujek Kola ze wszystkich sił próbował pojąć, o czym mówią szef i Arsen, starając się nie okazać narastającego strachu i rozpacz, i uśmiechając się swoim dziwnym uśmiechem. Było to szczerzenie zębów zaszczutego szakala, który wie, że przeciwnik jest silniejszy i lada moment nadejdzie koniec, ale mimo wszystko usiłuje go zastraszyć...

Tamtego dnia, 30 grudnia, Nikołaj Fistin zrozumiał, że nadszedł decydujący moment. Arsen oznajmił, że zerwał umowę z szefem i więcej nie będzie dla niego pracował, chociaż sprawa nie została zakończona. Ledwie wujek Kola odetchnął z ulgą, gdy Arsen zdzielił go jak pałką w łeb poleceniem, by natychmiast odszukał Sańkę Dżakowa. Po co? Do czego potrzebny mu Dżakow, skoro umowa zerwana? A poza tym Arsen sam przecież kazał Sańkę rozpracować. I wujek Kola go rozpracował: kazał mu wyjechać do innego miasta i przycząć się tam na trzy, cztery miesiące, a w domu powiedzieć, że wyjeżdża w interesach i wróci wiosną. Po czym przekazał do wskazanego miasta polecenie, by Dżakowa tam „załatwiono”. Do kwietnia nikt go nie będzie szukał; w kwietniu śnieg stopnieje, ale

zanim go znajdą, zanim ustalą tożsamość... Czego chce ten stary pierdoła? Co prawda, Arsen wyjaśnił mu uprzejmie:

– Kamieńska żąda, żeby przyszedł do niej Dżakow. Ma go poinstruować na wszelki wypadek.

– Żąda, dobre sobie! – rzucił się wujek Kola. – A jak jutro zażąda od pana miliona zielonych, to co, też pan poleci ich szukać?

Dziś Arsen był nad podziw cierpliwy i jakby nie dostrzegł złośliwego przytyku.

– Jej żądania są całkowicie rozsądne i muszą zostać spełnione – odrzekł spokojnie. – Nigdy nie sprzeciwiam się wymiarowi sprawiedliwości, ja z nim koegzystuję. Ko-eg-zys-tu-ję – powtórzył dobitnie. – Czy to jasne? Gdybym się mu sprzeciwiał, nie mógłbym robić tego, co robię. Kamieńska musi wiedzieć, że ze mną można robić interesy i że można mi ufać. Tylko w ten sposób mogę osiągnąć pożądaną cel. Dżakow ma się u niej stawić za godzinę.

Arsen mówił tak bezapelacyjnym tonem, że wujek Kola nie ośmielił się nic powiedzieć. Zaczął nerwowo wydzwaniać do miasta, do którego wysłał Sańkę, w nadziei na to, że jego rozkazu jeszcze nie wykonano. Jak na złość, nie zastał nikogo ze swoich ludzi, widać wszyscy się rozjechali, aby przygotować się do powitania Nowego Roku. Co pół godziny telefonował Arsen i coraz cichszym, złowieszczo spokojnym głosem pytał o Dżakowa.

Wreszcie Fistin podjął decyzję.

– Zaszły pewne komplikacje, musimy się spotkać – powiedział.

Spotkanie z Arsenem przebiegło o wiele gorzej, niż się Nikołaj spodziewał.

– Ty tępy baranie – syczał stary. – Chyba jak Pan Bóg rozdawał rozum, tyś się poszedł odlać. Co, nie rozumiesz po rosyjsku? Czy ja ci kazałem zabijać Dżakowa? Powiedziałem, że trzeba go rozpracować.

– No i właśnie go rozpracowałem.

– Gównu rozpracowałeś, kutasie złamany! Ty i tobie podobni dyletanci kryminaliści nie macie pojęcia o regułach tej profesji. Rozpracować to znaczy właśnie rozpracować, zorientować się, co jest grane, ustalić, kto zawinił, i wyciągnąć wnioski. Czyś ty kiedy miał do czynienia z prawdziwymi przestępcami? Oni znali zasady i nikogo bez powodu nie pozbawiali życia. Mówi ci się, żebyś go

rozpracował, a ty to rozumiesz jako polecenie, żeby gościowi skrócić kark albo go posunąć kosą. Na nic więcej nie starcza ci pomysłu. Żeby sprawę rozpracować, trzeba myśleć, ruszyć głową, a ty nie masz czym ruszyć. Jesteś rzadkie gównem, a nie Ojciec Chrzestny. Nie tylko nie potrafisz myśleć, ale i zabić sam nie umiesz, tylko wydajesz rozkazy. A jakby przyszło co do czego, tobyś stał, ściskając gnata spoconą łapą, i szczał w portki ze strachu. Co ja mam teraz powiedzieć Kamieńskiej? Że Dżakowa zabili, a ja o tym nie wiedziałem? Więc co to za organizacja, że moich ludzi zabijają, a ja o tym nie wiem? Z taką niepoważną firmą ona nie zechce mieć do czynienia.

– I co z tego? – odszczeknął się wujek Kola. – Tak czy owak pan przecież już dla szefa nie pracuje. Po co te nerwy? Nie zechce mieć z panem do czynienia, to bez łaski.

– Nie, ty jednak jesteś kompletnym kretynem. Czy przynajmniej rozumiesz, że sam musisz ratować swoją epidermę?

– Co ratować?

– Skórę, durniu jeden. Jeżeli Pietrowka wczepi się w zabójstwo Dżakowa, to do ciebie będą mieli jeden krok. Co, może myślisz, że tylko ty jeden jesteś owocem płomiennej miłości, a wszyscy inni palcem robieni? A jak psy zechcą teraz przesłuchać Dżakowa na okoliczność włamania do chaty Kartaszowa? Do wiosny czekać nie będą, nie licz na to. Już dziś z samego rana go szukali. Gdyby żył, ta dziewczyna by go nauczyła, co robić i co mówić, i burza przeszłaby bokiem. A teraz zaczną go szukać i nawet jeśli znajdą dopiero na wiosnę, i tak to powiążą z dzisiejszym dniem. A jeżeli powiążą – to znowu powierzą sprawę Kamieńskiej. Dlatego właśnie muszę z nią być w dobrych stosunkach. A ty, jak zawsze, wszystko spieprzyłeś. Myślisz, że nie widzę, jak mnie nienawidzisz? Nie wierzysz w ani jedno moje słowo, chociaż mam rację i przydałoby ci się ode mnie tego i owego nauczyć. Ile razy wytykałem ci błędy? Ile razy tłumaczyłem, jak i co trzeba robić? Czy choć raz mnie posłuchałeś? Dla ciebie liczy się tylko twój idol Gradow, tylko jego słowo coś dla ciebie znaczy. Jak głupi pies rozumiesz komendę tylko wtedy, kiedy dostaniesz kapciem po mordzie. A twój Gradow to taki sam półgłówek jak ty i nigdy nic mądrego ci nie powie. Do usranej

śmierci nie nabierzesz rozumu, bo nie chcesz się uczyć od mądrych ludzi.

Wujek Kola znosił to wszystko cierpliwie, bo teraz miał jasno wytyczony cel. Zrozumiał, że musi pomóc szefowi. A w tym celu powinien zmusić Arsena, by ten wywiązał się z umowy. Widocznie Siergiej Aleksandrowicz nie potrafił go namówić. Cóż, on, Fistin, nie będzie go namawiał. On go zmusi. Ale przedtem powinien chociaż cokolwiek o nim wiedzieć. Dlatego właśnie skłonił Arsena do spotkania, gotów podstawić głowę pod kubeł pomyj.

Po spotkaniu za dziadygą pójda chłopcy, żeby ustalić na początek jego adres. A potem się zobaczy. Kubeł, co prawda, okazał się jednak nieco większy, niż wujek Kola oczekiwał, a pomyje tym razem były wyjątkowo obrzydliwe. „Nie szkodzi”, powtarzał w duchu Fistin, wracając ze spotkania, „sam dostaniesz kapciem po swojej wrednej, pomarszczonej mordzie”.

Wujek Kola nawet nie wyobrażał sobie w swoim małym rozumku, czym jest Arsen i jego firma.

Pułkownik Gordiejew patrzył w okno. Jakoś tak się dzieje, że zimą, przy brzydkiej pogodzie, wszystkie ulice stają się jednakowe, i w samym centrum Moskwy roztacza się taki sam widok jak na peryferiach, przy Szosie Szczełkowskiej, gdzie mieszkała Nastia.

Wiktor Aleksiejewicz widział te same mokre chodniki, brązowe błocko chlustające spod kół samochodów, te same pociemniałe od śniegu z deszczem płaszcze i kurtki. A może działa się tak nie zawsze, tylko tego jednego dnia? Dnia, w którym i on, i Nastia musieli niewyobrażalnym wysiłkiem woli przestać być sobą i zmienić się w odrażające, cyniczne, złe monstra...

Gordiejew spoglądał na ulicę przez dawno niemytą, mętną szybę i myślał o tym, że zaraz będzie przypierać do muru jednego z tych, których przez długie lata lubił, szanował, uważał za „swoich” – kogoś, kogo traktował jak syna. Zaraz musi śmiertelnie przerazić człowieka, który przeżył straszną tragedię i którego życie i tak nie rozpieszczało. Będzie musiał sprawić mu ból, wielki ból, wystawi na próbę jego uczciwość i wytrwałość, jego rozum i siłę, a wszystko po to, by go zmusić do zrobienia tego, czego nie można od niego wydebić ani logicznymi argumentami, ani prośbami. On, Gordiejew,

znów będzie kłamać. Który to już raz dzisiaj? Poczł, że grzęnie w kłamstwie jak w bagnie, z każdym kolejnym krokiem coraz głębiej i beznadziejniej, że chyba nie będzie już odwrotu i zostanie skazany na to, by do końca życia kłamać, kłamać, kłamać, okłamywać żonę i kolegów, przełożonych i przyjaciół. Nigdy już nie będzie dawnym sobą, stanie się inny, wymyślony, sztuczny, fałszywy...

Gordiejew usłyszał, jak cicho otwierają się drzwi, ale się nie obejrzał.

– Pan mnie wzywał, pułkowniku?

– Wzywałem.

Powoli odwrócił się od okna, ciężko opadł na fotel i słabym gestem zaprosił Łarcewa, by usiadł.

– Przepraszam, że musiałem cię oderwać od przesłuchania.

– Nic nie szkodzi, w zasadzie już je zakończyłem.

– No tak, no tak. – Gordiejew pokiwał głową. – Chciałem się cię poradzić, jesteś najlepszym psychologiem w naszym wydziale. Źle się u nas dzieje, synu.

– A co? – z nagłą czujnością zapytał Łarcew.

Na jego twarzy nie drgnął żaden mięsień, była kamiennie spokojna. I za tym kamiennym spokojem pułkownik widział olbrzymie wewnętrzne napięcie człowieka, któremu wszystko układa się tak źle, że nie starcza mu już sił na okazywanie emocji.

– Boję się, że nasza Anastazja dała się złamać.

Boże, wybacz mi, jak w ogóle coś takiego może mi przejść przez usta? Stasienko, córeńko moja, jakież ze mnie stary dureń, że dopuściłem, by sprawy zaszły tak daleko. Ciągle się tylko zastanawiałem, wyliczałem, wahałem się, zwlekałem, w nadziei, że jakoś to będzie. Ale nie jest. To przecież ty mi zawsze powtarzałaś, że w życiu nic nie mija bez śladu i nie uchodzi płazem.

Łarcew milczał i pułkownik wyraźnie widział w jego oczach zastygłe przerażenie.

– Jeszcze wczoraj miała ciekawe pomysły w sprawie Jeriominej, a dziś rano mi powiedziała, że nie widzi możliwości wykrycia zbrodni, że wszystkie jej hipotezy spaliły na panewce i nic nowego nie potrafi wymyślić. I że w ogóle źle się czuje i wzięła zwolnienie lekarskie. O czym to świadczy?

Łarcew nadal milczał, tylko przerażenie w jego oczach powoli zaczęło ustępować miejsca rezygnacji.

– Świadczy to o tym – monotennie ciągnął Wiktor Aleksiejewicz, patrząc gdzieś w przestrzeń obok Łarcewa – że albo wzięła łapówkę od sprawców, albo ją zastraszo i stchórzyła, poddała się od razu, bez walki. I jedno, i drugie jest tak samo okropne.

– Ależ, Wiktorze Aleksiejewiczu, to niemożliwe – odezwał się wreszcie Łarcew jakimś obcym, przesadnie dźwięcznym głosem i sięgnął do kieszeni po papierosa.

Oczywiście, że niemożliwe, pomyślał pułkownik. Słusznie powiedziałeś. Ale sęk w tym, że wcale tak nie myślisz. Świetnie wiesz, że ją zastraszo. Mówisz o Anastazji świętą prawdę, a jednocześnie łżesz. Takie to bywają w życiu paradoksy! No cóż, wygląda na to, że nie chcesz się przyznać. Dałem ci szansę, a tyś ją odrzucił. Twój strach przed nimi jest silniejszy niż zaufanie do mnie. No dalej, wyciągaj papierosa, potem będziesz przez pół godziny szukał zapalniczki, potem uda ci się ją zapalić dopiero za dwudziestym razem. Graj na zwłokę, myśl, jak mnie przekonać, że Nastia jest uczciwa, ale słaba. Wal, synu, ja nie będę ci zaprzeczał. Trochę się powaham dla zachowania pozorów i może przyznam ci rację. Sam już tak się sobą brzydę, że gotów jestem zgodzić się ze wszystkim.

Łarcew wreszcie zapalił, zaciągnął się głęboko i jeszcze przez kilka sekund szukał popielniczki.

– Uważam, pułkowniku, że pan przesadza. To jej pierwsza sprawa, którą rozwiązuje nie tylko za biurkiem, grzebie się w niej półtora miesiąca, no i nic dziwnego, że jest przemęczona. Przecież dotychczas tylko siedziała w gabinecie i analizowała informacje, pisała cyferki, obliczała procenty. Tak naprawdę nigdy nie widziała na oczy przestępcy. A kiedy zaczęła pracować tak jak wszyscy inni, od razu zrozumiała, że jej teorie do niczego się nie nadają, że za ich pomocą morderstwa nie da się wykryć. No i wpadła w depresję. A zresztą kto by miał na nią wywierać nacisk? Cóż tak niezwykłego mogła wykryć w tym zabójstwie? To prymitywna, prosta sprawa: ofiara była alkoholiczką, któż by się nią interesował? Jakaż mafia mogłaby mieć z nią coś wspólnego? Nie, to absolutnie nieprawdopodobne. A nasza Nastazja jest dziewczyną nerwową,

wrażliwą, dość słabego zdrowia, toteż rezultat, moim zdaniem, był do przewidzenia. Nie powinien pan tak źle o niej myśleć.

Nieładnie, synku, oj, nieładnie. Czyżbyś zapomniał, jak Anastazja całą noc przesiedziała sam na sam z najemnym zabójcą Gallem, który przyszedł, żeby ją zabić? A może nie wiesz, że dwa miesiące temu zdemaskowała wyjątkowo niebezpieczną grupę przestępców, z którymi codziennie musiała obcować i którzy mieli na sumieniu piętnaście trupów? Doskonale to wszystko wiesz, sukinsynu, ale ja widzę, dokąd zmierzasz, i rozumiem cię. Nie możesz inaczej. Musisz przekonać mnie o tym, że nikt Nastazji nie terroryzuje, że jej odmowa dalszego prowadzenia sprawy to decyzja dobrowolna. Cóż, wal dalej, próbuj. Dobrze dbasz o własne interesy, a jednocześnie usiłujesz wyciągnąć ze mnie informację. Czekasz, aż zacznę ci opowiadać, co tak szczególnego Nastia wykryła w zabójstwie Jeriominej? Czekaj, czekaj.

– Wiktorze Aleksiejewiczu, to sprawa nie do wykrycia, co było jasne od samego początku. Niezrównoważona młoda pijaczka, której odbiła szajba, mogła wyjść z domu z każdym i w każdej chwili, i żadnych śladów się tu nie wytropi. A Nastia przeceniła własne możliwości, uczepiła się swoich wydumanych hipotez, zmarnowała masę sił i co osiągnęła? Załamanie nerwowe i guzik z pętelką. Rozumiem ją, pierwsza samodzielna sprawa: naturalnie chciałoby się, żeby się okazała skomplikowana, z jakimś mafijnym podłożem. Ale nie zapominajmy, że mimo wzrostu przestępczości zorganizowanej motywy co najmniej połowy zabójstw to tak czy owak „codziennosc”. Zazdrość, zemsta, pieniądze, zawiść, przemoc w rodzinie. Słowem, zwykłe ludzkie uczucia. I żadna mafia nie ma tu nic do rzeczy. Nastia nie chciała się z tym pogodzić, chciała, żeby to była głośna sprawa, zaczęła wymyślać coraz bardziej nieprawdopodobne hipotezy i na ich weryfikację zużyła wszystkie siły i poświęciła masę czasu.

– Nie, Wołodia, nie wierzę, że to takie proste. – Gordiejew pokręcił głową. – Obaj znamy ją nie od dziś, jest wyjątkowo wytrwała. Nigdy nie daje za wygraną. Tak, może się zestresować i zachorować, ale się nie wycofa. Nawet gdyby miała umrzeć, zaciśnie zęby i zrobi, co do niej należy. Nie, nie wierzę. Brzydko tu pachnie, synu, czuję to. Trzeba z tym coś zrobić. Niech tylko

wydzrowieje i przyjdzie do roboty, a natychmiast złożę raport o wszczęcie dochodzenia służbowego. Będę nalegał, żeby ją zwolniono z pracy. Lubię ją, jak zresztą was wszystkich, ale nie będę tolerował korupcji i tchórzostwa.

No, Stasienko, stało się, podłożyłem cię, rzuciłem na żer. Zobaczymy teraz, jaki jest nasz Łarcew: krwiożerczy czy dobry. Oczywiście będzie nalegał, żeby cię nie zwalniać, dochodzenie służbowe jest mu przecież nie na rękę. Teraz powinien zgrywać szlachetnego i radzić, żebym cię przeniósł z wydziału operacyjnego do jakiejś papierkowej roboty. Ciekawe, jakie stanowisko dla ciebie przewidział? Wygląda, jakby mu ulżyło, wie już, jakiej linii ma się trzymać. Teraz uspokoję go zupełnie, niech się trochę rozluźni przed ostatnim ciosem, a później... Wóz albo przewóz. Och, Stasienko, córeczko, gdybyś wiedziała, jakie to dla mnie bolesne, jak serce mi pęka. Żal mi Wołodźki, córka jest mu najdroższa na świecie. A ja, podlec, uderzam w taką świętość!

– Po co od razu zwalniać, pułkowniku? Nie można dziewczynie łamać życia. Ma pan rację, ona się do pracy operacyjnej nie nadaje, zbyt miękka. Ale na pewno nie jest nieuczciwa, zaręczam panu, głowę daję. Najlepiej by było przenieść ją do sztabu, do wydziału informacyjno-analitycznego, niech tam sumuje swoje ukochane słupki. Więcej z niej będzie korzyści, a i robota spokojna, bezstresowa.

– No, nie wiem, nie wiem.

Pułkownik Gordiejew wstał z fotela i zaczął wolno spacerować po pokoju.

Dla jego podwładnych był to nieomylny znak, że szef jest w trakcie podejmowania trudnej decyzji. I że zatrzyma się dopiero wtedy, kiedy decyzja zostanie podjęta.

– Trzeba się nad tym dobrze zastanowić. Dwumiesięczny termin jeszcze nie upłynął, mamy trochę czasu, więc na razie sprawy nie zamkniemy. Sam się tym zajmę. Albo komuś to zlecę. Chociażby tobie, tyś tę sprawę rozpoczął, więc znów przejmiesz pałeczkę.

– Dobrze, Wiktorze Aleksiejewiczu. Jeżeli w sprawie Jeriominej coś jest, to się tego dokopię, a jeśli nie, to trudno. Chociaż uważam, że to całkiem zwyczajne zabójstwo.

Giordiejew popatrzył na zegarek. Od wejścia Łarcewa minęło pół godziny. Pułkownik zmieścił się w czasie, tak jak ustalił to z Żeriechowem.

Zaczął wygłaszać jakieś zdawkowe komunały, kiedy drzwi gwałtownie się otworzyły.

– Pułkowniku, nieszczęście! W gabinecie Pawła Wasiljewicza zabito kapitana Morozowa!

Kiedy major Łarcew wymknął się z tłumu, zgromadzonego pod gabinetem Żeriechowa, i ruszył do wyjścia, dwaj ludzie, siedzący w aucie na wewnętrznym dziedzińcu gmachu GUWD, odebrali sygnał „uwaga”. Trzymając się w przyzwoitej odległości, podążyli za obiektem do stacji metra, skrócili dystans na ruchomych schodach i wsiedli wraz z nim do pociągu. Łarcew wyszedł z metra w pobliżu swego domu, kupił w kiosku paczkę papierosów, przeszedł parę kroków na skwer, usiadł na ławce i zapalił.

Obserwatorzy mieli sprawdzić, czy Łarcew spróbuje z kimś się skontaktować. Po drodze kilka razy potrącał przechodniów i pasażerów, za co krótko przepraszał, i trudno się było zorientować, czy są to umówione sygnały. Nie telefonował, nigdzie nie wstępował i z nikim nie rozmawiał.

Śledzący kupili sobie po dwa gorące czebureki⁸ i pojadali je w zadumie, nie spuszczając z oka nieruchomej postaci na skwerze.

Major Łarcew nabył w czwartym kiosku, licząc od metra, papierosy Davidoff, dając w ten sposób umówiony sygnał, że prosi o pilny kontakt, i zaczął obserwować kiosk.

Bynajmniej nie zamierzał się kontaktować z szantażystami. Śmierć Morozowa głęboko nim wstrząsnęła. Przecież Anastazja zrobiła wszystko, czego chcieli, więc czemu nie dotrzymali obietnicy? Czemu zabili Morozowa? Z tego wniossek, że nie można im ufać i że wszystkie ich zapewnienia, że uwolnią Nadie natychmiast, jak tylko wszystko się uspokoi i niebezpieczeństwo minie, mogą się okazać kłamstwem. Może dziewczynka już nie żyje? Nie wolno mu zwlekać, musi ich znaleźć i sam ocalić swoje dziecko. Żadnych więcej negocjacji i obietnic, jak widać nie można na nich

polegać. Trzeba wysledzić, kto odbierze sygnał, i przyprzeć go do muru. W ten sposób, po nitce do kłębka, Łarcew dotrze do samego bossa, a wtedy wydrze mu swoją córkę, nawet gdyby musiał go zabić.

Patrzył z uwagą w stronę kiosków, ale na razie nic ciekawego się nie działo. Kioskarz nigdzie nie wychodził, sprzedawcy z pozostałych budek też nie. Cała nadzieja w tym, że sygnał odbierze któraś z osób stale przebywających w strefie handlowej, czyli sprzedawca, a ten będzie musiał wyjść, żeby zatelefonować i przekazać sygnał. Jeśli jednak tą osobą nie jest kioskarz, tylko kupujący, któremu sprzedawca po prostu mówi, że Łarcew nabył paczkę davidoffów, całe przedsięwzięcie traci sens. Wyśledzić kupującego Łarcew nie zdoła. Ale wciąż jeszcze miał nadzieję... Marzył na mokrej, zimnej ławce, obserwował kiosk i myślał o Nadi. Jak jej tam jest? Czy dają jej coś do jedzenia? Czy nie zachorowała?

Te rozważania naprowadziły go na myśl, że szantażujący go ludzie dysponowali właściwie pełną informacją o jego córeczce: dokąd i kiedy chodzi, kiedy i na co choruje, jakie ma oceny w szkole, z kim się przyjaźni. Nadię nieustannie śledzono, ale tego rodzaju informacji nie da się uzyskać poprzez zwykłą obserwację na ulicy. Wyglądało na to, że tych ludzi informują i nauczyciele, i lekarze z przychodni, i rodzice jej koleżanek. Łarcew zdawał sobie jednak sprawę, że coś takiego jest po prostu niemożliwe. Więc jak im się to udaje?

Nagle drgnął. Ta kobieta. Po czterdziestce, krępa, tęgawa, o grubych rysach, ubrana prosto i nieco niechlujnie, siwiejące ciemnoblonde włosy gładko przyczesane, ściągnięte na karku zwykłą gumką. Przez ostatnie półtora roku spotykał ją na każdym zebraniu rodzicielskim.

Kiedy umarła żona, Łarcew przeniósł Nadię do szkoły położonej jak najbliżej domu, żeby nie musiała zbyt często przechodzić przez jezdnię. Dawniej odprowadzała ją i odbierała Natasza, więc mogli sobie pozwolić na luksus umieszczenia córki w prestiżowej szkole z wykładowym francuskim. Teraz dla Łarcewa najważniejszą rzeczą stało się co innego – bliskie usytuowanie szkoły, i miała już od półtora roku chodziła do zwykłej podstawówki, którą od domu dzieliło dziesięć minut drogi i tylko jedno skrzyżowanie.

Na wywiadówki chodził regularnie, ale z nikim nie zawierał znajomości oprócz rodziców koleżanek Nadi.

Był zdania, że nie ma sensu zapamiętywać twarzy na takich zebraniach, jako że, po pierwsze, nie wszyscy rodzice uważają za konieczne przychodzić na wywiadówki, po drugie, przychodzą czasem matki, czasem ojcowie, a czasem babcie. Wywiadówki odbywały się na zakończenie każdego okresu, i zawsze Wołodia dostrzegał nowe twarze. Tylko ta kobieta... Była na każdym zebraniu. I wiecznie coś notowała. To wyróżniało ją zdecydowanie spośród reszty obecnych, którzy otwarcie umierali z nudów, bo o własnym dziecku każdy i tak wszystko wiedział, szeptali, komentując słowa wychowawczynie, niektóre panie robiły na drutach, wsunawszy kłębki włóczki pod pulpit ławki, ojcowie na ogół czytali schowane na kolanach gazety lub kryminały. I tylko ta kobieta uważnie słuchała. Łarcew uchwycił wreszcie i sformułował wymykającą się myśl: wszyscy rodzice spełniali rutynowy obowiązek, a ona – pracowała.

Im więcej o niej myślał, tym więcej przypominał sobie dziwnych szczegółów.

Spóźnił się na wywiadówkę, więc po wejściu do klasy zrezygnował z przeciskania się do ostatniej, wolnej ławki, tylko usiadł tuż przy drzwiach, obok tej kobiety. Jak zwykle coś pisała, ale na widok Łarcewa błyskawicznie schowała notes. Wołodia uśmiechnął się w duchu, myśląc, że pewnie ona nudzi się tak samo jak wszyscy, ale wymyśliła sobie zajęcie i może pisze list, a może układa wiersze. I dlatego schowała notes...

Wychowawczynie omawia wyniki międzyszkolnej klasówki z rosyjskiego.

– Chcecie państwo zobaczyć, jak piszą wasze dzieci? – pyta i zaczyna rozdawać rodzicom zeszyty.

Nieznajoma zanoszą się kaszlem, przyciska do ust chusteczkę i wychodzi z klasy.

Po wywiadówce wszyscy rodzice skupiają się przy stole nauczycielskim, by wpłacić pieniądze na śniadania. Wszyscy oprócz tej kobiety, która od razu kieruje się do drzwi...

Łarcew po zebraniu wychodzi ze szkoły i na sąsiedniej ulicy, za rogiem, widzi, jak ta kobieta wsiada do samochodu, za kierownicę.

Waz-99 w kolorze grafit, z potężnymi przeciwmgielnymi halogenami, oponami Michelin, w środku kosztowne pokrowce z prawdziwego baranka. No, no, pomyślał wtedy Łarcew, tak nieciekawie wygląda, a jeździ taką bryką.

Na tylnym siedzeniu wypatrzył duży plecak, wodery i myśliwską kurtkę z ładownicą...

Teraz zwymyślał się w duchu, że wcześniej nie zwrócił na kobietę uwagi. To jasne, że prawie wszystkie informacje o Nadi pochodziły z tych cholernych wywiadówek.

To o Nadi, której zrobiło się słabo na drugiej lekcji, mówiono, przypominając rodzicom, że dzieci koniecznie muszą dostawać śniadanie przed wyjściem do szkoły. O Nadi wspomniano, prosząc rodziców, by nie pozwalali dzieciom przynosić na lekcje zabawek, jako że te niekiedy są bardzo drogie i nie dla każdego dostępne, co rodzi różne konflikty. Właśnie niedawno Nadia Łarcewa omal się nie pobiła z Ritą Briukową, bo Rita przyniosła do szkoły lalkę Barbie, dała ją Nadi do zabawy, a kiedy chciała odebrać, Nadia nie mogła się rozstać ze śliczną zabawką. Nazwisko Nadi wymieniano, pouczając rodziców, żeby nie wysyłali do szkoły dzieci, kiedy te źle się czują, bo mogą pozarażać kolegów. Ach, gdyby wcześniej zwrócił na to wszystko uwagę!

Zerwał się z ławki i szybko poszedł w stronę metra. Po dwóch przystankach przesiadł się na inną linię i dojechał do stacji Uniwersytet, gdzie mieściło się Moskiewskie Stowarzyszenie Łowiecko-Wędkarskie.

Kiedy na jego prośbę rozłożono przed nim około trzydziestu kart ewidencyjnych kobiet myśliwych ze zdjęciami i adresami, od razu wypatrzył znajomą twarz i momentalnie zapamiętał nazwisko i adres, po czym zebrał wszystkie karty w stosik i zwrócił sekretarce, nie robiąc żadnych notatek.

– Znalazł pan to, czego szukał? – spytała, zamykając karty w sejfie.

– Znalazłem, dziękuję.

Bingo. Natalia Jewgienjewna Dachno, prospekt Lenina 19, mieszkania 84.

Rozdział 15

Cezar, leżeć! – Łarcew usłyszał władczy głos zza drzwi. Rozległy się kroki, drzwi się otwarły. Na progu stała kobieta, której poszukiwał.

– Dzień dobry, nie poznaje mnie pani? Spotykaliśmy się na wywiadówkach w szkole numer sześćdziesiąt cztery. Pamięta pani? Jestem ojcem Nadi Łarcewej.

Kobieta jęknęła i oparła się o drzwi.

– Chciał pan powiedzieć, ojczymem? – poprawiła.

– Skąd, jestem jej ojcem. Dlaczego uważa pani, że ojczymem?

– Ale jak to... – Zamrugła stropiona. – Myślałam, że ojciec Nadi...

– Co pani myślała? – ostro zapytał Łarcew, wchodząc do przedpokoju i zamykając za sobą drzwi wejściowe.

Kobieta wybuchnęła płaczem.

– Na miłość boską, błagam, niech mi pan wybaczy, wiedziałam, że to się źle skończy, czułam... takie pieniądze... czułam.

Bełkotała chaotycznie, zanosząc się łkaniem, potem zażywała krople nasercowe, krztusząc się spazmatycznie, piła wodę, ale w końcu Łarcewowi udało się sklecić z rozproszonych słów jako tako spójną całość. W ubiegłym roku zwrócił się do niej pewien mężczyzna, który poprosił, by chodziła na wywiadówki do szkoły numer sześćdziesiąt cztery. Jest ojcem jednej z uczennic, Nadi Łarcewej, ale rozstał się z żoną po okropnej awanturze, żona nie chce go znać i nie dopuszcza go do córki. A on bardzo by chciał coś wiedzieć o małej, jak się uczy, jak się zachowuje w szkole, czy ma jakieś kłopoty, czy nie jest chora. Robił wrażenie tak szczerego, kochającego i nieszczęśliwego, że nie sposób mu było odmówić. Tym bardziej że zaproponował wspaniałe wynagrodzenie za niezbyt przecież absorbującą usługę.

– Co to za jeden? – zapytał Łarcew.

– Nie wiem. – Natalia Jewgienjewna znów zaczęła płakać.

– Jak panią znalazł?

– Staliśmy razem w kolejce w sklepie. Kolejka była długa, zaczęliśmy rozmawiać, on się poskarżył na kłopoty rodzinne... I to

wszystko. Więcej go nie widziałam. On sam do mnie dzwoni.

– A jak odbiera pani pieniądze?

– Zostawia je w kopercie w mojej skrzynce pocztowej, na drugi dzień po każdej wywiadówce. Wieczorem po zebraniu do mnie dzwoni, ja mu wszystko opowiadam, a nazajutrz koperta jest już w skrzynce. Proszę mnie zrozumieć – chlipnęła Dachno – ja poluję, a to bardzo kosztowne hobby. Muszę mieć samochód, żeby wozić ekwipunek, muszę mieć broń, amunicję, licencje... Bez polowań nie mogłabym żyć, umarłabym chyba. Urodziłam się na Syberii, w rezerwacie, mój ojciec był strażnikiem leśnym i od dziecka przyuczał mnie do polowania. Gdyby mi to odebrano, udusiłabym się w mieście.

Dachno bełkotała usprawiedliwienia, co chwila chwytając się za serce, zażywając leki nasercowe, chlipiąc i wycierając nos. Siedzieli w obszernym, ale nieprzytulnym pokoju z niedobranymi meblami, najwidoczniej kupowanymi w różnym czasie i okazyjnie, bez żadnej koncepcji i stylu. Wszystkie ściany dużego, trzypokojowego mieszkania były obwieszane trofeami myśliwskimi i bronią. Na progu drzwi prowadzących do przedpokoju majestatycznie spoczywał olbrzymi, bardzo rasowy doberman imieniem Cezar.

– Niechże się pani postara uspokoić, Natalio Jewgienjewno – łagodnie przemówił Łarcew. – Spróbujmy odtworzyć po kolei wszystko, co pani wiadomo o tym człowieku. Proszę się nie spieszyć i dobrze się zastanowić.

– Po co panu ten człowiek? – nagle podejrzliwie spytała kobieta.

– Widzi pani, moją córkę uprowadzono i porwanie zorganizował właśnie on.

– Co?! – Dachno znów chwyciła się za serce. – Mój Boże, to straszne, to straszne – jęła lamentować, trzymając się za głowę i kołysząc na krześle. – To moja wina, że byłam taką ufną kretynką, że się połaśczyłam na pieniądze, uwierzyłam temu draniowi...

I wszystko zaczęło się od początku: spazmy, krople, woda, kajanie się i bicie w piersi. Łarcewowi zrobiło się strasznie żal tej niemłodej już kobiety, którą światła wielkiego miasta najpierw przywabiły jak głupią ćmę, a potem poparzyły. Dziewuszka z syberyjskiej tajgi zaczęła się dusić w ogromnym, zadymionym, pełnym smogu mieście

i jej jedyną ucieczką przez wszystkie te lata było polowanie – jak orzeźwiający łyk prawdziwej czystości na łonie natury.

Od stacji Uniwersytet do Natalii Dachno Łarcew jechał metrem, ale przy przesiadce na linię obwodową śledzący go zgubili. Nadeszła godzina szczytu, tłumy ludzi taranowały się nawzajem, popychały, tarasowały drogę, obchodząc niezliczone kioski z książkami i gazetami w tunelach i podziemnych przejściach.

– Wracamy do Stowarzyszenia Łowieckiego, ale już – zakomenderował starszy i wyższy z agentów. Jego partner, sympatyczny, ciemnowłosego chłopak, zręcznie lawirując, wydostał się z tłumu i wcisnął w sunący w przeciwną stronę strumień ludzi, torując drogę starszemu koledze.

Było już po godzinach pracy i sekretarka, z którą rozmawiał Łarcew, zdążyła wyjść. Agenci wzięli jej adres, dali znać o zgubieniu obiektu majorowi Żeriechowowi na Pietrowkę i pognali do Kuncewa. Z trudem namówili kobietę, by wsiadła w samochód i wróciła z nimi do pracy. Nie ukrywając irytacji, sekretarka otworzyła sejf i cisnęła na biurko karty ewidencyjne.

Miała na wieczór własne, ściśle określone plany i dziwni gliniarze, ścigający się nawzajem, nie budzili w niej żadnych uczuć prócz złości.

– Czy zainteresował się kimś konkretnym? – uprzejmie zapytał wysoki młodzieniec, przeglądając karty ze zdjęciami kobiet myśliwych.

– Nie wiem. Niczego nie zapisywał. Tylko popatrzył i już.

– Proszę sobie przypomnieć, może czyjaś kartę oglądał dłużej, o coś panią pytał? Dla nas ważny jest każdy szczegół.

– O nic nie pytał. Po prostu uważnie przejrzał wszystkie karty, podziękował i wyszedł.

– Więc może nie znalazł tego, czego szukał? Jakie pani odniosła wrażenie?

– Zapytałam go, a on powiedział, że znalazł. Długo jeszcze panowie zamierzają mnie tu trzymać?

– Zaraz idziemy, musimy tylko zapisać adresy. Słuchaj – zwrócił się nagle chłopak do starszego partnera – przecież większość tych kobiet pracuje tu, w Stowarzyszeniu. Skoro Łarcew tutaj nie został

i niczego nie sprawdzają, to znaczy że ta, której szukał, do nich nie należy. A kobiet pracujących gdzie indziej jest niewiele.

– No, to już lepiej – ucieszył się starszy. – Spryciarz z ciebie, masz łeb na karku. Szybko spisujemy adresy, robimy plan trasy i prosimy Żeriechowa o posiłki.

Pierwszy znalazł się w planie adres na ulicy Domodjedowskiej, drugi – dom na Lublińskiej; chodziło o to, by załatwić południową część Moskwy, później przez centrum ruszyć najpierw na wschód, a potem na północ. Adres Natalii Jewgienjewny Dachno na początku prospektu Lenina znajdował się w planie trasy na trzecim miejscu. Była dziewiętnasta czterdzieści.

Około siódmej wieczorem Siergiej Aleksandrowicz Gradow przekonał się ostatecznie, że jego sprawy stoją bardzo źle. Kiedy o wpół do trzeciej rozstał się z Arsenem i siedząc w barze, próbował jako tako uporządkować myśli, nagle go olśniło. Przecież tu zaszło jakieś nieporozumienie! Arsen wspomniał o Nikiforczyku i Gradow tak się przeraził, że całkiem utracił zdolność logicznego myślenia i nie potrafił odeprzeć zarzutów starego. Teraz jednak, rozpamiętując szczegóły rozmowy, przypomniał sobie, że Arsen wytykał mu działanie na własną rękę. O co mu chodziło? On, Gradow niczego na własną rękę nie przedsięwziął. To pomyłka, przykra pomyłka, którą należy wyjaśnić, a Arsen odwoła zerwanie umowy, i doprowadzi sprawę do końca. Trzeba jak najszybciej się z nim skontaktować.

Siergiej Aleksandrowicz spieszenie opuścił bar, wsiadł w samochód i pojechał do domu. Stamtąd kilkakrotnie zadzwonił pod umówiony numer i zaczął czekać na telefoniczną odpowiedź, żeby się umówić na spotkanie. Odpowiedzi jednak nie było. Powtórzył próbę, ale z tym samym rezultatem. Zdenerwowany Gradow połączył się ze swym znajomym z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i poprosił go o sprawdzenie, do kogo należy numer interesującego go telefonu. Odpowiedź nadeszła szybko i była druzgocąca: taki numer nie jest na nikogo zarejestrowany i przez ostatnich pięć lat był wolny.

Istniała jeszcze jedna droga, ta, którą po raz pierwszy dotarł do Arsena. Siergiej Aleksandrowicz zadzwonił do człowieka, który na początku całej sprawy skierował go do firmy.

– Piotrze Nikołajewiczu, tu Gradow – odezwał się nagle. – Proszę mi poradzić, jak mógłbym szybko skontaktować się z pańskim znajomym.

– Gradow? – ze zdziwieniem zapytał w słuchawce zawieszony bas.
– Nie przypominam sobie. Pan od kogo?

– No jak to, Piotrze Nikołajewiczu, dzwoniłem do pana dwa miesiące temu i dał mi pan telefon osoby, która miała mi pomóc w pewnej drażliwej sprawie. Ten ktoś jest mi teraz pilnie potrzebny.

– Nie rozumiem, o co panu chodzi. Może pomylił pan numer?

Gradow nie miał pojęcia, że przewidujący i ostrożny Arsen zaraz po rozmowie z nim zadzwonił do Piotra Nikołajewicza i powiedział:

– Gdyby pański protegowany ośmielił się mnie szukać, proszę mu powiedzieć, że traci czas.

Siergiej Aleksandrowicz pomyślał w panice, że wszystko przepadło. Nie znajdzie Arsena. Nigdy. Pozostawała jeszcze ostatnia nadzieja. Tą nadzieją był Fistin.

Sierioża Gradow był dzieckiem rozpieszczanym i wręcz psutym. Bardzo cierpiał nad tym, że wszyscy jego koledzy mają ojców na stałe, a on – na przychodne, a i to w czasie rzadkich wizyt taty matka z reguły wysyłała chłopca, żeby się pobawił na podwórku. Ojciec zawsze przychodził z prezentami, zabawkami, słodyczami, matka kochała go bez pamięci i stale powtarzała: „Nasz tata jest wspaniały, tylko po prostu ma inną żonę i dwoje dzieci, których jako człowiek szlachetny nie może porzucić”. Ojciec zaś zapewniał Sieriożę: „Synku, w razie czego zawsze ci pomogę, nie opuszczę w nieszczęściu, możesz na mnie liczyć, najbardziej w życiu kocham ciebie i twoją mamę”. Sierioża często, jako dziecko i nastolatek, popełniał rozmaite głupstwa, ale nigdy go za to nie karano, przeciwnie, tata i mama, czując się winni, że dziecko nie ma prawdziwej, pełnej rodziny, sami łagodzili sytuację i nie tylko nie karcili syna, ale nawet go chronili.

Z czasem w Sierioży rozwinęła się całkowita nieumiejętność i niechęć myślenia o następstwach własnych uczynków, patrzenia choćby o krok do przodu. Robił, co chciał, pozostawiając rodzicom zaszczytny obowiązek naprawiania jego nieprzemyślanych, a czasem wręcz niebezpiecznych postępów. Rezultatem stało się coś, co

psychologia nazywa afektywną dezorganizacją myślenia. W sytuacjach stresowych mózg odmawiał Sierioży posłuszeństwa, chłopak nie myślał logicznie i zaczynał mówić i robić głupstwa. A stresowała go każda zmiana sytuacji, wymagająca uwagi, analizy, reakcji, podjęcia decyzji. Najdrobniejsze napięcie psychiczne było dla niego nie do zniesienia.

Po odśłużeniu wojska tata umieścił go w Instytucie Stosunków Międzynarodowych. Studiowały tam przeważnie latorośle wysoko postawionych osób, które dzięki swym koneksjom mogły ulokować dzieci na uczelni zaraz po maturze, toteż studentów „po wojsku” było tam niewielu. Zwracali powszechną uwagę swą dorosłością, znajomością życia w wojsku, pieprznymi dowcipami, rozmowami o babach i pijatykach, zachowaniem mocno zalatującym „falą”. Zabiegano o ich towarzystwo, szanowano, słuchano każdego ich słowa.

Siergiej ze swego otoczenia szczególnie wyróżniał Arkadija Nikiforczuka, zupełnie innego niż on sam. Arkadij dorastał za granicą w rodzinie dyplomaty, dzieciństwo spędził nad książkami, przy pianinie i nauce języków obcych, przebywał głównie z matką, kisił się w sosie ograniczonego liczebnie kontyngentu radzieckiej kolonii. Maturę zdał w Moskwie i od razu wstąpił do instytutu. Nareszcie na studenckiej swobodzie, Arkadij, który znalazł się pod całkowitym wpływem Gradowa, jakby się urwał z łańcucha. Jego rodzice znów wyjechali na długo za granicę, zostawiając synowi mieszkanie i regularnie zaopatrując go w pieniądze i modne ciuchy.

Po tym, co zaszło w lesie, Gradow i Nikiforczuk bez trudu rozwiązali problem haraczu wypłacanego mężowi ofiary, sprzedając to to, to tamto z przysyłanych przez rodziców Arkadija rzeczy. Gradow jednak, który nie mógł brać pieniędzy od matki, nie chciał być wiecznym dłużnikiem zamożnego gówniarza.

To on wpadł na pomysł uwolnienia się od natrętnego szantażysty. Tamara Jeriomina była jego znajomą i z łatwością nakłonił Witalija Łucznikowa, żeby po wpłaceniu kolejnej raty poszli we trójkę oblać to „u jednej fajnej laluni”. Tamarę szybko spolił do nieprzytomności i położyli spać, z Łucznikowem musieli się porządnie namęczyć, ale wreszcie i jego dotaszczyli do łóżka Tamary. Dźgali nożem kuchennym po kolei. Potem siedzieli w kuchni i czekali, aż Tamara

się ocknie. Nikiforczyk wiercił się jak na szpilkach i chciał czym prędzej wyjść, ale Siergiej wytłumaczył mu autorytatywnie, że muszą zostać dopóty, dopóki Tamara nie odkryje zwłok, i odegrać przed nią scenę, która ją przekona, że sama, upiwszy się do nieprzytomności, zabiła faceta. Bo inaczej nie wiadomo, jaki obrót przyjmie cała sprawa.

– Nie możemy pozwolić, żeby sytuacja wymknęła się spod kontroli – pouczająco mówił Gradow, nakładając sobie ziemniaków i odkrawając kromkę chleba. Popełnione przed chwilą morderstwo nie odebrało mu apetytu. Nawet nie zwracał uwagi na trzyletnią córeczkę Tamary, Wikę, która cichutko siedziała pod stołem, posapując nad jakimiś swoimi dziecięcymi problemami.

Czekali długo. Wreszcie z pokoju dobiegły najpierw jakieś niewyraźne dźwięki, a zaraz potem przeciągłe wycie. Na progu kuchni ukazała się zielona z przerażenia Tamara z rękami wymazanymi krwią. Krew kapłała jej z palców i kobieta, w osłupieniu spojrzawszy na swoją dłoń, jak w transie otarła ją o białą, tynkowaną ścianę. Scena była tak potworna, że Arkadij z trudem powstrzymał torsje. Bardzo nie chciał stracić twarzy w oczach najlepszego przyjaciela, więc by pokazać, jaki z niego twardziel, złapał z kredensu zieloną krawiecką kredkę i narysował w poprzek przecinających ścianę krwawych linii klucz wiolinowy. Ten wyczyn wydał mu się oryginalny i niezwykły, więc zaśmiał się z zadowoleniem. Mógł być z siebie dumny.

Dalej wszystko potoczyło się tak, jak zaplanował Siergiej. Krzyknęli: „Kurwa, coś ty narobiła, zaszlachtowałaś go!”, i wypadli na schody, alarmując sąsiadów i kształtując, jak się wyraził Gradow, opinię publiczną. Przyjechała milicja, młodzi ludzie złożyli zeznania i dopiero wtedy Arkadij się połapał, jaki błąd popełnili.

– Zapisali nasze adresy i nazwę uczelni. A co będzie, jak zawiadomią instytut, że się zadajemy z alkoholiczką i morderczynią? Wyrzucą nas w jednej chwili.

Tego Gradow nie przewidział. Ale nie przeląkł się specjalnie. Jest przecież tata, na pewno im pomoże.

Tacie Siergiej zaczął opowiadać tę samą wersję, co milicjantom. Aleksander Aleksiejewicz Popow zbyt dobrze znał jednak syna, żeby uwierzyć w to kłamstwo.

– Wyście to zrobili? – spytał prosto z mostu.

– Aha. Jak się domyśliłeś? – Siergiej wyzywająco popatrzył mu prosto w oczy. Całkowicie utracił już poczucie przyzwoitości, a dotychczasowa bezkarność pozbawiła go resztek strachu przed rodzicielskim gniewem.

Ojciec zwięźle, obrazowo, ale bardzo konkretnie wytłumaczył synalkowi, że popełnił bardzo zły uczynek. Ale pomoc tak czy owak obiecał. I pomógł.

Po studiach drogi Siergieja Gradowa i Arkadija Nikiforczyka się rozeszły. Aleksander Aleksiejewicz, który tymczasem wspiął się wyżej po drabinie partyjnej, załatwił synowi posadę w Moskiewskim Komitecie KPZR. Z pracy za granicą nic nie wyszło, jako że Siergiejowi nie chciało się uczyć rzadkich języków, a z angielskim, który ciągnął od szkoły średniej, i ze średnim francuskim, na siłę zaliczonym w Instytucie, nie miał specjalnie na co liczyć. Siergiej był zupełnie zadowolony z posady i bez pośpiechu zaczął budować swoją partyjną karierę. Gdy nadeszła pierestrojka, miał już szerokie koneksje i wymyślił łatwy sposób zarabiania dewiz, zebrawszy w Paryżu grupkę młodych, ubogich pisarzy i tłumaczy ze środowiska emigracyjnego, którym dostarczał surowiec do obróbki literackiej i pisania przeraźliwych thrillerów.

Po puczu 1991 roku, kiedy jedna partia umarła ostatecznie, a na jej miejscu jak grzyby po deszczu zaczęły wyrastać niezliczone partie i partyjki, Siergiej Aleksandrowicz z entuzjazmem, wspartym bazą materialną w walucie wymiennej, zaczął tworzyć nową stronicę biografii. I tu na jego drodze po wieloletniej przerwie pojawił się Nikiforczyk...

Osiemnaście lat, jakie minęły od ich rozstania, Arkadij przeżył zupełnie inaczej. Na ostatnim roku ożenił się z koleżanką ze studiów, chudą, niewysoką brunetką o małym, lecz ponętym biuście i wielkich ambicjach, z bardzo dobrej rodziny i z bardzo złym charakterem. Po wydarzeniu w lesie instynktownie unikał kobiet o wyraźnie rosyjskim typie urody, mocno zbudowanych, jasnowłosych, szarookich i krągłolich; po prostu nie wyobrażał sobie, że mógłby dotknąć takiej kobiety, a co dopiero z nią spać. Wysoki, zgrabny, o pięknej, subtelnej twarzy, miał duże powodzenie u dziewcząt, ale ze wszystkich pretendentek wybrał właśnie tę,

która najmniej była podobna do rosyjskiej piękności Lenoczki Łucznikowej. Nikiforczyk, od dzieciństwa wdrożony do nauki języków, z przyjemnością studiował w Instytucie holenderski, co bardzo mu pomogło w zdobyciu po paru latach skierowania do pracy w Holandii w charakterze przedstawiciela jednego ze zjednoczeń handlu zagranicznego. Żona była zachwycona. Wszystko szło tak, jak sobie, wychodząc za Arkadija wyobrażała. Urodziła im się córka.

Ale błyskotliwie rozpoczęta kariera nagle się załamała. Arkadij regularnie się upijał i miewał napady chandry, słuchał smutnej muzyki i rozprawiał o sensie życia, grzechu i podobnych banialukach. Żona zaczęła się denerwować: chciała zrobić zeń dyplomatę i uważała, że powinien się starać przypodobać różnym ludziom, chodzić na przyjęcia, a on tymczasem udaje idiotę. A potem na jakimś ważnym bankiecie Nikiforczyk spił się jak świnia, skompromitował, wygadywał głupstwa – jednym słowem, zachował się niewłaściwie. Głównym tematem jego płomiennych pijackich tyrad było to, że, jak oznajmił, siedzimy tu sobie nażarci i zadowoleni, i udajemy, że wszystko jest w porządku, a tymczasem każdy z nas doszedł tu po trupach i na każdym ciąży grzech. W ciągu dwudziestu czterech godzin został odwołany do Moskwy. Otrzymał zakaz wyjazdów, na zagranicznych wojażach można było postawić krzyżyk, toteż żona, długo się nie zastanawiając, zabrała córkę oraz cały wspólnie zgromadzony dorobek i bez żalu opuściła małżeńskie łożo. Był rok 1977. W 1980 Arkadij doigrał się, że wyrzucono go z handlu zagranicznego, i od tej pory współpracował z wydawnictwem Progres jako tłumacz. Kiedy w 1981 roku rodzice na stałe wrócili do kraju, jego życie stało się już całkiem nie do zniesienia. Na własne mieszkanie nie było go stać, toteż musiał codziennie wysłuchiwać rodzicielskich lamentów i wyrzutów. Znosił to, dopóki mógł, aż wreszcie ożenił się z pewną kelnerką i przeprowadził do niej. Z przyjacielem od serca Siergiejem Gradowem widział się w ciągu tych lat tylko raz, w 1983 roku, na zjeździe absolwentów z rocznika 1973; porozmawiali zdawkowo, wymienili numery telefonów, po czym Arkadij pokręcił się jeszcze chwilę i dyskretnie się zmył. Nie miał się czym chwalić.

Kiedy pojawiły się spółki *joint venture*, Arkadijowi zaczęło się powodzić nieco lepiej, zaczęto go angażować do tłumaczeń konferencyjnych przy różnych poważnych i niepoważnych negocjacjach.

W 1991 roku kolejny raz zaproponowano mu tłumaczenie negocjacji z jakimś holenderskim biznesmenem. Holendrowi od razu wpadła w oko Wika, która podawała kawę i napoje, i po zakończeniu części oficjalnej facet zaprosił ją na kolację. Ją oraz Arkadija, jako że bez jego pomocy nie mógłby się z dziewczyną dogadać. W knajpie wszyscy sobie zdrowo podpili i biznesmen zabrał gości do siebie do hotelu, gdzie zajmował dwupokojowy apartament. Kiedy Holender zabawiał się z Wiką, Nikiforczuk zdążył się zdrzemnąć na kanapce w sąsiednim pokoju. Biznesmen wyłonił się wreszcie z sypialni ze znużonym uśmiechem i zaproponował Arkadijowi resztki z pańskiego stołu. Dziewczyna była niezwykle piękna i Arkadij, przeklinając się w duchu za słabość i przemagając wstręt do samego siebie, propozycję przyjął. Wika kogoś mu mętnie przypominała, więc spytał ją o nazwisko, w nadziei, że to mu podpowie, gdzie mógł ją spotkać.

Usłyszawszy „Jeriomina”, drgnął i zmartwił, ale natychmiast zaczął się pocieszać, że to popularne nazwisko i zwykły zbieg okoliczności.

Nie mógł się jednak wyzbyć chorobliwego zainteresowania Wiką, zaproponował więc, że odwiezie ją do domu; wstąpił na górę i został do rana. W środku nocy dziewczyna obudziła się z krzykiem, cała spocona, we łzach, zerwała się z łóżka, nalała sobie szklankę wódki, wypła jednym haustem i opowiedziała Nikiforczukowi swój senny koszmar. Potem płakała, histerycznie szlochając, dostała torsji, Arkadij ocierał jej łzy i z przerażeniem myślał, że to przez niego i Gradowa dziewczyna ma zmarnowane życie i zwichniętą psychikę. Było mu potwornie żal Wiki i potwornie wstyd. Po dwudziestu latach wyrzutów sumienia stało się to kroplą, która przepełniła czarę.

Nazajutrz zadzwonił do Gradowa i zaczął go ogródkami przekonywać, że powinni pomóc Wice, że to oni złamali jej życie, że na nich ciąży straszliwy grzech. Gradowowi udało się początkowo jakoś uspokoić przyjaciela.

– Co z ciebie teraz za pomocnik – perswadował łagodnie. – Przecież jednego dnia nie możesz przeżyć bez gorzały. Najpierw musimy doprowadzić do porządku ciebie, a potem pomyślimy, jak pomóc dziewczynie. Zabiorę cię do swojego lekarza, on ci wszyje esperal, podleczysz się i wtedy się tym zajmiemy.

Te argumenty na jakiś czas pomogły, ale potem Arkadij coraz częściej zaczął wydzwaniać do Gradowa po nocach z pijackimi bredniami, że popełni samobójstwo, zostawiając list z wyznaniem winy, albo pójdzie do spowiedzi, albo powie wszystko Wice i wybłaga od niej przebaczenie. Gradow zrozumiał, że Nikiforczuk staje się niebezpieczny. I podjął decyzję, jak zwykle bezwzględną i radykalną.

No, co z nią? – zapytał cicho Arsen, wstrząsając się z zimna i chuchając na zmarznięte dłonie.

W pokoju panował półmrok, cicho bzyczał elektrokardiograf, wykreślając tajemnicze krzywe, w których zaszyfrowana była odpowiedź na zadane pytanie.

– Na razie nieźle, trzyma się – odrzekł lekarz, odrywając od ciała dziewczynki przewody i pakując aparaturę do walizeczki. – Tętno dobre, tony czyste.

– Ale to długo nie potrwa? – uściślił Arsen.

– Jak by to ująć... – niezdecydowanie przeciągnął lekarz. – Proszę mi powiedzieć, o co panu chodzi, a ja wtedy powiem, jak to najlepiej zrobić.

Przypochlebnie zajrzał Arsenowi w twarz, mocno się pochylając, bo stary był odeń o wiele niższy.

– Niech pan nie usiłuje mnie zadowolić – ostro odparł Arsen. – Jest pan lekarzem, więc niech mi pan powie konkretnie, jak długo można trzymać dziewczynkę na tym preparacie bez szkody dla jej zdrowia. Niech mi pan poda ostateczny termin, a ja podejmę stosowną decyzję.

– Cóż... – Lekarz zawahał się. Bardzo chciał się przypodobać Arsenowi, próbował więc zgadnąć, jaką odpowiedź ten chce usłyszeć. – Na ogół... Zależy to od czynności serca... Od stanu jej zdrowia, od tego, czy ostatnio nie przebyła jakichś ciężkich chorób.

– Niech mi pan nie zawraca głowy! – Arsen rozzłościł się. – Z pańską żoną pracuje mi się o wiele lepiej. Ona zawsze precyzyjnie ocenia i sytuację, i własne możliwości, i nie boi się obstawać przy swoim zdaniu. Zatrudniam pana jako specjalistę, więc proszę mi przedstawić swój punkt widzenia. Gdybym sam znał się na medycynie, nie płaciłbym bajątków sum za pańskie usługi. Więc niech pan z łaski swojej uczciwie na nie zapracuje. Teraz zrobił jej pan zastrzyk. Na jak długo wystarczy?

– Na dwanaście godzin.

– Czyli jutro o ósmej rano trzeba zrobić następny?

– No... W zasadzie tak.

– Co to znaczy „w zasadzie”?

– To będzie niebezpieczne. Następny zastrzyk może ją zabić. Dziewczynka już się nie obudzi.

– No, to przynajmniej co nieco wyjaśnia – prychnął Arsen. – A czy jest taka możliwość, że i następny zastrzyk jej nie zaszkodzi?

– Oczywiście. Mówię przecież, że to zależy od stanu jej zdrowia, od serca.

– A więc sytuacja wygląda tak – podsumował Arsen. – Jutro rano zbada pan dziewczynkę i powie mi, czy można zrobić następny zastrzyk. Jeżeli tak, to pan robi. Jeżeli nie, ja zadecyduję, czy ją budzić, czy nadal podawać preparat. Do rana będę miał dość informacji, by podjąć taką decyzję.

– Ale zdaje pan sobie sprawę, że po jutrzejszym zastrzyku ona może... – Lekarz zająknął się i spazmatycznie przełknął ślinę.

Arsen lekko uniósł głowę i wpił się malutkimi, bardzo jasnymi oczkami w twarz lekarza. Umyślnie przedłużał pauzę, i to jego milczenie było o wiele bardziej wymowne i groźne niż wszelkie ostre i ordynarne słowa. Wreszcie zły płomyk w oczach przygasł, twarz starego znów stała się zwyczajna i pospolita.

– Jak się ma imperator? – zapytał niemal wesoło, przeglądając wyciągnięty z kieszeni rozkład pociągów podmiejskich.

– Cezar? Świetnie. Żre za dwóch, grymasi za trzech, a złości ma w sobie tyle, że mógłby obdzielić dziesięć psów. – W głosie lekarza brzmiała nieukrywana ulga. Nie tylko chciał Arsena zadowolić. Śmiertelnie się go bał.

– O syna nie pytam, o nim i tak wiem wszystko. Żona zdrowa?

– Dziękuję, u nas wszystko w porządku.

– Jakoś tu u was chłodno. – Stary znów się wstrząsnął. – Dziewczynka się nie przeziębi?

– Jest ciepło okryta. A w ogóle to powinno tu być chłodno. W mocno nagrzanym pokoju pacjenci źle znoszą narkotyczny sen – autorytatywnie oznajmił lekarz. – Widzi pan, tu działa tylko jeden grzejnik, co zupełnie wystarczy, a w sąsiednim pokoju, gdzie siedzą pańscy chłopcy, jest o wiele cieplej. Mają tam dwa kaloryfery, a i kuchenka jest stale włączona, bo ciągle gotują wodę na herbatę.

– No dobra, na mnie już czas. – Arsen wybrał wreszcie odpowiadający mu pociąg i zaczął się zbierać. – Jutro o ósmej rano zbada pan dziewczynkę, o ósmej piętnaście czekam na pański telefon. Jeżeli postanowię, żeby nie robić więcej iniekcji, powie pan ochroniarzom, żeby zawieźli ją do miasta i zostawili na skwerze, oni wiedzą gdzie.

– A jeżeli?... – nieśmiało zapytał lekarz.

– Wtedy zrobi pan zastrzyk. I niech pan sobie nie nabija głowy różnymi głupstwami.

Arsen opuścił pokój, zszedł z ganku i znalazł się na chrzęszczącym pod nogami śniegu. Tu, za miastem, panowała prawdziwa zima, śnieg nie topniał pod stopami i kołami, leżał grubą, cukrową warstwą. Stary wiedział, że od nieczynnego zimą obozu pionierskiego (dawniej, dziś po prostu młodzieżowego) do stacji jest dokładnie dwadzieścia trzy minuty marszu spokojnym krokiem. Ruszył w drogę na dwadzieścia trzy minuty przed nadejściem pociągu, żeby ani przez sekundę bez potrzeby nie sterczeć na peronie i nie rzucać się w oczy.

Po rozmowie z lekarzem czuł, jak zwykle, lekki niesmak. Rzetelny, ale tchórzliwy i ugodowy, choć bezsprzecznie oddany, doktor podobał się Arsenowi o wiele mniej niż jego żona. Ta była prawdziwym odkryciem. Po prostu skarb. Ale bez lekarza nie można się obejść; należy go trzymać na krótkiej smyczy, nie wolno jednak zbyt zastraszać. Przy dziewczynce okazał się na przykład bardzo pomocny. Arsen świetnie zdawał sobie sprawę, że uwolnić Nadie byłoby niebezpiecznie, mała już wszystko rozumie i mogłaby pomóc w uchwyceniu jakichś prowadzących do niego nici. Jednocześnie trzeba ją oddać, żeby nadal mieć w ręku Łarcewa, a potem również

Kamieńską. Pomysł uśpienia dziewczynki był wspaniałym rozwiązaniem problemu: mała niczego nie widzi i nie słyszy, toteż można ją uwolnić bez żadnego ryzyka, ale jej krnąbrny tatuś zapamięta raz na zawsze, że jeśli będzie nieposłuszny, następnym razem jego córka zostanie potraktowana inaczej. Z doświadczenia Arsen wiedział, że do drugiego razu nigdy nie dochodzi, niepokorni rodzice stają się cisi jak myszki, przerażenia, przeżytego w czasie nieobecności dziecka, starcza im na całą resztę życia. Urowadzenie Nadi Łarcewej było już piątym w działalności Arsena i jego firmy, i lekarz był w takich wypadkach absolutnie niezastąpiony.

Arsen znalazł się na peronie akurat w chwili, kiedy rozsunęły się przed nim automatyczne drzwi pociągu. Wszedł do ciepłego przedziału, usiadł w kątku, oparł głowę o ścianę i przymknął oczy.

Pułkownik Gordiejew medytował nad informacjami, które Oleg Mieszczerinow przywiózł od wdowy po Arkadiju Nikiforczuku. Wczoraj, 29 grudnia, Wiktor Aleksiejewicz otrzymał pierwszą wiadomość o tym, że Nikiforczuk towarzyszył Gradowowi w czasie tragedii w mieszkaniu Tamary Jeriominej. Szkoda, że śledczy Smielakow nie pamiętał, na jakiej uczelni studiowali młodzi ludzie, których musiał „usuwać” z materiałów śledztwa. Zanim Nastia wpadła na trop Gradowa dzięki temu, że mieszkał pod tym samym adresem co jeden z ludzi zamieszanych w sprawę, zanim zebrano o nim informacje i ustalono, gdzie studiował, zanim natrafiono na ślad jego kolegi z roku Nikiforczuka, minęło sporo czasu. W rzeczywistości było to zaledwie kilka godzin, zupełny drobiazg, ale w życiu oficerów operacyjnych tych kilka godzin stało się nieprzebytą przepaścią, której Gordiejew nie zdążył pokonać: kiedy na jego biurko trafiły akta sprzed dwóch lat o znalezieniu zwłok Nikiforczuka, Nastia była już w domu pod strażą i nie mógł do niej zadzwonić. Teraz Wiktor Aleksiejewicz szczerze nad tym ubolewał, ponieważ okazało się, że akta zawierają pewien bardzo istotny szczegół. Wówczas, dwa lata temu, śmierć Nikiforczuka uznano za nieszczęśliwy wypadek. Mało to alkoholików umiera, nie mogąc się uporać z przemożnym pociąganiem do wódki mimo ostrzeżeń lekarza, który wszył im esperal? Funkcjonariusze milicji przeprowadzili rzetelne dochodzenie, ale nie stwierdzili, by zapijaczony tłumacz

miał jakichś wrogów, a motywy materialne też nie wchodziły w grę. Dzisiaj jednak ów szczegół w świetle tego, co się wydarzyło w ciągu ostatnich dwóch miesięcy, rzucał nowe światło na okoliczności śmierci Arkadija.

Dlatego też już poprzedniego dnia Gordiejew kazał stażycie Mieszczerinowowi odwiedzić wdowę po Nikiforczuku.

Wiktor Aleksiejewicz nie wiedział, że zaraz po otrzymaniu zadania Oleg zadzwonił do Arsena i o wszystkim mu zameldował.

– Jedź, ale przed złożeniem sprawozdania Gordiejewowi skontaktuj się ze mną, a ja cię poinstruję, co masz mówić – rozkazał stary.

Wieczorem Mieszczerinow Nikiforczukowej nie zastał, była kelnerką i kończyła pracę najwcześniej o wpół do drugiej w nocy, a niepokoić jej w restauracji w tak delikatnej sprawie stażysta nie miał odwagi. Poszedł do niej rano, wypytał o wszystko, co go interesowało, i ze szczegółami opisał Arsenowi. W tym momencie szef firmy już wiedział, że Gordiejew dzwonił do Kamieńskiej i uskarżał się na silne naciski „z góry”. Informacja o Nikiforczuku tylko umocniła Arsena w decyzji, by zerwać z Gradowem – niech ten sam się wyplątuje.

Niezły drań z naszego drogiego Siergieja Aleksandrowicza, rozmyślał z uśmiechem, słuchając zwartej i rzeczowej relacji stażysty. Mało, że ukrył tamtą dawną historię z zamordowaniem Łucznikowa, to jeszcze zataił udział swego współnika. Musi chyba uważać starego Arsena za kompletnego idiotę. Szef firmy przywykł do tego, że ludzie zwracający się doń po usługi ufają mu bez zastrzeżeń jak pacjenci lekarzowi. Czyż normalnemu człowiekowi przyszłoby do głowy ukrywać przed lekarzem połowę swych dolegliwości, a potem liczyć na to, że lekarz go wykuruje? Skoro Gradow nie rozumie tak prostych prawd, to niech nie liczy na firmę Arsena.

– Możesz przekazać swojemu pułkownikowi wszystko jak leci – łaskawie zezwolił Olegowi.

Gdyby pułkownik Gordiejew znał prawdę, zapewne uśmiełby się serdecznie, że robiąc błąd i ufając stażycie, otrzymał w rezultacie prawdziwą informację. Ale w tym momencie prawdy jeszcze nie

znał, nie zastanawiał się więc nad skomplikowanymi perypetiami walki prawdy z fałszem.

Wdowa po Nikiforczuku opowiedziała, że w ostatnim miesiącu przed śmiercią Arkadij pił więcej niż zwykle i często po nocach dzwonił do jakiegoś Siergieja, płakał, powtarzał imię „Wika”. Co to za jedni owi Siergiej i Wika, wdowa nie wiedziała, i dwa lata temu szukanie ich w wielomilionowej Moskwie nie miało sensu. Zresztą po co, skoro śmierć Arkadija nie wyglądała na umyślne zabójstwo? Poza tym wspomniała, że mąż wielokrotnie wszczywał z nią rozmowę o dzieciach.

– Jak myślisz – pytał – czy trzyletnie dziecko rozumie, co się wokół niego dzieje? A czy twoim zdaniem jak takie dziecko dorośnie, to pamięta, co się wydarzyło, kiedy było małe? Czy ty na przykład pamiętasz siebie z okresu, gdy miałaś trzy lata?

Co obudziło w nim takie silne zainteresowanie psychiką maluchów, Arkadij nigdy nie wyjaśnił, ale kiedyś wymknęło mu się, że chciałby wiedzieć, czy córka będzie go pamiętać, gdy dorośnie. Jego pierwsza żona zabrała dziecko, założyła nową rodzinę i całkowicie wykreśliła Arkadija z życia córeczki.

Wyjaśnienie to wydało się drugiej żonie całkiem przekonujące, ale zupełnie nie usatysfakcjonowało Gordiejewa, który przeglądając szczegółowy opis żywota niedoszęłego dyplomaty, od razu spostrzegł, że w chwili rozwodu córka Nikiforczuka miała nie trzy lata, ale zaledwie półtora roku.

Najciekawszym jednak szczegółem okazała się tożsamość przechodnia, który przypadkowo odkrył zwłoki Nikiforczuka w ciemnym zaułku koło stacji metra. Natknął się na leżącego bez ruchu człowieka, chciał już biec i wzywać pogotowie, myśląc, że ten może jeszcze żyje, ale widząc przejeżdżający obok radiowóz, zamachał rękami i wezwał na pomoc milicję. Nazwisko tego przechodnia brzmiało Nikołaj Fistin.

Wiktor Aleksiejewicz wstąpił do Żeriechowa. Praca w jego gabinecie była już skończona, zwłoki Morozowa wyniesiono, technicy zrobili, co do nich należało, i wyszli, zostawiając po sobie lekki zapach odczynników.

– Co z Łarcewem? – od progu zapytał pułkownik.

– Był w Stowarzyszeniu Łowieckim, potem chłopcy go zgubili, teraz próbują odnaleźć.

– Pasza, on coś wywahał. Szuka kogoś konkretnego, wyślij za nim jeszcze paru ludzi. Trzeba go ubezpieczać. Jest w takiej rozpaczy, że może nie wyczuć niebezpieczeństwa.

– Zrobi się. – Żeriechow krótko kiwnął głową.

– Informacje o doktor Raczkowej?

– Nic podejrzanego. Mieszka z mężem emerytem. Mąż pasjonuje się filatelistyką. Nic nie wskazuje na to, by byli przesadnie zamożni. Dzieci mieszkają osobno. Nic, czego można by się było uchwycić.

– Cóż, to znaczy, że ze strachu zacząłem na zimne dmuchać. Straciłem intuicję. Teraz następna sprawa. Wzmocnić obserwację Fistina. To się może okazać bardzo interesujące.

– Wiktor, zastanów się, co mówisz! – Paweł Wasiljewicz z irytacją pokręcił głową. – Skąd brać ludzi? Nie mamy ich w nadmiarze. Gdyby sprawa była w gestii ministra, dano by nam tyle sił i środków, ile byśmy chcieli. A ta sprawa nie jest nawet w gestii moskiewskiej milicji kryminalnej. Urodzę sobie tych ludzi czy jak? Żeby zbadać dziś sytuację pod domem Anastazji i wykonać twoje zalecenie odnośnie do doktor Raczkowej, zdjąłem obserwację Fistina. Teraz chcesz ludzi do biegania za Łarcewem. Załatwię to. Ale pojęcia nie mam, skąd wziąć agentów do śledzenia Fistina. Gonczarow już mnie dzisiaj trzy razy opieprzał, i za każdym razem groźniej i wymyślniej. I szczerze mówiąc, Wiktorze, miał rację. Nie mamy przejrzystego planu operacji, nie mamy w ogóle żadnego planu, miotamy się na wszystkie strony, wykonujemy gorączkowe ruchy, zupełnie nie wiedząc, co się stanie w następnej minucie. No, ale to tylko nasz kłopot, twój i mój. Nic dziwnego, że Gonczarow się wkurzył. Bez końca przetasowujemy jego ludzi, odwołujemy zadania, nie czekając, aż zostaną do końca wykonane...

– Ja cię jednak kiedyś zabiję. – Gordiejew wściekł się. – Do końca życia będziesz mataczem i zrzedą. Cóż to, nie masz kumpli w komisariatach? Pierwszy rok mieszkasz w Moskwie, nie ponawiaływałeś znajomości? Dzwon, prosz, błagaj, obiecuj cysterne wódki i wagon zagrychy, padaj do nóg, ale żeby mi za pół godziny Fistin miał „ogona”. To wszystko, Pasza, koniec dyskusji. Wiem, nie znosisz robić tego, czego nie wolno, a tym bardziej nie lubisz prosić

kogoś, żeby postąpił wbrew przepisom. Pluń na to, co lubisz i czego nie lubisz. Uważaj to za rozkaz. Jakby co – biorę odpowiedzialność na siebie.

Paweł Wasiljewicz z ciężkim westchnieniem sięgnął po słuchawkę.

Chłopcy wysłani przez wujka Kolę do śledzenia Arsena bezradnie odprowadzali wzrokiem oddalający się pociąg. Mieli ustalić adres starego, ale ten po spotkaniu z wujkiem Kolą udał się na Dworzec Jarosławski i wsiadł do pociągu podmiejskiego. Chłopcy dojechali razem z nim na miejsce. Stary równym krokiem ruszył w stronę lasu zupełnie pustą drogą. Ryzykowne byłoby pójść za nim w niewielkiej odległości, więc chłopcy zaczepili koło stacji grubą babę z tobołkami, która wysiadła z tego samego pociągu.

– Przepraszam, do osiedla to w tym kierunku? – zapytali, wskazując w stronę, w którą poszedł Arsen.

– Nie, osiedle jest o, tam – ochoczo wyjaśniła kobieta. – A tam, gdzieście pokazali, nie ma nic, tylko obóz pionierski.

– A daleko do tego obozu?

– Będzie z pół godziny. Ale wam, młodym, może zabierze to mniej czasu.

– Dziękujemy bardzo.

Decyzja była prosta. Skoro nie można śledzić Arsena z małej odległości, bo droga jest pusta, a iść za nim z daleka nie ma sensu, bo jest już całkiem ciemno i nic nie widać, należy go zostawić i podejść do obozu później. Tak czy owak stary nie może pójść nigdzie indziej, tylko do obozu.

Wyliczenie okazało się słuszne. Chłopcy dotarli do obozu, postali tam, marznąc, około pół godziny i wreszcie zobaczyli, że stary wychodzi z bramy i dziarsko rusza w stronę stacji. Poczekali, aż oddali się na tyle, by nie słyszeć skrzypienia ich kroków na śniegu, i zachowując tempo narzucone przez Arsena, ruszyli śladem. Błąd stał się oczywisty, kiedy z oddali dobiegł gwizd i stukot kół. Arsen w tym momencie był o jakieś trzydzieści metrów od peronu, a chłopcy o wiele dalej. Przyspieszyli kroku, następnie, wykorzystując łoskot nadjeżdżającego pociągu, puścili się biegiem. Ale i tak nie zdążyli. W ostatniej sekundzie przeciął im drogę pociąg

jadący w przeciwnym kierunku. Po krótkiej naradzie chłopcy wujka Koli wrócili do obozu, ostrożnie obeszlą wszystkie domki i odkryli w budynku administracyjnym dwóch mężczyzn, siedzących po ciemku w gabinecie kierownika. Światło w ogóle nigdzie się nie paliło, tylko w dwóch pomieszczeniach zauważyli słaby poblask włączonych grzejników elektrycznych.

– Jakież to wszystko popaprane. – Niewysoki, rudawy chłopak imieniem Sławik, niegdyś mistrz rajdowy, wzruszył ramionami. – Za cholere nie wiem, ilu ich tam jest. Trzech czy jak?

– Chyba dwóch – niepewnie szepnął jego towarzysz, nieduży, tęgawy blondyn, z natężeniem obserwując przez okno mgliście oświetlony pokój. – Diabli ich wiedzą, słabo widać.

– Chłopy jak dęby – ocenił Sławik. – Ukrywają się przed kimś czy jak?

– Czy jak, czy jak – ze złością przedrzeźnił go blondyn. – Może wcale się nie ukrywają, tylko kogoś pilnują. Albo zrobili zasadzkę i czekają.

– Na kogo? – zaniepokoił się Sławik. – Na nas czy jak?

– Ach ty głupku. Czy potrafisz powiedzieć choć słowo bez tego swojego „czy jak”?

– Odwal się – obojętnie rzucił były rajdowiec. – Co robimy dalej?

– Trzeba zadzwonić do wujka Koli, niech on zarządzi – odparł blondyn, poprawiając pod luźną kurtką krótki automat. – No i warto by coś przegryźć. Tak czy owak starego zgubiliśmy, więc nie ma się co spieszyć. Opeer od wujka Koli zawsze zdążymy dostać.

– Fakt – przytaknął Sławik. – Da nam popalić, że nie wiem.

Wrócili na stację, poszli do osiedla i znaleźli pocztę, z której można było zadzwonić do Moskwy.

Wujek Kola był bardzo niezadowolony, ale nie tracił czasu na awantury. Że zgubili dziadygę – to źle. Ale że znaleźli jakichś jego ludzi, to już lepiej. Co tam Arsen mówił o sikaniu w portki i spoconej łapie? Teraz się przekona, że Kola Fistin obelg nie zapomina. I że odpłaca pięknym za nadobne. Oczywiście, Nikołaj chciał wyrównać rachunki z wrednym i niebezpiecznym staruchem, ale nie to było teraz najważniejsze.

Najważniejsze to postraszyć Arsena, pokazać mu, że wujek Kola ma w ręku mocną kartę, że Fistin nie jest takim głupim prostakiem,

jak by się wydawało. Najważniejsze to podporządkować sobie tego łysego pierdołę i zmusić, by się wywiązał z umowy z szefem. Uratować szefa i umocnić swoją pozycję to teraz zadanie priorytetowe.

– Wracajcie do miasta, bierzcie samochód i jeszcze dwóch ludzi, jedźcie do obozu i zróbcie tam porządek. Śladów nie zostawiajcie, sprzątnijcie po sobie i wyrzucie do lasu, w zasy – zakomenderował.

Wyobraźnię Fistin miał, niestety, ubožuchną, zabić człowieka i wyrzucić zwłoki do lasu to był szczyt jego intelektu.

Natalia Jewgienjewna Dachno kolejny raz odmierzała sobie krople nasercowe, nie zapominając w odpowiednich momentach pochlipywać, i z zimną krwią myślała o tym, że nie wolno jej wypuścić gościa z mieszkania. Musi się natychmiast skontaktować z Arsenem, a dopóki jest sama, dopóki nie wrócili mąż i syn, robić, co w jej mocy. Trzeba będzie jakoś zyskać na czasie, aż któryś z nich przyjdzie do domu. Niestety, może to potrwać nie wiadomo jak długo. Mąż wyjechał za miasto, tam gdzie Arsen trzyma córkę Łarcewa, i pewnie przyjedzie nieprędko. Syn w ogóle nie wiadomo kiedy wróci, może już za chwilę, a może późną nocą.

Czuła, że dobrze odegrała swój spektakl i nieszczęśliwy ojciec jej uwierzył. Miała niezwykłą intuicję, wyczuwała zapach agresji i nieufności jak zwierzę, co pozwalało jej bezbłędnie oceniać sytuację i dokładnie określać granicę, za którą zaczynało się niebezpieczeństwo i ryzyko, ale do której jeszcze można dociągnąć. Właśnie tę cechę szczególnie cenił w niej Arsen. Wielokrotnie powtarzał:

– Kiedy Bóg rozdawał wyczucie miary i umiejętność podejmowania rozsądnego ryzyka, pani chyba stała pierwsza w kolejce. A dzięki myślistwu zdobyła pani zdolność wyczuwania niebezpieczeństwa i cierpliwość. Dlatego absolutnie ufam pani intuicji.

Natalia Jewgienjewna rzeczywiście pochodziła z Syberii, urodziła się w rezerwacie w rodzinie strażnika leśnego, w tej kwestii powiedziała Łarcewowi prawdę. Zdała na akademię medyczną w Moskwie, ukończyła ją, zdobywając stypendium Lenina,

uprawiała strzelectwo, reprezentując drużynę swej uczelni, i nieodmiennie wygrywała wszystkie zawody, potem był staż na internie, w klinice, praca dyplomowa, skierowanie do pracy w przychodni KGB. Wysłała za męża za kolegę ze studiów, który nie zrobił tak błyskotliwej kariery - był anestezjologiem w jednym ze szpitali miejskich. Natalia, jako oficer KGB, zarabiała o wiele lepiej niż mąż, co sprawiało, że był od niej zależny, a owo poczucie zależności wzmacniały jeszcze jego własna słabość i jej nietuzinkowa siła charakteru. Jedno ją tylko martwiło – nie mieli dzieci. Natalia Jewgienjewna, wykorzystując swe koneksje w świecie medycznym, przeszła wszystkie możliwe i niemożliwe kuracje, ale nic nie pomagało. Nie tracąc nadziei na doczekanie się kiedyś własnego dziecka, małżonkowie Dachno wystąpili o adopcję, ale odmówiono im z powodu nieodpowiednich warunków mieszkaniowych: gnieździł się w pokoju z kuchnią wraz ze starym ojcem męża, i chociaż czekali w kolejce na przydział mieszkania, miało to nastąpić nie wcześniej niż za jakieś dziesięć lat.

Nieszczęście spadło na Natalię Jewgienjewnę jak grom z jasnego nieba. Poprzedniego dnia, po zakończeniu kolejnej, bolesnej i męczącej kuracji, usłyszała ostateczny wyrok: nigdy nie będzie miała dzieci. Takich form bezpłodności nie leczy się nigdzie na świecie, a wszelkie dalsze próby mogą tylko nadszarpnąć jej zdrowie, ale nie przyniosą żadnych rezultatów.

Przeplakała całą noc, rano połknęła garść tabletek uspokajających i powlokła się do pracy. Głowa jej pękała, bolało serce, do oczu co chwila nabiegały łzy, czuła, że jej życie utraciło wszelki sens. I tu pojawił się generał, zastępca szefa jednego z wydziałów, z czerwoną, zapijaczoną gębą, wódczanym chuchem i rozkazującym basem. Boli go w boku, patrzcie państwo! Nie szkodzi, poboli i przestanie, z rozdrażnieniem pomyślała chirurg Dachno, przepisując pacjentowi środek na kolkę nerkową i wyznaczając wizytę za trzy dni.

Po trzech dniach generał się zgłosił, nieco bledszy, ale nadal z tym samym, trwałym zapachem alkoholu. I umarł. Na miejscu, w gabinecie pani chirurg Dachno. Okazało się, że generał miał zapalenie wyrostka, z czego wywiązało się zapalenie otrzewnej, z którym chodził całe cztery dni, zagłuszając nieznośny ból starym, wypróbowanym ludowym środkiem. Komisja lekarska wydała

orzeczenie, że objawy zapalenia wyrostka były oczywiste już w momencie pierwszej wizyty chorego u doktor Dachno, ta jednak nie wykonała niezbędnych badań i przepisała niewłaściwe leczenie, wykazując karygodne niedbalstwo, które spowodowało śmierć pacjenta. Perspektywa pozbawienia wolności była tuż-tuż, Natalia Jewgienjewna czuła już na twarzy jej oddech. I tu pojawił się Arsen.

– Mogę pani pomóc, Natalio Jewgienjewno – mówił łagodnie. – Przecież jest pani dobrym człowiekiem, wspaniałym lekarzem, po prostu los podstawił pani nogę, o którą się pani potknęła. Do więzienia powinno się wsadzać prawdziwych przestępców, zdeklarowanych łotrów, a nie przyzwoitych ludzi, którym przydarzyło się nieszczęście. Czyż nie mam racji?

Dachno w milczeniu potakiwała i ocierała łzy.

– Dziś ja pomogę pani, a jutro pani pomoże mnie; umowa stoi? – ciągnął tymczasem Arsen. – Oboje będziemy ratować z opałów dobrych ludzi, którzy na to zasługują. Jeśli zostanie pani moją sojuszniczką, otrzyma pani ładne mieszkanie, a ja ułatwię sprawę adopcji. Będzie pani miała nie pierwsze lepsze dziecko z nie wiadomo jakimi genami rodziców alkoholików, ale najlepsze, najzdrowsze, najzdolniejsze, najinteligentniejsze, jakie tylko można znaleźć. Wprawdzie nie będzie to niemowlę, tylko nastolatek, ale przecież musimy mieć pewność co do jego zdrowia, psychiki i intelektu, a w wypadku małego dziecka łatwo o pomyłkę. Poza tym będzie pani mogła się zająć swoim ukochanym myślistwem. No jak, zgadza się pani?

Oczywiście, że się zgodziła. Zresztą nie mogło być inaczej. Arsen nigdy nie próbował werbować ludzi, nie przyjrzawszy się im wcześniej. Wszystko, czego się dowiedział o Natalii Jewgienjewnie Dachno, wyraźnie wskazywało na to, że jest ona właśnie tym, kogo mu trzeba. Zostanie wierną sojuszniczką. I nie pomylił się.

Po nieprzyjemnościach z generałem Natalia Jewgienjewna utraciła prawo wykonywania zawodu. Arsen załatwił jej pracę w dziale ewidencji i eksploatacji jednego z moskiewskich urzędów telefonicznych. Pensja była mizerna, ale wynagrodzenie za usługi świadczone Arsenowi tak hojne, że wkrótce zaczęły się spełniać najśmielsze marzenia Natalii Jewgienjewny i jej męża. Mieli piękne mieszkanie, samochód, kosztowną broń myśliwską, potem kupili

daczę, w którą pakowali wszystkie pieniądze, aby uczynić z niej prawdziwy pałac na łonie natury. Swego miejskiego mieszkania Dachno nie tyle nie lubiła, ile po prostu uważała, że lepiej nie demonstrować zamożności przed moskiewskimi znajomymi.

Za to w daczę oboje z mężem wkładali całą duszę. I syna państwo Dachno wychowywali tak, jak sobie tego życzył Arsen...

Natalia Jewgienjewna rzuciła okiem na zegarek. Prawie dziewięć. Jak długo jeszcze uda jej się zwlekać, nie budząc podejrzeń milicjanta? Dwa razy „omal nie zemdlą”, trzeci raz to już byłaby przesada, a ona nigdy nie przeciągała struny. Trzeba zająć Łarcewa rozmową.

– Pańska żona jest pewnie w rozpaczach – odezwała się głosem pełnym skruchy. – Nigdy sobie nie wybaczę... Nie ma nic strasniejszego niż ból matki.

– Moja żona nie żyje – krótko rzucił Łarcew. – Ale postarajmy się zrekapitulować wszystko, co pani wie o tym człowieku.

W zamku zazgrzytał klucz, trzasnęły drzwi.

– Mamo, jesteś w domu? – usłyszał Łarcew. Głos wydał mu się dziwnie znajomy.

Odwrócił się w stronę drzwi i natrafił wzrokiem na wiszący na ścianie łeb łosia. I w tym momencie zrozumiał, że popełnił błąd, potworny, nie do naprawienia. Kobieta, z którą rozmawia już dwie godziny, nie mogła uprawiać myślistwa. Łzy, lament i omdlenia, które zaserwowano mu tu wręcz w nadmiarze, absolutnie nie pasowały do kogoś, kto przywykł po kilka godzin cierpliwie tkwić „na stanowisku” w zaśnieżonym lesie w zupełnej samotności, czekając, aż z zarośli wyskoczy rozjuszony dzik, do kogoś, kto pływa łodzią wśród dwumetrowych szuwarów w czasie polowania na kaczki, kiedy tak łatwo stracić orientację i zabłądzić, do kogoś, kto umie oprawiać upolowaną zwierzynę i wypuszczać z niej krew. A i pies nie jest myśliwski, tylko policyjny, rasowy doberman, pies obronny, który nie pozwoli skrzywdzić swego pana i nie wpuści do domu nieproszonego gościa. Jeżeli prawdziwy łowca może sobie pozwolić na psa, to oczywiście sprawi sobie łajkę, setera albo jakiegoś teriera. Skoro zaś myśliwy trzyma dobermana, to znaczy, że są w jego życiu rzeczy o wiele ważniejsze i bardziej niebezpieczne niż polowanie... On, Łarcew, dał się nabrać. Był udreńczony

i złamany, oślepy ze strachu o swą jedenastoletnią córkę, i zbyt późno ocknął się w nim profesjonalista.

Łarcew wyciągnął pistolet, ale wchodzący do pokoju Oleg Mieszczerinow zdążył zerwać ze ściany strzelbę. Oba strzały padły jednocześnie.

Rozdział 16

Osiem lat temu... Zadzwoił Arsen i z zadowoleniem oznajmił:

– Nataszo, znalazłem dla państwa uroczego małego niegodziwca. Trzynaście lat, mądry dzieciak, absolutnie zdrowy fizycznie i moralnie, nierozpaskudzony, bez żadnych pretensjonalnych zadeć. Niech pani tam jedzie, dyrektorka na panią czeka.

Natalia Jewgienjewna natychmiast przygotowała się do drogi i pognąła do sierocińca, który mieścił się w sąsiednim obwodzie. Dyrektorka, która już wcześniej otrzymała wynagrodzenie za to, że pozwoliła, by zbadali chłopca przybyli specjalnie z Moskwy lekarze i psychologowie, powitała Natalię z otwartymi ramionami i z gotowością pokazała jej wszystkie dokumenty dotyczące Olega Mieszczerinowa.

– Jest z bardzo dobrej rodziny – zapewniała gorliwie, jako że dano jej niezwykle przejrzyste do zrozumienia, iż jeśli pani Dachno zgodzi się adoptować Olega, jej, dyrektorce, zostanie to zapisane na plus i z pewnością się opłaci. – Rodzice naukowcy, z doktoratami, zginęli dwa lata temu w czasie ekspedycji wysokogórskiej w Pamirze. Nikt z rodziny nie cierpiał na żadne chroniczne dolegliwości, nie nadużywał alkoholu. Dziecko doskonale wychowywano, ukształtowano mu wspaniały charakter, chłopiec jest spokojny, niekonfliktowy. W ogóle Oleg jest najgrzeczniejszy spośród tutejszych dzieci. Czy mam go zawołać?

– Proszę. – Dachno skinęła głową.

Bardzo się denerwowała. Była wystarczająco inteligentna, by zrozumieć, że musi wziąć to dziecko, nawet jeśli się jej ono zdecydowanie nie spodoba, bo taki jest rozkaz Arsena. I chociaż miało to wszelkie pozory szczerj troski o nią, chociaż miało wyglądać na pomoc w poszukiwaniach dziecka do adopcji, Natalia nie robiła sobie złudzeń. Świetnie się orientowała, o co chodzi.

Jeśli chłopiec nie przypadnie jej do serca, i tak go usynowi i będzie dźwigać ten ciężki krzyż do końca swego życia.

Drzwi otwały się ostrożnie i do gabinetu dyrektorki wszedł wysoki, barczysty chłopiec o jasnych włosach, szczerym spojrzeniu i stanowczym podbródku.

– Dzień dobry – odezwał się bez odrobiny zmieszania. – Jestem Oleg Mieszczerinow. Pani dyrektor powiedziała, że chce mnie pani widzieć.

Natalia Jewgienjewna natychmiast dostrzegła i ogromne napięcie, i zgoła niedzieliący wysiłek woli, z jakim chłopiec usiłował stłumić zdenerwowanie albo przynajmniej je ukryć.

– Witaj, Oleg – rzekła z uśmiechem. – Z pewnością ci powiedziano, że chciałabym cię adoptować. Ale oczywiście potrzebujemy też twojej zgody. Więc czy chcesz spędzić jakiś czas w naszym domu i poznać bliżej mnie i mojego męża, czy wystarczy, że tu i teraz odpowiem na wszystkie twoje pytania?

– Ma pani dzieci? – ni stąd, ni zowąd zapytał Oleg.

– Nie. – Dachno potrząsnęła głową.

– Więc jeśli mnie pani adoptuje...

– ...będziesz naszym jedynym dzieckiem – dokończyła za niego Natalia Jewgienjewna.

– Zgadzam się na adopcję – zdecydowanie oświadczył chłopiec.

– Ale ty przecież wcale mnie nie znasz – zmieszana się Natalia. – Nawet nie spytałeś, jak się nazywam, co robię, gdzie pracuję... Jesteś pewien, że możesz podjąć decyzję od razu?

– Bardzo bym chciał mówić do pani „mamo” – cicho powiedział Oleg i śmiało popatrzył jej prosto w oczy.

I w tej chwili Natalia Jewgienjewna zrozumiała bardzo wiele z tego, co dotyczyło trzynastoletniego Olega Mieszczerinowa. Może nie wszystko, ale bardzo, bardzo wiele. Nie bez kozery Arsen nazwał cię małym niegodziwcem. Rzeczywiście niegodziwiec z ciebie, i to już wcale nie mały. Jesteś bystrym, odcytanym, przedwcześnie dojrzałym niegodziwcem. Jak na swoje trzynaście lat, nieźle znasz się na ludziach. Od razu widać, że w domu rodziców było ci bardzo dobrze, żyłeś w wygodzie i komforcie, kochano cię, hołubiono, rozpieszczano, obsypywano prezentami. Albo może rodzice nie rozpieszczali cię i nie hołubili, ale traktowali z szacunkiem twoje zainteresowania i drobne dziwactwa, nie prawili morałów, nie dokuczali nadopiekuńczością, nie stali nad tobą jak kat nad dobrą

duszą, nie zawracali ci głowy drobiazgami. Wyrosłeś na chłopca spokojnego, o silnej woli, dokładnie wiesz, czego chcesz od życia, i gotów jesteś to osiągnąć za wszelką cenę. Nie kochałeś swoich rodziców niemądrze i bezkrytycznie, tylko dlatego że to twoi ojciec i matka. Lubiłeś ich, jak się lubi smaczne jedzenie, wygodny fotel, dobrą książkę. Byli dla ciebie źródłem wygód i komfortu, a kiedy zginęli i zrzędzeniem losu trafiłeś do domu dziecka, postanowiłeś, że zrobisz wszystko, co możliwe, aby jak najszybciej znów znaleźć rodzinę, znów otrzymać swój talerz domowej zupy, miękkie łóżko i markowe ciuchy. Spytałeś, czy mam dzieci. Oczywiście, dla ciebie to bardzo istotne, żeby być jedynakiem, żebyś naszą opieką i miłością nie musiał się dzielić z kimś jeszcze. Nie uprawiamy dobroczynności, jesteśmy bezdzietnym małżeństwem, a to oznacza, że zasady gry będziesz dyktować ty, a nam pozostanie bez szemrania się podporządkować. Chcesz mówić do mnie „mamo”? To ładnie, ale nie myśl sobie, że to mnie rozbroiło i nie potrafię trzeźwo myśleć. Jesteś za mądry jak na swoje lata. I jesteś większym niegodziwcem, niżby wypadało w twoim wieku. Ale i tak cię adoptuję, bo wiem, że ja i ty jesteśmy z jednej krwi...

– Bardzo się cieszę, żeśmy się sobie spodobali. – Natalia uśmiechnęła się łagodnie. – Mam nadzieję, że uda mi się szybko załatwić wszystkie formalności i jeśli się nie rozmyślisz, to za dwa, trzy dni będziemy już razem. Ale wiesz co, Oleg, trochę się boję pochopnych decyzji. Zastanów się jeszcze. I jeżeli się rozmyślisz, zrozumie cię i nie będę urażona.

– Nie rozmyślę się – cicho i z powagą odparł chłopiec.

– No cóż, to teraz się pożegnamy i zacznę załatwiać papiery adopcyjne. Już wkrótce cię stąd zabierzemy. Do zobaczenia, Oleg.

– Do zobaczenia... mamo – powiedział z pewnym wysiłkiem i już swobodniej dodał: – Mogę cię pocałować na pożegnanie?

Ach, ty draniu!, z zachwytem pomyślała Dachno, nadstawiając Olegowi policzek do pocałunku. Gdzieś ty się tego nauczył? Jedno jest jasne: zachowujesz się jak ucieleśnione marzenie. Każda kobieta, pragnąca adoptować dziecko, chciałaby, żeby to dziecko zachowywało się właśnie tak jak ty.

Pewnie prowadziła auto szosą, obmyślając czekającą ją rozmowę z mężem. Musi wpoić mu przekonanie, że zasięga jego rady, chociaż

decyzję już podjęła: adoptuje Olega. Serce nie wyrywało jej się do chłopca, jak widziała to kiedyś w marzeniach, wyobrażając sobie kędzierzawego aniołka z dołeczkami w policzkach i niebieskimi oczętami, pachnącego mleczkiem i dziecięcą niewinnością.

Oleg roztaczał zapach siły, chłodnego wyrachowania i niebezpieczeństwa. Ale mąż wcale nie musi o tym wiedzieć.

Kiedy weszła do mieszkania, w upojeniu oglądał w telewizji mecz piłki nożnej.

– Gdzie byłaś? – spytał obojętnie, nie odrywając wzroku od ekranu.

– Wszystko ci opowiem – odparła z uśmiechem Natalia Jewgienjewna. – Porozmawiamy, jak się skończy ta połowa. A na razie zjem kolację.

Dobrze to obmyśliła: mąż będzie ustępliwy i zgodny z wdzięczności za okazane zrozumienie, za to, że nie próbowała go odrywać od ulubionego programu.

– Byłam dzisiaj w pewnym domu dziecka – zaczęła ostrożnie, kiedy mąż w czasie przerwy przyszedł do kuchni.

– Dlaczego beze mnie? – z niezadowoleniem burknął małżonek. – Nie chcesz chyba adoptować dziecka sama. To także moja sprawa.

– Przepraszam, kochanie, ale mówiłeś, że masz dzisiaj trudną operację. Nie chciałam zawracać ci głowy. Słuchaj, poznałam zupełnie niezwykłego chłopca. Inteligentny, samodzielny, zdrowy, dobrze wychowany. Ale przeżył straszną tragedię, stracił jednocześnie oboje rodziców, więc jego psychika jest dość skomplikowana... I właściwie nie wiem, co zrobić. Co ty byś radził? Zrobimy tak, jak zadecydujesz.

– Ile dzieciak ma lat?

– Trzydzieści.

– Taki duży? – zdziwił się mąż.

– O malucha znacznie trudniej – cierpliwie tłumaczyła Natalia. – Pamiętasz przecież, jak się męczyliśmy, szukając młodszego dziecka. Nastolatka łatwiej znaleźć, bo ludzie niezbyt chętnie przyjmują ich do rodziny. Więc co mi powiesz?

Mąż zadał mnóstwo pytań, na które Natalia udzielała wyczerpujących odpowiedzi. W pewnym momencie zorientowała się nagle, że zapędziła go w ślepią uliczkę: mąż, jak zwykle, stara się jej

przygodobać i powiedzieć to, co chciałyby usłyszeć, ale pojęcia nie ma, czego ona od niego oczekuje. Czy polubiła chłopca, czy nie? Czy chce go adoptować, czy szuka pretekstu, by się z tego wycofać? Ona zaś ze swej strony nie zdradza swego prawdziwego nastawienia do Olega, żeby małżonek, broń Boże, nie zaczął podejrzewać, że żona wywiera na niego presję i narzuca mu własne decyzje. No właśnie, czy Oleg Mieszczerinow jej się spodobał? Natalia wiedziała z całą pewnością, że chłopiec nie ma nic wspólnego z wizerunkiem syna, który wypiastowała w swej udęczonej niespełnionymi marzeniami duszy. Ale wiedziała też co innego: chłopca wybrał osobiście Arsen, by mu stworzył dokładnie określony los.

Zadaniem jej, Natalii, jest wychować chłopca tak, jak każe Arsen, uczynić zeń najpierw pomocnika, potem zwolennika, a wreszcie sojusznika. I jest zupełnie bez znaczenia, czy Oleg jej się podoba, czy nie, i czy chciałyby zostać jego matką. Znaczenie ma tylko jedno: czy chłopiec nadaje się do roli, jaką przeznaczył dla niego Arsen. I do sierocińca pojechała nie po to, by wybrać syna, wszystko to było tylko rytualną grą pod nazwą „pomoc w adopcji”, żeby choć trochę zatuszować potworny cynizm jej sojuszu z Arsenem. Pojechała ocenić kandydata na stanowisko pracownika organów spraw wewnętrznych, współdziałającego ze strukturami mafijnymi. Cóż, kandydat otrzymał wysoką lokatę. Teraz trzeba przeprowadzić jeszcze jedną grę, tym razem z mężem, według scenariusza „ty jesteś głową rodziny, decyzja należy do ciebie”. Męża w żadnym wypadku nie wolno urazić, Arsen stanowczo to podkreślał, a i sama Natalia doskonale to rozumiała. Mąż jest słabego charakteru, łatwo popada w zależność, wystarczy sobie przypomnieć, jak dzięki energii i uporowi ożeniła ze sobą tego przystojnego, bezwolnego, marzycielskiego chłopca. Ona, jedna z najmniej interesujących, by nie rzec: najbrzydszych, studentek na roku, bez pieniędzy i bez mieszkania w Moskwie! A więc z mężem należy się obchodzić bardzo delikatnie, nie odpychać go, nie obrażać, żeby nie stał się łatwą zdobyczą dla innej kobiety. Mąż zbyt dużo wie, żeby można go było wypuścić z rodziny, a dokładniej – z chwytnych łapek Arsena. No i mąż ma potrzebną, cenioną specjalność – anestezjologa narkologa. Bez takiego specjalisty Arsen nie może się obejść, a szukanie i przekupywanie innego byłoby trudne i niebezpieczne.

Muszę mu dać do zrozumienia, że zależy mi na tym chłopcu, bo inaczej nigdy się na nic nie zdecyduje, pomyślała Dachno i powiedziała:

– Wiesz, tego chłopca trzeba otoczyć wielką troską, żeby mu pomóc stanąć na nogi po takiej strasznej tragedii. Myślę, że umiałabym to zrobić. Jak sądzisz?

I mąż odetchnął z ulgą.

Sześć lat temu... Natalia biegnie śliskim chodnikiem, z trudem chwytając powietrze z przejęcia i wielkiej tkliwości. Na jej piersi, pod karakułowym futrem, porusza się maleńki, ciepły kłębuszek – szczeniak, którego dziś kupiła. Z całego miotu wybrała właśnie jego, bo od pierwszego spojrzenia na tego psiaka w jej piersi rozlała się ciepła fala czułości.

– Popatrz, co przyniosłam! – wykrzyknęła z tryumfem, wpadając do domu i rozpinając futro.

Na twarzy Olega obojętne zdziwienie, potem – uprzejme zainteresowanie. Oleg nie lubi psów. Ale już pół godziny później razem z Natalią czołga się na kłęczkach wokół szczeniaka, zachwyca się, czuli do pieska, łaskocze go po brzuszku, całuje w wypukłe czółko i wilgotny nos.

– Mamo, będę mógł go wyprowadzać?

– Tak, synku, ale dopiero za kilka miesięcy. Jest jeszcze za malutki, nie wolno go wypuszczać na ulicę, najpierw trzeba go zaszczepić.

– A mógłbym go sam karmić? Kupię specjalne książki i będę wszystko robił naukowo. Mogę?

– Oczywiście, synku. – Natalia Jewgienjewna, której uwagi nie umknęła nagła zmiana nastroju chłopca, uśmiechała się. Po pierwsze, Oleg nie lubi psów, to było wiadomo już wcześniej, i początkowo nie potrafił ukryć swojego niezadowolenia z przybycia nowego członka rodziny. Po drugie, chce być jedynym obiektem miłości i zainteresowania, i w żadnym razie nie mogło mu się spodobać, że oto w domu zjawilo się jeszcze jedno żywe stworzenie, wymagające opieki i troski. Ale uporał się z tym. Udało mu się. Mając zaledwie piętnaście lat, potrafił zrezygnować z siebie prawdziwego i stać się takim, jakim chciała go widzieć przybrana matka. Imitator. Ucieleśnione marzenie. Będzie z niego pożytek...

Cztery lata temu... Natalia Jewgienjewna wraca z polowania, objuczona olbrzymim plecakiem. Mąż nigdy nie pochwalał jej pasji. Właściwie było mu głęboko obojętne, jakiemu hobby jego żona poświęca wolny czas, ale skutki... Przywiezione z polowania mięso trzeba dzielić, zające obdzierać ze skóry, kaczki skubać. A to ciężka, brudna, krwawa robota, po której cała kuchnia od podłogi po sufit zabryzgana jest krwią i oblepiona resztkami wnętrzości. Zapach surowej dziczyzny też jest dość specyficzny, trudno się do niego przyzwyczaić. Mąż nigdy nie pomagał Natalii sprzątać mięsa, po prostu wychodził z domu do kolegów albo przezornie załatwiał sobie dyżur w szpitalu.

Z przybyciem Olega wszystko się zmieniło. Chłopiec interesował się żywo opowieściami o polowaniu, wypytywał matkę, słuchał z przejęciem, pojękując w szczególnie dramatycznych momentach, bardzo dorośle ją pocieszał, kiedy raz Natalia po ciemku ustrzeliła łabędzia i tak ją to rozstroiło, że nawet nie przywiozła ze sobą upolowanej zwierzyny, tylko zostawiła ją gajowym. Co najważniejsze jednak – nie stronił od brudnej roboty w kuchni, pomagał Natalii rozbierać mięso, cierpliwie wyskubywał sierść i pióra, wycierał kałuże krwi, szorował ściany i sprzęty kuchenne. Czasem udawało jej się podejrzeć go kątem oka, kiedy się rozluźniał i nie pilnował wyrazu twarzy, i wówczas docierało do niej, ile wysiłku kosztuje go ukrycie wstrętu na widok i zapach krwi. Starał się jednak być dzielny i ofiarny pomocnikiem matki w jej myśliwskich zajęciach. Tym razem Natalia Jewgienjewna przywiozła dzika.

Ogromny wycinek wyskoczył prosto na nią. Natalia strzeliła z dwudziestu kroków i trafiła zwierza w czoło, ale dzik zdążył nabrać takiej szybkości, że nadal gnał do przodu, i półtonowe cielsko z pewnością zmiażdżyłoby kobietę. Natalia nie pamiętała, jak strzeliła po raz drugi, i zupełnie nie mogła zrozumieć, jak w takim szoku udało jej się trafić prosto w ślepie. Za to teraz doskonale pamiętała chwile przeżytej grozy. Nogi jej się trzęsły, nawet kiedy siedziała w kuchni i piła z Olegiem herbatę. Oczywiście, wolałaby zamiast niej coś mocniejszego, ale uważała, że nie wypada jej pić przy siedemnastolatku. Z jakiegoś powodu wstydziła się okazać słabość.

– Miałaś niezłego stracha, co, mamó? – spytał Oleg, zaglądając jej w oczy.

– Tak, synku, nie ma co ukrywać. Nawet teraz nie mogę jeszcze przyjść do siebie – uczciwie odrzekła Natalia.

Oleg wstał, otworzył lodówkę i wyjął napoczętą butelkę wódki.

– Walniemy po lufie, dobrze, mamó? Musisz się rozluźnić, bo nie uśniesz – powiedział rzeczowo, wyjmując z szafki kieliszki i robiąc kanapki na zakąskę.

– Dziękuję, Oleżka. – Natalia westchnęła z wdzięcznością. – Strasznie chciałam się napić, ale się krępowałam.

Oleg odłożył nóż, podszedł do Natalii i przytulił policzek do jej policzka.

– Jestem twoim synem. Nigdy nie powinnaś się mnie krępować, słyszysz? Przecież jesteś moją matką i zawsze będziesz dla mnie najlepsza, najbardziej godna szacunku, najszlachetniejsza i najmądrzejsza, żebyś nie wiadomo czego narobiła.

– Dziękuję, mój kochany. – Natalia czule potarłosiła jego gęste, jasne włosy, pogładziła go po karku, po ramieniu. – Cenię sobie twoje nastawienie. Ale może nie powinieneś pić razem ze mną?

– Po pierwsze, picie w samotności to oznaka alkoholizmu. – Oleg roześmiał się. – A po drugie, przestraszyłem się nie mniej niż ty, kiedy sobie wyobraziłem, co mogło się stać. Jesteś bardzo odważna, mamó, ale uważaj na siebie. Nie chcę cię stracić.

Natalia Jewgienjewna wręcz fizycznie czuła, jak jej dusza dzieli się na dwie części. Jedna połowa wiedziała, że wszystko to tylko zręczna gra, imitacja tego, czego w określonym momencie oczekuje od Olega rozmówca. Chłopak jest wyjątkowo subtelnym psychologiem, wyczuwającym nastrój innych ludzi i potrafiącym błyskawicznie dostosować swe zachowanie do ich oczekiwań. Nie bez powodu wszyscy bez wyjątku za nim przepadają. Przez cztery lata nie popełnił żadnego uczynku, nie powiedział żadnego słowa, za które można by go było skarcić.

Ale druga połowa jej duszy tak bardzo chciała wierzyć, że to wszystko najprawdziwsza prawda, że Oleg rzeczywiście jest kochającym, troskliwym, czułym synem, ubóstwiająjącym matkę, że jest zdolnym, ambitnym, szczerym i porządnym chłopcem!

„Nie rozklejaj się”, powtarzała sobie stale Natalia Jewgienjewna. „Jemu nie można ufać, przecież doskonale wiesz, kim on jest naprawdę. To twój wychowanek i nigdy nie będzie dla ciebie synem. Odgrywa kochającego syna tylko po to, żebyś ty była dla niego troskliwą matką”. Ale bardzo chciała wierzyć, że jej marzenie się spełniło...

Dwa lata temu... Natalia po raz pierwszy zabrała syna na strzelnicę. Zazwyczaj jeździła na treningi sama, syn miał własny rozkład zajęć i ćwiczył strzelanie w innych porach i innych miejscach. O sportowych sukcesach syna Natalia dowiadywała się tylko z jego relacji, świadczyły o nich także dyplomy i puchary, które często przynosił do domu. Poza strzelectwem uprawiał też pływanie i zapasy, grał w szachy.

Rezultaty wspólnego treningu zupełnie ją oszołomiły. Oleg strzelał nie tylko dobrze. Strzelał lepiej niż ona. Jeszcze bardziej jednak poruszyło Natalię Jewgienjewnę nieznaną jej wcześniej uczucie zachwyty, że ktoś potrafi strzelać lepiej od niej. W swoim kręgu nigdy nie miała sobie równych, zawsze była pierwsza, najlepsza, była mistrzynią, niedościgłym wzorem.

Niemiła jej była myśl, że prędzej czy później znajdzie się ktoś, kto pobije jej rekordy. Zupełnie niespodziewanie taki ktoś się znalazł, ale jeszcze bardziej nieoczekiwane było to, że chciało jej się płakać z radości. Cieszyć się z tego, że ktoś nas przewyższył, mogą tylko nauczyciele z powołania i kochające matki.

– Dziękuję, synku – wyszeptwała, ściskając Olega i odwracając twarz, by ukryć łzy w oczach.

– Za co? – Chłopak zdziwił się.

Za to, że dzięki tobie doznałam owego niewiarygodnego uczucia radości i dumy z ciebie. Za to, że chyba naprawdę cię kocham, pomyślała Dachno, ale głośno odpowiedziała żartem:

– Za to, że rozłożyłeś na łopatki matkę mistrzynię.

– Ależ co ty, mamusku, daleko mi do ciebie. To tylko dzisiaj miałem diabelny fart. Za drugim razem tak by mi się nie udało. Ale bardzo się starałem, słowo honoru. Zawsze chciałem być podobny do ciebie, więc twoje wyniki to dla mnie ideał, do którego dążę...

Rok temu... Po raz pierwszy od wielu lat Natalia Jewgienjewna zdradziła męża. I to nie tylko zdradziła, ale zakochała się bez

pamięci, zakochała się tak bardzo, że chwilami zapominała o ostrożności.

Prędzej czy później to musiało się zdarzyć. Przyjechała z kochankiem do siebie na daczę, pewna, że mąż ma dyżur, a syn jest na zajęciach w Wyższej Szkole Milicji. Kiedy na werandzie rozległy się kroki i głosy, Natalia zmartwiała. Mąż nie może się dowiedzieć o kochanku, to byłaby katastrofa dla wszystkich. Jeszcze na studiach Natalia wmówiła mu umiejętnie, że jest wirtuozem seksu, i grając na tej strunie, szybko uczyniła z kolegi najpierw swego kochanka, potem narzeczonego, a następnie męża. W rzeczywistości nie odznaczał się nadzwyczajną potencją ale, co jeszcze gorsze – nie był dobry w łóżku i nie chciał się niczego uczyć. Zresztą trudno się dziwić: właściwie po co miałby się doskonalić, skoro żona zapewnia, że jest jej z nim cudownie, że lepiej wprost być nie może.

Wpadłszy w sieci własnych kłamstw, Natalia cierpliwie znosiła rytuał małżeńskich obowiązków, niezmiennie udając zachwyty i upojenie, jako że ciągle pamiętała o jednym: wszystko, tylko nie zerwanie i nie rozwód. Nie, nie, w żadnym wypadku nie można do tego dopuścić, on zbyt wiele wie o firmie i jest zbyt potrzebny Arsenowi. W razie konfliktu trzeba by go było usunąć.

Natalia Jewgienjewna zmobilizowała całe swoje nietuzinkowe męstwo, narzuciła szlafrok i wyskoczyła z sypialni do holu. Na progu stał Oleg i ładna dziewczyna w długim skórzanym płaszczu z niedbale okręconym wokół szyi szmaragdowozielonym szalem. Na twarzy dziewczyny malowała się nieukrywana kpina. Natalia przyjechała tu samochodem kochanka i fakt, że przed domem stoi obce auto, a z sypialni wyskakuje rozczochrana baba w średnim wieku w niedopiętym szlafroku i z wykrzywioną paniką twarzą, nie pozostawiał żadnych wątpliwości. Dziewczyna była wyraźnie rozbawiona myślą, że ta nieładna, niemłoda kobieta uprawia miłość tak samo, jak robią to młode dziewczęta o pięknych, zgrabnych ciałach.

– Oleg, zaprowadź gościa do salonu, zaproponuj coś do picia i przyjdź do gabinetu taty. Musimy porozmawiać – chłodno powiedziała Natalia Jewgienjewna.

W gabinecie usiadła w głębokim fotelu i spróbowała zebrać myśli. Za wszelką cenę musi przeciągnąć Olega na swoją stronę, obiecać mu, czego tylko zażąda, byle tylko zapewnić sobie jego dyskrecję. A może szybko wymyślić jakieś kłamstwo, na przykład, że to zadanie zleczone przez Arsena?

Oleg wszedł do gabinetu i stanął przed nią w milczeniu.

Przez kilka sekund bez słowa patrzyli sobie w oczy, ale te sekundy wystarczyły Olegowi, by zrozumieć nastrój matki i szybko podjąć decyzję. Ukląkł przed fotelem i wziął Natalię za rękę.

– Mamo, bardzo się cieszę. W ciągu siedmiu lat ani razu nie widziałem cię takiej ładnej, z błyszczącymi oczami! Jesteś niezwykłą kobietą, a co ty masz z tego życia? Nudnego ojca, nudną pracę, nudnego mnie. Nasz ojciec jest wspaniały, to dobry, przyzwoity, spokojny człowiek, ale ty potrzebujesz od czasu do czasu czegoś więcej, bo całkiem zmarniejesz. Słowo, bardzo się cieszę, że znalazł się mężczyzna, który docenił cię, twój rozum, twoją urodę, twoją wyjątkowość. I możesz być absolutnie spokojna, ojciec o niczym się nie dowie. A poza tym, gdybym mógł na przyszłość jakoś się przydać, możesz na mnie liczyć.

Jeszcze nie urodziła się taka kobieta, której nie można by kupić pochlebstwem. Wszystko zależy tylko od tego, jak subtelne jest owo pochlebstwo. Wspaniały młody niegodziwiec. Ucieleśnione marzenie matki.

Miesiąc temu...

– Radziłeś się wuja Arsena?

– Tak. Powiedział, że trzeba zgrywać niegłupiego przeciętniaka. Rezygnować ze stażu na Pietrowce byłoby ryzykowne, zaraz rzuciłoby się to w oczy. Trzeba pogrywać tak, żeby opinia po ukończeniu stażu była pozytywna, ale żeby nie zechcieli za pół roku wziąć mnie na etat.

– Dlaczego?

– Wuj Arsen potrzebuje mnie w okręgu północnym. Nawet po stażu na Pietrowce skierowanie i tak dostanę do północnego. Wuj ma tam pewne plany.

– Cóż, wuj Arsen wie najlepiej...

Tydzień temu...

– Wyluzuj trochę, synku. Nie powinieneś wyglądać na zbyt mądrego. Sądząc z naszych informacji, Kamieńska wcale nie jest taka naiwna. Uważaj, żeby cię nie rozszyfrowała.

– Radzisz, żebym przyhamował?

– Właśnie.

– Tak jest, generale! Ależ ty masz nosa, mamusku...

Oba strzały padły jednocześnie. Łarcew runął na ziemię jak kłoda, a Oleg zaczął się powoli osuwać po futrynie drzwi. Ledwie Natalia Jewgienjewna zdołała uświadomić sobie, co się stało, kiedy zadzwoniono do drzwi. I natychmiast gniewnie zaszczekał Cezar. Mąż ma klucze, więc to nie on. Nikomu innemu otwierać nie miała zamiaru.

Dzwonek odezwał się jeszcze raz, Cezar zaczął ujadać głośniej, potem załomotano w drzwi i ktoś zawołał:

– Otwierać, milicja!

Walenie było coraz silniejsze i Dachno zrozumiała, że nie wiadomo skąd objawiona nagle milicja wyważa drzwi. Dlaczego tu przyszli? Czyżby Oleżka? Gdzieś popełnił błąd, wzbudził podejrzenia i przywłókł za sobą ogon? Oleżka, synku, jak mogłeś!

Miała ochotę krzyczeć. Zbyt często widywała śmierć i jako lekarz, i jako myśliwy. Oleg był martwy, bez żadnych wątpliwości. Oleg, jej wychowanek, którego z czasem zaczęła uważać za rodzzonego syna, którego pokochała jak syna, dzięki któremu dane jej było przeżyć chwile aż bolesnego macierzyńskiego szczęścia, dumy ze swego dziecka, dzięki któremu poznała szczególny, cudowny smak przyjaźni i koleżeństwa między matką i synem. W ciągu tych ośmiu lat zaznała więcej radości niż w całym swym dotychczasowym życiu. Nikt nigdy nie będzie umiał tak jak Oleg dodawać jej otuchy w chwilach zwątpienia, pocieszać w smutku, powiedzieć we właściwym momencie właściwych słów. Co z tego, że była to nieprawda, co z tego, że była to zręczna, wyrafinowana gra, ale to było, było! I było tak dobrze!...

Ale oprócz Olega jest jeszcze mąż, jest ona sama i jest trzydzieści lat życia, które trzeba przeżyć we właściwych warunkach, a nie na więziennej pryczy.

Zatrzeszczały wyłamywane drzwi. Cezar zanosił się ochrypłym szczeniem. Natalii Jewgienjewnie chciało się wyć i płakać. Poczła ostry ból w piersi i straciła przytomność.

Późnym wieczorem 30 grudnia Nastia z satysfakcją odnotowała, że obmyślona przez nią i Pączka gra zaczyna dawać wyniki. Człowiek o miłym barytonie dzwonił regularnie, uprzejmie przeproszał, że nie może przysłać jej Aleksandra Djakowa, pytał, czy dla jak najlepszego zakończenia sprawy nie trzeba czegoś jeszcze, i nie zgłaszał żadnych pretensji. Wrażliwy słuch Nasti wychwytywał w jego głosie rosnące napięcie, które zresztą dzwoniący zręcznie ukrywał. Na razie wszystko szło zgodnie z jej planem: grać na czas, demonstrując pełną gotowość do współpracy dla ratowania swojego życia przed rozwścieczonym Łarcewem.

Strach, który czuła przez ostatnie dni, roztajał w gorących promieniach nieludzkiego napięcia, wywołanego nieoczekiwanym obrotem sytuacji. Nastia gotowa była zrobić wszystko, byle tylko Nadi Łarcewej nic się nie stało. Wszystko, czego zażądają. Niech zbrodnia nie zostanie wykryta, niech przestępcy unikną odpowiedzialności, niech przełożeni zwolnią ją z pracy, byle tylko nie skrzywdzono dziecka.

Nastia jednak nie byłaby sobą, gdyby pozwoliła, by emocje wyparły całkowicie profesjonalne zainteresowanie. Czy można zrobić tak, żeby zbrodnia jednak została wykryta? Czy dałoby się, robiąc dla dziewczynki wszystko, co możliwe i niemożliwe, schwytać przynajmniej jednego mordercę?

Rozwiązanie jednej zagadki rodziło potrzebę rozwiązania następnej. Razem z Loszą naszkicowała kilka schematów utrzymywania łączności bez osobistego kontaktu. Za optymalny uznali schemat, przy którym użyto by kilku pracowników centrali telefonicznej (według ich wyliczeń, nie więcej niż czterech osób) i jeszcze jednego figuranta, zamieszkałego w rejonie tej centrali. Rozwiązując to zadanie po prostu dla zabicia czasu, Nastia spostrzegła z niepokojem, że potwierdzają się jej najgorsze obawy. Tworzyć taki system, aby udaremnić wykrycie jednego przestępstwa, byłoby taką samą głupotą, jak tkać gobelin o trudnym deseni tylko po to, by jeden raz wynieść w nim śmieci do zsypu.

A więc Łarcew się nie mylił, mają do czynienia z pośrednikiem niezaangażowanym osobiście w sprawę Jeriominej.

Kim jest ten pośrednik? Czy to kierownik klubu „Wareg”, któremu podlega Dżakow? Bardzo możliwe. Gradow go zna, mieszkają w tym samym domu, to naturalne, że w ekstremalnej sytuacji Siergiej Aleksandrowicz zwrócił się właśnie do niego. A jeśli nie on, to kto? I jaką rolę w takim razie gra Fistin ze swymi Waregami?

Nastia gryzła się myślą o tym, jak długo jeszcze uda jej się zamydlać pośrednikowi oczy żądaniem, żeby odszukał Dżakowa. W pewnym momencie jej oszustwo wyjdzie na jaw. O tym, co się wtedy stanie, bała się nawet pomyśleć.

Sanię Dżakowa aresztowano i bezpiecznie ulokowano w celi w momencie, kiedy wsiadał do pociągu, by opuścić Moskwę. Zajmujący się nim wywiadowcy otrzymali informację, że Sania wszystkich zawiadomił o swym wyjeździe i uprzedził, że nie będzie go przez trzy, cztery miesiące. Człowiek, który planuje ucieczkę, tak się nie zachowuje, wywiadowcy uznali więc, że ktoś po prostu próbuje Dżakowa sprzątnąć i asekuruje się, by nikt nie rzucił się go od razu szukać. Dlatego też podążali za chłopakiem do wagonu, zaczekali, aż odprowadzający, jeśli tacy byli, upewnią się, że szczęśliwie wsiadł w pociąg, i na minutę przed odjazdem wyprowadzili go z wagonu na tory po przeciwnej stronie peronu.

Kiedy Gordiejew zaczął przez telefon opowiadać, że „ktoś naciska na nas z góry”, Nastia zorientowała się, że Pączek też podejrzewa istnienie pośrednika i próbuje poróżnić go z Gradowem. Ona zaś ze swej strony spróbowała skłócić pośrednika z Fistinem, zmuszając ich do daremnych poszukiwań Dżakowa. Dopóki go szukają, można uważać, że Nadia jest bezpieczna. Jeśli oczywiście nie zabili jej od razu. W każdej chwili jednak może wyjść na jaw prawda o zatrzymaniu Dżakowa i pośrednik się połapie, że Nastia wodzi go za nos. Ona przecież nie może nie wiedzieć o aresztowaniu, jako że dokonano go, zanim znalazła się w ścisłej izolacji. Teraz cała nadzieja tylko w Pączku Gordiejewie, w tym, że zdoła powstrzymać przeciek informacji o Dżakowie, chociaż Bóg jeden wie, jak mu się to uda, skoro na Pietrowce pośrednik ma informatorów prawie w każdym gabinecie, a już na pewno na każdym piętrze i w każdym wydziale. Może to tak źle nie wygląda, pocieszała samą siebie, może

Łarcew ze strachu wyolbrzymił ich liczbę; oczywiście są, co do tego nie ma wątpliwości, ale jest tych potworów o wiele mniej. Na razie jednak przestępcy jeszcze szukali Djakowa i to dawało cię nadziei. A w każdym razie Nastia miała czas wymyślić coś jeszcze dla zyskania na czasie.

Nawet nie przyszło jej do głowy, że dziewczynce podają narkotyk i wszystko może zadziałać „w przeciwną stronę”. Jeśli do rana Djakow się nie znajdzie, Arsen każe jej dać jeszcze jeden zastrzyk. Dopóki Djakow stanowi dlań potencjalne niebezpieczeństwo, Arsen musi nadal mieć haka na Łarcewa. Poranna iniekcja może się okazać dla dziewczynki ostatnią. Gdyby Nastia Kamieńska o tym wiedziała...

W nocy z 30 na 31 grudnia Nikołaj Fistin pospiesznie wyszedł z mieszkania, wsiadł do nierzucającego się w oczy żiguli i pognął na ulicę Stalowników, gdzie mieszkał rajdowiec Sławik. Pół godziny wcześniej zadzwonili chłopcy, których posłał, by się rozprawili z ludźmi Arsena w zamkniętym zimą obozie młodzieżowym, i opowiedzieli zaskoczeni, że znaleźli tam chorą dziewczynkę.

Najpierw myśleli, że mała śpi, ale nie mogli się jej dobudzić, najwyraźniej jest nieprzytomna.

Zakładniczka, pomyślał zimno Fistin. No, to teraz zatańczysz tak, jak ci zagram, śmierdzący wypierdku. Teraz ty dostaniesz kapciem po mordzie!

– Przywieźcie dziewczynkę do Sławika, ma własne mieszkanie – polecił wujek Kola.

Całą noc przesiedział przy małej, próbując ją ocucić, ale na próżno. Tętno było powolne, choć równe. Oczu nie otwierała i nie reagowała na głos.

Nad ranem Nikołaj chciał już wzywać pogotowie, powstrzymywał go tylko brak „legandy”: co to za dziecko i skąd się wzięło w mieszkaniu Sławika.

Opowiedzenie o obozie równałoby się samobójstwu: było tam krwi jak w rzeźni. Mógłby powiedzieć, że znaleźli ją na ulicy, ale wyglądałoby to bardzo dziwnie, jeszcze, nie daj Boże, lekarze dadzą znać na milicję, a kontakty z milicją były teraz Fistinowi bardzo nie na rękę.

Był już w rozpacz, kiedy dziewczynka zaczęła powoli odzyskiwać przytomność. Około dziewiątej rano otworzyła oczy i usiłowała coś powiedzieć, ale z jej ust wydobyło się tylko niewyraźne skrzeczenie. Wujek Kola nabrał otuchy. Nie bardzo wiedział, jak pomóc małej, ale gdzieś czytał, że po narkozie (a nie miał wątpliwości, że to była narkoza lub coś w tym rodzaju) trzeba dużo pić, żeby oczyścić organizm. Butelki wody mineralnej były pod ręką, wujek Kola posłał po nie Sławika skoro świt.

Podając dziewczynce to wodę, to mocno osłodzoną herbatę, zdołał wreszcie wydobyć z niej kilka słów:

– Gdzie jest mój tata?

– A kim jest twój tata, dziecino? – łagodnie zapytał Fistin.

– Milicjantem – wyszeptała dziewczynka. – Pracuje na Pietrowce, w wydziale kryminalnym. Proszę zadzwonić do taty, niech mnie zabierze.

– Zaraz zadzwonię – z gotowością podchwycił Nikołaj. – Podaj mi numer i nazwisko taty.

To była niezła szansa. Zakładniczka Arsena okazała się córką funkcjonariusza milicji. A więc tak Arsen robi swoje interesy. Cóż, teraz on, Fistin będzie zamiast niego komenderować milicjantami i dyktować im swoje warunki, żeby pomóc szefowi. Jeżeli uda mu się dogadać z psami, Gradow do grobowej deski nie zapomni, że wujek Kola dokonał tego, czego nie umiał załatwić ten stary pierdoła.

Numer podany przez dziewczynkę nie odpowiadał.

– No to trzeba zadzwonić do pracy – wyszemrała ledwo dosłyszalnie i podyktowała inny numer.

Ale i w pracy taty Nadi nie było.

– Przyjdzie później – powiedziano Fistinowi. – A kto mówi?

– Znajomy. Prosił, żebym zadzwonił dziś rano.

– Niech pan zostawi numer, oddzwoni.

– On zna mój telefon – skłamał wujek Kola. – A kiedy mogę go zastać?

– Nie potrafię panu powiedzieć, nie wiem.

Nikołaj nalał Nadi jeszcze jedną filiżankę gorącej herbaty i powiedział uspokajająco:

– Nie martw się, malutka, tata wyszedł gdzieś służbowo. Ale zadzwonimy się do niego, a wtedy po ciebie przyjedzie.

Ale dziewczynka czuła się bardzo źle, miała na przemian to torsje, to biegunkę, robiła się sinoblada i gwałtownie się pociła. Najwyraźniej domowe środki były niewystarczające. A w pracy u taty nadal odpowiadano:

– Nie ma go, będzie później.

Fistin stopniowo tracił nadzieję na to, że uda mu się znaleźć jakiś sposób wywarcia nacisku na funkcjonariusza wydziału kryminalnego. Zdawało mu się, że dziewczynka za chwilę umrze mu na rękach, musiał więc choć cokolwiek z niej wyciągnąć. Choćby odrobinę. I należało to zrobić jak najszybciej, dopóki jeszcze można pomóc. Nie wolno mu dopuścić do tego, by dziecko umarło. Cóż, skoro nie udaje mu się dogadać z milicją, musi spróbować dogadać się z Arsenem. Wymienić zakładniczkę na obietnicę dotrzymania umowy i pomocy szefowi. Nikołaj pognął do klubu, jako że nawiązać łączność z Arsenem mógł tylko stamtąd. Kilkakrotnie próbował to zrobić z innych telefonów, ale nic z tego nie wychodziło. Tylko po zadzwonieniu z klubu Arsen po jakimś czasie oddzwaniał. Fistin bardzo się spieszył, gdyż pory łączności były ściśle ustalone. Jeśli miał przekazać pilną informację, musiał dzwonić na sześć minut przed każdą parzystą godziną. Zegarek wskazywał 13.45. Jeżeli za dziewięć minut nie zdąży zadzwonić, to na wszelkie inne jego telefony odpowiedź nadejdzie najwcześniej po godzinie. Jeżeli zdąży, to porozmawia z Arsenem już za dwadzieścia minut.

Zdążył. Kiedy wybierał numer, zegar stojący na biurku w pokoiku na tyłach sali sportowej wskazywał 13.54.

O 14.15 telefon zadzwonił i Fistin chwycił słuchawkę.

– Co, może znalazłeś Djakowa? – usłyszał szyderczy głos starego.

– Myli się pan. Znalazłem pańską zakładniczkę. I mam dla pana propozycję. Ja oddaję panu dziewczynkę, bo widzę, że jest panu bardzo potrzebna do jakichś interesów. A pan w zamian doprowadza do końca sprawę mojego szefa.

– Jaką dziewczynkę? – szczerze zdumiał się Arsen. – Co ty pleciesz?

– Dziewczynkę z obozu pionierskiego – ze złośliwą satysfakcją odparł wujek Kola. – A z tymi, co jej pilnowali, tak się rozprawilem, że długo ich pan będzie szukał. Więc jak, przyjmuje pan moją propozycję?

– Nic nie wiem o żadnej dziewczynce i o żadnym obozie pionierskim – cicho i dobitnie oznajmił Arsen. – A w ogóle, Ojcie Chrzeszty, może byś się tak odpierdolił?

Powiedziane to było dokładnie z taką intonacją, z jaką mówi się w dobrych angielskich domach: „Piękna dziś pogoda, nieprawdaż?”

Fistina otrzeźwiły krótkie buczki w słuchawce. I tutaj przechlapane, pomyślał z rozpaczą. Pogodził się już z tym, że nie rozumie Arsena i jego działań. Teraz myślał tylko o tym, jak pomóc jednocześnie szefowi i dziewczynce. I postanowił wrócić do Sławika, żeby podjąć jeszcze jedną próbę odnalezienia milicjanta, ojca Nadi.

W tym, co powiedział Fistin, nie było dla Arsena nic nowego. Nie doczekawszy się rano telefonu od lekarza, sam pojechał do obozu i zobaczył ślady krwawej walki. Dziewczynka zniknęła. Łatwo było zgadnąć, że to nie sprawa milicji, ale wujka Koli i jego mięśniaków. Milicja zastawiłaby w obozie zasadzkę.

Ledwie Arsen wrócił do domu, zadzwoniła Natasza Dachno i opowiedziała o wczorajszej tragedii. Oleg nie żyje. Łarcew jest ranny.

Ją i męża przez całą noc trzymano na Pietrowce, przesłuchiowano, wypytywano, jak do tego doszło. Zachowała zimną krew i obarczyła wszystkim Olega. Powiedziała, że Łarcew przyszedł do niego, a nie do niej. Po co, nie ma pojęcia. Po prostu oznajmił, że chce się widzieć z Olegiem, i dwie godziny czekał na niego, nie udzielając żadnych wyjaśnień. Tak czy owak, chłopiec już nie żyje.

– Jak myślisz, Łarcew z tego wyjdzie? – zapytał Arsen.

– Raczej nie. Rana jest zbyt ciężka. Ale nawet jeśli operacja się uda, co najmniej przez tydzień będzie nieprzytomny, a potem i tak czeka go inwalidztwo – oznajmiła autorytatywnie była pani chirurg.

– Cóż, znaczy to, że mamy co najmniej tydzień, żebyście oboje z mężem na jakiś czas się przyczaili – orzekł Arsen. – Jeżeli Łarcew po tygodniu zdoła coś powiedzieć, to już i tak nic im nie da. Dobra, kochanie, do wieczora zorientuję się we wszystkim i wtedy

uzgodnimy plan działania. A ty dziś po obiedzie wyślij montera, niech zlikwiduje numer. I powiedz Walerijowi, że nie musi już podsłuchiwać telefonu Kamieńskiej.

Walerij był naczelnym inżynierem centrali telefonicznej i też dorabiał sobie u Arsena.

W zaistniałej sytuacji Arsen przestał się troszczyć o Nadię. Skoro Łarcew wypadł z gry na długo, a może nawet na zawsze, dziewczynka nie jest już Arsenowi potrzebna. Niech Fistin robi z nią, co chce. Dziś po obiedzie numer telefonu, pod który dzwonili wujek Kola i jego szef Gradow, przestanie istnieć. Gradow wczoraj przez cały dzień usiłował się połączyć z firmą, ale Arsen nie odbierał jego telefonów. Energiczny Siergiej Aleksandrowicz próbował nawet z pomocą swych milicyjnych kumpli ustalić nazwisko i adres abonenta, ale Natasza Dachno jak zwykle stanęła na wysokości zadania. Za przydział i ewidencję wolnych numerów w centrali telefonicznej odpowiada tylko ona i oficjalnych informacji udziela też ona. Dokumentację ma w takim porządku, że mucha nie siada – nikt się do niczego nie dogrzebie. W zasadzie numer można było odłączyć już wczoraj, zazwyczaj Arsen robił to natychmiast po wykonaniu umowy, ale chciał mieć łączność z Fistinem na wypadek, gdyby ten odnalazł Djakowa. Teraz numer nie jest już potrzebny.

Nawet jeżeli Fistin albo Gradow zostaną aresztowani, a najprawdopodobniej tak się stanie, nikt nie znajdzie tajemniczego Arsena, i wszystkie ich opowieści na Pietrowce będą wyglądać na zwykłe brednie, wymyślone po to, by się wybielić i zrzucić z siebie część odpowiedzialności.

Jednakże rozmowa z Fistinem rozzłościła Arsena nie na żarty. Na co sobie ten kryminalista pozwala? Ośmielił się z nim targować! Coś podobnego! Takie gówno z żelaznymi zębami! Dawno nie kiblował, zapomniał, że jego miejsce jest właśnie pod celą. Arsen wyszedł na ulicę, przespacerował się do najbliższego automatu i wybrał numer 02.

– Uprowadzono córkę waszego oficera operacyjnego, majora Łarcewa. Porywaczem jest recydywista Nikołaj Fistin, zamieszkały przy prospekcie Federacji 16, blok 3. – I rozłączył się.

Telefon o córce Łarcewa odebrano na Pietrowce, zanim jeszcze wujek Kola wyszedł z klubu. Śledzący go agenci zameldowali, że obiekt całą noc i część dnia spędził na ulicy Stalowników. Natychmiast wysłano tam grupę operacyjną. W godzinę po rozmowie z Arsenem Nikołaj Fistin i właściciel mieszkania rajdowiec Sławik zostali aresztowani, a Nadia Łarcewa umieszczona w szpitalu.

Od samego rana 31 grudnia Siergiej Aleksandrowicz Gradow poszukiwał wujka Koli. Antonina powiedziała, że wyjechał dokądś w środku nocy i do tej pory nie wrócił.

– Jak wróci, niech się zaraz ze mną skontaktuje – poprosił Gradow.

Mijały godziny, a Nikołaj się nie zjawiał, w klubie też go nie było i nikt nie wiedział, gdzie się podziewa. Gradowa ogarnęły złe przeczucia. Zdawał sobie sprawę, że wszystko to jest związane z zerwaniem przez Arsena umowy. Około siedemnastej kolejny raz zadzwonił do Fistina do domu.

– Siergieju Aleksandrowiczu – wyszłochała do słuchawki Antonina – Kole aresztowali.

W chwilach paniki Gradow tracił refleks, toteż potrzebował aż kilku minut, by zrozumieć, że Kola Fistin był ostatnią rubieżą między nim a organami ścigania. Skoro aresztowano Nikołaja, to on, Gradow, będzie następny. Siergiej Aleksandrowicz ze starego nawyku spróbował znaleźć w swym otoczeniu człowieka, któremu mógłby zaufać i który by wszystko załatwił. Od wczesnego dzieciństwa miał kochającego tatę, który czuwał nad Sieriożą niemal do dnia jego ślubu, potem byli sekretarze, urzędnicy do zleceń, referenci, asystenci, fagasi, wreszcie Arsen. Wszyscy ci ludzie jak jeden mąż powtarzali: „Proszę się nie denerwować, my to załatwimy, wszystko będzie w porządku”. Teraz musiał spojrzeć w oczy nieprzyjemnej prawdzie: już nikt nie weźmie na swoje barki jego problemów.

Następną myślą, jaka mu przyszła do głowy, było pytanie: czy problem jest rzeczywiście tak trudny do rozwiązania, jak się wydaje? Może nie całkiem? A niech sobie zostanie nierozwiązany, jemu niczym szczególnie strasznym to nie grozi. Następne kilka

minut wyteżonych rozmyślań doprowadziły Siergieja Aleksandrowicza do smutnego wniosku, że jednak aresztowania i więzienia nie uda mu się uniknąć. Wujek Kola jest mu rzeczywiście wierny jak pies, ale to niewielka pociecha. Cóż przy całym swym oddaniu może działać ze swym małym rozumkiem? Wariant pierwszy: zamknie się w hardym milczeniu i nie będzie składał żadnych zeznań.

Ale dla wywiadowców z Pietrowki milczenie oznacza przyznanie się do stawianych zarzutów. Nie dadzą się nabrać na minę skrzywdzonej niewinności. Skoro milczy, to znaczy, że boi się zeznawać, skoro zaś boi się zeznawać, to znaczy, że ma coś do ukrycia. Wariant drugi: wujek Kola obmyśla zręczne kłamstwo, bierze winę na siebie, a Gradow nie ma z tym wszystkim nic wspólnego. To byłoby idealne wyjście, ale sęk w tym, że tępawy, choć gorliwy Nikołaj nie jest w stanie wymyślić tak zręcznego, przekonującego i konsekwentnego kłamstwa. Więc i na ten wariant nie ma co liczyć. Wariant trzeci: Fistin, wredny skurwiel, ścierwo, niepamiętające o tym, co komu zawdzięcza, już w pierwszej sekundzie wywali wszystko, co wie o Gradowie. No i w takim wypadku wszystko jasne jak słońce, żadnych wątpliwości.

Zdrowy rozsądek podpowiadał, że z trzech ewentualnych wariantów realne są tylko dwa, i oba prowadzą do aresztowania i procesu.

Ale może aresztowanie i proces to nic strasznego? Może jakoś da się je przeżyć?

Siergiej Aleksandrowicz Gradow wiedział na pewno, że ani w więzieniu, ani w łagrze nie wytrzyma. To w ogóle nie wchodziło w rachubę. Pierwszy alarmowy dzwoneczek zadzwonił, kiedy go jako jedenastolatka po raz pierwszy wysłano pod Moskwę na obóz pionierski. Obóz był jak na owe czasy dobry, jeden z lepszych, dla dzieci moskiewskiej elity partyjnej, i zdobycie skierowania było niełatwe nawet dla ojca Sierioży. Już pierwszego dnia po wejściu do obozowej latryny Sierioża, zobaczywszy usmarowaną nieczystościami „dziurę” i poczuwszy zmieszany fetor chloru, moczu i fekaliiów, wymiotował. Kiedy potrzeba stała się nagła, powtórzył próbę, ale poszło mu jeszcze gorzej: nie tylko wymiotował, ale na dodatek zlał się w spodnie. Każda minuta

pobytu w obozie pionierskim była dla chłopca torturą, koledzy go wyśmiewali, przezywali „szczył”, kilka razy zrobili mu kocowę. Sierioża nie mógł jeść, ohydny smród latryny prześladował go wszędzie, nawet w stołówce, stale go mdliło. Nie mógł się też normalnie załatwić, musiał za każdym razem wytrzymywać do ostatniej chwili, a potem stawać przed okrutnym wyborem: albo torsje w latrynie, albo ucieczka z obozu do najbliższego lasu, albo poszukiwanie ustronnego miejsca na terenie obozu z ryzykiem, że ktoś go zobaczy i okryje niezatartą hańbą na apelu. Wszystkie inne problemy zbladły wobec tego najważniejszego; a przecież było tych problemów mnóstwo. Sierioża zupełnie nie potrafił żyć w zespole, być taki jak wszyscy, wstawać razem z innymi, maszerować w równym szeregu na gimnastykę, potem na apel, jeść wstrętnej, rzadkiej owsianki albo polanych sosem z torebki żalonych kawałków żył i chrząstek, zwanych „gulaszem” lub „Strogonowem”.

Po dziesięciu dniach rodzice zabrali Sieriożę z obozu. Pobyt tam pozostawił po sobie tak silne wrażenie, że na samo słowo „obóz” chłopiec zaczynał dygotać.

Gdy nadszedł czas pójścia do wojska, Siergiej zdążył okrzepnąć i fizycznie, i moralnie. Nie wymiotował już na sam widok i zapach latryny, potrafił się zmusić do przełknięcia wojskowego żarcia ze wspólnego kotła oraz unikać szyderstw i kpin. Mimo wszystko jednak każda minuta tych niekończących się dwóch lat przyprawiała go o męki. A w dodatku miał pecha: w jego jednostce „fala” rozkwitała bujnym kwieciami, więc i z tego powodu mocno się nacierpiał.

Po wyjściu z wojskowego piekła Siergiej powiedział sobie twardo: „Wszystko, tylko nie więzienie”. Strach przed łagrem towarzyszył mu przez całe dorosłe życie i z biegiem czasu nie tylko nie osłabł, stając się czymś zwykłym, ale jeszcze wzrósł. Wolność prasy przyniosła całe mnóstwo publikacji, literackich i dokumentalnych, o tym, „jak jest tam, w «zonie»”.

Gradów z chorobliwą ciekawością, podszytą strachem i odrazą, czytał okropną prawdę o zwyczajach panujących w zakładach penitencjarnych i wzdrygał się na myśl, że okazuje się ona jeszcze gorsza niż jego najstraszniejsze wyobrażenia. Potem zaś również doświadczony recydywista, wujek Kola, potwierdził: tak właśnie

jest, tylko że w rzeczywistości jeszcze potworniej, bo o pewnych rzeczach jakoś się nie pisze, zupełnie jakby nie wypadało o tym wspominać. Na przykład o tym, że w areszcie śledczym w jednej celi siedzi po trzydziestu, czterdziestu ludzi, śpią na trzy zmiany i korzystają z kibla przy wszystkich.

Gradow bał się więzienia jak niczego innego w tym życiu. Kiedy „zona” zamajaczyła mu po raz pierwszy, bez wahania zdecydował się na zabójstwo Witalija Łucznikowa. Własnymi rękami wsadził do więzienia nieszczęsną Tamarę Jeriomina. Wszystko to wydawało mu się niewartym wzmianki głupstwem w porównaniu ze zżerającym go strachem. Po raz drugi widmo więzienia ukazało się na horyzoncie, kiedy ten przygłup Arkadij uczeplił się go ze swymi chorymi pomysłami, by się do wszystkiego przyznać. Jego również musiał usunąć z drogi, żeby nie plątał mu się pod nogami.

Potem pojawiło się zagrożenie ze strony córki Tamary, Wiki. Gradow sprzątnął również ją, kolejny raz zrywając nić przeciągniętą między nim i nienawistnym więzieniem.

Dziś, 31 grudnia, w przededniu nowego, 1994 roku, Siergiej Aleksandrowicz nagle uświadomił sobie, że znów się zastanawia, kogo jeszcze mógłby zabić, żeby się uratować przed odsiadką. I stwierdził, że poza nim samym nie ma już nikogo do zabicia.

Negatywne cechy Gradowa można by wyliczać w nieskończoność, był bowiem człowiekiem całkowicie niemoralnym. Ale nawet najbardziej zagorzali jego wrogowie musieliby przyznać, że wśród tych cech nie ma niezdecydowania.

Dwie godziny później, siedząc w fotelu w swej przytulnej, ciepłej daczce, Siergiej Aleksandrowicz Gradow, morderca Witalija Łucznikowa oraz Arkadija Nikiforczyka i organizator zabójstw Wiki Jeriominej oraz Walentina Kosara, ostatni raz popatrzył na lufę zaciśniętego w dłoni pistoletu i powoli zamknął oczy. Nosił to w sobie przez dwadzieścia trzy lata. Nie odczuwał skruchy, nie gryzło go sumienie, czasem tylko dręczyły obawy, że kiedyś wyjdzie na jaw straszna tajemnica nocy w domu Tamary Jeriominej. Połowa tej tajemnicy umarła wraz z Arkadijem dwa lata temu. Druga połowa umrze teraz.

Kilka sekund później płynnym ruchem nacisnął spust.

Zbliżało się południe 31 grudnia. Nastia z trudem zachowywała spokój. Pośrednik przestał dzwonić, od Gordiejewa nie było żadnych wieści, i czuła, że zupełnie już utraciła orientację w tym, co się dzieje.

Leżała na kanapie twarzą do ściany, starając się powstrzymać nerwowe dreszcze, i rozpatrywała różne hipotezy. Co się mogło stać? Dowiedzieli się o Djakowie? W takim razie niewykluczone, że lada chwila odezwie się dzwonek u drzwi i do mieszkania wpadnie oszalały Łarcew z pistoletem w rękach. Co jeszcze mogło się wydarzyć?

Jak na złość, telefon się urywał: przyjaciele i znajomi dzwonili z życzeniami noworocznymi. Za każdym razem drgała jak rażona prądem, serce zaczynało jej się tłuc gdzieś w gardle, dłonie pokrywały się potem. A oni wciąż nie dzwonili...

Około ósmej wieczorem wreszcie odezwał się Pączek. Głos miał smutny.

– Co słyhać, Stasienko?

– W porządku – jak mogła najspokojniej, odrzekła Nastia. – A u was?

– U nas źle. Żenia Morozow nie żyje. Twój stażysta Oleg Mieszczerinow też. Wołodia Łarcew jest ciężko ranny, boję się, że nie przeżyje.

– O Boże... – Pod Nastią ugięły się nogi, musiała oprzeć się ręką o szafę, żeby nie upaść. – To straszne. Co się stało, pułkowniku?

– To długa opowieść. Wiesz co, dziecino, bierz swojego rudego geniusza i przyjeżdżajcie do nas. Moja Nadieżda napiekła i nagotowała smakołyków dla batalionu wojska, bądź co bądź święto.

– Wiktorze Aleksiejewiczu, nie mogę, naprawdę.

– Możesz, kochanie. Nikt cię już nie pilnuje.

– Jak... Co pan... – wybełkotała zdumiona.

– A tak. Fistin aresztowany, córeczka Łarcewa uwolniona, a poseł do Dumy Państwowej Siergiej Aleksandrowicz Gradow przesądził o swoim losie sam, bez naszej pomocy.

– To znaczy?

– Zastrzelił się.

– Więc co? Wszystko skończone?

– Tak. Wprawdzie skończyło się zupełnie nie tak, jak chcieliśmy, ale się skończyło. Dlaczego nic nie mówisz?

– Płaczę – wykrztusiła Nastia przez łzy. Nieludzkie napięcie wypuściło ją ze swego żelaznego uścisku i nastąpiła reakcja.

– Dobrze, popłacz sobie. A potem ubieraj się i przyjeżdżajcie. Omówimy wszystko u nas.

Sylwester w domu pułkownika Gordiejewa był smutny. Wiktor Aleksiejewicz, jego żona, Nastia i Losza wypili szampana i bez zapału gmerali sztucami w talerzach z pysznym jedzeniem. Nikt nie próbował udawać, że wszystko jest w porządku. Nadieżda Andriejewna, mająca za sobą trzydziestoletni staż żony milicjanta, wszystko rozumiała bez słów i przy pierwszej nadarzającej się okazji wstała od stołu.

– Ulżyjcie sobie, pogadajcie, a my z Aleksiejem obejrzymy film. Dostałam dziś kasety z jakimiś laureatami Oscarów.

Nastia podniosła głowę i napotkała wzrok Loszy. Na jego twarzy malowało się napięcie.

– Niech Loszka zostanie – zwróciła się do Gordiejewa. – Ma prawo wszystko wiedzieć.

Nikt jednak nie miał odwagi zacząć rozmowy. I Nasti, i Wiktorowi Aleksiejewiczowi było jednakowo ciężko i boleśnie.

– Djakow i Fistin złożyli zeznania – odezwał się wreszcie Gordiejew. – Djakow to głupek, nic tylko same mięśnie. W kwestii wydarzeń w mieszkaniu Kartaszowa trzyma się pierwotnej wersji: klucze dał mu jakiś gość i obiecał zapłatę, jeśli Djakow przyniesie mu list. A dalej wszystko według znanego schematu: nie wiem, nie pamiętam, nie widziałem. W tej sytuacji nawet nie można mu postawić żadnych zarzutów; gdyby chociaż mówił to samo co Kartaszowowi, że przyszedł go okraść, moglibyśmy go oskarżyć o włamanie z zamiarem kradzieży. Ale co zrobić z wejściem do mieszkania w celu szukania listu, niemającego żadnej wartości materialnej? Wiaczesław Kuzin, w którego mieszkaniu znaleziono Nadie, okazał się właścicielem auta w takim samym kolorze jak samochód, którym przejechało Kosara, więc można zacząć z tej beczki, żeby coś wydostać z pozostałych. Fistin to twarda sztuka. Zaczął się targować, obiecał nam wystawić jakiegoś

wszechpotężnego Arsena, który zorganizował wszystkie zabójstwa i porwanie dziewczynki. W ten sposób Fistin usiłuje ratować swego kumpla Gradowa. Zobaczymy, jak będzie śpiewał, kiedy mu powiem, że Siergiej Aleksandrowicz popełnił samobójstwo. A żadnego Arsena oczywiście nie znaleźliśmy.

– Ale przecież on istnieje – na pół pytająco wtrąciła Nastia.

– Istnieje, oczywiście – rzekł z westchnieniem Gordiejew – ale szukaj wiatru w polu. Rozpłynął się jak zjawa w świetle dnia. I numer telefonu, na który dzwonił do niego Fistin, nie istnieje. Jedyne nadzieje w Łarcewie. Jeśli przeżyje, to może coś powie. Na przykład, po co szedł do mieszkania stażysty? I dlaczego do siebie strzelali?

– Stażysta był człowiekiem Arsena – z przekonaniem powiedziała Nastia. – Teraz jestem tego pewna. To on zrobił odcisk moich kluczy, kiedy wróciłam z Włoch i po raz pierwszy wspomniałam o Brizacu. I to on, będąc u wdowy po Kosarze, wziął od niej notes i nie oddał mi go, bo były w nim telefony Bondarienki. Skłamał, że go zgubił.

– No i co? O co poróżnił się z nim Łarcew?

– Może Łarcew się dowiedział, że Oleg jest człowiekiem owego nieuchwytnego Arsena, i myślał, że ma coś wspólnego z uprowadzeniem Nadi? – wysunęła przypuszczenie Nastia.

– Może i tak myślał – zgodził się Gordiejew. – Ale czemu wobec tego z nim nie porozmawiał, nie próbował się dowiedzieć, gdzie jest dziewczynka, tylko od razu zaczął strzelać? Matka Olega mówi, że nie zamienili ani jednego słowa. Jest jeszcze taka możliwość, że Łarcew się dowiedział, iż to właśnie Oleg zabił Morozowa, i przyszedł się z nim rozprawić jak ze zdrajcą. W takim wypadku rozmowa nie byłaby potrzebna. A największa szkoda, że nasi chłopcy spóźnili się dosłownie o pół minuty, już na schodach usłyszeli strzały.

– Nie wierzę. – Nastia pokręciła głową. – Przyjść po to, żeby zabić syna na oczach matki? Tak mógłby postąpić każdy, tylko nie Wołodia.

– Ja też nie wierzę. Przed pójściem do Olega Łarcew odwiedził Stowarzyszenie Łowiecko-Wędkarskie. Prawdopodobnie potrzebny mu był adres Mieszczerinowa, a Oleg mu pewnie wspomniał, że jego

matka poluje i że mieszkają przy prospekcie Lenina. Ten sposób zdobycia adresu okazał się prostszy i skuteczniejszy niż powrót na Pietrowkę i czekanie na Olega lub sprawdzanie adresu w Centralnym Biurze Adresowym. Masz jakieś inne hipotezy?

– Na razie nie. Ale pomyślę o tym. Mam jakieś nieprzyjemne przeczucie, że nigdy nie poznamy prawdy o całej tej historii. A co się stało z Żenią?

– Z Żenią, Stasienko, to brzydka historia. W jego torbie znaleźliśmy notes z zapiskami dotyczącymi sprawy Jeriominej. Okazuje się, że prowadził dochodzenie na własną rękę i zatajał przed tobą zdobyte informacje. Ty byś była unurzana w błocie, a on – biały jak śnieg. W tych jego zapiskach jest jednak dość dowodów, abyśmy mogli powiązać Fistina i jego drużynę z zamordowaniem Wiki, więc dzięki mu choć za to. Ale wczoraj zaszło widocznie coś, co sprawiło, że Morozow stał się bardzo niebezpieczny dla owego pośrednika. Co? Tego się już nigdy nie dowiemy. Nawet Żeriechowowi nie powiedział ani słowa, czekał na mnie. Wprawdzie o zmarłych nie mówi się źle, ale okazał się głupcem. Nie wolno łamać zasad gry, jeśli gra się w drużynie. To się zawsze źle kończy. Pomyśl tylko, zabili go, nawet nie próbując zbadać, czy się z kimś nie podzielił swoim kolejnym odkryciem. Rozumiesz, co to znaczy?

– To był środek wychowawczy, adresowany między innymi do mnie – odparła Nastia. – Chcieli mi powiedzieć: my nie rzucamy słów na wiatr, obiecałaś, że nikt nie będzie niczego więcej robił w sprawie zabójstwa Jeriominej, i nie dotrzymałaś słowa. Oto więc lekcja pogładowa. Boże, cóż to za potwory, skoro potrafią zabić człowieka tylko po to, żeby kogoś o czymś przekonać! Czy Morozowa zabił Oleg?

– Wszystko na to wskazuje. W każdym razie znaleziono przy nim pistolet z tłumikiem, ale ekspertyza będzie gotowa dopiero po Nowym Roku. Mój Boże, mój Boże. – Wiktor Aleksiejewicz potrząsnął głową i ze znużeniem oparł czoło na zaciśniętej pięści. – Czyżbym się zupełnie nie nadawał do tej roboty? Nie wyczułem wroga w smarkatym stażyście. Nie upilnowałem Wołodźki. Własnymi rękami wepchnąłem go prosto w paszczę bestii, a nie potrafiłem należycie ubezpieczyć. Liczyłem na jego profesjonalizm i na chodzących za nim agentów. Gdyby go nie zgubili, może

wszystko skończyłoby się inaczej. Nie wybaczę sobie tego do końca życia. Nie po raz pierwszy tracę ludzi, ale tak wielkiego błędu jeszcze nigdy nie popełniłem.

– Niech się pan tak nie zadręcza, Wiktorze Aleksiejewiczu – próbowała go pocieszyć Nastia. – Gdyby miał pan dostateczną liczbę ludzi i po zgubieniu Łarcewa mógł ich wysłać pod dziesięć adresów jednocześnie, tragedii można by było zapobiec. A tak...

– Wiesz, co mi teraz przyszło do głowy? – Gordiejew nagle się ożywił. – Dlaczego Oleg, który cały czas przeszkadzał nam w wykryciu prawdy, nagle opowiedział mi wszystko o Nikiforczuku?

– No, dlaczego?

– A dlatego, że chociaż graliśmy w ciemno, udało nam się jednak trafić w dziesiątkę. Skłóciliśmy Gradowa z pośrednikiem i ten przestał mu pomagać. Myślisz, że to przypadek, że przez dwa miesiące dreptaliśmy w miejscu, a potem w trzy dni wszystkich wyłapaliśmy? Pośrednik wycofał się ze sprawy, i oto rezultat. Poróżniliśmy pośrednika z Fistinem i dzięki temu ocaliliśmy dziewczynkę, co prawda, rękami wujka Koli.

– Z tego wynika, Wiktorze Aleksiejewiczu, że jesteśmy takimi samymi pociągającymi za sznurki manipulatorami jak ten cały pośrednik. Bo w czymże jesteśmy lepsi?

– To bolesne pytanie, Nastieńko. Chociaż trudno się do tego przyznać, w naszej robocie nie da się zachować moralnej czystości. Trzeba spojrzeć prawdzie w oczy, bo idealistyczne bajeczki dobre są tylko dla głupców. A my, ty i ja, nie jesteśmy głupcami. Mafia jest nieśmiertelna, ale i dobrzy wywiadowcy jeszcze nie wymarli. I nie wymrą. Może to jakieś prawo natury? Powiedz, Aleksiej, w końcu jesteś profesorem.

– Z punktu widzenia doboru naturalnego mafia będzie coraz okrutniejsza, a wywiadowcy coraz lepsi, najsłabsi zginą, najsilniejsi przeżyją – odparł bardzo poważnie Losza. – A z punktu widzenia matematyki zawsze będziecie istnieć równolegle. I nigdy się nie skrzyżujecie. Nigdy. Oni was nie złamią. Ale i wy ich nie zlikwidujecie.

– Dziękuję ci, bardzoś mnie pocieszył. – Gordiejew uśmiechnął się smętnie.

Tamara Siergiejewna Raczkowa odkroiła apetyczny plaster polędwicy duszonej z przyprawami i nałożyła mężowi na talerz.

– Dziękuję, mamusku – powiedział mąż i podniósł kieliszek z winem. – Wypijmy za nowy rok, niech będzie równie dobry jak poprzedni. Jesteśmy już starzy, wiele nam od życia nie trzeba, byle Bóg dał nam zdrowie i trochę radości. Prawda?

– Prawda, tatuśku – zgodziła się Tamara Siergiejewna. – Wypijmy. Za nowy rok i za nas oboje. Bądź co bądź, czterdzieści lat razem to nie żarty. I chociaż jesteś zwariowanym filatelistą, i tak cię kocham.

– Ja też cię kocham – rzekł z uśmiechem Arsen i małymi łydkami opróżnił kieliszek.

¹ GUWD (*Гławnoje Uprawlenije Wnutriennich Dieł*) – Główny Urząd Spraw Wewnętrznych, mieszczący się w Moskwie przy ulicy Pietrowka 38 (przyp. tłum.).

² Złoty Pierścień (*Zołotoje kolco*) tworzą miejscowości z zabytkami architektury sakralnej i świeckiej: Włodzimierz, Suzdal, Bogolubowo i Pokrowa nad Nerłą (przyp. tłum.).

³ Papaniowcy, czeluskinowcy – członkowie pionierskich klubów młodzieżowych, rozwijających zainteresowania badaniami polarnymi (Iwan Papanin – badacz polarny, kierownik radzieckiej stacji arktycznej, Siemion Czeluskin – rosyjski polarnik z XVIII wieku; jego imieniem nazwano radziecki statek badawczy, zgnieciony przez lody na Morzu Czukockim); Walerij Czkałow, Anatolij Lapidiewski i Michaił Gromow – bohaterscy radzieccy piloci wojskowi (przyp. tłum.).

⁴ Końcowa faza partii szachowej, w której jednemu lub obu graczom grozi przegrana wskutek niewykonania przewidzianej regulaminem liczby ruchów w określonym czasie (przyp. tłum.).

⁵ Siedziba KC KPZR (przyp. tłum.).

⁶ Siedziba KGB (przyp. tłum.).

⁷ Obecnie, tak jak przed 1930 r., Siergijew Posad, miasto ok. 70 km od Moskwy, ośrodek turystyczny; zespół architektoniczny Ławry Troicko-Sierygiewskiej, akademii teologicznej (przyp. tłum.).

⁸ Pikantne pierożki z baraniną (przyp. tłum.).

Przekład: Ewa Rojewska-Olejarczuk

Redakcja: Wiesława Karaczewska
Korekta: Maria Fuksiewicz, Anna Sidorek, Małgorzata Otrębska, Agnieszka Nowak
Adiustacja: Joanna Czarnecka, Katarzyna Jesiotr

Projekt okładki: Sandra Dudek
Logo serii: Marek Goebel

Skład i łamanie: Tekst – Małgorzata Krzywicka

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
00-391 Warszawa, al. 3 Maja 12
tel. 22 828 98 08, 22 894 60 54
biuro@gwfoksal.pl
gwfoksal.pl

ISBN 978-83-7747-211-8

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](http://GrupaWydawniczaFoksalSp.zo.o)
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](http://VirtualoSp.zo.o)

virtualo